

Orson Scott Card

Zagubieni chłopcy

* * *

Step Fletcher liczył na to, że nowe życie, które wraz z rodziną zacznie po przeprowadzce do miasteczka Steuben, będzie szczęśliwsze od dotychczasowego. Niestety, stało się inaczej: w pracy nie układa mu się najlepiej, a jego 8-letni syn Stevie nie potrafi znaleźć sobie miejsca w nowym środowisku. Odrzucony przez szkolną społeczność chłopiec zanurza się w świecie fantazji, zaludnionym przez wymyślonych przyjaciół. Może nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że są to ci sami chłopcy, którzy w tajemniczych okolicznościach zaginęli bez wieści w realnym, materialnym świecie.

* * *

Spis treści

[Chłopiec](#)

[Rozdział pierwszy](#)

Galganiarz

[Rozdział drugi](#)

Larwy

[Rozdział trzeci](#)

Gallowglass

[Rozdział czwarty](#)

Wstretne dziury

[Rozdział piaty](#)

Hacker Snack

[Rozdział szósty](#)

Inspiracja

[Rozdział siódmy](#)

Swierszcze

[Rozdział ósmy](#)

Lapiduch

[Rozdział dziewiaty](#)

Chrabaszcze

[Rozdział dziesiaty](#)

Dzien Niepodleglosci

[Rozdział jedenasty](#)

Zap

[Rozdział dwunasty](#)

Przyjaciele

[Rozdział trzynasty](#)

Bóg

Rozdział czternasty

Boże Narodzenie

Rozdział piętnasty

Nowy Rok

Erin i Phillipowi Absherom

za to, że dzielicie z nami swoje życie

oraz za miłość i troskę, jakimi otaczacie

Chanie Bena

Dziękuję:

Studentom Watauga College w Appalachian State University, którzy w Halloween usłyszeli pierwszą, niekompletną wersję tej opowieści;

Edowi Fermanowi za to, że uwierzył w opowiadanie, które było pierwsze;

Ludziom, którzy pisali do mnie listy po lekturze opowiadania, ponieważ dzięki nim ta historia nabrała życia;

Eamon Dolan, mojemu wydawcy, za bezcenne uwagi i niewyobrażalną cierpliwość;

Wayne'owi Williamsowi za dodatkowy tydzień na plaży, gdzie powstała pierwsza połowa tej książki;

Clarkowi i Kathy Kidd za drugą połowę (miedzy innymi);

Scottowi Jonesowi Allenowi za wpisywanie tekstu i mnóstwo innych rzeczy;

Clarkowi L. Kiddowi za trzecie słowo w Rozdziale 8;

Dave'owi Dollahite za paralakse;

Jay'owi Wentworthowi za wszystko;

Erin, Phillipowi, Jonesowi, Kathy, Geoffowi i Emily za czytanie kolejnych rozdziałów w miarę jak powstawały;

Kristine za to, że utrzymywała dzieci przy życiu, samochody na chodzie, a pisarza w formie;

Charliemu Benowi, za jadro tej opowieści.

Chłopiec

Oto jak ojciec pokrzykiwał na niego, kiedy ten zrobił coś złego:

- Gdzie się podziewałeś, kiedy to się stało, Chłopcze? Co ty sobie wyobrazasz, Chłopcze?

To słowo zapadło mu w pamięć głęboko, było imieniem wszelkich jego niepoprawnych pragnień. To Chłopiec kazał mu platać figle, z których nikt się nie śmiał, to Chłopiec kazał oszukiwać na testach w szkole, nawet gdy znalazł poprawne odpowiedzi i nie musiał uciekać się do szachrajstwa. To Chłopiec sprawił, że czuł się za szafa - kiedy rodzice myśleli, że śpi - i podglądał, jak to robią na piasku; brzuch ojca trzesący się luzno, matka taka blada, słaba i martwa, piersi zwisały jej niczym dwie snięte ryby. Najgorsza rzecz, jaką Chłopiec kazał mu zrobić, było to podglądanie. Ku jego zdumieniu Chłopcu też to się nie podobało, gorzej, Chłopiec bardziej niż on nienawidził tego, że ojciec jest taki kiepski.

Nigdy tego nie zrobię, rzekł Chłopiec tkwiący w jego wnętrzu. Obrzydliwe jest zabijanie kobiety w ten sposób, tak aby przeżyła, by móc jej to zrobić powtórnie.

Od tego czasu, gdy spoglądał na wielkie kobiety z ich piersiami, tajemnicami i twarzami, które paraliżowały wzrokiem, Chłopiec go opuszczał - nie chciał brać udziału w tej grze.

Lecz nie znaczyło to wcale, że Chłopca nie było albo że milczał, nie. Chłopiec nadal tam był, miał też swoje zachcianki, o tak; znalazł sobie nowe przedmioty pożądania. Tyle tylko że Chłopiec był niedbały. Chciał czegoś, dopóki jego zadanie nie zostało zaspokojone, po czym wycofywał się w cień, zostawiając go na pastwę wyrzutów i reprimend, choć przecież on nie chciał tego zrobić.

Obecnie żaden człowiek nie dopuszczał go do swoich dzieci, a to z powodu rzeczy, jakie musiał wykonywać z polecenia Chłopca. Bądź przeklęty, Chłopcze! Gin, przepadnij!

Obiecali, że nie powiedzą, zapewniał Chłopiec. Dzieci obiecywały, że nie powiedzą, jednak powiedziały.

Czego sie spodziewasz, glupi, wstretny Chlopcze? Czego sie spodziewasz, zly Chlopcze? Nie pomyslales, ze moze w nich sa inni Chlopcy, którzy kaza im oklamywac ciebie? Obiecuja, ze nic nie powiedza, a potem ci Chlopcy kaza im zlamac przyrzeczenie i mówic. I tu masz nauczke, Chlopcze, gdyz nikt cie nie dopusci w poblize swoich dzieci, bedziesz musial zuc własne ciało w czasie głodu i pic własna krew w czasie pragnienia.

Do tego nie dojdzie, odpowiada Chlopiec. Znajde miejsce, gdzie je zabiorę, nigdy nie uwierze, gdy zaczyna obiecywac, ze nie powiedza rodzicom. Zabiorę je tam i nikt sie nigdy nie dowie, gdzie przebywaja, nigdy tez nie wróca - jak zatem poskarza sie rodzicom?

Nic podobnego nie zrobisz, Chlopcze, bo ja ci nie pozwolę.

A Chlopiec nic, tylko sie smial i smial, wiedzac, ze on zrobi to wszystko, ze przygotowuje kryjówkę, potem zbierze ich dla niego i sprowadzi, Chlopiec natomiast bedzie juz wiedzial, co ma z nimi zrobic. Chlopiec nie przestraszy sie niczego. Chlopiec robi wszystko, co zechce, gdyz wie, ze nie opuszcza kryjówki, by powiedziec rodzicom.

Oto dlaczego malcy ze Steuben zaczeli znikac i dlaczego zadnego nie odnaleziono, az do wigilii Bozego Narodzenia 1983 roku.

Rozdzial pierwszy

Galganiarz

Oto jakim samochodem przyjechali z Vigor w Indianie do Steuben w Karolinie Północnej: srebrnoszarym renaultem delu-xe 18i, modelem z roku 1981, majacym na liczniku okolo czterdziestu tysiecy mil, z czego dwadziescia piec tysiecy sami nabili. Na lakierze zaczely pojawiac sie mikroskopijne rdzawe cetki, instalacja przepalila juz z pietnascie bezpieczników, trzy razy musieli wymieniac wal napedowy, gdyz tak go skonstruowano, ze w razie zuzycia lozyska kulkowego trzeba wymienic cały zespól. Nie mógł wspiac sie pod górke przy piecdziesieciu pieciu milach na godzine, lecz przynajmniej dwoje doroslych zaglebialo sie w wygodne skórzane przednie fotele, a z tylu troje dzieci. Step Fletcher prowadzil, odkad późnym popołudniem opuscili dom. Pusty dom. Podczas całej drogi do Indianapolis slyszal echa. W któryms momencie musial wyprzedzic ciezarówkę z meblami, jednak nie zauwazyl jej albo nie rozpoznal, albo kierowca zjechał akurat do McDonalda badz na stacje benzynowa.

Pasazerowie posneli wkrótce po przekroczeniu rzeki Ohio. Rzeka rozczarowala dzieciaki po tym, jak ojciec snul opowiesci o plaskodennych lodziach i walkach z Indianami. Tylko most wywarł na nich duze wrazenie. Potem zapadly w drzemke. DeAnne czuwala nieco dluzej, szybko jednak scisnela jego reke i wtulila glowe w poduszke, która wetknela miedzy oparcie fotela a szybe.

Jak zwykle, pomyslal Step. Nie wykazuje sladu sennosci, dopóki ja jestem rzeski, potem kiedy powieki

zaczynają ciążyc i mogłaby mnie zmienić za kółkiem, zapada w sen.

Na reszcie drogi włożył taśmę do odtwarzacza. Rozległa się słodka, upajająca melodia „The E Street Shuffle”. Przez chwilę nie słuchał. DeAnne musiała ją puszczać, złatwiając ostatnie sprawunki w Vigor. Step włączył ten utwór na ich drugiej randce. Jako rodzaj sprawdzianu. DeAnne była taka poważna w sprawach religijnych, że musiał mieć pewność, iż da sobie radę z jego trochę dzikim gustem muzycznym. Wiele mormońskich dziewcząt oczywiście pominięłyby milczeniem podteksty seksualne piosenek, lecz DeAnne była prawdopodobnie bystrzejsza od Step’a, więc nie tylko zauważyła fragmenty o dziewczynach obiecujących zrzucić niewygodne dzinsy i o prawdziwej orgii wróżek, lecz także wychwyciła kawalki o wskakiwaniu do nocnego ekspresu; zamiast się zmieszać, wybuchła śmiechem, dzięki czemu poznał, że wszystko będzie okej: była religijna, ale nie dewotka, a co za tym idzie, nie musi udawać krystalicznie prawego, żeby z nią być. To się działo dziesięć lat wcześniej, w 1973 roku. Obecnie mieli trójkę dzieci, które siedziały na tylnym siedzeniu renaulta 18i - możliwe, że najgorszego samochodu kiedykolwiek sprzedawanego w Ameryce - i zmierzali do Steuben w Karolinie Północnej, gdzie Step dostał pracę.

Dobra praca. Trzydzieści tysięcy rocznie, co jest nie lada gratką dla świeżo upieczonego doktora filozofii w okresie recesji gospodarczej. Szkoda tylko, że nie mógł uczyć historii, nie mógł pisać historii, jego zadanie miało polegać na opracowywaniu instrukcji obsługi dla firmy produkującej oprogramowanie komputerowe. Nawet nie na programowaniu - nawet do tego nie chcieli go zatrudnić, chociaż w 1981 roku Hacker Snack był najlepiej sprzedawaną grą na Atari. Przez chwilę wyglądało na to, że zrobi karierę przy tworzeniu gier. Mieli tyle pieniędzy, że rozpatrywali możliwość jego powrotu na uczelnię, gdzie mógłby skończyć doktorat. Wtedy nastąpiła recesja i podły Commodore 64 wypierał Atari ze sklepów, i nagle jego gra przestała się sprzedawać, nikt go już nie chciał, chyba że do pisania instrukcji obsługi.

Tak więc Springsteen przygrywał w takt jego przygnebienia, a on prowadził samochód kretymi górskimi drożynami, na zachodzie już słońce się kryło, a szlak skrecał głównie na wschód, w stronę ciemności. Powinienem być szczęśliwy, wmawiał sobie. Mam stopień naukowy, dobra praca, nic też nie stoi na przeszkodzie, że w wolnym czasie stworzę następną grę, nawet gdybym to musiał zrobić na głupim Commodorze. Mogło być gorzej. Mógłbym dostać pracę przy oprogramowaniu dla Apple’a.

Mimo że dodawał sobie otuchy, wciąż czuł w ustach gorycz niepowodzenia. Trzydzieści dwa lata na karku, trójka dzieci, staczam się. Przywykłem do pracy dla siebie, teraz będę musiał przestawić się na pracę dla kogoś innego. Dokładnie jak mój tata w kompanii reklamowej, która upadła. Miał szramę pooperacyjną na plecach, wyjęto mu kręgi. Ja przynajmniej nie mam widocznych ran. Jednego dnia błyszczałem, drugiego odkryłem, że moje honorarium nie wynosi już 40 000 dolarów jak ostatnio, tylko 7000, zaczęliśmy zabiegać o pracę, wpadając po uszy w długie, jestem rozbity do końca życia, jak reszta wielu moich kolegów, i to z własnej winy. Niewolnik hazardu, jak ojciec.

Tak więc nie spała mnie wstyd, że żona musi godzić się na wszawą pracę w godzinach wieczornych, podobnie jak moja mama. Jeśli chce poszukać sobie roboty, to okej, gorzej, gdy musi.

Lecz myśleć o tym, wiedział, że tak właśnie się stanie - nie zdołają sprzedać domu w Vigor i będzie musiała rozejrzeć się za pracą, by płacić za jego utrzymanie. Głupota było kupować dom, szałiliśmy jednak, że to dobra inwestycja. Kiedy się wprowadzaliśmy, nie było recesji, a ja dobrze zarabiałem. Głupcy, wierzyliśmy, że sielanka trwać będzie wiecznie. Nic nie trwa wiecznie.

Wyrzuty sumienia odpędzały sennosc, tak że przez godzinę mógł jeszcze prowadzić. Taśma przewinęła się po raz drugi, kiedy zaczął zjeżdżać stromym zboczem w kierunku Frankfort. Niezłe. Z pewnością w stolicy stanu znajdzie się jakiś motel. Zdołam tam dojechać, DeAnne nie będzie musiała się budzić, nim

dotrzemy na miejsce.

- Tato - powiedział Stevie z tylnego siedzenia.

- Tak? - odpowiedział Step cicho, by nie obudzić pozostałych.

- Betsy wymiotowała - poinformował.

- Troszke czy to cos powaznego?

- Troszke - odparł Stevie.

Nagle przeciągły, głęboki gulgot dobiegł z tyłu.

- Teraz to cos powaznego - rzekł Stevie.

Do licha, do licha, do licha, pomyślał Step.

- Dzieki, ze mi powiedziales, Stevie.

Dźwięk rozległ się znowu, dokładnie w chwili, gdy zjeżdżał z drogi; poczuł gorzki zapach wymiocin. Jedno z dzieci niemal zawsze wymiotowało podczas każdej z dłuższych wycieczek, zwykle jednak dochodziło do tego już w pierwszej godzinie.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - W głosie DeAnne, kiedy się ocknęła, czuło się odciśnięcie paniki. Nie cierpiała nieprzewidywanych zdarzeń, oczekując wtedy najgorszego.

Springsteen właśnie śpiewał o rybiej pani i galganiarzu, Step po raz pierwszy od długiego czasu przypominał sobie, skąd się wzięło pieśzcotliwe przydomko DeAnne - Rybia Dama.

- Hej, Rybia Damo, pociągnij tylko nosem, a sama się przekonasz.

- O, nie! Które tym razem?

- Betsy Wetsy [przyp. tłum.: Ang. Wet - mokry]. - rzucił Stevie z tyłu. Kolejny stary żart. DeAnne na ogół irytowała się, kiedy nadawał dzieciakom lekceważące przydomki. Nie cierpiała zdrobnienia Betsy, jednak z powodu żartu imię się utrwaliło i teraz Betsy sama siebie tak nazywała.

- Bardziej jak Betsy Pukesy [przyp. tłum.: Ang. Puke - zwymiotować]. - stwierdził Step. Stevie wybuchnął śmiechem.

Stevie miał przyjemny śmiech. Step wpadł w dobry humor, zapominając o tym, że będzie musiał ubrudzić się po łokcie w wymiocinach szkraba.

Zaparkował głęboko na poboczu, mógł więc otworzyć drzwi Betsy bez wystawiania tyłka na jezdnię. Mimo to nie podobał mu się świst powietrza przemykających za plecami samochodów. Co za śmierć - rozsmarowany jak naleśnik na tylnych drzwiach samochodu, rodzaj drogowej kanapki. Przez chwilę myślał, co by to znaczyło dla dzieciaków, gdyby zginął na ich oczach. Najmniejsze prawdopodobnie nie pamiętałyby go ani tego, jak zginął. Lecz Stevie by nie zapomniał. Pierwszy raz Step myślał o tym w ten sposób - Stevie był już wystarczająco duży, by wszystko zapamiętać. Zaledwie osiem lat, a życie straciłoby barwy, gdyby pamiętałby to wydarzenie.

Zapamięta, jak zareagował tatus na wymioty Betsy i jak nie wpadł w szal, nie przeklinał. Jak tatus pomógł uprzątnąć balagan, zamiast stać i gapić się bezradnie, podczas gdy wszystkim zajmowała się mama. Taka przysięgę złożył przed małżeństwem, że nie będzie pracy w rodzinie, której on by się brzydził, jeśli DeAnne może bez wstretu ją wykonać. Szedł z nią lew w lew, pieluszka w pieluszkę, kiedy dzieciaki dorastały; małe wymiotowanko nie sprawi mu kłopotu.

Tym razem nie było tak źle. Betsy, blada i wyczerpana, zmusiła się do uśmiechu.

W tym czasie DeAnne wyszła z samochodu, okrzyła go i wyciągnęła dziecięce chusteczki z plastikowego słoika.

- Macie - powiedziała - dajcie mi ja, to zmienię jej ubranie, a wy wyczyszcicie fotele.

Po sekundzie DeAnne trzymała przed sobą ociekająca Betsy, obeszła z nią samochód, na swoim miejscu już wcześniej rozłożyła pieluchę, by chronić tapicerkę.

Robbie, czterolatek, też się już obudził, wyciągał rączki. Siedział pośrodku, tuż obok Betsy, na rekawie widniała paskudna plama.

- Czy to nie miłe ze strony twojej siostrzyczki, że się z tobą podzieliła? - spytał Step. Wytarł rekaw Robbiego.

- Gotowe, Chrabaszczu.

- Śmierdzi.

- To mnie nie dziwi - odpowiedział Step. - Bądź dumny, jak z rany zdobytej w bitwie.

- Czy to był kawał, tato? - spytał Robbie.

- Tylko żart - odparł Step. Robbie chciał się nauczyć opowiadać kawały. Step wyjaśnił mu niedawno, jak się mówi dowcipy, dzięki czemu Robbie nie powtarzał na okrągło tego samego kawału, jednak różne odmiany humoru wciąż go intrygowały i próbował je posegregować. Jeśli doświadczenie ze Steviem było dobrym przykładem, zabierze mu to lata.

- Zmienimy ci koszulkę, kiedy tylko tatus wytrze dziecięcy fotelik Betsy - mówiła DeAnne do Robbiego z przedniego siedzenia.

Stepowi jakos nie szło czyszczenie sprzeczki w pasie bezpieczeństwa córki.

- Pasy bezpieczeństwa będą takie same dopiero wtedy - powiedział - kiedy Betsy zdoła ochlapać pozostałe.

- Posadźmy ją kolejno na każdym miejscu w aucie, a zanim dotrzemy do Karoliny Północnej, obrzyga każdy zakamarek - rzekł Stevie.

- Nie wymiotuje przecież tak często - wtraciła DeAnne.

- To taki kawal, mamó - powiedział.

- Nie, to był żart - wyskoczył Robbie.

A więc zaczynał pojmovac.

Dziecinne chusteczki nie poradziły sobie z tym, co Betsy wyrzuciła z organizmu. Skonczyły się na długo przed tym, nim jej siedzenie doprowadzono do stanu dalszej używalności.

- Gdy pójdzie fama, że po raz czwarty jesteś w ciąży, akcje Johnson and Johnson skoczą na giełdzie o dziesięć punktów.

- Jest jeszcze trochę chusteczek w tej dużej, szarej torbie w bagażniku - powiedziała DeAnne. - Upewnij się, że kupiłeś kilka akcji, nim to ogłosisz.

Step podszedł do bagażnika tego, co ludzie z Renaulta zwali „modelem deluxe”, otworzył klapy i zajrzał do wnętrza. Odsunął zamek torby, lecz nie mógł znaleźć chustek.

- Hej, Rybia Damo, gdzie zapakowałaś te chustki?

- Sa gdzieś w torbie, chyba głęboko - zawołała. - Skoro już tam jesteś, to potrzebuje pieluszki dla Betsy. Zmoczyła się, a jak już ją trzymam rozebrała, może się tym zająć.

Wreczył Steviemu pieluchę, żeby ten podał ją dalej, po czym nagle odnalazł chusteczki. Cofał się własnie o krok, żeby zamknąć bagażnik, kiedy zdał sobie sprawę, że z tyłu, nieco na lewo, ktoś stoi. Mężczyzna w wysokich butach. Gliniarz. W jakiś sposób radiowóz zdolał zahamować za nimi, a on nawet tego nie słyszał.

- Jakies kłopoty? - zapytał policjant.

- Moja dwuletnia córka wymiotowała na tylne siedzenie - wyjaśnił Step.

- Wiecie, że pobocze autostrady jest tylko dla nagłych wypadków? - spytał gliniarz.

Przez chwilę do Step'a nie docierało, co oznacza ta uwaga.

- Twierdzi pan, że dziecko wymiotujące na tylnym siedzeniu to nie nagły wypadek?

Przez moment gliniarz przewiercał go oczyma na wylot. Step znalazł te miny. Mówiła: „Domysł się”, widywał ją często, gdy otrzymywał mandaty za nadmierną szybkość, nim odebrano mu prawo jazdy w 1974 roku i DeAnne musiała wszędzie ich wozic. Step wiedział, że powinien teraz milczec, gdyż każdym następnym słowem mógł jedynie pogorszyć sprawę.

Na ratunek pospieszyła DeAnne. Okrzyła samochód, niosąc przesiaknięte i cuchnące ubranie Betsy.

- Oficerze, sadzę, że gdyby pan przez trzydziści sekund miał to w samochodzie, też by pan zjechał z drogi.

Gliniarz spojrział na nią zaskoczony. Wyszczerył się.

- Myśle, że trafiła pani w sedno. Tylko się pospieszcie. W tym miejscu niebezpiecznie jest się

zatrzymywac. Ludzie czasem zjeżdżają z dużą prędkością i biorą zakręt szerokim łukiem.

- Dzięki za troskę, oficerze - rzekł Step. Policjant zmrużył oczy.

- Taka moja robota - odparł nieco obruszony, po czym odmaszerował do auta.

Step zwrócił się do DeAnne:

- O czym to ja mówiłem?

- Wyciągnij, proszę, tę czerwoną torbę - powiedziała. - Jeśli będę to dłużej wahała, zemdleję.

Dal jej reklamówkę, do której upchała wszystkie brudy.

- Wszystko, co mi powiedziałem, to „Dzięki za troskę”, a on zachowywał się, jakbym mu obwiesił, że jego matka nigdy nie wyszła za mąż.

Pochyliła się do niego i rzekła ciepło:

- Step, kiedy mówisz: „Dziękuję ci za troskę”, brzmi to, jakbys tylko przez przypadek opuścił słowo „palancie”.

- Nie chciałem być uszczypliwy - bronił się Step. - Każdy zawsze myśli, że jestem uszczypliwy, a wcale tak nie jest.

- Nie mogę tego potwierdzić - powiedziała DeAnne. - Nie byłam przy tym, gdy nie byłeś uszczypliwy.

- Zdaje ci się, że pozjadłaś wszystkie rozumy, Rybia Damo?

- O wiele więcej niż ty, Galganiarzu.

Pocałował ją.

- Daj mi minutę, a uporam się z posadzeniem lalki Betsy Wetsy z powrotem na miejsce.

Słyszał, jak mruczy, podchodząc do drzwi:

- Ma na imię Elisabeth.

Step wyszczerzył zęby i powrócił do wycierania siedzenia Betsy.

- Nie słyszałem, kiedy gliniarz podjeżdżał - rzekł Stevie.

- Gliniarz? - zapytał Robbie.

- Wracaj do spania, Chrabaszczu - upomniał go Step.

- Dostaliśmy mandat, tato? - zapytał Robbie.

- Chciał się jedynie upewnić, czy wszystko w porządku.

- Chcial, zebysmy usuneli stad nasze tylki - rzekl Stevie.

- Step! - nie wytrzymała DeAnne.

- To Stevie to powiedzial, nie ja - bronil sie Step.

- Nie mówilby w ten sposób, gdybys go nie nauczyl.

- Czy ciagle tu jest? - zapytal Step.

Stevie wyciagnal szyje, by spojrzec ponad sterta rupieci.

- No - potwierdzil.

- I ja go nie slyszalem - powiedzial Step. - Po prostu sie odwróciłem i byl.

- A jesliby to nie byl policjant? Gdybys sie odwrócił, a tam stalby bandyta? - zadal pytanie Stevie.

- Te chorobliwa wyobraznie ma po tobie - stwierdzila autorytatywnie DeAnne.

- Nikt nam nic nie zrobi na otwartym terenie przy autostradzie, gdzie kazdy przejezdzejacy mógłby zauwazyc.

- Jest ciemno - upieral sie Stevie. - Samochody jada tak szybko.

- No dobra, nic sie nie stalo - rzekla DeAnne ostroznie. - Nie lubie rozmawiac o takich rzeczach.

- Gdyby to byl bandyta, tata by walnal go w nos! - stwierdzil Robbie.

- Tak, dokladnie - odparl Step.

- Tata nie dopusci, by spotkalo nas cos zlego - dorzucil Robbie.

- To prawda - powiedziala DeAnne. - Tak samo jak mama.

- Siedzenie jest juz czyste - obwiescil Step - ale pas w tym zyciu nie bedzie juz czystszy.

- Pomoge jej.

- Spinaczka! - krzyknela wesolo Betsy i zanim DeAnne zdazyla ja zlapac, mala przecisnela sie luka pomiedzy siedzeniami. Zapiela pas bezpieczenstwa, spojrzala do góry na Stepa i usmiechnela sie.

- Dobra robota, moja mala lalczko. - Nachylil sie, by pocalowac jaw czolo; zasiadl za kierownica i zamknal za soba drzwi. Gliniarz wciaz nie odjezdzal, co przyprawialo go o obled, tak ze sprawdzal kilka razy, czy wszystko jest w porzadku. Dal sygnal. Jadac nie przekraczal dozwolonej predkosci. Ostatnia rzecz, jakiej pragneli, to sprawa w sadzie w jakiejms dziurze w Kentucky.

- Ile zostalo do Frankfortu? - spytala DeAnne.

- Moze pół mili, a moze mniej - odpowiedzial Step.

- Rany, musiałam długo spac.

- Z godzinie.

- Jesteś bohaterem, że prowadzisz przez całą drogę - powiedziała.

- Później wręczysz mi medal - rzekł.

- Z pewnością.

Z powrotem nastawił głośniej stereo. Każdy zdawał się pogrążony we śnie, było tak spokojnie. Wtedy przemówił Stevie:

- Tato, gdyby to był bandyta, dawałbyś mi?

Co miał odpowiedzieć, rozkaz, mój chłopcze, wałnalbym go tak, że do końca życia nosiłby nos po drugiej stronie głowy? Czy było to konieczne, by Stevie poczuł się bezpiecznie? Dumny z ojca? Czy też powinien powiedzieć prawdę, że nigdy nie uderzył nikogo w gniewie, że nigdy na nikogo nie podniósł reki?

Nie, mój synu, moje podejście do bójków zawsze było jednakowe: obrócić sprawę w żart i odejść, a kiedy nie chcieli mnie puścić, brać nogi za pas.

- To zależy - rzekł Step.

- Od czego?

- Od tego, czy to wałnięcie pogorszyłoby, czy poprawiło sytuację.

- Aha.

- To znaczy, że jeśli jest ode mnie wyższy o stope, waży trzysta funtów i dzierży kawał zelastwa, bicie się z nim to nie najlepszy pomysł. Sadzę, że w podobnej sytuacji byłbym skłonny oddać mu portfel, żeby sobie poszedł.

- A gdyby chciał nas wszystkich zamordować?

DeAnne odpowiedziała bez podnoszenia głowy znad poduszki.

- Wówczas wasz tata zabiłby go, a jeśli nie on, to ja bym to zrobiła - rzekła beznamiętnie.

- A co będzie, jeśli zabije was pierwszy? - zapytał Stevie. - A później przyjdzie, żeby zabić Robbiego i Betsy?

- Stevie - powiedziała DeAnne - Ojciec Niebieski nie pozwoli, żeby coś takiego wam się przydarzyło.

To było więcej, niż Step mógł zniesć.

- Bóg tak nie działa - powiedział. - Nie powstrzymuje przestępców od popełniania zbrodni.

- Pyta nas, czy jest bezpieczny - zauważyła DeAnne.

- Tak, Stevie, jesteś bezpieczny, jak każdy mieszkający na ziemi. Lecz zapytales o to, co się stanie, kiedy ktoś okrutny zechce wyrządzić naszej rodzinie jakąś paskudną krzywdę, a prawda jest taka, że kiedy ktoś jest prawdziwie, głęboko przesiąknięty złem, wtedy czasem dobro może go nie powstrzymać przed dokonaniem mnóstwa złych czynów. Bywa, że tak też się dzieje.

- Okej - rzekł Stevie. - Lecz Bóg go dorwie za to, no nie?

- Ostatecznie na pewno - odparł Step. - Coś ci powiem, ktoś mógłby wyrządzić przykrość tobie albo innym dzieciom tylko wtedy, gdybym umarł. To ci obiecuje.

- Okej - rzekł Stevie.

- Tylko czemu pytasz o takie rzeczy?

- Bo on miał pistolet.

- Oczywiście, że miał pistolet, kochanie - powiedziała DeAnne. - To przecież policjant. Nosi broń, by chronić nas przed złymi ludźmi.

- Szkoda, że ten policjant nie może być cały czas przy nas - zmartwił się Stevie.

- No tak, byłoby fajnie, nie? - odezwał się Step. Tak fajnie, jak mieć hemoroidy. Musiałbym całą trasę jechać poniżej pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Stevie najwidoczniej wyczerpał zasób pytań.

Chwile potem Step poczuł na udzie dłoń DeAnne. Zerknął na nią.

- Przepraszam - szepnął. - Nie miałem zamiaru przeczytać twoim słowom.

- Miałaś rację - rzekła łagodnie.

Uśmiechnął się do niej i przez chwilę trzymał jej dłoń, dopóki nie potrzebował dwóch rąk, by skreślić kierownicę.

Pomimo to przez resztę drogi do Frankfurtu nie potrafił zapomnieć o pytaniach Steviego. Ani o udzielonych odpowiedziach. Powstrzymał DeAnne od przekonywania malego, że Bóg zawsze go obroni przed złymi facetami, potem zaczął mówić, że prędzej zginie, niż jakkolwiek krzywda spotka dzieciaki. Czy była to jednak prawda? Czy dysponował tym rodzajem odwagi? Pomyślał o rodzicach w obozach koncentracyjnych, oglądających śmierć własnych dzieci, nie mogących nic na to poradzić. A gdyby nawet spróbował, czego mógłby dokonać w konfrontacji z kims, dla kogo przemoc to chleb powszedni? Step nie był wprawiony w bójkach, nie był też przekonany, by ta wprawa przychodziła sama. Pierwszy lepszy rzeźmieszek skończyłby z nim bez trudu, a miał tu dzieciaki szukające u niego ochrony. Powinienem zapisać się na karate lub coś takiego. Kung fu. Albo kupić pistolet, tak by Stevie w wieku czternastu lat zauważył, gdzie jest schowany, potem wyszedł się nim pobawić, zabijając przy okazji siebie bądź Robbiego, bądź któregośkolwiek z kolegów.

Nie, postanowił Step. Nic z tych rzeczy. Nie zrobię nic podobnego, gdyż jestem cywilizowanym człowiekiem, żyjącym w cywilizowanym społeczeństwie, ale jeśli barbarzyńcy zastukają w me drzwi, będę zgubiony.

Zjechali do Frankfortu, gdzie natrafili na Holiday Inn z wywieszka „Wolne miejsca”. Step uważał to za dobry omen. Oficjalnie nie wierzył w omeny. Lecz do licha z tym, w ten sposób czuł się lepiej.

Rozdział drugi

Larwy

Oto dom, do którego się przeprowadzili: tani, drewniany, otoczony budynkami z czerwonej cegły. Zadnego podpiwniczenia, garażu, ba, nawet daszku na samochód. Brazowe płytki okalające podstawę domu przypominały karawaning. Blekitny dywan w salonie, który nie zgra się za bardzo z ich meblami, staroswiecka, kryta zielonym pluszem sofa i nazbyt wypchanym krzesłem, które Step nabył w Deseret Industries, kiedy uczeszczał do college’u przy BYU. Znaleźli tu jednak cztery sypialnie, co oznaczało jedną dla Stepa i DeAnne, jedną dla chłopców, jedną dla Betsy i dziecka, które w lipcu przyjdzie na świat, a jedna na gabinet Stepa, ponieważ wciąż mieli nadzieję, że uda mu się w wolnym czasie popracować nad jakimś oprogramowaniem, wówczas wróciliby do standardu życia, jaki im odpowiadał, wynajeliby też lepsze mieszkanie.

Tymczasem ustawiono w salonie stos skrzyń na wysokość sześciu stóp, zawierały o wiele więcej sprzętów, niż pozwalała na to kubatura pomieszczenia. Pozostał im jeden jedyny weekend, nim Step zacznie pracować, a Stevie pójdzie do szkoły. Poniedziałek - koniec laby, początek harówki. Nikt nie wyglądał tego dnia z niecierpliwością, najbardziej zasepiony był Stevie.

DeAnne była świadoma obaw Stewiego związanych z przeprowadzką i rozpakowywaniem rzeczy. Chłopiec opiekował się przeważnie Robbiem i Elizabeth, z wyjątkiem chwil, kiedy Step lub DeAnne kazali mu biec z jednego końca domu na drugi z jakimś posłannictwem: Jak zwykle Stevie był spokojny i chętny do pomocy - bardzo poważnie traktował odpowiedzialność spoczywającą na najstarszym dziecku.

A może tylko sprawiał wrażenie poważnego, ponieważ zachowywał uczucia dla siebie, nim je posortuje albo osiągnie taki rozmiar, że trudno będzie je opanować. Tak więc DeAnne wiedziała, że coś go dreczy, kiedy wszedł do kuchni i nie mówił ani słowa, stał spokojnie dłużej, póki nie spytała:

- Chcesz mi coś powiedzieć, czy też jestem za ładna na słowa? - Zawsze tak właśnie pytała, tylko że on nie uśmiechnął się, stał jeszcze przez kilka chwil, po czym się odezwał:

- Mamo, nie mógłbym zostać w domu jeszcze przez dwa dni?

- Stevie, wiem, że się boisz, musisz jednak śmiało wskoczyć do wody. Migiem zdobędziesz przyjaciół i wszystko będzie dobrze.

- Nie zdobyłem przyjaciół migiem w mojej starej szkole.

Było to aż nazbyt prawdziwe - DeAnne pamiętała konsultacje z wychowawcą w przedszkolu. Tak naprawdę Stevie nie bawił się z nikim do listopada tego roku, nie miał też prawdziwych przyjaciół aż do pierwszej klasy. Gdyby nie jego koledzy z kościoła, DeAnne obawiałaby się, że nie dorósł jeszcze do kontaktów towarzyskich w szkole. Jednak z dziećmi z parafii czasami nawet szalał, biegając po domu, w którym odbywało się spotkanie, niczym Indianin z westernu, póki Step nie interweniował i nie zabierał go do samochodu. Nie, Stevie wiedział, co znaczy zabawa, wiedział, jak zdobywać przyjaciół. Po prostu nie przychodziło mu to łatwo. Nie przypominał w tym Robbiego, który chętnie pogadałby z każdą napotkaną osobą, dzieckiem albo dorosłym. Z pewnością Stevie martwił się o szkołę. DeAnne z kolei martwiła się o niego.

- Ale to była twoja pierwsza szkoła w ogóle - powiedziała. - Masz już wprawę.

- Kiedy Barry Wimmer wprowadził się po Świecie Dziekczynienia - rzekł - wszyscy mu dokuczali.

- Razem z tobą?

- Nie.

- Zatem nie wszyscy.

- Wymiewali się z każdego jego kroku - rzekł Stevie.

- Dzieci czasem takie są.

- Teraz beda takie dla mnie - powiedział Stevie z minorowa miną.

To było okrutne. Zamierzała powiedzieć: „Tak, masz rację, będzie z nich banda małych drani, gdyż takie są dzieci w tym wieku, z wyjątkiem ciebie, gdyż urodziłeś się, nie wiedząc, jak można kogoś skrzywdzić, urodziłeś się ze współczuciem, co oznacza, że gdy ludzie zwróca się przeciwko tobie, odczujesz to głęboko. Nie zrozumiesz, że należy podejść do tych łobuzów i zasmiać im się w twarz, żeby zyskać szacunek. Zamiast tego będziesz próbował wykombinować, co takiego zrobiłeś, że ustawicznie cie gnębia”.

Przez moment wahała się, czy przekazać mu swe myśli dokładnie w takich słowach. Niewiele by mu jednak pomogło, gdyby potwierdziła jego najgorsze obawy. Nie mógłby zasnąć.

- A jeśli beda dla ciebie niemili, Stevie? Co wtedy zrobisz?

Jakis czas rozmyślał.

- Barry płakał - wydusił z siebie w końcu.

- Czy to mu pomogło?

- Nie - odparł Stevie. - Jeszcze więcej się z niego nasmiewali. Ricky chodził za nim od tego czasu, powtarzając „Buu huu huu”. Wciąż tak robił, nawet kiedy odchodziłem.

- Ach, tak - powiedziała DeAnne, częściowo, by osmielić go do dalszych zwierzeń, częściowo zaś dlatego, że niezbyt wiedziała, jak ma zareagować.

- Chyba nie bede plakal - doszedl do wniosku Stevie.

- Ciesz sie - rzekla DeAnne.

- Po prostu kaze im odejsc.

- To moze nic nie dac, Stevie. Im bardziej bedziesz sie staral odegnac ich od siebie, tym gorliwiej beda sie do ciebie kleic.

- Ja nie mam zamiaru odegnac „ich” od siebie. Ja chce odegnac ich od „siebie”.

- Zechcesz mi podac ten rulon papierowych reczników?

Podal.

- Nie jestem pewna, czy dostrzegam wyrazna różnice pomiedzy odegnaniem „ich” od siebie a odegnaniem ich od „siebie”.

- No wiesz. Tak jak tata, kiedy programuje. Odgania wszystko od siebie.

Tak wiec zrozumial ten sposób ojca i sadzil, ze sam go wykorzysta.

- Po prostu skoncentrujesz sie na nauce?

- Na byle czym - rzekl Stevie. - Ciezko jest skoncentrowac sie na nauce, bo jest taka nudna.

- Moze w tej szkole nie bedzie nudna.

- Moze.

- Zaluje, ze nie moze ci obiecac, ze wszystko pójdzie jak po masle, sadze jednak, ze nie potraktuja cie tak jak Barry'ego. - DeAnne cofnela sie myslami do kilku razy, kiedy widziala tego chlopca, gdy przynosila do szkoły upominki badz zapomniane sniadanie. - Barry nalezy do takich dzieci, które... Jak to wyrazic? To chodzaca ofiara.

- Czy i ja jestem ofiara? - zapytal Stevie.

- Alez skad - odpowiedziala DeAnne. - Jesteś za silny.

- No nie wiem - rzekl powatpiewajaco, patrzac na dlonie.

- Nie mam na mysli twojego ciala, Stevie. Chodzi o to, ze twój duch jest zbyt silny. Wiesz, co robisz. Wiesz, o co ci chodzi. Nie szukasz u tych dzieci odpowiedzi na pytanie, kim jestes. Ty to wiesz.

- No chyba.

- No dalej, kim jestes? - To byla stara gra, wciaz mu sie jednak podobala, nawet kiedy jej oryginalny cel - przygotowanie go na wypadek zgubienia sie - juz dawno zostal osiagnie ty.

- Stephen Bolivar Fletcher.

- A cóż to za chłopak?

- Pierworodny i pierwszy chłopiec Galganiarza i Rybiej Damy.

Ze wszystkich możliwych odpowiedzi, te uwielbiała najbardziej. Częściowo dlatego, że pierwszy raz, kiedy tak powiedział, uśmiechał się chytrze, jakby wiedział, że wkracza na terytorium dorosłych, że piśszczotliwe przezwiska rodziców są starsze od niego i w pewnym sensie spowodowały, że się narodził. Jakby miał podświadome przeczucie, że te imiona, wypowiedziane choćby w żartach, mają seksualny podtekst, którego nie mógł zrozumieć, niemniej jednak wiedział, że istnieje.

- I nie zapominaj o tym - powiedziała pogodnie.

- Nie zapomne - obiecał. - Mamo? - dodał.

- Tak?

- Proszę, mogę zostać w domu jeszcze kilka dni?

Westchnęła.

- Naprawdę nie wiem, Stevie. Pogadam jednak z tatą.

- On powie to samo.

- Możliwe. My, rodzice, już tacy jesteśmy.

Najgorsza chwila przyszła przy śniadaniu w poniedziałek. Dzieciaki palaszowały gorącą owsiankę, podczas gdy tata pochłaniał płatki ryżowe, czytając równocześnie gazetę.

- Ta gazeta jest niemal tak marna jak tamta w Vigor - stwierdził.

- Nie licz na „Washington Post”, chyba że zamieszkaż w Waszyngtonie - powiedziała DeAnne.

- Nie chce „Washington Post”. Wystarczy mi „Salt Lake Tribune”. Salt Lake to przecież miasto z dwoma gazetami, a tu Steuben nie potrafi zadbać o gazetę z wiadomościami ze świata na pierwszej stronie.

- Czy jest tu Cathy? Czy jest panna Manners? Czy jest tu Ann Landers?

- Okej, jest tu wszystko, czego nam potrzeba do szczęścia.

Na zewnątrz rozległ się klakson.

- Sa wcześnie - zdziwił się Step. - Myślisz, że zdąże umyć zęby?

- A ty myślisz, że wytrzymasz dzień, jeśli nie umyjesz?

Zerwał się od stołu.

- Kto jest wczesnie? - zapytał Stevie.

- Kierowca twojego taty. Przez jakiś tydzień jeden kolega taty z pracy będzie go zabierał rano i przywoził wieczorem, bismy mieli samochód do załatwiania pilnych sprawunków.

Stevie wyglądał na przerażonego.

- Mamo - zapytał - a co ze szkoła?

- W tym sek. Od następnego dnia będziesz jeździł autobusem, skoro jednak dzisiaj mam wolny samochód, podrzuce cie do szkoły.

- Czy tata nie podrzuci mnie pierwszego dnia?

Zbyt późno przypomniała sobie, że gdy Stevie zaczął przedszkole, wciąż odpoczywała po narodzinach Betsy i to właśnie Step zabrał syna pierwszego dnia do szkoły.

- Czy to jakas różnica, które z nas weźmie cie do szkoły?

Oznaki strachu w jego oczach były dobitniejsza odpowiedzia niż wyszeptane „nie”.

Step wszedł z powrotem do kuchni, taszcząc neseser - swój areszcik, jak go nazywał.

- Step - powiedziała DeAnne. - Sadze, że Stevie oczekuje, że weźmiesz go dzisiaj do szkoły.

- A niech to. Na śmierć zapomniałem. - Na twarzy odbił mu się skrywany gniew, który DeAnne znalazła nazbyt dobrze. - Czy to nie wspaniale, że dostałem te prace i nie mogę nawet zabrać dziecka do szkoły w pierwszy dzień?

- To też twój pierwszy dzień.

Przykleknął przed krzesłem Stewiego. Stevie patrzył smutno w talerz.

- Stevie, powinienem był zaplanować to lepiej. Tak się jednak nie stało i mam teraz na karku tego faceta, czekającego na zewnątrz, i...

Rozległ się dzwonek u drzwi.

- Urwanie głowy - powiedział Step.

- Musisz już iść - ponagliła DeAnne. - Ze Steviem będzie wszystko w porządku, zobaczysz. Prawda, Stevie?

- Prawda - cicho odrzekł Stevie.

Step pocałował synka w policzek, wtedy Betsy krzyknęła: „I mnie, i mnie”, pocałował zatem pozostałe dzieciaki, chwycił neseser i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

DeAnne starała się pocieszyć Stewiego.

- Przykro mi, lecz w ten sposób tatus zarabia pieniądze na nasze utrzymanie, naprawdę nie może...

- Wiem, mamó - odparł Stevie.

- Pojedziemy do szkoły, gdzie spotkasz się z panią dyrektorką i...

Nagle w kuchni zjawił się Step.

- Wytłumaczyłem mu, że mamy kryzys i że jutro znajdzie mnie czekającego przy krawężniku, dzisiaj się jednak spóźnię. Muszę odwiedzić syna w pierwszy dzień drugiej klasy.

DeAnne była na polu zachwycona, na polu przerażona. Zdawała sobie doskonale sprawę, że Step na swój sposób boi się wrócić do dziewięciogodzinnego dnia pracy, tak jak Stevie obawia się pierwszego dnia w nowej szkole.

- To nimi naprawdę wstrząśnie, Galganiarzu - zauważyła, uśmiechając się ponuro. - Zlekceważenie oferty podwiezienia i późne przybycie do pracy, zaraz pierwszego dnia.

- Niech przywykna do tej kolejności: na pierwszym miejscu jestem ojcem, a dopiero na ósmym twórca instrukcji komputerowych.

- A co jest między pierwszym i ósmym? - zapytał Stevie, wyraźnie uradowany.

- Cała reszta - odpowiedział Step.

- Może lepiej zadzwonię - zaproponowała DeAnne.

Step podszedł do telefonu i od razu poznała, że nie wszystko układa się tak gładko, jak to zakładał.

- Niedobrze - obwiesił na koniec. - Mają zebranie personelu o ósmej trzydziestej, na którym zaplanowali wprowadzić mnie we wszystkie szczegóły, każdy rozplanował dzisiejsze zajęcia z uwzględnieniem mojego przybycia o czasie.

- Lecz teraz nici z podwiezienia - DeAnne słusznie zauważyła, starając się, by nie zabrzmiało to złośliwie.

Step po raz drugi ukleknął przy krześle Steviego.

- Nic na to nie poradzę, Kluczniku.

- Wiem - odparł Stevie.

- Próbowałem - tłumaczył Step. - Lecz naszej rodzinie potrzebna jest ta praca, tym bardziej że przejechalismy taki szmat drogi do Karoliny Północnej.

Stevie skinął głową, próbując wygładzić na dziełnego chłopaka.

- Wykonuje dla rodziny swoją robotę, ty wykonuj swoją.

- Jaka jest moja? - zapytał Stevie. W oczach błysnęły iskiereczki nadziei.

- Zebranie się do kupy i pójście do szkoły - wyjaśnił Step.

Najwidoczniej Stevie miał nadzieję na jakiś inny przydział.

Przelknął tylko ślinę i kiwnął powtórnie głową. Nagle o czymś pomyślał.

- Jak się tam dostaniesz, kiedy nie masz samochodu?

- Pofrunie - podrzucił pomysł Robbie.

- Nie - powiedziała DeAnne. - To wasza mama jest czarownica, która lata na miotle.

- Sądze, że władujemy się wszyscy razem do auta, a wy podrzucicie mnie do pracy w drodze do szkoły.

- A nie mógłbys podrzucić mnie do szkoły w drodze do pracy? - poprosił Stevie.

- Przykro mi, Kluczniku - odparł Step. - Musiałbym się wracać. Geografia jest temu przeciwna. Tak samo jak zegar. Cała przestrzeń i czas są temu przeciwny. Einstein jest temu przeciwny.

Kiedy dojechali do Eight Bits Inc., Step odchylił się do tyłu i ucałował Steviego na pożegnanie, a choć chłopiec był w wieku, w którym pocałunki rodziców nie są specjalnie mile widziane, tym razem nie wybrzydzał. W czasie gdy Step obdarzał Robbiego i Elizabeth tradycyjnym hałasliwym cmoknięciem, DeAnne zerknęła na jednopiętrowy budynek z czerwonej cegły, w którym Step miał teraz spędzać mnóstwo czasu.

Była to jedna z tych obrzydliwych, płaskodachych konstrukcji, które wznoszone są przez firmy niezbyt zasobne w fundusze, a potrzebujące dachu i ścian. Prawde mówiąc, był to dobry znak, sugerujący, że właściciel nie należy do szefów opanowanych przez iluzję własnej wielkości, wydających pieniądze przedsiębiorstwa za pierwszy hit programowy na niepotrzebne błyskotki, znaczące niewiele w czasie bessy na rynku. Gdybyśmy tylko byli tacy rozważni, pomyślała DeAnne, kiedy zaczęły napływać pieniądze za Hacker Snacka. A tak roztrwonili je praktycznie na nic. Doktor filozofii to było coś. Również pomaganie rodzinie. Także prototyp odtwarzacza VCR, do którego w Steuben w Karolinie Północnej nie mogli wypożyczyć pasujących kaset.

- Pa, Rybia Damo - pożegnał się Step.

- Powodzenia, Galganiarzu - odpowiedziała DeAnne.

Obserwowała, jak odchodzi w stronę budynku. Kroczył śmiało, niemal beztrąsko. Zawsze lubiła patrzeć na niego. Emanował naturalną pewnością siebie, niczym akwizytor wycwiczony w wyczynowym chodzie. Tym razem jednak wiedziała, że jego rezon jest kłamstwem. Już samo wejście do tego budynku oznaczało upadek Step'a, na przekór faktowi, że szefowie Eight Bits Inc. byli uradowani, iż sam Step Fletcher ubiega się o pracę u nich. Sam ten fakt, że byli pod wrażeniem, przekonywał Fletchera, jak nisko się stoczył: pracował teraz w tego rodzaju firmie, w której nikt by nie pomyślał, że zdobędzie pracownika o kwalifikacjach zbliżonych do jego.

- Czy się spóźnie, mamó? - zapytał Stevie.

Step zniknął już w czeluści budynku, nie było powodu, by dłużej zwlekać. DeAnne wrzuciła bieg i zjechała z pobocza na Palladium Road.

- I tak byś się spóźnił, choćby nie wiem co - powiedziała. - Musimy odwiedzić gabinet dyrektorki i wpisać cię na listę.

- A więc wejdź do klasy na oczach wszystkich.

- Może się zdarzyć, że drzwi będą z tyłu klasy - powiedziała DeAnne. - Wtedy będziesz za wszystkimi.

- Ja nie żartuję, mamo.

- Masz pietra, to zrozumiałe - pocieszyła go. - Lecz dyrektorka jest naprawdę miła i z pewnością wybrała ci cudownego nauczyciela.

- A nie mógłbym zobaczyć dziś tylko pani dyrektor, a jutro przyjść do szkoły na normalną godzinę?

- Stevie, inne dzieci i tak zauważa, że jesteś nowy. A jeśli pokazesz się dopiero jutro, skąd będziesz wiedział, gdzie siedzieć? Staniesz i poczujesz się idiotycznie. Jak przyjdiesz dzisiaj, od razu przydziela ci miejsce, a wszyscy wytłumaczą ci rzeczy, o których powinienś wiedzieć.

- Mimo to...

- Stevie, prawo wymaga, żebyś znalazł się w szkole.

- Rany - wtracił Robbie. - Pójdiesz do więzienia, jeśli pozwolisz Steviemu zostać w domu?

- Niezupełnie. Lecz w naszej rodzinie przestrzegamy prawa.

- Tata nie przestrzega - upierał się Robbie. - Zawsze prowadzi za szybko.

- Wasz ojciec uważa, że wszystkie znaki oznaczają „plus minus dziesięć mil na godzinę”.

- Zamknał tatę w więzieniu? - Robbie był ciekawy.

- Nie, ale mogą mu zabrać prawo jazdy.

- Już to prawie kiedyś zrobili, no nie? - odezwał się Stevie.

- Ojciec miał raz rok zawieszenia - powiedziała DeAnne - lecz to się zdarzyło, nim najstarsze z was się urodziło. W rzeczywistości jest doskonałym kierowcą, zawsze prowadzi bezpiecznie. - Nie po raz pierwszy DeAnne zastanawiała się, czy Step nie zmieniłby swych przyzwyczajęń dotyczących prowadzenia samochodu, gdyby usłyszał, że dzieci dostrzegają jego brawurę. Ciężko jest uczyć dzieci, co dobre, a co złe, jeśli ojciec nie przestrzega przepisów i często przekracza dozwoloną prędkość... Wyobrażała sobie, jak będzie tłumaczyć dzieciom zawikłane sprawy, kiedy podrosną i zaczną umawiać się na randki. Zrozum, masz być cnotliwie, a to znaczy, że możesz robić, co tylko zechcesz, jeśli tylko dziewczyna nie zajdzie w ciążę. Lecz Step nie potrafił - lub nie chciał - zrozumieć podobieństwa między przepisami prawa drogowego a przykazaniami. „Prawa ludzkie i prawa boże to dwie osobne sprawy - zawsze mawiał Step. - A nasze dzieciaki są wystarczająco bystre, by same dostrzegły różnice”.

No to pięknie. Zatem małżeństwo oznacza pogodzenie się z faktem, że słaboci żona przejeżdża na dzieci. Wiedziała, jak bardzo denerwuje Step, że dzieci tak jak i ona rzucają buty gdzie popadnie. Step wchodził do pokoju i albo następował na czyjś obuwie i potykał się o nie, albo - gdy je zauważył na czas - kopał do przedpokoju lub wkładał pod poduszkę przestępcy. „Różnica między człowiekiem

cywilizowanym a barbarzyńca - zwykły mawiać - polega na tym, że cywilizowani ludzie noszą buty". Step musiał mieszkać z bosonogimi barbarzyńcami, a DeAnne odpowiadać na pytania, dlaczego tata wciąż łamie prawo. Nie za dobrą wymianę - nie dostrzegała żadnych moralnych implikacji wynikających z chodzenia boso. Jednak żyła z tym, marudząc co chwila, zresztą tak jak on.

Aby dostać się do szkoły podstawowej Western Allemania, trzeba minąć szkołę ogólnokształcącą, także zwaną Western Allemania. Na obszernej parkingowej zebrały się żółte autobusy, czekające na zakończenie dnia nauki. W posyłaniu dziecka do szkoły najbardziej nie cierpiała tego, że tym samym autobusem podróżowali do szkoły uczniowie podstawówki i średniacy, prócz tego kierowcami byli uczniowie szkoły średniej. Pomysleć tylko o siedemnastolatku, ponosząc odpowiedzialność zarówno za utrzymanie dzieciaków w autobusie przy życiu, jak i za dyscyplinę, no cóż - co mogła na to poradzić? Dyrektorka spojrzała na nią zdziwiona i powiedziała: „Pani Fletcher, taki już mamy zwyczaj w Karolinie Północnej”.

Zjechała ze wzgórza na podjazd przed szkołą. Przed zajęciami i po nich szkolny podjazd był zarezerwowany dla autobusów: rodzice odbierający swe pociechy musieli podjeżdżać zupełnie inną drogą na niewielki parking na wzgórzu, oddalony od szkoły mniej więcej o dwieście jardów, i tam poczekać na dzieci. Wskazała pagórek Steviemu, kiedy wyciągała Elizabeth z siedzenia.

- Kiedy będę cię odbierać, idź zawsze tamtymi schodami na wzgórze. Tam będę czekała.

- Okej - rzekł Stevie.

- A gdyby coś się stało, na przykład nawalił samochód i gdyby mnie tam nie było, zejdiesz z powrotem do szkoły i przy gabinecie dyrektora poczekaasz, aż przyjdzie.

- Dlaczego nie mogę po prostu poczekać na górze?

- Ponieważ świat nie jest bezpieczny - wyjaśniła DeAnne. - Co by się stało, gdyby ktoś podszedł do ciebie i powiedział: „Twoja mama prosiła mnie, bym cię podwiózł do domu”?

- Nie pojechałbym z nim.

- To tylko jeden z przykładów, Stevie.

- Natychmiast ucieknie od tej osoby w stronę najbliższego przedstawiciela władzy.

- W szkole jest nim dr Mariner. A poza szkołą?

- Jeśli ta osoba będzie mnie ścigała, nie będę się chował, pobiegnę na otwarty teren, gdzie jest najwięcej ludzi, a gdy się zbliży, krzyknę na cały głos: „On nie jest moim tatusiem!” albo „Ona nie jest moja mamusia! Na pomoc!”

- Świetnie.

- I ja tak umiem - wrzasnął Robbie.

- Umiesz, umiesz - krzyczała Betsy.

- Przykro mi, że muszę uczyć was takich rzeczy - powiedziała DeAnne - lecz na świecie są zli ludzie. Nie jest ich wielu, lecz należy uważać. A co by było, gdybym naprawdę wysłała kogoś po was,

ponieważ zdarzyłby się wypadek i musiałabym wziąć kogoś do szpitala lub coś podobnego?

- Hasło - odpowiedział Stevie.

- Jak ono brzmi?

- Larwy.

- Male, wilgotne dziżysie muszek - krzyknął Robbie. Oczywiście Step wymyślił to hasło.

- Cisza, Chrabaszczu, to poważne sprawy - napomniała DeAnne. - A czy pytasz ich o to hasło?

- Nie. Nie mówie nawet, że jest jakieś hasło. Z nikim nigdzie nie idę, dopóki nie powie „Twoi rodzice kazali mi przekazać: Larwy”.

- Prawidłowo - pochwaliła DeAnne.

- Jeśli tego nie mówią, to są kłamcami i odmawiam pójscia, i krzycze, krzycze, jeśli się naprzykrzają.

- Prawidłowo - powtórzyła DeAnne.

- Mamo? - zapytał Stevie.

- No?

- Co będzie, kiedy nikt nie usłyszy mojego krzyku?

- Nigdy nie powinienem przebywać w miejscu, gdzie nikt nie usłyszy twego wołania o pomoc, Stevie. Ale proszę, nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Jeśli zrobisz wszystko, co do ciebie należy, ja też zrobię wszystko, co należy do mnie, tak więc nie będzie żadnych kłopotów. W porządku?

- Mamo, boję się tam wejść.

Wspaniale, pomyślała DeAnne. Właśnie przebrnęłam przez katechizm prawideł o porywaczach, a dzień zapowiada się przepelniony terrorem.

- Daj spokój, Stevie. Dr Mariner jest cudowna, uprzejma pania, polubisz ją z pewnością.

Dr Mariner miała zdolność uspokajania dzieciaków, już w ciągu kilku chwil Stevie uśmiechał się do niej, później śmiał się na całego, gdy opowiedziała kawał. Strach jednak powrócił. Po krótkim pobycie w dyrektorskim gabinecie dr Mariner chwyciła dłoń Stewiego i powiedziała:

- A teraz chodźmy do klasy.

Stevie wyszarpnął rękę i stanął przy DeAnne.

- Czy mama może mnie odprowadzić do klasy?

- Oczywiście, że może, jeżeli tylko zechce - powiedziała dr Mariner. - Twoja nauczycielka nazywa się pani Jones. To łatwe nazwisko, nieprawdaz?

- Pani Jones - powtórzył Stevie. Powtarzał nazwisko jeszcze kilka razy, półgłosem. - Pani Jones, pani Jones.

Dr Mariner poprowadziła korowód korytarzami, niczym doskonała przewodniczka wycieczki. Wskazywała, gdzie mieści się przedszkole i najniższe klasy, następnie przyprowadziła Stewiego do przedsionka, w którym obok klasy pani Jones znajdowała się jeszcze jedna. Dla Stewiego nadeszła pora wejścia do klasy. Przyłgnął mocniej do reki DeAnne.

- Naprawdę chcesz, żeby twoja mama, brat i siostra weszli z toba do klasy w pierwszy dzień? - zapytała DeAnne.

Stevie potrzaskał gwałtownie głową.

DeAnne przesunęła Elizabeth na biodrze, po czym kucnęła przy starszym synu.

- Czasami trzeba wypić kielich - oświadczyła.

Skinal głową. Kiedy miał trzy lata i cierpiał na zatrucie pokarmowe, nie chciał pić zalecanego syropu, który musiał brać, żeby spadła gorączka. Step ukleknął przy jego łóżku, by opowiedzieć mu historię Chrystusa modlącego się w gaju oliwnym. Czasami po prostu trzeba wypić kielich, powiedział wtedy Step, a Stevie wypił syrop bez dalszego biadolenia.

Tym razem też podziało. Zmarszczył brwi i skinal głową na znak, że rozumie. Potem odwrócił się i przeszedł przez drzwi, które dr Mariner trzymała uchylone. Jego krok tak bardzo przypominał krok Stepa, kiedy tego ranka udawał, że się nie boi. Obydwaj martwili DeAnne. W klasie natychmiast rozległy się okrzyki: „Nowy! Nowy!” Katem oka dojrzała nauczycielkę, panią Jones, która bez entuzjazmu odwracała się w kierunku Stewiego. Wówczas dr Mariner zatrzasnęła drzwi.

Rozdział trzeci

Gallowglass

Oto firma, w której Step pracował: Ray Keene był specem od systemów komputerowych przy UNC-Steuben, kiedy Commodore 64 zaczął pojawiać się na rynku. Ray polapał się od razu, że to szesćdziesiątkaczwórka sprawi, iż komputer znajdzie się w każdym domu w Ameryce, jeśli ktoś ruszy głową i wypuści tani software, by ludzie mogli coś zrobić z tym urządzeniem. Commodore'a nie wspierało właściwe zaplecze - w opinii Raya oprogramowanie, jakie oferowano, było kiepskie i o wiele za drogie. Dlatego wypłynął ze Scribe'em 64, sprzedając ów wyrób za dwadzieścia dziewięć dolarów bądź dziesięć dolarów wraz z kosztem przesyłki, jeśli zamawiano program bezpośrednio w Eight Bits Inc.

Początkowo firmie nie wiodło się najlepiej. Już na samym starcie brak doświadczenia Raya w interesach

omal nie zabil przedsiębiorstwa - tyle placił za pakowanie, że z każdą sprzedaną sztuką tracił 22 centy. Na skutek tego, po wyczerpaniu się pierwszej tury tysiąca pudełek, przeszedł na mniejsze opakowania, bez nadruku na zewnątrz, jedynie z nalepką głoścącą: „Jedyny edytor tekstu, jakiego kiedykolwiek będziesz potrzebował - \$29”. W efekcie na każdej sprzedanej sztuce zarabiał cztery dolary. Dodatkowo zaczął sprzedawać ich więcej, rósł też zysk na każdym pudełku, aż pewnego dnia żona powiedziała: „Ray, straciłam dom, wszystko zostało przejęte przez Eight Bits Inc. Albo ja wyprowadzę się, a ze mną dzieci, albo wyprowadzi się firma”.

To właśnie wtedy Ray Keene kupił obrzydliwy budynek przy Palladium. Początkowo, w latach siedemdziesiątych, mieściła się tu klimatyzowana montownia kalkulatorów, jednak już od kilku lat świeciła pustkami. Właściciel odsprzedał Rayowi architektoniczne straszdyło za cenę wskazującą, że jest zadowolony z pozbycia się dokuczliwego balastu. Ray założył nową instalację elektryczną, połowę przestrzeni zajmowanej przez halę produkcyjną podzielił na biura. Budynek nie miał okien, a miejsce było brzydkie, jednak wszyscy pracownicy firmy, których liczba wówczas nie przekraczała dziesięciu osób, szczęśliwi byli, iż mają tyle wolnego miejsca, i pokochali swój zakład, jak mama kocha brzydkie dziecko.

Kiedy Step przybył na przesłuchanie sześć tygodni wcześniej, w każdej twarzy dostrzegł wigor i podniecenie. Lecz tego pierwszego dnia pracy doszło coś nowego. Ray Keene przemeblował biuro od ostatniego razu, kiedy gościł w nim Step, w sposób sugerujący, że Ray zaznajomił się z książką o potędze, która w zeszłym roku dominowała na listach bestsellerów. Ray zasiadał za masywnym biurkiem w wygodnym fotelu bujanym, podczas gdy pozostałe krzesła w gabinecie, na których musieli siadać goście, były twarde, za niskie, niewygodne. Można było odnieść wrażenie, że siedzi się na skraj, ponieważ siedziało się na nim faktycznie.

- Nie będzie pan składał żadnych raportów przede mną - poinformował go Ray. - Mianowałem Dicky'ego Northangera wiceprezesem do spraw efektywnego wykonania produktów, przed nim pan będzie odpowiadał, dla mnie jedynie sporządzał sporadyczne sprawozdania. Wkrótce zatrudnimy pana asystenta, na razie jednak wszystkie instrukcje całego naszego oprogramowania będą przechodzić przez pana rece, Dicky będzie musiał je zaaprobować.

Dicky Northanger zajmował się wszystkimi podręcznikami oprogramowania. Jego pierwszym zatrudnił Ray Keene. Byli teraz dobrymi kumplami, każdego niedzielnego popołudnia chodzili wspólnie po „New York Timesa” do księgarni. Był towarzyski, przysadziasty, w średnim wieku, prawdopodobnie najstarszy pracownik firmy, Step nie miał nic przeciwko składaniu przed nim raportów. Oczywiście Ray nie mógł wysłuchiwać raportów wszystkich pracowników, lecz firma obecnie zatrudniała tylko dwadzieścia pięć osób i wyglądało dziwnie w przedsiębiorstwie tych rozmiarów, że Step miał się nie kontaktować z szefem inaczej niż za pośrednictwem pisemnych sprawozdań.

Po półgodzinnym spotkaniu z Rayem na osobności, chwili fizycznej niewygody, przeszli bezpośrednio na zebranie personelu, gdzie objaśniono zasady nowego planu naprawczego, a na końcu, przy okazji, Step i jeden facet z działu artystycznego zostali przedstawieni jako nowi pracownicy. Przedstawiał ich Dicky; Step był nieco zmieszany, gdy ten rozwoźił się w wielkich słowach nad geniuszem Step'a objawionym przy programowaniu Hacker Snacka - a później, co zazenowało Step'a w większym stopniu, wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, że Step tylko przed nim ma składać raporty i chociaż musi mieć dostęp do wszystkich programistów na każdym poziomie prac nad oprogramowaniem, nie jest niczym zwierzchnikiem i nikomu nie wolno pytać go o poradę dotyczącą programu. Step miał jedynie pisać podręczniki instrukcji.

Następnie przeszedł na spotkanie z Bobem, wiceprezesem do spraw finansów - był księgowym, dopóki w Eight Bits Inc. nie nastąpił gwałtowny napływ pracowników, najwidoczniej w ostatnich sześciu tygodniach. Twarz miał pociągła, ogorzala od wiatru, na nogach kowbojskie buty. Kiedy mówił, bardziej

się zwracało uwagę na jego nosowy teksański akcent niż południowe przeciąganie wyrazów. Pierwszą rzeczą, jaką uczynił, było podsuniecie Stepowi pod nos dwustronicowej umowy do podpisania.

- Cóż to takiego? - zapytał Step, jako że podpisywał już umowę o pracę.

- Zgoda na dochowanie tajemnicy służbowej - poinformował go księgowy kowboj. - Standardowa procedura.

Step przejrzał wnikliwie dokument, mimo że Bob szeleszczał papierami, by wykazać zniecierpliwienie tym, że zabiera mu się zbyt dużo czasu. Oczywiście okazało się, że dokument zawiera wiele dziwnych ustępów.

- Ten kontrakt wykupuje moje prawa do wszystkiego, czego dokonam w programowaniu do końca życia - powiedział.

- Hm, nie tak do końca - rzekł kowboj Bob.

- Właśnie wracam z zebrania, na którym omówiono moje całkowite wyłączenie ze wszystkich prac nad oprogramowaniem tutaj w Eight Bits.

- Eight Bits Inc.

- Dlaczego więc miałbym podpisywać kontrakt, przelewający na Eight Bits Inc. wszelkie prawa do oprogramowania, jakie stworzę, pracując tutaj? Przecież nie mam tu w ogóle programować, no nie?

- Ach, znowu ten Dicky - westchnął Bob. - Spala go zazdrość, bo chociaż przybył do nas, by pisać instrukcje, każdy wie, że jesteś najlepszym programistą, jaki kiedykolwiek przekroczył nasze progi, upewnia się zatem, że wszyscy wiedzą, kto jest czyim szefem. Po prawdzie Ray i ja spodziewamy się, że będziesz w pewien sposób kontrolował jakość całego software'u, gdyż Dicky nie jest aż tak dobrym programistą, dokonuje takich poprawek, po których programy ukazują się na rynku z błędami. Czasami. To tak między nami, oczywiście.

- Dicky zakazał stanowczo, by ktokolwiek prosił mnie o radę dotyczącą programowania - powiedział Step.

- No tak, cóż, po prostu nie przypominaj mi o tym, to wszystko, czego ja i Ray po tobie oczekujemy.

- Innymi słowy dajesz mi do zrozumienia, że poza pisaniem instrukcji mam być kontrolerem jakości, tyle tylko że nie mogę przyznać się przed bezpośrednim przełożonym, że to właśnie robie? Wszystkie moje działania mają odbywać się za jego plecami?

- Dlatego płacimy ci trzydzieści tysięcy rocznie, przyjacielu.

- A tymczasem mam przekazać zgodnie z umową każdy pomysł Eight Bits... Inc.? Dlaczego po prostu nie wszystko, czego dokonałem w związku z oprogramowaniem w firmie?

- Ten kontrakt stanowi warunek zatrudnienia, Step - rzekł Bob. Wciąż wydawał się towarzyski i łagodny, lecz gdyby znajdowali się w westernowym saloonie, ton jego głosu przepędziłby na ulicę połowę klientów, obawiających się przetracenia nosa polamanym krzesłem.

- Na mocy tej ugody, jeśli kiedykolwiek zechciałbym opuścić przedsiębiorstwo, nie mógłbym nigdy

konkurowac z Eight Bits Inc.

- Nasz prawnik powiedzial, ze to naprawde niezly pomysl.

- Jak sobie chcecie. Jestem tu po to, zeby pisac podreczniki, nie by pracowac nad software'em. Pomoge przy kontroli jakosci, jesli Ray tego ode mnie wymaga, chce jednak plywac po otwartym morzu, a nie kryc sie jak jakis szpicel. Nie podpisze tez tego kontraktu, jesli nie zostanie sporzadzony od nowa z uwzglednieniem zmian w klauzuli dotyczacej niekonkurencyjnosci. Chce, by ograniczala sie do jednego roku. Chce tez, by uwzgledniono wszelkie moje prawa do software'u napisanego uprzednio, przed przybyciem do waszej firmy, jak tez do programow napisanych po ewentualnym opuszczeniu Eight Bits Inc.

- Nie ma mowy - zaoponowal Bob.

Step powstal. Kolana mu drzaly i czul sie nieco slabo, wiedzial jednak, ze w zadnym razie nie moze podpisac takiego kontraktu.

- Dopiero co przeprowadzilem sie z rodzina do Steuben na mocy umowy, ktora nic o czyms takim nie wspominala. Co sie tyczy mnie, ten dokument oznacza, ze wylamaliscie sie z postanowien pelnoprawnej umowy. Zatem jesli wasz prawnik nie poprawi tego dokumentu, porozmawia sobie z moim prawnikiem na temat zwrotu kosztow przeprowadzki, kosztow powrotu, a takze, jesli sad wyrazi zgode, a mysle, ze wyrazi, wyciagne od was roczna odprawe. Macie moj numer telefonu.

Step nie mogl uwierzyc, ze oznacza to pozegnanie z praca, a byla dopiero jedenasta rano, w pewien szczegolny sposob ulzylo mu jednak. Scena w biurze Raya i wystapienie Dicky'ego na zebraniu personelu obudzily w Stepie taka obawe dotyczaca przyszlosci w tym miejscu, ze posiadanie wymowki do zerwania z firma sprawilo mu przyjemnosc. Jednak jego smiala przemowa o tym, co mogl dlan wyciagnac prawnik, byla tylko czcza gadanina. Nawet gdyby wszystko ukladalo sie zgodnie z planem, sprawa sadowa mogla sie przeciągac az do chwili, w ktorej od dawna mieliby problemy finansowe. Nie chodzilo jedynie o oddanie w zastaw hipoteczny domu w Vigor i koszty przeprowadzki. Chodzilo o fakt, ze mieli zamiar z honorarium pokryc tej jesieni wszystkie zalegle zeszlenczne podatki, obecnie byli powaznie zadluzeni w IRS i nawet plajta nie wydobylyby ich z tego. Porzucenie tej pracy byloby tak druzgoczacym ciosem, ze musieliby prawdopodobnie zmykac z powrotem do Orem w Utah, by mieszkac w suterenie u rodzicow DeAnne, gdy tymczasem IRS licytowalby caly ich majatek.

Mimo to fajnie bylo zdazac w kierunku drzwi gabinetu Boba.

- Zaczekaj no, Step - zabrzmial glos ksiegowego.

Step odwrócił się na piecie. Wiceprezes do spraw finansów siegal do szufladki biurka, skad wydobył kolejny dokument.

- Skoro nie podoba ci sie tamten papier, popróbuj sie z tym, zanim nas opuszczysz i bedziemy musielisciaskarzyc cie o niewywiązanie sie z umowy.

Step wrócił i wyciagnal dokument z dloni Boba. Przeczytal go bez siadania na krzesle. Ku swemu niedowierzaniu mial przed soba wersje, ktora mogla byc napisana wyłacznie dla niego - uwzgledniala poprzednie prace Stepa, uwzgledniala programowanie na komputerach, dla ktorych Eight Bits Inc. nie wydawalo software'u, natomiast klauzula o niekonkurencyjnosci precyzowala dokladnie jeden rok.

- Mieliscie to juz napisane - rzekl Step.

- No - odpowiedział kowboj Bob.

- Dlaczegoż to odgrywałeś komedie z tamtym dokumentem?

- Ponieważ mogłeś go podpisać. - Bob wyszczerzył zęby. - Taki jest biznes, Step.

Step stał nieruchomo, patrząc mu w oczy, tocząc wewnętrzny spór na temat, czy chciałby mieszkać na wspólnej planecie z tym człowiekiem, a co dopiero pracować wspólnie.

- Wyszliśmy naprzeciw każdej twojej obiekcji, Step. - Bob szturchał go.

- Zastanawiam się po prostu, czy w tej szufladce nie znajduje się jakiś inny dokument.

- Znajduje. Jest na nim numer telefonu naszego prawnika. Czy nie wyrażam się delikatnie, Step? Podpis albo pozew.

- A niech to, Bob, czy tak rozmawiasz ze wszystkimi chłopakami?

- Spójrz na to inaczej, Step. Nie będziesz pracować ze mną. Jedyną rzeczą, jaką o mnie będziesz wiedział, to to, że podpisuje dla ciebie czek z wynagrodzeniem. A kiedy dostaniesz już kilka, na pewno mnie polubisz. Jesteś teraz wkurzony, ale to minie, za sześć miesięcy pójdziemy może na piwo, by się posmiać z tego, jaki zdenerwowany byłeś pierwszego dnia.

- Nie pije - powiedział Step.

- No tak, zapomniałem, jesteś mormonem - rzucił Bob. - No to ten pomysł odpada. Jednakże kiedy patrzę na ciebie, powiedziałbym, że nigdy nie wybacysz mi bez pomocy kilku szklanek piwa.

Powiedział to z takim błyskiem w oku, że Step nie mógł powstrzymać uśmiechu. Tak więc Bob wiedział, że jest z niego kawał sukinsyna i nie przejmował się tym zbytnio. Cóż, Bob, wiem, że jesteś sukinsynem, ja też o to zbytnio nie dbam.

Step położył papier na blacie, podpisał go uprzednio, i wyszedł.

Dochodziło południe i chociaż miał przypuszczalnie teraz odnaleźć Dicky'ego i dowiedzieć się, gdzie znajduje się jego gabinet, potrzebował postać przez chwilę na zewnątrz budynku i zdecydować, czy powinien wrzeszczec, płakać, czy się śmiać.

W drodze na zebranie personelu zauważył korytarzyk prowadzący do drzwi północnego skrzydła budynku - Dicky wspominał mimochodem, że każdy pracownik używał tamtych drzwi, gdyż wioda one na parking. Tam teraz podszedł Step.

Sceneria na zewnątrz nie była taka miła - po prostu wąski parking, wysoka siatka zwieńczona drutem kolczastym, dalej zarosnięte pastwisko, gdzie jedynymi stworzeniami skubiącymi trawę były stare opony i łódź z wyrwanymi drzwiami. Mercedes Raya stał na jedynym zarezerwowanym miejscu na parkingu, bezpośrednio naprzeciwko drzwi do budynku. Step poczuł nagłą potrzebę odłania się na opony niczym pies, zadowolony się jednak zwyczajnym wyobrażeniem sobie tego.

W ciągu ostatnich pięciu lat byłem wolnym człowiekiem, powiedział do siebie, nie pracowałem dla nikogo. Zycząc ze studenckich kredytów, uczyłem się programowania na Atari, by zwyczajnie zapomnieć o historii, a skończyło się na tym, że zmagistrowałem program, który dał przyjemność wielu ludziom, przez co w ciągu półtora roku wzbogaciłem się o jakieś sto tysięcy dolarów. Wszystkie te pieniądze przepadły, zalegam z podatkami, których nie mogę spłacić, przed chwilą podpisałem kontrakt na pracę w przedsiębiorstwie z bizantyjską polityką wewnętrzną, właścicielem sianym o potęgę, wiceprezesem do spraw finansów sadzącym, że bycie biznesmenem oznacza rolowanie każdego, kto na to pozwoli, nadzorca niekompetentnym do tego stopnia, że chce, bym patrzył mu na ręce, ale bez jego wiedzy. Wszystko za trzydzieści tysięcy dolarów rocznie. Dwa tysiące pięćset na miesiąc. Oto cena za moją duszę.

Sprawa nie przedstawiała się jednak gorzej niż w przypadku jego ojca na przestrzeni lat. Kompania reklamowa padła, kiedy ojciec nie mógł już dłużej jej ciągnąć. Mimo to nie chciał ogłosić bankructwa, spłacał powoli wszystkie długi, co zabrało mu dziesięć lat, w którym to czasie powrócił do szkoły, zdobył tytuł magistra, przez pewien okres nauczał w San Jose, skończył zaś pracując dla Lockheed, obmyślając programy treningowe dla operatorów wyrzutni. Gdyby ojciec miał kiedykolwiek choć połowę tych pieniędzy, które ja zarobiłem w zeszłym roku, zapewniłby sobie wolność do końca dni. Trzymałby pieniądze w banku na czarna godzinę. Ja je wydałem, jakbym myślał, że zawsze będzie płynąć szerokim strumieniem. I oto jestem w punkcie, w którym znajdował się też mój ojciec, przez te wszystkie lata w Lockheedzie, przyjmując rozkazy od dupków i zarywając weekendy w sklepie z aparatami fotograficznymi w Hillsdale Mall. Nie słyszałem od niego słowa skargi, jedynie przeprosiny skierowane pod adresem matki, kiedy musiała wrócić do pracy sekretarki w szkole publicznej.

Dlatego podpisałem kontrakt, Step zdał sobie sprawę. Zebym nie musiał tymi samymi słowami przepraszać DeAnne.

A jeśli nie znajdzie sposobu na zdobycie jakichś dodatkowych funduszy w ciągu roku, IRS z pewnością postawi nas w podobnej sytuacji - tak czy inaczej.

Niepokój, desperacja, pamięć o porażkach ojca - wszystko to przepływało przez niego i paliło w gardle, pomyślał: Jeśli weźmę to zbyt do siebie, moje emocje będą wypisane na twarzy, kiedy wrócę do środka. Przelknął ślinę i odetchnął głęboko, wolno, siląc się na spokój.

Ktoś otworzył za nim drzwi i wyszedł. Step z początku nie odwracał się, na wół przestraszony i na wół ogarnięty nadzieją, że to kowboj Bob albo nawet Ray Keene we własnej osobie, martwiący się o niego, chcący poprawić mu nastrój.

Tymczasem był to jakiś dzieciak, sprawiający wrażenie, jakby nie opuścił jeszcze szkoły średniej, który odszedł kilka jardów dalej i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko, wolno wypuszczał kleby dymu w postaci zgrabnych kólek.

- Ile czasu ci zabrało, żeby się tego nauczyć? - zapytał Step.

Dzieciak odwrócił się w jego stronę. Na nosie miał osadzone okulary o potężnych szklach w czarnej oprawce, przez co oczy zdawały się pływać w słoiku z formaliną.

- Wydmuchuje kółka, odkąd mama mnie nauczyła, kiedy miałem dziesięć lat.

- Twoja mama nauczyła cię puszczania kółka z dymu? Kiedy miałeś dziesięć lat?

Dzieciak się zasmiał.

- To kraj tytoniu, panie Fletcher, a wszyscy, którzy mnie otaczają, są ludźmi tytoniu. Kiedy byłem bachorem, mama zwykła puszczać dym prosto w moją twarz, gdy dorosłem miałem zatem pojęcie, jaka jest różnica między tanim zielskiem z papierosów Reynoldsa a dobrym towarem w E&Esach.

Step miał nadzieję, że jego dreszcz nie został zauważony. Kiedy wraz z DeAnne polowali na mieszkanie, musieli wyeliminować z planów całe wschodnie obrzeże miasta, gdzie Eldredge & Emerson Tobacco Company wypełniała powietrze odorem smoly i nikotyny. Człowiek czuje się w takim miejscu, jakby utkwil na zawsze w windzie z pasażerem, który tuż przed wejściem do niej zgasił papierosa.

Jaki interes widzieli mormoni w przybyciu do kraju tytoniu? Szczególnie gdy DeAnne tak była uczulona na dym, że przyprawiał ją o wymioty, nawet kiedy nie była w ciąży. Idea wydmuchiwanie dymu w twarz dziecka zdenerwowała Stepa. Są rzeczy, których się po prostu nie robi z dziećmi, jeśli ma się odrobinę przyzwoitości. Nauczanie dziesięciolatka wydmuchiwanie kólek...

- Nie chce wyglądać jak jakiś dretwy fanatyk czy ktoś taki, panie Fletcher, jednak myślę, że Hacker Snack jest najlepszą grą na Atari, jaka kiedykolwiek zrobiono.

- Dzięki - odparł Step.

- Oczywiście, pana podprogramy AI są pierwsza klasa.

- AI? - zapytał.

- No, wie pan, sztuczna inteligencja.

- Wiem, co oznacza AI - odpowiedział Step. - Po prostu nie mogę przypomnieć sobie, że bym próbował kiedykolwiek zaadaptować ją do gry.

- Mam na myśli, no wie pan, sposób, w jaki bandyci kierują się na gracza - rzekł. - Inteligentne programy komputera. To zbyt łatwe do przewidzenia. Z łatwością można uniknąć ich strzałów, póki gracz nie ginie zniszczony czystą szybkością. Uwielbiam rozkwaszać bandytów na śmierć.

- Wielkie dzięki.

- Nie, naprawdę, uwielbiałem te gry, szkoda tylko, że nie sprawił pan, żeby bandyci poruszali się w sposób przypadkowy, żeby gracz nie polapał się, że do niego mierzą. Tak by się nigdy nie miało całkowitej pewności, dokąd idą. Wtedy można by spokojnie grywać na wyższych poziomach, nie musiałby pan nigdy umieszczać tego zabójczego poziomu trudności, gdzie nie można po prostu przescignąć pogoni.

- Nie istnieje żaden zabójczy poziom trudności - zaprzeczył Step.

- Naprawdę?

- Wystarczy znaleźć tylne wyjścia ze wszystkich pomieszczeń.

Teraz z kolei dzieciak wyglądał na zbitego z tropu.

- Tylne wyjścia?

- Hacker Snack to nie gra arkadowa, to puzzle - wyjasnil Step. - Tylko nie wmawiaj mi, ze próbowales przescignac tych malych skurczybyków na kazdym poziomie?

- W ten sposób doszedlem do pół miliona punktów - powiedzial chlopiec.

- To najmniej prawdopodobna rzecz, o jakiej slyszalem. Powinienes zmienic sie w mokra plame przed zdobyciem dwudziestu tysiecy punktów. Musisz miec refleks nietoperza.

Dzieciak wyszczerzył zęby.

- Jestem najlepszym cholernym specem od wideo, jakiego pan kiedykolwiek spotka - powiedzial. - Musi mi pan pokazac to tylne wyjście.

- Ty z kolei pokaziesz mi, co ma znaczc ta przypadkowosc.

- Wejdzmy do srodka. Na jednej z maszyn wlasnie odpalilem te gierke, tak na wszelki wypadek, gdyby sie pan pojawil.

- Masz tu Atari?

- Hej, zadna dusza nie watpi, ze Atari jest dziesiec razy lepsze niz „komodorek”. Jedynym powodem, dla którego piszemy oprogramowanie dla szescdziesiatkiczwórki, sa miliony sprzedawanych sztuk, podczas gdy Atari wciaz kosztuje straszne pieniadze, co oznacza, ze nikt go nie kupuje.

Step podreptal za nim do budynku.

- Jak to sie stalo, ze wyszedles na zewnatrz zapalic? - zapytal. - Zauwazyłem ludzi palacych w biurach.

- Nie w moim - rzekl dzieciak. - Nikomu nie pozwole palic przy komputerach. To je paskudzi. Jak wylana cola.

Dzieciak nie pozwalal nikomu palic w poblizu komputerów?

- Jak sie nazywasz? - zapytal Step.

- Rodzice wolaja na mnie Bubba, przy chrzcie dostalem Roland McIntyre, natomiast sam mysle o sobie jako o Saladyńie Gallowglassie. - Spojrzal przez ramie na Stepa i usmiechnal sie szeroko. - Gral pan kiedys w D&D?

- Brat próbował mnie kiedys nauczyc Dungeons and Dragons, lecz po pieciu godzinach gra wciaz sie nie rozkrecila.

- W takim razie cienki z niego wladca smoków, jesli chce pan znac moje zdanie, bez obrazny oczywiscie, skoro to brat. Dobry wladca smoków w ciagu pół godziny wciagnie pana w gre, tak ze poczujecie sie pan jak w filmie. Prawie. A to jest pana biuro, tak przy okazji.

Pomieszczenie bylo puste. Wiedzieli, ze przyjezdza, a nie wniesli nawet zwyklego biurka.

- Przyniesli tu biurko, ale kazalem im je zabrac - powiedzial Bubba Roland Saladyń Gallowglass. - Powiedzialem im, ze nie jest pan tu po to, by pisywac banalne lisciki do siostrzenic i siostrzenców, bo to pasuje raczej starym pannom. Ma pan tworzc podreczniki oprogramowania, potrzebne jest wiec pelne

komputerowe wyposażenie, w komplecie z edytorem tekstu i przynajmniej po jednym z komputerów, dla którego produkujemy software. Tak więc po południu zbudują tu mała komputerowa centralke, jak ta u mnie. Oto moje biuro. Należy też do pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko, dopóki nie urządzi panu własnego.

Step wkroczył do rajy komputerowego maniaka. Dwa kontuary o wysokości biurka biegły wzdłuż obu ścian pomieszczenia, a nad nimi kilka półek. Dolna półka dzwigała monitory do pół tuzina komputerów, górna natomiast książki, gazety i rzędy dyskietek. Sam kontuar zapchany był „komodorkami”, przewijało się też kilka VIC-ów, jeden TI, RSCC, a nawet mizerny Timex. Prócz tego wysłużony monochromatyczny Pet, używany najwidoczniej jako edytor tekstu. Był także Atari, z Hacker Snackiem puszczone w trybie demonstracyjnym. Tyle tylko że demo powinno pokazywać pierwszy poziom, nie zaś dwudziesty.

- Złamales kod - zauważył Step.

- Lubie wykorzystywać te gry jako oszczędzacz ekranu, ponieważ wszystko się w niej porusza. Lecz dwudziesty poziom ma najfajniejsze kolory.

- Ale to było zabezpieczone przed kopiowaniem siedmioma pieczęciami!

- No cóż, dziesięć minut zajęło mi rozgryzienie schematu, później godzinę, by rozmontować kod. - Bubba Roland Saladyn Gallowglass wyglądał na dumnego z siebie, Step nie mógł się z nim nie zgodzić. Step był całkiem niezłym programistą, lecz ten dzieciak należał do prawdziwych hakerów, był dziecięcym geniuszem od kodów. W jakiś też sposób zdołał zdobyć wystarczający autorytet w Eight Bits Inc., żeby kazać przemodelować biuro Step'a.

- A propos, czym się tu zajmujesz? - zapytał Step.

- Ech, po prostu walesam się po katach, programując trochę. Tak naprawdę powinienem być na studiach, lecz lawiruje między semestrami.

- Wiosenna przerwa?

- Tak, trwa już prawie rok. Próbowałem uczyć się o komputerach, ale oni wbijali mi do głowy COBOL-a, nie do wiary! Bez FORTRAN-u nie mogłem dostać zaliczenia. To tak, jakby kazali komus w szkole medycznej wkuwać anatomie dinozaura. W weekend jedziemy paczka na koncert Davida Bowiego do Richmond. Zabierze się pan z nami?

Mile polechtany tym zaproszeniem Step musiał odmówić.

- Wciąż się rozpakowujemy, bardziej mi też odpowiada starswiecki amerykański rock and roll. Bowie traci mi dyskoteka.

- Gdzie tam, ma to już za sobą. Tak jak i błyskotki. Teraz jest punkiem.

- Hm, no tak...

- Myślę o moim bohaterze z D&D, no wie pan, Saladynie Gallowglassie. Wyobrazam go sobie wyglądającego jak David Bowie. Albo jak Sting.

- Sting? - zdziwił się Step.

- Ten z Police - wyjaśnił dzieciak. Kiedy Step wciąż nie okazywał, że sobie przypomina, dzieciak potrząsał głową i kontynuował. - Z tego, co zrozumiałem, zajmie się pan czymś przypominającym kontrole jakości?

- Z tego, czym Dicky uraczył mnie z rana - odpowiedział Step - wynika, że muszę go prosić o rozpięcie rozporoka, kiedy zechce się odłączyć.

Dzieciak zachichotał.

- Dicky to stary pierdola. Nie, Ray powiedział mi, że jest pan cennym nabytkiem. Jedynym sposobem, w jaki mógł namówić Pierdole, żeby pana zatrudnił, była obietnica zmuszenia pana do niewtracania się do programowania, w rzeczywistości jednak pragnie, by maczał pan palce we wszystkim. Uważa pana za największego komputerowego arcymaga we wszechświecie.

- No cóż, nie jestem nim - powiedział Step. - Jestem historykiem, który w wolnym czasie nauczył się programować.

- Wszyscy dobrzy programiści są samoukami, przynajmniej na rynku komputerów domowych - stwierdził dzieciak.

- Hej, jak mam właściwie zwracać się do ciebie?

- Nazywają mnie tutaj Roland, pan chyba też powinien - odparł chłopak.

- Co ty byś jednak wolał?

Wyszczepił zęby.

- Jak już powiedziałem, myślę o sobie jako o Saladynie Gallowglassie.

- Więc Gallowglass jest w porządku, czy też brzmi to zbyt formalnie?

- Gallowglass jest okej, panie Fletcher.

- Mów mi Step.

- Miło mi, Step.

- Czy mogę zapytać, ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa.

- A jeśli jesteś zwykłym, przeciętnym programistą, jak to się dzieje, że Ray Keene zwierza ci się z rzeczy, o których nic nie mówi Dicky'emu?

- Chyba dlatego, że zna mnie dłużej. Zwykle walesac się koło domu Raya i uczyć programowania na jego Commodore Pet. Miałem wtedy, tak mi się zdaje, szesnaste lat.

Zaswitało Stepowi: w żadnym z wywiadów i zebranych nikt nigdy nie wspominał o istnieniu tego cudownego dziecka, nikt też nie wyjaśnił, kto zakodował oryginalny software, który zapracował na

mercedesa Raya Keene'a i jego luksusowe biuro.

- To ty napisales Scribe'a 64, nie zaprzeczaj?

Gallowglass uśmiechnal sie szelmowsko.

- Kazda jego linie - odparl.

- Zaloze sie, ze ciagle pracujesz nad upgrade'ami.

- Pracuje obecnie na szescdziesieciczytornym ekranie - powiedzial. - Musze uzywac wirtualnej pamieci ekranu i mapowania znakow w tle, idzie mi wcale niezle. Mam pomysl na uzycie pamieci znakow jako wirtualnej pamieci ekranu, gdyz oznacza to, ze nie wykorzystuje RAM-u na mapowanie.

- Za malo wiem o szescdziesieciczytornym architekturze, by zrozumiec, o czym mowisz - przyznal sie Step. - Mam nadzieje, ze nie jestem zbyt wscibski pytajac - skoro jestes osoba, ktora stworzyla Scribe'a 64 - dlaczego jeszcze nie jestes wiceprezesem czegos?

- Ray troszczy sie o mnie - odpowiedzial Gallowglass. - Robie wiecej kasy niz Bóg, ale nie mam w sobie zylki kierowniczej.

- Pewnego dnia z chacia sie dowiem, ile zarabia Bóg - rzekl Step.

- Pewnego dnia moze ci powiem. - Gallowglass wyszczerzyl zeby w usmiechu. - A co z toba? Masz dzieci?

- Trójke. Czwarte jest w drodze.

- Ile maja lat?

- Stephen niemal osiem, Robert blisko piec, Elizabeth dwa, a najmniejsze piec miesiecy ponizej zera.

- Mówie ci, swietnie sie z dziecmi dogaduje - pochwalil sie Gallowglass. - Jesli zechcesz kiedys, zebym zaopiekowal sie dziecmi, daj znac.

- W porzadku. Programista, który zarabia wiecej pieniedzy niz Bóg, a ja mam go prosic, by siedzial przy moich dzieciakach?

- Nie zartuje, naprawde uwielbiam malców, bywa, ze czasami czuje sie samotny.

- Nie mieszkasz z rodzina?

- Tato mnie nienawidzi - odparl Gallowglass. - Mieszkam sam.

- Nienawidzi cie? Daj spokój.

- Serio, zawsze mi to powtarza, kiedy wracam do domu. Otwieram drzwi, a on mówi: „Cholera, jak ja cie nienawidze! Musisz ciagle wracac?” Mama jest w porzadku. Hej, jestesmy przeciez tylko dobra stara rodzina poludniowców.

- Wybacz, nie chcialem byc nachalny i w ogóle - powiedzial Step.

Gallowglass smiał się.

- Dawno już nie widziałem, jak dorosły mężczyzna się czerwieni.

Co za biedny dzieciak, pomyślał Step. Słodki, wspaniały, miły dzieciak, nie wystarczy, że nienawidzi go ojciec, nie wystarczy, że matka wydmuchiwała mu dym w twarz, na domiar wszystkiego wykorzystują go ludzie, którym ufa bez granic. Nie mój interes, wiem, lecz ten dzieciak powinien przynajmniej mieć pojęcie, że istnieją inne możliwości.

- Pozwól, że ci coś powiem - rzekł Step. - Różnica między honorarium a premią jest taka, że honorarium należy ci się zgodnie z prawem nawet po tym, jak opuścisz firmę, natomiast premia to zwykły podarunek; jeśli Ray poczuje niechęć obdarzenia cię nim, to twój pech.

Gallowglass przyglądał mu się beznamietnie poprzez swoje butelkowe soczewki.

- Po prostu sadziłem, że powinieneś zwrócić na to uwagę - ciągnął Step. - Na wypadek gdybyś chciał kiedyś napisać kolejny software. Może się zdarzyć, że następnym razem wymienia gdzieś w podręczniku twoje nazwisko. To coś, czego my, programiści, nie mamy w nadmiarze - pochwała za to, co robimy.

- Twoje nazwisko umieszczono w Hacker Snacku - zauważył Gallowglass.

- Odrzuciłem oferty dwóch wydawców oprogramowania, ponieważ nie było o tym wzmianki w kontrakcie - rzekł Step. - To dzięki temu znacie tu w Eight Bits moje nazwisko. Jednak aż do tego momentu nikt nigdy nie wymienił twojego nazwiska. Po prawdzie odniosłem wrażenie, że Ray Keene sam napisał Scribe'a 64.

- Naprawdę? - zapytał Gallowglass.

- Nigdy nie wspominał o tym - powiedział Step.

- Ray nie jest w stanie zaprogramować komputera, żeby ten wyświetlił jego imię na ekranie - rzucił Gallowglass.

- Hm, nie wiedziałem - przyznał się Step. - Nigdy mi nie mówił. Hej, to nie jego wina, że odniosłem mylne wrażenie. Sadzę, że najważniejsze jest to, by programista był doceniany za swoje osiągnięcia. Jak autor książki, którego imię widnieje na stronie tytułowej.

- Nie pierwszy zobaczyłeś swoje nazwisko tuż nad tytułem - wtracił Gallowglass. - Imię Douga Duncana można było zobaczyć w Russian Front jeszcze przed tobą.

- No tak - zgodził się Step. - Nim ukazał się Russian Front, miałem już podpisany kontrakt, jednak to on pierwszy wydał swą grę w ten sposób.

- Spotkałem go zeszłego roku w CES - rzekł Gallowglass.

- Tak?

- Postąpiłem z nim jak z tobą: powiedziałem mu, że zrobił świetną grę, a potem wymieniłem jej niedociągnięcia.

- Ach tak? To twoja zwykła procedura? - spytał Step.

- Jasne.

- Gdzie nauczyłeś się tej techniki, z „Jak zdobywać przyjaciół i wpływać na ludzi”?

Gallowglass zachichotał.

- Po prostu lubię patrzeć, jak ludzie reagują. Ty to jakos przeżyłeś. Tak na serio - to najlepiej. Naprawdę słuchałeś dzieciaka w okularach i z ochraniaczem na kieszeni, nie porównując go przy tym do gówna na chodniku.

- A jak zachował się Duncan?

- Cóż, powiedzmy, że Doug Duncan należy do tych facetów, którzy nigdy nie wybacza ci, że osmieliłeś sugerować, jakoby coś, co zrobili, nie było do końca perfekcyjne. Wykopał mnie z konferencji sześć miesięcy później. Postraszył, że odejdzie, nie odpowiadając na pytania, jeśli dopuszcza mnie do mikrofonu. Nigdy nie zapomina i nigdy nie wybacza.

- Może to powinno cię było odurzyć krytykowania nieznajomych.

- Daj spokój, to mój test na wykrywanie dupków zolednych. A gdzie on przejdzie, tam dziki mają co jeść.

Step nie umiał pohamować śmiechu. Polubił dzieciaka. Może za bardzo. Chociaż gdyby Dicky podsłuchał ich rozmowę o honorariach i uznaniu dla programistów, obaj mogliby wpaść w tarapaty.

- Powiedz mi, jak dzwioskoszczelne jest to pomieszczenie? - zapytał Step.

- Skąd do diabła miałbym wiedzieć? - zdziwił się Gallowglass. - Lecz kiedy te wszystkie gry chodzą włączone, kto może nas usłyszeć?

Step pomyślał, lecz nie powiedział tego, że szum włączonych komputerów sprawiał, iż mówili głośniej, podczas gdy hałas, jaki czyniły, był o połowę mniej dokuczliwy dla kogoś na zewnątrz, kto chciałby podsłuchać.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść! - wrzasnął Gallowglass.

Był to Dicky, przez chwilę Step czuł przyływ zazenowania jak ktoś złapany na gorącym uczynku. Dicky z pewnością słuchał.

- Więc tutaj jesteś - powiedział Dicky. - Wszędzie cię szukałem.

- Mnie? - udął zdziwienie Step.

- Zastanawiałem się, czy nie miałbyś ochoty zjeść ze mną lunchu.

- Nie może - wtracił natychmiast Gallowglass. - Idź na lunch ze mną, będę więc mógł wprowadzić go w niuanse Scribe'a 64.

- Ja z kolei muszę wprowadzić go w całą resztę - powiedział Dicky jakby nieco zaciętrzewiony.

- Nie mam z tym nic wspólnego - zastrzegł się Step. - To mój pierwszy dzień i pójdę wszędzie tam, gdzie mi kaza.

Dicky i Gallowglass gapili się na siebie jeszcze przez kilka chwil, po czym ostatecznie Dicky powiedział:

- Znajdź mnie po lunchu.

- Dobra - odpowiedział Step. - Jest pan jednak moim przełożonym, Northanger, tak więc proszę mnie dysponować.

- Mów mi Dicky - rzekł Dicky.

- Nie Richard? - zapytał Step.

- Czy nie podoba ci się Dicky? - spytał Dicky.

- Nie - odparł Step. - Myślałem tylko...

- Dicky to nie skrót od Richarda - wytłumaczył Dicky. - Takim imieniem mnie ochrzczono.

- Przepraszam - rzekł Step.

- A spotkanie z tobą po lunchu jest czymś, co wolisz. - Dicky zamknął za sobą drzwi.

- Facet, ty jesteś mistrzem podlizuchów - stwierdził Gallowglass.

Step odwrócił się do niego.

- Chcesz, żeby mój przełożony wkurzył się na mnie już pierwszego dnia?

- Nie bierz Dicky'ego poważnie - powiedział Gallowglass. - Nie dotknij się programu, nie wprowadzając do niego błędów. Gość jest beznadziejny.

Najwidoczniej Gallowglass nie miał pojęcia o rodzaju kłopotów, jakie Dicky potrafił sprawić człowiekowi z pozycją Step'a. Ten dzieciak miał układy z właścicielem, był programistą programu-żywiciela, dzięki któremu wszyscy otrzymywali wynagrodzenie, zatem mógł traktować Dicky'ego wedle uznania. Nie znaczyło to wcale, że Dicky'emu to w smak. Co prawda, jeśli to trwa już od dawna, Dicky musi patrzeć spode łba na wszystko, co Gallowglass robi i mówi. Mógłby się wyżyć na kimkolwiek pozostającym z chłopakiem w przyjacielskich stosunkach i równocześnie poszukującym pracy.

Na Stepie.

- Wyświadcz mi przysługę - poprosił Step. - Nie rób niczego, co nastawiliby do mnie Dicky'ego jeszcze mniej przychylnie.

- Jasne - zgodził się Gallowglass. - Tylko spokojnie. Wszystko jest okej, obiecuje. Jesteś tu jak Flynn, każdy podnieca się twoją obecnością. Zobaczysz, będzie wspaniale.

- W takim razie bez urazy - rzekł Step, choć Gallowglass najprawdopodobniej był w błędzie.
- I naprawdę z ochotą zaopiekowałbym się twoimi dziećmi.
- Dzięki - odpowiedział Step.
- Jestem w tym zupełnie dobry. I nie boję się zmieniać pieluszek.
- Dobrze - powiedział Step - porozmawiam o tym z DeAnne.
- Super. Dzisiaj.
- Co takiego?
- Dzisiaj. To słowo, jakiego tu używamy. Znaczą „chodź jęć”, kiedy mówisz to naprawdę szybko. Dzisiaj.
- Nie ma problemu - rzekł Step. - Dzisiaj.

Rozdział czwarty

Wstretne dziury

Oto dlaczego DeAnne, przez całe życie mieszkanka zachodu, rozpakowywała toboły w pokoju mieszkania w Steuben, w Karolinie Północnej: jej najwcześniejsze wspomnienia sięgają dorastania w Los Angeles, w biedniejszej części miasta. Były to lata pięćdziesiąte, kiedy gangi nie sprawowały jeszcze władzy, Murzyni byli po prostu kolorowymi, zaczynającymi dopiero maszerować, nie wszczynającymi zamieszek. Jej sąsiedztwo i szkolni przyjaciele stanowili mieszankę ras i narodowości. Nim wyjechała, nie zauważała tego.

Ojciec otrzymał doktorat i wyjechał uczyć w Brigham Young University - „Y”. Miała osiem lat, kiedy po raz pierwszy poszła do szkoły w Orem, w stanie Utah. Wszystkie dzieci w klasie były białe, wszystkie były mormonami, wiele z nich widywała na niedzielnym nabożeństwie. Nadeszła jesień 1962 roku i rozmowy między dziećmi zeszły na temat praw obywatelskich i Martina Luthera Kinga. Deeny była zaszokowana słysząc, jak inne dzieci mówią o „czarnuchach”; słowo, o którym sądziła, że przypomina wszystkie inne pisane na murach - każdy wiedział, że istnieje, lecz nie wypowiadał go w miejscu, gdzie sięga słuch Boga.

Kiedy zauważono, jaka Deeny jest skonfundowana, smiano się, niektórzy mówili też rzeczy jeszcze obrzydliwsze - że wszyscy kolorowi śmierdzą i są głupi, że wszyscy kradną i noszą przy sobie brzytwy. Z furii przekonywała, że to nieprawda, że jej najlepsza przyjaciółka z Los Angeles, Debbie, była

kolorowa, a jednocześnie inteligentna jak każdy, nie śmierdziała, a jedyny chłopiec, który im cokolwiek ukradł, był biały. To ich zdenerwowało. Mówili okropne rzeczy, popychali ją, szczypali i szturchali, przychodziła ze szkoły zapłakana. Rodzice pocieszali, że to ona ma rację, na zawsze jednak zapamiętała obrzydliwe oblicze fanatyzmu i złości, w jaką pozostałe dzieci wpadły, kiedy przeciwstawiono się ich poglądom.

Nie było zatem dziełem przypadku, że kiedy Step zdecydował się powalczyć o doktorat z historii, nie chcieli składać papierów do żadnej uczelni na zachód od Missisipi. DeAnne sprzeciwiała się stanowczo, żeby jej dzieci dorastały w Utah, gdzie każdy, kogo znają, był mormonem lub białym, gdzie opowiadano im wierutne kłamstwa o ludziach, którzy nie byli do nich idealnie podobni. Step przyznał jej rację - jak się wyraził, nie chcieli wychowywać dzieci tam, gdzie mormoni porastali ziemię zbyt gęsto.

Wszystko fajnie wyglądało w teorii, rzeczywistość tymczasem przybrała formę przynębiająco ciemnego pokoju w obskurnym domku w Steuben. A Stevie musiał dzisiaj wejść do klasy jako obcy przybysz, bez żadnego poczucia wzięcia.

W Utah Stevie znalazłby już wszystkie dzieci z sąsiedztwa i parafii. Dzieliliby z nimi ten sam styl życia, wiedziałby, czego się po nich spodziewać. Sprowadziliśmy dzieci w obce środowisko, zgodnie z planem, pomyślała DeAnne, wyrwaliśmy je z miejsca, w którym mieszkały. Są tu przybyszami. My jesteśmy przybyszami.

Jestem tu obca, a to obcy kraj.

Robbie i Elizabeth drzemali na dole. Dla Elizabeth oznaczało to prawdziwy, twarde sen; dla Robbiego leżenie na łóżku i czytanie kawałów i lamigłówek z ulubionego „Childcrafta”. Przynajmniej są zajęci i panuje spokój. Dzięki temu mogła opróżnić skrzynie, jedna po drugiej... podumać nad życiem, czy była dobra matka, dobra żona, dobrym mormonem, a nawet dobrą osobą. Skrycie wiedziała, że nie jest i nigdy nie będzie, nieważne, jak ją będą widzieć inni, ponieważ nikt, włączając w to Stepa, nie znał jej wnętrza. Jak była słaba, zastraszona, niepewna wszystkiego w życiu prócz Kościoła - jedynej niezmieniającej się struktury, fundamentu jej istnienia. Wszystko poza nim ulegało zmianom. Nawet Step - zdawała sobie sprawę, że nie zna go do końca, iż zawsze jest szansa, że ją czymś zaskoczy; wówczas w owym mezu dojrzy obcego. Obcego, który gardzi nią i wyrzeka się jej dalszej obecności w swym życiu. DeAnne wiedziała, że aby utrzymać się przy jakiegokolwiek dobrej rzeczy w tym świecie - mezu, dzieciach - nie może się pomylić, nigdy. Tak wyglądał skraj sukna, który stanowił jej życie. Gdyby tylko można mieć pewność, każdego dnia i każdej godziny, co zrobić, żeby się nie pomylić.

Zabrzeczal dzwonek u drzwi.

Zjawiała się kobieta po trzydziestce, wiotka niczym Jane Fonda, trochę niższa od DeAnne. Holowała trojkę dzieciaków, z których najstarszy był chłopczyk w wieku Robbiego i w jakiś sposób - może dzięki dzieciakom, może dzięki praktycznej, nie rzucającej się w oczy odzieży, a może po prostu z powodu ufnego, radosnego wyrazu twarzy bez śladu makijażu - DeAnne wiedziała, że kobieta jest mormonką. A jeśli nie, powinna nią być.

- Siostra Fletcher? - zapytała kobieta.

Była mormonką.

- Tak - odpowiedziała DeAnne.

- Jestem Jenny Cowper. Tyle tylko, że moje nazwisko wymawia się jak Cooper.

- Jak ten poeta?

Jenny uśmiechnęła się radośnie.

- Wiedziałam! Mieszkam tu od szesciu lat, a teraz kiedy zostalo mi trzy i pół miesiaca do wyjazdu do Arizony, nagle ktos sie w koncu wprowadza, kto slyszal o Williamie Cowperze.

A to ci pech, pomyslala DeAnne. Zaczynam juz ja lubic, a ona sie wyprowadza.

- Wejdz, prosze. Dzieciaki drzemia, lecz dopóki pozostajemy w dziennym pokoju...

- Twoje dzieci drzemia? Do dzieła - powiedziala Jenny, zamaszystym krokiem wchodzac do srodka. Nie dawala poznac po sobie, ze dba o to, czy dzieci podazaja za nia, czy nie. - Wiem, ze jestes zajeta przeprowadzka, mam z soba ostry jak brzytwa nóż, napoilem i nakarmilam juz swoje stadko, zanim tu przyszlam, prosze mi wiec pokazac, gdzie znajduja sie skrzynie.

- Dzisiaj zajmuje sie ksiazkami - rzekla DeAnne, prowadzac ja do glównego pokoju. - Naprawde nie musisz pomagac.

- Ulozyc w porzadku alfabetycznym?

- To później - odparla DeAnne. - Wystarczy na razie, ze je pogrupujesz. Jenny, skad do licha znasz moje nazwisko? Nawet razem nie szlyśmy do kosciola w niedziele.

- Zauwazylam - rzekla z przekazem Jenny. - Kilka tygodni temu biskup powiedzial, ze otrzymal telefon od jakiegos tam brata z Vigor w Indianie, jakoby majacego sie wprowadzic do naszej gminy w pierwszy weekend marca. Wywnioskowalam, ze bedzie potrzebna pomoc przy przeprowadzce, wiec czekalam, az sie pokazecie w koscielu, tylko ze nie przyszliscie. I oto co pomyslalam: jesli sa niepraktykujacy, jakis tam brat nie dzwoniłby przeciez. Wiec albo nie wprowadzaja sie w zaplanowanym czasie, albo naleza do tych dumnych, upartych, krnabrnych, nieugietych ludzi, którym przez mysl nie przejdzie prosic o pomoc, dlatego opuscili pierwsza niedziele, planujac pokazac sie nastepnego tygodnia, kiedy wszystko bedzie rozpakowane i ulozone na wlasciwym miejscu, a ludziom, jacy przyjda pomagac, odpowiada: „Juz po wszystkim, niemniej dziekujemy”.

DeAnne zasmiala sie.

- Podeszlas nas, Jenny.

- Tak wiec, podczas niedzielnej szkolnej godzinki - nie chodze na zajecia z doktryny ewangelicznej, ja i nauczyciel różnymi sie pogladami - zakradlam sie do sekretariatu, przejrzalam w koscielnym katalogu informacje o gminie Vigor, po czym odbylam zamiejscowa rozmowe z wasza rodzima gmina. Mówilam z waszym sekretariatem, pytajac, czy nie wiedza nic o jakichs czlonkach ich gminy wyjezdajacych do Steuben w Karolinie Północnej, na co odpowiedziano mi: „Tak, oczywiscie, Fletcherowie, najcudowniejsi ludzie, siostra Fletcher byla doradca do spraw oswiatowych w naszym Kole Pomocy, a brat Fletcher byl prezydentem kworum starszych, dyrygowal tez chórem, maja trójke dzieci, czwarte ma przyjsc na swiat w lipcu, sa doskonalyimi mówcami, trzeba wykorzystywac te zdolnosc na zebraniach sakramentalnych tak czesto, jak to tylko mozliwe...”

- Ach, to zapewne brat Hyde, bardzo nam pochlebil. - DeAnne nie mogla uwierzyc, ze brat Hyde pamietal, kiedy mialo urodzic sie ich kolejne dziecko, albo ze przekazal informacje nieznanemu osobie. Z

drugiej strony należeli do jednego Kościoła, czy nie? A to oznaczało, że „nie byli już obcymi i przechodniami, tylko współobywatelami świętych”, czy jak to tam szło w liście świętego Pawła do... - do jakiejś grupki Greków lub Rzymian, lub Hebrajczyków.

- Tak, no cóż, jestem pewna - powiedziała Jenny. - Przekazał także wasz adres, wtedy przypomniało mi się, że minelaś w zeszły piątek, czy kiedy tam przyjechaliscie, przejeżdżająca furgonetką z meblami, nie przyszło mi do głowy, że to rodzina mormonów wprowadzająca się zaledwie jeden budynek dalej od mojego domu. To znaczy, że będę miała mormonów za sąsiadów. Takie rzeczy nie zdarzają się w Steuben zbyt często.

Nawet gdyby Jenny nie była drobiazgową w układaniu książek na półkach zgodnie z porządkiem alfabetycznym, grupując je przy tym właściwie, DeAnne radowałaby się z jej obecności, gdyż dawała wytchnienie od własnych przemyśleń. W pewien sposób Jenny zdołała wykształcić w sobie podobne nastawienie wobec Kościoła, choć odebrała całkowicie odmienne wychowanie. Jedyną różnicą polegała na tym, że Jenny mówiła o rzeczach, o których DeAnne nie osmieliłaby się nigdy wspomnieć, chyba że w rozmowie ze Stepem.

- Musiałam przybyć tu pierwsza - oznajmiła Jenny - w przeciwnym razie z życiem w pierwszej gminie Steuben zapoznałabyś was Dolores LeSueur, nasza gminna wieszczka.

- Wasza co?

- Zajmuje się wizjami. Dla każdego ma w zanadrzu jakieś objawienie. Od piętnastu lat umiera na raka, na nogach trzyma ją nieustająca opieka lekarska, lecz czując oddech śmierci na karku, zbliżyła się do Boga bardziej niż kiedykolwiek przedtem - uważam, że już przedtem była tak blisko Boga, że dzielili się jedną szczoteczką do zębów. Wolając do ciebie „hello”, nie ośmielisz się wspomnieć, że to Duch Święty kazał ci pozdrowić. Zobaczysz, że ja pokochasz.

- Pokocham? Wątpię, biorąc pod uwagę to, co powiedziałaś.

- Pokochasz, pokochasz, bo w przeciwnym razie okaże się, że jesteś narzędziem szatana, mającym zgubny wpływ na gminę. Bez obaw, dopóki wszystko układa się po jej myśli, jest nieszkodliwa.

- Mówisz poważnie?

- Absolutnie. Kiedy przedsięwzięcia w gminie znajdują się pod kuratelą Dolores, wszystko idzie po jej myśli. Jeśli decyduje, w jaki sposób zreorganizować gminę, jej słowo zamienia się w czyn.

- To znaczy, że budzi w ludziach natchnienie?

- Och, ona budzi w ludziach natchnienie za każdym razem, gdy musi skorzystać z toalety. Jeżeli nie zgadzasz się z nią, wszystkimi swoimi apostołami szczuje biskupa, aż ten kaze ci dostosować się do jej woli, żeby wyzwolić się od dreczycieli. A kiedy biskup nie poddaje się jej zadaniom, zwraca się do prezydenta okręgu, a kiedy ten z kolei nie chce nic dla niej zrobić, dzwoni do Salt Lake, aż ktoś powie jej coś, czego może użyć, żeby cię zdruzgotać. Nie chce cię jednak uprzedzić do niej.

DeAnne powiedziała to, co zwykle mawiać, wiedząc, że należy odrzucić złośliwość:

- Wolalabym sama sformułować swoje poglądy.

Jenny spojrzała z ukosa, badając DeAnne przez chwilę, by oszacować, do jakich wniosków może się

posunac.

- Och, wiem, że brzmi to jak plotka. To jest plotka. Obiecuję ci jednak, że nie pisze ani słówka więcej na temat Dolores, chyba że sama o niej napomknie. Przypadkowo wiem z doświadczenia, że za jakieś sześć tygodni będziesz się cieszyć, wiedząc, że ktoś poza tobą patrzy jej na ręce. Tak powiedział Nuff. Może i jestem zbyt otwarta, wiem, wyrosłam jednak na rancho w Santaquin, gdzie nawóz był jedynym słowem, jakiego używaliśmy w kościele w niedzielę, tak więc mówię, co myślę. Przy okazji zauważyłam, że pilnujesz moich dzieci, odganiając je od rzeczy, a to oznacza, że twoje dzieci mają dobre maniery i są nauczone, żeby nie tłuc i nie niszczyć. Nasza strategia polegała na upewnianiu się, że nie mamy niczego, za czym byśmy tęsknili, gdyby się zniszczyło. Lecz coś ci powiem, skończyliśmy z książkami, pozwól więc, że uporam się z tą skrzynką i zaraz wyprowadzę stąd moje potworki, by mogły powrócić do rujnowania naszego mieszkania.

- Naprawdę nie myślałam...

- Kiedy chodzi o ważne sprawy, dbamy o swoje dzieci - powiedziała Jenny. - Przyjaciół jednej z sekretarek, gdzie pracuje mój maz, miał kuzynkę tu w mieście, która straciła swojego małego chłopczyka. Nie zorientowała się przez dziesięć godzin, że go brakuje. Czy możesz w to uwierzyć? Może i nie wiem, co me dzieciaki wyprawiają każdej sekundy, wiem jednak, gdzie przebywają.

- Jenny, lubię twoje dzieci, nie sprawiają mi kłopotu.

- To dobrze. Ja też cie lubię. Przyjdź do nas z rodziną wieczorem na kolację. Mieszkamy dwa bloki dalej w górę Chinqua Penn, o tam, skrećcie w prawo w Wally - to ulica, a nie zakamarek przy drodze - piąte drzwi po prawej stronie.

- Nie mogłabym obciążać cię przygotowaniem dla nas kolacji. Nasza kuchnia jest już zmontowana, więc...

- Jestem pewna, że obmyślasz sama jakąś kolację, żeby oderwać się od rozpakowywania - zauważyła Jenny.

DeAnne musiała przyznać jej po cichu rację, poza tym wciąż nie przestawała myśleć o tym, co powiedziała Jenny.

- Ta kobieta, której zaginęło dziecko. Czy je znaleźli?

- Nie wiem - odparła Jenny. - Nigdy tego nie słyszałam. A tak przy okazji, gdybyś się zastanowiła, nie jestem zwolenniczką południowej kuchni, wole zachodnią. Oznacza to, że nie będzie niczego spieczonego ani nawet podpiezonego. Gotuje też na modłę zachodnich ranczerów, nie zachodnich mormonów. To znaczy, że nie będzie się podawać żadnej potrawy z tunczyka albo galaretek, zamiast tego będzie rostbef z piekarnika i pieczone ziemniaczki w sosie gravy. Mam już prowiant dla całej waszej załogi, nie pozwólcie, żeby się zmarnował. Powiedz po prostu „tak” i przyprowadź rodzinę o szóstej.

Na tym się skończyło. Jenny uporowała się ze skrzynką, zawołała dzieci i wypadła za drzwi, dzieci próbowały dotrzymać jej kroku. DeAnne poczuła się ożywiona tą wizytą. Co więcej, poczuła się jak w domu, gdyż obecnie kogoś znała, miała przyjaciółkę.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans po drugiej. Powinna za dwie minuty być w szkole, żeby odebrać Steviego.

Pospieszyła do sypialni i wywlokła dzieciaki z łóżek. Robbie właśnie spał - musiał akurat teraz - kazała im zabrać skarpetki i buty do samochodu. Udala jej się dotrzeć na parking na wzniesieniu przy szkole dwadzieścia po. Plac rozbrzmiewał wrzawa miliarda samochodów i rodziców, a przynajmniej taka ich liczba, na którą parking nie był obliczony. Tony dzieci obciążały go dodatkowo, nigdzie jednak nie widziała Steviego. Musiał wyjść na pagórek, rozejrzeć się wokół, po czym zgodnie z wydanymi instrukcjami udać się pod sekretariat dyrektorki.

Zdołała w tym samym czasie włożyć dwa buty na stopy Elizabeth, Robbie sam poradził sobie z rzepami - Bogu niech beda dzieki za rzepy. Dochodziło już prawie pół do trzeciej, kiedy przywiodła dzieciaki przed fronton budynku. Ostatni z autobusów właśnie odjeżdżał. Stevie siedział w sekretariacie pani Mariner. Gdy tylko ją ujrzał, nie czekając sekundy dłużej wstał i ruszył ku drzwiom.

- Proszę chwilke zaczekać, pani Fletcher - powiedziała sekretarka.

DeAnne odwróciła się w jej kierunku.

- Jeśli nie może pani odebrać dziecka na czas, czy mogę zasugerować, żeby pozwoliła mi pani wracać autobusem? Lub zapoznać się z programem po zajęciach?

- Następnym razem będę o czasie - odparła DeAnne. - W wyjątkowych wypadkach pozwolimy mu wrócić autobusem.

- Ponieważ to pomieszczenie to nie przechowalnia dla dzieci, tylko gabinet, w którym się pracuje - dodała sekretarka.

- Tak, przykro mi. To się już nie powtórzy.

- Bardzo tu lubimy dzieci - kontynuowała sekretarka - lecz musimy zarezerwować to miejsce do załatwiania spraw osób dorosłych, doceniamy więc, kiedy nasi rodzice są rozważni na tyle, aby nie...

- Tak - przerwała DeAnne. - Mogę obiecać, że jedynym powodem, dla którego nie odbiorę dziecka następnym razem, będzie moja śmierć. Dziękuję bardzo. - Gotując się w środku, wyszła na korytarz, z Elizabeth na biodrze i Robbiem z tyłu. Stevie oczekiwał przy frontowych drzwiach szkoły.

- Nie spóźniłam się bardzo - powiedziała DeAnne. - Myślałam, że klasa nie wyjdzie tak szybko, dlatego czekałam na górze.

Stevie kiwnął głową, nic nie mówiąc. Gdy tylko go dogoniła, ruszył razem z przodem, prowadząc w kierunku schodów wiodących na szczyt.

Robbie wyrwał się z uścisku matki i dopędził Steviego, lecz jego niezmordowana przemowa nie zdołała przełamać milczenia brata. Musi być na mnie naprawdę zły, pomyślała DeAnne, Zwykle już po trzydziestu sekundach Robbiemu udawało się, rozproszyć dasy brata.

Kiedy doszli do auta, DeAnne powtórnie przeprosiła za spóźnienie, lecz Stevie ciągle się nie odzywał, usiadł tylko na przednim siedzeniu, gdy ona zapinała dzieciom pasy bezpieczeństwa.

- Czy Stevie jest na mnie wkurzony? - zapytał Robbie piskliwym głosem.

- Sądzę, że jest wkurzony na mnie - odpowiedziała DeAnne. - Nie przejmuj się.

Wsiadła do samochodu i wycofała się z parkingu, lawirowała wąską uliczką otoloną pasem drzew, w końcu wydostała się, na główną drogę. Dopiero wtedy mogła zerknąć na Steviego.

- Proszę, nie gniewaj się na mnie, Stevie. To się już więcej nie powtórzy.

Potrząsnął głową i srebrna łza spłynęła mu po policzki, skrzył się w słońcu, aż w końcu spadła na ziemię. On się nie dał, on płakał.

Ujęła go za dłoń.

- Och, Stevie, o co chodzi, kochanie? Czy było aż tak źle?

Znowu potrząsnął głową; nie chciał jeszcze o tym mówić. Nie cofnął jednak ręki. Tak więc nie nienawidził jej za to, że się spóźniła; kiedy nadejdzie odpowiednia pora, opowie, co się wydarzyło, zaakceptuje wszelkie słowa pocieszenia, jakich DeAnne mu udzieli. Trzymała go za rękę całą powrotną drogę do domu.

Nie chciał nic przekazać, poszedł prosto do swojego pokoju. Nie dopuszczał do siebie Robbiego, któremu trzeba było niemal przygwozdzic stopy do posadzki w kuchni, żeby ten cel osiągnąć. Ostatecznie przyrzadziła Elizabeth i Robbiemu jedzenie, po czym postanowiła, że się przejeżdża. Przez cały dzień dzieci gniezdziły się w domu, a chociaż był to pierwszy tydzień marca, to zima była ciepła, płatek śniegu nie spadł nawet w Indianie. Niemal zawsze, odkąd przyjechali do Steubena, pogoda była przyjemna. Mogli podczas spaceru upewnić się przy świetle dziennym, który z domów należy do państwa Cowper.

Zerknęła do pokoju Steviego. Leżał na łóżku, patrząc w drugą stronę.

- Stevie, kochanie, chcemy się trochę przejechać?

Baknął, że nie.

- Mam zamiar pozamykać drzwi. Nie będzie mnie tylko przez kilka minut, okej? Lecz jeśli coś się stanie, będziemy w pobliżu, nie znikniemy z pola widzenia, okej?

Skinał głową.

Na ulicy po raz pierwszy uswiadomiła sobie, że nie ma żadnych chodników. Nie mogli nawet spacerować po trawie - ludzie sadzili żywopłoty tuż przy jezdni. Co za głupota, co za brak wyobraźni! Gdzie dzieci jeżdżą na rolkach? Gdzie można uczyć dzieci chodzić, tak by były bezpieczne? Być może mieszkańcy Steubena nie spostrzegli jak dotąd, że dzieci od czasu do czasu giną na drogach.

Znowu poczuła się jak w pułapce. Jakby zauważyła nieoczekiwanie, że będa musieli mieszkać w domu bez ciepłej wody i ubikacji. Co za interes sprowadził mnie w to zacofane miejsce? W Utah chodziłyby po chodniku, nie martwiłabym się o ich bezpieczeństwo.

W Utah.

Czy jestem jednym z tych mormonów, którzy sadzą, że wszystko, co jest inne niż w Utah, jest złe? Odpędziła od siebie te myśli i zaczęła przekazywać dzieciom zmodyfikowaną wersję lekcji chodzenia po chodniku.

- Trzymajcie się blisko krawężnika, a kiedy tylko się da, schodźcie na trawnik.

Robbie odbijał czerwoną piłeczkę o asfalt, kiedy spacerowali. Była to jedna z tych pustych kauczukowych piłeczek o średnicy około czterech cali, dość mała, by dziecko mogło się nią bawić, i wystarczająco duża, żeby łatwo się nie gubiła.

- Wolalabym, żebyś jej nie zabierał z sobą, Robbie - powiedziała DeAnne.

- Sama mówiłaś, że to zabawka na dwór, a przecież jesteśmy na dworze.

- Posłuchaj, jeśli polecisz na jezdnię, nie wolno ci od razu za nią biec, zamiast tego poczekaj, aż stoczysz się do jednej z krawędzi, rozumiesz?

Robbie kiwnął głową zamaszście; nie przestawał kiwać, nie dlatego, żeby zdenerwować matkę, ale ponieważ kiwanie tak przesadzonym ruchem sprawiało mu frajdę.

- Popatrz, mamo, cały świat podskakuje w górę i w dół!

Oczywiście nie przestał odbijać piłeczki i zdarzyło się to, co nieuniknione w takiej sytuacji: piłeczka odbiła się od buta i odskoczyła, potoczyła się na jezdnię, a potem z powrotem do krawężnika, gdzie znikła.

- Moja piłka! - wrzasnął Robbie. - Wpadła do dziury!

Bez wątpliwości piłeczka, nie błądząc ani nie zbaczając, znalazła drogę do klatki sciekowej i wtoczyła się prosto do środka. Po raz pierwszy DeAnne zrozumiała, jak naprawdę wyglądają takie klatki sciekowe, znowu się przeraziła. Były olbrzymimi szczelinami przy krawężniku, a kanał sciekowy wyprofilowano ostro w ten sposób, by poprowadzić do nich wodę. W efekcie każdy przedmiot, jaki znalazłby się w pobliżu, zostałby zassany do środka. Szczelina miała tak duże rozmiary, że małe dziecko swobodnie by się w niej zmieściło. Naturalnie ludzie konstruujący drogi bez chodników nie mieli nic przeciwko studzienkom sciekowym, w które mieszcili się dzieci.

- Mamo, wyciągnij ją!

DeAnne westchnęła i posadziła Elizabeth na trawniku sąsiada.

- Siedz przy siostrze i nigdzie nie pozwól jej się ruszać, Robbie.

Naturalna kolejka rzeczy Robbie chwycił ramię Elizabeth, która zaczęła płakać.

- Co nie znaczy, że masz ją przygnieść do trawy, Robbie.

- Chciała wyjść na jezdnię - tłumaczył Robbie. - Ona jest naprawdę głupia, mamo.

- Ona nie jest już głupia, Robbie. Ma dwa lata.

- Czy ja wychodziłem na jezdnię, kiedy miałem dwa lata?

Elizabeth przestała krzyczeć i wyrwać trawę z trawnika sąsiada.

- Nie, Robbie. Ty zbyt się bałeś, że wyjedzie motocykl. Motocykle ci przesładowały. Sniles o tym, że

złapia cie i zjedza. Nie wychodziles wiec nigdy na jezdnie, bo tam wlasnie czail sie Czlowiek Motor.

DeAnne zblizyla sie na czworakach do krawedzi studzienki sciekowej, próbujac zajrzec do wnetrza. Bylo jednak za ciemno.

- Nic tu nie widze - powiedziala DeAnne. - Przykro mi, Robbie. Naprawde szkoda, ze zabrales na spacer pilke.

- To znaczy, ze nie chcesz siegnac i zapolowac na nia.

- Nie, Robbie, nie chce - odrzekla DeAnne. - Nic tam nie widze. W dole moze byc wszystko.

Nagle sie przestraszyl.

- Na przyklad co?

- Mam na mysli, ze nie wiadomo co sie tam zebralo i nie mam zamiaru w tym grzebac. O ile wiem, dól ma z osiem stóp glebokosci, poza tym pilka mogla odplynac tak daleko, ze jest juz gdzieś w polowie drogi do Hickey's Chapel Road. - Podniosla Elizabeth i chwycila Robbiego za reke, po czym pomaszzerowali w kierunku, gdzie mieszkali panstwo Cowperowie.

- Stevie powiedzial, ze to zle miejsce.

- Co Stevie powiedzial?

- Zle miejsce - upieral sie Robbie, cedzac wolno slowa, jakby matka byla przyglucha.

Co Stevie mógł miec na mysli, mówiac Robbiemu takie rzeczy? Czy miał na mysli mieszkanie? Sasiedztwo? Szkole? Steuben?

Po raz kolejny Robbie spojrzal przez ramie w kierunku studzienki.

- Myslisz, ze kiedyś znajda moja pileczke?

- Jesli nie ulegnie biodegradacji, doczeka z pewnoscia Powtórnego Nadejscia.

Robbie wciaz staral sie zrozumiec znaczenie ostatniego zdania, kiedy dotarli do drugiego rogu. DeAnne zatrzymala sie i policzyla piec domów po prawej stronie. Domostwo Cowperów bylo parterowym, ceglany budynkiem, na podjezdzie stala zaparkowana furgonetka, na która próbowali sie wdrapac dwaj malcy. DeAnne nigdy nie zezwolilaby dzieciom wspinac sie na samochód. Mogly przeciez spasc. Mogly cos zniszczyc. Masko samochodu byla uniesiona i po chwili przygladania sie zobaczyła wynurzajaca sie zza niej Jenny, która najwyrazniej majstrowala przy czymś wewnatrz. Jenny rozprostowala kosci, rozejrzala sie wokól i spostrzegla DeAnne. Pomachala szara rzeczka przypominajaca paczka, która zaciskala w dloni. DeAnne tez machnela w odpowiedzi.

DeAnne nie doslyszala, co krzyczala Jenny, poza tym poczula sie zazenowana tym, ze ktos do niej wola na ulicy. Tak wiec pomachala powtórnie, jakby potwierdzajac slowa Jenny. Informacja z pewnoscia brzmiala: „Do zobaczenia o szóstej” albo: „Mamy ladna pogode”. Jenny przywolala swoje stadko i pognala je do mieszkania.

- Kicius! - wrzasnela Elizabeth prosto w ucho DeAnne. - Kicius! Kicius!

Czarny jak smoła kociak przemknął po jezdni tuż przed przejeżdżającym pojazdem, W ostatnim momencie umknął spod kół. Samochód nie zamierzał zwalniać ani się zatrzymać. Obawy DeAnne dotyczące niebezpieczeństw czyhających przed samym domem tylko się potwierdziły.

- Rany - rzekł Robbie. - Mogliśmy mieć pizzę z kota.

Jeszcze jeden Stepizm.

Kot podążył wprost do studzienki sciekowej i zniknął.

- Mamo! - krzyknął Robbie. - Wstretna dziura, już go ma!

Robbie przebiegł kilka kroków w stronę kanału. Nagle zdał sobie sprawę, że nie znajduje się już pod opieką mamy i zaczął biec z powrotem. Nie mógł sobie jednak darować, że porzucił kiciusia, stanął więc, uderzając się piastkami w uda i ponaglając matkę, żeby się pospieszyła, pospieszyła!

- Słoneczko, kicius prawdopodobnie cały czas schodzi do tej dziury i się bawi.

Lecz Robbie nie słuchał tych wyjaśnień.

- Waz go porwał, mamo! Musisz go uratować, musisz!

Oczywiście, Robbie nie wyobraziłby sobie weza tam w dole. Step pewnego razu zabrał ich do muzeum nauki, gdzie widzieli weza pozerającego mysz. Robbie nie potrafił zapomnieć tamtego widoku. Weze wyparły Człowieka Motora.

Uklekła przy nim, objęła go uspokajająco.

- Robbie, obiecuje ci, tam nie ma żadnych wez. Kiedy tylko pada deszcz, cała woda spływa do studzienki, gdyby tam zamieszkały jakieś weze, już wiele lat temu woda wypłukałaby je do oceanu.

- Wstretna dziura łączy się z oceanem? - zapytał Robbie.

- Wszystko się z nim łączy - odpowiedziała DeAnne.

- Rany, super.

Robbie okrzyknął studzienkę szerokim łukiem, a w czasie gdy DeAnne stała przy drzwiach wejściowych, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków, zatrzymał się przy brzegu i zajrzał z powrotem do wstretnej dziury.

- Co się stanie, jeśli zacznie padać deszcz, zanim kicia wyjdzie z dziury, mamo? - zainteresował się.

- Nie będzie padać jeszcze przez wiele dni, w tym czasie kot zgłodnieje i wróci do domu - odparła DeAnne. Zdolała wreszcie otworzyć drzwi. - No dalej, wracaj do środka, Robbie.

- Myślisz, że kicius bawi się tam na dole moja pileczka? - zapytał, przechodząc przez próg.

- Kicius - powiedziała Elizabeth. - Stretna dziura. Wszystko zginęło.

- Co ja z toba mam - westchnęła DeAnne. - Wygląda na to, że nic nie da się przed toba uchronić, Elizabeth.

- Pic - zazała Elizabeth.

Robbie tymczasem pomknął do pokoju, który dzielił ze Steviem, już od progu wykrzykując historie o pieszczotach i kiciusiu, i wstretnej dziurze. DeAnne uśmiechała się, zabierając Elizabeth do kuchni, żeby przygotować jej coś do picia. Jeśli ktoś był w stanie wydobyć Steviego z marazmu, tym kimś był Robbie.

Chwile później Robbie wrócił do kuchni z nosem spuszczonej na kwintę.

- Mamo, Stevie powiedział mi: „Zamknij się i umrzyj”.

- Co? - zdziwiła się DeAnne.

- On już nie chce młodszego braciszka, mamusi - stwierdził smutnie Robbie.

DeAnne postawiła Elizabeth na posadzce.

- Zostan przez chwilę z siostrą, zgoda?

- Mogę włączyć telewizor?

- Kabel nie jest jeszcze podłączony, nie ma więc na co patrzeć - powiedziała. - Leczyć rób, jak chcesz.

Znalazła Steviego leżącego na łóżku dokładnie w tej samej pozycji, co w momencie poprzedzającym wyjście na spacer.

- Synu? - zwróciła się do niego.

- Tak? - wymamrotał.

- Synu, usiądź, proszę, i spójrz mi w oczy.

Usiadł i spojrzał jej w oczy.

- Proszę, nie mów już nigdy bratu takich strasznych rzeczy.

- Przepraszam - odpowiedział.

- Naprawdę powiedziałeś mi: „Zamknij się i umrzyj”?

Stevie potrząsnął głową.

- Nie tak do końca.

- Co w takim razie powiedziałeś?

- Kazałem mu się zamknąć, a kiedy nie chciał przestać wrzeszczyć o wezu pozerającym kotka, powiedziałem mu po prostu: „Idź się utop”.

- Gdzie wcześniej slyszales takie wyrazenie?

- Kazdy tak mówil w mojej dawnej szkole, mamó. To nie znaczy tak naprawde, ze chce jego smierci.

- Sluchaj, Robbie jeszcze tego nie rozumie. Nie mozesz mówic takich rzeczy, nawet w zartach. Nie do własnego brata.

- Przepraszam.

Wygladal jak siedem nieszczesc. DeAnne potrafila zrozumiec, jak to sie stalo, ze po latach spedzonych we wspólnym pokoju z Robbiem, typowym ekstrawertykiem, Stevie mógł przezywac chwile irytacji, gdyz kiedy juz Robbie pomyslal o czymś, co mozna powiedziec, mówil to, nawet blagany o milczenie. Po prostu nie umial zdusic w sobie jakiegokolwiek problemu. Na cud zakrawalo, ze Stevie byl taki cierplivy w stosunku do brata.

- Mnie tez jest przykro - wyznala DeAnne. - Nie powinnam byla cie tak bardzo obwiniac. - Usiadla przy nim na skraju lózka i objela go. - Miales dzisiaj ciezki dzien, a ja ci wcale nie pomagam.

- Wszystko w porzadku, mamó.

- Nie mozesz mi powiedziec, co zdarzylo sie w szkole?

- Nic sie nie zdarzylo - odparl Stevie.

- Poznales jakichs kolegów?

- Nie! - odpowiedzial na tyle porywczo, ze wiedziala, iz wiele mógłby dodac.

- Byli dla ciebie nieznosni?

- Nie - odpowiedzial.

- Czy pani Jones jest mila nauczycielka?

Najpierw skinal glowa, potem wzruszyl ramionami.

- Dostales zadanie domowe?

Potrzasnal glowa.

- Chcesz, zebym zostawila cie samego na troche dluzej?

Przytaknal.

Poczula sie taka niepotrzebna.

- Kocham cie, Stevie - powiedziala.

Wymruczal cos, co mogloby oznaczac: „Ja cie tez”, a kiedy wstala, polozyl sie z powrotem i zwinal w klebek.

Opuszcila pokój, czujac sie mocno przygnębiona. Schodzac, slyszala telewizor włączony w sasiednim pokoju. Robbie przelaczal po kolei wszystkie programy, tak ze dzwiek oscylowal pomiedzy glosnym syczeniem i bardzo znieksztalconym odbiorem lokalnych stacji. Przez krótka chwile nie mogla zdobyc sie, by wejsc do pokoju, w którym przebywały dzieci. Miała rozpoznawac ich potrzeby i je zaspokajac, tymczasem zawiodla, gdyz za slabo znala psychike własnych dzieci.

Podeszla do drzwi wyjsciowych, otworzyla je i wyszla na ganek. Później, na przekór zdrowemu rozsadkowi, podeszla do kraweznika, aby spojrzec w strone studzienki sciekowej. Wstretnej dziury. Po prostu, zeby przekonac sie, czy kotek juz wyszedl.

Z pewnoscia wyszedl, kiedy byla w mieszkaniu, zatem na absurd zakrawalo stanie w tym miejscu i obserwowanie. Powinna wrócić. Natychmiast. To byla glupota.

Katem oka dostrzegla jakis ruch. Odwróčila sie w strone domu, a tam, na podwórku, miedzy budynkiem a ogrodzeniem sasiadów, stal szary królik. Robbie mówil, ze widzial jednego, nie wierzyla jednak, ze dziki królik mógłby mieszkac w sasiedztwie. Przez moment patrzyl na nia bez leku, a potem pokical za dom.

Podazyla za nim w nadziei, ze dostrzeze, gdzie ucieka. Króliki moze sa fajne i puszyste, ale przeciez tak jak szczury i myszy moga przenosic choroby. Musiala dowiedziec sie, gdzie zyje albo przynajmniej - skad przyszedl. Lecz kiedy wyszla za dom, nie bylo po nim sladu.

Skradala sie wzdluz ogrodzenia z drewnianych sztachetek, by wypatrzyc, pod która mógł sie przedostac, nie zauwazyla jednak zadnych dziur wielkosci królika. Zbadala takze plytki, którymi wylozono podstawe domu, choc sama mysl, ze pod jej domem mógł zagniezdziec sie królik, wywoływala u niej dreszcze. Nienawidzila sposobu, w jaki poludniowcy wznosza domy, zaczynajac bezposrednio na poziomie ziemi, nie dbajac o przyzwoity, betonowy fundament, jaki powinien miec kazdy budynek. Pod dom moglo dostac sie cokolwiek - musialo tam sie roic od pajeczyn i zuków, i nie wiadomo jakich innych paskudnych stworzen, dokladnie tam, gdzie krzyzowaly sie z soba wszystkie przewody, kable i rury centralnego ogrzewania. Czula sie naga, miala wrazenie, ze dom jest calkowicie obnazony pod swym miekkim brzuszkiem.

Nie wygladalo jednak na to, by istnialo jakies miejsce, gdzie królik mógł przeniknac pod budynek. Po prostu rozpuscil sie jak kamfora. Moze przedostal sie na podjazd i z powrotem przed dom, podczas gdy ja myszkowalam po drugiej stronie, pomyslala.

Powróčila przed dom i z przerazeniem stwierdzila, ze drzwi wejsciowe stoja otworem. Nigdy tak nie postepowala - miala bzika na punkcie zamków. Tym razem musiala sie zapomniec. Najzwyczajniej w swiecie wychodzilam na werande, przypomniala sobie. Nie nosilam sie z zamiarem spacerowania po podwórku za domem w poszukiwaniu królika.

To nie bylo usprawiedliwienie.

Kiedy spieszyla w kierunku drzwi, jakis mezczyzna przestapil próg. Byl w jej domu! Nieznajomy! Sam z dziecmi! Krzyknela.

Spojrzal na nia, przestraszony i zaklopotany. Starszy czlowiek, biale wlosy sterczaly niczym piórka pod czapka baseballowa.

- Prosze pani, przepraszam...

- Co pan robił w moim domu?! - Pokonała jakos dzielaca ich przestrzen i przemknela obok, by stanac w przejsciui miedzy nim a dziecni.

- Proszę pani, drzwi zastałem otwarte. Wolalem i wolalem...

Krzyknęła przez ramie:

- Robbie! Robbie, czy wszystko w porządku?

- Proszę pani, musi pani zrozumieć...

- Precz stąd, zanim wezwę policję - powiedziała. - Jeżeli w jakiś sposób skrzywdził pan moje dzieci...

- Proszę pani - powtórzył - kiedyś tu mieszkałem. Nie pozbyłem się jeszcze przyzwyczajenia swobodnego wchodzenia do środka. Nie powinienem być tego czynić, wiem, jest mi tak wstyd, że panią wystraszyłem, zrobiłem błąd i proszę o wybaczenie, czasami wydaje mi się, że wciąż mieszkam w kraju, kiedy otwarte drzwi oznaczają: „Wejdz do środka, ktoś jest w domu”.

Robbie zjawił się za jej plecami.

- Wolalas mnie, mamo?

- Co z twoją siostrzyczką?

- Złapaliśmy kiepski program w telewizji i ogląda faceta, który strzela ludziom w głowę.

- Dzięki, Robbie.

- Mogę już wracać, mamo?

- Tak, proszę bardzo, dziękuję.

- To dom mojego syna, Jamiego... - starzec wznowił swe przeprosiny.

- To nie daje panu jeszcze prawa...

- Zdaje sobie sprawę, jak już powiedziałem, myliłem się bardzo i przykro mi, nigdy już tego nie zrobię. Ale proszę pani, nie powinno się zostawiać drzwi otwartych. Ludzie w mieście wystrzegają się tego. Więc gdy ujrzałem je otwarte, postąpiłem jak zwyczajny prowincjusz i nawet dwa razy nie pomyślałem. Gdyby były zamknięte, zastukałbym i poczekał.

- Nie powinnam zostawiać ich otwartych - przyznała DeAnne. - To było nierozważne. Głupie.

- Bez przesady, nie głupie. Powiedziałbym raczej, że postąpiła pani ufnie i wręcz miło. Chociaż mam nadzieję nigdy nie napatoczyć się na panią w taki sposób, bo okrzykiem budzi pani umarłych.

DeAnne rozglądała się dokoła zazenowana. Najwidoczniej nikt jednak nic nie słyszał, a przynajmniej nikt nie szarżował ze swego mieszkania, słysząc głos kobiety krzyczącej o tej porze.

- Proszę pani, tylko po to wpadłem tutaj, żeby powiedzieć wam, że przez ostatnich piętnaście lat

troszczyłem się o ten dom, odkąd mój chłopak wybudował go dla mnie i mojej pani, tyle tylko że umarła biedaczka, a mojego chłopca opuściła żona. Czułem się samotny w tym miejscu i chciałem, żeby mi towarzyszył, potrzebował też pieniędzy za wynajem domu, by opłacić utrzymanie dziecka, wie pani, jak to jest. Przeprowadziłem się. Spędziłem tu tej zimy najsamotniejsze święta Bożego Narodzenia w życiu i chyba jestem zadowolony, że wyniosłem się stąd, i na pewno jestem zadowolony, myśląc o rodzinie, jaka się tu pojawiła. Cóż, w następnym Bożym Narodzeniu Święty Mikołaj odwiedzi ten dom, niech pani tylko o tym pomyśli!

Teraz, kiedy opuszczał ją strach, dostrzegła w tym staruszku niegroźnego człowieka.

- Nazywam się Bappy Waters - powiedział.

- Pappy? - zapytała DeAnne.

- Bappy, przez B. Skrót od prawdziwego imienia, które brzmi Baptize.

- E, chyba nie - powiedziała DeAnne.

- O, tak. Mój papa był kaznodzieją baptystów, wierzył w chrzest, tak jak inni wierzą w powietrze. Chrzest to remedium na wszystkie dolegliwości. Niektórzy ufają doktorom albo nawet nakładaniu rak, lecz papa... on po prostu pchał cię do wody i trzymał w niej tak długo, póki diabeł nie dał drapaków. Był głęboko wierzącym baptysta ten mój papa, a ja byłem jego pierworodnym. A na dodatek to nasze nazwisko Waters, moje imię musiało już tak brzmieć, nie inaczej, jeśli o tym pomyśleć. Co prawda uważał się, że ochrzcił mnie Baptize All God's Children in the Holy, lecz mama wtraciła swoje trzy grosze mówiąc, że jeśli nazwie tak dziecko, zasłuży na to, że kiedy chłopiec dorosnie, zastrzeli go, a każdy sąd wyda wyrok, że sprawiedliwości stało się zadość. Nie chciałem tam być, słuchając tej rozmowy, proszę zauważyć, lecz tak mi opowiadano, może być pani pewna.

DeAnne nie potrafiła opanować śmiechu. Ze staruszka był nie lada bajerant. Mogła zrozumieć, jak człowiek ze wsi, syn kaznodziei, mógł zachować się przy otwartych drzwiach odmiennie od przeciętnego mieszczucha. Jak jego wkroczenie do środka nie znaczyło nic strasznego. W rzeczywistości przyjemnie jest wyobrazić sobie życie w łatwiejszych czasach, kiedy mogła zostawić otwarte drzwi, a przypadkowy gość, wtykając głowę do środka, zastałby cię w kuchni piekącego chleba lub wycierającą podłogę, a ty, porzucając swoje obowiązki, poczęstowałabyś go lemoniadą i zabawiła pogawędką. W czasach przed telewizją i telefonami, i pilnymi sprawami. Bappy Waters był gościem z łatwiejszych czasów.

- Co w takim razie pana tu sprowadziło?

- No wie pani, znam ten dom na wskroś. Gospodarzyłem tu przez piętnaście lat. Jeśli coś się zepsuje, zatka rura z wodą, kabel się rozłączy, no cóż, mam narzędzia i doświadczenie, wiem, gdzie co jest. Dlaczego więc kazać jakiemuś nieznajomemu człogac się na stryszku lub szperac pod podłogą, kiedy ja wiem dokładnie, co się gdzie znajduje, a poza tym ja wam to załatwię za darmo.

- Och, nie osmieliłabym się prosić...

- Zwyczajnie chronię własność syna, proszę pani.

- Proszę mówić mi DeAnne.

- No dobrze, z przyjemnością. Znałem kiedyś jedną DeAnne, była najsliczniejszym stworzeniem w hrabstwie. Umarła, będąc jeszcze dziewczynką, utopiła się, kiedy jej chłopak, prowadząc po pijanemu,

wjechał do Dan River w czasie wiosennego wylewu. W tamtych dniach w hrabstwie jeździło ledwie pół tuzina samochodów, gniebilo nas bezrobocie i w ogóle. Chociaż mówiac prawdę, w hrabstwie Gary kryzys nastąpił gdzieś w połowie wojny między stanami, nie popuścił aż do dzisiaj. - Zasmiał się, a ona z nim razem.

- Tak na marginesie, twoje dzieci właśnie oglądają telewizję, mógłbym z miejsca podłączyć kabel.

- Jeszcze nie zapłaciliśmy za kablówkę.

- Nic prostszego, krótki spacer do biura, placisz i wszystko gra. Dają ci wtedy skrzynkę, jeżeli chcesz jakieś programy ekstra. Lecz dom jest podłączony jak należy, mówię ci, wkładasz po prostu wtyczkę do ściany; kiedy zwracałem swoją skrzynkę pod koniec grudnia, to oni postanowili zostawić tu wszystko podłączone, nie ma więc mowy o kradzieży czegośkolwiek.

- No cóż, w takim razie kaze meżowi podłączyć kabel - powiedziała. - Kiedy wróci do domu, czyli już zaraz.

Bappy, pokiwał głową, dotknął brzegu swojej baseballówki.

- To zrozumiałe. Po tym, w jaki sposób zastałaś mnie w obejściu, nie masz zbyt wielkiej ochoty wpuszczać mnie do środka, nie mam o to ani odrobiny pretensji. Coś ci powiem, tutaj jest mój numer. Już go zdążyłem zapisać na kartce. Jeśli coś niedobrego wydarzy się w domu, byle co, proszę dać mi znać. To do domu, który obecnie dzieje z Jamiem, zawsze można mnie tam zastać, a kiedy nie można, maszyna odbiera, uwierzysz? Jeśli czegoś sam nie będę potrafił naprawić, zwołam kogo trzeba.

- Dziękuję - powiedziała, przyjmując karteczkę.

- Czasy są ciężkie, a komorne dostatecznie wysokie, żebyście nie musieli martwić się o koszty napraw i takich rzeczy. Traktujcie to jako rabat. - Znowu wyszczerzył zęby, dotknął brzegu czapeczki, wycofał się na podjazd i potem skręcił w lewo, za dom. To powtórnie napelniło ją trwogą: dokąd on idzie?

Podeszła do miejsca, gdzie za rogiem budynku podjazd łączył się z pasem zrywopłotów, przybyła właśnie odjeżdżał niewielkim pikapem ze sprzętem ogrodniczym i kilkoma sporymi metalowymi skrzynkami na narzędzia ułożonymi zgrabnie na przyczepce. Wychylił się z okna, by zobaczyć, jak mu idzie wycofywanie i oczywiście zauważył ją mijając. Zatrzymał pikapa.

- Miło było cie spotkać - powiedział.

- Pana również - odrzekła, choć nie było to dla niej aż tak miłe spotkanie. No tak, prawdę mówiąc, było miłe, kiedy opuścił ją pierwszy strach, tylko wciąż czuła pewien niepokój; chociaż wszystko już rozumiała, ciągle jej serce biło tak silnie, że czuła pulsowanie w głowie.

- Hm, nie wiem, jak to wyrazić, wygląda na to, że wpadłaś w nałóg, który trzeba zniszczyć najsciamy w moim stylu. - Wskazał na drzwi.

Odwróciła się. Powtórnie zostawiła je otwarte. Odwróciła się ponownie, wściekła na siebie, z zamiarem wytłumaczenia się - po prostu podeszła na podjazd, by sprawdzić, co on robi. Samochód wyjeżdżał jednak już na drogę, kierowca podśmiewał się pod nosem, na to przynajmniej wyglądało. Na koncu pomachał beztrząsco i odjechał.

Kiedy tylko wróciła do środka, musiała zaryglować drzwi, przejść się po całym domu, zaglądając za

wszystkie meble, sprawdzając zakamarki, łazienki, kredens - żeby przekonać się, że nic nie wziął, nie przestawił, nie zostawił, niczego nie tknął. Zaprzagnęła powyciągać wszystko i umyć. A gdzieś w zakamarkach umysłu tłukło się pytanie - a jeśli coś oprócz starego Bappy'ego wkradło się do mieszkania, być może przed nim, a teraz ukrywało się w ciszy, czekając, aż wszyscy położą się spać?

Kiedy spacerowała po mieszkaniu, miała świadomość, że to irracjonalne sprawdzać wszystko w ten sposób, tak jednak postępowała jej matka, kiedy wracali do domu z wycieczki. Poza tym, jeżeli DeAnne pomyślała już o możliwości przeniknięcia do domu jakiejś obcej istoty, musiała się przekonać. Nie umiała po prostu zapomnieć. Jej umysł działał inaczej.

Wrzasnęłam, na podwórku przed domem, krzyk był donosny, ale ani jeden sąsiad nie wyjrzał, żeby sprawdzić, z jakiego powodu.

Step zadzwonił o 17:30, uprzedzając, że się spóźni, lecz jeden z kolegów z pracy podrzucił go do domu. Nie chciał, by czekać na z obiadem. Kiedy wspomniała o kolacji u Cowperów, rzekł: „Weź moje zdjęcie i powiedz, że jestem podłym mężem, który jeszcze nigdy nie wrócił na czas do domu, odkąd pracuje w Eight Bits Inc.”.

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała DeAnne.

- I prawdziwe.

- Proszę, bądź w domu przed ósmą, dobrze? Stevie miał dziś w szkole okropny dzień i nie chce ze mną o tym porozmawiać.

- No tak, pora na rozmowę ojca z synem.

- Jeszcze go takiego nie widziałam, Step.

- Wróć.

Zabrała dzieci do Cowperów, zrobił się z tego niezły cyrk. Dzieciaki Cowperów były tak niedyscyplinowane - biegały wokół i pokrzykiwały dziko - że Robbie wkrótce dołączył do nich, a Elizabeth tylko dlatego pozostała na miejscu, że DeAnne mocno ją trzymała. Stevie dla odmiany siedział przy stole i grzecznie zjadał wszystko, co mu podawano. Niskim głosem odpowiadał na pytania, samemu nie wychylając się z zadnym. DeAnne dreczyło podejrzenie, że cokolwiek wyprowadziło Steviego z równowagi w szkole, nie było dłużej powodem jego zachowania. To, co teraz w nim dostrzegła, to pośpieszność i urazę. Biernie okazywana złość. Stewiego w jakiś sposób skrzywdzono w szkole, obecnie był po prostu wściekły.

Cowperowie tymczasem nie mieli pojęcia, że coś nie gra. Może dlatego, że nie zwracali nigdy uwagi, co robią ich dzieci, zostali przy stole i rozmawiali przez chwilę po kolacji. DeAnne nie potrafiła sobie przyswoić ich nastawienia do opieki nad dziećmi. Poczula nieodpartą potrzebę sprawdzenia, co dzieje się z Robbiem i czy jest bezpieczny. Kto wie, jakie szalone zabawy mogą wymyślić dzieci Cowperów? Czy nie widziała, jak tego popołudnia wspinają się na dach samochodu? Podczas rozmowy po kolacji ogarniał ją coraz wyraźniejszy niepokój; używając jako wymówki zbliżającej się pory położenia Elizabeth do łóżka i prawdopodobieństwa przyjazdu meza, o siódmej trzydziestu zdecydowała wrócić do domu.

Na zewnątrz było mrocznie, przez całą drogę powrotną Robbie opowiadał Stewiemu przygody z

wczesniejszego spaceru. Robbie obszedl wstretna dziure z daleka, przykazujac reszcie, zeby byla rownie ostrozna. Mimo to Stevie obral kurs prosto przed siebie, mijajac dziure tak blisko, jak to tylko mozliwe, co napadzilo Robbiemu strachu.

- Stevie - powiedziala DeAnne. - Mozesz byc na mnie obrazony, ale Robbie nie zrobil ci nic zlego.

Po chwili Stevie odezwal sie:

- Przepraszam, Robbie. Nastepnym razem bede uwazal.

To zmniejszylo wzburzenie Robbiego - taka byla prawda: jesli Robbie byl w poblizu, Stevie nie mógł zrobic nic zlego. Robbie chyba urodzil sie z darem - albo tez z klatwa - empatii. Jesli Steviemu, Elizabeth, Stepowi lub DeAnne bylo przykro, Robbie niemal wpadal w szal, gdyz zdawal sobie sprawe z wlasnej niemocy. Musial cos zrobic, zeby im pomoc, lecz w wieku czterech lat nie mial pojecia, co by to moglo byc. Niemal cale zycie przede wszystkim zwracal uwage na innych. DeAnne zadawala sobie pytanie, czy milosierny, chrystusowy charakter jest czymys nabytym, czy tez nalezy sie z tym urodzic. Moze cale chrzescijanstwo polega na tym, zeby zaszczepiac normalnym smiertelnikom przekonanie, ze powinni zyc, czuc i myslec w sposob wlasciwy nielicznym, specjalnym ludziom, których natura obdarzyla szczególnymi darami. W takim wypadku wiekszosc wierzacych mogla skonczyc sfrustrowana niemoznoscia sprostania wymaganiom albo sprostaniem im i nieodczuwaniem radosci ze stlamszenia naturalnych instynktów.

Nonsens, stwierdzila. Nasz wybor ksztaltuje nasze osobowosci. Robbie jest tak przejmujaco litosciwy, gdyz taki jest jego duch, zawsze byl, na dlugo przed narodzinami chlopca. A jesli ja nie jestem taka dobra osoba jak on, nie znaczy to wcale, ze nie moze taka nauczyc sie byc. Wierzyc w cos innego oznaczaloby poddac sie rozpaczy.

Wierzyc w cos innego oznaczaloby odrzucenie wszelkich decyzji, jakich dokonala w zyciu.

O ósmej Stepa nie bylo jeszcze w domu. DeAnne ulozyla Elizabeth i Robbiego do lozek, pozwalajac jednak Steviemu nie klasc sie jeszcze przez jakas chwile, dopóki nie wróci Step.

- Usiadz i poczytaj mi ksiazke.

Usiadl przy niej, mowiac:

- Nie mam ochoty na czytanie.

- Zobaczmy w takim razie, co jest w telewizji.

Niestety, z powodu nie podlaczonego kabla nic nie dalo sie ogladac - zly odbior, tylko trzy kanaly VHF, moze cztery. I dwa kanaly UHF, jeden z rozmazanym starym westernem i jeden z wykrzykujacym sprzedawca uzywanych samochodów. Powinna byla pozwolic staruszkowi podlaczyc ten kabel. Baptize. Bappy. Co za imie. Oczywiscie bedzie musiala zdac relacje Stepowi, co porabiala w czasie dnia. Jak zostawiala otwarte drzwi. A moze nie powinna, zeby sie nie martwil. Lecz nie, musiala mu powiedziec, nie mieli przed soba zadnych tajemnic, zwlaszcza omawiali rzeczy, które czynily z nich osoby niepowazne. Tylko ze tym razem nie chodzilo o to, czy DeAnne bedzie wygladac na niepowazna, ale o bezpieczenstwo dzieci. Step nie mógł notorycznie martwic sie o ich bezpieczenstwo, musial sie skoncentrowac na pracy. Oprócz tego, jesli mu powie, nie zgani jej, obwini siebie za zbyt późny powrót, za to, ze musi teraz znikac na cale dni z domu, zostawiajac ja sama z dziecmi i ze wszystkim. Nie, nie bedzie to najprzyjemniejsza historia do opowiedzenia. Nie moze tego jednak ukrywac. Wolalaby zapisac wszystko w rodzinnym pamietniku i powiedziec mu później, duzo później, kiedy uplynie kilka tygodni,

nie, miesiecy, a ona nigdy nie zapomni zamknac drzwi.

- Chcialbym zagrac w Kaboom - rzekl Stevie.

Westchnela w duchu. Wolal zagrac w gre wideo, niz posiedziec przy niej. W gre, w której nie mógł wygrac, gre, która zawsze doprowadzala go do furii, tak ze walil piescia w komputer lub rzucal joystickiem, dopóki Step kilka razy nie zakazal mu zabawy komputerem, by pomóc mu nauczyc sie kontrolowac gniew.

Tego wieczoru najwidoczniej postawil na gniew.

- Nie ma sprawy - powiedziala. - Nie wiem jednak, gdzie sa cartridge.

- Tutaj - odparl, podchodzac bez wahania do kartonowego pudelka i wydobywajac z niego plastikowe pudelko z grammi do Atari. Step zmontowal komputery tuż po rozlozeniu łózek, a Stevie oczywiscie wiedzial, gdzie co jest.

Zblizala sie dziewiata i DeAnne miala juz zamiar wyslac Stewiego spac, kiedy pojawil sie ostatecznie Step. Wiedzial, ze ich zawiódl, i czul sie przez to okropnie.

- Tak mi przykro. Czy poszedl juz spac?

- Gra w Kaboom - odpowiedziala.

Przeszedl do dziennego pokoju i kucnal przy chlopcu.

- Synku, wybacz, ze sie spóznilem. Nie mialem samochodu, poza tym wyszukiwalismy bledy w oprogramowaniu, ja wciaz powtarzalem, ze musze wracac do domu, on zas na to: „Jeszcze tylko poprawimy to i sprawdzamy”, i tak w kółko. A to byl jego samochód, co moglem powiedziec? Nawet teraz jest na mnie wsciekly, ze odjechalem, nie ukonczywszy zadania.

Stevie nic na to nie powiedzial, zajety przekrzywianiem drazka w lewo i w prawo i lapaniem niewielkich bombek spadajacych z góry ekranu. Nagle nie trafil w jedna i wszystkie bomby na ekranie eksplodowaly.

- Stevie, mama mówila, ze wróciles dzis ze szkoly nie w humorze. Nie chcesz mi powiedziec, jak ci poszedl pierwszy dzien?

Stevie wpatrywal sie nieruchomo w ekran, az w koncu oznajmil:

- Nie chce mówic z toba o tym.

To dotknelo Step'a do zywego, DeAnne zauwazyla to natychmiast.

- W takim razie, z kim chcesz o tym pomówic?

- Z mama - odpowiedzial Stevie.

DeAnne nie wierzyla własnym uszom.

Step powstal.

- Chce mnie ukarac za pólne przybycie do domu - powiedzial - i byc moze za nieodwiezienie go rano do szkoly. - Taki byl zwyczaj Stepa, glosna interpretacja zachowania dzieci, tak by mogly zobaczyc, ze nie dal sie zwiesc, albo poprawic go, jesli byl w bledzie.

Stevie nie poprawil go, wiec Step kontynuowal swój wywód:

- Jesli tylko zechcesz porozmawiac z którymkolwiek z nas, wszystko w porzadku. A jesli starales sie zranic moje uczucia, udalo ci sie. Naprawde przykro mi, ze nie bylo mnie tu w chwili, gdy tego potrzebowales, tłumaczyliśmy ci jednak, ze tak niestety musi przez jakis czas byc. Wiekszosc ojców musi chodzic do pracy, a kiedy chodzisz do pracy, nie zawsze mozesz wrócić, kiedy twoje dzieci tego chca. Tak to juz jest, jesli chcemy miec na stole jedzenie i dach nad głowa.

Stevie w dalszym ciagu milczal. DeAnne jeszcze nigdy nie widziala go takiego zawziatego. W rzeczywistosci nigdy nie widziala, zeby w ogóle byl zawziety. Byc moze to, co zdarzylo sie dzis w szkole, naprawde bylo straszne, tak straszne, ze Stevie nie umial wybaczyć ojcu, ze nie byl tam, aby go obronic.

Tak czy inaczej wkrótce sie dowie.

- No dobrze, Stevie - powiedziala. - Chodźmy do twojego pokoju, tam mi opowiesz, co sie wydarzylo.

- Ale nie przy Robbiem - zastrzegł sie.

- W porzadku, pójdziemy do mojego pokoju - zdecydowala. - Step, jesli nie mozesz doczekac sie kolacji, naszykuj sobie cos tymczasem, ale jesli poczekaš, przyrzadze jakis omlet.

Step skinal głowa, pochylajac sie w strone półki z ksiazkami. Kiedy wychodzila w ślad za Steviem z pokoju, pomyslala, ze nigdy dotad nie ogladala Stepa tak przybitego, tak zalamanego. Miala ochote pójść do niego, objac i pocieszyc... Byla jednak pewna, ze Step zrozumie, zgodzi sie, ze wazniejsza teraz jest rozmowa ze Steviem. Potrzeby dziecka zawsze byly wazniejsze od potrzeb doroslych. Tak to juz musi byc, kiedy ma sie dzieci. Taki kontrakt podpisuje sie z dziećmi, kiedy wzywa sie ich duszyczki z zaswiatów, ze dopóki beda male i potrzebujace wsparcia, zrobisz wszystko, zeby spelnic ich pragnienia, nim zrobisz cokolwiek, by spelnic pragnienia innych.

Usiedli obok siebie po jej stronie rozlozystego loza, które otrzymali od rodziców Stepa jako prezent ślubny.

- Co sie dzisiaj wydarzylo, Stevie? - rozpoczela DeAnne.

Prawie natychmiast jego oblicze skurczylo sie i powstrzymywane do tej pory lzy poplynely ciurkiem, jak wtedy w samochodzie.

- Nie mogłem ich zrozumiec, mamó!

- Co masz na mysli?

- Nie mogłem zrozumiec, co mówia! Do mnie, oczywiscie. W klasie rozumiałem wiekszosc, szczególnie kiedy rozmawiali z pania nauczycielka, ale kiedy mówili cos do mnie, prawie nic nie rozumiałem, stalem wiec tylko i w koncu powiedziałem: „Nie wiem, co mówicie”, na co oni nazwali mnie głupkiem i niedorozwojem.

- Kochanie, wiesz przecież, że nie jesteś głupi. Wiesz, że w szkole masz same piatki.

- Nie mogłem jednak nic zrozumieć. - W jego głosie pojawiła się porywczosć; większa część gniewu, uświadomiła sobie, musiała mieć źródło we frustracji, jaką odczuwał, gdy nie mógł porozumieć się z innymi dziećmi. - Zapytałem, w jakim języku mówią, odpowiedzieli, że po amerykańsku, potem zaczęli nabijać się z moich słów. Jakbym powiedział coś nie tak. Lecz ja nic złego nie powiedziałem!

- Kochanie, powinieneś zrozumieć, to szkoła w wiejskiej gminie Steuben. Szkoła prowincjonalna. Maja tu ciężki południowy akcent.

- Ale oni rozumieli, co ja mówię.

- Ponieważ ty mówisz normalnym językiem amerykańskim. Jak w telewizji. Wszyscy oglądają telewizję, przyzwyczaili się więc do twojego akcentu.

- Dlaczego w takim razie oni nie mówią w ten sposób?

- Może za kilka pokoleń beda. Na razie jednak mówią z południowym akcentem. Poza tym coś zrozumiałeś z tego, co mówili, w przeciwnym razie, skąd byś wiedział, że nazywają cię głupkiem i niedorozwiniętym?

Zaczął płakać intensywniej.

- Kazałem jednej dziewczynce napisać to dla mnie. Dlatego wiem. Potem wszyscy to napisali. Głupki i niedorozwój. Napisali to na kartkach i dawali mi je. Przez cały dzień. Ale i tak ich nie czytałem. To znaczy po dwóch pierwszych.

- To było bardzo miłe z twojej strony - pocieszyła DeAnne. - A z ich bardzo okrutne.

- Ale kiedy pod koniec zajęć chciałem wyjść, zostawiając te wszystkie papiery na ławce, pani Jones kazała mi wrócić, pozbierać wszystkie i zabrać z sobą. - Myśl o tym ponizeniu wywołała w nim dreszcz. - Wtedy pozbierałem je i wrzuciłem do śmieci, a ona skrzyczała mnie za to.

- Skrzyczała cię?

- Powiedziała, że mam antykoleżeńskie podejście i źle mi z oczu patrzy, i że powinienem nabrać manier albo się nigdy nie zgram z innymi.

Objęła go ramieniem.

- Och, synku, tak mi przykro. Nigdy nie powinna mówić takich rzeczy.

- Wszyscy są tam przeciwko mnie, mamo - powiedział. - Nawet pani nauczycielka.

- Stevie, wiem, że tak to wygląda...

- Nie wygląda, ale jest!

- Pani Jones po prostu nie wiedziała, co to za papiery i co inne dzieci mówiły.

- Ona mówi dokładnie tak jak one, mamo - zaprzeczył. - Nienawidza mnie, bo jestem z Utah!

- Dzieci sa okrutne - wyjasnila DeAnne. - Wiesz o tym przeciez, widzales, jak traktowaly Barry'ego Wimmera. - Przypomniala sobie slowa swoich rodzicow. - Nie wszystkie dzieci zartowaly z ciebie, no nie? Czy wiekszosc nie stala na uboczu, tylko patrzac?

- Nie bronily mnie.

- No pewnie, tylko patrzyly. Patrzyly, a ty myslales, ze zgadzaja sie z tymi lobuzami. Lecz to nieprawda, Stevie. One jeszcze po prostu... one jeszcze nie zdecydowaly. Wiec jesli zobacza cie jutro z uniesiona glową i...

- Nie kaz mi tam wracac, mamó! - zawolal Stevie. Drzal caly. - Nie kaz mi wracac do klasy! Nie do klasy pani Jones! Nie kaz mi!

- Synu! Uspokój sie, prosze, uspokój sie. - Nie miala pojecia, co teraz poczac. Wszystkie naturalne instynkty podpowiadaly jej: „Tak, Stevie, masz racje, ta klasa jest ostatnim miejscem na ziemi, do którego cie kiedykolwiek posle, mozesz zostac ze mna w domu, gdzie bedziesz bezpieczny do konca zycia”. Wiedziala jednak, ze jakkolwiek bardzo chialaby tak powiedziec, nie moze. To byloby zle posuniecie. - Tych spraw nie moze kontrolowac, nie moze trzymac cie z dala od szkoły, nie wolno mi tez wyslac cie do innej klasy bez wiedzy i zgody pani Mariner.

- Nie kaz mi wracac - wyszeptal.

- Synku, zobaczysz, jutro byc moze wciaz ci beda dokuczac, lecz to nie bedzie juz nic nowego, znudza sie wiec i wymysla cos innego. A po kilku dniach milsze dzieci zaczną sie z toba kolegowac. Prócz tego przywykniesz do sposobu, w jaki mówia, bedziesz ich rozumial i wszystko bedzie dobrze.

- Nigdy nie bedzie dobrze - powiedzial, wstal z łózka i wyszedl z pokoju. Zalosnie, a zarazem smiesznie wygladal ten jego wypaczony furia chód, ta chec okazania sily przy otwieraniu drzwi, zakonczona grzebaniem sie z klamka, gdyz byl jeszcze za maly, zeby klamki u drzwi nie sprawialy mu trudnosci. Niemniej jedno bylo pewne. Nie obedzie sie bez rozmowy z pania Mariner.

Ksiazka telefoniczna Steuben lezala przy telefonie w kuchni. Step siedzial przy stole, palaszujac kanapke z tunczykiem. Z musztarda, co zawsze wywoływalo w niej uczucie mrowienia, nie zjadlby jej jednak inaczej.

- O co chodzilo? - zapytal.

- Dzieciaki nasmiwaly sie z jego sposobu mówienia i faktu, ze nie rozumie ich akcentu, a potem pani Jones zbesztala go za to, ze nie byl dostatecznie grzeczny wzgledem niej i nich!

- Dorosli czasem zachowuja sie idiotycznie wobec dzieci.

- Błagal, zebym nie posylala go jutro do szkoły.

- Wiec niech posiedzi w domu.

- Mówisz powaznie? - Nie mogla uwierzyc, ze to wlasnie powiedzial.

- Nauczycielka jest niesympatyczna, a dzieciaki to gnojki - wyjasnil prosto. - Niech posiedzi w domu.

Nie znosiła, kiedy używał podobnych wyrazów, choć najwidoczniej uważał, że są zabawne. Ujmowały mu lat, jakby była jego matka, a nie żona. Dawno już zrozumiała, że lepiej udawać, że się niczego nie zauważa, niż robić z tego chryje.

- Nie możemy tak postąpić - powiedziała DeAnne. - Za wagarowanie są kary, wiesz przecież.

- Tylko jeden dzień. Jutro zadzwonisz do pani Mariner i poprosisz, żeby go przenieśli do innej klasy.

- Zamierzałam zadzwonić do niej jeszcze dziś.

- Godziny pracy są jutro. Teraz są godziny odpoczynku.

- To poważny problem, Step, ona rozumie, dlaczego dzwonię tak późno. Nie mogę pozwolić, żeby opuścił jutrzejszy dzień, w przeciwnym razie pomyśli, że może uciec od szkoły, kiedy tylko zechce uniknąć nieprzyjemności.

- Moja mama pozwalała nam zostawać w domu - odrzekł. - Jeden dzień. Jeden dzień w roku, mawiała, jedno z dzieci zawsze mogło zostać w domu bez wyraźnego powodu. Każde miało tylko jeden dzień, ale miało. Przez większość lat nie wykorzystywałem tego przydziału. Lecz lepiej było wiedzieć, że ma się taki jeden dzień. A kiedy przychodził taki czas, że nie chciałem iść, że niemal zdecydowałem się już nie iść, udawałem się do szkoły z własnego wyboru, nie zaś z czyjegos rozkazu. Myślałem, że to dobry plan.

- Ale to dopiero jego drugi dzień w szkole - oponowała DeAnne. - A jeśli dr Mariner nie pozwoli mi przenieść się do innej klasy? Sądziś, że w środę będzie mi łatwiej?

- Być może - odparł.

- Być może nie. Nie rozumiem, w czym pomoże mi trzymanie się matczynego fartuszka, kiedy będzie mi ciężko.

Step tylko siedział, spoglądając na kanapkę.

- Rób, jak uważasz - rzucił.

- Och, Step, nie bądź taki. Myślałam, że dyskutujemy.

- Nie, masz rację. Powinien pójść. Chyba zacząłem się zastanawiać, czy jeśli bym nie poszedł jutro do pracy, nie byłaby to najlepsza rzecz pod słońcem. Tyle tylko, że gdybym został jutro w domu, nie wróciłbym już nigdy. Tak więc masz rację. - Spojrzał do góry, uśmiechając się. - Musisz odesłać swoich małych chłopców z powrotem na chłodny, okrutny ocean.

- Az tak źle dzisiaj było?

- Nie źle, po prostu dziwnie. Nie ma się o co martwić. Było kilka takich chwil, że miałem ochotę czmychnąć, lecz czego oczekujesz? Od dawna nie pracowałem dla nikogo, jedynie dla siebie, dlatego opanowało mnie przygnębienie i chęć buntu. - Ugryzł kromkę, ona jednak milczała. - Następnie wracam do domu i oto Stevie jest na mnie wściekły - pomyślałem, że słusznie. Powinienem być wtedy w domu. Niepotrzebnie chwytalem się tej pracy, trzeba było upakować, ile się da, do samochodu i zjechać stąd z powrotem do Indiany albo do twoich rodziców, powinienem siedzieć w suterenie, ucząc się programowania idiotycznego Commodore'a 64, z nadzieją, że gdzieś pomiędzy stanem obecnym a bankrutem wystrzeli ze świeża gra, co pozwoli nam cieszyć się niezаслuzonymi pieniędzmi, jak rok

temu.

- To nie były niezasłużone pieniądze - wtraciła.

- Wiesz przecież, o co mi chodzi.

- Jeśli chcesz rzucić pracę, proszę bardzo - powiedziała. - Jeśli będziemy musieli przenieść się, zrobimy to.

- Nie - rzekł Step. - Myślisz, że nie przemyślałem wszystkiego? Nie stac nas na następną przeprowadzkę, na ciężarówkę, nie mamy nawet dość gotówki, by przeżyć ten miesiąc, a co dopiero mówić o przenoszeniu się do innego stanu. Z naszych kart kredytowych już nici. Nie mamy wyboru, chyba że chcemy koczować na ulicy. Jutro wracam do pracy, Stevie wraca do szkoły, a jeśli nienawidzi mnie za to, że nie jestem tam przy nim, to taka już dola ojca. - Zasmiał się gorzko. - Synowie zawsze nienawidzą ojców. Tylko nie aż tak wcześnie.

- On cie nie nienawidzi - zaprzeczyła DeAnne. - Jest po prostu... przygnębiony.

- Zadzwoń do pani dr Mariner, zanim zrobi się naprawdę późno.

Wyszukała numer telefonu i zadzwoniła. Było już dobrze po dziesiątej i mogła wyrwać dyrektorke z łóżka, lecz dr Mariner była kobieta południa, zaprzeczyła zatem, jakoby telefon sprawił jej jakakolwiek przykrość, a kiedy DeAnne opowiedziała o problemach Stewiego w szkole, dr Mariner zagadkała z sympatią.

- Proszę mnie posłuchać - odparła. - Jutro potrzymam Stewiego w gabinecie, żeby przeszedł kilka testów, koniecznych tak czy inaczej. Testy kwalifikacyjne, by przekonać się, czy powinien zostać objęty naszym programem dla utalentowanych dzieci. Jego wyniki z tamtej szkoły w Indianie robią duże wrażenie, wie pani. A w czasie testów porozmawiam z panią Jones. I albo zmienimy mu klasę, albo pani Jones zadba o to, żeby w starej nie było mu źle. Co pani na to?

- Jest pani cudowna, dr Mariner - powiedziała DeAnne, próbując powstrzymać fale podziękowań cisnących się na usta. - Dziękuję.

- Ja pracuję przez cały dzień, pani Fletcher. Dziękuję za telefon. Dobranoc.

- Dobranoc.

DeAnne odłożyła słuchawkę i opadła na krzesło.

- Dobre wieści, jak sądzę - zauważył Step.

- Nie wyśle go do klasy, zamiast tego zrobi mu testy kwalifikacyjne - poinformowała DeAnne. - Następnie albo go przeniesie, albo zapewni w klasie pani Jones odpowiednie traktowanie.

- No widzisz? Miałas słuszną rację. Trzeba było zadzwonić do niej jeszcze dziś. Dlatego wybrałem cię na matkę moich dzieci, ponieważ jesteś tysiąc razy sprytniejsza ode mnie.

- Wcale nie chciałam posyłać go jutro do szkoły, Step.

- Wiem.

- Chciałam zatrzymać go w domu.

- Wiem, Rybia Damo. Serce masz tak miękkie, że umarłabys z nadmiaru współczucia, gdybys nad nim nie zapanowała.

- Teraz się ze mnie nabijasz.

- Jesteś cudowną żoną i matką, i lepiej idź teraz oznajmić Steviemu dobrą nowinę, zanim dostanie wrzodu żołądka.

- Chodź ze mną - zaproponowała.

- On nie chce mnie widzieć.

- Step, nie bądź taki drażliwy jak on.

- Co z moją kanapką?

- Niech wyschnie. Usmażę ci jajka.

- Zjadłem w pracy dwa batoniki, nie potrzebuję zatem obiadu - powiedział, podając za nią korytarzem do pokoju chłopców. - Obrosnę w tej pracy tłuszczem. Tuż za rogiem mojego biura stoi automat z batonami. Dwadzieścia kroków i mam w ustach Snickersa.

- Odradzałabym. Zbyt wiele kosztowało ci zejście do tej wagi.

Rzecz jasna, Stevie jeszcze nie spał. DeAnne wyjaśniła, co zasugerowała pani Mariner.

- Czy to nie cudowne?

Stevie skinął głową.

- To naprawdę dobra dyrektorka, Stevie. Pamiętaj zatem, masz w szkole przynajmniej jednego przyjaciela.

Powtórnie skinął głową. Potem, spoglądając na ojca, sięgnął ręką do szyi DeAnne, przybliżył się ku niej i szepnął w ucho:

- Ale nie powiedziałas tacie, że plakałem?

Omów nie obwieściła mu, że tata chciał go zatrzymać jutro w domu, lecz dawno temu zdecydowali, że nigdy, decydując o losach dzieci, nie okaza, że się w czymś nie zgadzają, by te nie obrały strony jednego z rodziców przeciwko drugiemu. Zamiast tego potrząsnęła więc głową.

- Nawet gdyby się domyślił - szepnęła - nie ma się czego wstydzić.

- Wiem. Ale nie mów. - Położył się, a ona powtórnie ułożyła go do snu, po czym zgasła światło.

- Zostaw światło w korytarzu! - rzekł Robbie głośno.

- Jesteś wciąż przytomny, Chrabaszczu? - zapytał Step.
- Niech nikt nie idzie jutro do szkoły - powiedział Robbie. - Stevie ani ty, tato!
- Nie mam ochoty - odparł Step. Światło zostawił włączone.

Rozdział piaty

Hacker Snack

Oto jak Step spędzał dni: przeważnie jeździł do pracy, zostawiając samochód DeAnne, kiedy potrzebowała go na zakupy. Wolalby zostawić go zawsze, nigdy jednak nie wiedział, kiedy wróci, a przy takim niepewnym harmonogramie zajęć ciężko jest ciągle prosić o podwiezienie.

Dzień pracy zwykł zaczynać od odwiedzenia dziupli programistów, wielkiego pomieszczenia zawierającego nawet więcej komputerów niż gabinet Gallowglassa. Większość maszyn została już włączona i pracowała, zwykle wyświetlając na ekranach setki linii asemblera, choć czasami zdarzały się wyblakłe kolory szesćdziesiątekczwórek. Kiedy przechodził od maszyny do maszyny, programiści opowiadali, nad czym pracują, czasami miewali problemy, wówczas przysuwał krzesło i pomagał namierzyć usterkę w kodzie lub znaleźć jakieś proste, eleganckie rozwiązanie. Step czuł się nieswojo, gdyż wszyscy programiści znali zasady działania szesćdziesiątekczwórek lepiej niż on i często sam musiał zadawać pytania. „Co masz w tym rejestrze?” lub „Co to znaczy, że przechowujesz wartość w tej komórce?” Oni trochę podśmiewali się, odpowiadając: „Tam obecnie lokujemy dane o znaku”, „To jest obwód dzwiku”. Ton, jakim udzielali tych odpowiedzi, zawsze sugerował, że dla wszystkich to jasne.

Prawda jednak wyglądała tak, że podczas gdy znali się na szesćdziesiątkachczwórkach, Step miał talent do kodowania, on to wiedział i oni wiedzieli. Potrafił przez kilka minut spoglądać na podprogram, po czym przeredagowywał go, tak by zabierał o połowę mniej pamięci lub szedł dwa razy szybciej, albo żeby wyglądał czytelniej na ekranie. Dawniej, kiedy w samotności pracował nad oprogramowaniem, uważał się za nieporadnego amatora, zawsze trochę się wstydził swego kodowania. Teraz zdawał sobie sprawę, że jest całkiem niezły lub przynajmniej wystarczająco dobry, żeby być lepszym od przeciętnego programisty, na jakiego Eight Bits Inc. mogło sobie pozwolić.

Niemniej jednak nie powinien myśleć o sobie jako o programiście. Ponieważ kiedy tylko Dicky wtykał głowę do dziupli, Step musiał przedstawiać się na pisanie podręczników, pytając sasiadującego z nim programistę, jak działa gra. Dostawał często pytania dokładnie o te same rzeczy, jakie przed chwilą sam wyjaśniał programiście, a kiedy tylko Dicky wychodził, rozlegały się w pomieszczeniu salwy chichotów. Step nie uważał tego za śmieszne. Czuł się podle, strugając nieustannie z Dicky'ego wariata. Tak wiele osób już o tym mówiło, iż nie mógł uwierzyć, by Dicky o niczym nie wiedział. W rzeczywistości podejrzewał, że Dicky wie. Nie śmiał jednak sprawdzać swej hipotezy, bo a nuż by się pomylił? Tak więc Step podtrzymywał te fałszywe.

Zazwyczaj na tym upływał mu czas do południa, wtedy wraz z grupą programistów udawał się na lunch. Uwielbiał te pory dnia, nie musiał wtedy nikogo okłamywać, niczego ukrywać, mógł być sobą, rozmawiając z tymi facetami o pracy. Podczas jednej z takich przerw, kiedy przekomarżając się lub wymieniając historiami, siedzieli przy stoliku u Swensena albo w Pizza Inn, albo w Libby Hill, zaswitało mu, że po raz pierwszy w życiu jest częścią podobnej grupy. Nigdy nie był lekkoatletą, częścią drużyny, nawet częścią zwykłego dobieranego składu na boisku szkolnym lub podwórkowym. W czasach szkolnych jego przyjaciółmi były głównie dziewczyny. Podobał mu się sposób, w jaki mówiły, miał z nimi wspólne tematy. Nie gardziły nim za to, że jest inteligentny i dostaje dobre oceny, gdyż same nie wstydzily się swojej inteligencji, potrafiły rozmawiać o rzeczach, jakie nie interesowały nigdy chłopaków. Kiedy chodził do podstawówki, a następnie do szkoły średniej, przyjaźnił się tylko z tymi nielicznymi chłopakami, którzy byli do niego podobni, którzy trzymali z inteligentnymi dziewczętami.

Choc wszyscy ci programisci byli mężczyznami i rozmowa toczyła się na zdecydowanie męskie tematy, nie dalo się dostrzec śladu tej hierarchii, która krepowała Stepa wśród „facetów” w szkole. A jeśli występowała jakaś, dotyczyła raczej programowania niż samochodów i lekkiej atletyki. Na tym polu z kolei Step błyszczał niczym gwiazda - wraz z Gallowglassesem miał wysokie stanowisko w hierarchii, a ponieważ zżyli się z sobą, nie dochodziło w grupie do rywalizacji. Step należał do grupy, co było przyjemnym doznaniem.

Lunch kończył się - po godzinie zgodnie z przepisami, w praktyce dodawali sobie godzinke więcej - po czym wracali do Eight Bits Inc., Step teraz już do swojego gabinetu, aby popracować nad podręcznikami, często do gier, którym daleko było jeszcze do końca. W rzeczywistości pisał podręcznik, konstruował gre, opisywał zasady i cechy, o których programista jeszcze nie pomyślał. A kiedy pisał o grze, która miała łączyć światła i dźwięk, grał w nią przy okazji wielokrotnie, żeby wpasować błędy w kodzie lub niedogodności w graniu. Sporządzał wówczas notatki i przekazywał je programistom. Jako że każda gra musiała przejść przez jego ręce, żeby mogła powstać dla niej dokumentacja, Step trzymał palec na pulsie wszystkich przedsięwzięć realizowanych w firmie. Wiedział, co w trawie piszczy. A ponieważ Dicky nie wiedział, znaczyło to po prostu, że to on, Step, stoi na czele oddziału twórczego Eight Bits Inc. Dicky cieszył się tytułem, wynagrodzeniem i niedzielnymi popołudniowymi wizytami u boku Raya Keene'a w księgarni z czasopismami, natomiast Step poważaniem i wpływem, i - co najważniejsze - efektami.

Jedynym programem, jakim się nigdy nie zajmował, był Scribe 64. Stanowił działkę Gallowglassa i Step się nie wtracał. Pisał dokumentację dotyczącą nowszej wersji, która zawierała dodatkowo wyrównanie tekstu do lewej i prawej strony, tudzież nowy, szesćdziesięciocznioznakowy ekran Glassa. Choc znajdował błędy i przekazywał je Glassowi, nigdy, przenigdy nie czepiał się samego kodu. Bo nie musiał - Gallowglass wiedział, co robi. Poza tym u podstaw ich przymierza leżała niepisana umowa, że żaden z nich nic nie zrobi, by podkopać pozycję drugiego w Eight Bits Inc., tak więc nawet gdy Step napotykał jakiś błąd, przekazywał informacje o nim Glassowi na osobności, nie dając nikomu poznać, że w oryginalny kod dzieciaka wkradły się przekłamania.

Przychodziła godzina siedemnasta i odchodziła, każdego dnia rozmijając się z harmonogramem Stepa. Zawsze tkwił wtedy po uszy w nie dokończonym zadaniu. Zawsze znalazł się fragment kodu, z którym musiał sobie poradzić przed powrotem do domu, żeby następnego ranka mógł przejrzeć go programista. Albo gra, w której musiał przetestować najwyższe poziomy, podczas gdy programista kibicował mu zza ramienia. Pora kolacji oznaczała spacer za róg do automatu z balonikami i wrzucenie w jego gardziel kilku czterdziątów. Po paru batonach nadchodził czas na paczkę frytek, gdyż ktoś się kiedyś wyraził, że ziemniaki są nieodzownym składnikiem zdrowego pożywienia. Potem wyskakiwała puszcza napoju gazowanego albo soku pomidorowego, kiedy czuł się naprawdę podle, myślał o sposobie, w jaki traktuje własne ciało.

Przybierał na wadze, czuł to. Kiedy siadał, niektóre z koszul zaczynały rozsuwać się, tak że było widać ciało. Pasek stawał się coraz mniej wygodny; popuścił o dziurkę. Szesc tygodni i tracił wigor. Lecz kiedy w czasie dnia miał okazję pocwiczyć? W Indianie zwykli każdego ciepłego miesiąca pedałować pięćdziesiąt mil tygodniowo, a gdy nadciągała zima, przestawiał się na rowerek treningowy. Mógł sobie wtedy na to pozwolić, gdyż obowiązywał go akademicki rozkład zajęć, dający wiele wolnych godzin dziennie.

Siódma, ósma, dziewiąta wieczór upływała - w zależności od tego, jak poważny był błąd lub jak wciągająca gra - nim wreszcie Step wychodził w ciemności już zalegające światło, by odszukać Renaulta, otworzyć zamek i wcisnąć się na siedzenie. Później ruszał w stronę domu, wymawiając sobie, że powinien być wyjść wcześniej i zjawić się na obiad. Zazwyczaj, zanim przyjechał, dzieciaki leżały już w łóżkach lub przygotowywały się do spania; mógł pocałować je na dobranoc i wysłuchać krótkiej historyjki o przebiegu dnia, na tym się jednak kończyło.

Dopiero po paru godzinach dochodził do siebie po intensywnie spędzonym dniu. Rozmawiał wtedy z DeAnne, od czasu do czasu pomagając w praniu lub zmywaniu naczyń po obiedzie, którego nie jadł, czasem coś mu zostawiała, wtedy zjadał to w czasie rozmowy, mimo że nie był głodny. Wyglądała ciągle na taką wyczerpaną, że czuł się ohydnie. Jakkolwiek na to spojrzeć, była brzemienna, a chociaż obecna ciąża nie objawiała się okropnymi porannymi mdłościami, jak trzy poprzednie, wiedział, że czuje się jak wyzeta. Kiedy tamte dzieciaki były w drodze, Step pozostawał w domu, żeby ulżyć jej w zajęciach. Obecnie nie pomagał w niczym. Podejrzywał, że tak jak dzieci stanowi jedynie ujście, którym wypływa część jej energii. Załedwie ułożyła je do snu i mogła odsapnąć chwilę po dniu pełnym zajęć, zjawiał się mezulek z pracy, którego trzeba było ugościć.

Z tej to przyczyny opuszczał ją dość wcześnie, żeby mogła pójść do łóżka i przespacerować się tyle, ile trzeba, podczas gdy on pozbywał się napięcia narosłego w czasie dnia. Oglądał telewizję lub kładł się i czytał książki. DeAnne czasami wraz z nim siedziała przed telewizorem, większość programów jednak jej nie wciągała - podobał jej się „MASH”, lecz pokazali właśnie ostatni odcinek i nie było Stepa, żeby mógł go z nią obejrzeć. A kiedy leżeli już razem w łóżku, czytając, była taka zmęczona, że nie miał wrecz serca namawiać ją na seks. Chyba że sama była inicjatorką, a to nie zdarzało się często. Nawet wówczas, kiedy próbowała, nie zasypiając, coś poczytać - kupił jej nową powieść Anne Tyler „Obiad w nostalgicznej restauracji”, kiedy tylko pojawiła się w księgarni - co chwile przymykała oczy i książka opadała jej na piersi; zwykli wtedy wstawac, zdejmowac z niego okulary i klaskać z nią na nocnym stoliku obok, gasić światło i wracać do łóżka. Skazując się ze względu na nią na głód seksu, czuł zarówno słusność swej decyzji, jak i frustrację: była to nieznosna mieszanka, jako że satysfakcja, która czerpał, wiedząc, iż DeAnne zżywa tak bardzo potrzebnego snu, nie pomagała zdusić żądzy. Mógł spacerować sam, myślał, jeśli tylko wie, jak bardzo jej potrzebuje. Zaraz jednak czuł się winny, myślał w ten sposób, bo to nie on musiał wstawac rankiem, żeby nakarmić dzieci i przyszykować Stevię do szkoły, to nie jego przytłaczało dzień w dzień gospodarstwo domowe i opieka nad dziećmi, a równocześnie noszenie plodu, wysysającego resztki energii. Jak więc mógł obrazac się za to, że jest wyczerpana, że nie wyciąga do niego ręki? Dlaczego nie mógł się cieszyć po prostu tym, że pozwala jej spać? Dlaczego nie mógł się cieszyć?

Zzerany przez winę i pozadanie leżał, długo czytając, wstawal też czasem i przechodził do dziennego pokoju, aby pooglądać jeszcze telewizję. Carsona i jego parady gości, namawiających do oglądania poszczególnych filmów i widowisk telewizyjnych; Lettermana zrzucającego przedmioty z dachów i obmyślającego reklamy nieistniejących biur podróży. Przerzucał kanały - oglądając dwa lub trzy kiepskie filmy naraz - tam i z powrotem, nie mogąc znieść nudy i głupoty bijącej z ekranu. I nagle zbliżała się trzecia nad ranem, przypominał sobie, że musi wstać wcześniej, i w końcu stawał się spiący, może tylko trochę spiący, po czym nagle uswiadamił sobie, że przez dłuższy czas był nawet bardzo spiący,

gdyż zasnął przed odbiornikiem. Wiedział, iż ogląda telewizję nie dlatego, że nie może zasnąć, tylko dlatego, że nie chce zasnąć, gdyż boi się spać. Odwiedzał pokoje śpiących dzieci, oświetlone jasno, gdyż strasznie lekkały się ciemności. Obserwował, jak leżała Betsy sama w pokoju - naprzeciwko ustawione łóżeczko oczekujące na nowego dzidziusia - jej blond włosy falowały na poduszce; Robbie w swym pokoju na dole piętrowego łóżka, wśród pozwijanej pościeli, gdyż we śnie zawsze krecił się niespokojnie; Stevie, spokojny na górze, z twarzą tak piękną w czasie spoczynku. Step stał tak o trzeciej nad ranem, na wpół przytomny, czując, jakby przechadzał się we śnie. Spoglądał na dzieciaki i serce go bolało.

Następnie wracał do łóżka i kładł się ostrożnie, żeby nie zbudzić DeAnne; zazwyczaj poruszała się wtedy, rzadko jednak budząc się naprawdę - czy chociaż wiedziała, jak późno kładł się spać? O trzeciej godzinie, czasem trzeciej trzydziści, czasem czwartej. Budzik podrywał go o siódmej, siódmej trzydziści albo ósmej, chwiejnie podał pod prysznic, przygotowując się na kolejny dzień i myśląc: Nie szkodzi, jeśli się spóźnię, nie szkodzi, jeśli przedłużę lunch. Przecież nadrabiam to wieczorem.

DeAnne zapytała go pewnego razu: „Gdybyś wstał i poszedł do pracy na czas, nie wyrobiłbyś się z robotą do piątej? Gdybym ci zapakowała lunch, nie mógłbyś skrócić sobie przerwy i wrócić do domu jeszcze za dnia, by pospacerować z dziećmi, podczas gdy ja przygotowałabym obiad?” On odpowiedział na to, że spróbuje, i może udałoby mu się nawet wstać wcześniej i przybyć do pracy na czas, lecz był tak wyczerpany, że robotą mu się nie kleiła, a normy były nieublagane. Poza tym większość programistów pracowała po piątej i potrzebowali go, by tu i tam spojrzal, przez co pomimo wczesnego wstawania i tak wracał po siódmej, kiedy było po obiedzie, a DeAnne mówiła: „Jutro potrzebuje samochodu”, na co on odpowiadał: „Nie ma sprawy, podrzuc mnie do pracy, z powrotem zabiorę się z któryms z kolegów”. Tak kończyły się wszelkie eksperymenty z przerobieniem go na osmiogodzinnego faceta.

W ten sposób upływały dni Stepa Fletchera, który nienawidził życia i pracy, choć kochał rodzinę i programowanie.

W kwietniu wypuszczali trzy nowe gry i update do Scribe'a 64 na targach komputerowych w San Francisco w Cow Palace, a Ray i Dicky wraz ze specami od marketingu podjęli decyzję, by zabrać z sobą również Stepa i Gallowglassa, żeby w razie czego był pod ręką ktoś, kto wie, jak naprawdę działają te programy.

Wylot zaplanowano na drugą trzydziści w piątek po południu, dlatego Step wrócił do domu w porze lunchu, żeby się spakować i pożegnać z Robbiem, Betsy i DeAnne. Chociaż Step był autorem szeroko znanej gry, nikt nigdy nie zabrał go na żadne z podobnych widowisk, był więc podenerwowany i podniecony. DeAnne ekscytowała się o wiele mniej - dla niej oznaczało to niedziele bez meza, samotne przygotowywanie dzieci do kościoła i czuwanie nad nimi w czasie sakramentalnego spotkania. A kiedy powiedziała:

- Jeśli ciebie nie ma, jestem taka samotna.

Step odrzekł:

- Nie ma mnie nawet wtedy, kiedy jestem.

- Ale jesteś tu. To znaczy, wiem, że wrócisz do domu. Śpię lepiej, gdy czuję w domu twoją obecność.

- Wróce w niedziele w nocy.

- Wiem - powiedziała - i dzięki temu przetrwam weekend.

Przeraził się.

- Co masz na myśli?

- O co ci chodzi? - Wyglądała na zmieszana.

- Nie myślisz chyba o samobójstwie czy czymś podobnym?

- Nie - odparła, zgorziona ta sugestia. - O nie, Step, nie myślałam wcale o zabijaniu się, na miłość boską. Chciałam być tylko romantyczna. Próbowałam ci przekazać, że żyje dla ciebie.

Poczuł się głupio.

- Oczywiście. Nie wiem, co mnie napadło.

- Być może myśl o nowej żonie bez takiego wielkiego brzucha.

- Nie masz nic w brzuchu, czego bym sam tam nie umieścił. Poza tym to ja przybieram na wadze. A po dziewięciu miesiącach tycia nie czeka mnie za to nagroda.

- Dwudziesty ósmy lipca - powiedziała. - Największy upał lata. Nie mogę się doczekać dzwignia latem dziewięciofuntowego dziecka.

- Będzie tęsknił za tobą - rzekł.

- Ja też, Galganiarzu. - Owinęła się wokół Stepa, wtulając się w niego, jak zwykle to czynić, kiedy pragnęła miłości, tyle tylko że musiał się spieszyć, żeby zdążyć na przeklęty samolot. Dlaczego nagle stała się taka romantyczna, teraz kiedy nie było czasu, żadnego sposobu, żeby coś na to poradzić.

- O co ci chodzi, chcesz, abym się spóźnił?

- Yhm - odpowiedziała.

- Chodźmy już do samochodu, Rybia Damo, czas jechać na lotnisko. Zaraz po moim powrocie powrócimy do nie zakończonej sprawy.

- To nie jest zabawne - powiedziała.

- No cóż.

- Najlepiej bawiliśmy się zawsze za dnia - zauważyła.

Przypomniał sobie teraz, że to prawda. Kiedy pracował w domu, sypiał o dziwnych porach, różniących się od jej pory snu, noce przesiadywał przed komputerem, programując lub pisząc prace dyplomowe. Rano wstawał, wychodził na wykłady lub pojeździć na rowerze, a kiedy wracał do domu i brał prysznic, już na niego czekała, kiedy wchodził nagi do sypialni.

Tak właśnie poczuli ostatnie dziecko, choć tego dnia wcale na niego nie czekała; siedząc na skraju łóżka, rozmawiała przez telefon. Gdy tylko usłyszał „Mhm”, potem „Oczywiście” i „Biedactwo”, zdał sobie sprawę, że rozmawia z siostrą Boompjes, która zawsze na coś się zacięła. Nie wyzalała się w ścisłym tego słowa znaczeniu na temat tego, co ktoś komuś zrobił. Po prostu siostra Boompjes chciała się upewnić, że ktoś wie, że jeszcze żyje, a skoro artretyzm, brak poczty i nieznosne dzieciaki z sąsiedztwa stanowiły jedyne wydarzenia w jej życiu, o tym właśnie mówiła. Jak DeAnne często powtarzała, że aby siostra Boompjes pozbyła się swego brzemia niedoli, po drugiej stronie linii musiał znajdować się ktoś, kim nie zaprzętała sobie uwagi.

Tak więc, kiedy DeAnne mruczała do słuchawki słowa otuchy, Step metodycznie ją rozbierał. Jedynym protestem DeAnne było przewracanie oczami. Jest wdzięczna za odwrócenie uwagi, myślał Step i kontynuował swoje poczynania. DeAnne ani na moment nie zaprzętała pocieszać słodko samotnej siostry, nawet gdy mąż położył ją delikatnie na plecach i kochał się z nią powoli. DeAnne zwykle zachowywała się głośno, gdy Step doprowadzał ją do orgazmu, tym razem zdołała powstrzymać jęki i jedynie ciężko oddychała; nie zapomniała przy tym zakryć słuchawki, by droga siostra Boompjes mogła się cieszyć, że ma słuchacza, podczas gdy DeAnne czerpała radość z seksu.

Jedyną poważną konsekwencją tego czynu był fakt, że telefonując, DeAnne nie zdążyła zabezpieczyć się pianką antykoncepcyjną, a co za tym idzie, w ciągu tygodnia zaczęła odczuwać mdłości, a dwa tygodnie potem nie miała okresu. Zawsze żartowali między sobą, że za każdym razem, kiedy uprawiali miłość bez stosownego zabezpieczenia, wynikała z tego ciąża. Sprawdziło się to po raz kolejny. Efektem mogło być albo dziecko numer cztery, albo poronienie numer trzy. A wszystko to spowodowane tym, że się podniecił, kiedy rozmawiała przez telefon. Myśleli początkowo o nadaniu dziecku imienia po siostrze Boompjes, jeśli zdarzy się córka, w końcu jednak doszli do wniosku, że żadna amerykańska dziewczynka o imieniu Wilhelmina nie może wiesć normalnego życia.

Dzień stanowił dla nich najlepszą porę na seks, to prawda. Kiedy decydowali, że Step musi poszukać pracy, nie przyszło im nigdy do głowy, że zrujnuje to ich intymne życie.

W aucie Robbie starał się ze wszystkich sił uprzykrzyć życie Betsy, co nie było trudne, gdyż zwykle drwiące spojrzenie przyprawiało ją o fontanne łez. Dopiero kiedy pruli już droga numer 421 na zachód w stronę lotniska, Step coś sobie przypomniał.

- W pracy zostawiłem „Imię róży” - powiedział.

- Co to takiego?

- Książkę. Zamierzałem ją czytać nocami w czasie delegacji. Kiedy inni będą pić na imprezach.

- Nie masz niczego więcej do czytania?

- Kupię sobie jakąś gazetę.

- Nie, jest jeszcze czas - rzekła DeAnne. - Przecież cały bagaż zabierasz na pokład.

Tak było. Zjechał na parking przy 7-Eleven i wyskoczył z powrotem na 421, tyle że w kierunku wschodnim. Po kilku minutach skręcił w prawo w Palladium i oto był już w Eight Bits Inc. o godzinie drugiej, kiedy o drugiej trzydziestej miał siedzieć na pokładzie startującego samolotu. Nieważne, pomyślał, to się nazywa życie na krawędzi, nieźle, jak na mormona.

„Imienia róży” nie znalazł w gabinecie. Gdzie je ostatnio czytał?

Wpadł do dziupli, praktycznie frunął, wołając:

- Cześć, uwierzcie, że jestem na tyle głupi, iż ryzykuje spóźnienie się na samolot dla książki? - Leżała na półce. Podniósł ją, odwrócił się, by wyjść, ale wtedy zauważył, że wszyscy przypatrują mu się dziwnie. - Co jest, nie zapaliłem rozporka? - zapytał.

Nagle zorientował się, że ekrany trzech monitorów jarzą się obrazami bezsprzecznie kojarzonymi się z Hacker Snackiem.

- Czy to jest to, o czym ja myślałem? - spytał.

- To miał być tajny projekt - rzekł jeden z facetów. - Niespodzianka.

- Tak - przyznał Step. - Jestem zaskoczony.

Nikt się nie odezwał, Step rzucił: „To na razie”, wypadł za drzwi, pobiegł korytarzem, opuścił pedem budynek i przypadł do samochodu, w którym czekała DeAnne.

- Co cię zatrzymało? - spytała. - Nie wiem, czy zdążymy w piętnaście minut.

- Gazu! - krzyknął.

- Do tego ty masz talent.

- Zgadnij, co zamierzam zrobić w San Francisco?

- Co?

- Rzucić te parszywa robota.

- Co?

- A kiedy wrócę do domu, poszukam prawnika i pozwę tych dupków do sądu.

- Step, wiem, że dzieci uczą się podobnego języka. - DeAnne wyglądała na przestraszoną. - Ale wolalabym raczej, żeby nie od ciebie.

- Nie jesteś ani ociupinke ciekawa, dlaczego mam zamiar pozwać tych drani?

- Dziękuję. I owszem, nawet bardziej niż ociupinke.

- Ponieważ za moimi plecami te sukinsyny adaptowały mojego Hacker Snacka na szesćdziesiątceczwórke.

Skrzywiła się.

- Przepraszam. Nie sukinsyny, dzieci, tylko gnojki.

- Wyluzuj się, Step. - Wyglądała na zdenerwowaną.

- Nigdy nie pytali o pozwolenie, nie zaproponowali, że go kupia, nie ma kontraktu, umowy o honorarium, ani razu nie napomknęli o tym, a miałem ich za przyjaciół.

- To nie powód, żeby wyzywać się na mnie i na dzieciach, Step.

- Nie wyzywam się na was!

- Krzyczysz i używasz języka, którego nie chce tłumaczyć dzieciom.

Step przechrząknął i spojrzał na dzieciaki siedzące na tylnych siedzeniach.

- Nie wściekam się na was, dzieci. Niektórzy faceci w pracy zrobili mi coś bardzo podłego i złego, więc na nich się złościę. A co do słów, których użyłem, nigdy ich nie używajcie, chyba że ktoś, komu ufałiscie, wbije wam nóż w plecy. W takiej sytuacji macie moją zgodę, żeby ich używać, lecz nigdy przy matce.

- Wielkie dzięki - powiedziała DeAnne.

- Myślisz, że za dziesięć lat będą pamiętać o tej rozmowie?

- Ktoś wbił ci nóż w plecy?

- To taka figura retoryczna, Robbie - wyjaśniła DeAnne. - Nikt nie wbił noża twojemu tacie, choć za chwilę może oberwać ode mnie.

- Przykro mi - odrzekł Step. - Byłem w błędzie. Jestem taki... - Szukał właściwego słowa.

- Wściekły.

Wściekły. Nie o to słowo mu chodziło, lecz być może to odpowiednie w ogóle nie istniało.

- Rzucasz w takim razie pracę?

- Stanowczo. Najpierw wypłaca mi takie odszkodowanie, by pokryć moje długi, a potem do diabła z nimi.

- Jeszcze tylko sugestia, Step - powiedziała.

- Tak?

- Nie rzucaj pracy w San Francisco. Mogą unieważnić twój bilet, a nie mamy na Visie dość pieniędzy, żeby cię było stac na podróż.

- Chyba masz rację. Poczekam, aż wrócę.

- Poza tym może to wszystko nieporozumienie, pomyślałeś o tym? Może ktoś nie zauważył, że podpisał umowę wyłączającą Hacker Snacka. Może pan Keene nie wie, że pracuje się nad nim.

- Może świnie mają skrzydła?

- Latające świnie! - wrzasnął Robbie. Latające świnie były nieprzemijającym żartem w rodzinie: DeAnne

miała nawet dwie porcelanowe latające świnki i jedna wypchana, trzymała je na półce przy lustrze w łazience. - Uwaga na dole! - Pomyśl latających swin obsrywających z góry przechodniów był wkładem Stepa do swińskiego folkloru w rodzinie, a zarazem oczywiście czescia, która Robbie uwielbiał najbardziej.

- Step, nic nie rób pochopnie.

Innymi słowy, pomyślał Step, jeśli nawet mnie okradają, powinienem zostać w tej wszawej pracy z tymi gnidami.

- Nie powinno cię to zaskakiwać - doszła do wniosku DeAnne. - To znaczy, jeżeli robisz coś za plecami Dicky'ego, dlaczego on nie miałby czegoś robić za twoimi?

- Może po prostu nie chce przebywać w miejscu, gdzie każdy robi coś komuś za plecami.

- Dokładnie - argumentowała DeAnne. - Myślisz, że nie chce, abyś oszczędził? Pomyśl jednak - fakt, że próbują zaadaptować Hacker Snacka na szesćdziesiątceczwórke, oznacza, że to może być wysmienity pomysł pod względem komercyjnym. Będziesz na targach komputerowych, razem z szefami każdej firmy software'owej. Może nadszedł dla ciebie czas, żebyś sam sprzedał prawa do Hacker Snacka?

- Jesteś w tym naprawdę dobra.

- Jestem - przyznała nieskromnie.

- Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie nauczyłaś się tyle o polityce przedsiębiorstw? Będąc sekretarką w oddziale CDFR na uniwersytecie BYU?

- Nie - zaprzeczyła. - Wszystkiego, co wiem o spiskowaniu, nauczyłam się jako doradca prezydium Stowarzyszenia Pomocy, kiedy obmyślaliśmy, jak sprawić, żeby biskup pozwolił nam zrobić to, co musimy, chociaż on był innego zdania.

- Plan więc jest następujący: usmiecham się jakby nigdy nic w San Francisco, wracam do domu z umową na samodzielną sprzedaż programu.

- Potem idziesz do pracy w poniedziałek rano i pierwsze, co robisz, nim ktoś przekaze komuś, że wiesz, co wisi w powietrzu, to uzyskujesz kopie kontraktu, który podpisałeś, gdzie Hacker Snack jest wyłączony z umowy z Eight Bits Inc.

- Dokładnie. Będzie mi potrzebna. Moga ja po prostu zgubić, no nie? Twierdzac, jakoby podpisał taką samą umowę jak wszyscy pozostali, lecz gdzieś się zapodziała, ale proszę, tutaj jest standardowa umowa, nigdy nie było też innej...

- No to jesteśmy - powiedziała DeAnne. - Życzę ci cudownego lotu. Masz cztery minuty do wejścia na pokład, a musisz pokonać bramki bezpieczeństwa!

- Kocham cię! Kocham was, dzieciaki! Przypomnijcie Steviemu, że ciągle ma ojca.

- Pocałuj! - krzyczała Betsy.

- Nie ma czasu, serduszko - odparła DeAnne.

Mimo to Step szarpnął tylne drzwi, obdarzył oboje szkrabów wielkim, głośnym całusem, po czym zamknął drzwi i pomknął do samolotu. Właśnie zamierzali zamknąć drzwi, kiedy dotarli, toteż wpuszcili go do środka. Wcisnięty w siedzenie z kolanami przy brodzie pozwolił sobie pomarzyć trochę, co może go czekać w San Francisco. Całe zadanie polegało na tym, by sprzedać prawa do Hacker Snacka komus, kto był w stanie tyle zapłacić z góry, że będzie mógł pozwolić sobie na rzucenie dotychczasowej pracy. Nie był do końca przekonany, czy może się modlić o takie rzeczy, szczególnie gdy jest zły i plany zemsty chodzą mu po głowie, lecz musiał to powiedzieć po cichu: Boże, niech to się uda. Niech wszystko pójdzie jak należy. Wyzwól mnie. Zwolnij mnie do domu.

Chociaż większość dzieciństwa Step spędził nad zatoką, nigdy nie był wewnątrz Cow Palace*. Wchodząc do środka po raz pierwszy, musiał przyznać, że zasługuje na swoje miano: budynek wielki niczym obora, wypełniony szeregami budek wystawienniczych, przypominających stanowiska do dojenia. W każdej budce panował maksymalny hałas. Nadszedł czas przetrwania i czas rozkwitu. Rynek komputerowy rozwijał się błyskawicznie, lecz zaczęły rozchodzić się przerażające pogłoski, że nowe komputery osobiste IBM mają zamiar zagarnąć całość mikrokomputerowego rynku, kazać producentom software'ów i systemów budowanych pod CP/M i stary procesor Z80 przystosować się lub zginąć. Każdy wiedział, że utajniany projekt IBM o kryptonimie Peanut ma za zadanie wysadzić z siodła komputery domowe pokroju Commodore'a 64, zupełnie w ten sam sposób, w jaki Commodore 64 poradził sobie z Atari. Zatem cała ta wrzawa miała jedno na celu, przyciągnąć dziennikarzy i klientów do stoisk z nowymi komputerami bądź joystickami, gramami, edytorami tekstu czy wreszcie chroniącymi przed kurzem plastikowymi pokrywami, mającymi zrewolucjonizować świat i uczynić z ich producentów bogaczy tego formatu co Jobs and Wozniak. Albo przynajmniej Ray Keene.

I rzeczywiście, hordy ludzi aż się prosiły, żeby je zwabić. Ciężko było się precyzować, a hałas komputerów musiał być donosny, by przebić się ponad głośny szum tłumów. Kiedy już wydawało się, że mowa ludzkiej nie sposób dosłyszeć w tym miejscu, dobiegł go meski, wysoki głos, o szorstkim środkowo-zachodnim brzmieniu, które zagrażało bebenkom uszu Step'a:

- Co u diabła ma mnie tu niby zachwycić?

Step mimo woli rozejrzył się za źródłem tego piekielnego głosu. Należał, jak się okazało, do wysokiego, szczupłego mężczyzny, którego rumiane oblicze świadczyło o potędzie darmowych koktajli w zestawie SuperCalca. Step poznał go od razu - * Krowi Pałac. Neddy Cranes, niegdysiejszy felietonista „Washington”, zajmujący się szeroko pojętą polityką od Benito Mussoliniego po Dzyngis Chana, który obecnie znany był z tasiemcowych, fascynujących i destrukcyjnych comiesięcznych felietonów w magazynie „Code”.

- Jest mój - rzekł Dicky bez zastanowienia.

- Nie - zaproponował spokojnie Ray Keene.

Step obserwował, jak Dicky natychmiast ustępuje pierwszeństwa szefowi, by ten zmierzył się z tygrysem. Jednakże okazywana przez Dicky'ego ustepliwosc była symulowana. Step zauważył jego zacisnięte szczęki. Utrzymuje poze nonszalancji odrobine za długo, z odrobine nadmiernym wysiłkiem, doszedł do wniosku. Nienawidzi Raya Keene'a. Dlaczego by nie? Ray podcina mu skrzydła przy każdej okazji. Ray każdemu podcina skrzydła przy każdej okazji. Lecz Dicky postanowił za wszelką cenę wytrzymać, nie okazując Rayowi ani cienia urazy. Tylko musi się na kims wylądować.

Na mnie.

Trudno, nie będzie mnie już, kiedy opadnie topór, pomyślał Step, chyba że głupia, nielegalna próba kradzieży Hacker Snacka jest tym toporem, a w tym wypadku to tepe ostrze, jako że nigdy nie przekazałem praw do tej gry na piśmie. Nie, projekt dotyczący Hacker Snacka niemal na pewno był przeprowadzany za przyzwoleniem Raya, zatem nakierowana na mnie złość Dicky'ego musi przybrać inną formę. Jakas chytrzejsza, mniej znacząca, która nie przyniesie nikomu korzyści, usatysfakcjonuje jedynie Dicky'ego Northangera.

- Nic tu nie ma prawa pana zachwycić - Ray właśnie mówił Neddy'emu. - Jest tu tylko coś dla zwykłych szaraków, nie dla znawców komputerowych z wielkimi kosztownymi systemami.

Ach, ten Ray był rzeczywiście przebiegły, gdyż Cranesa wiele dzieliło od komputerowej elity. Ponadto wyznawał populistyczne teorie, szanując przekonania maluczkich. Głos pily tasmowej pracującej na najwyższych obrotach powrócił bezzwłocznie:

- Tylko bez szaraków! Widzę, że macie z sobą te śmieszne pudełka o nazwie Commodore. Przyciski do papieru, oto czym są, gdyż za ich pomocą można gównem zrobić! Wyludzanie pieniędzy od przeciętnego człowieka, tym zajmuje się Commodore, wyludza pieniądze, a w tym czasie Kmart ucieka podstawionym samochodem!

- Upewniamy się, że kiedy ludzie nabędą ten przycisk do papieru, panie Cranes, poradzą sobie z nową wersją edytora tekstu, edytora, za który nie zapłaci więcej niż trzydzieści dolców, a gdy go kupią bezpośrednio u nas, dwadzieścia.

- Co takiego, czyżby podręcznik do niego kosztował dodatkowo pięćdziesiąt dolarów? - nasmiewał się z niego Cranes. - A może trzeba będzie dokupić upgrade, żeby cokolwiek wydrukować?

- Wszystko w jednym opakowaniu - powiedział Ray. - Może nie w pięknym opakowaniu, oczywiście, ale po części dlatego możemy go sprzedawać tak tanio. Proszę wypróbować.

Step z niepokojem obserwował, jak Ray kaze Neddy'emu położyć palce na klawiaturze Commodore'a i wstukać coś, używając Scribe'a 64.

- To bez sensu, wyjdźmy stąd lepiej - zaproponował Gallowglass.

- Nie chcesz się przekonać, jakie noty u Cranesa zbierze Scribe? - zapytał Step.

- Chodźmy stąd!

Gallowglass był naprawdę wzburzony. Najwidoczniej nie miał ochoty czekać na werdykt Cranesa.

- Jestem głodny.

- A ja nie - odparł Step, lecz opuścił w ślad za Gallowglassem stoisko, a kiedy natknęli się na kolejki ludzi czekających na hot dogi - wyglądające, jakby powstały w latach pięćdziesiątych z racic i nosów padłych afrykańskich guzców - Step stanął w niej wraz z towarzyszem i wkrótce dostał hot doga z musztardą i cebulą.

- Jeśli posmarujesz tą musztardą samochód, trzy razy będziesz musiał lakierować w tym miejscu - rzekł Glass.

- W porządku. Cebula stanowi tajny składnik Ex-Laksu.

Polkneli hot dogi w całości.

- Potwierdziłeś naszą rezerwację w hotelu? - zapytał Gallowglass.

- Co? - zdziwił się Step.

- Chodzi o nasz pokój - wyjaśnił Glass. - Zaraz po przyjeździe musiałem zjawić się na stoisku, trzymam więc torbę pod stolikiem.

- Mamy jeden pokój? - zapytał Step, zaszokowany.

- Dicky podobno powiedział ci o tym. Ray mówi, że Eight Bits Inc. nie jest tak duża firma, żeby stać ją było na przeloty pierwsza klasa i osobne pokoje hotelowe.

- Możesz tyłek w zastaw postawić, że on ma osobny.

- O nie, jest z nim żona - powiedział Glass. - Słuchaj, wiedziałem, że nie spodoba ci się wspólny pokój, dlatego dopilnowałem, żeby przydzielili cię do mnie. Bez obaw, nie jestem nalogowym palaczem, nie nakurzę w naszym pokoju.

- Dzięki - rzekł Step. Nie chodziło tu jednak tylko o palenie - Step oburzył się na brak prywatności. Rozbieranie się i ubieranie na oczach drugiej osoby było nie do pomyslenia. Nie cierpiał tego w szkole wyższej, nawet zanim dorósł, by przekroczyć próg mormonskiej synagogi, a teraz gdy miał na sobie białe symbolizujące przyrzeczenia tam złożone, Step unikał jak ognia sytuacji, w których coś, co traktował tak poważnie, stałoby się obiektem szyderstw i dziwnych pytań. Gdyby ostrzeżono go, że będzie dzielił pokój z drugą osobą, zabrałby z sobą przynajmniej pizzę, którą należyłoby w łazience, kazać Gallowglassowi sadzić, że jest po prostu niesmiały. Tak naprawdę, Step nie miał pojęcia, co ma robić. Zapłacić za osobny prywatny pokój? No tak, z pustą kartą kredytową mógł tylko pomarzyć!

- Człowieku, to cię naprawdę dreczy? - zapytał Glass.

- Nie ukrywam - powiedział Step. - Nie chodzi tu o pokój z tobą, chodzi o wspólny pokój w ogóle. To znaczy, nic mi nie powiedzieli. Ja nie dziele pokoi hotelowych. Nie do wiary, że firma jest taka biedna.

- Wolalbym tysiąc dolarową premię od osobnego pokoju, nie przecze - zagadnął Gallowglass.

Step popatrzył nań z ukosa.

- Tysiąc dolarów?

- Miałem nie mówić - powiedział Glass. - A niech to.

- Jak często dostaje się takie premie? - spytał Step.

- Na początku roku - oświadczył Glass. - Proszę, nie wygadaj się przed nikim. Dicky powiedział, że ludzie zaczynają odchodzić, kiedy dowiedzą się, jak wielką premię dostaje.

- Glass, tysiąc dolarów nic nie znaczy - wyjaśnił Step. - Tysiąc dolarów to jak szczanie na dłoń.

Gallowglass spojrzal na niego, teraz on byl zdziwiony.

- Czy masz pojecie, jakie honoraria otrzymywalem za Hacker Snacka u szczytu powodzenia, przez pół roku?

Glass potrzasnal przeczaco glowa.

- Czterdziestu tysiecy - rzekl Step. - A Scribe 64 sprzedaje sie bez porownania lepiej niz Hacker Snack.

Glass wymamrotal cos, co mogloby uchodzic za modlitwe, gdyz adresowane bylo do Boga, lecz w opinii Stepa ton nie byl wystarczajaco przepelniony czciami.

- Tak przy okazji - ciagnal Step. - To, ile wynosilo moje honorarium, powiedzialem ci takze w tajemnicy.

- W porzadku, nie pisne slowka, spokojna glówka.

Step nie slyszal tego, odkad „Reader’s Digest” zaprzestal publikacji rodzimego humoru.

- Gdzie to podchwyciles?

- U taty - rzekl Glass. - Gdy tylko sie zapomne, mówie jak mój tata.

Hot dog okazal sie ich kolacja. Na przekór wszelkim zdroworozsadkowym oczekiwaniom, Ray nie pozwolil swym ludziom na przerwe kolacyjna. On, jakzeby inaczej, z Dickym na holu, udal sie na wykwintny obiad do restauracji wraz z kilkoma dealerami produktów Eight Bits Inc., lecz to sie nazywalo interesy, a jak wyjasnil Ray cierpliwie Stepowi, posilek jedli przy okazji. Poza tym bedzie mnóstwo czasu, by zjesc kolacje w kawiarni hotelowej, gdy zamkna targi na noc.

Kiedy juz uporali sie z zaniknieciem stoiska, czuli sie zbyt wyczerpani, zeby jeszcze przebywac w kawiarni tak dlugo, by sie posilic, oprócz tego kosztów posilków nie wliczano w koszty pokoi - Step musialby zaplacic gotówką i okazac rachunki w Steuben, by uzyskac zwrot pieniedzy. Zakrawalo to na blazenskie ograniczenie, lecz obecnie Step zaczynal calkiem niezle pojmovac, jak to sie dzialo, ze Ray Keene byl na tak wysokim poziomie, utrzymujac sie z zysków czerpanych praktycznie z jednego bestsellera. Glass również machnal reka na kolacje. Mozliwe, ze opróznil stojacy w pracy automat z solonych orzeszków, tak ze mial co jesc w pokoju. Step doszedl do wniosku, ze nie znosi smaku solonych orzeszków, stwierdzil to bez ogródek, przez co nie mógł teraz ich jesc, nie przynoszac sobie wstydu. Malý post w czasie podrózy nie przyczyni sie przynajmniej do dalszego przyrostu wagi.

Kiedy Glass poszedl do lazienki, Step dopadl do telefonu i zadzwonil - na koszt rozmówcy, gdyz Eight Bits Inc. postaralo sie, zeby wszelkie rozmowy zamiejscowe byly blokowane, gdyz w przeciwnym razie doliczono by je do kosztów pokoju. DeAnne chyba byla zmeczona - w Karolinie Północnej dawno minela północ, lecz Step wiedzial, ze nie bedzie spac lub przynajmniej nie bedzie spac dobrze, dopóki nie zadzwoni.

- Wybacz, ze nie zadzwonilem wczesniej - powiedzial. - Nie dali mi na to czasu.

- Wszystko okej, - odrzekla. - Chcialam po prostu uslyszec twój glos wieczorem. Tesknie.

- Nie ma mnie dopiero od dwunastu godzin. Mój dzień pracy jest teraz o połowę dłuższy.
- Wiem - przyznała. - A myślisz, że dlatego tęsknię za tobą? - Wyglądało na to, że postarała się rozbudzić trochę bardziej. - Rozmawiałeś dziś z jakimiś firmami?
- Wcisnęli mnie do jednego pokoju z Gallowglassem.
- Z Glassem? Ach, tym małym magikiem?
- Tak naprawdę stanowi połączenie rycerza i rzeźmieszka.
- Co takiego?
- Nic, taka role gra w Dungeons and Dragons, rycerza, który musi też krasować.
- Prawdziwy materiał na rycerza Okrągłego Stolu - powiedziała.
- I jest też... o czym to myślałem? O czymś chaotycznym, lecz trafnym.
- Ach, być znowu młodym - rzuciła do słuchawki. - Jeśli jednak nie możesz mówić głośno, możesz odpowiadać na moje pytania. Czy rozmawiałeś z przedstawicielami jakiejś firmy o Hacker Snacku?
- Nie - odparł zdawkowo.
- Zbyt zajęty?
- Tak - dorzucił tym samym tonem.
- Co z jutrem?
- Chyba to samo.
- O, nie!

- Nadarzy się jakaś okazja - pocieszył ją. Choć nie do końca wierzył w prawdziwość swych słów. - A co z dziećmi?
- Żadnych kłopotów - odpowiedziała. - Zadzwoń też jutro, okej? Przykro mi, że masz wspólny pokój. Wiem, jak nie cierpisz mieszkać z kimś w jednym pokoju hotelowym.
- Jest jeden wyjątek - rzekł.
- Tak, lecz z początku nie w smak był ci i ten wyjątek.
- Przywykłem, kiedy przestałaś zostawiać buty na środku każdego pomieszczenia.
- Teraz, skoro cie nie ma, wyciągnęłam wszystkie pary i rozrzuciłam, gdzie tylko mogłam, żeby uczcić brak stróża porządku.

- No tak, gdzie kotów nie ma, tam myszy harcują.

- Ta myszka daje z siebie wszystko przy harcach, kiedy tu jesteś - powiedziała przymilnym głosem, który podniecił go i zarazem napelniał rezygnacją. Jeśli starała się być sexy po północy, kiedy był w delegacji, dlaczego nigdy nie okazywała tego, gdy przebywał w domu? Od razu zdusił te myśli.

- Jak się ma najmniejsze? - zapytał.

- Od tamtego kopnięcia uspokoiło się, lecz od czasu do czasu trochę się rusza.

- Przestani, chyba nie możesz tego czuć?

- Mogę.

- Czy to jakiś pływak?

- Prawda jest taka, że nie spieszy mi się do tych kopnięć. Elizabeth niemal połamała mi zebra od środka.

- No nic, musisz się wyspać.

- Wiem, to kosztowne połączenie, ale tęsknię za tobą.

- Kocham cię, Rybia Dama.

- Kocham cię, Galganiarzu - odparła.

- Ty pierwsza odłóż słuchawkę - powiedział Step.

- Nie, ty - nalegała.

Kiedy byli młodszy, gdy się do siebie zalecali, gra ta mogła się przeciągnąć - i kosztować sto pięćdziesiąt dolarów, jak tego lata, kiedy pojechał pracować do San Francisco i wciąż otrzymywał stypendium z uczelni. Lecz nawet będąc bez pieniędzy, Step wyprosił od swoich starszyców dwadzieścia dolarów, pojechał po nią do domu przyjaciółki w Orinda, gdzie mieszkała, zabrał ją, by poznać jego wujka i ciotkę w San Mateo, a potem odwiózł z powrotem. To właśnie w drodze powrotnej do Utah oświadczył się DeAnne. Odpowiedziała, że dziękuje i że się jeszcze namyśli. Cztery i pół miesiąca myślenia - dopiero dwa dni przed Nowym Rokiem powiedziała „tak”. To cud, że w ogóle się pobrali. Lecz jego mama była przekonana, że to małżeństwo zaplanował Bóg. „Bóg nie powiedział nigdy, że ułatwi ludziom życie” - powtarzała zawsze mama.

Nie byli już podlotkami, z gry trzeba było zrezygnować. Położył słuchawkę pierwszy, nawet mając pewność, że to nieznacznie zrani jej uczucia, zawsze ją ranił, odkładając pierwszy. Nie zrobiłbym tego, powiedział jej kiedyś, gdybyś choć raz odłożyła ją pierwsza. Najwidoczniej nie potrafiła się na to zdobyć.

Odłożył.

- Rybia Dama? - zdziwił się Glass.

Step nie mógł uwierzyć, że jego towarzysz jest na tyle nieokrzesany, by tak śmiało przyznać, że podsłuchiwał.

- Czyżbym mówił tak głośno? - spytał Step. - Sądziłem, iż jestem dostatecznie cicho, byś nie musiał słuchać, o czym rozmawiam.

- Nie - odparł Glass, nie wzruszony gorzkim wyrzutem. Gdzie on się uczył dobrych manier?

- Daj no tych słonych orzeszków - poprosił Step.

- Myślałem, że ich nie cierpisz - zaproponował Glass.

No tak, pomyślał Step. Przecież ich nie jem.

- Wcale nie chciałem ich jeść, tylko pokruszyć je i wepchać do każdego otworu, jakim dysponuje twoje ciało.

- Prowokacyjnie - rzekł Gallowglass.

- Jeśli nie będziesz podsłuchiwać moich rozmów, ja nie będę podsłuchiwał twoich.

- Ale to nie jest fair - sprzeciwił się Glass. - Ja nie mam do kogo dzwonić.

- Nawet do mamy?

- Tata nigdy nie godzi się na opłacenie rozmowy.

- Myślałem, że zarabiasz więcej pieniędzy niż Bóg.

- Lecz Bóg nie wystawia kart kredytowych - rzekł Glass. - Spokojnie, mama wie, że nic mi nie jest. Co z dziećmi?

- W porządku - odpowiedział Step.

- Musi być wam ciężko we dwójkę wychowywać troje dzieci?

- Czasami.

- Potrzebujecie więcej czasu, żeby być razem.

- Co to, poradnia małżeńska?

- Każdy potrzebuje.

- A twoja mama i tata?

- No jasne. Potrzebuje okazji, żeby popłakać sobie każdej niedzieli z godzinke nad jego grobem. - Glass zaśmiał się z głupiej miny Stepa. - To żart, synu, żart.

- Synu?

- Okej, niech będzie tatku. Ponawiam po prostu propozycję, żebyście pozwolili mi zaopiekować się czasem dziećmi, podczas gdy wy rozerwiecie się gdzieś razem.

- Pamiętam o niej.

- Tak, ale ja olales - powiedział Gallowglass. - Wiem, że o niej pamiętasz, i chce, żebyś potraktował ją poważnie. Uwielbiam dzieciaki, wspaniale się z nimi dogaduje. Nigdy nie miałem młodszego rodzeństwa, dlatego tak bardzo chciałbym się nimi zaopiekować. Nigdy nie miałem dzieciaka w domu, ale nie zrozum mnie źle. Naprawdę dobrze sobie radzę z malcami. Mam w tym doświadczenie. Mieszkała obok nas taka rodzina, miałem baczenie na ich dzieci przez cały czas, kiedy byłem młody, nie mówię przez to, że bym był już dorosły czy coś takiego. Ale wiesz, o co mi chodzi.

- Tak - odparł Step. Tymczasem w rzeczywistości dumal: Czy mam spać w ubraniu na poscieli? Lub spróbować rozebrać się w ekspresowym tempie w nadziei, że Gallowglass nie zauważy mojej bielizny? Było to niezbyt prawdopodobne - wszystko wskazywało na to, że nic nie mogło ująć uwagi Glassa. Będzie zadawał pytania, dojdzie do długiej rozmowy, na sama myśl o tym opadały mu ręce. Poza tym Gallowglass powinien być wtajemniczony w całą tę podejrzana sprawę z Hacker Snackiem. Musiał dostarczyć programistom rozłożony kod gry na Atari, o którym wspominał, by mieli na czym się opierać. Nie wyglądało więc, żeby Step mógł mu zaufać.

- Przywykłem robić przy dzieciach wszystko. Mieli dziewczynkę w powijakach, nazywałem ją Lulu, nie pamiętam jednak dlaczego, jej imię brzmiało coś jak Gladys, kiepskie imię dla dziewczynki, tak czy inaczej, nazywałem ją Lulu - ciągała za sobą owinięte wokół kostek spodenki, wiesz, jak nasiaknięte pieluszki zaczynają ciazyc, biegła w samej tylko koszulce, a pieluchy zbierały każda drobinę kurzu z podłogi.

- Muszę tu coś wtrącić - rzekł Step. - Wszędzie szczyny, moja ulubiona bajka na dobranoc.

- Daj spokój, dziewczynki nie moczą spodenek szczynami, moczą je anielskim deszczem.

- Chcesz, żebyś się zrzygał? - Step się skrzywił.

Glass rozesmiał się uszczęśliwiony.

- Też myślałem, że to śmieszne, tak jednak mawiała pani Greenwood, anielski deszcz, przysięgam.

- Muszę ci wyznaczyć, Glass, że chce się wyspać. Jest już prawie pierwsza czasu wschodniego.

- Ale ty się jeszcze nawet nie rozebrales - powiedział Glass. - Dopiero od dziewiątej musimy być na targach, mamy więc jeszcze mnóstwo czasu.

- Mam niegroźne zaburzenia snu - Step zmyślił na poczekaniu bajeczkę, starając się jednak daleko nie odbiegać od prawdy. - Ciężko jest mi zasnąć, a to oznacza, że muszę klasnąć dość wcześnie, a żeby zasnąć dość późno.

- A wówczas w czasie spania wstajesz i zmieniasz ubranie?

Wszystko to było za bardzo skomplikowane i denerwujące. Step wytrzymywał kontakty z ludźmi, zwracanie uwagi na to, co mówią, robienie ugrzeczionych min przez długie godziny, po tym jednak potrzebował wytchnienia, czasu na osobności, gdzie nikt od niego nic nie wymagał. W tej chwili pragnął, żeby Gallowglass podszedł do okna, wyskoczył i zginał. Nie ze złości, Step po prostu chciał być sam.

- Glass, czy wszystko, co robie lub czego nie robie, tak cie fascynuje?

- Po prostu tłumaczyłem ci, dlaczego byłbym dobrym opiekunem dla twoich dzieci.

- Jestem pewien, że byłbys.

- Mogę zmieniać pieluszki, już ci to mówiłem. Wycierać ich małe pupcie. Wiem, że to nie robota dla facetów, lecz ja sobie z tym radzę.

- To także męska robota - rzekł Step, zapominając się w rozmowie z Gallowglassem. - Współczuje wszystkim mężczyznom, którzy nie umieją zmieniać pieluszek. Wówczas rodzi się więź z dzieckiem, wówczas zaczynasz je kochać, do diaska, służyć ich intymnym, osobistym wymaganiom, robić coś ohydnych, a jednocześnie niezbędnych, i dziecko wie o tym. Mężczyzna nie może karmić dziecka, nie? Potrzebny jest więc jakiś inny punkt zaczepienia.

- Całkiem niezłe kazanie.

- Tak, ta sama przemowa uraczyłem starszego brata, a on zapytał: „Co jest, robisz się wtedy homo czy jak?”

Glass gwizdnął i zaśmiał się, klepiąc się po udach. Zbyt żywiołowa reakcja, za dużo śmiechu, coś tu nie gra. Co tu się dzieje? - zastanawiał się Step. Czemu się tak ekscytuje?

- O to właśnie chodzi - rzekł Gallowglass. - Dziecko kocha cię za to. Ty mu usługujesz, pucujesz pupkę, ono to uwielbia.

Teraz naprawdę brzmiało to obrzydliwie. Nie sam pomysł, ale sposób, w jaki go wyraził, słowa, niesmiałość, z jaką powiedział „pupka”. Step poczuł się niedobrze. Chłopiec nie wiedział po prostu, jak o tym mówić, to wszystko. W swoim zapale, by pomóc, nie bardzo zdawał sobie sprawę, że nie jest to ton najmiłszy dla uszu ojca, wysłuchującego kandydata na opiekuna swej małej córki.

- Raz ja nawet kapalem - powiedział Gallowglass.

- Mm?

- Lulu. Gładys. No wiesz. Cała upackała się miodem. Nie przez moje niedopatrzenie, po prostu musiałem coś zrobić przy chłopcach, nie pamiętam już co, a ona dorwała się do miodu, stał na stole, polalała sobie włosy, cóż mogłem poradzić? Sciągnąłem jej ubranko i wrzuciłem do wanny. Kiedy była w wannie, umyłem jej włosy i wszystko, a ona daje mi ręcznik i mówi: „Lepiej umyj też na dole, Rolly”. Sądzę, że mama nauczyła ją, że zawsze trzeba umyć pupkę.

W tym momencie Step uswiadomił sobie, że nigdy, przenigdy nie zostawi któregośkolwiek z dzieciaków na łasce Gallowglassa, nawet na minutę, a już w szczególności Betsy. O, nie. Jeśli tylko będzie to w jego mocy, nigdy nie zobaczy nawet małej, z jej blond kędziorkami, słodkim uśmiechem i doskonałą niewinnością.

- Rolly - rzekł Step spokojnie. - Zejdźmy z tego tematu, okej?

- Nie ma sprawy - zgodził się Glass. - Nie ma w tym żadnego podtekstu, no wiesz. Po prostu chce się opiekować, umiem obchodzić się z małymi dziećmi, rozumiesz przecież.

- W porządku, Glass. Masz tu piec dorców, skocz do kawiarni i kup sobie coś, a ja może wtedy zasne.

Step siegał do portfela.

- Dlaczego po prostu nie walniesz mnie w twarz?

- Co masz na myśli?

- Mam piec dolarów - powiedział Glass. - Myślisz, że jestem jakimś zebraikiem, nagabującym cie na ulicy czy coś takiego? Mam swoje pieniądze, wiesz?

- Przepraszam, naprawdę - rzekł Step. - Powiedziałem ci jednak, potrzebuje snu. Bardzo potrzebuje. To jest powód, dla którego nie chciałem dzielic pokoju. Musze miec czas dla siebie, musze byc sam, kompletnie sam, inaczej nie zasne.

- Zona musi to uwielbiac - zauwazyl Glass zlosliwie.

- Nie kruszmy o to kopii - poprosil Step. - Do bani ze mnie współlokator, jestem skonczonym sukinsynem, wiem. Blagam cie jednak, jezdz do kawiarni lub wyjdz do holu na papierosa, gdziekolwiek, lecz prosze, zostaw mnie samego na trzydziesti minut, to wszystko.

- W porządku - zgodzil sie Glass.

- Nie wsciekaj sie na mnie, nie chcialem cie urazic, jestem po prostu zmeczony.

- W porządku - powtórzyl Glass. Podeszedl do drzwi. Zatrzymal sie nagle i odwrócił w strone Stepa, wahal sie przez moment, jakby chcial cos powiedziec:

- O co chodzi? - spytal Step.

- Nigdy wiecej nie mów do mnie Rolly - odparl chlopak.

- Co? Nie nazywam cie Rolly, nazywam cie Glass.

- Minute temu nazwales mnie Rolly. Nikt nie nazywa mnie Rolly.

- Ja? Czemu mialbym nazwac cie Rolly? Nawet nie wiedzialem, ze to twoja ksywka.

- To nie jest moja ksywka. To ksywka mojego przekletego ojca.

Wtedy Step przypomniał sobie.

- Sam uzyles tego imienia. Mówiles, ze tak własnie nazwala cie tamta dziewczynka. Musialem uzyc tego slowa, poniewaz ona go uzyla, to wszystko.

- Mówilem?

Step pamietal doslownie zdanie, w którym Glass uzyl slowa Rolly. „Lepiej umyj tez na dole, Rolly”. Nie mial zamiaru tego powtarzac.

- A z jakiego innego powodu miałbym tak powiedzieć?

- Nikt nigdy nie nazwał mnie Rolly - powiedział Gallowglass z irytacją w głosie. - Moja dziecięca ksywka była Bubba. Rolly to mój tata i nikt tak mnie nie nazywa.

- Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem - odparł Step - i nigdy już nie zrobię. Wybacz, że jestem taki cierpki, mówiłem ci, że kiepski ze mnie współlokator. Dobrze, że to jednak ty, a nie ktoś inny, no nie?

Glass wyszczerzył zęby.

- Hej, lepiej zjeść karalucha niż skorpioną, nie?

- Jasne.

Glassa już nie było.

Karalucha. Jakże prawdziwe. Przebywanie z Glassem było jak jedzenie karalucha. „Lepiej umyj też na dole, Rolly”.

Step wstał i zdjął ubranie, całe ubranie, dokładnie złożył bieliznę i umieścił ją w walizce, pod czystymi ciuchami. Teraz, stojąc nago, nie mógł znieść myśli o wejściu pod posciel. Dlaczego? Nie mógł. Była taka czysta. Musiał się najpierw umyć.

Wskoczył pod prysznic, dwa razy się namydlał i oplukiwał, aż w końcu poczuł się dostatecznie czysty, żeby pójść do łóżka. Glassa ciągle nie było, a godzinę później, kiedy Step spojrzął na tarczę zegarka, wciąż się nie pokazał. W końcu Step musiał zasnąć, gdyż w ogóle nie słyszał powracającego chłopaka. Rankiem Glass brał prysznic, kiedy Step się przebudził, jego posciel była w nieładzie, pomarszczona i pozwijana, musiał więc wrócić jeszcze w nocy. Kiedy Glass wylonil się z łazienki, znów był jak zwykle w dobrym humorze i Step niemal zapomniał o rzeczach, które jego współlokator mówił w nocy.

Rankiem, podobnie jak zeszłego dnia, wszyscy siedzieli uwięzieni przy stoisku. Nigdy nie przyszło na myśl Stepowi, że Ray wyciągnie swych ludzi do San Francisco i nie pozwoli im nawet obejrzeć reszty targów, z drugiej strony wiele cech Raya Keene'a ujawniło się po czasie. Wyglądało na to, że jedyna pora, kiedy mógłby trochę pomyszkować, był lunch, trwający jedynie pół godziny. A miałby te pół godziny tylko wtedy, gdyby zrezygnował z jedzenia, gdyż kolejki do okienek z przekaskami dorównywały długości kolejkom do damskich toalet. Właściwie nie było sensu starać się kogoś spotkać, ponieważ tyle czasu zabrałoby samo namierzenie firm software'owych. Poza tym musiałby pogadać z kims, kto o nim słyszał i ma pochlebne zdanie o Hacker Snacku, a to wymaga długiego szukania, jako że gra była zeszłorocznym przebojem. Nie, sprzed dwóch lat, wszyscy już w nią grali. Nie widział znikąd ratunku. Step ugrzązł w Eight Bits Inc., zgrai kurczaków, gdzie otaczali go cwaniacy, złodzieje, skapcy i faceci sniacy o kapaniu małych dziewczynek.

Poczuł mdłości. Bawił się pomysłem udania prawdziwej choroby, żeby tylko wydostać się ze stoiska, lecz gdyby przyłapano go na kreceniu się po targach, gdy powinien odpoczywać w pokoju hotelowym, drogo musiałby zapłacić. Prócz tego fakt, że otaczali go kłamcy, nie oznaczał wcale, że sam miał krakac jak pozostałe wrony. A przynajmniej mógł krakac ciszej: czaił się przecież przed Dickym, prowadząc twórczy oddział Eight Bits Inc.

Prawde mówiac, wiazala sie z tym najgorsza strona pracy przy stoisku. Ludzie podchodzili, chcac porozmawiac o grach, szczególnie o wersjach demonstracyjnych, Step informowal ich wtedy, czym dysponuja i co maja zamiar wkrótce wypuscic, gdy tymczasem Dicky nadstawial ucha - Dicky zawsze podsluchiwal, kursujac w milczeniu z miejsca na miejsce w obrebie stoiska, niczym duch unoszacy sie nad ziemia. Step rozwodzil sie nad wlasciwosciami gier, z jakimi zaznajomiony byl jedynie on i programisci, oraz nad wlasciwosciami, których Dicky nie widzial w zadnej z wersji. Raz pomyslal o wizerunku, jakiego gra powinna nabrac i rozmawial o tym z klientem - chociaz nikt w Eight Bits Inc. nie myslal nigdy o tej grze w podobnych kategoriach, co nie mialo jednak istotnego znaczenia, gdyz Step mial duzy wplyw na jej rozwój - wtedy Dicky stal obok, patrzyl beznamiennie w powietrze, sluchal Stepa albo moze kogos innego, albo w ogóle nikogo. Szpicel, pomyslal Step. Przypomnial sobie stare karty dla dzieci z podobiznami autorów powiesci. James Fenimore Cooper mial chytre oblicze najemnika, stanowiace w opinii Stepa esencje wszelkiego szpiegostwa. Od teraz twarz Dicky'ego zastapi oblicze Coopera. Dicky wciaz stal, pograzony w myslach, z oczami na wpól przymknietymi, miesiste, zmyslowe wargi wykonywaly trudne do wychwycenia ruchy, wydymaly sie nieustannie, jakby popijal przez niewidzialna slomke lub calowal niewidzialna ciotke.

Musze sie stad wydostac, postanowil Step. Nie tylko z tego stoiska, musze opuscic Eight Bits Inc.

Skonczyl rozmowe z klientem, który nie chcial wcale kupowac gier, chcial sie po prostu czegos o nich dowiedziec, by wybrac komputer, na który wyjdzie najlepsze oprogramowanie. Step zbлизyl sie prosto do Dicky'ego i stanal przed nim twarza w twarz, niezbyt pewny, co ma mówic, dopóki nie otworzył ust.

- Musze na jakis czas opuscic stoisko, Dicky.

- Ach, tak? Jesteśmy tu wszyscy, by pracowac na stoisku, Step. - Dicky sprawial wrazenie bladzacego w oblokach, nie zainteresowanego. Ten temat nie mógł nawet podlegac dyskusji, Dicky nigdy nie przychylilby sie do tak sformulowanej prosby.

Step nieco podniósł glos, upewniajac sie, ze pozostali przy stoisku uslysza go wyraznie.

- Musze obejrzec, jak promuje sie pozostale firmy, Dicky. Chce sie przekonac, co porabia konkurencja.

- Nasza promocja jest brak promocji - odrzekl Dicky. - Poza tym to dzial rozrywki, nie podreczników.

- Chce zobaczyc, na jakim poziomie stoja dokumentacje - nie rezygnowal Step. - Poznac styl. W jakim stopniu sa oryginalne.

- Jezeli masz ochote popróbowac czegos nowego z naszymi podrecznikami, napisz cos na brudno i przynies mnie albo Rayowi, wtedy sie zdecyduje, czy mozna to wykorzystac.

Step jeszcze bardziej uniósł glos.

- Chcesz mi w takim razie wmówic, ze Eight Bits Inc. ponioslo koszty sprowadzenia mnie do San Francisco, a teraz ty nie pozwolisz mi rozejrzec sie w poszukiwaniu pomysłów, które pomoglyby naszym podrecznikom dorównac konkurencji?

- Nikt nie otwiera opakowania z podrecznikiem w trakcie decydowania sie na gre, by zobaczyc, jak wyglada. - Dicky byl nieugiety. - Dokumentacja nie uczestniczy w walce o klienta. A tylko za nia u nas odpowiadasz.

- Słowo mówione sprzedaje nasze produkty - wyjaśniał Step. - Pogłoska o jakości całego produktu. Jeśli nasze podręczniki będą w porządku, to częściowo i o tym klienti wspomną swym przyjaciółom.

- Odpowiedź brzmi: nie - powiedział Dicky autorytatywnie. - Jesteś tu, żeby pracować, nie zabawiać się. Temat uważaj za wyczerpany.

Step powinien poddać się dużo wcześniej, jeśli nie chciał zrazić do siebie Dicky'ego. Lecz nie dbał o to, zamierzał brnąć dalej i dalej, aż - aż co? Aż zarobi na zwolnienie?

- Nie pragnę się zabawiać, Dicky, pragnę pracować - efektywnie. Każda software'owa spółka wysyła swych ludzi, by dowiedzieli się, jaki dystans dzieli ją od konkurencji, my zaś tkwimy tu przykuci do stoiska, niczego się nie ucząc. Czy to recepta na przekształcenie Eight Bits Inc. w rezerwat dinozaurów?

Wreszcie Ray Keene podszedł i stanął przy nich w milczeniu, ogniskując spojrzenie na punkcie gdzieś pomiędzy dwoma adwersarzami, na wysokości klatki piersiowej. Następnie spojrzał Stepowi w oczy i powiedział:

- Możesz iść.

Dicky nie okazał zdenerwowania faktem, że kazano mu opuścić pozycję, na której dopiero co zdążył się okopac.

- Ile mam czasu?

- Dwie godziny - rzekł Ray. - Potem będziemy wypuszczać każdego po kolei. - Patrzył teraz na Dicky'ego. - Nowa polityka.

Dicky przytaknął głową.

- Wspaniały pomysł.

Step zwrócił się do Dicky'ego bez cienia triumfu w głosie:

- Przy okazji zjem lunch, tak że wróce o pierwszej trzydziestej.

Dicky skinął łaskawie. Step dostrzegł zaciskające się szczęki. Lepiej, żeby coś sobie znalazł, pomyślał Step. Lepiej, żeby spotkał się z kims i doszedł do wstępnego porozumienia, gdyż jego dni w Eight Bits Inc. są policzone, a w ciągu tych dni, które jeszcze pozostały, nie będzie mu do śmiechu, wyzwałem przecież Dicky'ego i wygrałem, a on nie cierpi upokorzeń, nie jest w tym dobry. Ma dość rozumu, żeby nie podskakiwać Rayowi, lecz ja za to jeszcze bekne.

Mimo to wstąpienie w szranki z Dickim i zwalenie go z konia napelniało go słodką błogością. A kiedy opuszczał stoisko, Glass i kilku facetów od marketingu zakłaskalo mu ukradkowo.

Gdy przepychał się wśród tłumów, mijając stoisko za stoiskiem, zaczynał uswiadamić sobie ogrom zadania, jakie go czekało. Nikogo tu nie znał. Pracował solo, nie był nigdy na tego rodzaju zjazdach, choć oczywiście mnóstwo o nich słyszał, czytał felietony Neddy'ego Cranesa na przykład. Nie potrafił po prostu podejść do stoiska i zapytać, kto jest szefem firmy i czy jest akurat na miejscu, a jeśli tak, porozmawiać z nim. Być może jednak będzie musiał, niezależnie od tego, jak zapatrywał się na tę kwestię. Poza tym nie pytał przecież o pracę, musiał pogadać o udostępnieniu licencji na adaptacje

Hacker Snacka na inna maszynie. Do kogo trzeba sie z tym zwrócić? Tak by nie rozmawiac o tym z kazdym pacholkiem obsługujacym stoisko, zeby wiesc nie gruchnela po targach, ze oto Step Fletcher poluje, by zrobic interes?

Ogarniety takimi myslami stal przed stoiskiem Agamemnona, ogladajac ich gry - takie wymuskane, swietnie wydane, najlepsze - kiedy nagle glos, przypominajacy pisk przeklutego balonu, rozlegl sie nie wiadomo gdzie:

- PC ma szanse zostac najgorszym komputerem kiedykolwiek wepchnietym amerykanskiemu nabywcy, nie stworzonym przez Commodore'a - Neddy Cranes nadawal w eter - lecz nie znaczy to wcale, ze nie ustanowi nowego standardu. Szesnascie bitów to szesnascie bitów, programisci moga teraz tworzyc software na ponad 64 kilobajty RAM, co oznacza wiecej dodatków w oprogramowaniu, to wszystko zabije CP/M i wszystkie te lilipucie tak zwane komputery domowe. Zlap sie za Commodore i Atari, a utoniesz razem z nimi, popamietasz moje slowa!

Step musial tego sluchac. W Eight Bits Inc. mieli PC IBM, Ray Keene wciaz nie mógł sie zdecydowac, czy ruszyc z software'em do tych maszyn. Step byl przekonany, ze stanie sie to niepredko, gdyz Gallowglass nienawidzil pecetów. Step tez nie cierpial tych komputerów, z ta ich dziwna pamieciami ekranu i zalosna czterokolorowa grafika, jesli nie chialo sie babrac w monochromatycznosci. Przypominalo to kopiowanie kazdej denerwujacej cechy Apple'a II, wszystko jednak czyniono bardziej skomplikowanym i zalosnym, by sprzedac caly ten kram piec razy drozej. Lecz Neddy Cranes nie nalezal do glupców, nawet jesli sprawial wrazenie nadetego fanfarona. Poza tym Cranes nie siedzial u nikogo w kieszeni. Nie dbal o to, czy ma wrogów. Nie byl li tylko piewca IBM. Kiedy glosil, ze nadchodzi era IBM, tak z pewnoscia bylo, smutne, ale prawdziwe.

Do kogokolwiek by Cranes mówil, ten ktos nie klócil sie z nim. Prawdopodobnie próbowali go przekonac, ze sa takimi jak on wizjonerami i zgadzaja sie z nim calkowicie, lecz niech no rzuci okiem na ich wspanialy software, podesla mu najswiezsza oferte, niech ja wypróbuje, przekona sie wtedy o jej doskonalosci. A skoro to byl Agamemnon, musiala to byc prawda.

- Wielkie nieba, toz to Step Fletcher we wlasnej osobie!

Podmuch glosu Neddy'ego Cranesa, rozlegajacy sie niebezpiecznie blisko, niemal kazal mu sie cofnac. Zdolal jednak jakos zapanowac nad soba, co bylo niezbedne, gdy Neddy Cranes rozpozнал go przy stoisku Agamemnona.

- Czesc - pozdrowil go Step.

Cranes odwrócił sie do jakiegos faceta na stoisku.

- Czego wam potrzeba, to zdobyc takiego Stepa Fletchera, by poradzil sobie z PC. Poproście go, by zaadaptowal swojego Hacker Snacka - wspaniala gre, grana dluzej, niz osmielilbym sie przyznac - na wasze pecety, bedzie wygladala do dupy, gdyz wszystko wyglada do dupy na PC, lecz te nieszczesne bekarty, które sa zmuszone uzywac tej maszyny kazdego dnia, beda tak wdzieczne za cos, co nie wyglada prymitywnie, ze ustawia sie w pieciomilowej kolejce, by polizac was w tylki.

Step zastanowil sie, czy jego wlasne wypady w wulgarnosc razily DeAnne w tym samym stopniu, co jego jeszcze wieksza wulgarnosc Cranesa. Nie po raz pierwszy przyrzekal sobie, ze zaprzestanie meczyc DeAnne uzywaniem jezyka, którego mormoni powinni sie wyrzec.

Facet z Agamemnona przemówil ostatecznie:

- Miło pana poznać, panie Fletcher.

- Step - rzekł Step.

- Ach, czy wy się już nie znacie? - spytał Cranes.

- Tak naprawdę nikogo jeszcze nie znam - przyznał Step. - Nawet ciebie, Cranes.

Cranes odrzucił głowę do tyłu i rozesmiał się - dźwięk przykuwający uwagę niczym nagle krakanie wrony. Step wyczuwał ogólne poruszenie otaczającego ich zewsząd tłumu, wszyscy oglądali się w poszukiwaniu źródła tego niezwykłego odgłosu. W tej właśnie chwili, wewnątrz kregu wolnej przestrzeni otaczającej Cranesa, Step poczuł, jak cała ta uwaga pulsowała energią. Skulił się, przytłoczony nią jakby jarzmem, lecz Cranes zdawał się czerpać z niej żywotne soki.

- W takim razie miło cię spotkać, Step! Spędziłem tyle czasu przy twojej piekielnej grze, iż poczułem się w pewnym momencie, jakbyś był moim obrzydliwym szwagrem! - Ku zdumieniu Step'a Cranes objął go ramieniem i uściskał. Straszna chwila - co miał teraz poczwać, uściskać i jego?

Nie musiał nic robić. Cranes ciągle trzymał mu rękę na ramionach, kiedy odwracał się do mężczyzny z Agamemnona. Step odczytał nazwisko wypisane na plakietce. Brzmiało Dan Arkasian. Sam Arkasian, założyciel Agamemnona i jego prezes. Prócz tego wyglądał na przyjemnego gościa, radził sobie z tą inwazją Neddy'ego Cranesa z gracją i cierpliwością. Takiego właśnie człowieka Step chciał spotkać, kogoś, kto mógł wydać jego gry poprzez najsprawniejszą sieć w Ameryce, w najlepszych opakowaniach, tymczasem Neddy Cranes nie przestawał go obejmować.

Kiedy Cranes terkotał dalej, Arkasian patrzył Stepowi w oczy, nie, taksował go spojrzeniem, a wszystko, na co było stać wtedy Step'a, to niepewny uśmiešek.

- Uczępiłeś się tych wszystkich zabawkowych komputerków z nie więcej niż 48 kilo użytecznego RAM-u, to cię zabije - mówił Cranes. - Lecz najmiej kogoś takiego jak Step Fletcher, aby stworzył ci naprawdę dobry software - to znaczy, ten facet jest nie tylko komputerowym czubkiem, on ma także doktorat z historii. On coś wie!

Step nie mógł uwierzyć, że Cranes tyle o nim wie. Wtedy przypomniał sobie: Eight Bits Inc. zamieściło w prasie informacje o zatrudnieniu go, razem ze wzmianką, iż otrzymał właśnie doktorat. Step nie przypuszczał, że ktoś to czytał.

- Mogę się z miejsca założyć, że Step ma więcej pomysłów na to, co można zrobić na peceta, niż ktokolwiek z tu obecnych. No dalej, Fletcher, podpowiedz mu coś, potrzeba mu świeżych pomysłów, wszystko, na czym opiera się Arkasian, to udany produkt, potrzebuje więc nowych pomysłów!

To było straszne, niemożliwe. Musiał z czegoś wyskoczyć albo wyjść na idiota. Coś, co by poszło na zalosnej grafice IBM. Coś potrzebujące więcej RAM-u. Do głowy przyszła mu jedynie myśl o wspaniałym sedziwym atlasie, nad którym słucał dwa dni w bibliotece Salt Lake City. Zawierał mapy podsumowujące wszystkie wyniki głosowań w wyborach prezydenckich od 1788 roku.

- Atlas - rzekł Step.

- Myśleliśmy o tym - odparł Arkasian. - Można kupić książkę za mniejsze pieniądze, poza tym tu trzeba lepszej grafiki.

- Nie, należy się skupić tylko na tym, co potrafi komputer. Jak na przykład... wybory. Za rok Reagan ubiega się o następną kadencję, a przy recesji może być mu ciężko.

- Recesja minęła. - Cranes machnął ręką. - Nie grozi mu porażka.

Dla mnie się nie skończyła, pomyślał Step gorzko. Powiedział jednak:

- Dlaczego nie atlas obrazujący każdą elekcję od 1788 roku, stany zakolorowane zgodnie z poparciem wyborców. Można by przesuwać ekran, przeglądać poparcie partii demokratycznej w ciągu tych lat, do przodu i do tyłu, porównywać kandydatury przedstawicieli trzeciorzędnych partii, którzy otrzymywali głosy. Ludzie uwielbiają mapy, które się zmieniają. Komputer to potrafi, a książki nie.

Arkasian wzruszył ramionami i przytaknął.

- W porządku, coś w tym jest.

- A kongres? - dodał Step, zapalając się do pomysłu. - Mapa pokazująca każdy okręg wyborczy w każdym stanie. Można by zrobić zbliżenie na stan i pokazać, jak okręgi zmieniały się z każdym spisem ludności, jaka partia przeważała. Animować całą historię stanu i obserwować zmiany w czasie. To samo z populacją, hrabstwo po hrabstwie.

- Trzeba by twardego dysku, żeby pomieścić te wszystkie informacje - powiedział Arkasian.

- Nie, jeśli wykorzystasz wektory i wypełnienia. Jak sam pan powiedział, jeśli chcesz mieć atlas drogowy, kupia sobie rozkładówkę i weźmie z sobą do samochodu. Nie musimy więc dbać o dokładność granic, wszystkie dane można zwyczajnie przechowywać jako zbiór koordynat i liczb, program może przerysowywać mapki w czasie rzeczywistym.

- Kto to jednak kupi? - powątpiewał Arkasian.

- Każdy rodzic dbający o wyniki dziecka w szkole. Każdy zainteresowany polityką w czasie przedwyborczej gorączki. Moglibyście to sprzedawać jako narzędzie dla planistów rynkowych - zawierające przypuszczalny przyrost ludności, być może mapę dla określonego rynku konsumentów z zaznaczonym, przykładowo, rozmieszczeniem stacji telewizyjnych.

Arkasian roześmiał się.

- Ten program będzie potrzebował 512 kilo, żeby wystartować.

- No i co z tego? - zapytał Cranes. - Obiecuje ci, że za pięć lat nikt nie odważy się umieścić w sprzedaży peceta przynajmniej bez jednego megabajta RAM-u!

- Neddy, coś ci się popłatało i wiesz o tym - powiedział Arkasian.

- Może i coś mi się popłatało, ale to nie znaczy, że nie mam racji! Zobaczysz! A kiedy twoja firma spotka się oko w oko z syndykiem masy upadłościowej, ponieważ uparłeś się wypuszczać gry na Commodore'a 64, ignorując PC, przypomnisz sobie moje słowa z roku 1983!

Ostatecznie Cranes puscil Step'a i poklusował dalej, nie zegnając się nawet. Rozszył zarozumiałosc wielkimi, druzgoczącymi falami, Step dał się oplukac jedną z nich. Przez chwile obserwował znikającego Cranesa, po czym odwrócił się do Arkasiana i uśmiechnął się smutno, wyciągając dłoń.

- Miło było pana poznać, panie Arkasian.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł szef Agamemnona. - Dlaczego poczułem nagle taki przypływ świeżego powietrza?

Step zaśmiał się.

- Niesie z sobą mnóstwo... osobowości.

- Rzeczywiście, spodobał mi się pański pomysł z tym atlasem - rzekł Arkasian.

- Naprawdę?

- Trochę pan improwizował, prawda?

- Jak by to powiedzieć, wziął mnie z zaskoczenia. - Step wzruszył ramionami.

- To stała metoda Neddy'ego. Lecz niezłe pan grał, panie Fletcher.

- Proszę mówić mi Step, panie Arkasian.

- Step. Każdy mówi mi Arkasian. Tylko bez pana. Oczywiście, nawet jeżeli Neddy ma rację, potrwa to jeszcze ze dwa lata, nim będzie można w praktyce urzeczywistnić te myśli.

- No tak, cóż, tyle by właśnie potrzeba na same przygotowania, jeśli wziąć się do tego od zaraz.

- To naprawdę coś, wiesz? - powiedział Arkasian. - Wyskakujesz z takim pomysłem zupełnie na poczekaniu, i to już ze strategią marketingową. Nie dziwota, że wynajął cię Eight Bits Inc.!

No i masz babo placek! Arkasian sądził, że Eight Bits Inc. ma go na własność, gdyby teraz powiedział prosto z mostu: „Chcę odejść i szukam czegoś lepszego”, w oczach Arkasiana przedstawił się jako nielojalny pracownik. Każda wartościowa oferta powinna wyjść bezpośrednio od samego Arkasiana.

- Kaza mi po prostu pisać podręczniki - powiedział.

- Zartujesz sobie? - Arkasian był bardzo zdziwiony.

- Nie jestem tam jako programista.

- O czym więc myśleli, zatrudniając cię?

- Polityka wewnętrzna, sądził - odparł Step. - Nieważne, podoba mi się ta praca.

- Zatem skończyłeś z programowaniem?

Oto nadeszła upragniona chwila.

- Wciaz mam prawa do Hacker Snacka. Moge pisac na kazda maszyne, na która nie pisze Eight Bits Inc.

- Nie wypuszczaja nic na PC?

- Ray jeszcze nie zdecydowal.

- Chodzmy moze tam dalej. - Arkasian skinal na Stepa, by poszedl za nim w glab stoiska Agamemnona.

Odmienne niz stoisko Eight Bits Inc., miejsce zajmowane przez Agamemnona - które tak na marginesie bylo dwa razy wieksze, stanowiac blizniak na koncu alejki - mialo wydzielone prywatne pomieszczenie, trójścienna salka wyposazona w zamykane drzwi. Arkasian wpuscil go do srodka, do malego pokoiku, nie przykrytego od góry, wypelnionego pustymi pudelkami i innymi klamotami. Arkasian przekrecil za nimi klucz w zamku i powiedzial stanowczo:

- Ray Keene to najgorszy wredny sukinsyn w tym biznesie.

Nie byl to czas, by obmawiac swego szefa, nie przed kims, kto później moze zechciec polegac na jego lojalnosci.

- Pracuje w Eight Bits Inc. dopiero od pierwszego marca, niewiele wiem o Rayu.

- Dlaczego nie pogadales najpierw ze mna, nim poszedles pisac podreczniki dla Raya Keene'a?

- Przeslalem do Agamemnona swój zyciorys, ale odeslano mi odpowiedz, ze nikogo obecnie nie zatrudniacie.

- Do diaska - rzekl Arkasian pogodnie. - Tak sie rozroslismy, ze mamy dyrektora do spraw zatrudnienia. Jasne, ze nie zatrudnialismy, ale ty na pewno dostalbys robote.

Oto sposobnosc, o której marzyl, nigdy juz nie bedzie blizszy sukcesu. Mógłby teraz poprosic nawet o kawalek ksiezycy.

- Nie chce pracowac dla nikogo, Arkasian. Nawet dla Agamemnona. Jesli opuszcze Eight Bits Inc., to tylko dlatego, ze zawarlem z kims odpowiednia umowe, moze pracowac sam, w domu, z wystarczajacym zadatkiem, by przezyc w czasie pisania programu. Prócz tego podpisalem z Eight Bits Inc. kontrakt na niekonkurowanie z nimi przez rok. Hacker Snack nie podlega jednak umowie, jak tez programy na maszyny, dla których Eight Bits Inc. nie pisze software'u.

- Ile bys chcial?

- To zalezy od czasu, jaki zajmie pisanie programu - odpowiedzial Step. - Ten atlas wymaga go wiele.

- A Hacker Snack na szescdziesiatkeczwórke?

- Dwa miesiace - odparl.

- A co z Hacker Snackiem na peceta?

- Nie znam kodu na maszyny z procesorem 8088.

- A z marginesem na naukę?

- Maksymalnie sześć miesięcy - powiedział Step po krótkim namyśle. - Nie będzie jednak wyglądał tak dobrze na kiepskim trójkolorowym ekranie IBM.

- I tak na początek chciałbym go w mono.

- Dlaczego nie zrobić dwóch wersji i nie umieścić ich w tym samym opakowaniu? W ten sposób w razie unowocześnienia maszyny będą mieli już gotową grę.

- A dlaczego by nie sprzedać jej dwa razy?

- Bo stwierdza, że się ich okrada - odpowiedział Step. - A jeśli zastanawiają się dopiero nad unowocześnieniem sprzętu, nie chcesz chyba, żeby rezygnowali z kupna Hacker Snacka do czasu, aż wejdzie na rynek lepsza wersja. A niech to, mogą zdecydować się na lepszy sprzęt po prostu dlatego, że mają kolorową wersję gry.

- Niech no się zastanowie - pomyślał głośno Arkasian. - Mogę ci powiedzieć na dzień dobry, że potrzebuje Hacker Snacka na sześćdziesiątceczwórke. Lecz inna. Poprawiona. Bysmy mogli rzucić sloganem „Lepsza niż na Atari, udoskonalona wersja”. I tym podobne bajery.

- Pomyśl, o czym trzeba - rzekł Step.

- Sami jeszcze nie jesteśmy przekonani co do peceta. Nie mam też pojęcia, co do zadatku dla ciebie na projekty związane z PC, gdyż wciąż nie wiadomo, jak rozwinie się rynek oprogramowania na to, co w gruncie rzeczy jest maszyną biurową.

- Ułomna maszyna biurowa.

- O wysrubowanej, monopolistycznej cenie - dodał Arkasian. - Też nie lubię IBM. Myślę jednak, że Neddy utrafił w sedno. IBM przepchnie peceta. Rynek na niego powiększy się dziesięciokrotnie w porównaniu z rynkiem CP/M, sadzę też, że ludzie zaczną domagać się kolorów. Dlaczego twoim zdaniem uważam, że będą potrzebować koloru?

- Żeby móc pograć.

- O to właśnie chodzi.

Step rozesmiał się.

- To jedyny powód, dla którego istnieją komputery, no nie? Żeby można było sobie pograć.

- To nie żart - spoważniał Arkasian. - Im gry mają lepszy software, tym lepiej się sprzedają. Stepie Fletcher, zawrę z toba umowę dotyczącą Hacker Snacka dla sześćdziesiątceczwórek, na początek. Nie będą to jednak takie pieniądze, byś mógł rzucić dotychczasową pracę.

- Rozumiem.

- Jeżeli natomiast Ray Keene jest skończonym osłem i sukinsynem, za jakiego go uważam, nie zdecyduje się na pisanie pod peceta. Jeśli tak się rzeczywiście stanie, daj mi znak, a sporządzimy umowę na PC. Umowę z prawdziwego zdarzenia, może nawet obejmującą ten pomysł z atlasem. Chciałbys się

tym zając, no nie? To znaczy wiem, że zmyślałeś wszystko na bieżąco, lecz może...

- Wypruje sobie flaki dla tego programu.

- Zgoda. Skontaktuj się ze mną, gdy Ray Keene zdecyduje.

Step zaczerpnął głęboko powietrza.

- Tego nie mogę zrobić - powiedział.

- Co takiego?

- Panie Arkasian, ja, pracując dla Eight Bits Inc., nie mogę donosić konkurencji o szczegółach planów Raya Keene'a.

Arkasian patrzył na niego zbity z pantalyku.

- Niech mnie diabli!

- W sekundę po moim odejściu - Step ciągnął - będę mógł poinformować cię, czy klauzula o braku rywalizacji z Eight Bits Inc. dotyczy również PC, wnioski wyciągniesz sam. Lecz zanim rzucę pracę, nie mogę zdradzić żadnych zamiarów Raya Keene'a. Nie powinienem nawet być mówić, że jeszcze się nie zdecydował, czuję się przez to niezręcznie, nie chcę pogarszać sprawy.

- No cóż, w takim razie rzuć pracę i zadzwoń do mnie, jeśli zdecyduje się nie wchodzić w pecety.

- Nie mogę tak po prostu rzucać pracy, nie mając w ręku nic pewnego. - Nie mógł powiedzieć: „Możliwe, że oferujesz mi pracę tylko po to, by pozyskać szpiega w Eight Bits Inc., a na to się nie zgodzę”. - Mam trójkę dzieci, czwarte pojawi się w lipcu.

Step niemal wstrzymał oddech w oczekiwaniu na ripostę Arkasiana.

- Okej - rzekł tymczasem. - Prześle ci kontrakt na Hacker Snacka pod szesdziesiątkeczwórke. Zamieszczę też klauzule alternatywną. Hacker Snack na PC i kontrakt na pracę dla Agamemnona. Jeśli zdecyduje, a szanse na to są niemałe, że firma zacznie się rozwijać pod kątem PC, wariant z Hacker Snackiem pod pecetą zacznie obowiązywać. Na tym etapie, jeżeli dojdiesz do wniosku, że klauzula o nierywalizowaniu z Eight Bits Inc. pozwala ci pisać pod PC, godzisz się na opcję o szerszej umowie z Agamemnonem. Upewnij się, że kasa będzie odpowiednio duża. Ile masz teraz?

- Trzydzieści tysięcy rocznie, lecz trudno z tego wyżyć.

- Wiem, jak to jest - rzekł Arkasian. - Kontrakt dwuletni, sto tysięcy dolarów. Nie możesz skorzystać ze swojej opcji, dopóki ja nie skorzystam ze swojej, dotyczącej wersji Hacker Snacka na PC. Potem jednak wszystko zależy od ciebie.

- Od Raya Keene'a, chciales powiedzieć.

- Załóżę się, że Ray Keene wykona niewłaściwy ruch. Może za pół roku zorientuje się, że zbladził, lecz jeśli wszystko pójdzie dobrze, twoja praca ukaze się na rynku z logo Agamemnona.

Step popatrzył z ukosa.

- Nie chcesz posłużyć się mną wyłącznie, by dogryźć Rayowi Keene'owi?

- Nie inwestuje pieniędzy, by dogryźć komukolwiek - zaprzeczył Arkasian. - Inwestuje je tam, gdzie mogą przynieść mi porządny zysk. - Wyszczерzył zęby. - Lecz jeśli przy okazji napluje Rayowi Keene'owi do kaszy, tym lepiej.

- Potrzebny ci mój adres - zauważył Step.

- Daj mi wizytówkę.

- Nie mam wizytówki. Dopiero co się przeprowadziłem i, no, nie mam wizytówki.

- Zapisz więc na odwrotnej stronie mojej. Zatrzymaj też moja - Step schował do kieszeni jedną, na drugiej dopisał adres przy Chinqua Penn i numer telefonu, wręczył ją Arkasianowi. Arkasian schował ją do kieszeni i wyciągnął rękę. Step potrząsnął nią. Uścisk Arkasiana był długi i pewny, i dawał poczucie... bezpieczeństwa. Jakby był teraz w dobrych rekach.

Arkasian nie miał zamiaru uwolnić Stepa z tego uścisku.

- Co zaś się tyczy moich planów... - powiedział.

- Nie szpieguje dla nikogo - obruszył się Step. - Ray Keene nawet nie próbuje mnie o to prosić. - Choć bez wątpienia Ray zdolał poprosić go o działania za plecami Dicky'ego, na co się zgodził. Udaje niewiniatko, prawda jest jednak inna.

O tym właśnie Step rozmyślał, opuszczając stoisko Agamemnona. Jestem tylko trochę niewinny. Mam jedynie kilka zasad, których nie poswiecę. Ale gdyby Arkasian rzucił na stół odpowiednio wypchany mieśzek, kto wie, może żadna z nich nie oparłaby się tej próbie? Prawdopodobnie jest zdania, że można mi zaufać, lecz ja wiem, że lojalność skończy się z chwilą, kiedy stanie na przeszkodzie moim celom. Na razie jestem podłym kanciarzem, przychodzę na rozmowy z jednym z najzaciętszych wrogów Eight Bits Inc., choć to właśnie ta firma zapłaciła za mój przylot tutaj. Naciągnąłem ich na sprowadzenie mnie tutaj, aby odbyć rozmowę kwalifikacyjną z ich głównym rywalem. Nawet płaca za czas tu spędzony.

Zgodnie z prawem powinienem podzielić się pomysłem na atlas z Eight Bits Inc. Tak głosi umowa, każdy pomysł, z jakim wyskocze w czasie pracy w Eight Bits Inc., należy do nich.

Wtem naszła go refleksja. To proste. Wystarczy, że zaproponuje Dicky'emu pomysł z atlasem i przekonam go, że mam zamiar wziąć się do niego na serio. Storpeduje go z miejsca. Zdusi w zarodku, by zrobić mi na złość. Jeśli odmowę dostanę na piśmie, jestem w domu. Będę dysponował dowodem, że zaferowałem im ten pomysł, i to mnie oczyszcza.

Sprytnie. Ależ ze mnie spryciarz.

Tej nocy Glass usiłował namówić go, by przyłączył się do niego i facetów od marketingu, a także do kilku młodszych programistów od Apple'a, pracujących obecnie nad software'em dla Lisy. Mieli zamiar popić i populac trochę po San Francisco, ale Step nie chciał.

- Potrzeba nam doświadczony kierowcy - prosił Glass.

- Wynajmijcie taksówkę - poradził na to Step.

- O, tak! - ucieszył się Gallowglass. - Zapomniałem, że to prawdziwe miasto. Taksówki.

Dzięki temu Step dysponował pustym pokojem hotelowym, kiedy dzwonił do DeAnne, opowiadając ze szczegółami przebieg rozmowy z Neddym Cranesem i Danem Arkasianem. Ucieszył się, słysząc w jej głosie cien ulgi i podekscytowania.

- Nic jeszcze nie jest pewne - zaznaczył. - Oprócz pieniędzy za adaptację gry na szesdziesiątkeczwórke. Po prostu kaze im przestać.

- No pewnie, wejdiesz, mówiac: sprzedane Agamemnonowi.

- Bez przesady, po prostu powiem, że sprzedane komus innemu.

- Zapytają czemu, skoro pracujesz dla nich, szczególnie że tyle już w to zainwestowali.

- Trudno, nie moja wina.

- Nie twoja wina, jednak wyleją cię tak czy inaczej, ponieważ wyparles się drużyny.

Step westchnął.

- To wszystko takie skomplikowane.

- To jedynie kwestia zgrania w czasie, nie uważasz? - powiedziała DeAnne. - Bo co będzie wtedy, jeśli za sprawą tej adaptacji rozpeta się piekło, zanim podpiszesz umowę z Agamemnonem? Powiesz w firmie, żeby nie tykali gry, wtedy cię zwolnią, a jak nie dostaniesz tego kontraktu?

- A co będzie, jeśli kontrakt przyjdzie wcześniej, zanim w sprawie adaptacji Hacker Snacka dojdzie do awantury, gdy Ray jeszcze nie podejmie decyzji i dopóki Arkasian nie zdecyduje wejść w pecety?

- Wszystko zależy od innych ludzi - podsumowała DeAnne.

- Zawsze wszystko zależy od innych ludzi - uzupełnił Step. - A może Pan ma względem nas jakies zamiary? Może Bóg ma plan?

- Hm, jeśli zaplanował ci pracę dla Agamemnona, dlaczego nie sprawił, byśmy przenieśli się do Kalifornii zamiast w to ustronie o nazwie Steuben? Lub nie zostawił nas tam, gdzie mieszkaliśmy? Było nam dobrze w Indianie. Stevie nie bawił się tam z wymyślanymi przyjaciółmi.

To było coś nowego.

- Z wymyślanymi przyjaciółmi?

- Dopiero dzisiaj spostrzegłam, ale trwa to już od tygodni. Niemal od czasu naszej przeprowadzki. Wraca ze szkoły taki przygnębiony, wątpię, żeby miał tam jakichs przyjaciół. Pytam się go, z kim bawi się w szkole, a on odpowiada, że z nikim, nie martwiłam się tym jednak, bo ciągle powtarzał, że Jack i ja zrobiliśmy to, Scotty i ja zrobiliśmy tamto. Pomyslałam więc, że ma jakichs przyjaciół, chce tylko, żebym się nad nim litowała.

- Do licha, nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle mówi.

- Nie jest katatonikiem ani kims takim, no wiesz. To zwykła depresja.

- No tak, w takim razie okej.

- W soboty spędzałam czas z toba, robiliśmy konieczne zakupy, porządki, rozpakowywaliśmy się jeszcze, no wiesz. W te soboty nie było cie jednak, czułam się taka samotna, siedziałam przez chwilę na patio, czytając te książki Anne Tyler, która mi kupiła, a dzieci się bawiły. Robbie i Elizabeth chyba bawili się w berka, w każdym razie gonili się wszędzie, Stevie natomiast siedział na trawniku, potem przechadzał się dookoła, dotykał żywopłotu, ściany domu i tym podobnych rzeczy. To mnie zaniepokoiło. Zawsze bawił się z młodszym rodzeństwem, a oto teraz dąsa się czy coś takiego, nie chce z nimi pobiegać, choć Robbie ciągle podlatuje, wołając: „Baw się z nami”. Tak czy inaczej poszłam wtedy do domu, by zrobić pranie, upewniałam się jednak co chwila, co z dziećmi, bo tak właśnie robie...

- Pani Skrupulatna.

- To właśnie ja, Galganiarzu. Pozwól jednak, że dokończę. Wiem, że Stevie nie opuścił podwórka za domem ani że nikt go nie odwiedzał. Spytałam go przy kolacji: „W co się bawilesz dziś z tyłu na podwórku?”, a on na to: „Jack i ja szukaliśmy zakopanego skarbu”. Zapytałam wtedy: „Masz na myśli w szkole?”, gdyż myślałam, że stamtąd właśnie zna Jacka; wtedy on odpowiedział: „Jack nie chodzi do szkoły”.

- Jesteś pewna, że zrozumiał twoje pytanie?

- Jasne, to znaczy spytałam go, kiedy szukał z nim tego zakopanego skarbu. Powiedział, że dzisiaj. Gdzie? Głównie na podwórku za domem.

- Chyba już powinien wyrosnąć z wyimaginowanych przyjaciół?

- Oczywiście, Step, że już wyrósł. Dawno. To mnie niepokoi.

- Może po prostu udaje, że koledzy ze szkoły są częścią jego wyimaginowanej zabawy w domu. No wiesz, uwzględnia ich, chociaż jest sam.

- Ja tego nie zmyślam, Step. Wyraźnie powiedział, że Jack nie chodzi do szkoły. Czy to nie wygląda na wyimaginowanego przyjaciela?

- Zapomniałam, że o tym wspominałaś. Nie miałem sposobności przemyśleć tego jeszcze.

- Step, najwidoczniej on nie ma w szkole żadnych przyjaciół, w domu nie bawi się z bratem ani siostrą, zamiast tego z wyimaginowanymi przyjaciółmi. Nawet wtedy, gdy dzieciaki są przy nim, gdy ja jestem przy nim. Wieczorem próbowałam nakłonić dzieci do zabawy w życie, no wiesz, Stevie zawsze uwielbiał się w to bawić, tym razem jednak nie chciał. Kazałam mu się bawić, za nic jednak nie chciał ruszać samochodem lub obracać pieniędzmi, doszło do tego, że łowiłam za niego ryby. Jakby był manekinem, siedział i gapił się tępo przed siebie.

- Czy to ciągle kara za zmuszenie go do przeprowadzki i do pójścia do nowej szkoły?

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy - odparła DeAnne.

- Wszystko sie ulozy - rzekl z przekonaniem Step. - Musi sie ulozyc, tak bym mógł wrócić do domu i pracowac. Zebyśmy mogli powrócić do normalnego zycia. Czuje sie taki bezradny, podciety, mój chłopak boryka sie z tymi problemami, jest taki zły na nas, a ja nie moge kiwnac palcem, tkwie w pulapce. Jak inni mezczyzni to robia? Chodza do pracy przez cały czas? Do tego ich zony chca chodzic do pracy zupełnie jak mezczyzni, co również odcina je od rodzin, podczas gdy jedynym rozwiązaniem jest powrót wszystkich mezczyzn do domu, by scalali rodziny.

- Wiem, Step. Przynajmniej nas to dotyczy.

- Wiec pomódl sie za nas dzis wieczór - rzekl Step. - Pomódl sie, zeby udala sie sprawa z kontraktem. Zeby wszystko zgralo sie w czasie.

- Nie jestem pewna, czy powinnam sie modlic o podobne rzeczy - powiedziala DeAnne. - To takie samolubne.

- Posluchaj - odparl Step. - Nawet Chrystus przedlozyl najpierw osobista prosbe, nim rzekl: „Niechaj bedzie wola Twoja”.

- No tak, ale spójrz, co Go później spotkalo.

Zaniósł sie smiechem.

- Nie do wiary, ze to powiedzialas.

- Nie chcialam, zeby zabrzmialo to tak... swietokradzko.

- Nie zabrzmialo, Rybia Damo, nie zabrzmialo.

- Wszystko sie ulozy.

- Kocham cie - odpowiedzial.

- Odbiore cie jutro na lotnisku.

- Wszyscy przylatujemy tym samym samolotem. Moge sie zabrac po prostu z kims, kto tam parkuje.

- Ja chce cie przywitac na lotnisku, Galganiarzu. Dzieciaki tez chca cie przywitac.

Nie wiedzial, jak jej to przekazac - nie zyczyl sobie dzieci na lotnisku, kiedy Gallowglass bedzie wysiadal z samolotu. Nie chcial, zeby ktokolwiek z Eight Bits Inc. ogladal jego rodzine. Dzieci byly wciaz czyste, nieskazone tym parszywym towarzystwem, nie mial ochoty przygladac sie, jak Ray Keene kala Robbiego, glaszczac go po wlosach, Dicky Northanger Steviego, laskoczac go pod broda, Gallowglass Betsy, patrzac na nia.

- Prosze - powiedzial - zostaw dzieci w domu. Pozwól mi wrócić do nich. Do ciebie. Prosze.

- Jak sobie zyczysz, Galganiarzu. - Wyczul w jej glosie ból.

- Prosze, zrozum - dodal.

- W porzadku, wszystko w porzadku - odparła, choc wyczul w tych slowach falsz. - Kocham cie.

- Ja cie kocham bardziej. - Jeszcze jeden rytual.

- To niemozliwe - rytualna odpowiedz.

- Odlóz pierwsza.

Odlozyla.

Rozdział szósty

Inspiracja

Oto do czego doszła DeAnne w zyciu: w szkole wyzszej uswiadomila sobie, ze dla przyzwoitej dziewczyny bez zadnych kwalifikacji jedyna szansa na zrobienie pieniedzy jest praca w restauracji lub sprzedaz hamburgerów. Wyruszyła wiec na poszukiwanie kwalifikacji. Kiedy przyszła do college'u, potrafiła już napisac sto słów na minute. Zarabiała dosyc pieniedzy jako niepełnoetatowa sekretarka w Departamencie Rozwoju Dziecka i Związków Rodzinnych, by stac ja bylo na zakup materialów, z których szyla sobie ubrania, i na oplacenie benzyny zuzywanej przez starego zółtego volkswagena na dojazd do uczelni. Opanowała pisanie na maszynie elektronicznej, dostala podwyzke, uskladala dosc pieniedzy, by oplacic semestr w Paryżu.

Jednak wybrala niezbyt praktyczna specjalizacje. Kochala sztuke, muzyke i literature, zdecydowala sie wiec na kierunek humanistyczny, mimo ze wiedziala, iz nie ma na swiecie fachu, w którym moglaby zrobic kariere ze stopniem z nauk humanistycznych. Nie dbala jednak o to szczególnie. Gdziej w zakamarkach umyslu kolatala sie mysl, ze macierzynstwo bedzie jej kariera, tak jak bylo kariera matki. Studiowala nauki humanistyczne, by móc stworzyc dom wypelniony sztuka, z której dzieci czerpalyby madrosc. Gdyby kiedyś potrzebowała pracy, wystarczyło zapukac do pierwszego lepszego biura, wystukac bezblednie strone z trzystu slowami w czasie trzech minut i dostac angaz na miejscu.

Jak sie później okazalo, macierzynstwo nie bylo dokladnie taka kariera, o jakiej marzyła. Po pierwsze zawsze poprzedzane bylo miesiacami udreki. Gdyby nie bendectin przez pierwsze cztery miesiace kazdej ciazy jakos pomagajacy na nieustajace napady mdlosci, przelezialaby ten czas, wymiotujac w szpitalu. I tak nudnosci nie ustepowaly calkowicie, dopóki nie narodzilo sie dziecko.

Po drugie i co wazniejsze, kazdy noworodek okazywal sie barbarzynca. Wraz ze Stepem wylozyla sciany wspanialymi plakatami, puszczala piekna muzyke wielkich mistrzów, lecz bylo to zaledwie tlo - glównie zajmowala sie bowiem sciaganiem, karmieniem, wycieraniem, myciem, strofowaniem, pocieszaniem i poskramianiem własnej niecierpliwosci. Zdarzaly sie tez cudowne momenty, oczywiscie, lecz rzadko, a chociaz DeAnne kochala dzieci i dumna byla z opieki nad nimi, doszła do wniosku, ze jednak nic szczególnego w zyciu nie osiagnela. Kiedy Step konczyl prace, potrzebował spokoju i

osobności; umierała z tęsknoty za rozmową z dorosłym. A kiedy Step pomagał w porządkach lub w doglądaniu dzieciaków, fakt, że jest doskonale obeznany ze wszystkim, uswiadomił jej, iż z tym, co robi, poradziłby sobie też ktoś drugi. Z wyjątkiem karmienia najmniejszego dziecka, ale nawet pawiany to robia.

Macierzyństwo nie było karierą. Było życiem. Dobrym życiem, którego nie miała zamiaru się wyrzeknąć, w pewnym sensie jednak niekompletnym. Potrzebowała czegoś, co przypominałoby jej, że jest człowiekiem.

Zwierzyła się z tego dobrej przyjaciółce Lorry Tisch, zarządzającej telewizją edukacyjną w Salt Lake City, a ta zaniósł się śmiechem.

- Zrobiłaś karierę, tłumoczku! W każdym calu dorównująca mojej!

- Jeśli powiesz mi, że macierzyństwo ma być dostatecznym...

- Posłuchaj, Deen, zanim pobraliście się ze Stepem, kiedy Step krążył między Meksykiem a Waszyngtonem, zbierając materiały na te prace dla katedry historii, dom odwiedzał tylko późną nocą w środę, z jakiego to powodu nie miałas czasu spotkać się z nim wtedy? Przypomnij sobie, kochaliście się już wówczas, a ty nie mogłaś poświęcić mu tej jednej nocy po dwóch miesiącach rozłąki...

- Miałam swoje powinności - odparła DeAnne.

- Przewodnicząca Stowarzyszenia Pomocy Młodym Malżonkom, uczestniczyłaś w spotkaniu. Mogłaś zmienić dzień! Mogłaś odwołać spotkanie w tym tygodniu!

- Dlaczego wywlekasz stare brudy, Lorry?

- Ponieważ dla kariery chcesz poświęcić wszystko, nawet Stepa. Niemal go wtedy straciłaś. Przez trzy godziny musiałam go przekonywać, by nie zrywał z tobą.

- Proszę, nie przypominaj mi tego - poprosiła DeAnne.

- Twoja kariera to Kościół, Deen. Niezależnie od powołania, jakie odczuwasz w danym momencie, właśnie dla Kościoła żyjesz, całą resztę lepiej przepędz. Więc nie wciskaj mi kitu, że nie zrobiłaś kariery. Odniosłaś sukces, kiedy razem uczyliśmy się w wyższej szkole, kiedy praktycznie w pojedynkę nadzorowałaś program dla Młodych Kobiet, a starsi ustępowali ci z drogi.

DeAnne zdawała sobie sprawę, że Lorry ma rację. Odnosiła sukcesy, które mogła podtrzymywać bez porzucenia rodziny. Podążała wtedy za głosem powołania z nowym entuzjazmem, nie opuszczała jej przez wszystkie te lata w Salt Lake City, w Orem i Vigor. Gdziekolwiek się przenieśli, kiedy tylko najbardziej wpływowo matrony zauważały, jaka jest sumienna, kompetentna i obdarzona inwencją twórczą kobieta, biegły do biskupa prosić, by przyjął ją do organizacji. Prawie natychmiast znajdowała się w wąskim kręgu najważniejszych kobiet gminy, świadoma wszystkich wydarzeń, problemów małżeńskich i finansowych kobiet nie potrafiących odnaleźć miejsca w społeczności, kobiet nie potrafiących zdobyć zaufania, kobiet po prostu nie potrafiących. Uzbrojona w tę wiedzę mogła działać efektywnie. Jej przedsięwzięcia uwieńczone zostały pełnym powodzeniem, przyrzeczenia zostały dotrzymane, lecz ona wciąż nie czuła się zaspokojona. O wiele ważniejsza była praca, jaką sama sobie narzuciła - pomoc siostrze, by starały się być ciut bardziej wyrozumiałe dla innych, bardziej tolerancyjne wobec tego, co odmienne, bardziej kochające i mniej nienawidzące, by przykładaly większą wagę do praw boskich i mniejszą do bezpodstawnych wymagań tradycji.

Była to praca rozpisana na całe życie, ponieważ nigdy się nie kończyła - mimo to dostrzegała postęp, dokonywała przełomów. A gdy porównywała swoją karierę kościelną z karierami innych osób - nawet tych opromienionych sukcesami jak Lorry, będąca teraz dyrektorem ds. spraw programów w stacji sieciowej o dużej oglądalności - nie czuła niedosytu, bo choć nigdy nie osiągnie sławy i pieniędzy, jakie stały się udziałem Lorry, z czego ta ostatnia mogła być dumna po każdym dniu pracy? Z powtórki „MASH” wcisniętej między Carsona a nowy show Lettermana?

Jeżeli Kościół stanowił istotę jej kariery, to przeprowadzka do innego miasta przypominała zmianę siedziby tej samej firmy. Kościół był z grubsza wszędzie taki sam. Istniały podobne powołania, podobne podstawowe zadania do spełnienia. Tylko ludzie się różnili; kompozycja, jaką tworzyli w gminie, zawsze była inna. Każda nowa gmina miała własne zwyczaje, tradycje, własne sprzeczki i kliki.

Najważniejszy był fakt, że każda nowa gmina zaskakiwała DeAnne jakimś nowym zadaniem. Trzeba było odczekać, nim ludzie się na niej poznają, nim spostrzeżają, w czym może im pomóc. W tym czasie biskup szukał w rejestrach gminnych kogos, kto mógłby poprowadzić zajęcia z pierwszoklasistami lub wydawać książki w bibliotece. DeAnne oczywiście przyjmie zadanie, jakim ją obarcza, starając się włożyć maksimum wysiłku w jego wykonanie. W każdej gminie trafiała do innej „szufladki”, która opuszczała dopiero w chwili przeprowadzki. Przed wyjazdem do Steuben zapytała Stepa:

- Ciekawe, kim będę w nowej gminie?

- Kim będziesz? Oczywiście, że DeAnne Brown Fletcher.

Ona miała na to inny pogląd. W Vigor piastowała urząd doradcy Stowarzyszenia Pomocy, była jedną z najważniejszych kobiet w gminie. Uczestniczyła we wszystkich wydarzeniach. W Salt Lake City była przewodniczącą stowarzyszenia Młodych Kobiet. W Orem pracowała w organizacji Młodych Kobiet na szczeblu okręgowym. Każda rola była odmienna. W każdym miejscu, jako że zawsze pełniła inną funkcję, pozostali świeci widzieli ją w zmienionym świetle.

I czemuż by nie? Tak właśnie funkcjonują kariery, nieprawdaz? Na tym polega różnica pomiędzy karierą a pracą. Praca się wykonywała. Kariera - tworzyła. Step jest doktorem historii, lecz nikt nie widzi go jako historyka, ponieważ to nie jego kariera. Jest twórcą gier, gdyż na tym polu świeci sukcesy. No cóż, DeAnne sprawdziła się jako doradca Stowarzyszenia Pomocy w Vigor, teraz w pierwszej gminie Steuben stanie się jeszcze kims innym, nurtowało ją pytanie - kim.

Wystarczająco często się przeprowadzali, żeby stać się ekspertami w natychmiastowym wtapieniu się w nową gminę. Niektórzy wkradali się w gminę skromnie, po cichu, po prostu uczeszczając na spotkania i tam stopniowo poznając ludzi. Lecz taki tryb mógł pozbawić pracy przez długie miesiące, a to doprowadziłoby DeAnne do obłędu. Tak więc wraz ze Stepem osiągnęli mistrzostwo w technice szybkiego i dogłębnego scalania się z nową gminą, pozwalającej z marszu zaangażować się w jej życie. Wstąpili do chóru.

Step obdarzony był silnym barytonem, radził sobie z większością partii tenorowych, a skoro każdy chór gminy cierpiał na niedostatek mężczyzn, szczególnie zaś tenorów, niemal natychmiast stał się gwiazdą zespołu. Sopran DeAnne nie był już taką osobliwością, lecz uczyła się szybko nowych partii i śpiewała donośnie i w odpowiedniej tonacji. Poza tym grywała na fortepianie i w razie potrzeby mogła zastąpić brakującego akompaniatora. Każda gmina miała swoich ludzi muzyki, rozdzielających zlecenia i pomagających sobie wzajemnie w pozostałych organizacjach. Dając się poznać ludziom muzyki, DeAnne i Step dawali się poznać wszystkim szacownym i znanym osobistościom. Ponieważ przykładali się do pracy w chórze, ludzie zaczęli nazywać ich „aktywnymi”. Zaczęto na nich polegać. Jeśli otrzymywali

zlecenia, nie zawodzili i wypełniali je co do joty. Dzięki powiązaniom z chórami w ciągu tygodni od czasu przeprowadzki do nowej gminy zyskiwali powszechny szacunek.

Te same metody wykorzystali w pierwszej gminie Steuben, podobna technika znów ich nie zawiodła. Kiedy pokazali się niedzielnego popołudnia na próbie chóru - z dziećmi u boku, uzbrojeni w papier do rysowania, książki do czytania i, w przypadku Elizabeth, kilka lalek do zabawy pod czujnym okiem Steviego - dyrektor chóru obejrzał ich od stóp do głów i powiedział bez wahania:

- Oho, przybył nam nowy członek chóru!

DeAnne zawsze traktowała to stwierdzenie z rozbawieniem. Już po chwili prowadząca chór musiała przeproszać, przy czym DeAnne zapewniała ją, iż rozumiała jest, że poszukiwani są mężczyźni, natomiast sopranów jest na peczki.

Biorąc udział w znajomych rytuałach prób chóru, DeAnne czuła się mile widziana, spokojna. Choć nie знаła nikogo z zebranych tam ludzi, wiedziała o nich tyle, że są mormonami, doceniają muzykę, tak więc poznała ich wszystkich, wiedziała też, że oni poznali ją i meza, i wtedy już mieli swoje miejsce.

W następnym tygodniu zastępowała nauczycielkę w podstawówce. Mąż dyrektorki był jednym z basów i najwidoczniej, kiedy dyrektorka zamartwiała się przez nauczyciela, który musiał wyjechać z miasta, powiedział:

- A może by tak poprosić tę nową siostrę, by go zastąpiła? Siostrę... Fletcher.

Następnego tygodnia Step poprowadził zajęcia z doktryny ewangelicznej. W ciągu dwóch pierwszych tygodni dwa razy przemawiał w szkółce, rozeszła się wieść, że ma doktorat z historii, co zdobyło mu znaczny prestiż głównie w robotniczej gminie, naturalnie więc było, że pozwolili mu wykazać się na niedzielnej lekcji dla dorosłych.

Następnego tygodnia biskup zadzwonił do DeAnne i ustalił datę spotkania z nią i ze Stepem. Sobota była jedynym rozsądnym dniem przed niedzielą, kiedy mogła liczyć na wcześniejszy powrót Stepa z pracy, dlatego na sobotę zaplanowano spotkanie. Bez wątpliwości miała uczyć w podstawówce - zwykły przydział dla kobiety nowej w gminie - Step natomiast poproszony został do nauczania w szkółce doktryny ewangelicznej. Step był wniebowzięty. Uwielbiał uczyć, nie cierpiał za to pracy w administracji, nie zachwycało go stanowisko przewodniczącego zgromadzenia starszych w Vigor. Poza tym szkółka doktryny ewangelicznej była zadaniem tylko na niedziele; spotkania w tygodniu kolidowałyby z pracą w Eight Bits Inc. DeAnne tymczasem czekała na sposobną okazję. Była dobrą nauczycielką i uwielbiała pracę z małymi dziećmi, wiedziała jednak, że wkrótce będzie się musiała z nimi rozstać, gdy zwolni się tylko jakieś miejsce w Kole Pomocy. Wiedziała o tym, gdyż przewodnicząca Stowarzyszenia Pomocy, Ruby Bigelow, uważała za stosowne usiąść przy niej w drugą niedzielę na próbie chóru, a kiedy skończono śpiewać, przez kwadrans gawędziły jak stare przyjaciółki, nim dzieci dały znać, że są dostatecznie głodne, by przystąpić do gryzienia ław. Siostra Bigelow wiedziała już, że DeAnne była doradcą do spraw edukacji w Kole Pomocy w Vigor - Jenny Cowper nie omieszkala jej o tym poinformować - wspominały historyjki związane z katastrofalnymi spotkaniami, w których brały udział.

- Mam nadzieję poznać cię lepiej - powiedziała siostra Bigelow na zakończenie tej pierwszej konwersacji.

To stało się w ostatnią kwietniową noc. Był wtorek. Zadzwonił biskup. Chciał najpierw porozmawiać ze Stepem. Step rozmawiał krótko. „Jasne, oczywiście, nie ma sprawy”. Potem wezwał DeAnne z powrotem do telefonu. Od razu domyśliła się, że biskup ma dla niej nowe dyspozycje, wprawdzie chciał

jednak zapytać Stepa - nie miała nic przeciwko temu zwyczajowi. Szkoda tylko, że ten mechanizm nie działał na dwie strony: nikt nie pytał żony o zdanie przed desygnowaniem męża na nowe stanowisko.

- Jak się masz, siostrze Fletcher? - zapytał biskup.

- Dziękuję, w porządku - odparła DeAnne.

- Nie znośże robić tego przez telefon, ale za godzinę mam samolot i nie wrócę przed niedzielą, a siostra Bigelow wypchałaby mnie sianem, gdybym wcześniej nie zadzwonił i pozbawił cię możliwości zablysnięcia w niedzielę.

Tak więc miało to być zebranie Stowarzyszenia Pomocy. Niemal poczuła ulgę; ze względu na doświadczenie wyniesione z Vigor ciągle uważała się za członkinię Stowarzyszenia Pomocy. Polubiła też siostrę Bigelow. Przyjemnie będzie z nią popracować, przyjemnie poznać kobiety z gminy.

- Siostrze Mansard dopiero co powołano do stanowej rady Stowarzyszenia Pomocy, a to pozbawia gminę przewodnika po życiu duchowym. Jestem tego samego zdania co siostra Bigelow, że to właśnie ciebie Pan wyznaczył na to stanowisko. Czy przyjmiesz je?

Oczywiście, że przyjmie, choć zaskoczyła ją propozycja zajęcia się życiem duchowym. Spośród czterech części nauczycielskiej branży była to bezdyskusyjnie najbardziej prestiżowa pozycja w Kole Pomocy. W najsmielszych nadziejach mogła marzyć najwyżej o nauczaniu poprawy kulturowej. Siostra Bigelow musiała obdarzyć nowo przybyłą wielkim zaufaniem.

W ten właśnie sposób, w dwa miesiące po przyjeździe do Steuben, DeAnne nareszcie przekonała się, jak wyglądać będzie jej kariera w tym miejscu. Lekko jej się zrobiło na duchu, była szczęśliwa. Podobnie jak Step miała zostać nauczycielką: w ukochanej organizacji i w dziedzinie, która cenila najbardziej.

- Kiedy się nad tym zastanowić - rzekł kiedyś Step - ty i ja możemy się cieszyć najbardziej wpływowymi pozycjami wśród nauczycieli. Jeśli Pan sprowadził nas do tej gminy, żeby tu zrobić porządek, nie mógł dać nam lepszego oreza. - DeAnne musiała się z nim zgodzić. Czuli się świetnie w nowej roli, jakby Bóg pragnął ich zapewnić, że dobrze zrobili, przenosząc się tutaj, że byli na wybranym przez Niego miejscu.

Gdyby tylko Stevie zaufał nowemu miejscu, nowym obowiązkom. Lecz dla dziecka było to trudniejsze, nawet dla tak bystrego i dojrzałego na swój wiek jak Stevie. Nie nauczył się jeszcze cierpliwości, nie rozumiał, że swój cel mają wszelkie pozorne przeciwności losu, nawet strach, nawet ból, tworzące z niego porządnego człowieka, rozumiejącego niedolę i samotność drugich. Zostało na to jeszcze wiele czasu. Miło było pomyśleć czasem, że za kilka lat powie Steviemu: „Pamiętasz, jak ciężko ci było na początku, kiedy wprowadziliśmy się do Steuben? Nawet miałeś wymyślonych przyjaciół, z którymi się bawiles. Tak bardzo się uwziąłeś, żeby zostać samotny! Rozejrzyj się teraz wokół, ilu masz przyjaciół, jak dobrze idzie ci w szkole!” Gdyby można było przeskoczyć parę lat, przenieść go w te czasy, by mógł przekonać się, że kryzys jest tylko przejściowy.

Tymczasem cieszyła się swoją karierą na równi ze Stepem. Tak naprawdę Step rozwijał dwie kariery. Jeśli nienawidził pracować z niektórymi dziwakami z Eight Bits Inc., odpoczywał od nich w niedzielę, kiedy miał okazję porozmawiać z ludźmi patrzącymi na świat jego oczami, będącymi sługami Pana, a nie sługami Raya Keene'a. Stepowi, rzecz jasna, nauczanie doktryny ewangelicznej nie przysparzało żadnych trudności. Nie myślał o tym w tygodniu, zazwyczaj nie przygotowywał się przed sakramentalnym spotkaniem. Czytywał kilka rozdziałów Starego Testamentu, podczas gdy mówcy

buczeli monotennie, zakreślał kilka wersów, a parę minut po zakończeniu spotkania stawał przed grupą i ośniwał. W pewnym sensie przez całe życie przygotowywał się do uczenia w ten sposób. Krótka chwila na pozбиieranie myśli i oto roztaczał przed słuchaczami wizję swych dogłębnych przemyśleń dotyczących Pisma Świętego, tak że uczestnicy lekcji mieli o czym rozmyślać i co zgłębiać przez cały nadchodzący tydzień.

DeAnne musiała poświęcić nauczaniu dużo więcej wysiłku. Przede wszystkim dlatego, że kobiety ze Stowarzyszenia Pomocy wymagały od swych nauczycielek dużo większego przygotowania. Konieczne były pomoce naukowe, czasem ulotki, czasem pocztunek, a to oznaczało, że każda lekcja DeAnne musiała planować wiele dni naprzód, czasem wiele miesięcy. Z drugiej strony DeAnne wkrótce przekonała się, że siostra Bigelow najwidoczniej wymaga od swych nauczycielek, żeby należały do aktywności w Kole Pomocy. Często rozmawiała z DeAnne przez telefon, prosząc o pomoc w tym i owym - o zadzwonienie do całej rzeszy sióstr, na przykład, z prośbą o zanieśnięcie jedzenia do takiego a takiego mieszkania, gdyż matka przebywa w szpitalu, a córka nie powinna się martwić gotowaniem. „Tak mi przykro, że obarczam cię tym wszystkim - mawiała często siostra Bigelow - lecz nasza litościwa przodowniczka nie jest... no cóż, nie zawsze jest zdolna wypełnić swe obowiązki”.

DeAnne rozumiała doskonale. Litościwa przodowniczka należała z pewnością do tych kobiet, którym przydzielono zadanie przerastające ich możliwości, by przyspieszyć rozwój osobowości. W tym czasie inni musieli nadrobić zaległości i wywiązać się z zadania, podczas gdy siostra, na którą początkowo nałożono to zadanie, przyglądała się i uczyła.

DeAnne przyjmowała takie zlecenia bez szemrania i wywiązywała się z nich celująco. Właśnie na tym polegała jej kariera. Dzwoniła więc, gdy Robbie i Elizabeth drzemali, wycinała z papieru materiały pomocnicze na lekcje, kiedy Betsy obok wypełniała kolorowankę, a Robbie ćwiczył literki. Właśnie tak miało przebiegać jej życie - nieustanne lawirowanie pomiędzy dziećmi a siostrami z gminy.

Najbardziej odpowiedzialną część pracy skupiała się jednak wokół nauczania życia duchowego - jeżeli z tym sobie nie poradzi jak należy, trudniej jej będzie przy pozostałych pracach. Tutejsze siostry musiały nauczyć się już na wstępie, że mogą polegać na doświadczeniu DeAnne, niełatwe zadanie, zwążywszy na fakt, że niektóre siostry nieco kwasno patrzyły na Laur, jaki przypadł nowicjuszcze. Na dodatek pierwsza lekcja miała się odbyć bezzwłocznie, pierwszego maja. Nie miała wyboru, musiała zaniedbać chwilowo parę spraw domowych - część skrzyń mogła poczekać z rozpakowaniem, dopóki nie będzie miała lekcji za sobą.

W niedzielę nerwy nie dawały jej spokoju, obudziła się wczesnie i nie mogła już zasnąć. Gdy Step wstał o ósmej, zastał dzieci ubrane w niedzielne garniturki, kończyły jeszcze śniadanie.

- Co się dzieje, czy dziś idziemy do kościoła na ósma trzydziestą zamiast na dziewiątą?

- Nie chciałam po prostu, żebyśmy biegali przed wyjściem - odpowiedziała DeAnne.

Step uśmiechnął się i objął ją. Wiedziała, że z natury nie należał do tych tulących się, ale rozumiał, że potrzebny jest jej kontakt fizyczny. Dzisiaj nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo lanknie wsparcia jego ramienia, poczuła spokój spływający na nią gorąca fala, przylgnęła do meza na moment.

- Będiesz dzisiaj cudowna - zapewnił. - Zawsze tak się przejmujesz, lecz jesteś wspaniałą nauczycielką, a oni cię będą uwielbiać.

Przez całe zebranie z trudem wychwytywała strzępy głosów ludzi wyznających wiarę, zżerały ją nerwy. W czasie lekcji Stepa w szkółce niedzielnej przeglądała notatki, upewniając się, że pamięta dokładnie

swoja przemowe. Mimo to jego głos wyrwał ją na chwilę z zadumy. Opowiadał historie o czasach, kiedy Jozue zamartwiał się, ponieważ dwóch ludzi głosilo proroctwa w obozie Izraela, i chciał, żeby Mojżesz zstąpił i położył temu kres. Step sparafrazował odpowiedź Mojżesza: „Nie bądźcie zazdrosni o mnie. Oby wszyscy ludzie zmienili się w proroków”. Następnie Step przystąpił do wykładu, jak to Bóg oczekuje od każdego świętego, że o droge zapyta Pana swego, nie polegając na nikim innym, choćby był prorokiem, i każdy ruch zaplanuje zgodnie z wola Pana. Przez jedną nieznosną chwilę wydawało jej się, że ma zamiar wygłosić jej lekcję. Powinnam mu powiedzieć, na jaki temat poprowadzę lekcję, bo jeszcze zaczniesz się wypowiadać na opracowany przeze mnie temat, a w Kole Pomocy pomyśla, że powtarzam słowa meza, co całkowicie oderwie uwagę słuchaczy od istoty zagadnienia.

Lecz Step przeszedł do dyskusji o rytuałach, DeAnne odetchnęła z ulgą, a w pewnym miejscu w notatniku namalowała gwiazdkę i napisała obok „Step”, dokładnie przy tym fragmencie lekcji, gdzie będzie chciała nawiązać do słów Stepa ze szkółki niedzielnej. Powinno zadziałać.

Nie brała w rachubę siostry LeSueur.

Ostrzeżona przez Jenny Cowper, DeAnne z miejsca spostrzegła, kim w rzeczywistości jest siostra LeSueur. Sympatyczna dama z wyglądu tuż po szesdziesiątce, z włosami ufarbowanymi na blond, zawsze wystrojona, promieniująca dostojnością i dostatkiem. Dla każdego miała w zanadrzu uśmiech i miłe słówko, DeAnne nawet ją polubiła. Nie potrafiła zrozumieć powodów, dla których Jenny wyraża się o niej tak nieprzychylnie. Może słodycz bijąca od jej osoby była odrobinę zbyt wyzywająca, lecz przecież ludzie mogą mieć o wiele gorsze cechy. Jenny musiała źle zrozumieć coś, co powiedziała siostra LeSueur. A może nie tolerowała ludzi chępcących się swą nieprzeciętnością w naśladowaniu Chrystusa. Również DeAnne nie potrzebowała przy sobie takich ludzi, lecz siostra LeSueur nie wydawała się aż tak natarczywa.

Zaczęła pojmować, o co chodziło Jenny, kiedy lekcja dobiegła końca i nadszedł czas, by siostry wyznały wiarę. Lekcja udała się wysmienicie. DeAnne mówiła o świadectwach wiary, a po przytoczeniu kilku historii przeszła do sedna sprawy, przekonując, by każda z sióstr starała się wypracować własną wiarę z Duchem Świętym.

- Jedynym mediatorem między nami i Ojcem w niebie jest Jezus Chrystus, poza nim nikt, żaden biskup, żaden z naszych mezów nie może stanąć między nami a Bogiem. To ze swojego świadectwa o Bogu będziecie rozsądzeni, gdy dopełnią się dni, nie zaś z czyjegós poza waszym. Jak Zbawca powiedział, słowo mówione, a nie usłyszane, może nas zgubić albo wybawić. Świadectwa waszych mezów nie mogą doprowadzić was do nieba.

Kiwaly głowami, wiele z nich przytakiwało, kiedy to mówiła.

Potem powiedziała o tym, jak to ona i Step nie uzgodnili między sobą tematu dzisiejszych lekcji, a jednak oboje zakończyli tym samym wnioskiem: że Pan pragnie, by wszystkie Jego dzieci były prorokami, by przyjmowały w swym życiu Ducha Świętego.

- Być może Bóg naprawdę chciał, byście dziś wysłuchały tej lekcji. Nie musiałam jednak udawać się do meza, by się o tym przekonać - jeśli któres z nas było natchnione, to oboje byliśmy natchnieni i tak też powinno być z naszymi świadectwami.

Znów przytakiwały zgodnie. A kiedy kończyła lekcję, wiele oczu błyszczało wilgocią.

Wyznanie wiary, jakie po tym nastąpiło, było piękne, a to także po części DeAnne miała na celu. Zadaniem przewodnika po życiu duchowym jest odpowiednie dostrojenie atmosfery, aby podczas tego

comiesięcznego spotkania siostry poczuły zadze powstania i złożenia publicznego świadectwa ze swych uczynków. Przy słowach pierwszych przemawiających kobiet zapanowało wielkie podniecenie i ferwor. Wtedy ze swego miejsca podniosła się siostra LeSueur.

Oczywiście, zaczęła od płaczu - tego właśnie oczekiwano po ludziach ostentacyjnie oddanych życiu duchowemu, jak też po tych, którzy naprawdę byli oddani. To właśnie słowa siostry LeSueur, a nie jej lzy kazaly DeAnne przypuszczać, że Jenny Cowper nie pomyliła się co do tej kobiety.

- Serce moje tak jest przepelnione po tej cudownej lekcji - powiedziała siostra LeSueur. - Chciałabym po prostu opowiedzieć siostronom, jak jest cudownie i jaka jestem błogosławiona, mając mojego drogiego meza Jacoba. Taka jest mi podpora, a muszę powiedzieć, że w naszym życiu to on o wszystkim decyduje, gdyż jest prawdziwą głową rodziny, a Pan wskazuje mu ścieżki, po których oboje powinniśmy stapać. Jeśli kiedykolwiek dostanie królestwa niebieskiego, to za sprawą jego świadectwa. Taka jestem wdzięczna, że Bóg przekazał swe córki w ręce tak dobrych mężów, jako że bez nich byłibyśmy krancowo samotne i zagubione. Chciałabym być tak uduchowiona jak siostra Fletcher przed chwilą, ja nigdy nie osmieliłabym się wyłożyć lekcji bez uprzedniej konsultacji z mężem, ponieważ to jest powód, dla którego Bóg dał mi meza, by był moim przewodnikiem i nauczycielem we wszystkich rzeczach.

Ciągnęła swój wywód, lecz DeAnne nie rozróżniała słów. Poczula się, jakby ją spoliczkowano. Już zle samo w sobie było to, że doktryna głoszona przez siostrę LeSueur fałszowała prawdę; nieznosny okazał się jednak fakt, że poważnie podważała pozycję DeAnne jako nauczyciela życia duchowego, zaprzeczając bez ogródek głównemu wnioskowi lekcji. Z tego, co DeAnne zdążyła się zorientować, Dolores LeSueur cieszyła się wielką estymą w gminie, a jeśli zadawała kłam nauczycielce, komu należało wierzyć? Jedną z najznamienitszych kobiet gminy pietnowała ją niniejszym jako niepewnego nauczyciela. Z trudem hamowała lzy. Szczególnie kiedy następna siostra wstała, dając świadectwo duchowemu majestatowi siostry LeSueur, mówiąc, że nic dziwnego, iż Pan ulecił ją z raka, żeby mogła wciąż mieszkać w pierwszej gminie Steuben i stanowić dla nich wszystkich niedosłowny przykład wiary i życia duchowego.

Wówczas spotkanie wreszcie dobiegło końca. DeAnne natychmiast pozbięła swe rzeczy i ruszyła w stronę drzwi, niczego bardziej nie pragnąc niż opuszczenia tego miejsca i dotarcia do samochodu, gdzie będzie okazja popłakać chwilke, zanim Step zbierze dzieci i sprowadzi je do auta, a ona znów będzie pogodna. Niemniej jednak utknęła w przejściu, wychodząc z salki, a nim wydostała się na drugą stronę, poczuła na rekawie czyjes dlonie. Dyrektorka chóru, Mary Ann Lowe. Po jej policzkach płynęły lzy.

- Co za cudowna lekcja - powiedziała. - To właśnie chciałam dzisiaj usłyszeć. - Po tym znikła w tłumie.

Jenny Cowper była następna w kolejce, by pociągnąć ją za rekaw, odciągając DeAnne od drzwi.

- Słyszałam, co powiedziała Mary Ann. Chce, żebyś wiedziała - jej mąż przestał praktykować, odkąd dopuszczono czarnych do duchowienstwa, straszny z niego bigot; boli ją serce za każdym razem, kiedy skończona kretynka daje świadectwo, jak cudowny jest jej mąż i jak to kobieta jest niczym, jeśli nie ma dobrego meza. Tak więc, kiedy mówiła, że potrzebowała lekcji o tym, jak mąż nie może stać między tobą a Bogiem, no cóż, powiedziała prawdę.

- Och - westchnęła DeAnne. Zatem jej lekcja komus się przydała.

- Wiesz, ta wiedzma tylko paple o tym swoim mezusiu.

- Masz na myśli siostrę LeSueur? - spytała DeAnne.

- Te wiedzme przez duze „W” - potwierdzila Jenny. - Wiec dajac te lekcje, oczyscilas powietrze, którym oddychamy w tej gminie, od smogu zalegajacego nad nia od lat. Co za pierwszorzedny poczatek!

- Pierwszorzedny poczatek? - zdziwila sie DeAnne. - Juz po mnie.

- Po tobie? Nonsens. Kazda tutaj, jesli ma choc czesciowo rozwiniety mózg, wycalowalaby chetnie siostrze Bigelow za powierzenie ci funkcji nauczycielki. Zdjelas straszny ciezar z niejednych ramion. W tym Kole Pomocy nie znajdziesz wiecej niz szesc udanych malzenstw, a kiedy królowa wiedzm obnosi sie ze swoim Jacobem, dotyka do zywego wszystkie inne kobiety.

- W takim razie moze nie ma pojecia, jak jej slowa dzialaja? - podsunela DeAnne.

- Tu mi kaktus wyrosnie - rzekla Jenny. - Lecz o wilku mowa.

DeAnne odwróciła sie, by stanac oko w oko z siostra LeSueur, wyciagajaca do niej reke z usmiechem na twarzy.

- Ach, moja droga siostrzo Fletcher, co za cudowna lekcja! Mówilam wlasnie siostrze Bigelow, ze to miło z jej strony, iz dala tak mlodej osobie sposobnosc dorosniecia do tak wielkiego powolania - a ty nadajesz sie do tego, za pare miesiecy sami zobacza. Pokladam w tobie taka wiare. - Mrugnela i uiscisnela reke DeAnne, nim odplynela w dal.

- Chyba masz ochote umyc reke, no nie? - powiedziala filuternie Jenny.

- Albo ja odciac - odparla DeAnne. - Ona naprawde jest wredna.

- Lecz fajnie jest wiedziec, ze nie tylko ty to dostrzegasz, co? W przeciwnym razie obwinalabys sie za nienawisc do niej, gdyz jest taka slodka i uduchowiona, zatem nienawidzenie jej prowadzic musi do zaglady.

- Wybacz, ze posadzilam cie o plotkarstwo - rzekla DeAnne. - Tymczasem to byla zwykla dobroczynnosc. Jak ostrzezenie kogos przed nadciagajacym tornadem.

- Och, jeszcze niczego nie widzialas - poinformowala ja Jenny pogodnie. - Zadzwon do mnie jutro albo dzis, jesli bedziesz miec sposobnosc. Teraz musze spedzic moje potworki, zanim wyrwa antene satelitarna.

DeAnne rozesmiala sie.

- Nie zartowalam - zapewnila Jenny. - Kiedy kilka lat temu po raz pierwszy zainstalowalismy antene, dwójka moich najstarszych urwisów wspielala sie po ogrodzeniu i sciagnela talerz. Lecz teraz podstawe zakotwiczyliśmy do betonowej plyty, wszystko jest juz pod kontrola, no chyba ze pozwolimy dzieciakom przyniesc narzedzia do kosciola. To na razie!

Kiedy Jenny znikla, DeAnne po raz wtóry wziala kurs na drzwi - bez poprzedniej checi ucieczki i placzu. Jednak i tym razem ktos ja zatrzymal.

- Siostrzo Fletcher, chcialabym z toba pomowic - rzekla siostra Bigelow.

No tak, pomyslala DeAnne. Nadeszly czarne chmury.

DeAnne podeszła do stolika, przy którym siostra Bigelow układała modlitewniki.

- Najlepiej odłóż cały ten sprzęt, który taszczysz - powiedziała.

Teraz poprosi o zwrot podręcznika, DeAnne nie miała wątpliwości. Zwolni mnie z funkcji nauczycielki życia duchowego. Nie dostane nawet drugiej szansy.

Lecz co ma być, to będzie, zdecydowała DeAnne, odłożywszy materiały do lekcji.

- No, teraz mogę cię uscisnąć bez ryzyka uklucia się rogiem twojej książki w oko! - oświadczyła siostra Bigelow. Była o pół głowy niższa od DeAnne, lecz miała silny i entuzjastyczny ucisk. Kiedy siostra Bigelow odstąpiła od niej wreszcie, DeAnne ukradkiem rozejrzała się, czy aby nie ma świadków w pomieszczeniu. - DeAnne, jestem przekonana, że Pan naprawdę sprowadził cię do Steuben w Karolinie Północnej, byś została naszym nauczycielem życia duchowego.

- Więc lekcja rzeczywiście wypadła dobrze? - spytała niedowierzająco DeAnne.

- Sądzę, że to jasne, jak potrzebna była ta lekcja - rzekła siostra Bigelow. - Nie powiem nic więcej, gdyż nie wyrażam się źle o moich siostrach, lecz dostrzegłam w tobie zniechęcenie spowodowane jednym ze świadectw, przy czym chciałam zapewnić cię, że nie ma po prostu powodu czuć się w ten sposób. Dla mnie jesteś manna spadająca z nieba. Wracaj teraz do domu i nakarm rodzinę.

Chyba mi się upieczę.

Ale czy aby na pewno? Jenny ostrzegła, że siostra LeSueur zawsze dopnie swego. Nie da się tak łatwo zbic z pantofelki. Ostatnia rzecz, na jaką miałaby ochotę, to spędzenie kilku następnych lat na nieustannej walce lub - co gorsza - otwartej wojnie. Nie, po prostu do tego nie dopuści. Pokona siostrę LeSueur miłością i dobrocią. Nigdy nie da siostrze LeSueur najlepszego powodu do uważania jej za wroga.

Opuszczała salę Stowarzyszenia Pomocy i zaczęła przetrzaszać korytarze w poszukiwaniu dzieci. Gdzieś się zapodziały. Step musiał już je zwolnić, uswiadomiła sobie, po czym skierowała się w stronę samochodu z nadzieją, że otworzył bagażnik pojazdu i DeAnne będzie mogła wrzucić w niego materiały lekcyjne oraz torbę z pieluchami i zabawkami Elizabeth bez zmagania się z kluczykami lub czekania na niego, żeby ją wyreczył. Teraz, kiedy przestała się już przejmować czekającą ją lekcją, wszystko zdawało się cięższe, wolniejsze, poczuła dojmującą potrzebę solidnego snu. A nie będzie po temu chyba szybko okazji. Może Step przygotuje napredce trochę kanapek dla dzieci, podczas gdy ona utnie krótką drzemkę przed próbą chóru.

Bagażnik samochodu był otwarty. Może i nie potrzebuje Stepa do ulżenia swej duszy, lecz jest on całkiem użyteczny, kiedy potrzebuje ulżyć strudzonym ramionom.

- No i jak poszło, Rybia Damo?

- Poszło ciekawie.

- Wyczuwam w tym niebanalną historię.

- Opowiem ci, kiedy będzie mniej uszu.

- Nie będę słuchał - zaoferował Robbie z tylnego siedzenia.

- A tak przy okazji liczenia uszu - rzekł Step. - Nie widziałas tam gdzie Steviego?

- Nie ma go z wami? - zdziwiła się DeAnne. Spojrzała do tyłu. Tam go nie było. Jak mogła nie zauważyć, że brakuje jednego z dzieciaków? Naprawdę była zmęczona.

- Nie spotkałam go tam - powiedziała.

- Zaden problem - rzekł Step. - Zaraz go przyprowadzę.

- Nie kłopotz się - wstrzymała go DeAnne. - Już idzie.

Stevie nadchodził wolnym krokiem, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Jaki on osowiały, pomyślała. Osowiały w drodze ze szkoły do samochodu, z samochodu do szkoły, osowiały przez cały dzień na podwórku, a na dodatek w kościele.

- Czasem wydaje mi się, że on nawet nie próbuje, Step - zauważyła.

- No dalej, Stevie! - zawołał Step. - Masz w samochodzie głodujące rodzeństwo!

- Ja nie jestem głodny - zaproponował Robbie. - Zjadłem trzy ciasteczka.

- Ciasteczka? - spytała DeAnne.

- Czestowali nas w klasie.

- No tak, cukier. Cudownie. Myślałam, że nie lubisz ciastek.

- Tym razem były czekoladki - powiedział Robbie.

- Były tak dobre, jak moje nadziewane czekolada ciasteczka? - zapytał Step.

- Nie - odparł Robbie. - Były okropne.

- Dlaczego więc je jadasz? - DeAnne była ciekawa.

- Bo je wygrałem.

- Jak je wygrałeś? - spytał Step.

- Odpowiedziałem na wszystkie pytania.

- Hmm - mruknął Step. - Ciekaw jestem, co by ci dał nauczyciel, gdybys odpowiedział na nie poprawnie?

- Odpowiedziałem na nie poprawnie! - krzyknął Robbie, wyglądając na zagniewanego.

- Dobrze już, sadzę, że wszyscy jesteśmy zmęczeni - poddał się Step. - Okej, nie będę cię już dreczył.

Stevie otworzył drzwi za DeAnne i wsiadł do samochodu.

- Ciesze sie, ze ci sie udalo - powiedzial Step. - Mam nadzieje, ze nie zmeczyles sie zbyt, idac z kosciola do auta?

- Wszystko w porzadku - odrzekl Stevie.

- Twój tata robi ci wymówke - podsunela DeAnne. - Sugeruje, ze zaraz po kosciele powinienes byl przyjsc do samochodu. Martwilam sie o ciebie.

- Dzieki za tłumaczenie - odparl Stevie. Sam teraz wygladal na lekko rozdrażnionego.

- Nic ci nie tłumaczylam - oswiadczyla DeAnne. Czula sie znuzona na smierc. - Wracajmy do domu.

Step wlaczyl silnik i wyjechali z parkingu na droge.

- Ja naprawde chce wiedziec, co porabiales.

Stevie nie odpowiedzial.

- Stevie - powtórzyl Step.

- Co?

- Naprawde chce wiedziec, co takiego robiles, ze spóźniles sie do samochodu.

- Rozmawialem.

- Z kim? - zapytala DeAnne. Moze Stevie znalazl przyjaciela, a w takim wypadku cieszylaby sie, ze spóźnil sie do samochodu.

- Z pania.

Zatem nie z przyjacielem.

- Z jaka pania? - zapytala.

- Nie wiem.

DeAnne poczula, jak Step nagle tezeje. Nie byla pewna, co to takiego, ale zawsze potrafila wychwycic moment, w którym zaczynal interesowac sie czymś na serio. Wciaz prowadzil samochód, lecz dostrzegala jakby wieksze napiecie miesni, spowolnienie ruchów. Rozmyslne. Stal sie wyjatkowo uwazny. Niebezpieczny. Ktos zblizyl sie nadmiernie blisko do jego dzieci i meski odruch stadny postawil go w stan alarmu. Nawet to lubila. Czula sie wtedy komfortowo. Oczywiscie, to jej uczucie bylo prawdopodobnie zenskim odruchem stadnym, zebranie dzieci przy osobniku meskim na pierwsza oznake zagrozenia. Pod skóra wszyscy jestesmy szympansami.

- Co ci powiedziala, Stevedore? - spytal Step.

- Nie podobala mi sie - rzekl Stevie.

- Ale co powiedziala?

- Powiedziała, że ma wizję związana ze mną.

Te słowa dotarły do DeAnne niczym rozblysk światła, oslepiając na chwilę: ona miała wizję.

- Dolores LeSueur - mruknęła.

- Tak - przyznał Stevie. - Siostra LeSueur.

- Co jeszcze mówiła o tej swojej wizji?

- Nie chce na ten temat rozmawiać.

- Musisz - powiedziała DeAnne, ledwo kontrolując emocje.

Step sięgnął ręką i dotknął jej uda. Dawał do zrozumienia, żeby się uspokoiła, że jest zbyt napięta, że nie powinna tak zareagować. Przez moment obruszyła się na niego, że osmielił się podać w wątpliwą sposobność zwracania się do własnego syna, nagle zdała sobie sprawę, że przenosi po prostu gniew z Dolores LeSueur na najbliższy cel, męża. Który miał rację. Więcej dowiedza się od Steviego, jeśli nie dadza mu poznać, jak bardzo się niepokoją.

- Powodem, dla którego chcemy wiedzieć, Stevie - wyjaśnił Step - nie jest to, co myśli, że widziała, cokolwiek to było - wizja, sen, zwykłe bajdurzenie - ale dlaczego by miała tobie coś takiego mówić?

- Bo to było o mnie - odparł Stevie.

- Ha, tu mi kaktus wyrosnie.

- Siostra LeSueur nie ma prawa mieć wizji na twój temat, Stevie. Nie jest twoją mamą ani tatą, jest dla ciebie nikim - powiedział Step. - Przybytek Boga jest przybytkiem porządku. Nie zsyla On wizji dotyczących ciebie komus, kto nie ma z toba nic wspólnego. Zatem jeśli miała wizję, załóż się, że nie pochodziła od Stwórcy.

- Och - zdziwił się Stevie.

Step wznosił już solidny fundament, lecz DeAnne niecierpliwiła się, żeby poznać prawdę.

- Więc jaka była ta wizja?

- Powie nam - wtracił Step - skoro tylko zrozumie, że tak trzeba. Miała złe przeczucie, kiedy do ciebie mówiła, nie było tak, Stevie? Dlatego powiedziałeś, że ci się nie podobała.

- Tak - przyznał Stevie.

- Nie pomyślałaś jednak, że to złe przeczucie ostrzeża cię, że słyszysz kłamstwa? Przez to czułaś się złe, no nie?

- Tak, ale nie zawsze - odparł chłopiec.

- Powiedziała ci, żebyś nic nam nie mówił? - spytał Step.

- Tak - przyznał Stevie cicho.

- Co? - wtraciła DeAnne, zbulwersowana.

- Powiedział, że tak - to był Robbie.

- Sama słyszałam.

- To dlaczego powiedziałaś „Co?” - nie dawał za wygraną Robbie.

- Wasza matka była po prostu zdziwiona - rzekł Step. - Stevie, Stevedore, Stephenie Bolivarze Fletcherze, mój synu, wiesz, czego ci nauczyliśmy. Jeżeli ktoś kiedykolwiek zakaze wam mówić czegoś rodzicom, co wtedy robicie?

- Ja wiem - wtracił się Robbie. - Obiecujemy, że nigdy nie powiemy, lecz przy pierwszej okazji mówimy wam.

- A dlaczego to?

- Bo żaden dobry człowiek nigdy nie kaze chować czegoś w tajemnicy przed mamą i tatą.

- Przypominasz sobie, Stevie?

- Tak.

DeAnne wylapała coś w jego głosie. Odwróciła się do tyłu, maksymalnie jak mogła i spostrzegła, że chłopiec płacze.

- Zatrzymaj samochód, Step - poprosiła.

Step natychmiast skierował samochód na parking kościoła metodystów. Na placu było już pustawo, najwidoczniej metodysci wyszli z kościoła o tej samej porze co mormoni.

- Dlaczego płaczesz, kochanie? - zapytała DeAnne.

- Nie wiem - odrzekł Stevie.

- Stevie, cokolwiek ci ta kobieta nagadała, najwyższy czas, żebyś nam powiedział.

- Powiedziała... - Teraz zaczął płakać na serio, nie potrafił wykrztusić słowa.

- Wszystko w porządku, Stevie - pocieszał go Step. - Po prostu mów wolno. Namyśl się.

- Powiedziała, że jestem naprawdę niezwykłym chłopcem.

- To akurat jest prawda.

- Powiedziała, że Pan wybrał mnie, bym czynił cudowne rzeczy.

- Takie jak? - spytał Step.

- Jak Ammon - powiedział. - Misjonarz.

- Tak?

- Lecz najpierw muszę udowodnić, że się nadaje.

DeAnne zapagnęła wyrzucić z siebie jakieś przekleństwo.

- Czy wyjaśniła ci, co byś miał zrobić, żeby to udowodnić? - pytał dalej Step.

- N...nauczyć rodziców, tak powiedziała.

- Nauczyć czego? - indagował Step.

- P...prawości - odparł Stevie.

DeAnne poczuła kopnięcie dziecka w łonie. Tyle tylko że to nie był kopniak, a raczej parcie, silny, metodyczny nacisk na zebra. Dziecko musiało wyczuć jej gniew; adrenalina przepłynęła przez łożysko, złościła obecność i dziecko, a przynajmniej podrażniając, niepokojąc, dodając wigoru. Muszę się uspokoić, pomyślała DeAnne. Dla dziecka.

- No dobrze - rzekł Step. - Jak myślisz, co miała na myśli?

- Nie wiem - odparł Stevie.

- Za to ja wiem - wtrąciła DeAnne. - Stevie, dziś w Kole Pomocy udzieliłam lekcji, która nie przypadła do gustu siostrze LeSueur.

- Dlaczego nie? - spytał Stevie.

- Ponieważ lekcja, której udzieliłam, mówiła o tym, że możesz zwracać się do Pana osobiście i nie potrzebujesz nikogo, kto by ci mówił, czego Pan od ciebie oczekuje, ponieważ Duch Święty jest w stanie przemówić prosto do twego serca.

- Po chrzcie - dodał Stevie.

- Co ci czeka już za miesiąc - przypomniała mu. - A nawet teraz Duch Boży potrafi szepnąć ci słówko do serca, jeśli ma powód. Lecz jej się nie spodobały moje słowa.

- Dlaczego?

- Ponieważ siostra LeSueur uwielbia okazywanie wszem wobec, jaka jest uduchowiona osoba. - DeAnne przypomniała sobie wszystko, o czym opowiadała jej Jenny Cowper, wierzyła teraz każdemu słowu i mówiła dalej, jakby się opierała na własnych doświadczeniach: - Nalogośnie chwali się wizjami, jakimi ponoć obdarza ją Bóg. Kocha uzależniać od siebie innych i nagiąć ich wole do własnych celów. Gdy więc zaczyna rozumieć, że prawdziwa boża inspiracja może otrzymać bezpośrednio od Boga, a nie za pośrednictwem siostry LeSueur, no cóż, nie będzie już znaczyć tyle co wcześniej. Czy teraz rozumiesz?

- Tak - odparł Stevie.

- Chcę więc, abym przestała opowiadać podobne rzeczy.

- I ja także - dorzucił Step. - Wygłosiłem dziś podobną lekcję.

- Więc spróbowała ci wmówić, że miała wizję dotyczącą ciebie - kontynuowała DeAnne - żebyś zamiast uczyć się od rodziców, zawsze przychodził do niej z prośbą o radę, co powinieneś zrobić ze swoim życiem.

- Dlaczego miałyby kłamać? - spytał Stevie.

- Ona próbuje wykręcić cię nam - wyjaśnił Step.

- Jak bandyta! - rzekł Robbie.

- Dokładnie jak bandyta - zgodził się Step. - Tyle że kawałek po kawałku, powoli, zaczynając od serca. Kazać ci zwatpć w nas i zastanowić się, czy może nie jesteśmy prawi, czy może nie powinieneś poszukać prawości u kogoś innego, by potem nas jej nauczyć. A jak myślisz, od kogo?

- Od niej - odparł Stevie. - Tak właśnie powiedziała. Podobno Bóg miał jej opowiedzieć o mojej ch...chwalebnej przyszłości.

- Co za trucizna - oburzyła się DeAnne.

- To się nazywa pochlebstwo, Stevie - wyjaśniał Step. - Prawda jest taka, że ktokolwiek wie cokolwiek o tobie, powie ci to samo. Jesteś taki bystry i dobry, nie może być inaczej. Nie potrzeba więc wizji od Boga, żeby to stwierdzić. Ona żywi jednak nadzieje, że przez opowiadanie o cudownych rzeczach, czekających na ciebie w przyszłości, sprawi, że cała nadzieje pokładac będziesz w tym, co ona ci mówi, a nie w tym, co my mówimy.

- Te same metody stosują wszyscy telefoniczni wróżbiarze - wtraciła DeAnne. - Powiedza ci o cudownych rzeczach, a ty będziesz miał nadzieje, że okaza się prawdziwe. Uwierzysz w te wróżby, bo chcesz, żeby się spełniły. To cię utwierdza w przekonaniu, że wróżbiarz ma rację, że on jakos naprawdę wie, ale to wszystko lipa.

Stevie myślał nad tym przez minutę. Step wycofał się z parkingu i wyjechał z powrotem na drogę, kierując samochód w stronę domu.

- A jeśli ona naprawdę miała wizję? - zapytał Stevie.

DeAnne pragnęła wrzasnąć na całe gardło. Nie miała żadnej wizji! Wlala ci do ucha truciznę, tak jak zrobiono to ojcu Hamleta! Powstrzymała jednak swierzbaczy język, ufając, że Step będzie od niej spokojniejszy, nie miał przecież dzisiaj przeprawy z siostrą LeSueur.

- Stevie - powiedział Step - jeżeli naprawdę miała wizję pochodzącą od Boga, czemu mi o tym nie powiedziała ani twojej mamie, przecież okazji nie brakowało?

- Ponieważ wizja mówiła, że nie jesteście prawi - wytłumaczył Stevie, a DeAnne dostrzegła w jego wypowiedzi nieco sarkazmu. Większy nacisk na słowo „mówiła”. Ona „mówiła”, że nie jesteście prawi. Chłopiec zaczyna zmieniać pozycję, staje przy nas przeciwko tamtej, która nie wygra w tej rundzie.

- Jeśli to była prawdziwa wizja - podjął Step - dlaczego bała się rzucić nam prosto w twarz naszą nieprawość? Prorocy Boga są w tych sprawach bardzo odważni. Wytykają nikczemnym ludziom ich

występki bez ogródek. Ale, ale, nie opowiadaliśmy ci już podobnych historii? O Samuelu Lamanicie?

- Prawie go zabili! - krzyknął z tyłu Robbie. - Stal na murze!

- A więc jednak słuchaliście w Wigilie - zauważył Step.

- Zgadza się - odparł Stevie, teraz już stanowczo. Wreszcie sobie wszystko poukładał. - Gdyby miała rację, przyszlaby z tym do was, zamiast skradac się jak złodziej.

- Jak Abinadi - dodała DeAnne.

- On się spalił! - wrzasnął Robbie.

- Palik! Palik! - zaskrzeczwała Elizabeth, rozglądając się na wszystkie strony, szukając tego, o którym mówił Robbie.

- Zaden palik, Betsy Wetsy - rzekł Robbie. Wyjaśnił jej pojęcie ognia, czego nie rozumiała, Robbie jednak wcale o to nie dbał; nie przejmował się nigdy, czy ludzie go rozumieją, jeśli siedzieli cicho i nieruchomo. Elizabeth przypięta pasem do siedzenia samochodu stanowiła idealną słuchaczkę.

DeAnne zauważyła, że Step chce coś jeszcze przekazać Steviemu, co było dla niej w pełni zrozumiałe, gdyż sama nosiła się z podobnym zamiarem. Tymczasem oboje zachowali milczenie. Stevie rozumie. Wie, że kobieta chce nim manipulować. Nie ma więc potrzeby niczego dodawać.

Mimo to, kiedy dotarli do domu i Step transportował Elizabeth z samochodu do mieszkania, DeAnne nie mogła się oprzeć pokusie dodania jeszcze jednej porcji nauki.

- Stevie - oświadczyła - chce, żebyś coś wiedział.

- Co takiego?

Otworzyła drzwi, a Robbie zaoferował się jej przytrzymać dla Step'a i Betsy. Wniosła do kuchni materiały lekcyjne i torbę na pieluski, rzuciła wszystko na stół. Stevie dreptał tuż za nią.

- Chce, żebyś wiedział - powiedziała DeAnne, klekając na jedno kolano, by mogła spojrzeć synowi prosto w oczy - że jesteś naprawdę wspaniałym chłopcem z cudowną przyszłością. Wiem to od początku. Przypuszczam, że wiedziałam o tym, kiedy jeszcze byłeś w moim brzuszku.

- W łonie - poprawił Stevie. Zeszłej jesieni Step wpoił mu pierwsze ABC na temat, jak to robia pszczołki i teraz chłopak unikał jak ognia dziecięcego języka.

- Tak, w moim łonie - zgodziła się DeAnne. - A już z pewnością, od kiedy byłeś niemowlakiem. Masz wrażliwą duszę. Wiesz, o co chodzi. Wiesz, co jest słuszne. Dlatego tak się czułeś, kiedy do ciebie mówiła. Nawet pochlebając ci, nie zdobyła twojego zaufania, prawda?

- Tak.

- A to dlatego, że jest coś w tobie, co wie. Odróżnia człowieka dobrego od złego. Kaze ci myśleć, że powinieneś coś zrobić, bo to jest właśnie słuszne. A wiara w bajki siostry LeSueur nie była słuszną postawą i ty to wiedziałeś. Czy pojmujesz, co mówię?

- Tak.

- Stevie, zaufaj tej istocie w środku twojego serca, która wie, co jest słuszne. Zaufaj i zachowuj się zgodnie z jej zaleceniami.

- Nawet gdy powie mi, bym nie słuchał ciebie i taty?

- Nigdy ci nie namówi do niczego złego, to ci mogę obiecać, Stevie.

Przytaknął poważnie.

- Okej - zgodził się i wyszedł z pokoju.

Poczuła się słaba i roztrzęsiona. Czego właśnie nauczyła syna? By dawał wiarę jakiemuś wewnętrznemu uczuciu, a dopiero potem słowom rodziców?! Jak mogła powiedzieć coś równie nieodpowiedzialnego, szalonego! Lecz w tamtym momencie czuła podświadomie, że dokładnie tego należy go nauczyć. Jak teraz będzie parować ciosy tej LeSueur, tej królowej wiedzy, jeśli DeAnne pozwala Steviemu ignorować rodziców? Nie, nie pozwala. Ona nalega.

Pomaszerowała do kuchni, by wyświadczyć się przed Stepem z tego, co przed chwilą zrobiła, i poprosić go, by pomógł jej sprecyzować przed Steviem swoje poprzednie wskazówki, lecz znalazła tylko samą Elizabeth, szperającą pośród ciasteczek w pudełku, które DeAnne zawsze zabierała do kościoła w torbie na pieluszki.

DeAnne poszła korytarzem, zaglądając po drodze do gabinetu Stepa. Nic. To samo w pokoju Elizabeth. Nie znalazła go też w pokoju chłopców, gdzie Stevie leżał na łóżku, gapiąc się beznamiętnie w sufit. Biedne dziecko, tyle zamieszania, tyle dziwnych zjawisk w życiu! Jak to wszystko ogarnąć?

Spodziewała się zastać Stepa w łazience, lecz i tam go nie było. Siedział na łóżku, rozmawiając przez telefon.

- Tak mi przykro, że nie czuje się dobrze - mówił Step. - Tak, to zrozumiałe, bracie LeSueur, może po prostu przekazesz jej wiadomość. Czy mogę o to prosić?

DeAnne czekała, wstrzymując oddech, by usłyszeć sprawozdanie Stepa, szczególnie gdy biedny brat LeSueur nie miał prawdopodobnie zielonego pojęcia, co jego żona porabiała za dnia. DeAnne skłaniała się ku przypuszczeniu, że nie miał pojęcia o niczym, co robi żona, nigdy.

- Okej, wiadomość jest taka. Poruszyła dziś przy mnie doktrynalną kwestię - o tym, co powinien zrobić ojciec, jeśli ktoś spróbuje wykręcić mu dziecko. - Brat LeSueur musiał powiedzieć coś, gdyż Step przerwał na chwilę i kontynuował: - Nie, nie w klasie, po spotkaniu. Tak czy inaczej oto najlepsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. Jestem głęboko przekonany, że jeżeli ktoś spróbuje ukręcić dziecko mężczyźnie, sprawiedliwości stanie się zadość, cokolwiek by zrobił w celu ochrony rodziny... Tak, dokładnie, cokolwiek... Nawet zabić, tak. Nie sadzę, żeby to było morderstwo, raczej ochrona bezbronnych. Chyba się ze mną zgodzisz, bracie LeSueur?... Tak, wiedziałem, że przynasz mi rację. Może byś jej w takim razie powiedział, że zgadzasz się ze mną, że mężczyzna jest w pełni usprawiedliwiony, zabijając kogoś próbującego wykręcić mu dziecko. Sadzę, że usatysfakcjonuje ją ta odpowiedź... Tak, myślę, że ta szczególna kwestia nie będzie już poruszana... Wielkie dzięki i proszę przekazać, że mam nadzieję na jej rychły powrót do zdrowia i długie, szczęśliwe życie... Och, dziękuję! Do widzenia.

Spojrzał na DeAnne i wyszczerzył zęby.

- Powiedział, że spodobała mu się moja lekcja.

- Nie do wiary, że powiedziałes to jej mężowi! - zdziwiła się DeAnne.

- Tak, no wiesz, powiedziałem to, aby dać jej do zrozumienia, że po raz ostatni wykreca podobny numer.

- To naprawdę kobieta z piekła rodem - rzekła DeAnne. - Jenny starała się mnie ostrzec, lecz nie chciałam dać wiary, że ktoś może upaść tak nisko, by usiłować dobrać się do rodziców, zatruwając serca dzieci.

- Niebo świadkiem - westchnął Step - że tak się dzieje od wieków. Tak samo postępowali naziscy, tak samo komuniści, także wielu z rozwiedzionych rodziców ucieka się do podobnych sztuczek.

- Niech będzie - zgodziła się DeAnne. - Może i mnóstwo ludzi postępuje w ten gadzi sposób. Ona z pewnością do nich należy.

- O, tak - dodał Step. - Zdecydowanie wypelzła spod kamienia.

- Jak możesz być tak spokojny? Nie złościsz się wcale?

Step tylko się uśmiechnął - lekki grymas na twarzy.

- Hej, Rybia Damo! Kazalem właśnie doreczyć facetowi wiadomość zonie, że jeśli po raz kolejny zadrze z moją rodziną, nie będę czuł moralnych oporów przed zgładzeniem jej. I ty myślisz, że nie jestem wściekły?

- Lecz w rzeczywistości nie posunąłbyś się tak daleko.

- Trochę byłoby smutno, gdyby siostra LeSueur pomyślała podobnie - odrzekł Step.

- Nigdy nie byłeś gwałtowny.

- Wszystko sobie przemyślałem. Udaję tylko przed sobą, jak przypuszczam, że nie jestem gwałtowny. Ponieważ po prostu nie zaszła dotąd potrzeba użycia przemocy.

- Nie sądzę, żeby przemoc była stosowną odpowiedzią na jej zachowanie.

- No tak, wiem - zgodził się Step. - Prawdziwą odpowiedzią jest utrzymywanie naszych dzieci z dala od tej czarownicy i przy każdej okazji przedstawianie ludziom właściwej wersji wydarzeń. Tego musimy się trzymać - ona naprawdę jest w błędzie, a my naprawdę mamy rację, tak więc dobrzy i mądry ludzie przejrzą w końcu perfidne sztuczki i ujrzą jej czarną duszę.

Podeszła do niego, usiadła obok na łóżku i złożyła głowę na jego piersi.

- Podobało mi się, kiedy rozmawiałes przez telefon o zabijaniu ludzi - wyznała. - Muszę być najbardziej zepsuta kobieta na świecie, ale poczułam taką... rozkosz.

- I ja - przyznał.

- Nie jesteśmy okropni?

- Osobiscie sadze - odparł Step - ze jestesmy potworni.

Późno w nocy przebudziła się ze snu, który uniknął, choć ze wszystkich sił starała się go zatrzymać. Przekreciła się na drugi bok i dopiero teraz spostrzegła, że świeci się lampka nocna Stepa, który ciągle czytał.

- Nie możesz zasnąć? - wymruczała.

- Miałaś jakiś dziwny sen - rzekł Step. - Nie rozumiałem ani słowa, ale chyba wypowiadałaś się bardzo stanowczo.

- Nic nie pamiętam.

I nieoczekiwanie przypomniała sobie. Nie sen, ale coś innego, o czym chciała porozmawiać ze Stepem i o czym zapomniała. Wyznała Stepowi, jak doszło do tego, że przykazała najstarszemu synowi wsłuchiwać się najpierw we własny osąd, a dopiero później pytać o zdanie rodziców.

- No cóż - odparł Step. - No cóż.

- Tylko tyle? Zwyczajnie „No cóż”?

- Nie, nie tylko „No cóż”. Wyraźnie pamiętam, że powiedziałem: „No cóż, no cóż”. Dwa „No cóże”.

- Ja jestem poważna, Step.

- DeAnne, jest tak, jak sama mi powiedziałas. Po prostu musiałas to powiedzieć, nie wcześniej, tylko dokładnie wtedy, po czym nie potrafiłaś zrozumieć, dlaczego musiałas to zrobić.

Chyba wciąż była na wpół pogrążona we śnie, bo nie zdołała wychwycić sensu w tym, co mówił.

- Rybia Damo - rzekł cierpliwie - podażyłaś za wewnętrznym głosem. Postąpiłaś zgodnie z tym, co w danym momencie uważałaś za właściwe. Powiedziałaś Steviemu coś, czego gdybyś była w normalnym nastroju, nigdy nie osmieliłabyś się powiedzieć.

- Tak więc odbija mi?

Westchnął.

- Naprawdę twoim zdaniem mogłam otrzymać natchnienie, by coś podobnego z siebie wydobyć?

- Skąd mogę wiedzieć? - odparł Step. - Sądźmy, że wchodzi to w rachubę, no nie? A tymczasem nie mam zamiaru budzić w Steviem wątpliwości co do słuszności twoich słów. Gdyż faktycznie miałaś rację. Na dłuższą metę każda ludzka istota zostaje rozliczona ze swych wszystkich uczynków. Stevie nie zdoła się ukryć za naszymi plecami, na nic zdadza się jego krzyki: „Ale zrobiłem, co mi kazali!” Będzie musiał

stawic sie na sadzie niebieskim i powiedziec: „Oto lista moich uczynków, a oto dlaczego zdecydowalem sie na nie”.

- Ale on ma tylko siedem lat.

- On nie jest tylko siedmiolatkiem - powiedzial Step - i ty o tym wiesz. Matka powiedziala mi kiedyś, iz chwilami wydaje jej sie, ze przed naszymi narodzinami mieszkalismy z Bogiem w przedzyciu, byc moze jej dzieci sa starsze od niej. Moze byly bardzo stare i bardzo madre, i Bóg oszczedzil je az do teraz, gdyz potrzebowal na ziemi garstki swoich najlepszych dzieci podczas dni konca. Byc moze mama miala racje. Nie co do swoich dzieci, ale co do naszych.

- Ma siedem lat, nawet jesli jego duch jest sedziwy.

- Co powiedzialas, to powiedzialas, a co powiedziala siostra LeSueur, to tez powiedziala. I wiesz co, Rybia Damo? Twoje slowa podobaly mi sie znacznie bardziej. Ona mu nakazala: „Kieruj sie moja wola, miej we mnie oparcie, róbn, co ci powiem, a zrobie z ciebie wielkiego czlowieka”. Ty mu rzeklas: „Polegaj na sobie, sluchaj glosu rozsadku, juz jestes czlowiekiem, a wielki moze staniem sie później”. Co w tym zlego?

- Sprawiasz, ze odzywam, Galganiarzu.

- Taki juz mój obowiazek - odparl. - Jest to zapisane w kontrakcie malzenskim. Kiedy zona budzi sie w srodku nocy, potrzebujac wsparcia, maz musi jej go udzielic albo pozegnac sie z cieplymi posilkami przez najblizszy tydzien.

- Ach, wiec to tak - udala oburzenie. - Ty po prostu wypelniasz warunki kontraktu.

- Staram sie, jak moge - przyznal - mimo to cieply posilek to dla mnie rarytas.

- Nie ma w tym mojej winy.

- Byc moze nadejdzie kontrakt od Agamemnona. Moze jutro.

- Nawet jesli nie przyjdzie, Step, nawet jesli pan Agamemnon czy pan Akabakka, czy jak mu tam...

- Arkasian.

- Jesli zmieni zdanie albo nie bedzie mógł, albo cokolwiek. Nawet jesli nic z tego nie wyjdzie, wszystko jakos sie ulozy.

- Mam nadzieje, ze sie nie mylisz, Rybia Damo.

- Nie myle sie. Mozesz na to liczyc. Przeciez miesam natchnienie, no nie?

- Czasami po prostu obdarzasz nim drugich - rzekl. - Mnie.

Mocniej przytulila sie do niego, przymykajac oczy, czula sie pocieszona, mogla juz spac.

- Dzieki tobie czuje sie tak wspaniale, Galganiarzu.

Nachylila sie i pocalowala go w czolo. Potem musiala zasnac, gdyz nic wiecej nie pamietala, kiedy

nadszedł ranek.

Rozdział siódmy

Swierszcze

Oto jak wyglądała praca Stewiego na zakończenie drugiej klasy: przyniósł do domu jednostronicowy wykaz obowiązków, które nie były sztywno nakreślone. Projekt na koniec roku miał ukazywać jakieś „środowisko” i stworzenia je zamieszkujące. Termin oddania prac upływał 22 kwietnia, musiały zawierać pisemne sprawozdanie i „odwzorowanie wizualne”.

- Większość dzieci robi plakaty - powiedział Stevie - ale ja nie chce. - Czytał o osmiornicach, zamierzał opisać środowisko podmorskie. Zamiast powycinać obrazki z czasopism i powklejać je na tablice, poprosił mamę, żeby kupiła mu trochę kolorowej plasteliny, z której uformował ryby, małże, korale i osmiornice. Rozmieszczył je na kartonowej podstawie, którą DeAnne wycięła z boku jednego z pudełek używanych przy przeprowadzce. Potem napisał sprawozdanie, samodzielnie wklepując je na komputerze Stepa i umieszczając w rogu tablicy.

Była to pierwsza rzecz, jaka naprawdę zainteresowała Stewiego, odkąd przybył do nowej szkoły. DeAnne z nie ukrywaną dumą pokazała dzieło syna Stepowi w noc poprzedzającą zabranie pracy do szkoły.

- To niesamowite - przyznał Step. - Nie pomagałaś mu?

- Ani trochę. W rzeczywistości odradzałam mu podjęcie się tak ciężkiego zadania. Kto mógł przypuszczać, że zrobi rybę przypominającą rybę?

- Nie wspominając o osmiornicy wyglądającej jak osmiornica - dodał Step. - A spójrz tylko na te małże. Jest nawet rozgwiazda, otwierająca muszle jednego z nich!

- Wciąż milczy na temat szkoły - powiedziała DeAnne. - Nawet gdy go wypytuję. Lecz udało mu się to zrobić, więc nie jest jeszcze tak źle.

Wkrótce DeAnne otrzymała nowe zlecenie i tak była zajęta przygotowaniem swoich lekcji życia duchowego, że przestała myśleć o pracy Stewiego, kiedy została już oddana.

Jednakże w pierwszy poniedziałek maja, gdy miała już lekcje za sobą, odwozić Stewiego do szkoły, przypomniała sobie o pracy syna i zapytała go, co nauczycielka o niej myślała.

- Postawiła mi troje - odpowiedział Stevie.

- Co takiego? - DeAnne nie dowierzała własnym uszom.

- Poza tym wszystko się upackało.

- Upackało! Jak? Czy ktoś to upuścił?

- Nie - odparł Stevie. - Powiesili wszystkie prace w centrum medialnym, a kiedy inne dzieci przechodziły, niszczyły ją.

- Celowo?

- Tak - przyznał Stevie.

- Skąd ta pewność? Widziałeś, jak to robia?

- Raymond powiedział: „Patrzcie, jaki przypływ!”, a po nim jeszcze więcej dzieci walcowało plasteliną, tak że w końcu została tylko bezkształtna masa.

- Gdzie podziwiała się twoja nauczycielka, kiedy to robili? Gdzie była bibliotekarka?

- Pani Jones była tam.

- Nie zareagowała?

- Nie - odpowiedział Stevie.

- Widocznie nie widziała, co robia.

- Widziała.

- Zauważyła? I nie powstrzymała ich?

- Nie.

DeAnne zrobiło się niedobrze. Nie, pomyślała. Stevie po prostu źle zrozumiał sytuację. Nauczycielka tak naprawdę nie zwracała uwagi. Nie mogła przecież dopuścić do takiej makabry.

- Wejde i porozmawiam z twoją nauczycielką - zdecydowała DeAnne.

- Proszę, nie! - Stevie szarpnął się gwałtownie.

- To trzeba wyjaśnić. W żadnym wypadku twoja praca nie zasłużyła na trójkę.

- Proszę, nie wchodź! - zaklinal.

- W porządku - uległa. - Ale dlaczego nie?

- To jeszcze pogorszy sprawę, jeśli wejdiesz - rzekł Stevie.

- Pogorszy?

Tymczasem dojechali na plac przed szkołą, Stevie wyskoczył z samochodu i pocałował do szkoły -

pierwszy raz widziała go biegnącego w kierunku klasy. Jakos to jej nie pocieszało. Cos tu naprawde nie grało, nie chodziło o samo otepienie związane z przeprowadzką. Pani Jones nie mogła postawić za te prace trójki. Także żaden nauczyciel nie przypatrywałby się beczynnie, jak jedno dziecko niszczy prace drugiego. To się po prostu nie mogło przytrafić.

No cóż, jeśli nie mogła pomówić z panią Jones, mogła przynajmniej porozmawiać z bibliotekarką i od niej dowiedzieć się czegoś w tej sprawie.

- No dalej, dzieciaki, wychodzimy - powiedziała.

DeAnne podjechała samochodem na parking dla nauczycieli, gdzie miejsce dla odwiedzających rodziców było wolne, i przez kilka minut różnym krokiem wiodła dzieci korytarzem w stronę centrum medialnego. Powinna była zgłosić się w gabinecie, lecz recepcjonistka była tak zjadliwa, a DeAnne tak roztrzesiona, iż doszła do wniosku, że zatrzymanie się w głównej recepcji doprowadziłoby ją do prawdziwej furii.

Bibliotekarka była starsza już dama o słodko dzwieczącym głosie. Kiedy usmiechnęła się, DeAnne z jakiegoś powodu powróciła myślą do zdarzenia, gdy z powodu zapalenia spojówek zakryto jej oczy bandażem, przez który nic nie widziała, i ktoś położył chłodną, wilgotną szmatkę na jej czole.

- Tak się ciesze, kiedy rodzice zaglądają do biblioteki - powitała ją starsza pani.

- Och, myślałam, że to teraz centrum medialne - powiedziała DeAnne.

- No tak, to prawda. Mamy tu dwa magnetowidy i komputer Apple II, dlatego jesteśmy centrum medialnym, lecz proszę tylko spojrzeć na te wszystkie książki. Czy nie nazwie pani tego biblioteka?

- Chyba tak - przyznała DeAnne. - Lecz bardziej mi się podoba, że pani też to nazywa biblioteka.

Bibliotekarka usmiechnęła się i dotknęła ręki DeAnne.

- Bardzo jest pani miła. - Po tych słowach przechyliła się za kontuar, niezbyt daleko, gdyż nie była za wysoka, i uściskiem dłoni przywitała się z Robbiem i Elizabeth. - A ty kiedy zaczniesz tu studiować, młody człowieku?

- Następnej jesieni idę do przedszkola - odrzekł Robbie.

- O, widzę, że dobrze cię nauczono - pochwaliła. - Wymówiłeś przedszkola, a nie przeczkola.

Robbie promieniał.

Bibliotekarka na powrót zwróciła się do DeAnne.

- Czy wpadła tu pani po prostu z ciekawości? Czy też mogę w czymś pomóc?

- Podobno wystawiano tu prace drugoklasistów.

Bibliotekarka wyglądała na szczerze zmartwiona.

- Nie dalej jak w sobotę zdaliśmy wystawę. Tak mi przykro, że pani ją przegapiła. Tacy jesteśmy dumni z naszych drugoklasistów.

- To raczej niespotykane, by pod koniec drugiej klasy składano projekty - powiedział DeAnne. - Ja jeszcze o czymś takim nie słyszałam. Gdy chodziłam do szkoły wyższej, nie mieliśmy takich projektów.

- Chyba to dlatego, że nasza szkoła uczy dzieci jedynie od przedszkola do drugiej klasy - stwierdziła bibliotekarka. - Dr Mariner chce, żeby odeszli z naszej szkoły dzieci uczące się czegoś, co utkwi im w pamięci.

- Dokładnie w ten sposób mój najstarszy syn traktował swoje zadanie - poinformowała ją DeAnne. - Być może zauważyła pani jego projekt na wystawie.

- Ach, nie wiem, czy przypomnę sobie dokładnie każdy, pani... hm...

- Jestem DeAnne Fletcher.

Oczy bibliotekarki natychmiast rozszerzyły się, błysnęła po raz kolejny swoim ujmującym uśmiechem.

- Ach tak, musi być pani matka Steviego Fletchera!

- To prawda.

- Naprawdę, nieprzeciętny chłopak - oświadczyła bibliotekarka. - Faktycznie, jego projekt pamiętam. Rzeźbiony ogród, środowisko podmorskie, o ile wiem. Z osmiornicą i tą rozgwiazdą próbującą otworzyć małż - zauważyłam też, że rekin polyka małą rybkę. Trochę straszne, być może, lecz bardzo twórcze. Musi być pani dumna z syna, że otrzymał wstęgę za pierwsze miejsce.

- Pierwsze miejsce? Stevie powiedział mi, że otrzymał trójkę.

- Co za niedorzeczność! Dr Mariner sama tu się zjawiała, aby je ocenić, i zanim przejrzała pozostałe plakaty, powiesiła błękitną wstęgę przy projekcie Steviego, mówiąc: „To tu zostanie, dopóki nie znajdzie czegoś, co będzie jeszcze lepsze”. I oczywiście nie znalazła, gdyż na tym skończyła odbieranie prac. Czy to nie okropne, co uczyniły inne dzieci? Przypuszczam, że były zazdrosne, mimo to postąpiły ohydnie, pakując te prace w ten sposób.

Więc ta część opowieści Steviego pokrywała się z prawdą. A słowo packać musiało być popularne w Steuben do tego stopnia, że wykształcona, czcigodna pani jak ta mogła go swobodnie używać.

- Tak, przypuszczam, że Stevie był raczej rozczarowany - powiedziała DeAnne.

- Taki z niego spokojny chłopiec. - Bibliotekarka się zamysliła. - Spędza tu każdą przerwę, wie pani? Sądzę, że musiał przeczytać połowę... hm, mediów... w moim małym... hm, centrum medialnym. - Mrugnęła.

- Każdą przerwę? - spytała DeAnne. - Wiem, że uwielbia czytać, miałam jednak nadzieję, że będzie się bawił z pozostałymi dziećmi.

- Też sądzę, że jest lepiej, kiedy dzieci bawią się z sobą - przyznała bibliotekarka. - Skoro jednak nie lgnie do innych, lepiej niech ma książki za kompana niż powietrze, nie uważa pani?

- No tak, naturalnie - zgodziła się DeAnne. - Cóż, nie chciałabym sprawiać pani kłopotu. Poza tym nie mogę się doczekać, kiedy opowiem tacie Steviego o błękitnej wstędze. Ciekawe, gdzie ona jest!

- Oczywiście, przekazano ją pani Jones, by pokazała ją w klasie. Zwykle trzymają ją tam do końca roku, po czym wysyłają wraz z uczniem do domu.

DeAnne pożegnała się grzecznie i wyszła, czując się o wiele lepiej. Tyle tylko że Stevie nie powiedział jej całej prawdy dotyczącej projektu. Czy to możliwe, że wciąż próbował pozostawić rodziców w przekonaniu, że źle zrobili, przeprowadzając się tutaj? Czy to możliwe, żeby nie przyznawał się do niczego dobrego związanego z tą szkołą, by żył w poczuciu winy? To nie było podobne do Steviego, lecz gdzie znajdowało się prawdziwe wyjaśnienie? Musi być strasznie zły.

Po raz pierwszy DeAnne się zastanowiła. Czy nie powinni rozejrzeć się za lekarzem, który porozmawiałby ze Steviem, który pomógłby przeprowadzić chłopca przez ten gąszcz problemów. Wyimaginowani przyjaciele. Teraz te kłamstwa. Zadzwoiła do Stepa i przyrzekł, że nie spóźni się dziś do domu.

Zaden z kolegów, podrzucających go zwykle do domu, nie mógł mu dzisiaj pomóc, jeśli chciał wyjść o piątej. Zaden z programistów nie opuszczał firmy przed siódmą. Zabrał się więc z dwiema sekretarkami, tymi odbierającymi zamówienia dla Eight Bits Inc. pod bezpłatnym numerem. Przez całą drogę do domu męczyło go uczucie, że coś nie pasuje mu podczas powrotnej jazdy. Nie chodziło przy tym wcale o dwie dziewczyny szczebioczące na przednich siedzeniach i fakt, że z tyłu w samochodzie kolana zatykają mu uszy. Dopiero kiedy zaparkowali przed domem i zauważył zarosnięty trawnik, krzyczący wprost o kosiarkę, uswiadomił sobie, co go wewnętrznie niepokoiło. Było widno! W ciągu tych dwóch miesięcy, kiedy pracował w Eight Bits Inc., ani razu za dnia nie wrócił do domu.

Podziękował dziewczynom za podwiezienie i wszedł do mieszkania. DeAnne siedziała w salonie, grając na fortepianie, podczas gdy Robbie śpiewał, a Elizabeth gwizdała i wybijała rytm palczkami. Piosenka miała tytuł „Jezus chce, abym była promieniem słońca”.

- Jakos nigdy nie przyszło mi do głowy, by ta piosenka wymagała wsparcia sekcji perkusji - przywitał się Step.

- Tatus! - krzyknął Robbie.

- Robot! - odpowiedział Step. Robbie podbiegł do niego, a on podrzucił go i złapał.

- Tatus! - wrzasnęła Betsy.

- Betsy Wetsy! - odparł Step.

- Pewnego dnia lupniesz ich głowami o sufit - ostrzegła DeAnne.

Step wyrzucił Betsy w powietrze. Kiedy już ją złapał, podniósł wysoko i dotknął głową sufitu.

- Aua ua uaaa...! - zawyla Betsy.

- Nie bądź mieczakiem, Betsy - rzekł z uśmiechem Step. - To cie w ogóle nie bolalo, tylko sie z toba bawilem.

- Auaa...! - Betsy pobiegła do mamy.

- A nie mówiłam? - rzekła z wyrzutem DeAnne.
- Betsy to mieczak! - wykrzyknął Robbie. - Betsy, mieczak! Możesz mna walnąć o sufit, tato!
- Lepiej nie - odmówił Step. - Twoja głowa może spowodować pęknięcie muru.
- Nie dbam o to! - nalegał Robbie.
- Nie wierzę własnym oczom, że wróciłeś wcześniej do domu. - DeAnne pokręciła głową.
- Powiedziałem, że przyjdę, skoro mnie prosiłaś.
- Ale nie miałam nadziei, że będzie to kwadrans po piątej - przyznała. - A może cię wylali?
- Jeszcze nie. Choć po dzisiejszym dniu nie jest to wykluczone.
- Ponieważ wyszedłeś o piątej? - zapytała zdziwiona.
- Trawnik zarósł już niemiłosiernie - zmienił temat. - Nie zauważyłem tego do tej pory.
- Bo wczoraj nie był tak zarosnięty, jak jest dzisiaj. Dlaczego miałby cię zwalniać po dzisiejszym dniu?
- Gdyż ostatecznie zebrałem się do kupy i wziąłem od kowboja Boba kopię tej umowy, która z nim podpisałem.
- To znaczy, że zdobyłeś ją dopiero dzisiaj? Zakładałam, że masz ją już od dwóch tygodni.
- Prosiłem o nią tuż po powrocie z San Francisco. No, niezupełnie tuż po powrocie, gdyż mógłbym obudzić w kims podejrzenie, że coś zamierzam. Poszedłem w piątek.
- I aż do dzisiaj nie chcieli ci tego przesłać?
- Nawet dzisiaj mi tego nie podesłali. Musiałem pofatygować się osobiście. I w ogóle nie do kowboja Boba, gdyż akurat go nie było, a jego sekretarka jadła lunch, tak więc sekretarka kogoś innego przysłała mi z odsieczą i wydobywszy dokument z mojej kartoteki, zrobiła z niego kserokopie.
- Zatem masz tylko kopie?
- No przecież nie dadzą mi oryginału! - powiedział Step. - Tak czy inaczej mam ją, a kowboj Bob być może dotąd o tym nie wie.
- W takim razie nie wyrzuca cię na bruk.
- Chyba że wkurzy się na mnie, gdyż wziąłem coś bez jego wiedzy. Wtedy naprawdę będzie podejrzliwy.
- No cóż, muszę przyznać, nie wpadałabym w czarna rozpacz, gdybym cię miała w domu każdego dnia - stwierdziła DeAnne. - Dzień dzisiejszy jest dla mnie niczym majówka.
- Majówka! - prychnął Step. - No nie wiem. To tutaj właśnie powinienem być, robi mi się niedobrze na

mysl, iz zmuszona bylas dzwonic do mnie i praktycznie umowic sie na spotkanie, zebym mógł porozmawiac z wlasnym synem. Zyje jak jeden z tych napedzanych sprezynia maklerów gieldowych, pracoholików z Madison Avenue z przerostem ambicji, tyle tylko ze nie dostaje takich pieniedzy. Gdzie jest Stevie?

- Albo z tylu na podwórku bawi sie z... Jackiem i Scottym, albo tez jest w swoim pokoju.

Step skinal glowa ponuro, gdy wspomniala o wymaginowanych przyjaciolach Stewiego. A teraz jeszcze te klamstwa... Zbyt oddalilem sie od rodziny. Jestem tu praktycznie gosciem.

Stewiego zastal w pokoju, lezal na górnym łózkú i czytál ksiazke.

Rozmowa szla topornie. Step oparl sie na poreczy bezpieczenstwa.

- Mama powiedziala mi, ze twój projekt podmorski odniósł prawdziwy sukces.

- Wcale nie - odparl Stevie.

- Powiedziala, ze zostal nagrodzony blekitna wstazka.

- J. J. dostala blekitna wstazke.

- No cóz, tak czy inaczej wstazke za pierwsze miejsce, nie powiedziala wlasciwie, jakiego byla koloru.

- Pierwsze miejsce to blekitna.

- Stevedore, twoja mama byla w szkole i sprawdzila. Dr Mariner przyznala twojemu podwodnemu ogrodowi wstazke za pierwsze miejsce.

- Mój projekt spackal sie - oswiadczył Stevie - jak wiec mógł dostac pierwsze miejsce?

- Synu, dr Mariner ocenila projekty pod koniec tego pierwszego tygodnia, zanim inne dzieci zniszczily twój projekt.

- To nieprawda! - sprzeciwil sie Stevie, teraz jego glos wskazywal na burze emocji. - Powiedziala, ze mój projekt to tylko kupa plasteliny, nie zaslugujaca na pokazanie komukolwiek! No i postawila mi troje.

- Dr Mariner naprawde tak powiedziala? - Step nie mógł uwierzyc i nie uwierzył.

- Tak - odparl Stevie.

- Powiedziala ci to prosto w oczy?

- Nie - przyznal Stevie. - Powiedziala pani Jones, a pani Jones przekazala nam.

- Nam? Co znaczy nam?

- Nam. Mnie i innym dzieciom.

- Calej klasie?

- Yhm.

Step wysił wyobraźnię - nauczyciel wygłaszający taką opinię przed wszystkimi uczniami. Opinię zbyt okrutną, żeby ją wygłosić na osobności, a przed całą klasą to wręcz niewiarygodne.

- Stevie, jesteś pewny, że nie wymyśliłeś sobie całej tej historii?

Stevie spojrzał ojcu w oczy.

- Nie, tatusiu. Nie kłamię.

- Wiem, że to ci się jeszcze nigdy nie zdarzyło, przed przeprowadzką do Steuben, Stevie. Lecz musisz zrozumieć, że w twoją opowieść trochę trudno uwierzyć. Czy nie przesadzasz odrobinę? Albo udajesz?

- Nie udaje.

- No, ale udajesz, że masz dwóch przyjaciół, Jacka i Scottiego.

Stevie popatrzył na niego w milczeniu.

- Nigdy tego nie powiedziałem - rzekł w końcu.

- Mnie nie. Ale mamie opowiadałeś o tym, co razem z Jackiem i Scottiem robisz.

Stevie nic na to nie odrzekł.

- Nie mam nic przeciwko, żebyś udawał. Może tak właśnie trzeba, żeby przetrwać ciężki okres w szkole. Jednak nie możesz kazać mnie i mamie udawać, że coś jest prawdziwe.

- Nie kaze.

- Masz na myśli, że od teraz nie będziesz - powiedział Step.

- Mam na myśli, że nigdy tego nie robię! - wykrzyknął z pasją Stevie.

Jego stanowczość powstrzymała Step'a. Czy to możliwe, żeby Stevie nie kłamał? Że faktycznie jest to rzeczywiste? Lecz jak to pogodzić z opowiadaniem bibliotekarki? Niemożliwe, w wersji Steviego musiało być jakieś przekłamanie. A mimo to chłopak nalegał, by mu uwierzono, co zmusiło Step'a do refleksji i powrotu do własnego dzieciństwa, kiedy dorośli mu nie wierzyli, gdyż byli świeżo przekonani o słuszności swojej oceny wydarzeń. Doskonale pamiętał odpowiedź daną matce: „Ale ciebie tam nie było, więc skąd możesz wiedzieć?” I teraz Step znalazł się w podobnej sytuacji, zaprzeczając słowem syna, a przecież go tam nie było, więc skąd mógł wiedzieć.

- Stevedore - zapytał. - Czy jestem w błędzie?

- Tak - odparł po prostu Stevie.

- Muszę ci powiedzieć, że jeżeli pani Jones przed całą zgromadzoną klasą powiedziała taką straszną rzecz, nawet jeśli była prawdziwa, natychmiast powinna zostać wylana ze szkoły.

- Tak - przytaknął Stevie. - Chciałbym, żeby umarła.

Step był wstrząsnęty.

- Naprawdę pragniesz tego?

- Tak, cały czas o tym myślę. Patrzę na nią, gdy mówi, i widzę krew spływającą z jej czoła roztrzaskanego kula. Wyobrażam sobie, jak pada martwa w klasie, a ja śmieje się i śpiewam piosenkę. Zaspiewałbym „Wśród liściastych koron drzew”, bo jest to najweselsza piosenka, jaką znam.

Step nie był przygotowany na taką potworność. Nieważne, jak wyglądała sprawa z projektem, wszystko bowiem wskazywało na to, że chłopiec nienawidzi pani Jones ponad wszelkie wyobrazenie. Trafiła go nieznośna myśl, że jego słodkie dziecko - zawsze ustepliwe i wielkoduszne - mogłoby żywić w sercu tak przejmująca nienawiść. Uczucie to musiało drażnić Steviego już od dłuższego czasu, a przecież z nikim się nie zdradził.

- Stevie, dlaczego nienawidzisz jej tak bardzo? Czy to z powodu blekitnej wstążki?

- Nigdy mnie nie wywołuje.

- Czasem to może tak wyglądać - powiedział Step. - To dlatego, że jesteś taki bystry, a ona chce i pozostałym dzieciom dać szansę.

- Zawsze wywołuje tylko innych.

- Tylko tak to odbierasz.

Stevie obrzucił ojca płomiennym spojrzeniem, w którym czaił się niepojęty gniew.

- Powiedziałem, że zawsze wywołuje innych! Ja tego tak nie odbieram, tak jest!

Step powtórnie zdał sobie sprawę, że przemawia jak typowy dorosły, naginając przejrzysty, bezpośredni język dziecka do z góry narzuconego sobie wyobrażenia rzeczywistości. Lecz jeśli Stevie miał rację? Jeśli każde wypowiedziane przez niego słowo odzwierciedlało prawdę?

- Chcesz powiedzieć, że cie nigdy nie wywołuje do odpowiedzi? Nigdy?

- Ani razu - odrzekł Stevie.

- Jesteś pewny, że widzi, jak podnosisz rękę?

- Tak - potwierdził bez wahania Stevie. - Zawsze mnie widzi.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ tak mówi.

- Ona mówi, że dostrzega twoją podniesioną rękę, a mimo to cie nie pyta?

- Dokładnie tak. - Lzy w oczach syna każyły Stepowi założyć, że to jednak prawda, a przynajmniej wygląda na prawdę dla Steviego, gdyż bez wątplenia Stevie w to wierzył.

- Synu, postaraj się zrozumieć, nie ma mnie tam, więc nie mogę się przekonać osobiście. Musisz mi w tym pomóc. Co ci mówi wówczas, gdy widzi twoją podniesioną reke, ale cie nie pyta?

Stevie wziął głęboki oddech i wtedy drzącym głosem powiedział:

- Ona mówi: „Oczywiście, Stephen Ball-lover Fletcher zna odpowiedź. On wie wszystko”.

Step, słuchając tych słów, poczuł ułucie w żołądku. To nie mogła być prawda. Nikt nigdy nie mógł przemawiać do jego syna w podobnym tonie. Lecz jeśli jednak... jeśli jednak, on... on coś zrobi. Coś.

- Synu, czy ona na pewno nazwała cie w ten sposób? Ball-lover?

- Tak.

- Czy nie wyjaśniłeś jej, że chodzi o Bolívara? Jednego z największych wyzwolicieli w historii?

- Jak mógłbym, tato, kiedy ona mnie nigdy nie pyta o zdanie?

- No tak, nie sądzę, żebyś mógł - przyznał Step. - Naprawdę wysmiewa cie w ten sposób zawsze, kiedy podnosisz reke?

- Już nie podnoszę reki - odparł chłopiec.

- No tak, to zrozumiałe. - Step starał się zebrać myśli i rozeznac w tym wszystkim. - Kiedy zaczęła się tak zachowywać?

- Już pierwszego dnia.

- Twojego pierwszego dnia w szkole?

Stevie namyślał się przez krótką chwilę.

- Pierwszego dnia powiedziała, że jestem prawdziwym idiotą, gdyż nie rozumiem, co ona mówi, więc podniosłem dłoń i zapytałem, co powiedziała. Wtedy powtórzyła, a ja nie rozumiałem jej nadal.

Step wrócił myślą do problemu, jaki wynikł pierwszego dnia.

- Z powodu jej akcentu?

Stevie przytaknął.

- Rozumiałem większość z tego, o czym mówiła, ale zawsze kilka wyrazów na początku lub w środku było mi nieznanych. A ona powiedziała, że jestem idiotą. A potem wszystkie dzieci wysmiewały się ze mnie.

- A niech to, nic dziwnego, skoro nauczycielka nazwała cie idiotą. Ale następnego dnia przebywałeś w gabinecie dr Mariner i zdawałeś te testy, dopiero dzień później wróciłeś do klasy. Co się stało wtedy?

Stevie zaniósł się płaczem.

- Kazala mi wstać i powiedziała, powiedziała... - nie był w stanie skończyć zdania. Leżał na łóżku,

szlochając.

Step wyciągnął się, chwycił chłopca w ramiona i schylił go z piętrowego łóżka. Usiadł na skraju posłania Robbiego i przycisnął płaczącego syna mocno do piersi.

- No już dobrze, dobrze - powtarzał. - Wiem, że jest ci ciężko. Tak ci musi być ciężko. Dlaczego wcześniej nic nam o tym nie mówiłeś?

- Bo mam wykonać swoją robotę - rzekł Stevie.

- Co przez to rozumiesz?

- Mam robić swoje w szkole, tak jak ty robisz swoje w pracy.

- Tak, Kluczniku, to prawda - zgodził się Step. - Lecz kiedy nie układa mi się w pracy, nie ukrywam tego. Mówię o tym twojej mamie. A kiedy ona ma kiepski dzień, też mówi mi o tym.

Placz Stewiego stał się spokojniejszy, wreszcie łzy przestały płynąć.

- Nie wiedziałem - powiedział.

- Oczywiście, skąd mógłbyś wiedzieć? - kontynuował Step. - Rozmawiamy ze sobą o tych sprawach późno w nocy, kiedy już wy, dzieciaki, spicie jak susły.

- Nie wiedziałem.

- Czy teraz możesz mi powiedzieć, co zdarzyło się dzień po tym, jak zdawałeś testy? Wspomniałeś, że kazala ci wstać przed całą klasą, a później coś nastąpiło. Coś powiedziała?

- Powiedziała, że pomyliła się, nazywając mnie wcześniej idiotą. Że nie jestem wcale głupi, jestem bardzo, bardzo, bardzo mądry, najmądrzejszy chłopiec na całym świecie i dlatego nie rozumiem, co inni do mnie mówią, gdyż jestem zbyt mądry, żeby ich zrozumieć, bo wszyscy w porównaniu ze mną są głupi, nie ma więc potrzeby, żeby kiedykolwiek ktoś do mnie mówił, bo jestem o wiele za mądry, by zrozumieć albo zainteresować się tym, co mają do powiedzenia.

Nie do wiary, a jednak Step uwierzył. Za wiele w tym było szczegółów - Stevie nie mógł tego wszystkiego wymyślić. Poza tym czuł instynktownie, że to nie bajka. Może kiedy dr Mariner wezwwała panią Jones, by porozmawiać z nią o pierwszym dniu Stewiego, pani Jones założyła, że chłopiec powtórzył w domu rodzicom wszystko, co powiedziała w klasie - choć nie zrobił tego aż do chwili obecnej. Pomyślała więc, że dr Mariner wie o wszystkim i tylko z grzeczności nie nazywa rzeczy po imieniu. Zgodnie z tym przekonaniem wydało jej się oczywiste, że Stevie naskarżył na nią, naraził na kłopoty u zwierzchniczki, zdecydowała zatem wyrównać rachunki.

- Synu, sadzę, że mówisz prawdę. Przykro mi, że nie uwierzyłem ci od razu, lecz musisz być wyrozumiały, jest to tak straszna rzecz, że trudno uwierzyć, aby jakkolwiek nauczyciel dopuścił się podobnej ohydy. Miałem przecież kilku ostrych nauczycieli w życiu, lecz nikogo tak jawnie perfidnego. Powinieneś być powiedział nam o tym wcześniej. Przypuszczaliśmy, że jakos ci się układa.

- Układa - odparł Stevie. - Oprócz tego.

- Więc masz przyjaciół w szkole?

- Nie - zaprzeczył spokojnie Stevie.

- Wiec jednak nie uklada sie, nie mam racji?

- Jak moge miec przyjaciól, kiedy pani Jones zakazala rozmawiac ze mna?

Jak gleboko siegaly korzenie problemu?

- To znaczy, ze wyraznie kazala innym dzieciom omijac cie z daleka?

- Niektórzy próbowali na przerwie, lecz ona wrzeszczała na nich, mówiac: „Prosze nie zawracac glowy panu Fletcherowi, poniewaz jest zajety wazniejszymi sprawami, nie chcielibysmy mu przeszkadzac”.

Step przytulil go.

- Och, Stevie, nie wiedzialem, nie przypuszczalem. Bo i skad móglbym wiedziec?

- Jaleena czasem rozmawia ze mna - powiedzial Stevie.

- Jedna z dziewczynek?

- Jest Murzynka, wiec pani Jones nie troszczy sie o to, co robi. Nie rozmawia jednak ze mna duzo, bo naprawde ciezko jest ja zrozumiec. Musi mówic wolno. W ten sposób nie moze mi duzo powiedziec.

Zatem tak wygladaly pierwsze dwa miesiace Stewiego w drugiej klasie szkoly w Steuben. Izolacja. Posmiewisko. Krankowa samotnosc. I nawet nie zajaknal sie na ten temat w domu. Zadnej oznaki, prócz niecheci, przy wyjsci u do szkoly.

- Lecz wciaz radzisz sobie z nauka - stwierdzil Step. - Kształcisz sie.

- Wiekszosc przerabialismy w mojej starej szkole.

- Przynajmniej miales frajde, wykonujac swój projekt, no nie?

Stevie skinal glowa.

- Synu, postanowilem porozmawiac z pania Jones.

- Nie mozesz! - zaprotestowal Stevie gwałtownie. - Tylko pogorszysz sprawe, ona bedzie jeszcze gorsza!

- Stevie - powiedzial Step. - Obiecuje ci. Absolutnie ci obiecuje. Po tej rozmowie wszystko bedzie lepsze. A jesli nie - zostaniesz w domu.

- Tak! - krzykнал z entuzjazmem. - Zatrzymaj mnie w domu!

- Tylko jesli po rozmowie z pania Jones bedzie jeszcze gorzej - rzekl Step stanowczo.

- Nie, zostane juz teraz!

- Stevie, nie mogę cię już teraz tak po prostu zatrzymać. Jest prawo, które mówi, że musisz chodzić do szkoły, a w Karolinie Północnej bardzo go przestrzegają. Jeśli nie wyśle cię do szkoły, mogą mi kazać stawić się w sądzie albo powtórnie przeprowadzić.

- Wróćmy do Indiany!

- Synu, nie stac mnie na to. Jeśli przeprowadzilibyśmy się powtórnie, to na pewno do Utah, by zamieszkać w domu dziadka i babci Brown. Straciłbym pracę. Innymi słowami wszystko to zrobię, jeśli będę musiał, jeśli rozmowa z panią Jones nie poskutkuje, rozumiesz? Ostatni miesiąc szkoły nie będzie taki smutny, przyrzekam ci.

- Cały miesiąc - rzekł Stevie glucho.

- Pomyśl o tym w inny sposób - zaproponował mu Step. - Wyobraź sobie, że skazano cię za zbrodnię, której nie popełniłeś. Jesteś niewinny, nie zrobiłeś nic złego, lecz system źle zadziałał i skazano cię, a teraz nie możesz już nic na to poradzić, pozostaje ci tylko odsiedzieć ostatni miesiąc wyroku. Potem wyjdiesz na wolność i nie będziesz już nigdy oglądał pani Jones. A w przyszłym roku będziesz już w szkole średniej i zbierze się cała gromada dzieciaków z innych szkół - każdy będzie nowy, nie tylko ty. Przyszły rok będzie lepszy. Przeżyj jeszcze ten miesiąc.

- Nie rozmawiaj z panią Jones - poprosił Stevie. - Proszę.

- Zaufaj mi, Stevie. Jeżeli porozmawiam z panią Jones, wszystko się poprawi.

Najwyraźniej Stevie nie był przekonany. Drażniło Step'a, a nawet napelniało złością to, że jego syn nie wierzył, iż mu się uda. Lecz Step'owi też zabrakło trochę czasu, nim dał wiary Steviemu. Nieufność syna zatem była usprawiedliwiona.

Kiedy kilka minut później opuścił pokój Stewiego, znalazł DeAnne opierając się o drzwi ich pokoju po drugiej stronie korytarza. Wyglądała na zrozpaczoną, otworzyła drzwi i weszli do środka, a następnie zamknęła drzwi.

- Wszystko słyszałaś? - spytał Step.

- Nie mogłam się opanować - wyznała. - Tak się niepokoiłam.

- W takim razie wiesz wszystko - zaśmiał się gorzko. - Teraz przynajmniej rozumiemy, dlaczego tak desperacko podchwycił pochlebstwo siostry LeSueur. Jeśli dzieciak dostaje w kość w szkole, cierpi na niedostatek pochwał.

- Naprawdę wierzysz w jego wersję wydarzeń? - zapytała DeAnne.

- Chyba tak. Przynajmniej po części. Musze.

- Lecz co z bibliotekarką? Step, wiem, że bibliotekarka nie kłamała. To najsłodsza z istot, po jej głosie poznałam, że uwielbia Stewiego. Mówiła o tym, jak przychodzi do niej w czasie przerw i czyta, a o jego projekcie wspominała z dumą... - nagle DeAnne zamilkła. - Posłuchaj mnie. Twierdze z pełnym przekonaniem, że prędzej uwierze kobiecie, która spotkałam rano, niż własnemu synowi.

- Nie wierzymy w coś z obowiązku - rzekł Step. - Wierzymy w coś, co brzmi w naszym odczuciu przekonująco. A opowieść Stewiego nie brzmiała wcale przekonująco, dopóki nie zwierzył się ze

szczegółów, które zaczęły układać się w spójną całość. A tak w ogóle, dlaczegoż bibliotekarka miałaby kłamać? Może mówiła prawdę? Może projekt Steviego naprawdę zdobył pierwsze miejsce, a pani Jones nakłamała przed klasą?

- Och, Step, chyba nie sądziłabyś, że coś takiego ujdzie jej na sucho?

- Kto wie? Wiele wirów kręci się po świecie.

- Ale nie uczą w szkołach.

- Czemu nie? Mam na myśli wszystkich tych czubków w zakładach dla umysłowo chorych. Przecież oni się tam nie urodzili. Na dzień przed tym, jak odwieziono ich do zakładu, przebywali poza jego murami. Wielu przypuszczalnie miało pracę, niektórzy byli nauczycielami. Myślisz, że nauczyciele nie wariują? Do diaska, oni jeszcze podbijają średnią, zważywszy na to, przez co przechodzą. Tak więc może pozostały jej jakieś trzy miesiące przed wysłaniem do szpitala, a wszystko z powodu pogłębionej nienawiści do dzieci. Rozwinęła się w niej choroba. W tym roku znalazła sobie kozła ofiarnego, na którego może wylewać całą złośliwość i jad. Tym kozłem okazał się Stevie.

DeAnne potrząsnęła głową.

- Istnieje taka możliwość - nalegał Step. - Przynajmniej muszę się upewnić.

- Złożyłaś Steviemu obietnicę, której nie będziesz mógł dotrzymać - powiedziała DeAnne.

- Spokojnie, dotrzymam jej - odparł Step. - W taki czy inny sposób.

- Jak powstrzymasz ją od ukarania Steviego w dotkliwszy sposób, po tej całej rozmowie?

- Jeśli zajdzie potrzeba, codziennie będę odwiedzał klasę.

- Nigdy do tego nie dopuści. Szkoła nigdy na to nie pozwoli.

- By rodzic obserwował lekcje swojego dziecka?

- Straciłabyś pracę.

- Odejdę z tej pracy! - odparł Step i ku swemu zdziwieniu zrobił to głośno i gniewnie. Uspokoił się, mówił teraz cicho, ale dobitnie. - Odejdę z pracy. Nienawidzę tej pracy. Ta praca nie zezwala mi na bycie przyzwoitym ojcem dla moich dzieci. Ta praca zabija mnie i rodzinę. Pieprzyć taką pracę.

DeAnne odsunęła się od niego ze strachem.

- Step, proszę - powiedziała.

Jej uraza, spowodowana słowami opisującymi naprawdę ważną sprawę, obudziła w nim irracjonalną złość.

- Ach, nie podoba ci się sposób, w jaki to powiedziałem? Słowo „pieprzyć” brzmi dla ciebie zbyt wulgarnie. To tylko eufemizm, DeAnne. Nie możesz się na mnie wściekać za używanie eufemizmów. Mógłbym przecież powiedzieć...

- Nie wściekam się na ciebie za słowo „pieprzyć”, osle! W ogóle nie wściekam się na ciebie, ale ty też nie wściekaj się na mnie, bo nie zniosę tego! - Zniosła się płaczem. - Chciales już użyć słowa na „k”! Powiedzieć to przy własnej żonie.

- O co ci chodzi? - spytał Step. - Byłaś na mnie wściekła, znam cię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, czym to się objawia. Wściekłaś się na mnie za słowo „pieprzyć” i...

- No więc tak było! Przez jedną głupią sekundę! Po czym doszłam do wniosku, że to idiotyczne, i jest mi przykro. Nic na to nie poradzę, że przez ułamek sekundy moja twarz przybiera taki wyraz. Nie zasługuje, żebyś przy mnie kłął!

- Co my robimy? - zmitygował się Step. - Walczymy z sobą?

- Ponieważ naszego syna skrzywdzono w szkole, a my nic nie zrobiliśmy, aby mu pomóc...

- A w jaki sposób mieliśmy tego dokonać? Nic nam nie powiedział...

- I oboje jesteśmy tacy zdenerwowani, iż pragniemy komuś dać łupnia, a jedynymi osobami pod ręką jesteśmy my sami. - DeAnne przestała na chwilę mówić. I nagle, ku zdumieniu Stepa, rozesmiała się. Śmiała się i pochylała aż do krawędzi łóżka.

- Okej, podziel się z resztą tym kawalem - rzekł Step.

- Po prostu myślałam - to takie głupie, to nie jest nawet śmieszne... - Wytarła oczy.

- Wiem, widzę, jakie to nie jest śmieszne.

- Kiedy mówiłam, że oprócz nas nie ma tu nikogo pod ręką, pomyślałam: Dajmy wycisk siostrze LeSueur.

Miała rację. Nie było to wcale śmieszne, jednak Step musiał usiąść przy niej i śmiać się do rozpuku.

Step nie prosił o pozwolenie na wyjście z pracy w środku dnia. Zwyczajnie stanął w progu biura Dicky’ego i oznajmił:

- Ide na lunch o drugiej trzydziestej dzisiaj po południu, ponieważ muszę spotkać się z nauczycielką syna po szkole.

- Żona nie może tego zrobić za ciebie? - zapytał Dicky.

- Dicky - odparł Step. - To moja godzina na lunch, który zaplanowałem dziś na drugą trzydziestej. Tylko dlatego ci to mówię, byś wiedział, gdzie jestem w tym czasie. Nie proszę o zezwolenie.

Dicky nie zamierzał się sprzeczać, wzruszył zamiast tego ramionami i obdarzył Stepa półśmieszkim mówiacym: „Jestes zbyt wrażliwy, za bardzo się ciskasz, Step. Nie miałem nic złego na myśli, pytając, a ty naskoczyłaś na mnie jak furia”.

Potem, dwadzieścia po drugiej, kiedy Step chował do kieszeni spodni dyktafon, na sekundę przed wyjściem zabrzeczł telefon, Step usłyszał głos Dicky’ego:

- Wpadnij do mnie do biura, prosze - powiedzial.
- Jestem juz w drodze - zaproponowal Step. - Na lunch.
- A wiec po drodze, prosze, zatrzymaj sie w moim biurze.

Step poczul nagly dreszcz strachu. Czyzby chcial mnie wylac? Bo zwróciłem się do niego nieuprzejmie? Niemożliwe. A może Ray Keene kapnal się, że podwedziłem mu kopie swojej umowy o pracę, myśli więc, że rozglądam się za inną robotą i stąd to wypowiedzenie.

Na przekór tym czarnym myślom z ust Dicky'ego nie schodził uśmiech, gdy Step wszedł do biura. Był z nim jeszcze jeden człowiek, wysoki, szczupły facet o ciemnej karnacji i ponurej twarzy, która napawałaby strachem, gdyby nie bładzacy po wargach uśmiech. Co prawda głowę miał tak wąską, a uśmiech tak szeroki, że przez moment wyglądało na to, iż dosłownie uśmiecha się od ucha do ucha. Usta jak u muppeta, pomyślał Step.

- Poznaj Damiana Weinreitera - powiedział Dicky. - Prowadzimy z nim rozmowę kwalifikacyjną, dotyczącą tego wakatów wśród programistów.

- Ach tak? Nie wiedziałem, że szukamy programisty. - Step nigdy nie wiedział, kiedy zwalniana bądź zatrudniana pracowników - w sumie sprawy personalne to nie jego działka.

- O, tak. Uważam za nieodzowne, żebyśmy przed przyjęciem go zasięgnęli twojej opinii.

Mojej opinii! A kiedy dotrę do szkoły?

Oczywiście, doszedł do jedynej słusznego wniosku, tak właśnie Dicky obmyślił odgryźć się na nim za niegrzeczne zachowanie przed południem. Wypracował sytuację, w której musiał zostać i nie mógł stawic się na umówione spotkanie. Co gorsza, ten plan miał szansę się powieść. Nie istniał żaden kulturalny, sposób, by powiedzieć Dicky'emu, żeby się wypchał, bo teraz Step ma lunch.

- Dicky, dlaczego prosisz mnie? Ja tu jestem od podręczników.

- Och, Step, nie bądź taki skromny. Nie zajmujesz się tu przecież tylko pisaniem podręczników.

Wiedziałem, pomyślał Step. Od początku zauważył mój tajny przydział.

- Jesteś także twórcą Hacker Snacka. Normalne zatem, że Damien cieszy się z możliwości spotkania z tobą - ciągnął Dicky.

- Wspomniała gra - odezwał się wspomniany Damien. - Jest pan najlepszy.

No tak, to prawda, pomyślał Step. Chcesz dostać tu robotę i sadzisz, biedaku, że podlizywanie się pomoże ci dopiąć celu. Dicky prawdopodobnie podjął już decyzję, że nie otrzymasz tej posady, używa cię tylko po to, żeby zrujnować moje życie rodzinne.

No cóż, Dicky, że mna nie tak łatwo.

Step postąpił, jak od niego wymagał Dicky - wszedł i usiadł, zaczęło się przesłuchanie. Wiedział jednak, że Dicky nie ma zamiaru pozwolić Stepowi na udział w rozmowie. Ta gra nazywała się ponizienie, Dicky

kazal mu siedziec w grobowym milczeniu, podczas gdy sam przeprowadzal rozmowe, Step najwyrazniej byl calkowicie zbedny.

Wtedy Step otworzyl swoja walizeczke, wydobyl zolty notatnik i naskrobal napredce krótka wiadomosc dla Dicky'ego:

„Drogi Dicky,”

„Przelewam slowa na papier, zeby oszczedzic ci wstydu przed twoim rozmowca. Mam zamiar spotkac sie z nauczycielka mojego syna, jak juz wczesniej mówilem. Nie moge sie doczekac zebrania, na którym oznajmisz Rayowi Keene'owi, ze włączasz mnie teraz w proces zatrudniania nowych programistów. Biorac pod uwage zwiekszenie moich obowiazków, spodziewam sie odpowiedniej podwyzki!”

„Z powazaniem,”

„Step”

Wstal, polozyl notatke na pulpicie Dicky'ego, po czym wychodzac, zamknal za soba drzwi.

W drodze do szkoly staral sie uspokoic. Gniew na Dicky'ego wpedzi go w tarapaty, jesli przez to podejdzie do pani Jones bez nalezytego opanowania. Musi postepowac z nia z wyrachowaniem, inaczej spowoduje wiecej zlego niz dobrego. Gniew tu nie pomoze.

DeAnne pozwolila mu wziac dzisiaj samochód. Ostatnio czesciej próbowal namawiac wspópracowników na podwiezienie go do domu, gdyz wiedzial, ze DeAnne czuje sie jak w pulapce, uwieziona caly dzien bez auta. Nie mial watpliwosci, ze musza wystarac sie o drugi samochód, szczególnie po narodzinach dziecka w lecie. Jakze mógłby zostawic niemowlaka w domu bez srodków transportu? Poza tym zle sie czul, nieustannie proszac innych o podrzucenie. Konczylo sie czesto na tym, ze zostawali u niego do późna. Albo przyjezdzal z Gallowglassem, a nie cierpial przyprawdzac go do mieszkania. Nie chcial nawet, by ten wiedzial, gdzie mieszka, choc oczywiscie bylo juz na to o wiele za późno. Glass wciaz go nagabywal, kiedy Step poprosi go do opieki nad dziecmi. Nie, Step potrzebował samochodu i DeAnne potrzebowała samochodu, a nie byli w stanie uciulac grosza na zwyklego gruchota, nie wspominajac o czymkolwiek godniejszym zaufania.

Podjechal przed szkole, kiedy ostatnie z autobusów opuszczaly juz parking. Za późno przypomniał sobie slowa DeAnne, ze powinien pojechac Fargo Road, jesli chce zatrzymac sie na tym ukrytym parkingu na wzgórk. Wielkie mi mecyje, pomyslal Step. No i co, zastrzela mnie za to? Uczepil sie zatem ostatniego autobusu i podazyl za nim za róg budynku, gdzie zaparkowal na miejscu dla odwiedzajacych.

Dr Mariner stala przy drzwiach, kiedy zblizyl sie do szkoly.

- Zaloze sie, ze nie wiedzial pan, iz rodzice nie powinni parkowac na podjezdzie przed szkola - zagadnela.

- Tak naprawde, to wiedzialem - odparl Step. - Lecz na smierc zapomnialem, a kiedy sie tu znalazlem, pomyslalem, ze i tak odjezdza juz ostatni autobus, wiec nikomu nie stanie sie krzywda.

- No tak, chyba ma pan racje. O zadnej krzywdzie nie moze byc mowy. Czy moze w czymś pomóc?

- Mam nadzieje, ze tak, prosze pani. Jestem Step Fletcher, przyjechalem, zeby...

- Ojciec Stewego Fletchera?

- Tak - potwierdzil Step. - To ja.

- Och, jakze niezrównanego chlopca pan ma! A panska zona jest taka mila. O ile sobie przypominam, ma pan tez mlodsze go chlopczyka, który w przyszłym roku bedzie u nas w przedszkolu.

- Zgadza sie, to Robbie.

- Cóż, nie moze sie juz doczekac, choc oczywiscie smutno mi bedzie z powodu odejscia Stewego. To najslodsze z dzieci, a jakie bystre! Pani Jones bez przerwy opowiada mi, jak wie dzie mu sie w klasie, oczywiscie wie pan juz, jaki sukces odniósł jego projekt?

- Rzeczywiscie, slyszalem to i owo - powiedzial Step. Chcialby, zeby ona mu to powiedziala, po czesci dlatego, ze nie wiedzial, w która historie uwierzyc.

- To i owo, nie ma co. - Dr Mariner pokiwała glowa. - Zdobywca pierwszego miejsca, a pan „slyszal to i owo”. Nie goscimy tu wielu uczniów tego formatu. Musi pan to wiedziec.

- O, tak - zgodzil sie Step. - Lecz ciesze sie, wie dzac, ze i pani wie.

- Jakzeby inaczej! - wykrzyknela dr Mariner. - Ale nie bede pana zatrzymywac - z pewnoscia przyszedl pan na konsultacje z pania Jones, nie moze czekac zbyt dlugo.

- Tak naprawde ona nie wie, ze mialem dzis przyjechac.

- Tak? Tym wiekszy powód do pospiechu - chce pan ja zastac, nim wyjdzie do domu. A niech to, mam nadzieje, ze jeszcze nie wyszla! Wie pan, jak trafic do jej klasy?

- Nie bardzo - odpowiedzial.

- Wiec prosze mi pozwolic, abym pana zaprowadzila.

- Nie ma potrzeby, prosze mi po prostu wytlumaczyc. Nie chce sprawiac klopotu...

Lecz ona wyprzedzala go juz o piec kroków, spieszac w dól korytarzem.

Pani Jones ciagle tam byla, chociaz w tym momencie poprawiala juz plaszcz, gdyby wiec Step zdal sie na wskazówki dyrektorki, prawdopodobnie rozminalby sie z nauczycielka. Podziekował dr Mariner wylewnie, zastanawiajac sie przy tym, czy to spotkanie jest w rzeczywistosci konieczne. Najwyrazniej wersja wydarzen bibliotekarki byla prawdziwa.

- Ach, pan Fletcher - powiedziala pani Jones po odejsciu dr Mariner. - Niewielu ojców przychodzi do szkoly. Szkoda, ze nie umówil sie pan na wizyte, zostalabym dluzej.

- Byc moze nie zabierze to duzo czasu - rzekl Step. - Przyszedlem glównie po to, by porozmawiac o projekcie Stewego.

- O jego projekcie? - zapytała.

- O pracy na zakończenie drugiej klasy. O środowisku. Zrobił podmorską scenkę. Cała z plasteliny.

- Ach tak, oczywiście, pamiętam. To było takie twórcze.

Poczuł dłoń na gardle. Powinien poczuć ulgę, oczywiście, że pani Jones nie dała Steviemu trójki. Lecz to oznaczało, że chłopiec kłamał.

Nie, powiedział sobie w duchu. Nie zrezygnuje tak łatwo.

Sięgnął do kieszeni i włączył dyktafon. Zdażył przetestować go w dziupli w pracy. Bardzo dobrze zbierał wszelkie odgłosy poprzez materiał dzinsowych spodni.

- Zastanawiałem się, czy mi pani powie, pani Jones, jaką ocenę dała pani Steviemu za ten projekt.

- Och, nie mogę sobie przypomnieć, to było tak dawno temu.

- Tydzień temu - sprecyzował Step.

- O, tutaj jest. - Wiodła kciukiem po linii nazwisk w dzienniku ocen, lecz Step zauważył, że wzrok skierowała w stronę drzwi. Dlaczego? By sprawdzić, czy dr Mariner odeszła już na bezpieczną odległość? - Do licha - powiedziała. - Widzę, że dostał trzy.

- Aha - rzekł Step. Czuł, że zaczyna mu być gorąco. Stevie powiedział prawdę. To samo z bibliotekarką. Projekt był pierwszorzędny, lecz jakos dostał trójkę.

- Tak, wszystko się zgadza - oznajmiła pani Jones. - Zdecydowanie wpisano tu trójkę.

- No nie wiem - Step nie dawał za wygraną. - Trudno się w tym polapać.

- Niezupełnie - zaprzeczyła pani Jones. - Co pan chce od trójki? Oznacza przecież ocenę dostateczną. Przeciętna.

Step tymczasem zdażył przejrzeć całą kolumnę ocen w dzienniku, w słupku zawierającym trójkę Steviego.

- Nie taka całkiem przeciętna - powiedział - biorąc pod uwagę fakt, że wszyscy prócz niego otrzymali szóstki, piątki lub czwórki.

- Pan wybaczy, panie Fletcher, ale nie pozwalamy rodzicom na czytanie ocen innych dzieci, a pan najwyraźniej patrzył na niewłaściwą kolumnę w moim dzienniku.

Lecz Step patrzył po ścianach, nie na nią.

- Miałem nadzieję - rzekł spokojnie - przekonać się, jak musi wyglądać projekt na piątkę, skoro ten Steviego wart był jedynie trójki. Pomogłoby to nam jako jego rodzicom, wie pani, poznać standardy, jakim nasz syn musi tu sprostać. W ten sposób bylibyśmy w stanie czuwać nad jego postępami przy przyszłych projektach.

Była taka rzecz, na której skoncentrował spojrzenie. Blekitna wstazka, przypięta do gazetki ściennej, wisiała bez żadnego napisu na niej bądź obok niej. Po prostu blekitna wstazka.

- Niestety, wszystkie prace dzieci wzięły do domów - oświadczyła z zalem pani Jones. - Stevie zdecydował się wyrzucić swoją na śmietnik, bo wtedy była już tylko kupa plasteliny. To skandal, co te zle wychowane dzieciaki zrobiły z jego pracą, z drugiej jednak strony nie mamy żadnego doświadczenia w obchodzeniu się z rzeźbą w plastelinie. Gdyby Stevie przyniósł plakat jak wszyscy, nie doszłoby do tego.

Step sięgnął do kieszeni koszuli, by ukazać światłu dziennemu złożony w czworo opis wymagań stawianych wykonawcy projektu, w który uzbroiła go DeAnne.

- Oglądałem i oglądałem ten papierek, który pani wysłała do domu i nic tu o plakacie nie wyczytałem. Po prostu „Przedstawienie środowiska”.

- Wie pan - powiedziała pani Jones - to oznacza plakat.

Step spojrzał ponownie na blekitną wstazeczkę.

- Ach tak? - odparł Step. - A skąd to niby miałem wiedzieć? Weźmy na przykład „Mona Lisa”, to też przedstawienie, nieprawdaz? A mimo to nie jest plakatem. A czy „Dawida” Michała Anioła nie nazwałaby pani przedstawieniem?

- Wszyscy pozostali rodzice zdolali jakos wydedukować, że chodzi tu o plakat - stwierdziła pani Jones. Ton jej głosu stał się teraz lodowaty.

- Rozumiem - rzekł Step. - Być może znają miejscowe zwyczaje. Lecz my jesteśmy tu nowi i nic o nich nie wiemy.

- Najwidoczniej - zgodziła się cierpko pani Jones.

- Ale nie chce chyba pani przez to powiedzieć, że projekt Stewiego otrzymał trójkę, gdyż nie był plakatem?

- Nic podobnego. Jak już powiedziałam - był twórczy.

- Zatem wciąż oczekuje pani pomocy w znalezieniu w pracy chłopca błędów.

- Cały czas to powtarzam panu, panie Fletcher. Nie trzeba popełnić specjalnego błędu, żeby dostać trójkę. Stopień ten oznacza przeciętna. To był przeciętny projekt.

Z wyjątkiem wyzwania jej od klamców Step niewiele mógł dodać, nie bezpośrednio. Nadszedł czas, aby porozmawiać o wstazce.

- Ciekawi mnie, pani Jones, czemuż to dr Mariner przyznała pierwsze miejsce przeciętnemu projektowi?

- Dr Mariner ma swoje zdanie, a ja mam swoje.

Tak, pomyślał Step. Zdecydowanie stała się chłodna.

- No tak, to oczywiście - powiedział. - Ale wie pani, prace nie zostały ocenione przed decyzją dr

Mariner.

- Moja ocena była całkowicie niezależna.

- Zgodzi się pani jednak ze mną, że aby przyznać najniższą ocenę w klasie akurat temu projektowi, który zdobył pierwszą nagrodę, trzeba bezsprzecznie znaleźć w nim jakąś skazę?

Spojrzał jej prosto w oczy. Wejrzenie miała nieprzejednane, lecz dłonie kurczowo przycisnęła do ciała. O, tak. Boi się. Bardzo się boi. Ponieważ wszystko, o czym powiedział mi Stevie, jest prawdą.

- Bardzo dobrze, panie Fletcher - powiedziała, przerywając w końcu ciszę. - Oświeć pana, co było nie tak z tym projektem Stewiego. Chodziło o pisemną część pracy, o sprawozdanie. Pozostałe dzieci zamieścili sprawozdania pięcio- i szesciostronicowe. Stevie załączył jedynie dwie.

Z wielką trudnością Step zapanował nad wzbierającą w nim wściekłością.

- Stevie napisał prace na komputerze. Czy jeszcze któreś z dzieci tak postąpiło?

- To nie ma nic do rzeczy - zripostowała krótko.

- Wszystkie napisano dużymi literami, ot, takimi jak te na gazetce. Mam rację?

- Jakżeby mogło być inaczej? To druga klasa, panie Fletcher.

- Szacując z grubszą... niech pomyśle... będzie to jakies pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt słów na stronę, przy piśmie ręcznym. Chyba się nie mylę?

- Załóżmy, że nie.

- Lecz strona Stewiego zapisana była niewielką czcionką, dająca w przybliżeniu od czterystu do pięciuset słów na stronę. Więc każda ze stron mieściła mniej więcej tyle samo co...

- Strona to strona! - rzekła gniewnie pani Jones.

- Poza tym ten tu papierek nic nie wspomina o minimalnej liczbie stron.

- Wszystkie pozostałe dzieci doszły do wniosku, że wymagana liczba stron to pięć, sześć! Nie każały mamom przepisywać swoich sprawozdań na komputerze - one pisały wszystko własnoręcznie.

- W instrukcji do pracy nie ma mowy o piśmie ręcznym - zauważył Step. - Naturalna kolejność rzeczy Stevie sądził, że wolno mu postąpić ze swoim sprawozdaniem, jak ja postępuje z moimi traktatami. Podszedł do mojego komputera, włączył go, uruchomił WordStar i sam wklepał każdą literkę. Potem wydrukował prace i przypiął je do tablicy - wszystko sam.

- I tu się wylania następny problem - pani Jones pchnęła do boju kolejny argument. - Wszystkie sprawozdania pozostałych dzieci włożono w gustowne plastikowe oprawki, podczas gdy wypracowanie pana syna, przypięte pinezką bezpośrednio do tablicy, nie sprawiło dobrego wrażenia. Wskazywało na brak respektu.

- I znów, w poleceniu nie ma mowy o żadnych okładkach - rzekł Step. - W przeciwnym razie Stevie z pewnością włożyłby prace do okładki. Lecz wie pani, na studiach wreczaliśmy arkusze papieru spięte w

rogu spinaczem. Z tego powodu Stevie sadził, że tak wygląda dojrzały sposób zachowania się w takich okolicznościach. I faktycznie, pani Jones, miał rację, no nie? Proszę mi tylko nie mówić, że prace ocenione piątka i trójka różni jedynie oprawka za 29 centów.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała pani Jones. - To tylko element wszystkich różnic.

- Nie sądzi pani, że obycie z komputerem i prezentacja pracy na poziomie szkoły wyższej przemawia raczej za nim, a nie przeciwko niemu?

- Pozostale dzieci nie mieszkają w bogatych domach i nie mają komputerów, panie Fletcher. Nie mają rodziców, którzy kończyli studia. Nie zamierzam wywyższac żadnego z dzieci z powodu pieniędzy.

- Ja nie jestem bogaty, pani Jones. Praca przy komputerach zarabiam na życie. Mam komputer w domu na tej samej zasadzie, co sprzedawca samochodów wraca czasem z pracy nowym autem. - Uważaj, Step. Pozwalasz zwiść się na manowce. - Jedyne, co się liczy, to to, że wypracowanie Stewiego było mniej więcej dziesięć razy dłuższe od innych. Wykonał wszystko samodzielnie, nie pogwałcił w żaden sposób wytycznych zawartych w instrukcji. W takim razie czemu projekt uznany za najlepszy otrzymał u pani trójczynie?

- Nie muszę się tłumaczyć ze swoich ocen przed panem ani w ogóle przed nikim! - rozsierdziła się pani Jones.

- Musi pani - rzekł Step łagodnie. - W rzeczywistości pani musi. Albo wytłumaczy się pani przede mną dzisiaj albo odpowie pani przed radą pedagogiczną.

- Czy pan mi grozi? - spytała pani Jones.

Step miał już wyciągnąć dyktafon, żeby postraszyć ją tym urządzeniem. Podejrzał jednak, że gdy tylko go ujrzy, nie pisnie już ani słowa, a tyle jeszcze chciał od niej usłyszeć.

- No nie. Pani Jones, ani przez głowę nie przeszła mi myśl grozić pani! Jeśli mój syn dostał trzy, to dostał i sprawa załatwiona. Nie kaze pani zmieniać oceny. Zwyczajnie proszę pania o pomoc w zrozumieniu jej.

- Ta dyskusja trwa już za długo. Nie powinien pan przebywać sam na sam ze mną w tym pomieszczeniu, panie Fletcher.

- Być może ma pani rację - powiedział Step. - Zaprosimy do rozmowy dr Mariner. Nie wspominałem jej jeszcze o trójce Stewiego, lecz jestem świeżo przekonany, że na równi ze mną zainteresują ją przyczyny tak niskiej oceny.

Pani Jones przeszła go przenikliwym spojrzeniem, po czym usiadła za biurkiem i zaczęła przetrząsać szufladkę z dokumentami. Wydobyła sprawozdanie Stewiego. Nie dało się nie zauważyć dużej, czerwonej trójki na wierzchu.

Poza tym żadnej uwagi.

- Domyslałem się, że wszystkie błędy znajdują się na następnej stronie - powiedział Step.

- Co? - zapytała.

- Nie ma żadnych uwag na pierwszej stronie, więc pomyłki muszą znajdować się na drugiej. Chciałbym

je zobaczyc.

Wreczyła mu papier.

Przewrócił kartke. Na drugiej stronie widniał tylko jeden czerwony znaczek.

- Och, to musi być jakiś drobny żart chyba? - powiedział Step.

- Żart?

- Proszę spojrzeć - rzekł stanowczo, pokazując jej papier. - Pani raczej żartować, prawda?

- Nie żartuję, kiedy poprawiam błędy w sprawozdaniach moich uczniów.

- Ale pani Jones. Z pewnością pani wiadomo, że liczba mnoga słowa osmiornica - „octopus” - brzmi też „octopus”, bez żadnej końcówki, albo „octopuses”.

- Myślę, że nie - odrzekła pani Jones.

- Proszę pomyśleć jeszcze raz, pani Jones.

Musiła poczuć, że stąpa po niepewnym gruncie.

- Być może „octopuses” to zamienna liczba mnoga, lecz jestem pewna, że preferuje się „octopi”.

- Nie, pani Jones. Po zerknięciu do słownika przekonałaby się pani, że wcale nie preferuje się wariantu „octopi”. W ogóle czegoś takiego nie ma. Słowo to nie istnieje, chyba że w ustach tych, którzy udają wykształconych, a tacy nie są. Dzieje się tak, bo „us” w wyrazie „octopus” nie tworzy po łacinie mianownika liczby pojedynczej, zmieniając się w liczbie mnogiej na „i”. Zamiast tego sylaba „pus” jest słowem greckim, odpowiednikiem „stopy”. Liczba mnoga tworzy się zatem po grecku. A więc „octopoda”, nie „octopi”. Nigdy „octopi”.

- No dobrze, „octopoda”. Panski syn napisał jednak „octopuses”.

- Wiem - odparł Step. - Gdy zapytał mnie o poprawną nazwę, powiedziałem mu „octopoda”. Ale on wciąż był niepewny, gdyż mój syn sądzi, że wie, kiedy naprawdę wie, dlatego sam zajrzał do słownika. I ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że słowo „octopoda” odnosi się jedynie do większej liczby gatunków osmiornicy, a nie do większej liczby osobników. Stevie wpisał słowo, które w jego konkretnym przykładzie preferował słownik. O czym i pani by wiedziała, gdyby chciała tylko sprawdzić.

- Jestem tylko człowiekiem, panie Fletcher. Popelnilam blad.

- Zupełnie jak ja, pani Jones, zupełnie jak ja. Fakt pozostaje jednak faktem, że w miejsce prawidłowej formy wstawiła pani formę nieprawidłową, poza tym nie ma innych błędów w tej pracy, zgadza się?

- Skoro pan tak mówi - powiedziała pani Jones.

- Ciągle więc stoję w miejscu - rzekł Step. - W jaki możliwy sposób zdolam pomóc Steviemu poprawić się następnym razem? Tak naprawdę nie wyszczególniła pani ani jednego błędu w tym sprawozdaniu - no tak, z wyjątkiem nieoprawienia go w plastikową okładkę.

- Nie będzie następnego razu - powiedziała pani Jones. - Panski syn nie wykona już nigdy w życiu kolejnego projektu na zakończenie drugiej klasy. Panskie obawy są zatem płonne, marnuje pan tylko czas mój i własny. Do widzenia, panie Fletcher!

- Jeszcze tylko jedna kwestia, pani Jones.

- Nie - odparła. - Muszę już wracać do domu.

- Tylko jedno pytanie - Step nalegał łagodnie. Jeśli nauczycielka nie ulegnie, dyktafon bezapelacyjnie wyjrzy z kieszeni spodni. Pani Jones nie wróci wcześniej do domu.

- Niech będzie, o co jeszcze chodzi?

- Kto weźmie te wstążki?

Pani Jones spoglądała na wstążki w ślad za palcem wskazującym Stepa.

- To jest wstążka za pierwsze miejsce, którą otrzymał projekt Stepiego, mam rację?

- Niewykluczone - zgodziła się.

- Więc kto ją zabierze do domu?

- Jeśli to rzeczywiście ta wstążka, którą ma pan na myśli, pod koniec roku szkolnego Stepie zabierze ją do domu.

- Ach tak. - Step pokiwał głową. - Więc jak u licha wytłumaczy się pani przed J. J.?

Twarz nauczycielki wyblakła nagle.

Opowieść Stepiego została potwierdzona co do joty.

- Co pan przez to rozumie? - spytała.

- Jak to, cała klasa sądzi, że J. J. zdobyła nagrodę.

- To niemożliwe - zaproponowała.

- Niemożliwe? Zadzwońmy do rodziców J. J. i sprawdźmy - zaproponował Step.

- Już z pewnością nie zamierzam nekac rodziców moich wychowanków z tak błahych przyczyn.

- W takim razie przejdę bezzwłocznie do gabinetu dr Mariner, skąd razem zadzwonimy do rodziców J. J. - Step był nieugięty. - O ile nie ma pani nic przeciwko?

Pani Jones tylko ostatnim wysiłkiem woli panowała nad sobą, Step dostrzegał to wyraźnie. Wykrecała dłonie i drżała.

- Możliwe, że ktoś odniósł błędne wrażenie. Może ktoś się pomylił i...

Nie, pomyślał Step. Nie wykreślisz się z tego, kotku. Wyznasz mi tu zaraz wszystkie twoje grzeszki.

- Stojac przed klasa, oglosila pani dobitnie, ze J. J. zdobyła główna nagrode, nie bylo tak? - zapytal.

- Och, prosze przestac i nie stroic sobie zartów - wyjakala.

- Co bedzie, kiedy prawnicy reprezentujacy rade pedagogiczna zaczną wypytywac uczniów, skąd wzięli pomysł, ze J. J. zdobyła wstazke? Co odpowiedza? - Step oczywiscie wiedzial, ze taka rzecz nie wchodzi w rachube, wierzył jednak w brak pewnosci siebie pani Jones, która w tym stanie mogła uwierzyc w niejedno.

- Moze i powiedzialam cos, co sprawiloby takie wrazenie - przyznala niepewnie.

- Moze czy na pewno?

Spogladala w strone okna, splatajac i rozplatajac palce.

- Sadzilam, ze dr Mariner osadzila nazbyt pochopnie, nie zwracajac uwagi na wieksze zalety projektu J. J.

- Ach tak?

- Jesli pan sobie tego zyczy - oznajmila pani Jones - zmienie ocene Steviego. I oczywiscie sprostuje pomyłke dotyczaca wstazki.

Wiem, ze zrobi to pani, pomyslal Step. By później tym bardziej bez litosci wysmiewac i dreczyc Steviego, kazdego dnia az do konca roku szkolnego.

- Nie - powiedzial Step. - Nie chce, zeby zmieniala pani ocene Steviego. Wprost przeciwnie, nalegam, by jej pani nie zmieniala. Chce, zeby zostala w dzienniku trójka.

Pani Jones spojrzala na niego z ukosa.

- Wiec o co panu chodzi? Tylko o te wstazke? Bardzo dobrze.

- Wstazka? Tak, to by bylo mile. Moze pani powiedziec jutro dzieciom, ze nastapila pomyłka i wstazka przysluguje faktycznie Steviemu.

- Bardzo dobrze, postaram sie o to jutro.

- Lecz to nie wszystko - dodal Step.

- Nie sadze - powiedziala. - Chyba ze zmienil pan decyzje co do tego stopnia.

Step wydobył dyktafon z kieszeni, przewinal nieco do tyłu, po czym wlaczyl „play”. Doszly szumy, poza tym jednak dzwiek byl wyrazny: „...wieksze zalety projektu J. J.”, wówczas Step nacisnal „stop”.

Zbladla jak przescieradlo, przez chwile Step obawial sie, ze przedobrzył: niczyjej sprawie nie pomogłoby, gdyby zemdlala.

Ale doszła do siebie. A kiedy przemówiła, jej głos był silniejszy, niżby przypuszczał.

- To jest nielegalne - oświadczyła. - Nie wolno w ten sposób nagrywać rozmów.

- Nie zgadzam się - zaprzeczył. - Tylko wtedy jest to niedopuszczalne, gdy urzędnik państwowy nie ma zezwolenia. Ja nie jestem gliniarzem. Jestem tylko facetem, który chodzi z dyktafonem. Poza tym nie mam zamiaru używać go w sądzie. Zamierzam jedynie odegrać naszą rozmowę przed dr Mariner i każdym członkiem rady pedagogicznej, kończąc pani szkolną karierę.

- Dlaczego pan mi to robi?

- Właściwe pytanie brzmi: dlaczego przez cały ten czas dokucza pani Steviemu?

- Nic mu nie robię - odparła wyzywająco. - Proszę bardzo, może pan wykorzystac swoją taśmę.

- W porządku - powiedział Step. Włożył urządzenie z powrotem do kieszeni, okrzyknął ją, minął drzwi i ruszył korytarzem w kierunku gabinetu dr Mariner. Z każdym krokiem tracił pewność siebie. Może naprawdę mogła się z tego wykrecić? Lepiej znała tutejsze układy, może nawet nagranie okaże się bezużyteczne. Możliwe, że złamał przyrzeczenie dane Steviemu, iż nie pogorszy sytuacji.

- Panie Fletcher! - zawołała za nim. Jej głos odbił się echem po pustym korytarzu.

- Tak? - odpowiedział, nie oglądając się za siebie.

- Jest jeszcze jeden szczegół, który zapomniałam panu powiedzieć, dotyczący pracy Steviego.

Odwrócił się i wrócił do klasy.

Kiedy powtórnie znaleźli się sami w pomieszczeniu, wyglądała na zmęczoną, pokonaną.

- Nie miałam nic złego na myśli. Czy ta rzecz jest wyłączona?

Wyciągnął dyktafon, usunął kasetę i włożył ją do osobnej kieszeni.

- Nie miałam nic złego na myśli. Po prostu... tak ciężko być nauczycielem, przyjmując bez przerwy wizyty rodziców. Tak więc, kiedy dr Mariner zadzwoniła do mnie tamtej nocy - do domu - ponieważ Stevie był zdenerwowany i wy byliście zdenerwowani, gdy tymczasem cała moja wina polegała na głupim zarciku - to znaczy, wszystko, co powiedziałam, kazał mi w kółko powtarzać, a to przeszkadzało w lekcji. Tak więc zazartowałam...

- Nazywając go idiotą.

- Zazartowałam - zaakcentowała to słowo - a on natychmiast poskarżył się rodzicom, a wy dr Mariner, i ja miałam już dość tego. Kiedy wrócił drugiego dnia do szkoły, wpadłam w taki gniew, gdy tylko go ujrzałam, że powiedziałam takie rzeczy, których nigdy nie powinnam mówić i jest mi z tego powodu przykro.

- Lecz nie zamierzała pani poprzestac na tym - zauważył Step.

Zaczęła płakać.

- Zgadza się - przyznała. - Czuję się przez to niedobrze, lecz nie mogłam jakos przestać, po prostu... jakos nie mogłam. A potem przestał podnosić rękę i... myślałam, że to już koniec.

- Jeśli sadziła pani, że to koniec, czemu nie dostał blekitnej wstążki? - spytał Step. - Czemu nie dostał szóstki za swój projekt?

- Nie wiem - odrzekła. Jej głos brzmiał tak cienko, jakby wydobywał się z krtani małej dziewczynki. Sprawiał, że Step czuł się jak bestia, tyran przybyły po to, by dreczyć te kobiety, póki nie zapłacze.

I wtedy przypomniał sobie, jak Stevie płakał. Jak ta kobieta jego dreczyła, a chociaż mówiła teraz, jak podle się czuła, kiedy nie mogła przestać, nie ulegało wątpliwości, że przestać mogła w każdej chwili. Kłamała nawet na temat czegoś tak krancowo głupiego, jak wstążka przyznana przez dyrektorke. Z pewnością musiała zakładać, że taka rzecz nie może ujsc płazem, gdyż na pewno czasem racjonalnie myślała. Że jest zbyt oczywista, zbyt jawna, by nie wyciągnęło się z niej konsekwencji.

Nagle ośniło Stepą, że może chciała być złapana. Może nienawidziła uczenia. Może dzieci. Nie chce już dłużej uczyć, z drugiej strony nie potrafi rzucić tej pracy, bo to jej źródło utrzymania. Zatem zebrała całą swą nienawiść i skierowała ją na swojego syna. Czyniła tak wielokrotnie, a on przyjmował ciosy. Żadnego oddzwieku, więc posuwała się dalej i dalej, a Stevie wciąż pozostawał niewzruszony, przyjmował wszystkie ciosy. Ostatecznie jednak posunęła się tak daleko, że osiągnęła upragniony cel. Stevie zalał się, wyplakał swe zale przed ojcem. W końcu przyszedłem, by dać jej to, na co tak długo czekała.

- Został jeszcze miesiąc szkoły - rzekł Step. - Od tej pory, kiedy Stevie podniesie rękę, chce, żeby go pani wywoływała. Nie zawsze, tak często jak i inne dzieci. Czy pani mnie rozumie? Chce, by traktowano go normalnie. Jeżeli udzieli poprawnej odpowiedzi, proszę nie dorzucać przy tej okazji jakiegokolwiek uszczypliwej uwagi, jeśli odpowie niewłaściwie, proszę skorygować go łagodnie. Czy pani rozumie?

Skinęła głową, przykładając chusteczkę do oczu.

- Jeśli jakiś dzieciak zacznie z nim rozmawiać, pozwól pani, żeby przyjazn się rozwijała. Nie robi pani niczego, żeby ten proces zakłócić. Nie znaczy to wcale, żeby zadała pani od dzieciaków przyjaznienia się z nim, gdyż w takim wypadku znienawidziłyby chłopaka tym bardziej. Chce, by traktowała pani swojego syna sprawiedliwie i normalnie. Czy może pani?

Powtórnie przytaknęła.

- Tak, myślę, że pani może - podjął Step. - Chodzi o to, czy pani zechce. Proszę tylko nie zapominać. Jeśli poczuje pani żądze powiedzenia czegoś złośliwego bądź okrutnego pod adresem Stewiego, albo z tego powodu pod którymkolwiek adresem, proszę nie zapominać, że ta tasma istnieje. Łącznie z pewną liczbą kopii, jakie zechce mi się sporządzić. Do końca życia proszę wystrzegać się podobnego zachowania; jeśli jeszcze jakies dziecko przejdzie podobną gehennę, tasma ta ujrzy światło dzienne. Będzie czuł.

- W takim razie nie jest pan chrześcijaninem! Chrześcijanie wierzą w miłosierdzie!

- Jestem chrześcijaninem wierzącym najpierw w skrucie, a potem w miłosierdzie. Jeśli zaprzestanie pani pastwić się nad dziećmi, nie będzie się czego obawiać. Tasma pozostanie w ukryciu. Wszystko, czego od pani wymagam, to powściągnięcia wodzy nienawiści. Jeśli to dla pani za trudne, nie powinna pani uczyć.

- To całe moje życie!

- O nie, droga pani - powiedział Step. - Kobieta z tej tasma nie jest nauczycielka, pani Jones. To nazistka.

Ukryła twarz w dłoniach. Step przypomniał sobie lkającego Steviego zeszłej nocy. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu zapragnął kogoś skrzywdzić, rozszarpać tę kobietę. Ten głód przemocy przeraził go. Odczuwał go najsilniej teraz, kiedy bezbronna szlochala. Z dreszczem grozy odkrywał w sobie zdolność do odczuwania tak głębokiego pragnienia, by pognać uległego wroga.

Odwrócił się i uciekł od mężczyzny, którego spotkał w tym pomieszczeniu.

Po minucie wściekłość minęła, wyparła ją satysfakcja. Spełnił obietnicę daną Steviemu. Gdy maszerował korytarzem w kierunku głównego wyjścia, przyszło mu na myśl, że stoczył bój ze złem i odniósł zwycięstwo. Mityczny watek połowy programów telewizyjnych i powieści, jak też i sporej części historii. Oczywiście, zbyt prosta i przejrzysta wykluczała zaadaptowanie tej scenki do filmu. Powinna być mieć pistolet w torbie, który pan Jones kupił jej do obrony przed napastą. Powinna teraz wyciągnąć pistolet z torbki, ruszyć za nim korytarzem i zastrzelić, by odebrać tasme przed sporządzeniem kopii.

A jeśli naprawdę miała pistolet? Jeśli szykowała się, by go dopaść?

Myśl była absurdalna, dziecinna, a mimo to przyspieszył kroku. Nie zastrzelił mnie tu na korytarzu, pomyślał, gdyż w budynku przebywają jeszcze niektórzy nauczyciele, jest też personel pomocniczy - wszystko świadkowie. Nie, zrobi to na parkingu, za rogiem, gdzie nikt niczego nie zobaczy, a ona odjedzie w spokoju. Zwiększył tempo, niemal biegiem wypadając za drzwi i okrajając narożnik, by dostać się do samochodu. Palce zbuntowały się i upuścił kluczyki. Podniósł je, rozejrzawszy się dookoła i... no pewnie, oto była, wychodziła właśnie z budynku. W końcu udało mu się otworzyć drzwi auta, spojrzał powtórnie w jej stronę i zrozumiał, że kieruje się gdzieś indziej, że go nawet nie widzi, a przynajmniej sprawia takie wrażenie. Wsiadł do samochodu, smutnie wyglądającego malutkiego pinto, po czym opuścił parking.

Pinto. Jeździ pinto. Jest nauczycielka, na miłość boską, dostająca żalosne wynagrodzenie, nie ciesząca się żadnym szacunkiem, znosząca przez te wszystkie lata fanaberie rozwydrzonej dzieciarni, kulaca się pod kanonadą okrzyków głupich, rozszluszczonych rodziców, wysuwających bezpodstawne pretensje, podczas gdy ona stara się jak może. I oto proszę, nadciągnął, skrajnie wściekły rodzic, z piekła rodem, przynosząc jej zgubę, gdy tymczasem ona chciała jedynie uczyć. Kim jestem, pomyślał, że wynoszę się niczym gniewny Bóg, wybierając osoby do przykładowego ukarania, decydując, kto zasługuje na karierę, a kto nie?

Wtedy pomyślał o płaczącym Steviem i uświadomił sobie, że niektóre rzeczy, niektórzy ludzie, muszą po prostu zostać powstrzymani. Nie oznacza to wcale, że powstrzymać ich musi bohater, człowiek wielki i szlachetny. Żaden ze mnie bohater. Ale być może mnie się udało. Może dzięki temu nie wyrzadzi jakiemuś dzieciakowi o wiele większej krzywdy, nie popchnie go do samobójstwa. A kto mówi, że nie było tak wcześniej? Może w każdej klasie znajdowała sobie kozła ofiarnego, którego gnębiła obelżywa złośliwością, tylko że teraz przez przypadek jej wybór padł na niewłaściwe dziecko. Tym razem wybrała dzieciaka, który położy kres jej niecnym uczynom.

Nie powinienem odczuwać z tego powodu dumy, pomyślał Step. Lecz i o wstydzie nie może być mowy. Powinienem jedynie być zadowolony, że już po wszystkim. Jeśli rzeczywiście jest już po wszystkim.

Odjechała.

Wsiadł do samochodu, włączył stacyjkę, potem ruszył do domu.

Z radia syczała się piosenka z repertuaru Hali and Oats, która była w styczniu wielkim przebojem, kiedy to Step przyjechał do Steuben na rozmowę kwalifikacyjną. „Ludozerca”. Właśnie przed nim uratowałem Steviego, przed ludozercą. Pania Szczeki. Robiąca wszystko, by połknąć dziecko i wypluć kości. Dlaczego więc nie czuje się lepiej?

Ponieważ nie jest mi lepiej. Przed chwilą to ja połknąłem ją i wyplulem kości i nie podoba mi się wcale to uczucie. Nie lubię być okrutny. Nie mam do tego smykalki.

Choć z drugiej strony może i mam, ponieważ właśnie to zrobiłem. Może to dobrze, a może i nie.

Kiedy zajeżdżał przed dom, zauważył, że trawnik jest jakiś inny. Wylączył silnik i radio, co pozwoliło mu usłyszeć wycie kosiarki. DeAnne strzygła trawnik.

Lecz to nie była DeAnne. Kiedy wyszedł z auta i przeszedł za dom, spotkał tam starszego człowieka koszącego trawę. Jeden z sąsiadów?

Nieoczekiwanie DeAnne pojawiła się koło niego i objęła go w pasie.

- Jak poszło? - była ciekawa.

- Kto to? - odbił pytanie.

- Ach, to Bappy. No wiesz, opowiadałam ci o nim, ojciec właściciela domu. Zadzwoń do niego, pytając, czy nie zna jakichś okolicznych chłopaków, którzy strzygą trawniki. Powiedział, że sam się tym chętnie zajmie.

- Sam potrafisz przystrzyc własny trawnik - oznajmił Step. - Nie stac nas na opłacanie dorosłego człowieka.

- Kiedy masz zamiar go przystrzyc, Step? - spytała. - Nigdy nie masz czasu. A jeśli nawet miałbyś, ja i dzieciaki wolelibyśmy, byś raczej spędzał go z nami, a nie na koszeniu głupiego trawnika. Poza tym robi to za darmo. Mówi, że mieszkając w kamienicy, nie znajduje wymówek, by wyjść na zewnątrz i rozprostować kości.

Popatrzył na Bappy'ego. Ten pomachał. DeAnne również mu pomachała, za jej przykładem podał Step, ale bez przekonania.

- Może wejdźmy do środka, opowiesz mi, jak poszło.

Kiedy spacerowali w stronę domu, powiedział:

- Zgodziła się na wszystko, co jej nakazałem. Dreczenie syna to przeszłość. Ostatni miesiąc w szkole powinien być lepszy.

- Ale czy na pewno spełni obietnicę? - spytała DeAnne.

- O, tak - powiedział Step. - Sądzę, że spełni.

- Powiedz zatem, o czym rozmawialiscie? Czy bylo az tak, jak opowiadal Stevie?

- Kazde slowo Stewiego bylo prawdziwe - przytaknal Step.

- Jak mogla? Jak ktokolwiek mógł?

- Cos ci powiem - rzekl Step z usmiechem. - Zapewniam cie, ze dzis wieczór uslyszysz dokladnie kazde slowo. Jota w jote.

- Jak to, zapamietales wszystko?

Wyciagnal z kieszeni dyktafon i kasete. Spogladala to na niego, to na dyktafon, po czym zasmiala sie glosno, ale zaraz zmarszczyla czolo i zapytala:

- Ale mam nadzieje, ze miales kasete w dyktafonie!

- Uslyszysz wszystko, Rybia Damo - obiecal Step. - Tym razem Galganiarz nie pokpil sprawy.

Zarzucila mu ramiona na szyje, chociaz troche jej w tym przeszkadzal duzy, wystajacy brzuch, i pocalowala go.

- Chodmy szybko do srodka - ponaglila. - Stevie tak sie martwi, musisz mu powiedziec, ze wszystko poszlo pomyslnie. Swietnie, ze masz popoludnie wolne od pracy.

- Co ja wyprawiam? - polapal sie nagle Step. - Nie do wiary, ze przyjechalem prosto do domu. Przeciez to wszystko dzieje sie w czasie mojej godziny na lunch. Musze wracac.

- O, nie! - zaprotestowala. - Jest juz czwarta, zostala ci i tak godzina.

- No tak, ale mialem dzis spiecie z Dickym, dotyczace mojego wyjscia. Musze przynajmniej sie pokazac, ale wiesz co, wróce do domu najwczesniej, jak bede mógł, zgoda? Powiedz Stewiemu, ze poszlo mi swietnie, dodaj, ze nauczycielka przestanie sie nad nim znecac - a jesli jutro najmniejszym gestem zdradzi, ze wciaz chce mu dokuczac, spowoduje, ze wyleci ze szkoly.

DeAnne zasmiala sie.

- Zaloze sie, ze to prawda.

- I dzieki za skoszenie trawnika - powiedzial.

- Przekaze podziekowania Bappy'emu.

Nie mógł jednak tak odejsc.

- Hej, Rybia Damo. Sam mu to powiem.

- Oczywiscie, pajacu - zgodzila sie DeAnne. - Znajdziesz go w pokoju grajacego na komputerze.

Step przeszedl z kuchni do glównego pokoju. Stevie siedzial przy Atari, grajac w jakas gre ze statkiem korsarskim i rozmawiajac z niewidzialna postacią.

- Dalej, Scotty! - powtarzał.

- Stevie - powital go Step. - Musze wracac do pracy, chce jednak, zebys wiedzial.

Stevie zresetowal komputer, ekran zakryl sie czernia, a potem blekitem.

- Nie musiales go wylaczac - rzekl Step. - Mialem ci tylko powiedziec, ze sprawa pani Jones zostala zalatwiona pomyslnie. Ciezkie dni minely, zapewniam cie.

Stevie kiwnal glowa - ponuro. No tak, to jasne, pomyslal Step. Nawet jesli mam racje, to poskromienie nauczycielki nie pociaga za soba automatycznie lawinowego przyrostu liczby przyjaciól w szkole. Lecz moze przynajmniej niektórzy zechca z nim porozmawiac.

Step ponownie ucalowal DeAnne, wrócił do samochodu i pojechal do pracy. Kiedy przybyl na miejsce, na swoim biurku ujrzał trzy wiadomosci. Wszystkie trzy pochodziły od Raya Keene'a. Wszystkie mówiły to samo: Ray dzwonil. Chce wiedziec, gdzie jestes.

Dicky byl na tyle podly, nikczemny i zlosliwy, ze po miesiacach usilnych staran, by Step nie mial okazji porozmawiac z Rayem Keene'em osobiscie, doprowadzil - wiedzac o nieobecności Stepa w srodku dnia - by Ray Keene spróbowal sie z nim bezposrednio skontaktowac.

Step niezwlocznie podniósł sluchawke i wystukal numer do gabinetu Raya Keene'a. Zgodnie z przypuszczeniami odpowiedziala sekretarka.

- Czesc - rzucil. - Odpowiadam na telefon Raya.

- Och, tak mi przykro. Ray jest teraz na zebraniu - oznajmila sekretarka.

- Co za zycie! - odparl Step. - Zaloze sie, ze spotkanie jest z Dickym, prawda?

- Dicky jest jednym z facetów, którzy tam sa - odpowiedziala.

- Czy to nie idiotyzm? - zapytal. - Ray próbowal sie ze mna skontaktowac, choc Dicky caly czas byl przy nim i wiedzial, ze wzialem dzis późniejszy lunch, by spotkac sie z nauczycielka mojego syna. To chyba normalne, ze powinien powiedziec o tym Rayowi, zeby ten nie marnowal czasu, wydzwanijac do mnie.

- Och, Dicky prawdopodobnie najzwyczajniej zapomnial - stwierdzila sekretarka.

- Jestem przekonany, ze masz racje. Czy mozesz przekazac Rayowi moje przeprosiny, ze musial wydzwaniac w czasie mojej nieobecności? A Dicky'emu daj kuksanca w zebra za to, ze zapomnial poinformowac Raya o moim wyjsci!

- Nie ma sprawy - odparla sekretarka. - Czyz nie tak toczy sie zycie?

- Nie powinno - odpowiedzial Step, odkladajac sluchawke. Moze scena rozegra sie zgodnie z zamiarem rezysera, a moze nie, pomyslal Step, lecz przynajmniej Dicky ma szanse przezyc chwile wstydu, jesli sekretarka choc w polowie wiernie przekaze mu wiadomosc, a Ray Keene przypadkowo znajdzie sie w poblizu.

Jako ze nie bylo Stepa w pracy przez wieksza czesc popoludnia, nie zaangazowal sie bardziej w zaden z

projektów, dzięki czemu mógł wyjść o piątej trzydziści. Kiedy zmierzając do drzwi, przechodził obok dziupli, Glass spostrzegł go i zawołał:

- Hej, Step!

- Co u ciebie, Glass? - odpowiedział. Zajrzał do pomieszczenia. Było tam kilku programistów, lecz wszyscy się objali, co poznał po ekranach świecących grami, których Eight Bits Inc. nie wyprodukowało. Bywało tak od czasu do czasu, że zostawali po pracy, żeby pobawić się grami innych firm. Nazywało się to potocznie „wywiadem przemysłowym”, lecz prawda była taka, że kochali gry komputerowe, a tu pod ręką cała maszyna leżała gotowa do pracy, sterzy oprogramowania. Większość z pracowników tak czy inaczej nie miała rodzin, żyjąc co najwyżej z rodzicami, dlatego mogli zostać dłużej i pograć.

- Bierzesz kurs na dom? - spytał Glass.

- Szkoda, że nie mam czasu, by pograć - odparł Step. - Tak, wracam do domu.

- Ray cie szukał.

- Zdażyłem się dowiedzieć. Byłem wtedy na lunchu.

- Wyglądało to na coś ważnego.

- No nie wiem, zaraz po powrocie oddzwoniłem do niego i Ray już wie, że wróciłem, nie odzywa się jednak, dlatego w moim przekonaniu nie powinno to być aż tak ważne.

Glass przewrócił oczami.

- Czy wiesz, co oznacza zwrot „Siedzieć w gównie po uszy?”

- Glass - powiedział Step. - Dicky wiedział, co się ze mną dzieje. Dicky’emu nie podobano się, że opuściłem firmę, lecz miałem godzinny lunch, nie urwałem nic z godzin pracy. Jeśli więc w tym wszechświecie nie zginał jeszcze zdrowy rozsadek, nie siedzę w gównie po uszy.

- Wcale nie powiedziałem, że siedzisz - odparł Glass, śmiejąc się od ucha do ucha. - Po prostu pytałem, czy wiesz, co to znaczy.

Step uśmiechnął się, że wymierza mu policzek.

- Powiniennem być...

- Powinieneś być co...?

- Nieważne, jesteś jeszcze za młody. Prawde mówiąc, ja też jestem za młody. Sam tego nie kapuje. No to do jutra. Do zobaczenia jutro, ludziska. Do zobaczenia jutro, Glass.

Step pospieszył do samochodu. Po drodze uderzyła go myśl, że znana mu była praktycznie każda gra dostępna na rynku Atari, nie pamiętał jednak, by w którejś pojawiał się statek piratów podobny do tego, którym ekscytował się Stevie przy komputerze w domu. Musi sprawdzić, co to za gra. Prawdopodobnie jedna z tych, które przyniósł z pracy do późniejszego przejrzania. Dzięki pracy w firmie software’owej mógł przynosić dowolne gry do domu, pod warunkiem że je odniesie. Stevie musiał dobrać się do jednej

z tych, których Step nie miał jeszcze okazji uruchomic.

Nim przyjechał do domu, jego myśli zaprzatnęło coś innego; kiedy nareszcie usiadł przed monitorem, pamiętał jedynie, że ma coś pilnego zrobić, nie bardzo jednak wiedział co. To nic, jeszcze sobie przypomni.

Zjadł obiad z rodziną, po którym zdołał namówić Steviego, by pograł z nim na komputerze. Chłopak nie miał wesołej miny, ale przynajmniej grał. Kiedy się przekonał, że w szkole nie jest już tak źle, może poprawi mu się humor i w domu.

Step zamierzał pomóc DeAnne w kapaniu i układaniu dzieci do łóżek, kiedy zabrzeczał telefon. Dzwoniącym okazał się Sam Freebody, przewodniczący zgromadzenia starszych. Freebody był wysokim mężczyzną, napełnionym od tłuszczu, zawsze sprawiał wrażenie, jakby prawieniem na okrągło banałów chciał dowiedzieć się o jowialności grubasów. I tym razem musiał pomruczeć nieco o błahych sprawach, nim przeszedł do sedna. Stało się to, czego spodziewał się Step już od dawna i czego się bał.

- Chciałbym ci powierzyć misję domowego nauczyciela - obwieścił brat Freebody.

- Słuchaj - bronił się Step - jeśli odłożysz to na później, wiesz, że będę wdzięczny.

- Naprawdę, potrzebujemy cię do pracy w zgromadzeniu - powiedział Freebody. - Każdy musi obsługiwać swoje, inaczej tryby napędzające Kościół staną ze zgrzytem.

Step przypomniał sobie, jak sam wielokrotnie wygłaszał te słowa, będąc przewodniczącym zgromadzenia starszych w Vigor.

- Bracie Freebody - powiedział. - Wiem, co masz na myśli, wierzę w nauczanie domowe i w ogóle jestem doskonałym nauczycielem, lecz obecnie na ogół spędzam dwanaście godzin dziennie w pracy, przez co nie mam ani chwili dla rodziny. Uważam, że wyrządziłbym krzywdę im i sobie, gdybym miał jeszcze spędzać nieliczne wolne dni poza domem...

- Teraz jesteś w domu - zauważył Freebody.

Step miał ochotę krzyknąć do słuchawki: „To nie twój interes!” Wiedział jednak, że Freebody wypełnia tylko swoje zadanie, i to solidnie.

- No dobra - zgodził się Step z ociąganiem. - Zrobię, co w mojej mocy. Po prostu ostrzegam cię, że nie zdołam dotrzeć do każdego co miesiąc.

- W tej chwili poprawisz średnią w zgromadzeniu, jeśli odwiedzisz kogośkolwiek w którymkolwiek miesiącu.

Step uśmiechnął się i zanotował adresy rodzin, które należało odwiedzić, przy każdym adresie zamieszczając krótką notkę z opisem. Freebody był świetnym przewodniczącym zgromadzenia starszych, uświadomił sobie Step - dokładnie wiedział, kim byli ci wszyscy ludzie, nie znalazł ich tylko z wykazów w kartotekach. Zdobywanie ludzi do nauczania w domu nie należało całkiem do obowiązków Sama Freebody'ego, było po prostu zajęciem, do którego podchodził z miłością i pełnym zrozumieniem. Step zdecydował się wygospodarować trochę czasu na nauczanie, by pomóc Freebody'emu. Prócz tego rozumiał cele tego programu, naprawdę w niego wierzył, no chyba że myślał akurat o czymś innym, co zdarzało się niemal zawsze.

- Twoim towarzyszem będzie młody, ambitny członek zgromadzenia starszych, Lee Weeks. Jest świeżo nawrócony, ma dopiero dziewiętnaście lat, mam nadzieję zlecić mu misję już za jakiś rok. Proszę więc świecić dobrym przykładem!

- To znaczy, na przykład, że bym go nie zabierał potem na piwo? - zapytał, na co Freebody parsknął rubasznym śmiechem.

- Zwyczajnie pokaz mu, jak wygląda normalny członek Kościoła. Ma w sobie mnóstwo werwy, lecz pewna jej część skierowana jest ku dziwnym ideom.

- Dziwnym ideom?

- Jak by to określić, bracie Fletcher? Powiedzmy, że zetknął się na początku z bratem i siostrą LeSueur, wszystkie lekcje otrzymał u nich w domu.

- Nie jestem pewny, czy wiem, co to znaczy - zastrzegł się Step. Oczywiście, doskonale wiedział, co Freebody ma na myśli - dzieciak spotkał się z najdziwniejszą, najbardziej osobliwą wersją ewangelii, o jakiej można pomyśleć. Lecz Step oswajał się już z atmosferą panującą w pierwszej gminie Steuben: wiadomo, że pewni ludzie stwarzają problemy, lecz obchodzi ich z daleka, próbując powstrzymać złośliwe uwagi cisnąć się na usta. Kiedy mieszkał w zachodnich stanach, nauczył się postępować z ludźmi bez ogródek. Ale jeśli ten wyczerpujący wysiłek, by nie zranić czyichkolwiek uczuć lub nie wywołać konfliktu, był stylem południowców, Step nauczył się zachowywać jak południowiec.

A zatem Step nie był zaskoczony, kiedy jedyne wyjaśnienie Freebody'ego brzmiało:

- Zobaczysz, poza tym to dobry dzieciak.

Step zapisał nazwisko i numer telefonu Lee Weeksa.

- Mieszka w domu czy może słuchawkę odbierze współlokator, kiedy zadzwonie? - spytał.

- Mieszka w domu. Jego matka jest psychiatrą. Po rozwodzie, dlatego nie poznałem jej męża. Pogodziła się z faktem, że Lee przyłączył się do Kościoła, tak że nie powinno być problemów z jej wrogiem nastawieniem.

- To znaczy, że przekaze w razie czego wiadomość?

- Masz ci go! Jeszcze go wypchnie za drzwi, by siedł z tobą nauczać. Nawet odwozi go do kościoła w niedziele.

- Weeks nie ma prawa jazdy?

- Chyba nie, a może roztrzaskał o jeden samochód za dużo? Tak czy inaczej podwozi go.

Na tym się skończyło. Step, pożegnawszy się, odłożył słuchawkę i z westchnieniem zasiadł przy kuchennym stole.

- Nauczanie w domu, nie? - spytała DeAnne. Pakowała talerze do zmywarki.

Wstał i zaczął pomagać.

- Nie trzeba, Step, już prawie skończyłam, a ty jesteś bohaterem dnia. Chciałabym przesłuchać taśmę.

- Dzieci wykapane?

- Jestem teraz w tym naprawdę szybka - pochwaliła się DeAnne. - Chlust, plusk i wrzucam je pod posciel. A Stevie sam się kapie. Pobiliam dziś rekord. Jestem cudowna.

- Jesteś i wiesz o tym - potwierdził.

- Pozwól mi posłuchać tej taśmy. - Uśmiechnęła się.

Zasiedli wkrótce w pokoju gościnnym i słuchali nagrania, które Step jednocześnie przegrywał z dyktafonu na tani, niewielki magnetofon Panasonic. Urządzenie to miało swego czasu podbić rynek, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Jakość nagrania nie była całkiem dobra, lecz wystarczyła, by wszystko wyraźnie zrozumieć, i nawet kopia okazała się niezła.

- Och, Step - odezwała się DeAnne, kiedy taśma dobiegła końca. - Jesteś szczywany.

Zamierzała powiedzieć mu komplement, lecz w mniemaniu Stepa miało to wydźwięk pejoratywny. Nie podobała mu się myśl, że jest osoba szczywana.

- Szkoda, że nie słyszałaś, co było dalej. Przestałem być szczywany, zamieniłem się w brutala. - Po tych słowach streszczył jej pokrótce swoje wyczyny, gdy skończył już nagrywać. Jak pani Jones wyzwała go od szantazystów, co nie rozmiękło się tak całkiem z prawdą. W pewnym sensie.

DeAnne uderzyła go zartobliwie w ramię.

- Niniejszym wymierzam ci karę. Sprawa zamknięta.

- Myślałem, że poczuje się po tym wszystkim znacznie lepiej.

- Przestan, czy nie czułaś się choć odrobinę lepiej, kiedy wyciągnąłeś dyktafon, by zapoznać ją z nagraniem?

- Nie przeczę. Ale później...

- Później wyobraziłaś sobie, że jesteś lotrem tego samego pokroju - wtraciła DeAnne - ale to nieprawda. Ratawałeś przecież swego synka.

- No tak - przyznał. - Kiedy o tym pomyśle, zaraz mi lepiej. Ale nie zawsze o tym myślę.

- W takim razie będę ci przypominać - zaofiarowała się DeAnne. - Codziennie i do znudzenia. - Ku jego zdziwieniu obdarzyła go długim, czułym i namietnym pocałunkiem. Poznał, że ma dzisiejszej nocy ochotę na miłość.

- Może powinienem częściej zniecać się nad bezbronnymi nauczycielkami - powiedział, kiedy wreszcie mógł otworzyć usta.

- Zamknij się, Galganiarzu - uciela krótko, by pocałować go znowu.

Step! Step! Snął, że DeAnne jest bardzo zaniepokojona i że woła go, nie za głośno, aby nie zbudzić

dzieciaków, lecz w jej głosie dzwiczala trwoga. Wówczas otworzył oczy, spojrzal na tarcze budzika i w tym samym momencie uslyszal, ze znowu go wola. Polapal sie, ze wcale nie spi, jest trzecia nad ranem i cos jest nie tak, DeAnne prosi o pomoc. Potrzebuje go.

Odrzuciwszy koldre na bok, zdal sobie sprawe z wlasnej nagosci; musial usnac, kiedy tylko skonczyli sie kochac. Mam nadzieje, ze przed zasnieciem spisalem sie jak nalezy, pomyslal. Szybko przypomniał sobie, ze tak. DeAnne nie zasnala tym razem nie zaspokojona, jak zdarzalo sie to wiele nocy wczesniej.

Zganil sie za nieprzyzwoita mysl i poszedl do szafy, by narzucic na siebie plaszcz kapielowy. Jedyne swiatlo w pomieszczeniu sacylo sie z lazienki dzieciaków, znajdujacej sie kawalek dalej za rogiem, skutkiem czego niewiele widzial; znalazl jednak szlafrok i zarzucil go na ramiona. Wezwala go powtórnie.

- Juz ide. - Staral sie, by slowa zabrzmialy dostatecznie glosno i cicho zarazem.

- Wlóz najpierw pantofle - poprosila.

- Nie potrzebuje ich - odparl.

- Wlasnie, ze potrzebujesz! - wycedzila, jej glos przerodzil sie pod koniec w krzyk. Nalozyl dla swietego spokoju pantofle i podszedl do drzwi, by wyjrzec na korytarz. Kiedy juz mial odwrócić sie w kierunku swiatla poczul, ze nastepuje na cos, a to cos odbija mu sie od nogi. Wlaczyl swiatlo i z przerazeniem spostrzegl, ze na podlodze roi sie od swierszczy. Dziesiątki, setki swierszczy.

- Niech to szlag trafi! - wy jeczal. - To znaczy wielkie nieba!

- Skad one wylaza, Step?

- Co za trafne pytanie - odpowiedzial. Zgial sie i strzegal kilka z nóg. Nie mozna bylo zrobic kroku, by nie rozniesc któregoś, podczas gdy inne nan skakaly i czepialy sie ciala.

DeAnne stala, trzymajac kurczowo w garsci preparat owadobójczy w puszcze.

- Chyba nie powinnam wdychac tych oparów, skoro jestem w ciazy - powiedziala.

- Nie starczy preparatu, zeby je wszystkie zabic - zauwazyl. - Predzej podusimy wlasne dzieci, nim swierszcze dostana za swoje.

- Co mamy w takim razie zrobic, zmiesc je i zapakowac do worków na smiecie?

- To lepsze niz wydeptanie tego paskudztwa - odparl. - Gdzie podziewaja sie mewy, kiedy sa naprawde potrzebne?

- Skocze po plastikowe worki - powiedziala, ruszajac w strone kuchni.

Kiedy znikla, próbował odnalezc miejsce, którym sie dostawaly do srodka. Najgorzej bylo na korytarzu, w pokoju Betsy znalazl tylko kilka owadów, tak samo w lazience. Lecz zapaliwszy swiatlo w pokoju chlopców, przekonal sie, ze tam bylo jeszcze gorzej. Swierszcze pokryly tak gesto podloge, ze miejscami nie widzial dywanu. Skaczace po nim owady doprowadzaly go do obledu, poruszal sie niezmiernie wolno, zmuszony do ciaglego strzepywania oddzialów swierszczy z ubrania, ale w koncu zdal sobie sprawe z bezcelowosci swoich dzialan, choc laskoczace odnóza napawaly go obrzydzeniem. Nie mógł ich strzasac, poniewaz stal w pokoju dzieci, musial sie ich wszystkich pozbyc, co oznaczalo, ze

przez jakis czas bedzie cierpial.

Wychodzily z malej szparki przy szafce chlopców. Obserwowal, jak wypelzaja, najpierw antenki, potem czarne, mechaniczne ciala i nogi przypominajace tloki. Swierszcze roboty, to wlasciwe okreslenie, pomyslal. Ktos je wyprodukowal.

Wtem pomyslal: sam je wyprodukowalem. Swierszcze z piekielnych otchlani. Plaga swierszczy. Znak od Boga, który widzial, jak brutalnie obszedlem sie dzisiaj z ta kobieta, który wie, ze skrycie czerpalem z tego rozkosz, upojony potega. Zupelnie jak faraon. Zeslal wiec na mnie plage.

DeAnne wpadla do pokoju, niosac pare plastikowych worków, prócz tego miotle i smietniczke.

- Musisz przytrzymac smietniczke, kiedy bede je zmiatac - powiedziala. - Nie moze sie bardzo schylac.

- Zapomnij o smietniczce. - Step machnal reka. - Beda z niej wyskakiwac. Potrzynam lepiej otwarty worek. Lecz najpierw musimy powstrzymac ich naplyw.

- Znalazles miejsce?

- Szczelina miedzy podloga a sciana tam przy szafce. Czy mamy jakies szmaty?

- Wszystkie stare skarpetki - odpowiedziala.

- Zmocz je i wepchniemy je do dziury.

- Zmoczyc? Dlaczego?

- Och, przestan, DeAnne. Nie wiem, po prostu zrób tak. - Sam nie byl przekonany dlaczego. Mial niejasne przeczucie, ze kiedy skarpetki beda mokre, wepchnie sie je dalej, nie wypadna tak predko i swierszcze tak latwo sie nie przedostana.

Trzeba bylo zuzyc wszystkie skarpetki, które DeAnne przechowywala na szmatki do kurzu, lecz kiedy juz powpychal je w szpary, zaden swierszcz nie wychylil czulków.

Wówczas nadeszla pora na te ciezka czesc pracy. Swierszcze nie przejawialy checi przebywania w jednym miejscu, wiec praca zdawala sie syzyfowa. Step trzymal dno worka plasko na podlodze, przydeptujac rogi, a otwór rozszerzyl maksymalnie. DeAnne w tym czasie starala sie wmiesc je do wewnatrz. Ani przez chwile mali rozbójnicy nie przestawali skakac mu po glowie, rekach i nogach. Mimo to nie mógł ich strzepnac, pozostalo mu jedynie potrzaskanie glowami. Najodwazniejsze ze swierszczy zdawaly sie cieszc nowa zabawa, nie przerywaly harców, dopóki Step nie kazal DeAnne przegonic ich miotla.

Stopniowo dal sie zauwazyc postep, szczególnie kiedy Step polapal sie, ze psikajac raidem od czasu do czasu na sam worek, mozna przekonac zlapane juz osobniki, by nie wyskakiwaly na zewnatrz. Nim uplynela godzina, z pola widzenia znikla horda swierszczy. Umieszczone w starannie zawiazanych workach, przeniesione zostaly do garazu. Wówczas rozpoczelo sie polowanie na zblakane owieczki.

Wyniesli dzieci z łózek, pojedynczo, po czym ostroznie, by zadnego nie zbudzic, ulozyli je w swoim pokoju, gdzie nie pozostal ani jeden swierszcz. Na koncu zamkneli za soba drzwi. Poniewaz dzieci przespaly najazd owadów, byla spora szansa na to, ze nie zobacza ani jednego swierszcza, dzieki czemu nie beda snily koszmarów z owadami w roli głównej.

Mam nadzieje, ze tak to sie wlasnie skonczy, pomyslal Step.

Zlapali trzy swierszcze, które wdrapaly sie na poslanie Robbiego, DeAnne zabrala sie do sciagania i zmiany poscieli - nawet z łózka na pietra, gdzie spal Stevie, a zaden swierszcz nie mial szansy sie tam dostac. Wreszcie bylo po wszystkim. Wszystkie swierszcze znikly, a jesli sie jakies ostaly, mialy na tyle rozumu, by nie rzucac sie w oczy i nie cykac. DeAnne zaproponowala, zeby powtórnie wykupac dzieciaki, lecz Step zaprotestowal.

- To nie byly zuki gnojowe, kochanie, tylko zwykłe swierszcze, pozwólmy dzieciom ponownie zasnac.

One jednak cały czas spaly, lezac bezwładnie na łózku rodziców. Jedno po drugim Step poprzenosil pocięchy do pokojów, gdzie DeAnne ulozyla je i przykryla. Po chwili wszystkie miarowo oddychaly.

- Nie mogloby tak byc - powiedzial Step do DeAnne otulajacej Betsy swieza posciela - zeby wszystkie zle rzeczy spotkaly je w czasie snu? Wtedy nie budzac dzieciaków, uporalibysmy sie z problemami.

- Musze sie umyc - odpowiedziala DeAnne. - Wciaz czuje na sobie pelzajace swierszcze. - Wzdrygnela sie. - Az dziw, ze nie zaczelam rodzic.

Teraz, kiedy o tym wspomniala, poczul laskotanie krótkich nóg, a im bardziej o tym myslal, tym uczucie stawalo sie wyraźniejsze.

- Wez prysznic pierwsza - powiedzial - ale sie nie guzdraj! Troche jej to zabralo czasu, ale zrozumial. Kiedy nadeszla jego kolej, trzy razy namydlal sie i splukiwal, nim poczul sie dostatecznie czysty, by wytrzec sie i pójsc spac. Zbadal posciel, choc zaden swierszcz nie wskoczyl na łózko, i on o tym wiedzial, a mimo to musial spojrzec. Musial zdobyc pewnosc.

- A jutro dezynsekcja - powiedzial, kiedy juz przykryl sie koldra.

- Tak - zgodzila sie. - Tez juz o tym myslalam. Zadzwonie do Bappy'ego i dowiem sie, czy maja jakis kontrakt, na przyklad z Termineksem czy czymś takim.

Nastepnego ranka - oczywiscie - spóznil sie do pracy. Bardziej niz zwykle, gdyz tej nocy nie spal wiele. Kiedy wszedl znalazl na biurku powiadomienie. Pochodzilo od Raya Keene'a i chociaz zaadresowane bylo do kazdego, Step wiedzial, ze chodzi o niego.

„Doszly mnie pogloski, jakoby niektórzy pracownicy naduzywali naszego lagodnego podejscia do czasu pracy. Dlatego od jutra wchodzi w zycie nowa zasada. Wszyscy pracownicy musza zjawic sie na stanowiskach punktualnie o ósmej trzydziesci. Lunch trwa od dwunastej w poludnie do dwunastej trzydziesci. Z przepisu tego zwolnione sa jedynie osoby dyzurujące przy telefonach, które swój lunch spozyja kolejno, w godzinach od 11:30 do 1:00. Kazdy, kto chocby o piec minut spózni sie do pracy lub o piec minut przedluzyl lunch, bezzwlocznie zostanie zwolniony. Jedynym usprawiedliwieniem moga byc wylacznie powody zdrowotne lub prawdziwe, udokumentowane wypadki w rodzinie.”

Step rwal sie, by wpasc do gabinetu Dicky'ego i obrzucic go stekiem najgorszych inwektyw. Lecz nie mógl. Ach, zeby ten Arkasian wypalil. Gdyby tylko Step mial kontrakt z inna firma, sposób na

wydostanie się z tego miejsca. Z jaką przyjemnością oznajmiłby Dicky'emu Northangerowi, co o nim myśli. Zamiast tego schował zarządzenie do aktówki, zamknął ją pieczołowicie i podał do dziupli.

Kiedy wszedł, zauważył, że panowało grobowe milczenie, pomyślał przez chwilę, że to z jego powodu. Lecz ta cisza wzięła się z tego, że Dicky był w pracowni, nachylał się nad ramieniem jednego z programistów. Dicky nieczęsto zaglądał do dziupli, więc już sama jego obecność była znacząca. Z drugiej strony, być może Dicky próbował ulagodzić gniew, który bez wątpienia wszyscy czują. Stepowi to odpowiadało. Im dłużej Dicky krecił się po dziupli, tym dłużej ich gniew na nim właśnie będzie się skupiał.

- Glass - zwrócił się do niego Step. - Móglbys mi pomóc, jeśli masz czas. Coś nie gra z przenoszeniem wyrazów, sądzę, że jest na to jakaś rada. - W zeszłym tygodniu rozpracowali już to zagadnienie, niemniej jednak Dicky z całą pewnością nie miał o tym zielonego pojęcia.

Wybieg się jednak nie powiódł.

- Glass nie pójdzie teraz do twojego gabinetu - rzekł Dicky stanowczo. - Nie widzę też przyczyny, dla której tu siedzisz. Glass pomaga mi w pracy przy programowaniu, a to jest ważniejsze niż pisanie instrukcji obsługi. Tak na marginesie, powinienś sporządzić listę pytań i zostawić ją u mnie na biurku, ja już zadbam, żebyś dostał odpowiedzi. Zespół programujący ostatnio się lenił, nie pozwoli na dalsze rozprzeżenie.

- Dokumentacja nie ma nic wspólnego z rozprzeżeniem, Dicky - zaproponował Step.

- Zgadza się, lecz ludzie wchodzący do osrodka programowania i rozmawiający głośno powodują rozprzeżenie, a ja tego nie zniosę. Zostawiaj pytania na moim biurku.

Step stał przez moment nieruchomo, spoglądając na Dicky'ego i myślał: nie dopadliśmy w nocy wszystkich swierszczy. Jeden został i szykuje się, by na mnie naskoczyć, kiedy tylko nie patrzę. Wiedz, Dicky, że w tepieniu swierszczy jestem czempionem. Ekspertem. Jeśli potrafię stłamsić te hordy na krzywych nóżkach, poradzę sobie z jednym, samotnym rzepolą.

Step przeszedł do swojego gabinetu i napisał wiadomość:

„Drogi Rayu,”

„Dicky zagroził mi drogę do dziupli, chce przesiewać wszelkie pytania, jakie mam do programistów. Jeśli tego właśnie pragniesz, wszystko w porządku. Lecz jeśli pragniesz, bym w nieco inny sposób wykonywał swoją pracę, zmiana decyzji musi wyjść od Ciebie.”

Step podpisał się i zaniósł wiadomość sekretarce Raya, Ludy.

- Zastalem Raya? - zapytał.

- Tak, lecz nie chce się z nikim widzieć - odpowiedziała.

- Jest ktoś u niego?

Wyglądała na trochę przestraszona.

- Step, myślę, że to nie twój interes.

- Chciałem tylko wiedzieć, czy kiedy wejdziesz tam i położysz na biurku moją wiadomość, zawstydzisz go przed kims, czy też nie.

Ludy nie mrugnęła powieką, uśmiech nie zniknął jej z ust.

- W porównaniu z pakowaniem się na chłama do jego biura, Step, zawstydzenie go przed kims to małe piwo. Naprawdę, nie radziłabym ci.

- W takim razie powiedz mi, co mogę zrobić, aby na pewno otrzymał moją wiadomość? Spisałem już dla niego kilka tuzinów wiadomości na temat przeróżnych spraw i - jeśli dobrze pamiętam - nigdy do niego nie dotarły. Nie odpowiada na nie, a pierwszy raz do mnie zadzwonił wczoraj, przy czym doskonale wiedział, że mnie nie zastanie.

Ludy wyciągnęła w jego kierunku rękę; gdyby siedział koło niej, pewnie by go dotknęła.

- Step, on otrzymuje wszystkie twoje wiadomości.

- Z ręką na sercu?

- Jak bum cyk cyk. - Uśmiechnęła się.

Wreczył jej wiadomość.

- Możesz mi przekazać moje słowa, że jeśli nie odpowie i tym razem, powinien się rozejrzeć za nowym facetem od pisania podręczników.

- Powiem mu - obiecała - że będziesz wdzięczny, jeśli odpowie ci w najbliższym dogodnym czasie. Jeśli naprawdę zechce wysłać odpowiedź, będziesz się krecił w pobliżu. - Mrugnęła do niego.

- Masz chyba tik - odparł, po czym sam mrugnął. Ludy zatrzepotała rzesami, a on wyszedł.

Kiedy DeAnne zadzwoniła do Bappy'ego, żeby się spytać, do kogo się zwrócić w sprawie dezynsekcji, ten wyglądał na podekscytowanego.

- Sam się tym zajmę! - zapiał. - Robiłem w tym jakiś czas temu i ciągle coś niecos pamiętam! Już pedze, upewnij się tylko, czy wszystkie pojemniki w kuchni są pochowane.

- W kuchni? - zapytała. - Chcesz przyskoczyć też w kuchni?

- Robale uwielbiają przebywać tam, gdzie jest jedzenie - odparł. - Najlepiej też wyprowadz dzieciaki z domu, kiedy przystąpisz do dzieła.

Miała na dzisiaj plany, a Step zabrał samochód, gdyż w przeciwnym razie jeszcze bardziej by się spóźnił do pracy. Może powinna zaprowadzić dzieci do mieszkania Jenny? To, co miała do zrobienia, mogło

poczekac. Głównie sprawdzenie salda konta z ksiąteczki czekowej, przy czym nie było wiele do sprawdzania. Poradzi sobie z tym po odejściu Bappy'ego. A co z jej cicha nadzieją, że może zdrzemnie się razem z dziećmi, by nadrobić stracone nocne godziny? No cóż, już nieraz planowała drzemkę, lecz rzadko jej się udawało zamierzenie zrealizować, tak też było okej. Na drzemkę przyjdzie czas, kiedy się wreszcie zorganizuje.

- Ile to czasu zabierze? - zapytała.

- Ze dwie godzinki - odparł Bappy. - Muszę dostać się pod dom i na strych, sama wiesz. Fachowa robota. Mówisz, że już zatkaliscie miejsce, z którego wychodziły?

- Starymi skarpetkami.

- Też używam podobnych rzeczy. Więc już zatkanie? Tak czy inaczej w dwie godziny po robocie substancja osiadzie, wtedy możesz wrócić do domu, otworzyć okna i przewietrzyć mieszkanie. Nie myśl jednak o zbyt szybkim powrocie. Musisz dbać o swój cenny balast.

Po chwili zastanowienia zdała sobie sprawę, że przez „cenny balast” Bappy rozumie jej nie narodzone dziecko, które nawet teraz napierało na rozdęte sciany brzucha. Poza tym nie potrzebowała ostrzeżenia Bappy'ego, że nie powinna wdychać środka owadobójczego, gdyż nigdy nie wiadomo, co może przedostać się przez łożysko. Nie pozwolił też, by starsze dzieci wdychały zatrute powietrze.

Zadzwoniła do Jenny, która mało nie skoczyła z radości, gdy usłyszała, że będzie mieć przez cały dzień towarzystwo, a kiedy Bappy podjechał pod dom swoim pikapem i zaczął wydobywać sprzęt wyglądający na wyposażenie pletwonurka, DeAnne przekazała mu zapasowe klucze, zarzuciła na ramię ciężką torbę na pieluszki i wyprowadziła dzieci na spacer do domu Cowperów.

Rankiem DeAnne odwiozła Steviego do szkoły, ale ponieważ wiedziała, że kiedy Step wstaje późno, potrzebuje samochodu, pozwoliła mu wracać autobusem. Nawet się nie zorientuje, że dom został opryskany. Dochodziła dopiero jedenasta, więc istniało spore prawdopodobieństwo, że zdąży wrócić do mieszkania, nim autobus przywiezie Steviego. Musi uważać, żeby nie przegapić przyjazdu autobusu. Wzdrygnęła się na myśl, że któregoś z latrosi wróci kiedyś do domu i nikogo nie zastanie.

Z początku przebywanie w mieszkaniu Cowperów było dla DeAnne udreka. Dokuczał jej panujący tam chaos, dzieci buszujące po wszystkich zakamarkach, wrzeszczące wniebogłosy lub meldujące się u Jenny w różnych odstępach czasu, by złożyć raport o jakimś nowym zniszczeniu. Jenny najczęściej odpowiadała: „Dziękuję, zeszło mnie o tym powiadomiły”, nie ruszając się jednak z miejsca. Początkowo DeAnne była wstrząsana tą obojętnością Jenny i brakiem troski o bezpieczeństwo dzieci, ale kiedy ujrzała jej pięcioletniego syna, wdrapującego się na poprzeczkę od hustawki i dosiadającego jej niczym kucyka, nie mogła się powstrzymać:

- Jenny, musisz coś z tym zrobić!

Jenny popatrzyła na nią z uśmiechem i zapytała:

- Co na przykład, przybić mu nogi do ziemi? Pierwszy raz, kiedy się tam wspiął, niemal dostałam ataku serca, lecz w rzeczywistości to dobry wspinacz i nigdy nie spada. Obserwowałam go, jest ostrożny. Tak też myślę, że skoro już chce na coś wejść, niech to robi na moich oczach, popisując się przede mną, a nie kiedy nie patrzę. Wtedy by było niebezpiecznie. Zawarliśmy więc umowę - może się tu powspinać, lecz tylko wtedy, kiedy patrzę.

- Wybacz, Jenny - powiedziała DeAnne - ale ty nie patrzysz. Rozmawiasz ze mna.

Jenny zasmiała się.

- W takim razie słucham. Jeśli rozlegnie się krzyk, wiem, że trzeba interweniować.

- Rozległo się już z pięćdziesiąt krzyków.

- Wiem, ale to nie ten rodzaj krzyku, którym należy się martwić. Poza tym to ty byś była źródłem połowy z nich, DeAnne.

- Czy i ja krzyczałam?

- Ten ostry krzyk należał do ciebie, nie ukrywam. Wiem, że w twoim mniemaniu jestem najgorszą z matek, ale coś ci powiem: kiedyś byś była podobna do ciebie. Bezustannie śledziłam ich kroki. Krzyłam nad nimi.

- Czy ja krzaczę?

- A nie? - zapytała Jenny.

- Pragnę, by były bezpieczne - odparła DeAnne. - Jeśli coś by się im stało...

- Lecz niejedno im się jeszcze przytrafi. Sądziś, że skoro masz je na oku, wzbranasz im zabawy, nie połamiasz ręk lub nie potłukas nosa? A co zamierzasz zrobić, by twojej Elizabeth nie złamano serca, kiedy zacznie chodzić na randki? Bóg obdarzył nasze dzieci życiem, więc nie musimy chronić ich przed nim, ponieważ się boimy. Tak właśnie myślę.

Brzmiało to tak rozsądnie i mądrze. A mimo to...

- Co z tym zaginionym chłopcem? - spytała DeAnne, wskazując na gazetę.

- Czy to nie straszne? - Pokiwała smutnie głową. - Poza tym był jeszcze tamten dzieciak, o którym wspominałam ci niecałe sześć miesięcy temu. Mówię ci, widzisz te twarze na kartonach z mlekiem i myślisz; jest gdzieś matka, która pewnego dnia szukała swego małego chłopca, wolała go po imieniu, a on nie odpowiedział, i nagle poczuła w głębi serca, że nigdy, ale to nigdy już jej nie odpowie. Och, DeAnne, czy nie czujesz tej rozpacz?

- Tak - potwierdziła DeAnne. - Szedł po prostu do kolegi, trzy domy dalej, lecz nigdy tam nie dotarł.

- A matka będzie obwiniać siebie, wiem, że będzie - powiedziała Jenny. - Powie: Gdybym go tylko miała na oku. Gdybym wyszła na podwórko i odprowadziła go wzrokiem aż do domu kolegi.

- Tak. Tak, będzie miała rację!

- Wcale nie - zaprzeczyła Jenny. - W tamtym domu mogła czekać naładowana strzelba, co w takim razie powinna zrobić? Stać przy synu, kiedy bawiłby się z kolegą? Zabronić, by kiedykolwiek odwiedzał dom przyjaciela? Zamknąć go w pokoju? Myślisz, że dzieciak nie wiedziałby, że matka go obserwuje? Że nie ma do niego tyle zaufania, by puścić go do domu o trzy numery dalej?

- Ale jemu nie było wolno!

- Tym razem nie - powiedziała Jenny. - Ale może już wcześniej ze sto razy czynił podobnie. Kiedy twoje dzieci umieją chodzić, nie trzymasz ich dłużej za rączki. Nadchodzi chwila, że puszczasz ich dłoń i pozwalasz chodzić o własnych siłach. Czy sędzisz, że to oznacza, iż nigdy nie upadną?

- Zaginięcie to nie to samo co upadek.

- Myślisz, że tego nie wiem? Myślisz, że nie wiem, jak jeden moment nieuwagi może wystarczyć, by mój Aaron leżał pod hustawką ze skreconym karkiem? Martwy lub sparalizowany do końca życia? Myślisz, że nie czuje ukłucia w sercu, kiedy widzę go tam, na górze?

- Dlaczego więc mu pozwalasz?

- Dlaczego Bóg pozwala nam żyć na ziemi? - odpowiedziała pytaniem na pytanie Jenny. - Dlaczego nie zstąpi, by obserwować każdy nasz ruch i chronić przed czynieniem zła? Ponieważ nie rozwijałibysmy się, gdyby ktoś zachowywał się w ten sposób. Bylibysmy jak te marionetki.

DeAnne nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Ból niby ogień palił jej wnętrzności. Częściowo z powodu artykułu w gazecie o zaginionym chłopczyku. Częściowo zaś z powodu stresu, że nie jest we własnym domu i zmusza dzieci do zabawy z tymi piekielnikami, którym Jenny nadmiernie folgowala. Doszła też udreka wywołana pasmem niedoli Steviego w szkole, o którym tak długo nie miała pojęcia. Prócz tego Dolores LeSueur potajemnie posiała w jego umyśle nasienie jakiegoś spijającego żywotne sily zielska, a kiedy DeAnne dowiedziała się o tym, nasienie zdążyło się już zakorzenić; nie mogła nic poradzić, żywiła jedynie nadzieję, że wrodzona dobroć Steviego i zdrowy rozsadek pomogą mu pozbyć się tych zatrutych myśli.

- Po prostu nie potrafię przestać opiekować się nimi - powiedziała DeAnne - choć wiem, że nie przed wszystkim mogę je ochronić. To wiem. Wiem, że przez większość czasu nie mogę się nimi opiekować. Wtedy gdy Stevie jest w szkole, a nawet wtedy gdy wychodzę z pokoju - wszystko może się zdarzyć. Lecz wciąż mogę coś zrobić, mogę spróbować.

- Wierz albo nie, DeAnne, ja też wtracam się i powstrzymuję dzieciaki od naprawdę niebezpiecznych wyczynów - powiedziała Jenny. - Po prostu, hmm, jestem w stanie znieść więcej niż ty.

- Jenny, nie mówie teraz o tobie, mówie o sobie - odparła DeAnne. - Ponieważ wiem, że masz rację, ja tylko... Nie chce być nadopieczunką w stosunku do moich dzieci i zamienić je w przestraszone króliczki, drzące w rogu klatki. Lecz mogę coś zrobić, no nie? Podobnie jak moja sąsiadka po drugiej stronie ulicy w Orem. Był taki jeden facet z furgonetką, co miał zwyczaj przejeżdżać przez naszą ulicę z prędkością tornada. Jeździł za szybko, a ona tego nie cierpiała, jej mąż nawet rozmawiał z nim na ten temat, lecz on go tylko wysmiał i kazał się wynosić. Tak więc pewnego wieczoru, kiedy zapadł zmrok, no wiesz, kiedy jest ciemno jak oko wykoł, spostrzegła, że pozwoliła dzieciom bawić się do późna. Postanowiła sprowadzić je do domu, wyszła na zewnątrz, zawołała kilka razy, i wtem usłyszała, jak ciężarówka wypada zza zakretu, silnik ryczy, światła mkną w dół ulicą. Nagle wśród tych dźwięków usłyszała odgłos kół deskorolki syna sunacej po asfalcie jezdni. Nie po chodniku, tylko po asfalcie. Pomyslała, że skoro jest na jezdni, niechybnie zginie. Jej synek wraca ulicą od kolegi i oto nadjeżdża furgonetka; wie, że kierowca nie zauważy chłopca na czas, by się zatrzymać; syn znajduje się dwadzieścia jardów na prawo, zbyt daleko, by zdążyła dobiec iściągnąć go z ulicy; auto zbliżało się z lewej strony, a on nie ma szans usłyszeć jej wołania, nie przy tym hałasie; zatem bez namysłu wyskoczyła na jezdnię przed ciężarówką. Po prostu wyskoczyła.

- Wielkie nieba - powiedziała Jenny.

- Facet z cieżarówki dostrzegł jej sylwetkę, nacisnął na hamulec i okazało się, że tak naprawdę potrafi wyhamować na czas. Lecz ona była dorosłą osobą; kto wie, czy zauważyłby małego chłopca? Kierowca wypadł z szoferki, wrzeszczał i przeklinając, no wiesz, „Co z ciebie za idiotka!” itd., a ona tylko stała i płakała, dopóki mały chłopczyk nie zbliżył się do mamy z deskorolką pod pachą, maszerując środkiem ulicy. Facet uswiadomił sobie, że aż do tej chwili nie widział przed sobą dziecka. Powiedział „Mój Boże” i od tego czasu nie mieli już nigdy kłopotów z jego pedzającym samochodem.

- Nie wiem, czy ja odwagałabym się na coś podobnego - powiedziała Jenny. - Stałabym przy krawężniku, krzycząc albo nie wiem co. Nie wiem, czy bym tak po prostu... wyskoczyła na jezdnię.

- I ona tego nie wiedziała, do czasu próby - rzekła DeAnne.

- To zrozumiałe, że trzeba ratować dziecko przed pedzającym pojazdem - powiedziała Jenny. - Nawet taka niedbala matka jak ja musiałaby spróbować! Lecz to, co ona zrobiła, no nie, to wykracza poza miłość, graniczy z szalenstwem. A gdyby tak samochód nie wyhamował? Jak czułby się chłopiec, gdyby matka zginęła na jego oczach? Dorastałby jako sierota.

- Dorastałby wiedząc, że jego mama oddała życie, by go uratować. To powinno pomóc.

- Albo do końca życia czułby się winny, bo to z jego winy by zginęła. DeAnne, nie twierdź, że była w błędzie. Inaczej: miała rację, bo plan się powiódł. Lecz nawet ratując jego życie, mogła wyrządzić mu krzywdę. Wszystko może przynieść szkodę, wszystko może się udać. No, może nie wszystko, lecz wiesz, co mam na myśli. Może masz rację, że jesteś taka opiekuncza, a może ja mam rację, dowodząc statkiem bez steru. Może, może, może.

- Z tego wniosek, że cokolwiek byśmy robili, prawdopodobnie się mylimy.

- Nie, DeAnne, nie myśl o tym w ten sposób. Raczej pomyśl, że działanie z myślą o dobru dzieci musi się udać. Może je tym urazisz. Może, gdy dorosną, tak się na nas rozzłoszcza, że przez dwadzieścia lat nie usłyszymy od nich słowa. Mogą też zginąć - to część życia. Utracić dziecko to najgorsza rzecz na świecie. Przynajmniej mnie nic gorszego nie przychodzi do głowy. Lecz to się zdarza. A kiedy umiera dziecko, Bóg zabiera je do swego domu, zupełnie jak osobę dorosłą. Chce przez to powiedzieć, że choć takie życie było krótkie, zawsze to było życie. Pytanie: czy dobre? Czy było szczęśliwe? Czy dziecko miało sposobność zakosztować go, na coś się zdecydować...?

- Wiem - odpowiedziała DeAnne. Choć poczuła wstyd do siebie za okazanie słabości, płacząc przed drugą osobą, lzy zaczęły spływać po policzkach. Na samą myśl o umierających dzieciach, o matce zaginionego chłopca z dzisiejszej gazety, o przyjaciółce w Orem, która wiedziała, że poświęci za dziecko życie. W jej myśli też wkrał się Stevie. - Wybacz mi, to tylko... to przez to, co przeszliśmy ostatnio ze Steviem... odkąd tu się wprowadziliśmy. Czulałam się taka bezradna. Teraz wszystko się chyba ułoży, gdyż Step poszedł do szkoły i zajął się tym jak należy. To znaczy, wszystko teraz będzie w porządku, jeśli tylko pozbedzie się tych wyimaginowanych przyjaciół. Dlaczegoż więc teraz płaczę? Skąd te dreszcze i chłód, i...

Jenny przysunęła krzesło bliżej DeAnne, objęła ją, by ta mogła się wyplakać.

- Nie powstrzymasz złośliwości losu - powiedziała łagodnie Jenny. - Dlatego właśnie płaczesz. Myślisz, że ja nigdy nie miałam podobnego dnia? Podobnych dni? Zawsze potrafiłam się jednak zebrać w sobie i powiedzieć, że mogę podoląć tylko temu, co jest możliwe, przestałam marzyć o tym, że uczynię życie moich dzieci idealnym, idealnie szczęśliwym, idealnie bezpiecznym. Czasem płaczę, czasem je boli, wciąż

mnie to kluje w serce, jednak moge zrobic tylko to, co moge, i ty tez musisz zdac sobie z tego sprawe, DeAnne. Juz w dniu, kiedy sie spotkalysmy, zauwazylam, ze zbyt wiele od siebie wymagasz, tak wiec zawsze czeka cie porazka, gdyz do sukcesów zaliczasz jedynie osiagniecie tego, co sie nikomu poza toba nie udaje.

Jej słowa tchnely taka slusznoscia, taka pociecha, a mimo to DeAnne nie dawala im wiary. Och, to prawda, ze za bardzo zamartwiala sie tym, ze nic sie jej nie udaje, pod tym wzgledem Jenny miala calkowita racje. Lecz mylila sie, sugerujac, by w przyszlosci nieco popuscic. W jaki sposob mozna kiedykolwiek osiagnac perfekcje, nie siegajac granic swoich mozliwosci? Wówczas Pan prowadzi cie do konca i wszystko sie uklada, jak w przypadku Stewiego. Potrzeba tylko odrobiny wysilku.

Nie bedzie jednak przesadzac z ta opiekunczoscia. Do tego tez potrzeba wysilku. Jenny miala co do tego slusznosc. Dzieci musza miec szanse bycia dziecmi. Zupelnie jak ona, gdy bawila sie w dzieciinstwie w sadku za domem. Nie byly to bezpieczne igraszki, z tym calym zelastwem, drutami i innymi groznymi przedmiotami lezacymi dokola, szczególnie wzdluz rowów nawadniajacych. Wraz z przyjaciółmi wyprawiala szalone rzeczy. Wspinala sie wyzej na czereśnie niz Aaron Cowper na swoja hustawke. Cudowne czasy i cudowne lata. Nie pozwoli dzieciom, zeby je ominely, tylko dlatego ze ich matka nadmiernie sie boi. Z drugiej strony nie potrafila tkwic w takim... oddaleniu od tego, co porabiaja i czuja. To nie lezalo w jej naturze.

- Jestes dla mnie bardzo mila - powiedziala DeAnne, wycofujac sie z uscisku Jenny. Oczy wytarla papierowa serwetka, która wziala z kuchennego stolu. Papier zdawal sie szorstki w zetknieciu z delikatna skóra powiek. - Naprawde, nie przyslam tu po to, aby sie wyplakac - kontynuowala. - Po prostu jeden staruszek spryskuje moja kuchnie aerozolem na owady.

- Jak sadze - wtracila Jenny - wyrzucisz kazde pudelko platków owsianych, które bylo otwarte. Moze nawet pozbedziesz sie tych zamknietych, gdyz bedzie ci sie zdawalo, ze jakas czesc sprayu mogla sie przedostac do srodka.

DeAnne nie powstrzymala sie od usmiechu.

- Jenny, ja juz je wyrzucilam. Zanim przyszedl. Czy to nie glupie?

- Taka jestes i nic na to nie poradzisz. Poza tym w jednej sprawie dalas przyklad madrosci. Przeciez jestes ta nauczycielka, która zezwolila kobietom z pierwszej gminy Steuben na zerwanie z tym chorym udawaniem, ze nalezy mezom oddawac czesc, na wzór Dolores LeSueur. Zmierzylas sie z pajeczycą w jej własnej sieci.

- Sadze, ze to potwierdza raczej moja glupote - rzekla DeAnne.

Tumult z zewnatrz przeniósł sie do mieszkania, prócz tego byla juz najwyzsza pora na przygotowanie lunchu. Okolo godziny drugiej DeAnne ostatecznie zdolala ulozyc dzieciaki do drzemki - Robbie z miejsca zamknal oczy. Nabiegal sie z dziećmi Jenny do tego stopnia, ze lezal zupelnie wyczerpany. Ruszyla z powrotem do własnego domu, by przekonac sie, czy Bappy uporal sie z praca i czy smród zostal juz przegnany. Zrozumiala nagle, ze powinna byla wpasc w poludnie, by sprawdzic, kiedy dokładnie skonczyl, zeby odliczyc dwie godziny. Na szczescie zostawil na drzwiach wiadomosc:

„Skonczone w poludnie. Klucz na stole.”

Co za domyslny czlowiek.

Domyslny, mimo to grubo pomylił się co do czasu, jaki zajmie pozbycie się natretnego zapachu trucizny. Kiedy weszła do środka, zapiekło ją w oczy. Odór był nieznosny. Pospieszyła na zewnątrz, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Nawet teraz wyczuwała smród, który z pewnością nie przejdzie, jeśli pozostawi dom szczelnie zamknięty.

Wbiegła z powrotem, wstrzymała oddech, splukując i wycierając scierką do naczyń. Następnie, owinawszy usta i nos, przemierzyła dom wzdłuż i wszerz, otwierając wszystkie okna i drzwi. Okna w bawialni nie miały przesłon, tak więc ich nie mogła za bardzo zostawić otwartych. Podobnie nie potrafiła zmusić się, by pozostawić drzwi otwarte na oścież. Oczywiście sprawny włamywacz bez trudu mógłby wejść przez każde z okien, dlaczego więc nie zostawić drzwi otwartych? Jednak nie mogła.

Zostawiła scierkę wiszącą na galce przy bocznych drzwiach, prowadzących do garażu, po czym wyszła na ulicę, by poczekać na szkolny autobus wiozący Steviego.

Tuż po lunchu Dicky pojawił się w progu gabinetu Stepa. Początkowo Step przypuszczał, że sprawdza tylko, czy nie przedłużył sobie półgodzinnego lunchu, może zresztą o to też chodziło, jednak głównym powodem było doreczenie wiadomości.

- Ray chyba sądzi, że nie jesteś w stanie wykonywać swojej pracy należycie bez nieograniczonego dostępu do zespołu programistów, zgadzam się z tym.

Oczywiście, że się zgadzasz, pomyślał Step.

- Zatem znowu możesz odwiedzać ich w dziupli - ciągnął Dicky. - Byłbym jednakże wdzięczny, gdybyś ograniczył swoje rozrywki do minimum.

- Nie ma sprawy, Dicky - zapewnił.

- Poza tym ciągle wymagam sprawozdań na temat wszystkiego, o co ich pytasz.

- To wspaniały pomysł, Dicky. Jeśli oprócz własnej pracy będę zmuszony pisać ci o wszystkim szczegółowe raporty, to moja produktywność spadnie - rzekłbym - o połowę.

- Nie kłopotuj się o to.

- Ze piekło zamarza - dokończył Step zartobliwie. - Moim sprawozdaniem dla ciebie z każdego projektu będzie napisany podręcznik.

Dicky stał nieruchomo, patrząc na swym spokojnym, beznadziejnym wzrokiem, jego twarz wyrażała tyle, co pysk owczy. W końcu wyszedł.

Nie powinienem drażnić się z nim, pomyślał Step. Nie powinienem przeginać.

Lecz to było przyjemne. Miła była też myśl, że Ray Keene oceniał Stepa lub przynajmniej jego rolę w firmie na tyle wysoko, by usadzić Dicky'ego. Tym razem to właśnie Dicky przeginał, nie Step. Poza tym Dicky wciąż cieszył się zwycięstwem z przeforsowania zasady punktualności.

Kilka minut później Step był już w dziupli, by wszyscy mogli się przekonać, jak krótko obowiązywała absurdalna restrykcja Dicky'ego. Kiedy tylko wszedł, jeden z programistów wymruczał: „Co z

Dickym?”, po czym kilku rozeszło się leniwie po korytarzach, by po chwili złożyć raport: „Dicky’ego nie stwierdzono”. Natychmiast wszystkie krzesła obróciły się w stronę środka pomieszczenia. Wyglądało na to, że oczekiwano pojawienia się Stepa, by rozpocząć zebranie.

- Chłopcy - Step powiedział prosto z mostu - przepraszam. Sądzę, że ta cała draka z punktualnością to moja wina, ponieważ wczoraj poszedłem na ten późny lunch, nie licząc się ze zdaniem Dicky’ego.

- Pieprzyc to - odezwał się Gallowglass. - Dicky nie jest jakimś cholernym żywołem. Robi to, bo takie są jego zachcianki, a nie z powodu twojego postępowania.

- Robi to, ponieważ jest dupkiem - uzupełnił jeden z programistów.

- Rzecz przedstawia się następująco - obwieścił Glass. - Jeśli kaza nam stawiać się do pracy o ósmej trzydziestej i zjadać lunch dokładnie w ciągu przekletej pół godziny, wówczas nasza odpowiedź jest oczywista.

- Odchodzimy - wtracił jeden.

- Puszczamy te budy z dymem - dodał drugi.

- Obejdzie się bez takich dramatów - uspokoił temperamenty Glass. - W gruncie rzeczy sprawa jest prosta i elegancka. Wychodzimy o piątej.

Siedzieli, patrząc na niego, i nagle wszyscy zaczęli się śmiać i chichotać, niektórzy bili się po kolanach.

- Punkt piąta - zapowiedział Glass. - Każdego wieczoru. Nie kończąc linii programu, jeśli tak wypadnie. Zapisując prace, wyłączając zasilanie, o piątej niech tu będzie już ciemno. Czy wszyscy są za?

- Z całego serca - rzekł Step. Inni mu zawtórowali.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - powiedział Glass.

- No dobra - odezwał się Step. - Teraz znów wszystko od was zależy.

Step wrócił do domu o piątej piętnastce. Na bocznych drzwiach znalazł taką oto wiadomość:

„Sprawdź proszę, czy czuć ciągle spray. Jestem u Cowperów.”

Kiedy wszedł do środka, zaduch był nie do zniesienia: tak intensywny, że nie dalo się oddychać. W mieszkaniu było trochę zimno - zapowiadała się chłodna noc, już teraz wiało porządnie. Jeśli zacznie padać, pomyślał Step, wszystkie te otwarte okna oznaczają błąd przemoczone dywany i meble. Lecz nie można ich zamknąć. Trzeba mieć jedynie baczenie na pogodę.

Nie ma mowy, byśmy mogli tu dziś przenocować.

Zaryglował przysłone drzwi frontowych, które zostawił otwarte. Może i ktoś mógł się włamać i wszystko pokraść, lecz i tak było to możliwe przy otwartych oknach. Poza tym pokój gościnny nie wietrzył się w ogóle; kiedy do niego wszedł, zapiekły go oczy. Na koncu zamknął i zaryglował boczne drzwi, wsiadł do auta i podjechał pod dom Cowperów.

- Znowu wracasz tak wczesnie - przywitala go DeAnne, szczęśliwa, że go widzi.

- Być może od dzisiaj tak już zostanie - odparł. - Chyba że zmieni. Lecz nie mogę się nigdy spóźnić do pracy. - Pocałował ją. Jenny Cowper stała nieopodal i obserwowała, lecz Step tylko pomachał ręką i pocałował żonę raz jeszcze.

- Nie zważajcie na mnie - powiedziała Jenny. - Już się polapalam, że wiecie coś o całowaniu.

- Ciągłe jesteśmy na etapie początkowym - rzekł Step - zatem ochoczo wykorzystujemy każdą wolną chwilę. - Jenny roześmiała się i weszła do domu.

- Co słyhać u Steviego? - zapytał Step.

- Nie tego się spodziewaliśmy - odpowiedziała. - Zastępczyni.

- Ach tak. - Pokiwał głową. - Więc nie mogła stawic temu czoła.

- Poza tym Stevie wrócił do domu ze swą wstążką. Pani Jones musiała coś szepnąć dr Mariner, ponieważ weszła dziś do klasy i powiedziała coś o...

W tym momencie kilkoro dzieci galopem wpadło do pokoju. Robbie i dwoje nie zidentyfikowanych dzieci Cowperów - Step nawet nie zwracał sobie tym głowy, by je spróbować rozróżnić. Chłopcy wyglądali jak bliźniaki w różnym wieku. Stevie wszedł w ślad za nimi, niósł książki. Nie brał udziału w zabawie, to pewne. Ale przynajmniej rozmawiał.

- Cześć, tato!

- Słyszałem, że dziś mieliście zastępstwo.

Przytaknął milcząco. Step kucnął przed nim, lecz szybko zdał sobie sprawę, że jego kolana buntują się przeciw tej pozycji, przykleknął więc na jedno kolano.

- Podobno masz swą wstążkę.

- Nie dbałem o te wstążki - odpowiedział Stevie.

- Sądze jednak, że dr Mariner o nią zadbała.

Wówczas Step spojrzal ojcu prosto w oczy i spytał:

- Czy ty zabiles panią Jones, tato?

- O, nie! - wykrzyknął Step, przerażony. - Oczywiście, że nie! Nawet jej nie tknałem, nie skrzywdziłem jej w żaden sposób. Synku, została dzisiaj w domu, ponieważ czuje się zawstydzona.

Stevie nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Dr Mariner powiedziała, że jest chora. Ze pani Jones nie wróci do szkoły do końca roku, od teraz będziemy mieć zastępstwo.

A zatem pani Jones stchórzyła. Potrafiła być odważna niczym lwica, kiedy trzeba było wysmiać

siedmiolatka przed cala klasa, lecz kiedy przyszlo do zaplacenienia za to, schowala sie w norze. Jak przykro!

- Tato - Stevie chcial wiedziec. - Co ty jej wlasciwie zrobiles?

DeAnne, widzac, ze potrzebuja troche prywatnosci, wypedzila z pokoju Robbiego i stwory Cowperów. Dzieki, DeAnne, rzekl Step w duchu.

- Kluczniku, wszystko sprowadzilo sie do powiedzenia jej prawdy o tym, co robi. Dalem jej do zrozumienia, ze jesli nie przestanie, wszyscy sie o tym dowiedza. Tak wiec przestala. Tak naprawde przestala do tego stopnia, ze nie zdziwilbym sie wcale, gdyby w ogóle przestala uczyc.

- O rany - wyszeptal Stevie.

- Tak sie postepuje ze zlymi ludzmi, jesli istnieje mozliwosc. Dokladnie w ten sposob zawsze postepowali prorocy - tlumaczyl dalej Step. - Po prostu wymieniali ich grzechy, a jezeli winowajcy mieli w sobie choc iskro dobroci, zalowali.

- A jesli sa calkiem zli? Jesli nie maja iskry?

- No cóz, to tak jak w przypadku Almy i Amuleka. Pan nie dopuscil, by zli ludzie ich skrzywdzili, choc wokół zginelo wielu. Wypelniwszy poslannictwo, odeszli.

- Zli ludzie spalili Abinadiego - nie ustepowal Stevie.

- Zgoda - odparl Step. - Lecz wpierw zdazyl wymienic ich grzechy. I to wlasnie powstrzymalo w koncu ludzi od czynienia nieprawosci. Uslyszeli prawde o sobie. Moga tylko wtedy czynic zlo, kiedy sadza, ze nikt o tym nie wie.

- Ale Abinadi nie byl.

- Synu, mysle, ze Abinadi wiedzial i Bóg wiedzial, ze smierc nie jest najgorsza rzecz na swiecie. Najgorzej wiedziec, ze ktos czyni zlo i nic nie zrobic ze strachu. Wiec kiedy Abinadi umieral, smierc wydawala mu sie slodka.

- Gdy plonal zywcem?

- No nie, watpie, czy to bylo slodkie. Lecz to szybko minelo i zamieszkal z Ojcem w niebie. Tak czy inaczej, Stevie, nie o to chodzi. Bo nikt nie zamierzal spalic mnie zywcem za wyjawienie prawdy o pani Jones. Zaden ze mnie Abinadi, bylem po prostu bardzo zdenerwowanym ojcem, martwiacym sie o zle traktowanie cudownego syna w szkole, ale teraz jest juz po wszystkim. Pani Jones nie zdola cie wiecej skrzywdzic, przypuszczam tez, ze nie bedzie mogla skrzywdzic nikogo.

Stevie zarzucil ojcu rece na szyje i przywarl do niego na dluzsza chwile. Potem odsunal sie i wyszedl z pokoju, chyba nieco zawstydzony.

Step powstawszy, powedrowal do kuchni, przylaczajac sie do rozmowy.

- Bedziesz spala na naszym lózk, poniewaz jestes w ciazy, DeAnne - mowila Jenny.

- Ja nie jestem - wtracil Step.

- Ho, ho - rzekł Spike. - Uwaga, nadgrzeczność!

- Proszę, tylko nie to - powiedziała Jenny. - Wszyscy znamy te śpiewki. Protestujesz przeciw temu, by Step spał na podłodze, a DeAnne na kanapie, tyle że obaj doskonale wiecie, że DeAnne obudziłaby się wykonńczona, jeśli by na to przystała, my zaś czulibyśmy się tak winni, że nie zmrużylibyśmy oka. Poza tym wszyscy musicie wiedzieć, że ja i Spike miodowy miesiąc spędziliśmy na kempingu.

- Istnieje sposób, by spać ze sobą dwa spiwory - powiedział Spike poufnym tonem. - Kiedyś wam pokaże.

- Nie stracimy godności, jeżeli przespimy się na podłodze - zapewniła Jenny. - Tak naprawdę uważamy to za romantyczne, choć nikomu, kto widział nasze dzieci, nie przyjdzie na myśl, byśmy potrzebowali więcej romantycznych chwil. Więc proszę, pominmy te sprzeczki, zgadzając się na następujące rozwiązanie: wy dzielcie łóżka, my zaś spimy w worze.

Step i DeAnne zasmiali się, ta ostatnia powiedziała:

- No to sprawa załatwiona.

Zbliżała się już dziewiąta wieczór, dzieci spały grzecznie w łóżkach, kiedy to DeAnne przypomniała sobie, że nie sprawdziła dzisiejszej poczty.

- Zawsze jest na to czas jutro - oświadczył Step.

- A może przejdziemy się trochę wieczorem - zaproponowała DeAnne. - Przy okazji sprawdzimy, czy w domu wszystko w porządku.

Czemu nie? Dom Cowperów był siedliskiem ekstrawertyków, Step ucieszył się z pomysłu odetchnięcia świeżym powietrzem.

W drodze do skrzynki pocztowej Step opowiedział jej, co zaszło między nim a Steviem.

- Myślę więc, że te sprawy mamy za sobą - podsumował. - Stevie będzie się już zachowywał inaczej.

- Mam nadzieję - odparła DeAnne.

- Tylko nadzieję?

- Dzisiaj, kiedy wysiadał z autobusu, zaczęłam wyjaśniać mu całą sprawę z opryskiem i dlaczego nie mogliśmy się dostać do domu. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy mi odpowiedział: „Wiem, mamo, Jack mi o tym powiedział”.

Wyimaginowani przyjaciele.

- No tak, nie mogliśmy się chyba spodziewać, że znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Martwie się, Step. Jest już o wiele za duży, by mieć wyimaginowanego przyjaciela. Poza tym, kto kiedyś słyszał, by mieć więcej niż jednego? To znaczy, czy ci wyimaginowani przyjaciele nie powinni raczej przypominać Snuffy'ego z „Ulicy Sezamkowej”? Po prostu jedno wielkie, dziwne stworzenie?

- Daj mu troche czasu - powiedzial Step. - Kiedy w szkole bedzie mu lepiej, znikna te fantastyczne wyobrazenia. Spójrmy prawdzie w oczy - ci wymaginowani przyjaciele pomogli mu przetrwac doswiadczenie dorównujace pobytowi w obozie koncentracyjnym. Nie spieszymy sie tak z przeganianiem ich!

- To nie jest smieszne, Step. - DeAnne miała poważną mine. - Stevie stanowczo zaprzecza, jakoby ich wymyslił. Sadze, że naprawdę wierzy w ich istnienie.

- No i co z tego? Fantazja niewiele by mu pomogła, gdyby nie wyglądała bardzo naturalnie.

- Ale ci wymaginowani przyjaciele nie żyją naprawdę, Step, a jeśli nie odejda? A jeśli uprze się, by jeden z nich był jego drużba na weselu? W końcu to zaczną nakładać się na jego życie towarzyskie, sam wiesz.

- Ale nie dzisiaj - odrzekł. - Popusc mu jeszcze troche. Dopiero co wyszedł z piekła na światło dzienne, potrzeba chwili, by otrzasnąć się z koszmarów.

Doszli do skrzynki na listy. Step, otworzywszy ją, sprawdził, czy nie ma pajaków; nigdy nie pomijał tej czynności, odkąd pewnego razu w Orem, przy wyciąganiu poczty, czarna wdowa przebiegła mu po rekawie. Nigdy wcześniej by nie przypuszczał, że można jednym, zgrabnym ruchem oderwać wszystkie guziki koszuli, po czym w ulamku sekundy zderzyć całą z ciała. Nie ugryzła go, mimo to nie zapomnił tej przygody.

DeAnne zaczęła tasować listy, w świetle ulicznej lampy odczytując adresy zwrotne.

- Możemy wziąć je do środka - powiedział Step. - Przecież tu mieszkamy.

- Nie mam zamiaru tam wchodzić, póki ten smród się nie rozejdzie - zastrzegła się DeAnne.

- Cowperowie nie będą zachwyceni, dając nam wieczne schronienie, wiesz przecież - powiedział Step.

- Kto wie? Wiele im dziś pomogłam w gospodarstwie. O, jest jeden od twojego brata, - Rozdarła kopertę i zaczęła przeglądać zawartość.

- Wiesz, co mi powiedział Spike Cowper? - spytał Step. - „Wiem, że potrzebna wam samochodu, a my mamy tego obrzydliwego, zajeżdżonego, przerdzewiałego datsuna B-210. Prowadzi się całkiem niezłe, chociaż wygląda tak odpychająco, że nigdy nie dostanę za niego tyle, ile jest wart. Może więc wy się skusicie? Piecset dolców”. Ja mu na to, że jak na razie, nie możemy sobie na nic pozwolić, a on, że zapłacimy, kiedy będziemy mogli.

- Mam nadzieję, że odpowiedziałeś twierdząco? - spytała.

- Myślisz, że jestem idiota? Niemal go ucałowałem. Mogę brać datsuna do pracy, ty zatrzymasz renaulta.

- To będzie wielkie święto - powiedziała. - Sadze, że brat cie prosi, byś oddał mu pieniądze pożyczone na przeprowadzkę.

- I trysnie krew z kamienia - rzekł Step. - Zadzwoń do niego. Ogarnął go najzwyczajniejszy lek, że zapomnieliśmy o pieniądzech.

- W tym miesiącu nie uiszciliam jeszcze splaty za dom w Indianie - dodała DeAnne.
- W każdym razie i tak nie sądziłem, że się nam to uda.
- To już drugi miesiąc z rzędu - przypomniała mu DeAnne. - Nie wierzę, że będziemy w stanie spłacić te zaległe sumy, chyba że otrzymamy niespodziewanie jakieś honorarium czy coś takiego.
- Wiem - poproszę Raya Keene'a o podwyżkę. Nie, Dicky'ego poproszę o podwyżkę.
- Agamemnon - powiedziała, wręczając mu ostatnią, dużą, żółtą kopertę.
- Chyba żartujesz - nie dowierzał Step. Rozerwał ją.
- Nie mogę uwierzyć, że czytamy nasza pocztę na ulicy - powiedziała DeAnne, rozglądając się po okolicy. Wokół było pusto.
- Chyba każdy tak się zachowuje, kiedy jego mieszkanie zamienia się w komorę gazową - stwierdził Step. - To faktycznie kontrakt. Arkasian dał znać, że żyje.
- Trochę długo to trwało - odparła z przekasem DeAnne.
- Tak tylko wygląda, że długo. Upłynęło dopiero kilka tygodni. Prawda może być taka, że zabrał się do tego od razu, ale tak długo trwa ten proces. - Oderwał wzrok od listu. - Wiesz, Rybia Damo, gdybyś sprawdziła pocztę o normalnej godzinie i zadzwoniła do mnie, informując, że to właśnie przyszło, mógłbym od razu rzucić pracę, przed lunchem, a to by było naprawdę głupie i całkowicie zbędne, gdyż po lunchu wszystko się znowu unormowało. Do licha, to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że nie sprawdziłaś na czas pocztę. Ponieważ nie mogę jeszcze odejść, nie wiedząc, czy Eight Bits Inc. zamierza zająć się gramami na IBM, czy nie.
- Mielismy farta - podsumowała.
- Tak, to prawda - zgodził się. Tuż pod latarnią objął ją, w każdej dłoni trzymając narecze listów. - Może Pan rzeczywiście spogląda na nas od czasu do czasu.
- A może z reguły prawdopodobieństwa wynika, że już najwyższa pora.
- No cóż, a kto twoim zdaniem sformułował reguły prawdopodobieństwa? - Pocałował ją i ruszyli z powrotem w stronę domu Cowperów. Step zdążył jeszcze rzucić okiem po raz ostatni na dom, zastanawiając się, czy srodek owadobójczy zdolał też wygonić wymaganych przyjaciół Steviego.

Rozdział ósmy

Lapiduch

Oto w jaki sposób Step znalazł Steviemu psychiatrę, choć nieraz przyrzekał sobie, że nigdy nie zabierze syna do jednego z tych szarlatanów.

Osobście Step nie miał nic przeciwko psychiatrom. Jego najlepszymi przyjaciółmi w szkole w Vigor byli Larry i Sheila Redmond; Larry był kumplem z wydziału historii, Sheila natomiast rozpoczynała praktykę jako psychoterapeutka. Step był wprost nieznośny, pokpiwał na każdym kroku, że dostała posadę w ministerstwie.

- Jedyna różnica między psychoterapeutami a ministrami jest fakt, że psychoterapeuci liczą sobie więcej i więcej ludzi wierzy w ich uzdrawiające kuracje.

Sheila przyjmowała te docinki zawsze z humorem - jakkolwiek na to spojrzeć, cierpliwość jest konieczną cechą dobrego terapeuty - i Step musiał przyznać, że choć uważał wszelkie psychologiczne teorie za niewiele różniące się od świeckiej religii samoobsesji rywalizujących ze sobą sekt, wciąż istnieje szansa, że pojedynczy terapeuta może rzeczywiście pomóc pacjentowi; w podobny sposób dobry przyjaciel pomaga komuś otrząsnąć się po przykrym zdarzeniu. I nawet wysokość opłat przestała go zadziwiać, kiedy zdał sobie sprawę, że w Ameryce ludzie skłaniają się ku przeswiadczeniu, że jeśli coś kosztuje krocie, to jest warte krocie. Tak więc zapłacenie olbrzymiej kwoty pieniędzy, by ktoś cię wysłuchał i zaaplikował bezsensowną teorię, wyjaśniającą przyczyny twoich kłopotów, sprawia wrażenie opłacalnej inwestycji i zapewnia większą ulgę niż niedorzeczne, darmowe rady przyjaciela.

Lecz Step był przekonany, mimo iż od niedawna wierzył w możliwości skutecznej terapii - że nigdy nie zabierze któregoś z dzieciaków do jednego z tych szamanów.

- Bo niby po co? - wyjaśniał swój pogląd DeAnne. - Jeżeli zabierzemy go do freudysty, dowiemy się tylko, że mnie chce zabić, a z tobą się przespaci. Ktoś ze szkoły Junga połączy wyimaginowanych przyjaciół ze zbiorową podświadomością i jakimś mitem mówiącym o bohaterze z podwójną osobowością. Behawiorysta w rodzaju Skinnera spróbuje ożywić go i rozśmieszyć brzczeniem dzwonka. A ci nowi goście od narkotyków nafaszerują go haszem i będzie musiał przespaci resztę życia.

- Sami nic tu nie poradzimy - odparła DeAnne. - Potrzebujemy pomocy.

- Czy musi to od razu oznaczać zdanie się na ulomne teorie ludzi - zareplikował Step - zamiast zaufania temu, w co podobno wierzymy? Czy Stevie jest biologiczną maszyną, której geny działają zgodnie z przepisem, jaki mu przekazaliśmy? Czy też wiekuista inteligencja, odpowiedzialna za swoje zachowanie? Czy nie próbujemy pomóc synowi, by znalazł swój sposób na rozwiązanie własnych problemów? A może płacimy terapię, by nauczył go nowych, obcych kłamstw, w które ma uwierzyć?

DeAnne spojrzała na niego zimno, po czym powiedziała:

- No wiesz, my nie jesteśmy chrześcijańskimi scjentykami.

- A psychiatrzy nie są lekarzami - odbił pileczkę Step.

- A właśnie, że są.

- Legitymowanie się dyplomem z medycyny nie oznacza jeszcze, że się jest lekarzem - oświadczył Step.
- Ludzie oczekujący na przyjęcie do kliniki zdrowieją dokładnie w tym samym tempie co ludzie poddawani terapii.

- Sama czytałam ten artykuł - odrzekła DeAnne. - Ale zauważyłam dodatkowo, że kliniki nie czynią żadnej krzywdy. A może zabierając Steviego do lekarza, uświadomimy chłopcu, jak bardzo o niego dbamy.

- Albo pomyśli, że uważamy, iż zwariował - powiedział Step.

- Bawi się z wyimaginowanymi przyjaciółmi.

- Psychiatrizy kosztują tysiące dolarów - rzucił Step, wiedząc, że tajna broń w każdej dyskusji z DeAnne zawsze okazała się skuteczna: mówił, że nie stac ich i koniec.

- Dziewięćdziesiąt dolarów to nie majątek - odparła DeAnne.

Zauważył teraz, jak poważnie podchodzi do sprawy.

- A więc już zdążyłaś sprawdzić?

- Co się tyczy kosztów, tak. Poszłam do pediatry Jenny, który dał mi nazwiska trzech psychiatrów dziecięcych w Steuben. Dzwoniłam do wszystkich, pytając, ile biorą za usługę. Wszyscy tyle samo - dziewięćdziesiąt dolarów za godzinę. Pytanie tylko, czy ubezpieczenie w Eight Bits Inc. pokryje wydatek na psychiatrę.

- Nie pokryje.

- Nawet o to nie zapytasz?

Obecnie Step musiał coś wyznaczyć.

- Już to zrobiłem.

Rozesmiała się, ale w tym śmiechu słychać było nutkę złości.

- Ty hipokryto.

- Ciągłe o tym wspominasz, odkąd zauważyłaś tych wyimaginowanych przyjaciół. Wiedziałem, że tak właśnie zechcesz postąpić, musiałem więc się upewnić, czy zwróca nam poniesione koszty. Niestety nie.

Spojrzała nań, chcąc powiedzieć coś naprawdę niebezpiecznego - znalazł te miny, wiedział, że decydowała, czy warto jest wywoływać awanturę, która niechybnie nastąpiłaby po jej słowach.

Oszczędził jej trudu podejmowania decyzji.

- Masz zamiar oskarżyć mnie o kłamstwo?

- Wcale nie! - zaprzeczyła.

- Wahalas się, czyby mi nie powiedzieć, że sama zadzwonisz do Eight Bits Inc. z pytaniem, czy pokryją koszty.

- To nie to samo co nazwanie cię kłamcą. Po prostu upewnienie się. Bo może pomyśleli, że chodzi ci o

kuracje u psychiatry dla dorosłych, której ubezpieczenie nie pokrywa, w przeciwieństwie do terapii dziecięcej.

- Ach, rozumiem. Nie jestem kłamca, tyle że nie potrafię przeprowadzić efektywnej rozmowy z drugim dorosłym. Musisz sprawdzić, czy nie zapomniałem o takiej drobnostce.

- Ludzie nie są nieomylni! - broniła się.

- Tak, proszę pani, to prawda - odparł Step i ruszył, by wyjść z pokoju.

- Nie rób tego! - krzyknęła za nim.

- Nie rób czego? - zapytał.

- Nie opuszczaj mnie.

Słowa zawisły w powietrzu.

- Jest ogromna różnica - odpowiedział Step - między opuszczeniem ciebie i opuszczeniem pokoju. Akurat teraz opuszczam pokój. - Otwierała już usta, by coś powiedzieć, ale nie dała jej szansy. - Akurat teraz - powtórzył.

Otworzył drzwi do sypialni i wyszedł na korytarz. Spostrzegł, że Robbie i Betsy bawią się spokojnie w pokoju Robbiego, nie w dziennym, jak uprzednio przypuszczał. Step i DeAnne podnieśli nieco głosy w czasie sprzeczki - czy dzieci słyszały?

- Cześć, dzieciaki - przywitał je. - Co was tu sprowadza?

- Stevie kazał nam się wynosić - odparł Robbie.

- Czy wam tu dobrze?

- Tak.

Lecz Robbie miał żalostną minę, która potwierdziła fałszywy ton w jego głosie, świadczący o zmartwieniu.

- Co z tobą, Chrabaszczu?

- Stevie już mnie nie lubi - rzekł Robbie. Usilnie starał się nie rozplakać.

- Na pewno cie lubi, Robocie - zapewnił go Step. Usiadł przy Robbiem i objął go. Betsy, oczywiście, też zanosła się płaczem, widząc, że Robbie płaczem zdobywa tyle względów u tatusia. Step także ją objął, lecz jego uwaga skierowana była całkowicie na Robbiego. - Stevie po prostu przeżywa trudny okres.

- Co w tym takiego trudnego? - zapytał Robbie. - Siada sam i gra w gry komputerowe albo gra z Jackiem i Scottym zamiast ze mną.

- Z Jackiem i Scottym?

- Zawsze gra z nimi w piratów lub w pociąg, lub w coś innego, nie chce zagrać ze mną, a Betsy nie jest zabawna.

- Zabawna - powtórzyła Betsy.

- Bo ona jest jeszcze malutka.

- Dziecko w brzusi u mamusi - powiedziała Betsy.

- Chrabaszczu, nie jest łatwo, myślisz, że tego nie wiem? - rzekł Step. - Steviemu jest ciężko w szkole, prócz tego chyba trochę się gniewa na mnie, że kazałem mu się przeprowadzić. Przez to większość czasu spędza samotnie.

- No to czemu ciągle bawi się z Jackiem i Scottym? - spytał.

Step musiał się zastanowić. Co u licha miał na to odpowiedzieć? Musisz zrozumieć, Robbie, że twój brat ucieka od rzeczywistości do cudownego, magicznego świata, pełnego dobrych przyjaciół, który ma tylko jedną wadę - żadna druga istota ludzka nie ma doń wstępu.

- Robbie, nie mógłbyś jeszcze przez jakiś czas wytrzymać? - poprosił. - On cie nie nienawidzi. On cie kocha, naprawdę. Po prostu teraz nie jest w stanie ci tego okazać. Za rok od tej chwili wspomnisz ten czas i powiesz...

- Tylko nie mów „za rok” - rzekł Robbie z odrazą.

- Czemu nie?

- Bo tak właśnie mama zawsze mówi: „Za rok od teraz wspomnisz ten czas i będziesz się śmiać”.

Ta imitacja DeAnne była perfekcyjna. Step musiał się rozesmiać.

- Umiesz też podrobić mój głos?

Robbie natychmiast zniżył barwę głosu i huknął:

- Życie to suka, co nie?

- Suka - powtórzyła jak echo Betsy.

Step był przerażony.

- Nigdy tego wam nie mówiłem.

- No nie, mówisz tak do mamy, gdy sadzisz, że nie słuchamy - powiedział Robbie. Wydawał się niezmiernie dumny z siebie.

- No cóż, teraz wiem, że jednak słuchacie.

- Co to jest suka, tatusiu? - spytał Robbie.

- To tylko takie słowo na określenie mamy psa - wyjaśnił Step.

- Hau, hau - śmiała się Betsy.

- Dlaczego mówiles, że życie to mama psa? - spytał Robbie.

- Tak mówi mama psa! - wykrzyknęła Betsy. - Hau, hau, hau!

- Uwierz mi, Robbie, kiedy dorosniesz, nie będziesz musiał nawet pytać. Odpowiedz sama przyjdzie.

Step wyswobodził się i wstał. DeAnne stała w progu u wejścia do pokoju chłopców, trzesąc się od tłumionego śmiechu.

- Jeśli będziesz powstrzymywać śmiech, dziecko może wyskoczyć.

Zaniosła się jeszcze większym śmiechem, wciąż jednak cichym.

- Czy naprawdę mogłoby wyskoczyć? - zapytał Robbie.

- Nie, Chrabaszczu, to taki kawał - odpowiedział Step.

- Dlaczego to jest kawał, choć ja nie sądzę, żeby był śmieszny? - indagował Robbie. - Kiedy ja mówię kawał, a ty myślisz, że nie jest śmieszny, mówisz: „To żaden kawał”.

- Ponieważ jestem oficjalnym sędzią śmiechu Ameryki - odparł Step. - Kiedy w 1980 roku wybrano Ronalda Reagana na prezydenta, mnie się dostał urząd państwowego sędziego śmiechu. Jeśli więc mówię, że to kawał, to jest to kawał, a jeśli mówię, że nie, to nie. W przyszłym roku wybiora kogoś innego, ponieważ nie będę kandydował.

- Czy to prawda, mamo? - zapytał Robbie.

- A co myślałaś? - spytała DeAnne, jej oczy błyskały wesołością.

- Założyłam się, że to też kawał - powiedział Robbie.

- Masz zupełnie rację, mój ty bystrzaku - rzekł Step.

- Skoro mama się śmieje, to znaczy, że już nie będziecie na siebie wrzeszczyć? - zapytał Robbie.

Przy słowie „wrzeszczyć” Betsy otworzyła buzię i wydała przeciągły, malpi okrzyk.

- Betsy, nie rób tego więcej! - przykazała jej DeAnne. - Słuchaj cię na ulicy. Ludzie pomyślą, że zنعamy się nad dziećmi.

- Nie wrzeszczeliliśmy na siebie - rzekł Step.

- A właśnie, że wrzeszczeliscie - upierał się Robbie.

- Sprzeczałyśmy się tylko, gdyż na pewien temat mieliśmy różne zdania - wyjaśnił Step. - To się zdarza. Może i podniesliśmy głosy za wysoko, ale to tylko dlatego, że sprawa ma dla nas duże znaczenie.

- Jaka sprawa?

Dzięki Bogu, że nie rozumiał treści słów, których używaliśmy, pomyślał Step.

- Rozmawialiśmy o sprawach, o których mówią tylko dorośli.

Robbie intonował szyderczo:

- Do. Rosli. Do. Rosli.

- Ha, sam kiedyś będziesz dorosły, nie będziesz wtedy uważał tego za taką przyjemność.

Oto na czym stała kwestia zabrania Steviego do psychiatry - na niczym. Tak stanowił pierwszy ustęp pierwszego artykułu w niepisanej konstytucji ich małżeństwa: jeśli się w czymś nie zgodzą, nastąpi rozjem, którego nikt nie ma prawa złamać. Zamiast tego oboje składają sobie przyrzeczenie, że rozważa zdanie drugiej strony. Tak więc Step rozmyślał nad punktem widzenia DeAnne, DeAnne natomiast nad argumentami Stepa. Tym razem jednak Step wiedział, że nigdy, przenigdy nie popuści żonie, która nigdy, przenigdy nie zgodzi się z jego zdaniem.

Tyle tylko że gdzieś na rubieżach umysłu kolatało mu się przekonanie, że jednak spojrzy na sprawę z jej punktu widzenia. Że kiedyś w przyszłości dojdzie do wniosku, iż ta sprawa naprawdę ich przerasta i Stevie nie zamierza tak łatwo zerwać znajomości ze swymi wyimaginowanymi przyjaciółmi. Wówczas Step przekroczy próg gabinetu psychiatry, włocąc własnego syna do szamana, by urokiem wypędził z chłopaka złe duchy. Złosił się na samą myśl o tym, wierząc desperacko w to, że wypadki potoczą się inaczej, że wyimaginowani przyjaciele sami zechcą opuścić chłopca.

W końcu Ray Keene rozesłał wici, że nadszedł najwyższy czas, aby personel odpowiedzialny za tworzenie oprogramowania ustosunkował się do standardu IBM PC. Najwyższa pora, pomyślał Step. Teraz rozstrzygnie się, czy będzie mógł podpisać kontrakt z Agamemnonem, ten duży, który pozwoli mu rzucić pracę i nie oglądać więcej fizjonomii Raya Keene'a i Dicky'ego Northangera. Jeśli Eight Bits Inc. zdecyduje się machnąć ręką na IBM.

Mnóstwo przesłanek wskazywało, że tak właśnie się stanie. Najważniejszym powodem był fakt, że PC od początku był maszyną ulomną. System operacyjny był niezgrabną imitacją CP/M; kolorowa grafika stanowiła jedynie opcję, a jeśli zdecydował się już na nieprzystwoicie wysoka dopłata, by cieszyć się barwą, otrzymywał tylko cztery kolory naraz na ekranie. Żadnej rekompensaty nie stanowiła możliwość przełączania się pomiędzy kolorami chłodnymi i ciepłymi. Jedyne wydobywające się dźwięki pochodziły z odpychającego głośniczka wmontowanego w płytę, przy każdym brzeknięciu człowiek się podrywał i biegł otworzyć drzwi. Wyglądało na to, że ktoś przebadal Atari 800 i Commodore'a 64 i powiedział: „Jak by tu rozmontować te maszyny, by nie zostało nic, co mogłoby przyciągnąć jakiegokolwiek klienta?”

To samo powtarzali inni programiści. Z jaką przyjemnością Step utwierdziłby ich w tym przekonaniu! Dicky przekazałby jego negatywny raport Rayowi Keene'owi, pomyśl by upadł, Step odszedłby czysty.

Tylko że nie byłby czysty. Ponieważ wiedział, że rezygnacja z wspierania IBM będzie na dłuższą metę podzwonnym Eight Bits Inc. Jeżeli nie powie prawdy, do jakich wniosków doszedł w czasie opłacanym przez Eight Bits Inc., okaże się oszustem i łgarzem; nawet jeżeli nikt się o tym nie dowie, to Step będzie musiał z tym żyć.

Twierdził więc, co następuje:

- W porządku, jest ulomny. Lecz ma jedną cechę, której pozbawione są mikrokomputery do tej pory wyprodukowane.

- Cóż to takiego? - spytał Glass. W jego głosie zabrzmiało wyzwanie, gdyż był najbardziej zagorzałym wrogiem PC.

Step wskazał na napis IBM na obudowie.

- A co to jest? - zdziwił się Glass. - To nic nie znaczy!

- To znaczy wszystko - odparł Step. - To wielka narodowa potęga marketingowa, to zaufanie, reputacja, ogromne korporacje chętnie wydają sto tysięcy lub pół miliona dolarów, by te maszyny znalazły się na ich biurkach.

- Nie zajmujemy się oprogramowaniem dla biznesu - wtrącił Dicky spokojnie.

- Takie oprogramowanie ktoś będzie robił - rzekł Step. - Ktoś wypuści potężny edytor tekstu, naszpikowany bajerami, gdyż w takiej skrzynce można umieścić 256 kilobajtów RAM-u albo 512 kilobajtów; realnie staje się stworzenie edytora, który wstanie i zatoczy, jeśli mu się kaze.

- Nikt nigdy nie włoży w to 512 kilobajtów pamięci operacyjnej - sprzeciwił się Glass. - Nie można wypełnić 512 kilobajtów sensownym kodem!

- Nie wściekaj się na mnie, Glass - powiedział Step. - Po prostu mówię, co myślę. Ta maszyna to kupa gówna, lecz zawsze to IBM-owska kupa gówna, a kiedy dzisiaj mamy do czynienia z połową miliona sześćdziesiąteczwórek w domach, jutro będziemy musieli sprostać jednemu, dwóm, trzem milionom tych maszyn na pulpitych biurka.

- A jaka to różnica, co znajduje się na pulpitych biurka? - rzekł Dicky wzgardliwie. - Nie zajmujemy się oprogramowaniem dla biznesu, piszemy programy dla użytkowników domowych.

- Sądysz, że biznesmeni nie potrzebują od czasu do czasu wytchnienia przy gierce? Sądysz, że biznesmeni nie zechcą mieć w domu prawdziwego komputera?

- Nie za taką cenę - odparł Dicky. - Tu przynajmniej dostaje Commodore'a 64 wraz z drukarką i monitorem, płacić o połowę mniej niż za pudełko IBM.

Step uswiadomił sobie, że postępując uczciwie, osiągnął zakładany cel. Im bardziej Step głosował za rozwojem software'u dla PC, tym bardziej Dicky optował za odrzuceniem myśli o przestawieniu się na nową tory. Gdyby planował rozwój wypadków, nie zgrałby ich aż tak doskonale, pomyślał. Tak więc z lekkim sercem powiedział:

- Mylisz się, Dicky. Przed nami nowa era, w której na rynku królować będzie jedynie IBM.

- Z wyjątkiem Apple'a - uzupełnił Gallowglass. - Ta firma - krzak nie zginie, choćby ich komputery były nie wiem jak bezużyteczne.

- Zapominasz o Lisie - zauważył Dicky. To był kawał, więc wszyscy się roześmiali. Biedna, żalosa Lisa: toporna, kosztowna maszyna, której jedynym chwytem reklamowym jest możliwość zobrazowania

pliku rysunkiem zamiast przyporządkowana mu nazwa - tak jakby ktos potrzebował obrazka, by polapać się, że plik to plik! - Step prawdopodobnie sądzi, że na rynku nie pozostanie nic prócz IBM i Lisy.

- Proszę wyrazić dowolną opinię - odparł Step. - Nie mogę się kłócić na temat każdej usterki, jaka zawiera IBM PC. Powiedz Rayowi po prostu, że ja jestem odmiennego zdania, okej?

- Och, nie omieszkać mu tego powiedzieć - zapewnił go Dicky. - Powiem mu, że zgadzasz się z osadem naszym, programistów, lecz twoja głęboka wiedza i rozległe doświadczenia w biznesie kazały ci głosować za poparciem IBM, bazującego całkowicie na biznesowych zastosowaniach. Sądzę, że natychmiast poszukam Raya.

Dicky z bunczuczną miną opuścił pomieszczenie.

Step miał ochotę podskoczyć z radości.

- Człowieku, aleś został oszraniony - powiedział jeden z programistów.

- Lecz przez zasranca Dicky'ego - dodał Glass - więc pachniesz teraz jak obsypany płatkami róży.

- Lub bratków.

- Chanel No. 2 - podsumował Step. Wszyscy rozeszli się rozweseleni.

Robbie i Betsy zostali bezpiecznie przypięci pasami na przednich siedzeniach, podczas gdy nieprzeliczona horda Jenny podskakiwała z tyłu renaulta, niczym piłeczki pingpongowe w pomieszczeniu pełnym pulapek na myszy.

- Nie ufasz pasom bezpieczeństwa? - zapytała DeAnne pierwszego razu, kiedy wspólnie jechali samochodem.

- Wierzę w pasy bezpieczeństwa - odpowiedziała Jenny - lecz producenci samochodów nie wierzą w duże rodziny. Nigdy nie ma ich dość.

- Możesz przypiąć te, dla których starczy - zasugerowała DeAnne.

- A co z tymi nie przypiętymi, jak to odbiora? - odparła Jenny. - Mama kocha pozostałe dzieci, nie chce, by zginęły w kraksie, lecz wy nie potrzebujecie pasów.

DeAnne rozesmiała się, mimo to wciąż odczuwała mdłości.

- Więc rozwiązanie brzmi: nie chronić żadnego? Dlaczego nie przypniesz ich po dwoje?

Jenny popatrzyła na nią poważnie.

- DeAnne, założę się, że wprowadzę w wiek dorosły tyle samo żywych dzieci co ty. Za miesiąc wyjeżdżam ze Steuben, zatem założymy po prostu, że w życiu każdego człowieka są sprawy, których nie można naprawić.

- Przykro mi - powiedziała DeAnne. - Nie krytykowałam cie, po prostu czegoś nie rozumiem.

- Ja też czegoś nie rozumiem - przytaknęła Jenny. - Ale mamy przecież dostarczyć jeszcze ten obiad do domu siostry Ho.

DeAnne niechętnie wycofała samochód z podjazdu Cowperów, wraz ze Stepem nigdy nie łamała zasady, zgodnie z którą w poruszającym się samochodzie wszyscy pasażerowie muszą być przypięci.

Maj miał się już ku końcowi. Raz bądź dwa razy w tygodniu zdarzało się coś, co wymagało od DeAnne i Jenny pewnego rodzaju usługi, narzucanej przez Stowarzyszenie Pomocy. „Milosierna posługa” niezmiennie oznaczała przyrządzenie dla kogoś posiłku. Dziecko w szpitalu? Stowarzyszenia Pomocy przybywa z obiadem. Maz stracił pracę? Znowu obiad. W łóżku na zapalenie płuc? Obiad.

Nie, pomyślała DeAnne. To niesprawiedliwe. Stowarzyszenie Pomocy zajmuje się wieloma innymi sprawami - wizytami w szpitalach, zabieraniem starych wdów na zakupy, ostatnio siostra Bigelow spędziła trzy dni, pomagając w przeprowadzce kobiecie mającej dwóch synów - jej samochód uległ wypadkowi na 1-40 - do wynajętej przyczepy na kołach z pożyczonymi meblami. A te posiłki są chyba jedyną rzeczą, której załatwienie powierza się DeAnne i Jenny.

DeAnne stawiała się tym coraz bardziej znudzona.

- Czy nie ma w tej gminie jakiejś przodowniczką milosiernej pomocy? - DeAnne zapytała rano Jenny przez telefon. Dzieciaki bawiły się na podwórku za domem, a ona siedziała, ponieważ dziecko tak potwornie rozciągało jej brzuch, że stanie wymagało tyle wysiłku, co dzwiganie ciężkich skrzyń.

- Jest taka jedna - odpowiedziała Jenny. - Siostra Opyer. Ktoś natchniony musiał ją powołać. Wiem to, gdyż żadna rozsądna osoba nie wpadłaby na ten pomysł. Co najdziwniejsze, kiedy tylko Ruby zadzwoni do niej, by coś zrobiła, ta okazuje się obłożnie chora. Teraz Ruby dzwoni do nas.

- Dlaczego nikt jej nie zwolni, by na jej miejsce powołać kogoś innego?

- Tego się u nas nie robi - odparła Jenny. - Siostra Opyer pragnie tego stanowiska - tyle że nie chce nic robić. Więc kiedy Ruby ją zwolni, wpadnie w rozpacz i przestanie praktykować, a wszystkie kobiety z gminy zakrzykną, że to Ruby wydalila ją z Kościoła.

- Ależ to nonsens!

- Jeszcze nie rozumiesz południa, DeAnne - powiedziała Jenny. - Daje ci jeszcze rok. Wówczas zaswita ci, że ci wszyscy, słodcy, mili, grzeczni ludzie dźgają cię nożem w plecy, wtedy się domyślisz, że to banda hipokrytów na tyle grzeczna, by porozumiewać się z tobą szyfrem. Kiedy mówią: „Z wielką przyjemnością, kiedy tylko znajdzie czas”, znaczy to: „Lepiej sama się tym zajmij, bo ja mam to gdzieś”. Kiedy mówią: „Masz świetne pomysły”, znaczy to: „Palma ci odbija, kobieto!” Musisz po prostu zrozumieć ten szyfr.

- Po jakim czasie go pojelas?

- Ciągłe się go ucze - rzekła Jenny. - Wciąż mnie zaskakują. Główna reguła jednak mówi, że „tak” znaczy „może”, a „może” znaczy „nie”.

- Dlaczego nie grają w otwarte karty?

- Konfrontacja! - wykrzyknęła Jenny. - To oznaczałoby konfrontacje! Powiedzieć „nie” Bogu prosto w oczy? Niemożliwe. Żaden prawdziwy południowiec nie jest do tego zdolny. Tak nie przystoi. To jest grubiańskie.

- Ja przynajmniej zawsze mówię to, co myślę, wolę też, gdy inni podobnie postępują.

- Oczywiście - zgodziła się Jenny. - Ty pochodzisz z zachodu. A wszyscy południowcy w naszej gminie uważają, że my z zachodu jesteśmy najbardziej nieokrzesanymi, zarozumiałymi, nadętymi, nieznosnymi, swarliwymi, gburowatymi, szukającymi zaczepki wścibskimi szubrawcami, jacy kiedykolwiek przekroczyli Missisipi. Nadaszysz?

- Czy tak się wyrażają kowboje? - zapytała.

- Zaufaj mi - powiedziała Jenny. - Nigdy nie namówisz południowca - przewodnicząca Stowarzyszenia Pomocy - by zwolniła kogokolwiek ze stanowiska bez jego zgody. Ach, zaczęłaby biadolić: „Jakież to ciężar dla ciebie, siostrze Opyer, nie wiem, jak ty dajesz sobie radę, perelko, sama jesteś biedna, a dźwigasz jeszcze to brzemie powołania?” A gdyby w tym momencie siostra Opyer odpowiedziała: „Czasem jest mi ciężko, ale jakos daję sobie radę”, wówczas Ruby zwolniłaby ją z miejsca. Ale zamiast tego siostra Opyer powie - byłam i pamiętam - „Och, siostrze Bigelow, tylko to powołanie podtrzymuje moją wiarę, mojemu życiu przydaje treści świadomość, że sama cierpiąc, jestem w stanie pomóc drugiej osobie”. Domyslasz się chyba, że po tej wypowiedzi Ruby nie może mieć nadziei na zwolnienie siostry Opyer, nawet gdy ta będzie umierająca.

- Więc my odwalamy za nią całą pracę - powiedziała DeAnne.

- Posłuchaj, to praca dla Pana, musi zostać wykonana, a wykonać ją potrafimy tylko my.

- Jesteś lepsza chrześcijanka ode mnie.

- Więc co wolisz przygotować: sałatkę czy potrawkę?

- Wolalabym ciastka.

- Zapomnij o tym - powiedziała Jenny. - Nie wiesz, jak przyrządza się południowe ciastka, a nie mam czasu wyjaśnić ci tego.

- Wszystkie one wyglądają dla mnie jak sławetne Bisquicki.

- Nigdy nie wymawiaj słowa „Bisquick” między kobietami w tej gminie. Równie dobrze mogłabys naszyć szkarlatne „B” na sukni.

- W takim razie sałatka - wybrała DeAnne.

Zamiast więc odpoczywać, DeAnne sporządziła sałatkę z galaretką i wsunęła ją do lodówki, żeby się ustalała. Później, około pierwszej trzydziestej, kiedy dzieciaki powinny drzemac, DeAnne zaciągnęła Robbiego i Betsy do samochodu, po czym pojechała po Jenny i jej potomstwo. Zastanawiały się wcześniej, czyby jedna z nich nie mogła zająć się wszystkimi dziećmi, podczas gdy druga zawiezie posiłek. Doszły jednak do wniosku, że DeAnne jest w zbyt zaawansowanej ciąży, prócz tego wyczerpana walką z dziką załogą Jenny, poza tym DeAnne wpadała w popłoch, kiedy tylko jej dzieci miały przebywać w mieszkaniu Cowperów. Jednym słowem Jenny znalazła drogę, a DeAnne nie mogła znieść myśli o pozostaniu w domu. Pojechały więc razem, zabierając dzieci.

Rodzina, dla której wiozły posiłek, mieszkała daleko w glebi hrabstwa, podczas długiej drogi powrotnej wszystkie dzieci posnęły. Po cichu Jenny zapytała, co słychać u Steviego.

- Zdecydowaliśmy w końcu spróbować pod jednym z adresów, które macie od doktora Greenwalda?

- Step sprzeciwia się zabieraniu chłopca do kogoś takiego - odparła DeAnne. - Sprzeciwia się na serio. Nie kieruje się rozsądkiem. Chybaby się szybciej zgodził na to, bym z kims miała romans.

- Ach, ci mężczyźni. - Jenny pokiwała głową. - A mówią, że to my zachowujemy się irracjonalnie.

- No cóż, jest w tym jakaś część prawdy, lecz on tego nigdy nie mówi.

- Czy ma jakichś krewnych, którzy są psychiatrami?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Po prostu mój wujek handluje mieszkaniami, przez co nienawidzę wszystkich takich handlarzy. Gdy tylko widzę któregoś, sięgam po pistolet.

- Z powodu własnego wujka?

- To parszywiec nad parszywcami - powiedziała Jenny. - Nie wchodzi w szczegóły z powodu tych szkrabów z tyłu, lecz wierz mi, gdybyś tylko znalazła tego typu, głosowałabym za karą śmierci za nachalne zachowanie.

- No cóż, tak czy inaczej nie ma w rodzinie żadnych psychiatrów - rzekła DeAnne.

- Więc kiedy masz zamiar zabrać Steviego?

- Mówiłam już, Step na to nie pozwoli.

- Jesteś w domu - tłumaczyła Jenny. - Teraz, kiedy pracuje jak człowiek, a koledzy przywożą go z pracy, masz samochód. Prócz tego masz książeczkę czekową. Zabierz Steviego, a potem postaw Stepa przed faktem dokonanym.

DeAnne była przerażona.

- Naprawdę postąpiłabym podobnie ze Spike'em?

- Jesliby Spike kiedykolwiek postawił mnie w sytuacji bez wyjścia i zabronił zrobić coś, czego potrzebowałyby moje dzieci, nie wahałabym się!

- Właściwie to Step nie postawił mnie w sytuacji bez wyjścia - powątpiewała DeAnne. - Po prostu się nie dogadaliśmy, to wszystko.

- W takim razie jakiz to problem? - zdziwiła się DeAnne. - Jeśli ci tego nie zabronił, do dzieła!

DeAnne czuła się zakłopotana. Zdawało jej się, że Jenny pochodzi z obcego plemienia, w którym obowiązują odmienne zwyczaje małżeńskie.

- Jenny - powiedziała. - Step i ja nie podejmujemy żadnych kroków dotyczących dzieci bez wzajemnego porozumienia.

- Własnie to widze - odparła. - Dziecko wykrwawia sie na smierc na trawniku, ty zas rozmawiasz o tym ze Stepem przez telefon.

- No bez przesady. - Postanowila, ze lepiej juz nic nie mówic.

Po minucie Jenny przerwała cisze.

- Hej, jezeli chcesz mnie zabic, poczekaj przynajmniej, az wyprowadze dzieci z samochodu.

- Co? - zdziwila sie DeAnne.

- Jedziesz niemal szescdziesiatka, a tu jest ograniczenie do trzydziestu pieciu mil na godzine.

Miala racje. DeAnne natychmiast nacisnela hamulec i dzieci przechylily sie do przodu, wydajac przez sen mrukliwe odglosy.

- Przepraszam - powiedziala DeAnne.

- Jak chcesz, to sie na mnie wsciekaj, ale to na Stepą jesteś wsciekła i sama o tym wiesz. Nazwij to, jak chcesz, lecz on powstrzymuje cie od zrobienia czegos, co w twoim przekonaniu jest dla dziecka dobre. Niedzwiedzica, która w tobie siedzi, nie jest zadowolona, DeAnne. Poza tym jedna z tych lekarek mieszka w naszej gminie. Moze i nie jest sama czlonkiem, ale syn do nas przystal.

DeAnne szybko powiazala w mysli fakty.

- Stepowi ostatnio przydzielono towarzysza do nauczania w domach, który pasuje do tej układanki. Młody człowiek, którego matka nie należy do nas, ale odwozi syna do kościoła.

- To własnie ta - zgodzila sie Jenny. - Jest psychiatra. Dr Greenwald powiedzial mi, ze u niej najpewniej nie ma zapisów.

- A co, jest do niczego?

- Poniewaz jest kobieta - wyjasnila Jenny. - Wiekszosc mezczyzn zle znosi wizyte u terapeutki, a wiele kobiet dobrze znosi wizyty u terapeutów. Albo przypuszczą, ze tak jest - jak twierdzi dr Greenwald. To tak jak z ginekologami. Ja na przyklad nie moge zrozumiec, dlaczego kobiety wciaz chodzą na badanie do mezczyzny, kiedy juz w tym fachu spotyka sie wiele kobiet. Tak czy inaczej ma ona zwiazki z Kosciolem i jest sympatyczna. Ona predzej zrozumie.

- Zrozumie co?

Jenny rozesmiala sie.

- Widze, ze nigdy nie bylas u psychiatry. Oni sadzą, ze ludzie religijni to wariaci.

- To nieprawda - zaprzeczyla DeAnne, wspominajac od razu Sheile Redmond z Vigor. - Znalam taka jedna terapeutke, która wraz z mezem byla oddana Kosciolowi. Nie mormonskiemu, lecz z pewnoscia nie uwazala, zeby religijnosc byla wariactwem.

- Czy kiedykolwiek zdawałaś test na osobowość? Minnesota Multiphasic?

DeAnne przypominała sobie, że istotnie, raz. Lecz wspomnienie zatarło się już w pamięci.

- Pytają cię w kółko, czy wierzysz, że Bóg czasem mówi do ciebie? A przecież to cała nasza religia, no nie? Ze Bóg wciąż przemawia do istot ludzkich. I zgodnie z ich szablonami kwalifikują nas do wariatów!

Po raz pierwszy DeAnne zaczęła myśleć, że może Step ma rację. Jeśli psychiatrzy naprawdę tak się zachowują, zabranie Steviego na rozmowę z takim człowiekiem mogło oznaczać katastrofę. Jak powiedział Step, rzadko im wychodzi leczenie. A jeśli psychiatra wyperswaduje Steviemu wiare w ewangelię...

- Ja po prostu mówię - ciągnęła Jenny - że może uda ci się przekonać Stepa, gdy pozna lekarza i zaufa mu. Upewnij się zatem, że zaczniesz nauczać i spotka się z matką Lee Weeksa.

Step wrócił do domu obarczony trofeami: kopia umowy o zatrudnienie, wykluczająca Hacker Snacka i każdą pracę, jaką by wykonywał dla komputerów nie wspieranych przez Eight Bits Inc., poza tym miał zaświadczenie od Raya Keene'a, zgodnie z którym Eight Bits Inc. nie zamierzało wesprzeć IBM. Pomyslał, że DeAnne będzie zachwycona.

- Teraz mogę rzucić te prace - powiedział.

- Nie bardzo - odparła.

- Klauzula zawarta w kontrakcie z Agamemnonem mówi, że w dowolnej chwili w ciągu pierwszych sześciu miesięcy mogę wysłać im list stwierdzający, że będę programował na PC i to wystarczy. Dostajemy czek. A kiedy dostarczę Hacker Snacka na szesdziesiątceczwórke, dostajemy kolejny czek. A kiedy wręczę Hacker Snacka na peceta, dostajemy jeszcze jeden czek. Co oznacza, że przed Bożym Narodzeniem, jeśli będę ciężko pracował i dostatecznie szybko nauczę się nowego języka maszyny, całkowity nasz dochód w tym roku przekroczy pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Fajnie, jeśli ta cała kasa przyjdzie - powiedziała DeAnne. - Lecz co z chwilą obecną? Może zauważyłaś, że w lipcu dojdzie dziecko. Watpie, czy dostaniemy nową polisę ubezpieczeniową, która pokryje istniejącą już ciążę.

Step przez moment spoglądał na jej brzuch, jakby oczekując na jakiś pomysł ze strony dziecka.

- Nie wolno ci rzucać pracy przed narodzeniem się dziecka - oświadczyła. - Wygląda na to, że pierwszy czek od Agamemnona ledwo pokryje opłatę za dom w Vigor. - Wyciągnęła kartkę. - Ostrzegają nas, że mamy trzydzieści dni na uregulowanie płatności, zanim pozbawia nas możliwości dalszego splacania.

- Nie rozumiesz tego? - zapytał Step. - Jeśli teraz odejdziesz, będziemy mieć dość pieniędzy, by spłacić dom i utrzymać dodatkowe dziecko.

- Sądziś, że nie przyjrzałam się liczbom? Myślisz, że nie przeczytałam kontraktu z Agamemnonem? Ze nie przeliczyłam co do jednego centa wszystkich naszych wydatków? Jeśli teraz odejdziesz, a ciąża

przebiegnie niepomyslnie, wpadniemy w kłopoty, z których nie wygrzebiemy się nigdy. Potrzebne nam ubezpieczenie. Musimy mieć zapewnione pokrycie ewentualnych kosztów.

Z jednej strony miała racje, z drugiej nie.

- DeAnne, decyzja Raya, by nie wspierać IBM, to poważny błąd. Kiedyś się otrząśnie - a sadze, że niedługo - i ukaze się drugie oświadczenie. Jeśli chce odejść i przejść bezpośrednio do projektów dla peceta, musi to zrobić szybko. Ale jeśli Eight Bits Inc. będzie w czasie mojego odejścia wspierało IBM, będę musiał poczekać rok, nim zrobię cokolwiek prócz Hacker Snacka dla Agamemnona. A prawda jest taka, że nie możemy cały rok żyć z jednego Hacker Snacka, choćby się nie wiem jak świetnie sprzedawał.

DeAnne spoglądała w drugą stronę. Dostrzegł, że z wysiłkiem panuje nad emocjami.

- W takim razie nie wiem już, co mamy zrobić - powiedziała.

- Nawet nie stac mnie, by kupić sobie peceta, dopóki nie skorzystam z przysługującej mi w kontrakcie opcji i nie zainkasuje czeku od Agamemnona - dodał Step.

- Jeżeli stracimy dom w Indianie, konsekwencje tego zaciąga na naszej przyszłości. Przy każdym podaniu o pożyczkę będa nas pytać: Czy kiedykolwiek mieliście problem ze zwrotem pożyczki? Czy zablokowano wam kredyt?

- Nie stracimy tego domu - powiedział Step stanowczo. - Obniżymy cenę sprzedaży, co ty na to? Nawet nie weźmiemy równowartości. To jakby piętnaście tysięcy splukać w klozecie, ale...

- Więcej - sprostowała DeAnne. - Co z pieniędzmi, jakie wydaliśmy na nowe meble i klimatyzację, instalację elektryczną, okna Andersena? Szkoda, że musieliśmy się przeprowadzić! Gdybyśmy tam zostali, a ty pojechałbyś do San Francisco, kontrakt z Agamemnonem dawno już byłby podpisany, my mieszkalibyśmy w starym domu, a...

- DeAnne - przerwał jej Step. - Co nam teraz po gdybaniu? Skąd moglibyśmy wiedzieć, że Agamemnon będzie zainteresowany moją osobą, przecież napisaliśmy do niego? Poza tym, za co miałem jechać do San Francisco? Byliśmy goli.

- Wiem. Lecz czuję, jakbysmy krecili się w wirze, zasysani, trzymając się jedynie tej pracy, by nie zatonać.

- Powinnismy się trzymać jedynie mej umiejętności opracowywania gier - odparł Step. - W tym jestem dobry. Przekonałem się w Eight Bits Inc. Naprawdę dostrzegam rzeczy, których nie widzą inni programiści. Mam do tego smykałkę. Musisz mi zaufać, DeAnne, a nie czekowi od Raya Keene'a.

- Nie mów w ten sposób! - W jej oczach pokazał się ogień. - Nie śmieć nigdy mówić w ten sposób! Zaufać tobie - powierzyłam ci całe moje życie, życie moich dzieci, moja przyszłość! Nie wytykaj mi zatem, że mówiac, byś nie rzucił pracy, nim urodzi się dziecko, okazuje ci brak zaufania.

- Klóćmy się o pieniądze - powiedział Step.

- O nic się nie klóćmy - zaprzeczyła DeAnne. - Po prostu się martwimy.

- Przez jakiś czas jeszcze zatrzymam te prace. Lecz gdy tylko zaczniesz wyglądać na to, że Ray Keene ma

ochote zmienic polityke firmy, zwalnim sie bez wahania. Nawet bez wczesniejszego powiadomienia. Nie stac mnie na zrezygnowanie z Agamemnona.

- W takim razie zalatwione.

Step jednak wiedzial, ze tak nie bylo. Ray Keene nie okaze najdrobniejszym gestem, ze zamierza zmienic zdanie. Po prostu rozesle nowe oswiadczenie, oglaszajac, ze Eight Bits Inc. zaczyna wspierac PC. Nie bedzie nawet wzmianki o tym, ze kiedykolwiek bylo inaczej. Step stanie nieruchomo, wpatrujac sie w papier, czujac, jak grunt usuwa mu sie spod nog. Bede w owczas pod kontrola Dicky'ego, pomyslal Step. Na cale lata.

Niemniej czul, ze obawy DeAnne przewazaly nad jego wlasnymi. Nie odejdzie z pracy, beda sie po prostu modlic, by Ray Keene okazal sie prawdziwym glupcem.

Aby rozladowac powstale napiecie, zdecydowal sie przygotowac obiad. Danie bylo proste - pieczony tunczyk i kanapki z serem. W czasie tej lekkiej pracy DeAnne mogla polozyc sie i odpoczac. Zamiast tego jednak pozostala w kuchni i zabierala sie do krojenia kapusty na salatke. Step wiedzial, ze jej sposob na odpoczynek polega na pozostaniu z nim i rozmawianiu. Jego sposob byl dokladnie przeciwny. Potrzebowal pobyc sam w kuchni, skoncentrowac sie na biezacej pracy - przygotowaniu obiadu. W owczas sie rozluznial. Lecz DeAnne chyba wiecznie o tym zapominala. Kiedy tylko dostrzegla, ze jest spiety, zdenerwowany lub przygnebiony, starala sie uslugiwac mu, fruwac kolo niego, gawedzic, az mial ochote krzyknac: „Dasz ty mi wreszcie swiety spokój!?” Zawsze sie jednak hamowal. Teraz tez stal spokojnie przy kuchni, pozwalajac, by opowiedziala mu o wydarzeniach dnia, by sie wywnetrzyla, wiedzac, ze pozniej oderwie sie od niej, zaszedzie w swym gabinecie przed klawiatura szescdziesiatkiczwórki i bedzie kontynuowal prace nad adaptacja Hacker Snacka. Mógł sie wtedy odciac od calego swiata, podczas pracy w samotnosci odczuwal ulge.

Kiedy Step wciaz byl zajety mieszaniem tunczyka z przyprawa, rozdzwonil sie telefon. Glos nalezal do kobiety.

- Czy mówie z panem Fletcherem?

- Tak - odpowiedzial Step. - A z kim mam przyjemnosc?

- Jestem matka Lee Weeksa. Rozumiem, ze zamierza go pan gdziez wziac wieczorem?

Step byl zbity z tropu. Jeszcze nie dzwonil do Lee Weeksa. Zbyt byl zajety. Zblizal sie koniec miesiaca i musial zadzwonic do niego, jesli chcial zaliczyc w maju jakas domowa lekcje. Nawet wspomnial o tym DeAnne. Zupelnie wypadlo mu to pozniej z glowy. A juz z pewnoscia nie planowal wybierac sie na lekcje dzis wieczorem.

- Prosze dac mi sekundke - rzucil do sluchawki. - Czy moze pani chwilke poczekac?

- Oczywiscie - zgodzila sie pani Weeks.

Step zaslonil mikrofon i spojrzal na DeAnne.

- To matka mojego towarzysza w domowym nauczaniu. Sadzi, ze dzis wieczór zamierzam wybrac sie gdziez z jej synem.

- To jasne - odparla DeAnne. - Zadzwonilam do niej za ciebie. Sadtzilam, ze chcesz, abym to za ciebie

zalatwila.

- Dzis wieczór? - skrzywil sie. - Czemu nic mi o tym nie wspomnialas?

- Wlasciwie to nie rozmawialam z nikiem - sprostowala DeAnne. - Zostawilam wiadomosc na sekretarce, to wszystko. Ze chcesz pójsc z nim uczyc. Chyba nie wspomnialam, ze ma to byc dzisiaj, lecz moze cos, co powiedzialam, kazalo jej tak przypuszczac.

Step odslonil sluchawke.

- Przepraszam za opóznienie - powiedzial. - Tak. Chcialem wziac Lee z soba. Przydzielono mnie jako jego towarzysza. Zajmujemy sie odwiedzaniem mieszkam rodzin niektórych czlonków naszej gminy. Troche ich uczymy, pytajac tez, czy czegos nie potrzebuja. Jesteśmy takimi Swietymi Mikołajami, choc bez bród.

Zasmiala sie.

- W porzadku, brzmi niezle. Lecz chcialabym sie z panem zobaczyc, nim wyjdziecie. Wie pan, ze on nie prowadzi. Czasem próbuje, ale musi pan zrozumiec, ze jemu nie wolno. Nie ma prawa jazdy. Musze sie z panem spotkac.

- Nie widze przeszkód - zgodzil sie Step. - Z przyjemnoscia sie z pania spotkam, poza tym nie pozwole mu prowadzic. - Co ona sobie wyobraza, pomyslal, ze ile lat ma jej syn? Majac dziewietnascie lat, biedaczysko ciagle zasloniety byl fartuchem matki, chroniacym go przed wszystkimi, którzy przyjezdza, by zabrac go gdziekolwiek. I takie larum zrobila wokól niedopuszczania go do kierownicy.

Moze jest epileptykiem lub kims takim? A moze nie potrafi prowadzic, a jej nadopiekunczosc nie ma tu nic do rzeczy? Trzeba dac kobiecie szanse na wyjasnienie.

- O siódmej trzydziesci Lee bedzie gotowy - powiedziala pani Weeks. - Sadzi pan, ze wróci do domu o dziewiatej?

- Miedzy dziewiata a dziewiata trzydziesci - oszacowal Step. - W zadnym wypadku nie bedziemy mogli odwiedzac nikogo w póznych godzinach.

- W takim razie oczekuje spotkania.

Wytlumaczyła mu, jak dojechac, po czym sie pozegnali.

Step wrócił do swego tunczyka, mine mial posepna.

- Nastawilem sie, ze dzis na serio rusze z tym Hacker Snackiem - powiedzial. - Tego wieczoru nie mialem wcale ochoty lazic po domach.

- Przykro mi - odrzekla DeAnne. - Przemyslalam wszystko, co powiedzialam. Jestem pewna, ze brzmialo to tak: „Mój maz, Stephen Fletcher, chce umówic sie na nauczanie w domach z Lee Weeksem”. To ona zinterpretowala wiadomosc, ze chodzi o dzisiejszy wieczór.

- Nic nie szkodzi - odparl. - Wcale cie nie winilem. - DeAnne wygladala naprawde na zmartwiona.

Albo przygnębiona. Wciąż się nie uspokoiła po tej rozmowie dotyczącej zwalniania się z pracy. - Ma przyjemny głos.

- Zatem wybierasz się odwiedzić jakiś dom?

- Tak.

Zdawało się, że odetchnęła. Co znowu, czyżby martwiła się, że odchodzę od Kosciola? Dlaczego poczuła ulgę, gdy zgodził się dziś nauczać?

Nieważne.

Zapalił palnik.

- Gdy tylko salatka będzie gotowa, zrobię tosty - powiedział.

- Oczywiście - przytaknęła. - Zawołam dzieci. - Wstała ciężko od stolika i wyszła z kuchni.

Zostały jeszcze całe dwa miesiące, pomyślał Step, a jest już tak wielka, że zaczyna chodzić jak kaczka. Jak zatem będzie wyglądać pod koniec lipca?

Lee Weeks mieszkał w prostym, wiejskim domku na prowincji, otoczonym rozległym podwórkiem, zaprojektowanym i utrzymanym z pedantyczną drobiazgowością. Ktoś tu lubi zadzierac nosa, pomyślał, wjeżdżając na kolisty podjazd. Zaparkował przed frontowymi drzwiami.

Pani Weeks otworzyła drzwi. Była szczupła i Step wyobraził sobie, że na pewno uważa się za wysoka, choć oczywiście była od niego o wiele niższa. Zaprowadziła go do pokoju dziennego, gdzie przystąpiła do rozmowy; miał świadomość, że bierze go na spytki, lecz nie spodziewał się, że akurat takie informacje będzie z niego wyciągać. Zapytała, z czego utrzymuje rodzinę - standardowy amerykański szacunek statusu - potem jednak przeszła do podejrzanej wiązki zagadnień, włączając w to politykę lokalną.

Stopniowo zaczęło mu switać, że zdaje egzamin. Jaki był tego powód? Wydobyła z niego opinie, że wielorasowe miejskie szkoły powinny się zjednoczyć ze szkołami okręgowymi, do których głównie uczęszczali biali. Potem odzegnał się od Jesse Helmsa i jego rasistowskich ataków na gubernatora Hunta, przypuszczalnego rywala w następnych wyborach. W jaki sposób mogło się to wszystko wiązać z Lee Weeksem? Lecz dopiero gdy matka Lee przekonała się, że Step gorąco opowiada się za prawami człowieka, przywołała ostatecznie do pokoju swego chłopczyka.

Chłopczyka! Kiedy wmaszerował do pokoju, Step zdał sobie sprawę, że chłopczyk musi mieć przynajmniej sześć stóp pięć cali, ponieważ Step, mający sześć stóp dwa cale, patrzył prosto na podbródek Lee. Dziewiętnastcie lat, wzrost odpowiedni dla centra w NBA, a matka ciągle zakazywała mu prowadzić czy wychodzić z nieznanymi, dopóki ich wpięć nie przepytala. Faktycznie dziwne. Zwłaszcza że był naprawdę przystojnym dzieciakiem. Z pewnością wkrótce zauważy, że podoba się dziewczynom, i wyrwie się spod kurateli mamy.

Mimo to Lee był dość wesół. Kiedy w końcu wsiedli do samochodu, Lee zaniósł się śmiechem i powiedział:

- Niezłe z mamy ziółko, nie?

- Bardzo interesująca kobieta.
- Wszystkich traktuje jak pacjentów. - Lee zdawał się przepelniony z trudem powściąganą wesołością.
- Pacjentów?
- Och, ona jest lapiduchem, nie wiedziałeś? Nie czułeś się przypadkiem, jakby poddano cię analizie?
- Chyba coś takiego czułem - przyznał Step.
- Ale w ogóle jest fajna - stwierdził Lee.

Dziwne określenie własnej matki, pomyślał Step. I powiedział to z takim dystansem, jakby była dlań kimkolwiek. Nauczycielka. Szoferem.

Co prawda tym ostatnim była.

Godzina ósma minęła już dawno, więc Step nie mylił się, podejrzewając, że zdąży złożyć zaledwie jedną wizytę tego wieczoru. Step wybrał siostrę Highsmith, starszą wdowę, gdyż prawdopodobnie ugości ich z przyjemnością i nie namiesza aż tak, by pomyśl podobnych odwiedzin wydał się Lee bezsensowny. Po drodze do jej domu Step w skrócie objasnił, na czym polega całe nauczanie.

- Ach, więc nie dajemy, że tak powiem, lekcji? - spytał Lee.
- Zaledwie przesłanie. Bardzo zwieźle. Potem nam się zwierza, a my pozwalamy jej się wygadać. Od dwudziestu lat jest wdowa i lubi sobie pogadać. Niewiele ma towarzystwa, więc każdy gość ma czego słuchać. Ale o to chodzi - między innymi dlatego przychodzimy. By umocnić ją w przekonaniu, że ciągle coś łączy ją z Kościołem. I z życiem.
- Zdawało mi się, że mówiles, że to twoja pierwsza wizyta u niej.
- To prawda. Jeszcze nigdy nie spotkałem tej siostry. A przynajmniej nie przypominam tego sobie.
- Więc skąd masz tyle informacji o niej? - spytał Lee.
- Jeszcze o niej niczego nie wiem.
- Od dwudziestu lat jest wdowa, samotna, gaduła...
- Ach, to? To wszystko wiedział o niej przewodniczący zgromadzenia starszych. To znaczy, że już wcześniej odwiedzali ją domowi nauczyciele.
- Więc składamy raporty na temat tych ludzi?
- Człowieku, sugerujesz, że szpiegujemy, czy co? - zaśmiał się Step.

Lee się nie śmiał.

- Lee, to nie tak. Nie podpatrujemy nikogo. Ludzie mówią nam to, co chcą powiedzieć. Większość z tego to bzdury, które się opowiada koleżdze. Poza tym rozmawiamy tylko wtedy, gdy Kościół musi się

wlaczyc. Jak na przykład ta jedna rodzina w Vigor, w Indianie. Ojciec był kierowca ciężarówki, ale złamał nogę, grając w futbol. Nie byli nawet praktykujący, lecz byłem ich domowym nauczycielem, poszedłem do ich mieszkania i matka zalała mnie potokiem słów, jak to nie mają żadnych pieniędzy, ubezpieczenia, żadnej pomocy. Owszem, miała pracę, ale jak wyznała, placono jej jak kobiecie, nie potrafili więc związać końca z końcem. Nie mieli nawet co jeść, dopóki nie dostała pieniędzy w poniedziałek. Zaprosiłem ich na obiad do domu. A potem załatwiłem im stałych nauczycieli i wszyscy razem poszliśmy do sklepu, gdzie zrobiliśmy zakupy na tydzień, które podrzuciliśmy im do domu.

- Och - powiedział Lee.

- Nikomu w gminie nie wspominalismy o tym, z wyjątkiem biskupa, który skontaktował się z nimi w sprawie doraznej pomocy, ale wszystko odbyło się dyskretnie. Dowiadujesz się, czego im potrzeba, żeby tego dostarczyć. Jeśli to nazywa się szpiegowaniem, chciałbym, aby w moim życiu było więcej szpiegów. - Ostatnie zdanie Stepa nie traciło gorzkiej ironii, przypuszczalnie wyznaczono kogoś, by odwiedził i jego rodzinę, nikt się jednak nie pokazał. Domowe nauczanie to wspaniały pomysł, lecz niezbyt powszechny, czasami sprowadzający się do okazyjnej wizyty, półgodzinnej częściej pogawędki, zakończonej słowami: „No cóż, dajcie znać, jeśli będzie wam czegoś potrzebować”. Później goście znikali na miesiąc. Lee nie powinien o tym jeszcze wiedzieć. Dlaczego nie miałby myśleć, że mormoni traktują domowe nauczanie z powagą, dbając jeden o drugiego? Jeszcze przyjdzie czas, że urok przysnie, a w tym czasie Lee może nauczyć się postępować prawidłowo.

Kiedy przybyli pod budynek, w którym mieściło się mieszkanie siostry Highsmith, pozostali jeszcze przez chwilę w aucie, odmawiając krótką modlitwę pod przewodnictwem Stepa. Pomóż nam zorientować się, czego potrzebuje, i daj jej to; pozwól jej poznać, że może na nas polegać - ten rodzaj modlitwy. Na koniec podeszli do drzwi i zapukali.

Cała wieczność minęła, nim wreszcie podeszła, by otworzyć, lecz kiedy to się stało, zdało się im, że oczekuje wizyty pary królewskiej. Ubrana wykwintnie, śnieżnobiałe włosy wyglądały tak, jakby dopiero co opuściła salon piękności. Była grzeczna i elegancka, taki też był cały jej dom, choć na gust Stepa trochę zbyt wymuskany. Dom babci, pomyślał, dom babci, której wnuki nigdy nie odwiedzają, tak że nie trzeba niczego chować przed dziećmi.

Mimo to Step zauważył obrazki dzieci, więc skorzystał z okazji, aby o nie zapytać, i kwadrans upłynął na opowiadaniu, jakie są cudowne, tyle że rodzice nie traktują poważnie ewangelii, przez co dzieci są czasem nazbyt rozbrykane, wszystkie z wyjątkiem najstarszej dziewczynki syna, która jest dość poważną osobką i raz na miesiąc pisuje do babci list, bez żadnego nacisku ze strony rodziców, co jest miłą rzeczą w tym wieku, kiedy dzieci nie czują respektu.

Kiedy temat się rozwijał - to znaczy w chwili, gdy siostra Highsmith zaczęła wypytywać Stepa o jego rodzinę - odpowiedział jej zdawkowo i natychmiast skomentował brak w jej głosie południowego akcentu. I znowu piętnaście minut upłynęło na szerokich i barwnych opisach jej podróży, jak to wraz z Nickiem blakala się tu i ówdzie, nim ostatecznie zrezygnował ze służby w wojsku i osiedlił się w Steuben. Zmarł dokładnie w rok po tym, jak przeszedł na emeryturę, a przed śmiercią zainwestował większość z tego, co uskładali, i cały jej spadek w licencje na prowadzenie restauracji szybkiej obsługi. Później okazało się, że „Der Wienerschnitzel” nie cieszy się aż taką popularnością w Steuben. Południowa kuchnia wyglądała trochę inaczej - polapali się poniewczasie. Południowcy gardzili musztardą, cebulą i hot dogami. Preferowali chilli, salatkę z kapusty i miejsce do swobodnego gawędzenia. Nie mieli zamiaru płacić w tym celu cen „Der Wienerschnitzel”. Interes podupadł i choć straciła wszystkie pieniądze, nie rozpaczala, gdyż oprócz zabezpieczenia socjalnego otrzymywała pokazną pensję. Jej życie z Nickiem było dobre; jeśliby żył, jeszcze ten interes mógłby się rozkrecić, była tego pewna. Teraz już tylko czekała, by Pan uznał za stosowne zabrać ją do niebieskiego domu, gdzie znów byłaby z Nickiem.

- Naprawdę myślisz, że jest w niebie? - zapytał Lee.

Były to pierwsze słowa w przybytku siostry Highsmith, jakie wymówił od chwili powitania na wstępie. Pytanie przez moment zawisło w powietrzu, gdyż siostra Highsmith zdecydowała, czy przypadkiem nie podważa jej twierdzenia o prawości meza.

- Brat Weeks jest u nas nowy w Kościele - pośpieszył z wyjaśnieniem Step. - Watpie, żeby sugerował, że twój maz nie przebywa w niebie, myślę, że zadał czysto doktrynalne pytanie.

- O, tak - zgodził się Lee. - Nie myślałem o tym w ten drugi sposób, nie, oczywiście jest w niebie! To znaczy, nawet ludzie sprzedający hamburgery mają wstęp do nieba, no nie? - Rozesmiał się, a Step i siostra Highsmith zasmiali się grzecznie wraz z nim, choć Step w tym czasie myślał: Okej, zabierzcie stąd tego chłopca. Najwidoczniej mamuska nie dała synkowi zbyt wielu okazji, by dowiedział się, co się mówi, a czego nie, z czego można żartować, a co lepiej przemilczeć.

- Pytałem mianowicie - ciągnął Lee - czy sadzisz, że twój maz jest bogiem.

Step skulił się w środku. Co państwo LeSueur wpoili w tego chłopaka? Step czuł wstret do sposobu, w jaki niektórzy mormoni bawili się ideą boskości, jakby stanowiła ona pierwszą nagrodę na zabawie jarmarcznej, a naprawdę dobrzy mormoni mogli przynieść ją do domu pod postacią gigantycznego wypchanego misia.

- To znaczy właśnie to przyciągnęło mnie do mormonów - tłumaczył Lee. - Pomysł, że istoty ludzkie mogą przeistoczyć się w bogów. Zawsze czułem podobnie. A potem oglądałem ten film, na którym pokazano, w co wy, mormoni, wierzycie, zadzwoniłem zatem do kościoła w mieście i misjonarze natychmiast się zjawili.

- Jaki film masz na myśli? - spytał Step. - Czy aby nie przypadkiem „The Godmakers”?

- Tak, dokładnie ten - odparł Lee.

- To przecież antymormonski film - rzekł Step. - Wypacza nasza doktrynę poza dopuszczalne normy. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie, siostra Highsmith nie wierzy, by jej maz był bogiem. Jest człowiekiem, dobrym człowiekiem - mam rację, siostrze Highsmith?

- Człowiekiem najlepszego rodzaju - przytaknęła. - Nim przeszedł na emeryturę, został pułkownikiem.

- Tak - powiedział Step. - A teraz duch opuścił jego ciało, by żyć z tymi członkami rodziny, którzy zmarli wcześniej od niego. Lecz zrozum, Lee, że bycie dostatecznie świętym i doskonałym, by mieć pełny udział w dziele bożym, to rzadki przypadek, a kiedy już do tego dochodzi, to po długim rozwoju i długim życiu po śmierci, większość ludzi nie wspina się na tak wysoki szczebel. To się trochę różni od awansu na pułkownika. - Następnie, aby pomóc Lee zrozumieć, że dyskusja powinna się zakończyć w tym miejscu, dodał: - Ale tematem naszych dysput rzadko jest doktryna. - No chyba że nie mamy w sobie poczucia proporcji. Na miłość boską, my nawet nie rozumiemy, co Joseph Smith miał na myśli! Lepiej już skoncentrować się na miłości do sąsiadów, chronieniu swojego życia i życia wszystkich dokoła przed zamowaniem, zamiast zagłębiać się w tajemnicze doktryny.

Najwidoczniej tajemnicze doktryny były wszystkim, o czym w tej chwili Lee chciał rozmawiać.

- Nie przestaje myśleć o zostaniu bogiem - powiedział. - Myślę, że fajnie by było wymyślić planety i

tym podobne rzeczy. Z pewnością wykonałbym lepsze dzieło niż ten świat.

Siostra Highsmith zbladła, Step wiedział, że nie będzie miała nic przeciwko temu, by wyprowadził teraz Lee z jej domu.

- No cóż - odezwał się Step - niezmiernie miło było pania poznać, siostrze Highsmith. Czy możemy pomodlić się krótko, zanim wyjdziemy?

- Och, czy musicie już iść? - zapytała.

Step skulił się powtórnie, czekając na obligatoryjne słowa w stylu „Nie idźcie, poczekajcie chwilę, jeszcze nie jest późno”.

Lecz nic takiego nie zostało powiedziane.

- Trudno, ale i tak wielce uprzejmie z waszej strony, że wstapiliście do mnie. I będę szczęśliwa, jeśli ty wymówisz modlitwę, bracie Fletcher.

No tak, Lee naprawdę napiętnował ten wieczór aurą obcości. Siostra Highsmith zadowolona była, że już sobie idą - niezbyt udane zakończenie wieczoru.

W samochodzie Lee zdawał się nieswiadomy faktu, że powiedział coś nie tak.

- Fajnie było - rzekł zamiast tego - pogadać sobie o rzeczach, które od lat trzymałem w tajemnicy. To najlepsza sprawa, jeśli chodzi o mormonów: mogę wyznaczyć moje sekretne myśli i ludzie zrozumieją. Nie jak mama, nie mogę pisać jej słówka, bo przeanalizuje mnie na śmierć.

Mogę to zrozumieć, pomyślał Step, jeżeli zbyt wiele gadasz o zostaniu bogiem. I to jeszcze z psychologiem, a niech to!

- Czuję to, no wiesz, w środku - powiedział Lee. - Cały czas. Czasami nawet słyszę głos. I wiem, że to głos Boga, to obecność Boga, zupełnie tak jak mówiła mi siostra LeSueur. Powiedziała, że ma na mój temat wizję, że noszę w sobie nasienie boskości, że czekam tylko na to, by ewangelia wydobyła je ze mnie. Czasami wyobrazam sobie, że gdybym tylko mógł zedrzeć całą słabość tego ciała, które niczym kotwica trzyma mnie przy ziemi, mógłbym popłynąć. I nie mam tu wcale na myśli niezgrabnego machania skrzydełkami, jak wróbel czy inny ptak, ale szybowanie w stronę gwiazd, z planety na planetę. Czasem tak się czuję. To znaczy, czasem wydaje mi się, jakbym już tego dokonał, jakbym wczoraj był na innej planecie, podobnej do tej, tyle że tamta nie była tak rzeczywista; ta jest rzeczywista, tamta była jakas imitacja, a teraz po raz pierwszy dostrzegam, co znaczy realność, co znaczy życie; myślę sobie, że nikt tego nie dostrzega, jestem jedynym, który to widzi, gdyż Bóg wewnątrz mnie otworzył mi oczy. To znaczy, każdy widzi to co ja, lecz nie widzi tego naprawdę. Widzą i nie widzą, mogą i nie...

Zaczynał mówić, jakby w napadzie szalenstwa, jakby właściwe słowo leżało w zasięgu ręki, lecz nie mógł go namacać. Zatem Step zaoferował się zakończyć te niemożliwa myśl.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy postrzegają tylko oczami, lecz ty dostrzegasz?

- Cała moja dusza - potwierdził Lee. - Tak, nie inaczej! To musi być Duch Boży, łączący nasze ogniwa, tak że wiesz, co mówię, nawet zanim to wypowiem!

Brat Freebody powinien był trochę wyraźniej ostrzec Step'a, zamiast mówić tylko, że Lee Weeks

kieruje się ku nieco dziwnym ideom dotyczącym doktryny. A może Lee nie zachowywał się w tak ekstremalny sposób, kiedy Freebody z nim rozmawiał. Może wreszcie Freebody nie wierzył w to, co słyszy, kiedy Lee snuł swą opowieść.

- Czasami zaś sadzę, że jestem jedyną realną osobą na świecie. Bez obrazy - Lee dodał szybko.

- To nie jest wcale takie odosobnione odczucie - powiedział Step. - Zwie się to solipsyzm. Pogląd, zgodnie z którym wszystko jest nierealne poza tobą.

- O, nie, ja nie mówię tu o zwyczajnym odczuciu, którego każdy może doznać. Mam na myśli, że Bóg widzi mnie i rozpoznaje, jako pokrewnego ducha, jako zaginionego bliźniaka. Nikt prócz mnie tak nie myśli. Tylko nie mogę podzielić się tą myślą z nikim oprócz mormonów, gdyż jedynie wy rozumiecie! Wiecie o takich rzeczach od dawna.

Cierpliwie Step próbował wyjaśnić fakt, że ewangelia Jezusa Chrystusa mówi głównie o tym, jak należy traktować bliźnich, nie zaś o przekształcaniu się w najpotężniejszą istotę we wszechświecie i zrównaniu się imieniem z samym Bogiem. To dobre dla tych swirów z telewizji, którzy opowiadają o Jezusie, jakby ten był ich dobrym kumpem ze szkoły średniej. Lee słuchał z uwagą wszystkiego, co Step miał do powiedzenia, kiwając z rozmysłem głową i zgadzając się z każdym słowem. Step był przekonany, że Lee nie dostrzega sedna wykładu, jakiego mu udziela.

Kiedy przybyli do domu Lee Weeksa, jego matka czekała już w progu. Skrupulatnie taksowała ich spojrzeniem, kiedy wychodzili z samochodu, a gdy Step podszedł do domu, promieniała. Dopiero na werandzie przyszło Stepowi na myśl, że nie ma powodu, by odprowadzać Lee do drzwi. Tak właśnie postępował w przypadku trzynastoletnich opiekunów do dzieci, by upewnić się, że wrócili bezpiecznie do domu. Towarzyszy domowego nauczania, starszych niż osiemnacie lat, wypuszcza się po prostu z auta. Z jakiegoś jednak powodu wydało się Stepowi konieczne, by podejść aż do drzwi.

- Proszę do środka - powiedziała ciepło. Całe jej zachowanie było teraz odmienne. Znowu mówiła podobnie, jak przez telefon. Cóż takiego wydarzyło się od godziny ósmej?

- Nie mogę zostać - odparł Step. - Muszę wracać do domu. Rzadko mam sposobność przebywać z rodziną.

- Ach, rozumiem - powiedziała, sprawiając wrażenie rozczarowanej. - Może innym razem.

- No cóż, najprawdopodobniej będziemy się widywali dwa razy w miesiącu. Mamy przydzielone cztery rodziny, które odwiedzamy co miesiąc.

Uniosła brwi, lecz zdawała się zadowolona.

- Jak miło - powiedziała. - Jakże przyjacielski Kościół tu macie.

- Tak przypuszczam - odparł Step, myśląc, jak ta przyjacielskość bywa czasem nuzaca.

- Jak spisał się Lee? - zapytała.

Lee stał tuż obok. Było to dość obraźliwe, by pytać o niego, jakby bawił się zabawkami w sąsiednim pokoju, gdy tymczasem był już dorosłym mężczyzną, stojącym nieopodal. Mimo to Lee się uśmiechał. Zdawał się oczekiwać na pochlebną recenzję, taką więc otrzymał.

- Lee był wspaniały. Przemawiał bez ogródek i wizyta się udała.

Nie zachodziła potrzeba objaśniania mamusce, że Lee nieco sfiksował na punkcie doktryny. Aby to wyjaśnić, musiałby wyjaśnić założenia doktryny, która zawsze brzmiała trochę dziwacznie w uszach laików. A może powinna, tak czy inaczej - sposób, w jaki podszedł do niej Lee, nie był całkiem naturalny, był błędny. Trzeba dorosnąć, by ją pojąć, a rzecz jasna Lee ani nie dorósł, ani nie pojął.

Lecz będzie miał na to jeszcze mnóstwo czasu, jeśli pozostanie w Kościele. Wielu ludzi przychodzi do Kościoła, interpretując błędnie ewangelie - niezależnie, jak zdolni byli misjonarze, ludzie przejawiali tendencje do przesiewania poglądów przez sito własnych przemyśleń, z czego zawsze rodziło się coś trochę odchyłonego od normy, czasem zaś dużo więcej niż trochę. Jeśli mimo to nie zniechęcali się, rozumiejąc w końcu, że prawidłowe opinie dotyczące doktryny nawet w przybliżeniu nie są tak ważne, jak nauka niesienia pomocy innym ludziom, przyjmowania i spełniania odpowiedzialnych zadań, z czasem trochę zmieniali zapatrywania, przynajmniej w takiej mierze, by nie martwić się tym, że większość mormonów widzi świat inaczej.

Ludzie spoza kregu mormonów dostrzegali w nich automaty wypełniające wolę charyzmatycznego proroka, podobnie jak zwolennicy Jima Jonesa słuchali go w Gujanie. Rzeczywistość była jednak zgoła inna - uparte, samowolne jednostki, podążające każda w swoją stronę, biskupi i inni przewodnicy gmin z ledwością utrzymujący stado w jednym kawalku, tolerujący szeroki zakres doktrynalnych odstępstw, byle tylko ludzie akceptowali przydzielane im zadania i nie zawadzili. Nawet znalazło się miejsce dla Lee Weeksa, który zdawał się opanowany przesadzoną świadomością swego boskiego potencjału; zważywszy na fakt, że w gminie działała taka osoba jak Dolores LeSueur, aspiracje Lee nie były czymś wyjątkowym.

- Taka jestem szczęśliwa - powiedziała mamuska. Stepowi ulżyło na widok uśmiechu pani Weeks.

Zaraz, zaraz, przecież to jest dr Weeks, czyż nie?

- Lee twierdzi, że jest pani psychologiem - rzekł Step. W pewnym stopniu myślał, że ta kobieta jest psychologiem, wydawała mu się bardzo ważna. Nagle uswiadomił sobie dlaczego - Stevie. Stevie i pomyślał DeAnne, co powinni dla niego zrobić. Nagle Step spojrział na dr Weeks nieco inaczej.

- Nie psychologiem - mówiła. - Psychiatra. Tytuł wiele nie znaczy - zaledwie kilka lat nauki, potem praktyki i specjalizacji - zachichotała.

- Przepraszam - rzekł Step. Chciał już dodać: „Lee właściwie powiedział, że jest pani lapiduchem”, lecz zmitygował się; przecież możliwe, że to właśnie ona wyrwie Steviego z towarzystwa Jacka i Scotty’ego.

- Och, przywykłam już do tego, że ludzie mylą różne galezie naszego fachu - powiedziała dr Weeks. - Nazywają mnie też psychoanalitykiem, co oczywiście też jest niewłaściwe. W ogóle to więcej tu z kapłanstwa niż z fachu.

Mówiła lekkim, zabawnym tonem, lecz Step wziął jej słowa za dobrą monetę. Polubił tę kobietę, tego lapiducha.

- W takim razie - pożegnał się - do następnego razu, okej?

- Jasne! - odpowiedział Lee.

Kiedy Step wrócił do domu, DeAnne krzotała się w kuchni, czekając na jego przybycie. Wszystko

Isniło czystoscia, a ona czytała książkę. Powieść Anne Tyler, która kupił jej ponad miesiąc temu.

- Dopiero tu jesteś? - zapytał.

- No wiesz, zaczęłam ja wtedy, kiedy mi ją dałeś - powiedziała. - Lecz później odłożyłam na jakiś czas, zniechęcona.

- Lecz znów się zapaliła?

Skrzywiła się.

- Jeden z bohaterów źle wyraził się na początku. Starsza kobieta leży w łóżku, przypuszczalnie umiera, cały czas zalując, że jej dzieci nie miały zastępczego ojca, zamiast tylko matki. Mąż odszedł z inną.

- I to cię tak wkurzyło?

- To nie, ale fakt, że zdecydowała się na drugie i trzecie dziecko dokładnie z tego powodu. Tak by mogła mieć zapasowe. Kiedy pierwsze niemal umarło na dławicę. Myślałam, że to najohydniejsza myśl, by mieć późniejsze dzieci tylko po to, by służyły jako zapas na wypadek straty młodszych.

- Nie jest to aż tak ohydne - zaprzeczył Step. - Ludzie myśleli podobnie od tysiący lat. Znajdziesz to w Przypowieściach o mężczyźnie mającym wielu synów: Błogosławiony ten, który ma pełen kolczan, czy coś w tym rodzaju.

- Kolczan - zauważyła DeAnne. - Jakże falliczne.

- W rzeczywistości to strzała jest falliczna.

- Tak czy inaczej - DeAnne wróciła do tematu - po prostu nie mogłam uwierzyć, że Tyler naprawdę jest tego zdania. Zatem powtórnie przeczytałam początek i zdałam sobie sprawę, że to bohaterka tak sądzi, nie sama autorka. Dodatkowo bohaterka rozumiała, że każde dziecko stanowi niewymienialną jednostkę, nie zaś część zamienną na wypadek zuzycia się wcześniejszej.

- Więc teraz już możesz czytać.

- Kto by miał na to czas? Pomyslałam sobie jednak, że sprawdzę jeszcze raz, czy lubię ją dostatecznie, by zabrać powieść do szpitala.

- Do końca lipca zostały ci dwa miesiące.

- Wole zaplanować wszystko z wyprzedzeniem. Co będzie, gdy przypadkowo utknie tam z magazynem „People”?

- Jeśli chcesz, przyniosę ci „Enquirer”, kiedy tylko urodzi się dziecko.

- Sądziłam, że masz już dość mojego rzygania.

Prawda jest taka, że tym razem niewiele wymiotowała. Najlepszy okres pod względem porannych dolegliwości ze wszystkich dotychczasowych ciąży. Może to i dobry znak? Może kolejne dziecko nie przysporzy żadnych kłopotów? Może Step nie będzie zmuszony leżeć koło jego łóżeczka przez pierwsze trzy lata, mruzcąc w kółko „Włazł kotek na plotek”. Może to nie będzie się budzić z krzykiem na

wspomnienie koszmaru. Moze nie bedzie regularnie próbowalo walnac brata czy siostre w glowe czymś ciezkiem.

Wtedy przyszlo Stepowi do glowy, ze DeAnne nie dlatego siedzi przy kuchennym stole, by czytac ksiazke - równie dobrze mogla ja czytac w łozku. Czekala, by porozmawiac z nim w drugim koncu domu, z dala od dzieciaków.

- O co chodzi? - zapytal.

- Nic - odpowiedziala. - Jak poszlo?

- Fajnie. Lee jest troche dziwny, lecz siostra Highsmith byla w porzadku. Przyjemna starsza pani, lubiaca pogadac, a z drugiej strony wcale przy tym nie nudzi, wiec bylo okej. Niewiele tez kłopotów i biadolenia. Wikszosc z tego, co mówi, to przechwalki na temat zmarlego meza, cudownych dzieci, a nawet jeszcze cudowniejszych wnuków, na które ich glupi rodzice chuchaja i gloszcza, psujac je tym samym.

- Sdzilam, ze jej dzieci sa cudowne.

- Tylko jako dzieci - odparl z przekasem Step. - Teraz, kiedy sa rodzicami, stali sie tez glupi. Hej, z naszymi rodzicami tez tak bylo, no nie? I z nami tez jest podobnie.

- Naprawde jestesmy glupimi rodzicami, Step?

- Z definicji. Bylem swietnym rodzicem, póki nie przyszedl na swiat Robbie. Wówczas wszystko, czego nauczylem sie o rodzicielstwie, ulecialo oknem. Robbie różnil sie od Stewiego pod kazdym wzgledem, wiec wszystko, co pasowalo do Stewiego, przestalo pasowac do Robbiego. Sadze, ze tak wlasnie rozwija sie syndrom drugiego dziecka. No wiesz, mile, zgodne pierwsze dziecko, buntownicze i zajadle drugie. Pierwsze dziecko wychowali ufni rodzice. Drugie wychowywali rodzice bedacy nerwowymi wrakami, próbujacy stosowac metody sprawdzone przy pierwszym dziecku. Nie dziwota, ze drugie dzieci chca spedzac wiekszosc okresu dorastania, wrzeszczac na rodziców.

- Biedny Robbie. A jak wytłumaczysz temperament Elizabeth?

- Nie przeanalizowalem jeszcze syndromu trzeciego dziecka - odrzekl Step. - Daj mi troche czasu. Ona wciaz jest bardzo mala.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu.

- Spotkales sie z matka Lee? - zapytala w koncu.

- No pewnie - potwierdzil Step. - Chyba to bylo nieuniknione. Broni Lee niczym tygryska. Czulem sie jak na rozmowie kwalifikacyjnej w sprawie pracy, nim wreszcie zgodzila sie przywolac Lee do pokoju.

- Moge zrozumiec, co to opiekunczosc.

- No tak, szczególnie jesli chodzi o Lee. Chlopak ma wypaczone pojecie na temat mormonizmu.

- Naprawde?

- On nie tylko nie moze sie doczekac, by Bóg pozwolil mu udac sie na spoczynek, by dopiero wtedy

przystąpić do działania, o jakim mówiła mu siostra LeSueur. On wręcz sądzi, że sam jest Bogiem, a przynajmniej jakimś bogiem, uważa więc, że mormonizm jest fajny, gdyż my wydajemy mu się jedynymi ludźmi, którzy dopuszczają myśl, że możliwe jest istnienie takiej boskiej osoby jak on.

- Przedziwne - powiedziała DeAnne.

- Jest jeszcze młody. Młodzi ludzie fantazjują na różne tematy. - Step rozmyślał o swojej młodzieńczej myśli, że zostanie kiedyś prezydentem lub sławnym generałem-zdobywcą, jak Fryderyk Wielki. Albo też lekarzem, odkrywca lekarstwa na raka. Lecz teraz, kiedy te słowa przechodziły przez jego usta, pomyślał natychmiast o Steviem. O fantazjach Steviiego. Nie mających nic wspólnego z megalomanią. Dotyczących przyjaciół, to wszystko. Dwóch przyjaciół. Czy to czyni z niego wariata? Jeśli już mowa o czymkolwiek dziecku, to Lee właśnie był wariatem. A jego matka - psychiatra, na miłość boską!

- Jest także lapiduchem - powiedział Step, podając za jedną z własnych myśli, a nie wątkiem konwersacji.

- Kto taki? - spytała DeAnne.

- Matka Lee - odparł. - Jest lapiduchem. Tak ja właśnie nazwał. Powiedział: „Ona jest lapiduchem. Ale w ogóle jest fajna”.

- Miło mi to słyszeć.

- Nie, to znaczy, on tak powiedział. Że jest fajna, w ogóle. Jakby bycie fajnym oznaczało zaprzeczenie bycia lapiduchem.

- Tak więc teraz już znamy jakiegoś psychiatrę - podsumowała DeAnne.

- No, nie jesteśmy jeszcze bliskimi przyjaciółmi.

- Ale przynajmniej nie posłamy Steviiego do obcej osoby.

Nagle go oświeciło. DeAnne bardzo dobrze wiedziała, że dr Weeks jest psychiatrą. Jednak nie na tym kończyła się sprawa. DeAnne uknuła to spotkanie, nakłoniła go do podjęcia się tego kościelnego zadania, czego nie czyniła nigdy przedtem, a wszystko po to, by spotkał się z psychiatrą. W rzeczywistości dr Weeks był jednym z trzech lekarzy, których nazwiska zapisał jej pediatra Jenny. Nie może być aż tylu lapiduchów w mieście. DeAnne manipulowała nim. To wywołało u niego mdłości i gniew. Chciał powiedzieć coś naprawdę okrutnego i wyjść z kuchni.

Zamiast tego po prostu siedział, rozmyślając. Co ona faktycznie zrobiła? Najnormalniej w świecie pomogła mu zająć się nareszcie domowym nauczaniem. Po prostu stworzyła okoliczności, by mógł się spotkać z psychiatrą. Cóż w tym złego?

Nic mi nie powiedziała, o to właśnie chodzi. Wmanewrowała mnie, zamiast przekonać.

Lecz Step nie pozostawił jej wiele nadziei na to, że zmieni swe nastawienie. Zatem jeśli naprawdę myślała poważnie, by pomóc Steviemu, mogła dojść do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Więc nie chodzi o to, że ona manipulowała. Nie - czuje gniew i mdłości ze wstydu, iż jest mężem, którego żona musi uciekać się do podobnych praktyk, by uzyskać to, co w jej mniemaniu jest potrzebne dziecku.

Chyba jestem w jej opinii naprawdę okropnym ojcem, że musi robić ze mnie balona. Niczym żona

olbrzymia z bajki, która robiła, co mogła, by uratować życie malej istotki, usuwając ją z drogi okrutnego, obrzydliwego meza tyrana.

Kiedy cisza trwała za długo, powiedział:

- Mogłabys poszukać numeru telefonu do jej gabinetu i umówić Steviego na wizytę? Jeśli przyjmuje dzieci.

- Sądziś, że mu pomoże?

Nie, pomyślał Step. Niewiele więcej wiem teraz o psychiatrach niż parę godzin temu. A nawet mniej, gdyż ona jest tak opiekuncza w stosunku do własnego syna. Traktuje go ciągle jak dziecko. Nic dziwnego, że fantazjuje o potędzie, kiedy ona tuli go do swojego fartuszka, jakby nawet nie potrafił zapiąć po siusianiu rozporka. Cóż może poradzić mojemu synowi, kiedy jej własnym jest Lee Weeks?

To nie było fair. To, że nie dostrzegała problemów własnej rodziny, nie oznacza wcale, iż problemy innych też widziała przez mgłę. Będąc przewodniczącym zgromadzenia starszych, Step dostrzegał w życiu innych osób wszystkie rzeczy wyraźnie, lecz jego własne sprawy pozostawały ciągle w mroku.

- Niewykluczone - odparł. - Równie dobra szansa, jak każda inna. I jak już powiedziałas, znamy ją.

- Ty ją znasz - sprostowała DeAnne.

- Tak czy inaczej, umów się na spotkanie. Potem zastanowimy się, jak wytłumaczyć Steviemu, że uważamy go za czubka.

- Najlepiej będzie, jeśli nie nazwiesz jej w jego obecności lapiduchem.

Ach, widzę, że już wszystko przemyślałaś, to pewne.

- W takim razie nie nazywaj jej też psychiatra. Mów na nią terapeutka.

- Dlaczego nie? Psychiatra jest doktorem, terapeuta zaś nie. Sheila jest terapeutka.

- We współczesnej kulturze amerykańskiej - powiedział Step - skoro idziesz to psychiatry, oznacza to, że zbzikowałaś. Lecz kiedy idziesz do terapeuty, jesteś bogaty i wytwornie rozstrojony.

- Nie cierpie, kiedy odnosisz się do tej swojej „współczesnej kultury amerykańskiej”.

A ja nie cierpie, kiedy traktujesz mnie jak marionetkę, którą można kierować w dowolny sposób. Dotychczas nie wiedziałem jak bardzo tego nie cierpie, gdyż nie zachowywałas się podobnie.

- Zrobić ci może coś do jedzenia? - zaproponowała DeAnne.

- Zdażyłem już przytyć jakieś piętnaście funtów, pracując w Eight Bits Inc. - odparł Step. - Automaty z balonikami zabijają mnie. Ostatnia rzecz, której potrzebuje, ma na imię przekaska.

- Tak tylko zapytałam. Coś cie trapi?

Tak.

- Nie, jestem po prostu wykończony. Nie planowałem na dzisiaj chodzenia po domach.

- Przykro mi. Powiedziałam ci, nie miałam zamiaru ustawić tego na dzisiejszy wieczór, pomyślałam jedynie, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, bym spróbowała skontaktować się z twoim towarzyszem. Idziesz do łóżka?

- Chyba tak - odpowiedział. - Czy jest coś dobrego w telewizji w czwartek wieczór?

- Mamy czterdzieści programów.

- No tak. Lecz trzydzieści trzy z nich to klony Jimmy'ego Staggarta, próbujące uleczyć hemofilików hemoglobina Duchą Świętego. A może to był Ernest Ainglee?

- Chodzi o tego ostrzyżonego na lyso faceta z dziwnymi oczami - powiedziała DeAnne. - Lepiej nie siedź za długo przed telewizorem. Rano idziesz do pracy, wiesz o tym.

DeAnne wyszła i nie dostrzegła, jak Step stezał po tych słowach. Tak, rano do pracy. Musze iść do pracy, ale wcale nie musze pracować. Mógłbym jutro wejść i spokojnie wręczyć wypowiedzenie, przy okazji mówiąc Rayowi, gdzie może sobie włożyć swojego Dicky'ego. Mógłbym pozwolić, by mnie wylali, i zgarnąć bezrobocie. Lecz nie, bo ty nie pozwolisz mi się wyrwać spod obcasa Dicky'ego, gdyż nie ufasz mi, że zdołam zarobić na dziecko, nie ufasz mi nawet na tyle, by rozsądnie ze mną porozmawiać na temat znalezienia psychiatry dla Steviego. Musiałas mnie wyrolować.

Step nie mógł znieść wściekłości, jaką czuł w stosunku do osoby, którą kochał najbardziej. Nie była to tęskna miłość młodzieńczego romansu, raczej taki jej rodzaj, który pozwalał mu odbierać ją jako integralną część siebie samego. Skutkiem czego nie wyobrażał sobie przyszłości bez niej. Dziki gniew na nią był straszny.

Podszedł do kranu, by napić się wody. Czy tak się właśnie zaczyna rozwód? Uczucie nienasyconej wściekłości, zdrady, nagłego odkrycia, iż małżeństwo być może nie jest tak realne, uczciwe i silne, jak uprzednio sądziłeś? Uczucie narasta, narasta, narasta i nagle znajdujesz się w innym mieszkaniu, a dzieci widujesz tylko w weekendy.

Nie, powiedział w duchu. Nie, zabraniam. Nie pozwolę, żeby tak się stało, ona też nie. Musze po prostu popracować nad tym, aby być mężem, którym nie trzeba manipulować. Boże, pomóż mi być tym, czym ona chce, żebyśmy jakos przetrwali chociaż to lato. Ten rok. A wtedy nie będziemy już potrzebować pomocy, wszystko się ułoży.

Odstawił szklanke i odwrócił się. Stała w wejściu, oczy miała podkrążone.

- Wiedziałam, że ona jest psychiatrą - powiedziała DeAnne.

- Co takiego?

- Obmyślałam ten przydział dla ciebie, gdyż jej nazwisko widniało na liście doktora Greenwalda. Pomyślałam ponadto, że jeśli ją poznasz, może polubisz i będziesz chciał zabrać do niej Steviego. Nie okłamałam cię, ale i nie powiedziałam ci prawdy.

Lzy potoczyły jej się powoli po policzkach. Rekawem koszuli wytarła je ze złości.

- Wiem, że mnie teraz nienawidzisz - powiedziała. - Nie okłamujemy się przecież nigdy, a teraz ja

złamalam te zasady.

Step podszedł do niej, objął ją.

- Wiedziałem, że ty wiedziałas.

Odchyliła się i spojrzała do góry.

- Naprawdę?

- Wcześniej nie. Ale w kuchni wreszcie domyśliłem się, że mnie wrobiłaś.

- I nie wściekasz się za to?

- Byłem wściekły.

- Nic jednak nie powiedziałas.

- Nie - przyznał. - Zamiast tego lyknałem wody.

Zasmiała się cienko, co zabrzmiało jak szloch.

- To wcale nie miało sensu - stwierdziła.

- Wiem, lecz to właśnie zrobiłem. A teraz już się nie gniewam, bo wszystko mi wyznałaś.

Rozplakała się na serio. Przywarła do niego. Lży ukojenia, ulgi.

- Step, możesz odejść z pracy. Naprawdę możesz. To błąd z mojej strony, że kazałem ci zostać. Nie znosisz tam chodzić, poradzimy sobie i tak, wiem to. Cóż z tego, że stracimy dom w Indianie? To tylko dom. To tylko pieniądze. Nie mogę ścierpieć myśli, że codziennie wychodzisz do nienawidzonej pracy, gdyż ja panicznie boję się rzeczy, które w życiu nas nie spotkały.

- Wszystko w porządku.

- Mówię poważnie - obstawała. - Możesz odejść. Nie musimy także zabierać Steviego do psychiatry. Naprawdę nie upieram się, by postawić na swoim.

- Wiem - powiedział. Uswiadomił sobie, że przynajmniej na razie rzeczywiście tak myśli. Lecz nie mógł brać tej kapitulacji na serio. Jej oczekiwanie, by pozostał w pracy, dopóki nie urodzi się dziecko, miało wytłumaczenie. A jeśli chodzi o zabranie Steviego do psychiatry, było to jedyne rozwiązanie, które nasuwało się DeAnne, sfrustrowanej tym, że nie może pomóc synowi. Nie mógł jej tego zabronić, chyba że miałby lepszy pomysł, ale nie miał.

- Mówię poważnie - powtórzyła.

- Wiem, że mówisz poważnie - odrzekł. - Lecz nie odejdziesz. Przynajmniej na razie. Choc muszę się hamować, by nie przeciągać struny, sama rozumiesz.

- Rozumiem, Step, naprawdę rozumiem. To zależy od ciebie. Spodziewam się, że pewnego dnia wrócisz do domu i powiesz: „Juz była najwyższa pora”, a ja się z toba zgodzę. Chce, byś wrócił do

domu! Chce, bys był ze mną i z dziećmi. Nasze życie było wtedy takie piękne.

- Trudno zaprzeczyc.

- I wciąż jest - dodała. - Moje życie jest wspaniałe, ponieważ ty w nim jesteś. Wszystko dobre w moim życiu pochodzi od ciebie.

Step potrzaskał głową. Wiedział, że mówi poważnie, lecz podświadomie wiedział też, że to nieprawda. Nawet to dobro, które w nim odnalazła, było tym samym dobrem, które sama w nim złożyła, dobrem, w które po to się przystroiła, by wyszła za niego za mąż. Wiedział, że będzie szczęśliwa tylko u boku meza dobrego w pewnych ważnych sprawach. Jak chodzenie do kościoła z absolutną wiarą, wypełnianie misji; przez całe dziewięć lat. Zatem to dla niej zaczął z powrotem uczeszczać do kościoła, tak by nigdy nie dowiedziała się, że poświęcił się w ten sposób z miłości dla niej, aby zostać jej częścią. Sądziła, że to jego własne pragnienie i za to go kochała. Jednak w rzeczywistości kochała sama siebie, w nim odbita niczym w zwierciadle. Nawet teraz, kiedy go obejmowała, nie obejmowała wcale Stepa historyka ani Stepa programisty. Kochała Stepa przykładowego mormona, sama napisała mu te role. Także Stepa ojca, co także było jej darem.

- Umów się jutro z dr Weeks - powiedział. - Zaczniemy z nim chodzić, kiedy skończy się szkoła, za tydzień, licząc od jutra. Przez to nigdy nie będzie musiał opuścić zajęć, by spotkać się z psychiatrą.

Jeszcze bardziej do niego przylgnęła.

- Naprawdę coś w tobie siedzi, Galganiarzu - powiedziała.

Tak, pomyślał Step. Ale nie wyskoczy, póki nie pozwolisz.

Zdołał jednak w końcu zdusić w sobie złośliwość i po prostu ją tulił. Taka jest właśnie miłość, pomyślał. Robienie tego, na co się nie ma ochoty, ponieważ ona tego tak bardzo pragnie. Poza tym nie jest taka zła. I nie jest taka ciężka.

Rozdział dziewiąty

Chrabaszcze

Oto co Stevie otrzymał na swoje ósme urodziny, 3 czerwca 1983 roku: pierwszy zegarek; ogromny zestaw klocków Lego, z którego dało się zbudować zamek; cztery pary szortów i cztery kamizelki; pierwsze spodnie od garnituru, biała koszula i dziecięcy krawat na niedzielę; prócz tego komputerowa gra na Atari - Lode Runner. Była to przyzwoita liczba prezentów, na przekór sytuacji finansowej, lecz Step i DeAnne podejrzewali, że najlepszym prezentem, jaki otrzyma, będzie koniec szkoły w południe w dniu urodzin. Pożegna się z drugą klasą, ze szkołą, z dziećmi. Zacznie się lato i wypoczynek w domu.

Wlasnie to znalazlo sie na napisanej przez Stepa kartce urodzinowej: „Udalo ci sie, szkola juz za toba, byles odwazny, dzielny, jestesmy z ciebie dumni”. Stevie przeczytal kartke w milczeniu, popatrzył w góre na ojca bez cienia emocji na twarzy, po czym rzekl:

- Dzieki.

W niedziele Stevie po raz pierwszy przystroil sie do kosciola w niedzielne ubranie, a kiedy biskup wywolal go na trybune, by oglosil, ze przyjmie po poludniu chrzest, Step rozczulil sie, widzac, jaki jego syn jeszcze jest maly, a z drugiej strony, jak bardzo juz wyrósł; jak mlody i stary zarazem jest teraz.

Po sakramentalnym spotkaniu DeAnne wyprowadzila dzieci do szkólki. Kiedy Step zabieral notatnik i Pismo Swiete, zamierzajac udac sie na lekcje doktryny ewangelicznej, Lee Weeks don podszedl, juz na pierwszy rzut oka podniecony czymś i rozpromieniony.

- Twój syn bedzie chrzczony! - powiedzial.

- To prawda - odparl Step.

- No cóz, ja jestem kaplanem - pochwalil sie Lee. - Wyswiecono mnie na kaplana tuz po tym, jak sam sie ochrzcilem.

- To prawda - odparl Step lakonicznie. Wiedzial, co za chwile nastapi. Nie mógł uwierzyc, ze ktos mialby czelnosc w tak niski sposób wpychac sie do czyjejs rodziny.

- Zatem ja moge ochrzcić twojego chlopaka! - obwiescil Lee.

Brat Freebody znalazl sie przypadkowo w poblizu, stal rozmawiajac z kims, lecz Step zauwazyl, ze uslyszal wypowiedz Lee. Pokrecil glowa współczujaco.

- Jesteś upowazniony do chrzczenia - stwierdzil Step. - Ale taki zwyczaj mamy w Kosciele, ze jesli ojciec jest godnym kaplanem, sam chrzci wlasne dzieci.

- To jasne - przyznal Lee. - Ale ja jeszcze nikogo nie chrzçilem. To moja pierwsza szansa. Ty chrzçiles wielu ludzi. W czasie misji, prawda?

- Masz dziewietnascie lat - powiedzial Step. - Przygotuj sie, a za rok wyswiecony zostaniesz na starszego zboru i samemu bedziesz podejmowac sie misji i chrzçic kazdego, kto otrzymuje od ciebie ewangelie.

- Dlaczego jednak mialbym czekac? - zapytal Lee.

- Bo Stevie jest moim synem - odparl Step.

- Tym bardziej - Lee nie dawal za wygrana. Zniyzl nieznacznie glos. - Juz ci mówilem, Bóg jest ze mna. Udziele mu prawdziwego chrztu. Jakiego Jan Chrzçiciel udziлил Jezusowi.

- Lee, ja jestem takim samym kaplanem jak ty, jesli chodzi o chrzczenie. Chrzest bedzie tak samo wazny, jesli ja go udziele. Musze teraz udac sie do klasy.

Lee wygladal... nie na dotknietego, naprawde, lecz... na jakiego? Zlego. Tak, zlego, pomyslal Step, pokonujac przestrzen miedzy lawkami i zmierzajac w strone kaplicy. Wspaniale, Step, wspaniale,

własnie uraziles neofite, którego specjalnie przydzielono ci jako towarzysza w domowym nauczaniu, byś mógł utwierdzić go w ewangelii.

Lecz za żadne skarby nikt prócz mnie nie będzie chrzcil mego najstarszego syna.

Później, na kaplanskim spotkaniu, Lee zdawał się nie pamiętać o ostatniej rozmowie - przekomarzał się i śmiał z innymi mężczyznami i chłopcami, a kilka razy nawet ze Stepem. Zatem wszystko było w porządku.

Jednak po południu, przy chrzcie, stało się jasne, że Lee niczego właściwie nie rozumiał. Trwała zwykła msza. DeAnne grała na fortepianie, a Step śpiewał w chórze; biskup przemawiał przez minutę, po czym siostra Cowper wygłosiła mowę na temat znaczenia chrztu. W tym czasie Step wyprowadził Steviego z pomieszczenia szkółki i zmierzał w stronę wejścia prowadzącego do chrzcielnicy, przechodząc przez szatnię, gdzie nałożyli uprzednio białe, chrzestne ubrania.

W holu stał Lee z matką, czekali. Tymczasem za nimi biskup i brat Cowper otwierali składane drzwi, odgradzające pomieszczenie szkółki i korytarz. Ludzie zaczęli wychodzić, wraz z nimi Lee, ubrany na białe od kołnierzyka aż po sportowe buty.

- Czy adidasy są w porządku? - spytał Lee. - Nie mogliśmy znaleźć żadnych białych butów do garnituru.

- Lee - rzekł Step, próbując nie zawstydzić zbyt chłopa przed matką - tylko osoba chrzczona i osoba chrzcząca wkładają białe ubranie. Przykro mi, że się pomyliłem. - Zwrócił się do dr Weeks: - Mam nadzieję, że nie sprawiło wam wiele kłopotu nabycie tego białego stroju?

- To znaczy, że Lee nie udzieli chrztu? - spytała dr Weeks.

Lee uśmiechał się, jakby nigdy nic. Wyraźnie odsuwał Stepa na bok, by samemu udzielić chrztu. Ale tak się nie stanie, chyba że po trupie Step.

- Nie, pani Weeks. Wytłumaczyłem Lee rano, kiedy zaoferował się to zrobić, że w Kościele mormońskim, gdy tylko to możliwe, ojciec chrzci własne dziecko.

Wyraz twarzy dr Weeks spowazniał.

- Więc to jest niestosowne zachowanie? - spytała.

- Nie wiem, jak Lee mógł się tak pomylić - odparł Step.

- Lecz sam powiedziałeś, że mogę to zrobić - nalegał Lee. Jego głos był dość donośny, by zdobyć maksymalne współczucie świadków tego zdarzenia. Step wyczuł DeAnne podchodzącą z boku, stojącą przy nim.

- Nie, Lee - rzekł Step, także głośno. - Powiedziałem ci wyraźnie, że będziesz miał okazję chrzcić, służyć w misjach, i że mojego pierwotnego syna ja dzisiaj ochrzczę. Jestem pewny, że zdajesz sobie sprawę, iż nigdy nie mogłem powiedzieć czegoś innego, w żadnych okolicznościach.

- Chodź, idziemy stąd, Lee - rzekła dr Weeks łagodnie. Step nie potrafił odgadnąć, czy złościła się na niego, na Lee, czy - najgorszy wariant - na Kościół.

DeAnne dotknęła ramienia dr Weeks.

- Mam nadzieję, że rozumie pani - powiedziała miękko. - Nikt nie zamierzał poniżyć pani syna. To zwykle nieporozumienie.

- Och, jestem przekonana, że Lee zrozumiał wszystko jak trzeba - powiedziała dr Weeks, też miękko i z trochę żalnym uśmiechem. - On po prostu przywykł naginać rzeczywistość do własnych potrzeb, oczekując, by inni się na to godzili. Mam nadzieję, że nie zrazi to państwa.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Step. Czuł ulgę, wiedziała, kogo naprawdę należy winić za to nieprzyjemne zajście.

- Zawstydzilas mnie, matko - stwierdził Lee.

- Już czas wracać do domu - odparła.

- Czemu nie zostaniecie na chrzcie? - zapytała DeAnne.

- Widziałam chrzest Lee - odpowiedziała dr Weeks. - Wyobrazam sobie, że ten wyglądać będzie zupełnie tak samo.

- Chce zostać - powiedział twardo Lee.

- Do domu, zaraz, Lee! - nakazała dr Weeks.

Nastąpiła chwila ciszy, żadne się nie odzywało, na końcu Lee odwrócił się do Stepa i z beztroskim uśmiechem powiedział:

- Naprawdę, powinienem ci pozwolić go ochrzcić. Tak byłoby najlepiej - po tych słowach odwrócił się i wraz z matką odmaszerował korytarzem w stronę południowo-wschodniego wyjścia ze zboru.

DeAnne uściskała mu ramię.

- Oni odchodzą, lecz wszyscy pozostali czekają - oznajmiła.

- No tak - otrząsnął się z zamyslenia - przepraszam. - Spojrzał w dół na Steviego i uśmiechnął się. - Co byś powiedział na to, byśmy już to mieli za sobą?

Stevie skinął głową.

W przebieralni, gdzie na haczykach wisiały ich niedzielne ubrania, Step zatrzymał się na chwilę, czując potrzebę wyjaśnienia.

- Lee Weeks jest po prostu podekscytowany tym, że ma święcenia kapłanskie - powiedział. - Złe zrozumiał, to wszystko.

Stevie spojrzał do góry w oczy Stepa.

- Myślę, że to czubek, tato.

A ja myślę, że ty jesteś tak samo normalny jak ja, pomyślał Step. Lecz musisz pójść do psychiatry,

podczas gdy Lee chodzi jedynie nauczać po domach.

- Kocham cie, Stevie.

- Tez cie kocham, tato - odparl Stevie. Lecz byla to formalna, obowiazkowa odpowiedz.

Zblizyli sie do drzwi, które prowadzily z szatni do samej chrzcielnicy. Woda siegala tuz nad drugi stopien od góry. Zalamywala swiatlo w ten sposob, ze chrzcielnica sprawiala wrazenie niewiele glebszej od dzieciacego brodzika, lecz gdy tylko Stevie wszedl do niej, zdawala sie polykac chlopca, obejmowala najpierw nogi, potem biodra, a na koncu Stevie tak sie skurczyl, ze woda siegala mu do ramion. Step wszedl za nim. Woda i byla zimna, lecz Step szybko sie przyzwyczail. Podchodzila mu ledwo do bioder. Stevie jest taki malenki, pomyslal. Jest zbyt mlody, by brac odpowiedzialnosc za konsekwencje wszystkich przyszlych decyzji.

Wtedy przypomnial sobie, ze Stevie dokonywal wlasnego wyboru, odkad tylko nauczyl sie chodzic. Dla Stewiego ten chrzest jest prawdopodobnie spozniony o cale lata. Po prostu osiem lat, które wybral Pan, nalezy traktowac jako kompromis, to wszystko. Niektóre dzieci sa na to gotowe juz jako szkraby, inne dopiero wtedy, gdy osiagna wiek dojrzaly. Stewiego cechuje wrodzona madrosc i dobroc, jak kaplana Samuela, Salomona, Józefa, którego sprzedano do Egiptu, jak Jezusa.

Lewa dlonia Step odszukal prawy nadgarstek Stewiego.

- Trzymaj sie mojej reki - przypomnial szeptem. - Tak jak cwiczylismy.

Stevie siegnal lewa reka i chwycil lewy nadgarstek ojca. Jego reka byla taka mala, uscisk tak kurczowy, a jednoczesnie tak slaby.

Stevie spróbowal wyciagnac prawa reke i zatkac sobie nos.

- Jeszcze nie teraz - upomnial Step. - Po slowach.

Stevie czekal, kiedy Step wznosil prawa dlon, zgodnie z formula, przemawiajac glosno, by oficjalni swiadkowie slyszeli i upewnili sie, ze nie myli słów:

- Stephenie Bolivarze Fletcherze, bedac powolanym przez Jezusa Chrystusa, chrzcze cie w imie Ojca i Syna, i Ducha Swietego. Amen.

- Amen - zamruczal tłum.

- Amen - szepnal Stevie.

Step uniósł prawa dlon Stewiego ku twarzy, po czym chlopiec zacisnal nos.

- Schyl sie do kolan - wyszeptal Step. Stevie zamknal oczy i Step wepchnal go do wody. Woda jak zwykle stawiala opór, lecz Step cisnal Stewiego w dól, az ten zanurzyl sie calkowicie. Dopiero wtedy pozwolil, by woda wypchnela Stewiego z powrotem; kiedy chlopiec wyskoczyl ponad lustro wody, sciskajac mocno reke Stepa, ten pomógł mu stanac prosto. Stevie nabral powietrza, puscil reke Stepa, przetarl oczy.

Niektórzy z widzów chichotali z rozrzewnieniem. Wszyscy przeszli to samo. Znali uczucie, kiedy wychodzi sie nad wode. Dezorientacja. Glód powietrza, jak przy narodzeniu. Instykt

samozachowawczy przejmował kontrolę nad ciałem, a wszystko, o czym można było myśleć, to życie, oddychanie. Potem pojawiła się myśl: zimno mi. Czy białe ubranie jest przezroczyste? Czy wygladałem głupio? Czy wszystko poszło dobrze? Czy jakas część mnie wystawała nad wodę i zechca mnie znowu zanurzyć?

Step patrzył to na biskupa, to na brata Cowpera, którzy pełnili funkcje oficjalnych świadków. Obaj skineli głowami.

- Wszystko poszło jak po masle - poinformował go Step. - Udało się za pierwszym razem.

Stevie przytaknął poważnie.

Biskup i brat Cowper zsunęli składane drzwi między chrzcielnicą a korytarzem. Wszyscy pozostali przeszli do pomieszczenia szkołki, gdzie czekali. Step i Stevie wygramolili się z wody, ich zimne ubrania ociekały, ciężyły.

W szatni wytarli się i przebrali na powrót w wyjściowe ubrania. Stevie bardzo się wstydził własnego ciała, prosił Stepę, żeby nie patrzył, i wciąż upewniając się, że jest odwrócony plecami do ojca w czasie przebierania. Jakże odległe były czasy, kiedy Stevie wbiegał nagi do pokoju dziennego, w którym zasiadali goście, wrzeszcząc: „Stevie idź do ubikacji teraz! Tata, szybko!”

Step wyjął mokre ubrania, po czym wrócili do reszty, gdzie niektórzy z młodszych dzieciaków - sami Cowperowie, zgodnie z pobieżnym szacunkiem Stepę - biegały wokół, gwizdząc i krzycząc. Wkrótce jednak przywrócono spokój, brat Cowper wygłosił krótką mowę na temat znaczenia konfirmacji i daru Ducha Świętego. Potem wystąpił Stevie, usiadł na krześle przed niewielkim zgromadzeniem, a Step położył ręce na jego głowie. Pozostali kapłani - biskup, brat Cowper i mąż przewodniczącej szkołki - położyli delikatnie swoje dłonie na jego, lecz tak aby przynajmniej palcem dotykać głowy Stewiego. Step rozpoczął konfirmację, jak to już robił wiele razy podczas misji w Sao Paulo - tylko po angielsku, a nie portugalsku. Zatwierdził Stewiego na członka Kościoła i polecił mu przyjąć Ducha Świętego.

Z technicznego punktu widzenia mógł na tym poprzestać, lecz to spowodowałoby aluzję, mnóstwo plotek, gdyż zgodnie ze zwyczajem należało jeszcze dodać kilka minut błogosławieństwa i przestrogi, opuszczenie błogosławieństwa uznano by za coś szokującego.

Na nieszczęście, stojąc na środku, szykując się do przemowy, stwierdził, że nic nie przychodzi mu do głowy. Nie chodziło o to, że nie ułożył sobie wcześniej całego przemówienia. Na odwrót, przez wiele dni powtarzał słowa, które miały wprawić w przemoję syna, jakie dotyczą syna. Nie mógł powiedzieć: „Życzę ci, by twoi wyimaginowani przyjaciele opuścili cię, dzięki czemu nie martwiłbyś się chodzeniem do psychiatry”. Istniały jednak zwroty wyrażające te same treści, jak na przykład: „Obiecuję ci wyzdrowienie, tak że twoje wizje będą prawdziwe”. Coś takiego, co będzie brzmiało normalnie w uszach ludzi nie zdających sobie sprawy z problemów Stewiego, a w czym DeAnne, Step i Bóg dopatrzają się prawdziwego znaczenia.

Tymczasem Step nie potrafił przypomnieć sobie ani jednego słowa z tych, których się wyuczył. Długo stał w milczeniu. Nie było to dziwne. Wielu ludzi potrzebowało chwili czasu na pozбиерanie myśli. Teraz jednak chwila owa przeciągała się i przeciągała, jeden z mężczyzn w kręgu otaczającym Stewiego zmienił pozycję na krześle, jakas kobieta odchrząknęła.

Czy nie ma nic, co mógłbym powiedzieć synowi? Czyżby życie jego było tak jalone? A może to przeze mnie? Może nie jestem godzien błogosławić tego dobrego chłopca, który tak tego błogosławieństwa potrzebuje?

Nagle przed oczami pojawiły się słowa; wymówił je, jeszcze zanim je przemyślał.

- Pan zna twe serce, Stephenie, i ufa ci. Zesłał cie na te ziemie, byś dokonywał miłosiernych czynów. Obiecuję ci, że jeśli usłuchasz Ducha Świętego i będziesz postępować zgodnie z wytycznymi Boga, wówczas sprowadzisz radość i pokój w życie tych, co cie kochają, zarówno w rodzinie, jak i wśród przyjaciół.

Kiedy tylko dokonczył w pośpiechu, nastąpiło bezzwłoczne „Amen” i było po wszystkim.

Mezcyżni natychmiast zwrócili swą uwagę na Steviego, potrzaskali jego ręką. Z powagą Stevie ścisnął dłoń każdego z mężczyzn, nie patrząc im jednak w oczy. Kiedy Stevie zmierzał na swe miejsce, Spike Cowper spojrział na Stepa nieco szyderczo, jakby pytał: „Co to się działo podczas tej konfirmacji?” Biskup położył rękę na ramieniu chłopca i ścisnął. Czemu? - dumał Step. Zachęta? Pocieszenie? Przykro mi, że nie potrafię dać synowi prawdziwego błogosławieństwa w czasie konfirmacji.

Ale to było prawdziwe błogosławieństwo. Step nie miał co do tego wątpliwości. Kilka razy już to mu się przytrafiło, w czasie misji w Brazylii, że słowa napływały do głowy nie wiadomo skąd. To coś znaczyło.

W drodze do samochodu, po finałowej pieśni i modlitwie, DeAnne oderwała się od dzieci i spytała Stepa:

- Czy to naprawdę wszystko? To znaczy, nie wspomniales nawet, by ożenił się w świątyni.

- To była jego konfirmacja, a nie ojcowskie błogosławieństwo - odparł Step.

- No tak, ale...

- Powiedziałem to, co mi poddano - odpowiedział, trochę niepewnie. To właśnie kłopot ze sprawami ducha, pomyślał Step. Wiedział, co się dzieje, a mimo to nie wiedział. Bo gdyby się faktycznie wiedziało, po co by była wiara? Powinno się żyć w idealnej ufności, jakby wiedząc na pewno, kiedy Bóg przemawia w sercu. Dopiero później, patrząc wstecz, można dostrzec z dowolną dozą pewności, czy był sens w tym, co się stało, czy był jakiś plan lub cel.

W czasie jazdy do domu tak się zdarzyło, że długa cisza, która zapanowała, wprawiła Stepa w zakłopotanie, więc aby rozproszyć napięcie, powiedział:

- No i co, Kluczniku, czujesz się teraz inaczej?

Gdy tylko to powiedział, pozalował. Dokładnie jedno z tych głupich pytań, które dorośli ciągle zadają dzieciom. Teraz Stevie powinien się zastanowić: „Czy powinienem czuć się inaczej? O, nie. Nie czuję się inaczej, no może trochę mokry; i co mam teraz odpowiedzieć? Jeśli nie powiem, że czuję się inaczej, tata pomyśli, że nawalił. Lub że ja nawaliłem. Ale jeśli powiem, że czuję się inaczej, skłamię. Pierwsze kłamstwo zaraz po chrzcie. Po zmyciu wszystkich grzechów ten byłby pierwszy, dlatego chrzest jest dobry tylko na jakieś pół godziny”. Przynajmniej takie myśli nawiedziły głowę Stepa, kiedy jako osmiolatek został ochrzczony przez ojca.

Z tylnego siedzenia doszła spokojna odpowiedź Steviego:

- Tak, tato.

A wiec wybral niewinne klamstwo.

- Synku - powiedzial Step. - W rzeczywistosci niewielu ludzi czuje sie od razu inaczej. Jesli sie tak nie czujesz, nic nie szkodzi.

- Mimo to czuje sie - odpowiedzial Stevie. Nie brzmialo to, jakby sie upieral. Po prostu stwierdzal fakt.

- Naprawde? - spytal Step. - Jakie to uczucie?

Stevie zdawal sie zastanawiac przez chwile.

- Jakby byl we mnie Duch Swiety.

Chwilowo wygladalo to na idealna odpowiedz. Step pomyslal, no tak, Stevie czuje dar Ducha Swietego, chociaz ja w dzieciinstwie nigdy nie zaznalem tego uczucia. Bo on jest zawsze wzraliwy na sprawy duchowe, a ja nigdy nie bylem.

Step pomyslal, jak niewiele rózni sie teraz Stevie od Lee Weeksa sprzed niedzielnej lekcji. Bóg jest we mnie. Bóg we mnie przemawia, czy jak tam wyrazil sie Lee. Stevie mógł byc wzraliwy duchowo, mógł tez ulegac złudzeniom.

Step zauwazyl, ze przyglada sie synowi okiem psychiatry. Czy latwo powinno przyjsc psychiatrze rozróznienie pomiedzy prostym jezykiem wiary Stewiego a dziwna pewnoscia Lee Weeksa, ze Bóg go wybral? Przypuszczalnie nie stanowilo to problemu - Lee mógł byc dziwakiem, lecz na pewno nie byl niepoczytalny. Kto jak kto, ale dr Weeks z latwoscia poradzilaby sobie z nieskalana ufnościa Stewiego w wiare swych rodziców.

Najwidoczniej DeAnne przyjmowala odpowiedz Stewiego bez cienia sceptycyzmu. Przycisnela swa dlon do dloni Step'a, spoczywajacej na dzwigni skrzyni biegów. Nasz syn ma takie czyste serce, zdawala sie mówic, ze potrafi wyczuc, kiedy Duch Bozy wen wstepuje.

- O czym myslales, kiedy cie tata confirmowal? - zapytala DeAnne.

- Nie wiem - odrzekl chlopiec.

- Mam na mysli, co sadziles o blogoslawienstwie, jakiego ci udzielil?

- Fajne.

- Nie wpytujmy go - Step zwrócił sie do DeAnne. Naprawde jednak pomyslal, czy musisz przypomnac mu, jak niestosowne bylo moje blogoslawienstwo?

- Przepraszam. - DeAnne troche sie zawstydzila.

- Nie ma za co przepaszac - powiedzial.

- Tato? - Stevie odezwal sie z tylnego siedzenia.

- Tak, Kluczniku?

- Powiedziales, ze sprowadze radosc i pokój przyjaciolom.

- I rodzinie - dodał Step.

- Ale ja nie wiem jak.

- Po to jest właśnie dar Ducha Świętego, by nauczyć cię jak.

- A jeśli Duch Święty mi nie powie?

- Znaczący to, że może nie nadszedł jeszcze dla ciebie właściwy czas. Albo musisz nauczyć się słuchać, co do ciebie mówi. A może jeszcze nie powinieneś niczego robić?

- Aha - odparł Stevie. - Naprawdę chciałbym - powiedział po chwili milczenia.

- Czego byś chciał? - zapytała DeAnne.

- Przynieść im szczęście.

- Komu przynieść szczęście? - DeAnne była poruszona.

Wiesz, za kim tęskni! Step miał ochotę krzyknąć.

- Jackowi, Scotty'emu i Davidowi - odparł Stevie spokojnie.

Wyimaginowani przyjaciele. Tylko że teraz było ich już trzech.

- Stevie - pytała DeAnne. - Kim jest David?

- Jeszcze jeden chłopiec, z którym się bawimy - rzekł Stevie. - Ja, Scotty i Jack.

Może i Stevie przeszedł konfirmację; Bóg mógł, ale nie musiał poddać Stepowi słów błogosławieństwa; fakt jednak pozostawał faktem, że Stevie wciąż żył w świecie, w którym niewidzialni przyjaciele przybywali, by się z nim bawić. Dzisiaj doszedł kolejny. A może nie dzisiaj?

- Czy David... - zapytała DeAnne - wprowadził się czy coś w tym stylu? Nie przypominam sobie, żebyś wcześniej o nim wspominał.

Wprowadził się, a to dobre, pomyślał Step. Udajmy, że ci przyjaciele mieszkają w sąsiedztwie, mają rodziny, a nowi wprowadzają się od czasu do czasu.

- Jakis czas już mieszka w pobliżu - odpowiedział Stevie. - Sądzę, że urodził się w Steuben, bo mówi z południowym akcentem i nie rozumiem wszystkiego. To znaczy rozumiem, ale muszę uważnie słuchać.

W porządku, DeAnne, pomyślał Step. Musi się spotkać z psychiatrą lub z kimkolwiek. Nigdy nie słyszał, żeby w ten sposób mówił o wyimaginowanych przyjaciółkach. Jakby naprawdę żyli. Musi uzupełniać ich biografie szybciej, niż ja adaptuje Hacker Snacka na szesćdziesiątceczwórke. Wiedziałaś o tym, DeAnne. Słyszałaś już przecież podobne rzeczy. Nic dziwnego, że tak cię to martwiło. Nic dziwnego, że nalegałaś. Nie poradzimy sobie z tym sami.

Kiedy wjechali na podjazd, przed fasadą budynku parkował pikap Bappy'ego.

- W niedziele? - zdziwil sie Step.

Bappy wynurzył się zza domu, jakby usłyszał to pytanie.

- Wszyscy w kościele? - zapytał. - Wpadłem koło czwartej, myślałem, że już wrócicie z kościoła, ale nie zastałem nikogo.

- Mieliliśmy specjalne spotkanie - wyjaśniła DeAnne. - Stevie otrzymał dzisiaj chrzest.

- Ho, ho, to jest coś - wyraził swój podziw Bappy. - To naprawdę jest coś. Więc nie chrzćcie też małych dzieci, ha?

- Jest pan baptysta? - spytał Step.

- Hm, mój tato był pastorem zielonoswiatkowców, potrafił zamoczyć. Wpychał ich całych pod wodę i trzymał, póki się wszystkie grzechy nie potopily. Mówię wam, to samo było z tymi, co spotkali Jezusa. Cóż, bywało, niektóre wypływały z buzia pełna błota, tak mocno je pchał! - DeAnne i Step przyłączyli się do śmiechu Bappy'ego, lecz Step myślał: Nie podoba mi się to kpienie z chrztu, nie dzisiaj, nie przed dziećmi.

- No dobrze - powiedział Step - tak czy inaczej, przykro nam, że nas tu nie było. Długo pan czeka?

- W ogóle nie czekałem. Tak sobie pomyślałem, że choć powinienem w pierwszej kolejności zapytać, skoro już tu jestem, a tam z tyłu na podwórku leżą te plachty namiotów, muszę coś z nimi zrobić, jeszcze ktoś powie, że nie sprzątam po sobie bałaganu.

- Tym właśnie są te pajęczyny na drzewach? - zapytała DeAnne. - Plachtami namiotów?

- Gdy wyklują się jaja, robaki zezra każdy liść na drzewie - tłumaczył Bappy. - Więc podkładam plachtę i obcinam gałązki. Niemal wypełniłem moją przyczepkę, nie musicie się już bać, że te robaki będą spadać z drzew waszym dzieciakom za kołnierze.

- Faj! - wrzasnął Robbie. - Co za ohyda! - Pocwałował, znikając za narożnikiem budynku. Betsy deptała mu po piętach.

- Wylapałem je wszystkie - oświadczył Bappy. - Prawie wszystkie. Nim zapadnie zmrok, dostane je co do jednego.

Step nie był zachwycony, że Bappy w dzień świąteczny zajmuje się pracą w ogródku. Wiedział jednak, że to nie jego interes. Bappy nie był jego pracownikiem, tylko ojcem właściciela domu, kiedy więc chciał w niedzielę popracować w ogródku, to jego sprawa.

- Step, czy mógłbyś przywołać dzieci z podwórka za domem - poprosiła DeAnne.

Step obszedł dom i zobaczył Robbiego i Betsy okrajających drzewo, jak tygrysy w „Małym czarnym Sambo”, choć nigdy nie zauważa podobieństwa, gdyż gdzieś pomiędzy dzieciństwem Stepa a dzieciństwem jego dzieci przekleto te historyjki jako potwornie trujące, zmieniające niewinne dzieci w zagorzałych bigotów. Sadze, że nie ma dla mnie nadziei, pomyślał Step. Gdy widzi dzieci biegnące w kółku, myśli o masle z tygrysa.

Step odważnie wsadził rękę w krąg dzieci i złapał jedno, po chwili także drugie.

- Teraz do domu - polecił. - Jeśli chcecie kolacje.

- Złożył pajeczynę! - krzyknął Robbie.

To prawda. Drzewko było przycięte, brakowało wszystkich gałęzi prócz dwóch przykrytych białą tkaniną; nawet te były już owinięte wielkimi plastikowymi workami, oczekiwały na odcięcie i wyrzucenie. Nietrudno przyszło mu wyobrazić sobie Bappy'ego, jak jego wrzecionowate ciało wiję się pośród gałęzi. Ma lepszą sylwetkę niż ja, pomyślał Step. Z drugiej jednak strony nie musi pracować koło automatu z batonikami.

Kiedy Step przyprowadził dzieci do kuchni, a DeAnne odesłała je, by włożyły świąteczne ubrania, zapytała:

- A gdzie Stevie?

- Nie było go za domem - odparł. - Myślałem, że poszedł z tobą.

- Myślałam, że pobiegł w ślad za innymi dziećmi.

- Gdzieś tu się na pewno kreci.

- Chyba nie, Step. Otwierałam drzwi z tyłu, musiałby mnie minąć, a zapewniam cię, że go nie widziałam. Zatem ciągle jest na zewnątrz i wcale mi się to nie podoba, że nie znalazłeś go przy dzieciach.

Miała dobry powód, żeby się martwić. Rano gazeta pisała o zaginięciu kolejnego dziecka, które, jak się okazało, zniknęło zeszłego wieczoru podczas meczu baseballowego Bobrów. Grali w podrzędnej lidze, oczywiście, lecz w Steuben mieli wielu lojalnych fanów, którzy gromadnie przychodzili na mecze. Dzieciak po prostu zniknął. Straszne czasy. Wkrótce pewnie przyjdzie na kubek mleka albo okaze się, że siedzi u sąsiada, albo zginie. Gdzież ten Stevie?

Step wyszedł jeszcze raz za dom. Bappy zdążył wleźć na drzewo, rznął piłą jedną z gałęzi owiniętych w plastik. Pomachał ręką, a Step uczynił to samo.

- Widział pan może mojego najstarszego syna? - spytał.

- Nie, proszę pana! - odkrzyknął Bappy. - Zgubił się gdzieś?

- Na pewno kreci się w pobliżu.

- Nie spuszczać dzieci z oka, młody człowieku! - krzyknął Bappy. - To niespokojne czasy. Diabeł grasuje po świecie!

- Ach, nie mam co do tego wątpliwości! - zawołał Step.

Stevie znalazł się z drugiej strony domu, siedział na schodku.

- Stevie, wszędzie cię szukamy - rzekł Step. - Mama i ja martwilismy się, nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś.

- Przepraszam - powiedział Stevie. Wstał.

- Nie można tak sobie odbiegać, nic nikomu nie mówić.

Stevie zmarszczył brwi.

- Cały czas tu byłem, tato.

- Nie byłeś w domu i nie byłeś w miejscu, gdzie byśmy cię widzieli, dlatego napędziłeś nam strachu. Tak to już jest z rodzicami, musisz się do tego przyzwyczaić i zawsze się upewniaj, że wiemy, dokąd idziesz, w przeciwnym razie skończysz uwiązany na smyczy i zamknięty w pokoju, a to ci nie przypadnie do gustu.

- Przepraszam - powtórzył Stevie.

Nie tak powinien wyglądać dzień dzieciaka, w którym przystępuje do sakramentu chrztu. Pozostawiony samemu sobie i jeszcze za to skarcony.

- A tak w ogóle, co porabiałeś tu przed domem? O czym myślałeś? Co sobie wyobrażałeś?

- Siedziałem - odparł zdawkowo.

Step wiedział, kiedy ponosi porażkę.

- No dobra, chodź do domu, czas na kolację.

Stevie posłusznie podążył za ojcem do mieszkania.

Nadchodzący ranek powinien być pierwszym dniem lata. Stevie nie musiał iść do szkoły, DeAnne mogła pospać trochę dłużej i nieco później przystąpić do zwykłych zajęć. Lecz DeAnne obudziła się, nim zadzwonił budzik, ale wcale nie dlatego, że dziecko tak mocno naciskało na pecherz, że musiała co chwile chodzić do ubikacji. Przez moment leżała spokojnie i nagle zrozumiała, dlaczego czuje się, jakby jej żołądek zawiązano w węzeł. O dziesiątej zabierała Stewiego do dr Weeks.

DeAnne i Step postanowili nic nie mówić Stewiemu o psychiatrze aż do dnia, w którym miał umówioną wizytę. Dlaczego miałby się zamartwiać niepotrzebnie na wiele dni naprzód? Dlaczego psuć mu urodziny i chrzest?

Stevie nie był już taki mały, by dać się nabrać powiedzonkiem „To tylko taki inny rodzaj doktora”, co działało w przypadku Robbiego. Stevie wiedział, że są na świecie pomyleni ludzie i lekarze, którzy ich leczą; są też miejsca, gdzie izoluje się ich przed innymi ludźmi. Istniała dziecięca wersja choroby umysłowej - wszystkie uprzedzenia dotyczące szalenstwa przetrwały w dziecięcej subkulturze, przekazywane przez dziewięciolatków osmiolatkom, rok po roku. Wariatkowo. U czubków. Haniebne, straszne. Step i DeAnne musieli jakos przetłumaczyć mu, że jego przypadek jest odmienny. Bedzie to szczególnie trudne, gdyż DeAnne podświadomie bała się, że to właśnie czeka jej syna u końca drogi.

Postanowiła się ochlapać. Step zamontował poręczniejszy prysznic, co było błogosławionym usprawnieniem, zwążywszy na zaawansowaną ciążę - mniej schylania się i wyciągania, gdy stoi na mokrej i śliskiej powierzchni. Przyjemnie być czystą. Zdarzało się, kiedy chodziła w ciąży, iż notorycznie czuła się brzydka i odpychająca; włosy zdawały się szybciej tłuszczyć i platać na głowie, czuła się pokraczna i bulwiasta, bolały ją plecy, nogi, dokuczały skurcze mięśni, nieustannie była zbyt

przemeczona, by mieć ochotę na mycie; jeśli chciała coś zrobić, zawsze wszechobecny był ten brzuch i czasami nie chciało jej się wstawać z łóżka. Ale gdy tylko zrzuciła z siebie okrycie - na tym etapie już i z tym było mnóstwo problemów - i oplukwała się, pozwalając wodzie chłostać ciało i smagać, czuła się lepiej, jakby miała więcej energii. Czowała, że może jednak warto powitać nowy dzień.

Kiedy tylko wyszła z łazienki, Step chwiejnym krokiem poczłapał pod prysznic. Dwadzieścia minut przed zwykłym czasem pobudki. On także pamiętał. Obserwowała go, gdy ściągając nocne okrycie i wciskał je do kosza z praniem. Przy obecnej pracy jego ciało zdecydowanie traciło sprężystość. Dawny regulamin z Vigor uwzględniający wyprawy rowerowe i zwracanie uwagi na to, co je, utrzymywały go w dobrej kondycji przez ostatnie kilka lat, lecz brzusek znów dawał znać o sobie, jak również tłuszcz na pośladkach i miękkość rysów twarzy. Był ciastowaty i miał nadwagę, kiedy się w nim zakochała; nie dbała o to w przeciwieństwie do niego, wiedziała, iż nie jest zadowolony ze swojej sylwetki. Zatem gdy narzucił sobie rygor kilka lat temu, zrzucił wagę i nabrał krępy dzięki ćwiczeniom, jakich nigdy nie praktykował w szkole średniej ani na studiach, spodobało jej się to głównie dlatego, że stał się szczęśliwszy, pewniejszy siebie. Patrzac teraz na niego powiedziała: Eight Bits Inc. pomalutko go niszczy.

Chciała powiedzieć: rzuc dziś te prace, Step. Wróć na rower. Zapisz się na siłownię. Odejdź od automatu z balonikami.

Gdybysmy tylko nie przeprowadzili się do Steuben.

Kiedys wyglądało to na jedyne słusze rozwiązanie. Choć była już w ciąży, zanim nawet Step pomyślał o szukaniu pracy, zdawało się, że tak właśnie trzeba. Rzecz niemal nieunikniona. Jesteśmy po prostu stworzeni, by wędrować, przypuszczała. Nigdzie na dłużej nie zapuszczamy korzeni. Duch zdobywców prairii, pionierów, którym wszczepiono mormońską kulturę, by jej członkowie gotowi byli na nagłe, zdarzające się co kilka lat przenosiny na inną ziemię. Możliwe też, że wmieszał się w to wszystko jakiś czynnik genetyczny. Ludzie bedacy urodzonymi nomadami.

Później pomyślała o karczowaniu drzew i budowaniu chat z bali, zamiataniu glinianej podłogi i gotowaniu przy palenisku; niemożności wykapania się i chodzeniu do wychodka, rodzeniu dziecka w kucki, samotnie i w ciemności, na słomie; zdecydowanie nie chciałaby być pionierem. Przemierzanie nie zbadanych krain to fajna rzecz, jeśli wędruje się z miejsca wyposażonego w ubikację, elektryczność i pobliski szpital do drugiego podobnego.

Podreptała do kuchni, by przygotować sobie miszkę otrębów z rodzynkami, lecz kiedy otworzyła lodówkę i wyciągała mleko, zauważyła, że wokół jest nieznosnie ciemno. Zazwyczaj rankiem promienie słońca wpadały przez okno kuchni wychodzące na wschód.

Z plastikowym dzbankiem mleka w ręce odwróciła się i spojrzała w stronę okna, by przekonać się, jaka jest pogoda. Pogoda nie miała nic wspólnego z ciemnością w pomieszczeniu. Większa część szczeliny pomiędzy oknem a zasłoną, prawie sześć cali od góry, wypełniały chrząszcze, których przezroczyste ciała mieniły się czerwono i brązowo, kiedy ostre promienie słońca próbowały dostać się do środka.

To było tak zaskakujące i odrazające, wszystkie te owady tłoczyły się i rozpychały, DeAnne krzyknęła. Wtedy poczuła, jak coś chłodnego przyska jej po nogach, co wywołało następny okrzyk przerażenia. Dopiero wówczas zauważyła, że to z opuszczonego dzbanka odskoczył kapsel i mleko rozlało się po podłodze. Teraz dzbanek leżał na boku i pozbywał się z gulgótem reszty zawartości. Szybko, jak tylko mogła, kucnęła, by podnieść naczynie, nim wszystko wypłynie na zewnątrz, lecz poruszała się tak ociężała, że kiedy dotknęła dzbanka, fala zamieniła się w strzykę. Około jednej trzeciej pozostało w środku, ale większość rozlała się, tworząc rozległą plamę.

Nie radze sobie, pomyslała. Z tym strasznym domem. Inwazja chrabaszczy, mleko na podlodze, kredens, który po tych wszystkich miesiacach wciaz pachnie kawa, nienawidze tego miejsca.

Podniósłszy sie ciezko, papierowymi scierkami starla mleko z nóg i bosych stóp. Potem podeszła do szafki i wyjela z niej stare reczniki, które rzucila na podloge, by wchloneły rozlane mleko. Następnie znowu z trudem kucnela i zebrała ociekajace szmaty.

- Cholera, cholera, cholera - powiedziala.

- Dzień dobry - rzekl Step. Stal w drzwiach kuchni.

- Upuscilam mleko - wyjasnila DeAnne.

- Co za ulga. A juz myslalem, ze je zuzylas. Do największej na swiecie porcji platków owsianych.

- Mialam dzis ochote na otreby z rodzynkami.

- To wszystko tłumaczy.

Nie cierpiala tych jego zartów, gdy nie zwazal na jej zle samopoczucie. Jednak pomógł jej wstac, mówiac:

- Nie powinnas tego robic, Rybia Damo.

Usiadłszy przy stole, obserwowala, jak zbiera przemoczone reczniki, by zabrac je do prania. Kiedy wyszedl, odwazyla sie zerknac w kierunku okna, w nadziei, ze przesadzila, jesli chodzi o ilosc owadów. Nie przesadzila.

Wrócił Step, zmierzajac po wiecej papierowych scierek, zeby dokonczyc wycierania. Nagle zauwazyl okno.

- Ach - powiedzial. - Teraz juz wiem, skad to „Cholera, cholera, cholera”.

- „Cholera, cholera, cholera” bylo przez mleko i przez to, ze jestem w ciazy - odparla DeAnne. - Z powodu tego robactwa wrzeszczalam, tyle ze musiales byc wtedy pod prysznicem i nie slyszales.

- Niedobrze, ominal mnie niezly ubaw. - Step przechylil sie nad zlewem, by przyjrzec sie blizej chrzaszczom. - Jak sie tu dostaly?

- Nie mam pojecia. Moze jakis obrotny chrabaszcz sprzedawal bilety? - Rozesmial sie, ona tez, choc wcale nie bylo to takie zabawne.

- Wszystkie sa martwe - stwierdzil Step. - Zaden nawet nie mrugnie. Dziwne, nie? Jakby wszystkie chrzaszcze, które wiedzialy, ze wybila ich godzina, zebrały sie noca, by tu umrzec.

- Zatem mamy największa na swiecie kolekcje chrzaszczy, tyle ze wszystkie naleza do jednego gatunku.

- No cóz - zauwazyl Step. - Dobrze, ze wstalismy dzis wczesniej. Ta rolka papieru niemal sie juz zuzyła, mamy gdzieś wiecej?

- Tak, lecz musimy porozmawiac jeszcze ze Steviem - zwróčila mu uwage DeAnne. - Chce, zebys tez

był przy tym. Podłogę może umyć później.

- Wycieranie jej zajmie jedynie minutkę - rzekł Step.

- Nie można zmyć tylko mleka - oświadczyła DeAnne. - Muszę wyszorować podłogę.

- W ciąży?

- Nie pierwszy raz, sam wiesz. Do tego służy bendectin, by kobiety w ciąży mogły szorować podłogę, podczas gdy ich faceci oglądają walki w bloku na ESPN.

Spojrzał na nią, oczy zmrużył w przeblysku szyderstwa.

- Feministyczna zdzira - powiedział.

- Meska, szowinistyczna świnka - udawała, że odwzajemnia spojrzenie.

- Niech no zgadnę - zagadnął, patrząc z powrotem na okno. - Nie chcesz chyba, by ci panowie zostali tu cały dzień?

- Rozmowa ze Steviem jest ważniejsza.

- Jeszcze go tu nie ma. - Step poszedł po zielony, plastikowy worek na śmieci. - Tym razem twoja kolej na trzymanie worka.

- Och, Step. - Zatrzesła się.

- Wybieraj: albo to, albo wspinasz się na błąd, by otworzyć okno.

- Nie można tego zrobić na zewnątrz? - spytała. Chwytały ją mdłości, gdy myślała o tych wszystkich chrząszczach w kuchni.

- Nie mam drabinki - oznajmił. - Nie mam też ochoty guzdrac się z odkrecaniem śrubek przy zasłonce, kiedy mogę po prostu podnieść okno. Nie bardzo mam czas na półgodzinna pracę dziś rano.

- Mogę zadzwonić do Bappy'ego - zaproponowała DeAnne.

- By znów wszystko opryskał? - zapytał Step. - Poradzę sobie, prócz tego nie chce, by Bappy wykonywał pracę, z którymi sam potrafię dać sobie radę. Sami potrafimy, jeśli mi pomożesz.

Zabrała się do dzieła. Step przymocował dolne rogi worka do parapetu dużymi, czerwonymi pojemnikami na sól i pieprz, które stały obok kucharki.

- Nie używaj ich - poprosiła. - Jeśli posypią się na nie chrząszcze, nigdy się nie zmuszę, by z nich skorzystać.

- Jeżeli nie masz czterech rak, Rybia Damo, musimy worki czymś przymocować.

Schyliwszy się niezgrabnie, wyciągnęła z szafki pod zlewozmywakiem dwie wielkie, opakowane kostki

mydła toaletowego.

- Wspaniale, moja ukochana asystentko. Dlatego właśnie musisz być przy mnie: twoja niezwykła zaradność jest niezastąpiona.

Teraz, gdy dolne rogi zostały zamocowane, DeAnne podstawiała otwarty worek pod oknem, które Step wolno otwierał. Ciało chrząszczy z grzechotem odrywały się od szyby i wpadały do worka niczym przona kukurydza. Ten dźwięk, drgania worka, świadomość, co jest w środku - wszystko to pokonało DeAnne. Instynktowne obrzydzenie do robactwa, o wiele głębsze i silniejsze od zdrowego rozsądku, przeważało. Na moment straciła kontrolę. Zajęczała, ciało przeniknęło potężny, niemożliwy do opanowania dreszcz i puściła worek.

Natychmiast górny brzeg opadł poniżej skrajów otwartej części okna, chrząszcze zaczęły spadać na wierzch worka, zamiast do jego wnętrza.

- A niech to szlag! - zdenerwował się Step. - Czy nie możesz...

Nie kończąc zdania, sięgnął po worek i podniósł go na nowo, by owady mogły wpadać do środka. Oczywiście, te, które znalazły się na zewnętrznej stronie, zślizgnęły się teraz na półki, do zlewu i na podłogę, wciąż mokra po rozlanym mleku.

- Czy nie możesz zrobić czegoś jak należy? - DeAnne zakończyła za niego zdanie.

- Nie to zamierzałem powiedzieć - odrzekł Step.

- A właśnie, że to - upierała się DeAnne.

- Miałem już powiedzieć, czy nie mogłabys przynajmniej otworzyć go z powrotem, potem zobaczyłem, że nie, więc sam to zrobiłem. Nie wkładaj w moje usta słów, szczególnie kiedy są to podle i złośliwe słowa, o których wypowiedzeniu nawet nie myślałam.

- Niezle ci idzie to tłumaczenie się.

- Po prostu wyjdź z kuchni, dopóki nie skończysz czyścić, w porządku? - zazała Step. - Czy myślisz, że praca przy martwych chrabaszczach sprawia mi przyjemność? Sądziś, że stojąc bezczynnie, pomagasz mi, na dodatek przy okazji próbując pokłócić się ze mną?

Powstrzymując łzy gniewu, walcząc z ripostami, cisnącymi się na język, DeAnne wybiegła z kuchni. Czy jakieś chrząszcze dotknęły jej ręk? Pospieszenie udała się do łazienki dzieciaków, gdzie umyła się mydłem Lava, piaszczystym i szorstkim, próbując zetrzeć niewidzialny brud. Tylko że nie zmywała miejsc dotkniętych przez owady, zmywała ślady bezsensownej sprzeczki.

Splukowała i wytarła dłonie, po czym poszła obudzić Steviego. W czasie roku szkolnego przywykła budzić go przez potarcie pleców. Zazwyczaj w pewnym momencie jego oczy otwierały się szeroko i mówił „Cześć”. Dzisiaj jednakże, nie unosząc powiek, mruknął:

- Nie ma szkoły.

- Wiem, że nie ma szkoły, kochanie - powiedziała miękko. - Lecz twój tata i ja chcemy porozmawiać z tobą o czymś, nim tata wyjdzie do pracy.

- Niech będzie. - Raptownie otworzył oczy.

Wiedziała, że zejdzie teraz ostrożnie z piętrowego łóżka i ubierze się, nie budząc Robbiego. Wróciła i stanęła w drzwiach kuchni.

Step używał papierowych serwetek, by zebrać martwe owady ze stołu kuchennego, po czym wrzucał je do worka na śmieci. Woda była odkrecona, utylizator włączony. Wyobraziła sobie, że zsypuje ciała chrząszczy do gardła maszyny, po czym ostrza utylizatora siekają je na mikroskopijne kawaleczki. Ta myśl sprowadziła na nią kolejną falę dreszczy, poczuła, jak jej pusty żołądek skreca się od mdłości.

- Dziękuję, że pomogłeś mi w tym - powiedziała.

- Pewnie będziesz chciała wytrzeć dzbanek z mlekiem i włożyć go z powrotem do lodówki - odpowiedział chłodno.

Trudno, zasłużyła na ten ton. Pozwoliła, by jej wstąpienie do robactwa obrócił się przeciwko niemu, a on na to nie zasłużył. Mimo to musiała czymś napelnić żołądek, a nie mogła jesc w kuchni, dopóki nie znikną wszystkie chrząszcze.

- Step, przykro mi - wykrztusiła.

- W porządku.

Wiedziała, że kiedy się na nią gniewa, lepiej nie zmuszać go do rozmowy. Lepiej poczekać, dać mu ochłonąć, wtedy będzie uprzejmiejszy, wybacza sobie nawzajem, przy czym on uprzedzi się, że to wszystko jego wina i znów będzie jak dawniej. Lecz czasem nie potrafiła po prostu zmusić się do wyczekiwania, bo podczas gdy on potrzebował spokoju po kłótni, ona nie mogła znieść samotności, która odbierała jak uderzenie, zatem musiała z nim porozmawiać, wyjaśnić, przekonać się, że jej nie znienawidził, że ciągle ją kocha i jej pragnie. Wiedziała, że to kompletnie irracjonalne. Jak jego potrzeba samotności po spieciu.

- Step, przykro mi - powtórzyła.

- Powiedziałem przecież, że w porządku. - Ton głosu klócił się jawnie z trescia.

- To znaczy, choć jest mi przykro, muszę coś powiedzieć.

- Więc powiedz - rzekł niecierpliwie, patrząc w inną stronę.

- Chcę, żebyś umył stół. Wszędzie gdzie były te chrząszcze. Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale chyba nie zdolam nic zrobić dziś w kuchni, jeśli jej najpierw nie umyjesz. Proszę.

- Też to miałem w planie - odpowiedział. Wrzucił papierową serwetkę do worka w ślad za ostatnim owadem. Potem zebrał wierzch worka i trzymał go jedną ręką, a drugą obrócił, aż pod dłoń powstał twardy splot. Zwinał go w węzeł.

Taki jest przy tym zreczny, pomyślała DeAnne. Jakby wykonywał wszystko zgodnie z recepturą. Jakby jego rece znały wszystkie sekrety wykonywania tej czynności. Zastanowiła się, jakie to uczucie: pomyśleć o czymś, a to natychmiast się spełnia.

Wyniósł worek na zewnątrz, a pod jego nieobecność odważyła się wejść do kuchni. Nie było aż tak tragicznie, pod warunkiem że nie podchodziła do zlewu ani do wciąż częściowo otwartego okna.

Słyszała, jak Step otwiera wieko kubła i wrzuca don worek. Wytarła pojemnik na mleko, znalazła łyżkę i miszkę, napełniła ją otrębami i mlekiem, którego resztę odstawiała z powrotem do lodówki, po czym się zorientowała, że nie może pozostać w kuchni ani chwili dłużej. Przeniosła się do pokoju dziennego.

Spotkała tam Steviego, grał na komputerze. Musi testować tę nową grę, którą Step kupił mu na urodziny, pomyślała, choć kosztowała pięćdziesiąt dolarów i z trudem mogli sobie na nią pozwolić. Zobaczyła statek piracki z podniesionymi żaglami, niedaleko zbliżał się drugi statek. Oba manewrowały, by oddać salwy z burt. Przypomnił jej się film „Kapitan Blood”, którego nie oglądała przed ślubem, lecz Step oglądał go, będąc dzieckiem, i czytał z zamiłowaniem książkę. Kiedy więc puscili go na kablówce, Step nagrał go na kasetę i kazał całej rodzinie oglądać. Film okazał się naprawdę dobry, niesamowicie zabawny. Errol Flynn jako prawdziwy zawadiaka. Gra była podobna.

Pochlaniała płatki, które stopniowo miękły, obserwując z kanapy grającego Steviego.

- No dalej - rzekł Stevie spokojnie. - Uda ci się.

Powiedział to z przekonaniem, jakiego DeAnne nie słyszała w jego głosie, odkąd się tu wprowadzili.

- No dalej, Roddy.

Czyżby nadawał imiona ludzikom z gier komputerowych?

- O to chodziło, pomóż mi, Scotty. Na pewno ci się uda.

Udawał, że wyimaginowani przyjaciele stanowią część gry komputerowej. Tak już jest lepiej, pomyślała DeAnne. Przynajmniej w grze komputerowej widac ich na ekranie. Być może grając w Lode Runnera Stevie przeniesie swych przyjaciół z ogródka na ekran komputera, skąd po prostu znikną, gdy tylko wyłączy zasilanie. Może problem sam się rozwiąże i nie będą zmuszeni zabierać go do psychiatry, a przynajmniej nie będą musieli chodzić tam zbyt długo.

- Przedziej, Jack! Roddy ma kłopoty, a Scotty nie może - no właśnie! Poszło łatwo! Masz go!

Obecnie dwa statki ostrzeliwały się z dział, po czym pofrunęły haki. DeAnne była pod wrażeniem. To wyglądało niemal jak film, ruch na ekranie był taki realistyczny. Ta gra nie przypominała tych... ograniczonych gier, jakie dotąd oglądała. Jak Hacker Snack, na przykład. Jeśli tak radzi sobie konkurencja, Step będzie musiał się sporo napocic, by zrównać się z czołową.

- Jeśli wejdiesz do środka, zamiast się gapić, David, dopiero będzie zabawa - powiedział Stevie.

Jej serce przestało bić na moment. Rozmawiał z bohaterami gry, jakby byli żywi. Jakby mogli go słyszeć. Nie tylko jakies tam „No dalej, ruszcie się”, jak pokrzykują ludzie, oglądając w telewizji mecz koszykówki czy futbolu, ale pełny dialog, jakby ekran potrafił odpowiedzieć. Stan Steviego nie ulegał żadnej poprawie, komputer nie mógł tu nic pomóc.

Przypomniała sobie imiona, jakich używał. Regularnie pojawiał się Jack i Scotty, wczoraj wymienił nowego, Davida, a dziś doszedł czwarty, Roddy. Sytuacja się pogarszała.

Usłyszała, jak w kuchni Step zakreca wodę. Skonczyła jeszcze, zbliżała się pora, by Step wyszedł do pracy.

- Stevie, przerwij na chwilę grę, byśmy mogli z tata...

Zanim jeszcze dokonczyła zdanie, Stevie siegnął ręką za Atari i wyłączył komputer. Tak po prostu.

- Kochanie, mogłeś zapisać grę - powiedziała. - Nie musiałeś wyłączać komputera.

- Nie szkodzi - odparł.

Do pokoju dziennego wszedł Step.

- Cześć, Stevie - przywitał się. - Przepraszam, że musiałeś wstać wcześniej pierwszego dnia wakacji, lecz chcieliśmy ci z mamą powiedzieć, co się dzisiaj stanie.

Stevie czekał. Wydawało się, że nie jest zbyt zainteresowany.

Step spojrzał na DeAnne.

Och, czy to naprawdę moja kolej? Załóżmy, że zasłużyłam sobie.

- Stevie, odkąd przyjechalismy do Steuben, martwimy się o ciebie. Zawsze jesteś taki smutny i cichy.

- Nic mi nie dolega.

- Problemy w szkole, o których nic nie wiedzieliśmy - ten Stevie, którego znaleźliśmy zeszłej jesieni w Vigor powiedziałby nam o nauczycielce zachowującej się jak pani Jones.

- Odeszła - powiedział.

- Wiemy, że odeszła - ciągnęła DeAnne. Wyczuwała we własnym głosie rosnące zniecierpliwienie. Tak ciężko jest nawiązać ze Steviem kontakt, kiedy uchyla się od odpowiedzi. - Ale nawet po tym, jak odeszła, nie poprawił ci się humor.

- Czuje się dobrze - rzekł Stevie.

Step przyszedł z odsieczą, przynajmniej na chwilę:

- Nie chodzi tylko o to, że stałeś się smutny i cichy, Kluczniku. Nie chcesz się już bawić z Robbiem i Betsy.

Stevie oglądał sobie dłonie.

- A ci twoi przyjaciele - dodał Step. - Martwi nas, że spędzasz cały swój czas, bawiac się z wymyślanymi przyjaciółmi.

Stevie się zaperzył.

- Nie wściekaj się na mnie, Stevie, a raczej mi pomóż. Od miesiąca mówisz o Jacku i Scottym, lecz kiedy obserwujemy, jak się bawisz, nikogo poza tobą nie widzisz.

- Ja nie kłamie - oznajmił Stevie.

- Więc co mamy o tym myśleć, kochanie? - zapytała DeAnne.

- Ja nigdy nie kłamie.

- Nikt z nas nie twierdzi, że kłamiesz - wtracił Step. - Tu nie chodzi o kłamstwo. Nie chodzi tu o to, co dobre, a co złe. Po prostu chcemy pójść z toba do lekarza.

- Myślicie, że zwariowałem? - spytał Stevie. Był bardziej zdenerwowany, lecz nie patrzył na żadnego z rodziców. Patrzył w przestrzeń między nimi.

- Stevie, nie ma o tym mowy - odparł Step. - Wcale nie sadzimy, że zwariowałeś. Po prostu myślimy, że jest ci ciężko, i chcemy poradzić się kogoś, kto wie, jak pomóc w takich wypadkach. Eksperta. Lekarza.

Stevie milczał.

- Nazywa się dr Weeks - powiedziała DeAnne. - Jej syn jest członkiem naszej gminy, więc nie jest takim obcym.

- Mimo to nie jest mormonem - dodał Step.

- To prawda - potwierdziła DeAnne. - Lecz twój ojciec spotkał się z nią i okazała się bardzo miłą panią. Chcemy tylko, byś z nią porozmawiał. Jesteś to w stanie zrobić?

Stevie kiwnął głową.

- Porozmawiasz z nią szczerze i otwarcie? - spytała DeAnne.

Teraz jego piorunujące spojrzenie spoczęło bezpośrednio na DeAnne.

- Zawsze mówię tylko prawdę.

- Wiem o tym - odparła DeAnne. - Nie miałam na myśli, że mógłbyś skłamać, chce tylko, byś z nią porozmawiał. Opowiedział, co zdarzyło ci się w życiu. Jak patrzysz na świat. Nie rozmawiasz za wiele z ojcem lub ze mną, więc pomyśleliśmy o kims innym, mógłbyś porozmawiać z kims spoza rodziny.

Stevie siedział, ponownie wpatrywał się w przestrzeń między nimi.

- Czy mogę czasem odwiedzać dom? - zapytał.

- Och, Stevie, to nie tak! Chce cię tylko zabrać na wizytę o dziesiątej. Wejdiesz do środka, poznasz ją, porozmawiasz, a potem wrócimy do domu. To tylko raz w tygodniu, nie spędzisz tam nawet całej godziny. Nie wysłalibyśmy cię w żadne obce miejsce, Stevie!

Ponieważ Step nie był w ciąży, mógł zejść z kanapy i ukleknąć przy Steviem, obejmując go. Tym razem Stevie zareagował, odwrócił twarz w stronę ojcowskiego ramienia.

- Stevie - powiedział Step. - Stephen, mój synu, jesteś najjasniejszą gwiazdka w najciemniejszej nocy, sadzisz, że kiedykolwiek pozwolilibyśmy ci odejść? Zawsze będziesz z nami, chyba że zechcesz odejść, a mam nadzieję, że nie dojdzie do tego, nim dorosniesz na tyle, by podjąć się misji i ożenić. Na to potrzeba jeszcze wielu lat. Nigdy cię nigdzie nie wysłamy, choćby nie wiem co.

Nie wolno ci tego mówić, pomyślała DeAnne. A jeśli trzeba go będzie umieścić w szpitalu? Co wtedy? Stałbyś się wtedy kłamcą, Step. Chyba że naprawdę dotrzymasz słowa i nawet jeśli będzie potrzebował terapii, nie puszczysz go z domu. Ale to by była miłość!

Wtedy pomyślała: Ja też bym go nie puściła.

- Stevie, jeśli powiesz nam teraz, że nie chcesz iść do tego lekarza - kontynuował Step - nie będziemy ci iść. To zależy od ciebie. Nie uważamy, że byś zwariował czy coś w tym rodzaju, ale sadzimy, że przeżywasz ciężki okres i dr Weeks może ci pomóc przetrwać te chwile, pomóc ci znaleźć sposób, byś sam rozwiązał swoje problemy. To wszystko. Naprawdę, zależy nam, że byś spróbował, ale jeśli tylko powiesz „nie”, nie będziemy ci iść.

Jak mogłes to powiedzieć! - krzyknęła DeAnne w duchu. Zdając się na jego widzimisie. To tak jakby pytać dziecko, czy chce szczepionkę przeciwżółtaczki! A jeśli Stevie odpowie „nie”, co wtedy, Step, co z twoją obietnicą, że go zabierzesz?

- Nie chce - odparł Stevie.

No i sprawa się rypla. Wielkie dzięki, Step!

Lecz Stevie nie zdecydował jeszcze.

- Naprawdę ona pomaga ludziom rozwiązywać problemy? - zapytał.

- Czasami - potwierdził Step.

- No to pójdź - zgodził się Stevie. Nie gniewał się już dłużej.

- Dzięki, Kluczniku - powiedział Step. - A jeżeli okaże się to złym pomysłem albo ona ci się nie spodoba, nie będziemy ci więcej do niej chodzić, okej? To nie szkoła, nie ma prawa, które mówi, że musisz się z nią spotykać. Kapujesz?

Stevie przytaknął. Wstał i opuścił pokój. DeAnne pragnęła go zatrzymać, pocieszyć. Lecz gdyby oczekiwał czegoś podobnego, mógłby jeszcze zostać. Chciał zostać sam i miał do tego prawo.

Step usiadł bliżej DeAnne i objął ją.

- Powiedziałbym, że poszło całkiem niezle - stwierdził. Nie odezwała się. - Wiem, co teraz myślisz - rzekł Step. - Nie jest to prawda.

- A co takiego myślisz, bystrzaku? - zapytała.

- Myślisz, że jesteś najgorszą żoną i matką pod słońcem, ale ja ci mówię, że to tylko ta ciąża tak na ciebie wpływa.

- Wcale nie.

- Wiem, że nie cierpisz, kiedy wywlekam takie rzeczy, ale ty zawsze podczas ostatnich dwóch miesięcy ciąży wpadasz w makabryczne przygnębienie. Najgorsza matka - dziecko będzie szczęśliwsze, jeśli urodzi się martwe...

- Nigdy nie wspomniałam o tak strasznej rzeczy!

- Mówilas tak przy Robbiem i mówiłas tak przy Betsy.

- A zatem jestem maszyna, która hormony wykorzystują, by spełniły się ich nieczne plany na ziemi.

- Nie twierdże, że to, co czujesz, nie jest realne, Rybia Damo - rzekł Step. - Chce tylko, byś wiedziała, że nie powinnas wierzyć we wszystko, co ci się mówi. Jesteś cudowna żona, nie chciałbym mieć innej.

- Naprawdę? A cóż tak cudownego zrobiłam dziś rano? - zaciękawila się DeAnne.

- Po pierwsze, utrzymałas moje czwarte dziecko przy życiu przez kolejną dobę, a to praca w pełnym wymiarze godzin. Poza tym nie przerywałas mi, kiedy zgodnie z twoją oceną pozwalałam Steviemu nie iść do psychiatry.

- A to dobre, spostrzegles ostatnio, że potrafisz czytać w myślach?

- Siedziałas na skraju kanapy, jakby tylko to powstrzymywało cię od przyskoczenia do mnie i zaszcucia mi ust dratwa - odpowiedział Step. - Nie muszę uciekać się do czytania w myślach. Lecz nie zrobiłas tego. Zaufałas mi i udało się. Powiedziałbym, że należałoby ci przyznać medal dla bohatera poranka.

- To nieprawda - DeAnne była innego zdania - zważywszy na to, jak z tobą rozmawiałam w kuchni.

- Niczego, co powie ktoś, kto przed chwilą stał oko w oko z pięcioma tysiącami chrabaszczy wybaluszających gął przez kuchenne okno, nie można wykorzystać przeciwko niemu - powiedział Step.

- A teraz daj mi buziaka, nim wyjde do pracy, bo właśnie podjechał mój szofer.

Pocałowała go.

- Nawet nie zjadles śniadania - przypomniała.

- A po co komu śniadanie w świecie automatów z balonikami?

Po tych słowach podniósł się i wyszedł.

Zabranie Stewego do dr Weeks przyniosło raczej rozczarowanie. Wtoczyła dzieciaki do samochodu. W drodze do lekarza Stevie milczał, ale przecież zawsze niewiele mówił. Kiedy dotarli na miejsce, nie było kolejki; recepcjonistka powitała Stewego uśmiechem, mówiąc, że mama, braciszek i siostrzyczka poczekają na niego, gdy będzie w gabinecie, a poza tym spytała, czy mógłby wejść od razu i spotkać się z dr Weeks. Stevie nawet nie obdarzył DeAnne pożegnalnym spojrzeniem. Po prostu pozwolił recepcjonistce wprowadzić się do gabinetu, niczym żołnierz przyzwalający sierżantowi popędzić się do boju.

Musi się udać, myślała DeAnne, opowiadając Robbiemu i Betsy bajki w poczekalni. Panie, proszę, pomóż dr Weeks znaleźć sposób, dzięki któremu przywrócilibyśmy Steviemu dawny wigor.

Uplynęła godzina i Stevie wyszedł. DeAnne uniosła brew pytająco w stronę dr Weeks, lecz ta nie miała zamiaru zwierzać się DeAnne z czegokolwiek w obecności Stewego. Uśmiechnęła się po prostu i potrząsnęła ręką DeAnne, potem laskawie uscisnęła dłoń Robbiego, który zapytał, czy też mógłby kiedyś wejść i porozmawiać, gdyż jest naprawdę niezły w rozmawianiu z ludźmi i o wiele bardziej mu się to podoba niż Steviemu. Dr Weeks zasmiała się, mówiąc:

- Może kiedyś, Robbie, ale nie teraz.

W drodze do domu DeAnne chciała wypytać Steviego, jak przebiegała rozmowa, ale oparła się pokusie. Chłopak nie zdecydował się mówić otwarcie z dr Weeks, wiedząc, że zaraz po wejściu do samochodu czeka go śledztwo. Ograniczyła się więc tylko do zdawkowego pytania, jak mu poszło.

- Dobrze - odpowiedział.

Następnego ranka, siedząc samotnie w kuchni, o 8:30 zadzwoniła do mieszkania dr Weeks w nadziei, że zastanie ją przed wyjściem do pracy. Słuchawkę odebrał mężczyzna. To musi być Lee - domyśliła się DeAnne.

- Czy mogę rozmawiać z dr Weeks? - zapytała.

- Mam powiedzieć, że kto dzwoni? - spytał Lee.

- DeAnne Fletcher.

Przerwa.

- A o co chodzi? - zapytał ponownie Lee.

- Nie ma jej w domu? - DeAnne nie myślała zwierzać się temu młodziencowi. Nie po jego zachowaniu przy chrzcie.

- Muszę jej powiedzieć, o co chodzi - powiedział Lee.

- W takim razie zadzwonie później.

Jednakże kiedy to mówiła, usłyszała kliknięcie na linii.

- Halo? - głos należał do dr Weeks.

- Dr Weeks, przepraszam, że przeszkadzam pani w domu, lecz chciałam porozmawiać z panią, nim pacjenci zjawiają się w gabinecie i zanim zbudzą się moje dzieciaki.

- Wszystko w porządku - odparła dr Weeks. - A kto mówi?

- Och, przepraszam. Myślałam, że Lee pani powiedział. Tu mówi DeAnne Fletcher, matka Steviego.

- Lee z panią rozmawiał?

- Tak, podniósł...

- Lee, odłóż natychmiast słuchawkę!

Długie milczenie.

- Widocznie już odłożył - powiedziała DeAnne.

- Lee, odłóż ją w tej chwili! Rozmowa nie dojdzie do skutku, jeśli nie odłożysz słuchawki.

Kolejne milczenie. A potem kliknięcie.

- Przykro mi, pani Fletcher. Czasami myślę, że mieszkam pod jednym dachem z przerosniętym czterolatkiem.

- Tak, rozumiem - powiedziała DeAnne. Lecz w rzeczywistości nie rozumiała.

- Chciała pani...?

- Ja po prostu... chciałabym wiedzieć, czy pani... czy mogę w czymś pomóc. Informacja lub cokolwiek. Po wczorajszej wizycie Steviego.

- Raczej nie - odparła dr Weeks. - Już mi pani przekazała podstawowe informacje. Aha, byłabym wdzięczna, gdyby sporządziła pani listę imion wszystkich tych wyimaginowanych przyjaciół i przelała mi ją do biura.

- Wszystkie imiona mogę wymienić już teraz.

- W biurze, proszę - obstawała dr Weeks. - W ten sposób utrzymuję wszystko w ścisłej tajemnicy.

- W porządku - nie nalegała już DeAnne. - Dziękuję. I obiecuje nie naprzykrzać się więcej w domu.

- Tak będzie najlepiej - powiedziała dr Weeks. - Życzę dobrego dnia. - Po tych słowach odłożyła słuchawkę.

Na ułamek sekundy, nim DeAnne odłożyła słuchawkę, usłyszała kolejne kliknięcie.

Lee jednak nie posłuchał matki. Musiał przez cały czas podsłuchiwać.

Nie dziwota, że dr Weeks kazała przelać sobie listę do biura. Nic dziwnego, że powiedziała: „Tak będzie najlepiej”. Nie było to nieuprzejmością, a jedynie zwyczajnym przystosowaniem się do okoliczności. Lee szpiegował matkę, kiedy tylko miał sposobność. W domu nie miała nad nim kontroli.

DeAnne bezzwłocznie usiadła przy stole, zapisując imiona, które pamiętała. Jack i Scotty, rzecz jasna. A wczoraj rano, kiedy Stevie grał w Lode Runnera... Jak brzmiały ich imiona? Roddy. A o Davidzie wspominał już po chrzcie. A więc czterech. Jack, Scotty, Roddy i David.

Odłożyła te kartki i sięgnęła po nową, pisać:

„Imiona przyjaciół Steviego w porządku chronologicznym:”

„Scotty”

„Jack”

„David”

„Roddy”

Przez chwile siedziala nieruchomo, przypatrujac sie liscie. Wyobrazajac sobie tych wyimaginowanych przyjaciól. Czterech chlopców w wieku Steviego. Moze Scotty byl rudzielcem jak Johnny Whitaker, ten maloletni aktor? Jack zas piegusem o okraglej twarzy i kasztanowych wlosach, jak Artful Dodger z „Olivera”? David w jej wyobrazni byl spokojnym, niesmialym, flegmatycznym blondynem. Roddy dla odmiany zdawal sie zuchwaly, z tendencjami do pakowania sie w klopoty, z których inni musieli go wyciagac. Wszyscy myszkują nieustannie po domu, wpadajac co chwila do kuchni, a ona musi odganiac ich od lodówki, gdz w przeciwnym razie nie zostanie nic na obiad. Z drugiej strony wpadaja i opowiadaja o zabawach w ogródku, spoceni od biegania i wydzielajacy ten cierpki dziecięcy zapach, który DeAnne kojarzy sie z bratem: prawdopodobnie najgorszy zapach na swiecie, myslala wtedy, lecz obecnie z rozkosza wdychalaby go, gdyby unosil sie wokól Steviego, wokól jego przyjaciól, won potu, którym zalby sie po godzinach dzikiej popołudniowej zabawy, kiedy letnie wakacje rozpoczna sie na dobre, a wciaz wydłużajace sie dni pozostawia im tyle czasu wieczorem. Robaczki swietojanskie, niczym deszcz mikroskopijnych meteorów, przyozdobia trawniki, a dzieci beda biegac i biegac, i nie przestana, az zawola: „Czas do domu, chlopcy, nie uwazacie? Ale najpierw mam tu troche mleka i upiekłam ciasteczka po kolacji, pamietaj, Stevie, bys najpierw poczestowal kolegów, po jednym dla kazdego, moze jesli umyjecie rece, nie zlapiecie zadnej brzydkiej choroby. Cos mi sie zdaje, ze bede musiala nauczyc was obsługi kurka od kranu, patrzac na was, chlopcy, nie przypuszczam, by którykolwiek spotkal w zyciu umywalke. Kwadratowa rzecz przy zlewie to kostka mydla”. Beda sie smiac i protestowac, a Stevie powie „Maaamo”, po czym chlopcy zjedza ciasteczka i kawalki czekolady przylepia im sie do kacyków ust.

O, Boze, dlaczego Stevie nie moze miec prawdziwych przyjaciól? Dlacznego nie slysze glosu mego syna, jak wykrzykuje przed domem: „Slonko, slonko juz zachodzi!”, kiedy wieczorny mrok ogarnia ulice?

Zlozyla zapisana kartke, wlozyla ja do zaadresowanej koperty, po czym wyszla z domu i wrzucila list do skrzynki przy krawezniku.

Kiedy wróčila do kuchni, Robbie kleczal na krzesle, analizujac imiona zapisane na pierwszej kartce, która DeAnne zapisala.

- Zapomniałas o Peterze - powiedzial Robbie.

- Co?

- O Peterze - powtórzyl. - On nie przychodzi sie bawic, tylko patrzy.

- Wiesz w ogóle, co to za lista? - zapytala DeAnne.

- To przyjaciele Steviego - odparl. - On nigdy nie pozwala mi ich poznac.

- Nie sadze, zeby byl w stanie.

- Dlacznego ich zapisujesz, mamó? Czy Stevie zaprasza ich do nas?

- Nie przejmuj sie tym - powiedziala DeAnne. Schowala liste do kredensu na najwyzsza półke miedzy talerzami. - Tak tylko zapisywalam imiona. Co chcesz na sniadanie?

- Cream of Wheat! - wykrzykнал Robbie.

DeAnne pozwolila mu pomagac przy sporzadzaniu smietanki, dzieki czemu juz po chwili chlopiec zapomnial o liscie.

We wtorek po południu Dicky wszedł do gabinetu Stepa.

- Dobre wieści - powiedział na wstępie.

- Naprawdę? - Stepa natychmiast przeszył dreszcz paniki: w końcu Ray zdecydował się wesprzeć PC.

- Ray zdecydował się wydać wersję Hacker Snacka na Commodore'a 64.

Co za absurd! - pomyślał Step. Nikt nigdy nawet nie wspominał o Hacker Snacku, nawet po tym, jak nakrył programistów pracujących nad tajnym projektem, tuż przed wycieczką do San Francisco. Założył, że programiści powiedzieli Dicky'emu, Dicky powiedział Rayowi, który zrezygnował z Hacker Snacka. Błąd - projekt najwidoczniej nie został zaniechany i teraz Dicky miał czelność wejść i obwieścić, że Ray zdecydował się wydać grę, która do niego nie należy.

- Ach tak? Wielka szkoda - rzekł Step.

- Co przez to rozumiesz? - spytał Dicky.

- Już ja sprzedałem innemu wydawcy.

W okropnej ciszy Dicky klapnął na krzesło, krew napływała mu do twarzy, zmieniając ją w buraka.

- Sprzedajesz Hacker Snacka konkurencji?

- Nikt tu nie złożył mi oferty. Watpliwe, byście nie mogli mnie znaleźć. Domysliłem się więc, że nie jesteście zainteresowani.

- Nie wciskaj mi tu kitu - powiedział Dicky. - Zdaje sobie doskonale sprawę, że od miesiąca macz świadomość naszego zainteresowania.

- Wprost przeciwnie - rzekł Step. - Wiem, że Glass grzebał w moim kodzie, że programiści też się nim trochę bawili, lecz skoro nikomu nie sprzedałem praw, a nikt w Eight Bits Inc. nawet szeptem nie wymienił przy mnie nazwy Hacker Snack, miałem słuszne prawo mniemac, że nie interesuje was oficjalna adaptacja mojej gry.

- No cóż, obwieszczam ci więc teraz, że Ray zdecydował wydać Hacker Snacka.

- A ja ci obwieszczam, że podpisałem kontrakt sprzedający prawa komuś innemu.

- Nie miałes prawa podpisywać takiego kontraktu - rzekł Dicky. - Twoja umowa o zatrudnienie wyraźnie przekazuje wszelkie prawa...

- Moja umowa o zatrudnienie wyraźnie wyłącza wszystkie gry, jakie wydałem przed przybyciem do Eight Bits Inc., Dicky. Zanim zaczniesz cytować ludziom ich umowy o zatrudnienie, wpierw się z nimi zapoznaj. Nie wszystkie są takie same.

Dicky spoglądał, jakby za chwile miała mu eksplodować głowa.

- Ty niewdzieczny gnojku.

- A niby za co mam być wdzieczny? - spytał Step. - Pracuje tu już od ponad czterech miesięcy, a ani razu nikt nie złożył mi oferty dotyczącej Hacker Snacka. Ty nawet zabroniłeś mi programować, pamiętasz? Jasne jak słońce, pomyślałem, że w Eight Bits Inc. cenia mnie jedynie za pisanie podręczników. A może się mylę? A może powinienem być cały czas myśleć o sobie jako o specu od gier?

- Czy zdajesz sobie sprawę, co właściwie zrobiłeś?

- Nic nie zrobiłem. To wy pracowaliście za moimi plecami, inwestowaliście czas w doskonalenie programu, a jednocześnie nie znaleźliście w sobie tyle przyzwoitości, żeby zapytać właściciela o pozwolenie. Czy to moja wina? Najzwyczajniej w świecie sprzedałem moją własność firmie, która wyraziła zainteresowanie.

- Której? Komu sprzedajesz prawa?

- W mojej umowie o pracę nie znajdziesz klauzuli, która obligowałaby mnie do wyjawiania, co robię z moją własnością, Dicky.

- Pozwiemy ich tylko do sądu.

- Dokładnie dlatego nie mam zamiaru nic wam wyjawiać.

- Ray cie za to wyleje.

- Wyleje mnie? - zdziwił się Step. No tak, pomyślał, to całkiem możliwe. Lecz dla Step'a zwolnienie z pracy nie było tak straszną perspektywą. Jak DeAnne mogłaby go teraz winić za rzucenie pracy, gdyby go wylano? Okazało się, że nawet podoba mu się ta konfrontacja. Nie było niczego, co cenilby Step, a Dicky mógł mu to zabrać. - Nie sądzę, żeby tylko ja martwił się teraz o stół. Osoba, która poważnie powinna zaniepokoić się o swoją posadę w firmie, podsunęła Rayowi myśl, by ruszyć z Hacker Snackiem za moimi plecami. Ktoś, kto nie zawracał sobie głowy, by dowiedzieć się, czy moja umowa o pracę nie różni się przypadkiem od reszty umów, nim poświęciła fundusze Eight Bits Inc. na rozwój gry, która nie była jej własnością.

- Ty głupcze - odezwał się Dicky. - Sam Ray zrobił to wszystko.

- Aha. Tylko czy Ray to pamięta? Czy przypomni sobie te wszystkie twoje sprzeciwki, ostrzegające przed niebezpieczeństwem płynącym z tak nierozważnej decyzji?

Dicky spoglądał na niego, siny z wściekłości.

- Dicky, nadeszła wreszcie pora, byś uniósł swe tłuste dupsko z tego krzesła i wyniósł je za te drzwi. Jeśli Ray chce mnie wywalić, niech mnie o tym pisemnie powiadomi, a już mnie tu nie będzie, polece odebrać swoje bezrobocie. Jeżeli zaś nie chce mnie wywalić, w takim razie jestem zapracowany, a ty mi przeszkadzasz.

Step odwrócił się, by przejrzeć próbne wydruki.

Po chwili usłyszał, jak Dicky wstaje z krzesła i opuszcza pomieszczenie, cicho jak myszka.

Kiedy Dicky zniknal, Step podniósł się na trzesących nogach i delikatnie zamknął drzwi. Oparł się o ściane i chwile ciężko oddychał. Czuł się taki oszalone. Czy tak właśnie czuje się żołnierz, który wyskoczył z okopów, pobiegł w stronę umocnień wroga, zdobył je i odkrył, że żadna kula go nie trafiła? Step uniknął Wietnamu, losując przy poborze liczbę 225 - liczbę, która teraz zdawała mu się tak magiczna, jak 7, 3, 12 lub 40 wydają się innym ludziom. Nie przeżył wojny, prawdziwej brawury, walki człowieka z człowiekiem. Lecz teraz myślał, że poznał jej posmak. Dicky przyszedł, chcąc zapewne ofiarować mi jakieś psie pieniądze, jakby to był wielki dar ze strony Eight Bits Inc., ja natomiast zaśmiałem mu się w twarz i kazałem robić, co chce. Nie wiem, jak mi się udało nie zmoczyć przy tym spodni.

Cowperowie wyprowadzili się dziesiątego czerwca.

- Szkoda, że nie możesz poczekać do soboty - powiedziała DeAnne do Jenny. - Step chciał pomóc wam ładować samochód. Byłiscie dla nas tacy dobrzy, a my nigdy nie mogliśmy się odwzajemnić.

- Nonsens - odparła Jenny. - Świetnie się bawiłam, odkąd przyjechaliscie. Prawde mówiąc, gdybyście już tu mieszkali, kiedy Spike podpisywał transfer, to nie wiem, czyby do tego doszło. Ale tak toczy się świat, wiesz przecież. Darzyliśmy się wzajemnie największą przyjaźnią - mówię to bardzo szybko, byś ty mnie w tym nie ubiegła. Tak czy inaczej, byliśmy najlepszymi przyjaciółkami przez cały czas, nigdy cie nie zapomnę. Lecz nie obiecuj, że będziesz pisać, bo my nie będziemy, wiesz o tym. Z wyjątkiem kartek na Boże Narodzenie. Zawsze z entuzjazmem czytać będę twoje coroczne sprawozdanie z rodzinnych wydarzeń, słyszysz mnie?

- Nie mogę napisać, nawet jeśli będę chciała? - zdziwiła się DeAnne.

- Lepiej zadzwoń. Nie jestem pisarką. Jeśli zbankrutujecie, zadzwoń na koszt rozmówcy.

- I vice versa - uzupełniła DeAnne. - To ty znasz mój numer telefonu, musisz więc zadzwonić pierwsza.

- Oczywiście - zgodziła się Jenny. - No bo jak inaczej dowiesz się, gdzie wysłać pięćset dolarów za daty?

- Osiemset dolarów - sprostowała DeAnne.

- Dla mnie może być nawet tysiąc - rzekła Jenny zartobliwie. - Lecz my uważamy, że cena wynosi pięćset dolarów i tak naprawdę nie dbamy, czy zapłacicie. Myślcie o nim jako o darze na wzniosłe cele, samochodzie kościelnym. Korzystajcie z niego w trakcie nauczania w domach, zabierajcie nim nastolatków, by spełniali młodzieńcze posługi. A za każdym razem pomyślcie o nas.

- Będę myśleć o tobie częściej, niż przypuszczasz - zapewniła DeAnne. - I więcej, niż przypuszczasz, będę za toba tesknic.

- Nim ten miesiąc upłynie, zdobędziesz nową najlepszą przyjaciółkę - powiedziała Jenny.

- Ktoś może być moim najlepszym przyjacielem - odparła DeAnne - nawet jeśli nie będzie w połowie tak dobrym człowiekiem jak ty.

- Czy ty chcesz, żebym się rozplakała, prowadziła krzywo samochód i zderzyła się z jakimś filarem lub czymś podobnym? - zapytała Jenny. - Upewnij się lepiej, że żadne z twoich dzieci nie stoi za tym

U-Haulem lub samochodem, kiedy będziemy wyjeżdżać. - Jenny spojrzała na U-Haula z obrzydzeniem. - Sa na tyle duża firma, by przenieść naszą rodzinę na drugi koniec Stanów i kupić nasz głupi dom, lecz nie są na tyle duży, by wynajmować prawdziwą firmę zajmującą się przeprowadzkami. Powiedz Stepowi, by zrezygnował z tej parszywej pracy, to sami złodzieje. - Po tych słowach Jenny pocałowała DeAnne w policzki i objęły się czule, Spike w tym czasie zamknął dom i wsiadł do szoferki U-Haula wraz z dwoma dziećmi. Jenny z resztą urwisów wsiadła do wygodniejszego samochodu. DeAnne upewniła się, że ma na oku Steviego, Robbiego i Betsy, że stoją z dala od samochodów, potem pomachała, a Cowperowie wytoczyli się na drogę.

Spoglądała za nimi, dopóki nie znikli, jednocześnie czuła, jak w środku dziecko przemieszcza się, napierając na zebra, aż zabolalo, aż pomyślała, że już dłużej tego nie znieś. Miała chęć dać dziecku klapsa, krzyknąć na nie, zakazać mu sprawiać jej ból, choćby na minutę.

Dziecko naparło jeszcze mocniej. Prawdopodobnie odpowiadało na przepływające przez jej ciało hormony smutku: chemiczny ból.

W końcu nacisk zelzał i znów mogła pomyśleć o chodzeniu.

- Dalej, dzieci. To już nie jest dom Cowperów, lepiej wracajmy do siebie.

Kiedy wrócili do domu, ujrzeni starego, poobijanego datsuna B-210. Samochód, który uczynił ją i Stepa rodziną z dwoma autami - po raz pierwszy w ich małżeństwie. Podeszła i dotknęła go, zbadała: farba popstrzona i wyblakła, próg przerdzewiała. Głaskała samochód, jakby ten był koniem, którego nikt prócz niej nie umiał oblaskawić. Dziękuję ci za Jenny, powiedziała. Ale czy musiałeś mi ją tak wcześnie odbierać?

Spróbowała nie myśleć o tym w ten sposób, mówiąc dobitnie: dziękuję za Jenny. W końcu zmusiła się, by w ogóle przestać o tym myśleć. Poszła do domu, by przygotować spóźniony lunch.

Obecnie listy roznosił inny listonosz i poczta nie przychodziła przed czwartą. Znalazła kopertę od Agamemnona, w środku był czek. Pieniądze, które pozwolą im spłacić zaległe rachunki za dom w Indianie. Gdyby stary listonosz nie wyjechał na urlop, zapłaciłaby Cowperom za samochód jeszcze przed ich wyjazdem.

No, tak. Wypisze jutro czeki i wszystko będzie w porządku. Większość pieniędzy rozejdzie się natychmiast, tak byli zadłużeni, a IRS będzie musiał poczekać, wciąż będzie spędzał im sen z powiek. Tak czy inaczej - w tunelu zapaliło się światło.

Lecz następnego dnia, gdy zasiadła, by wypisać czeki, nie mogła zebrać myśli. Czuli się idiotycznie, niezdolna do ich wypisania. Czy nie zdecydowali ze Stepem wieczorem, że przede wszystkim spłaca zaległe raty za dom?

Ostatecznie wypełniła czek na sumę najstarszej zaległej spłaty, doliczając narosłe po drodze odsetki. Włożyła wszystko do koperty, zapędziła dzieci do samochodu i podjechała pod pocztę, gdzie wrzuciła przesyłkę do skrzynki.

Jeden miesiąc. Spłacam za ledwie jedną miesięczną zaległość, nim zamroza spłaty. Dlaczego? To głupie i niebezpieczne - prawdopodobnie i tak wysła kolejne zawiadomienie; ta jedna wpłata w niczym nie pomoże. Jednak nie potrafie tak po prostu wyczyścić naszego konta z pięciu tysięcy dolarów. Nie mogę zostawić nas bez grosza przy duszy, gdyż kto wie, kiedy nadejdzie następny czek?

Rozdział dziesiąty

Dzień Niepodległości

Oto co przydarzyło się Fletcherom czwartego lipca: w pierwszej gminie ceremonia wciągnięcia flagi nastąpiła o świcie, potem były naleśniki na śniadanie. Stepowi przychodziło do głowy około trzech tysięcy pomysłów, co wolalby zrobić, zamiast wstawac przed świtem w poniedziałkowy rano jedyne trzypięciodniowe weekendu w lecie, lecz zgromadzenie starszych piekło naleśniki, a DeAnne dyrygowała chórem, śpiewającym „The Battle Hymn of Republic”. Już samo to, że chór południowców śpiewał ten hymn, wystarczyło, by oplacało się wstac wcześniej.

Odkąd wyjechali Cowperowie, dyrygentka chóru, Mary Anne Lowe, pielęgnowała przyjaźń z DeAnne. W oczach Stepa wyglądało to tak, jakby siostra Lowe oczekiwała niecierpliwie, aż Jenny zmieni orbitę zainteresowań, jakby w życiu DeAnne istniało miejsce tylko na jedną przyjaciółkę naraz. A może tak było? DeAnne w tym okresie nie narzekała na nadmiar wolnego czasu czy energii. Ponadto Step sadził, że ta przyjaźń ma nieco inny charakter niż przyjaźń z Jenny. Tam gdzie Jenny zdawała się ożywiać DeAnne, wyciągać ją z depresji, kipiła energia Mary Anne męczyła ją tylko. Najbardziej drażniło Stepa to, iż przyjaźń z Mary Anne Lowe oznaczała o wiele więcej obowiązków w muzycznym programie gminy. Jak na przykład prowadzenie chóru podczas wciągania flagi na maszt i wielokrotne ćwiczenie tego manewru w soboty i niedziele.

Kiedy DeAnne wykonywała z Jenny miłosierną posługę, zazwyczaj działo się to za dnia, lecz ćwiczenia chóru odbywały się najczęściej podczas tych nielicznych godzin, kiedy Step i DeAnne mogli być razem, z rodziną. Skutkiem powyższego albo sam udawał się na te próby chóru, jako jedyny tenor, albo zostawał w domu i próbował dopilnować dzieciaków, równocześnie wklepując kod Hacker Snacka na Commodore' a 64.

Nawet kiedy zabrakło już Jenny, zlecenia miłosiernych posług nie ustaly. Kilka razy w tygodniu siostra Bigelow dzwoniła do DeAnne, dzięki czemu Step, przychodząc z pracy, zastawał żonę przygotowaną do odwiedzenia domu siostry takiej czy innej, z sałatka, potrawka, ciasteczkami lub sosem gravy w manierce. Nieodmiennie padały pytania: „Mógłbys, prosze, popilnowac dzieciaków przez godzinke? A przy okazji posiekac ogórki na sałatke?”

Nie ma sprawy, DeAnne. A Hacker Snacka skonczy w grudniu, trzy miesiace po naszym bankructwie.

Zawsze jednak czul się glupio, że daje się znów ponosic dziecięcym fanaberiom, wykonywal wszystko, o co go DeAnne prosila, a zwykle jeszcze wiecej, tak że wracając, znajdowała na stole parujący obiad, albo dzieci już były wykapanie, albo robil cokolwiek, co w jego mniemaniu sprawialo, że czula jego opieke i mogla wypoczac, bo czyz to nie ona nosila w lonie dziecko? Nie mial prawa myslec, że DeAnne nie robi wystarczajaco wiele.

Po mszy porannej i naleśnikach, które smakowały, jakby wycięto je z pudełka na buty, i przechodziły

przez przelyk niczym olów, Fletcherowie wrócili do domu, a ich dzieci zaczęły rozrabiać i walczyć ze sobą. Step rozwiązał problem, wysyłając je z powrotem do łóżka, gdyż były zbyt zmęczone, by zachowywać się normalnie w towarzystwie ludzi; następnie chwycił DeAnne za ramię i ja też zaciągnął do łóżka. W ciągu kilku minut Robbie i Betsy zasnęli, DeAnne również. Stevie, jak zwykle, leżał uparcie z otwartymi oczami, dopóki Step nie wszedł cicho do pokoju i pozwolił mu poczytać, jeśli zechce. Ostatecznie Step wrócił do łóżka, senny i fizycznie wyczerpany. Czuł się tak przez pięć, dziesięć, piętnaście minut, w końcu poddał się i przeszedł do pokoju dziennego, wrzucił dyskietkę z Hacker Snackiem i włączył komputer.

Rozległ się zwyczajny, straszliwy chrobot, kiedy ruszyła stacja dyskietek - choć i tak brzmiało to lepiej niż w przypadku Commodore'a 64, którego stacja wydawała hałas jakby metalicznego zucia - po czym ekran rozjarzył się znajomo i Step zaczął kierować swym małym, animowanym bohaterem, Rodneyem, noszącym swe glupkowate okulary i kretynska czuprynkę. Poprzez labirynt komputerowych chipów i hamburgerów.

Ale nuda, pomyślał Step. Oczywiście, nie, jeśli się gra po raz pierwszy, ale wszystkie następne poziomy są naprawdę do siebie podobne. Granie w te gry dziesiąty raz z kolei nie sprawia już takiej frajdy.

Normalnym rozwiązaniem problemu byłoby utrudnienie każdego wyższego poziomu do tego stopnia, by można było grać dalej, aby tylko pokonać maszyny i wpisać się na listę zwycięzców. Jednak Stepowi to nie wystarczało. Od samego początku gra powinna sprawiać przyjemność i być równocześnie tak rozwinięta, żeby na coraz wyższych poziomach sprawiać różnorodne nowe niespodzianki; wtedy sama gra byłaby nagrodą za zrezygnowanie z wytrwałości.

Co mógłby zmienić bez pozerania większych zasobów pamięci? No cóż, należałoby zrezygnować z tych komputerowych chipów i hamburgerów. Mógłby użyć innego materiału - może innych marek komputerów! Pochłonąć VIC-a 20, Timeksa i Apple'a II, by ostatecznie sięgnąć po Atari, a później nawet po jakąś stację roboczą czy coś takiego.

Jeśli mam zamiar rozwinąć oprogramowanie, dlaczego by nie zacząć prawdziwej ewolucji? Zamiast zaczynać od Rodneya, zacząć od salamandry albo od czegoś, co wynurza się z praoceanu, by z każdym poziomem stawiać się czymś innym. Dinozaurem. Ssakiem. Może ryjówka. A potem szympanse. I „Homo habilis”. Następnie jakimś atletycznie zbudowanym facetem, a w końcu, stojącym na szczycie ewolucji, komputerowym hakerem, lalusiowatym pajacem w okularach. Okej, byłoby fajnie, ale zajęłoby to mnóstwo miejsca na dysku, szczególnie że nie bardzo mógł pozwolić, by dinozaury kolekcjonowały komputerowe chipy, zmuszając go do zmiany treści pozywienia na każdym poziomie! Liscie dla dinozaurów - a może salamandry, klienci z poprzedniego poziomu! A ryjówki mogłyby wcinąć jaja dinozaurów. Atletci mogliby traktować „Homo habilis”, zostawiając ich szczątki w animowanym stosiku rak i nóg, jak Beetle Bailey, kiedy sierżant skoczył go łac. A potem Rodney zostawiłby atletów w różowych kąpielówkach!

Czy ktoś zrozumiałby dowcip? Nie, nie różowe kąpielówki. Zbyt ciężko pokazać na komputerze. Nie, zostaną w stroju sprzedawców z Burger Kinga!

To jest to, to jest to! - pomyślał. To ciągle Hacker Snack, lecz ta gra jest lepsza. W Agamemnonie będą zachwyceni.

Step wszedł do swego gabinetu i na skrawku papieru zaczął kalkulować, ile pamięci pochłonie nowa grafika. Zaczął niemal marzyć o 128 kilobajtach zamontowanych w pececie IBM. Choć sprzęt jest do bani, to jednak PC dysponuje wystarczającą pojemnością, by mógł rzetelnie wypełnić zadanie, z lepszą animacją i większą liczbą poziomów. Gra może być większa, z obszernymi labiryntami wykraczającymi

poza ekran. A gdybym tak miał 256 kilobajtów? Mógłbym odrzucić grafikę opartą na znakach i tworzyć płynne, pełnoekranowe animacje, jak w przypadku tej gry o piratach, w którą grał Stevie.

Jak się ta gra nazywała? Szukał jej wcześniej, ale nie znalazł. Kiedyś będzie musiał pożyczyć od Gallowglassa jego disasembler i przyjrzeć się, jak programista osiągnął tak dobry efekt.

DeAnne wkroczyła sennie do jego gabinetu.

- Musiałam się zdrzemnąć - powiedziała.

- O to właśnie chodziło - odparł Step.

- Idziemy dzisiaj na to przyjęcie wydane przez Eight Bits Inc., no nie?

- To całonocny piknik. Możemy się pokazać o każdej porze.

- Dzieci mogą chcieć zostać trochę dłużej i pobawić się, spodziewam się, że koło południa dadzą nam coś do jedzenia?

- Która godzina? - spytał Step, przeciągając się.

- Jedenasta.

- Więc skąd ten pośpiech?

- Zaden pośpiech - odparła. - Czy wiesz, co będa podawać na pikniku?

- Hot dogi i tym podobne rzeczy. I piezonego kurczaka, jak sadze. Stary, dobry, wielkoduszny Ray uwielbia kuchnię pułkownika Sandersa i Oscara Mayera.

- Nie bądź zgryzliwy - poprosiła. - Uwazam, że piknik pracowniczy do dobrego pomysłu.

- Jestem tego pewien - rzekł Step. - Po prostu czuje się zmęczony.

- Dlaczego nie spałeś?

- Próbowałem. Lecz zamiast tego zacząłem rozmyślać.

- Ach, to błąd. Skonczyłam z tym wiele lat temu.

- No dobra, dokonczę później - zdecydował. - Przygotujmy dzieci i ruszajmy, nim temperatura podskoczy do setki. Jestem przekonany, że wilgotność powietrza jest bliska stu procentom.

- Jesteś po prostu chłopcem pustyni, Step.

- Nie jestem przyzwyczajony do pocenia się i niemożności wyparowania potu aż do następnego dnia. - Wylaczył komputer, wstał z krzesła i rozprostował kości. - Czuję, że teraz mógłbym zasnąć.

- Nie ma sprawy. Połóż się, jak chcesz. Pójdziemy trochę później.

- Nie, chodźmy już teraz, miejmy to za sobą. W pewnym momencie zobaczymy Dicky'ego w kostiumie

kapielowym i wyrzynamy naleśniki, co nam wszystkim dobrze zrobi.

Robbie i Betsy zeszli z łózek slamazarnie, po czesci z niewyspania, a po czesci z powodu naleśników, dlatego przybyli na piknik prawie o pierwszej. Eight Bits Inc. wdzierzało prywatne jezioro Uniwersytetu Karoliny Północnej. Okolo setki ludzi pluskalo sie w wodzie lub walesalo wzdluz brzegu. Pod zadaszeniem podawano jedzenie, tam tez udali sie po wyjsci z samochodu. Samego Raya Keene'a nigdzie nie bylo widac - coraz bardziej stronil od ludzi ostatnimi czasy, przez co niektórzy z programistów zaczęli nazywac go Howardem Keene'em, nawiązując do Howarda Hughesa. Lecz zauwazyli zone Raya i ich piecioletnia córeczke; poza tym kazdy z pozostałych pracowników Eight Bits Inc. pokazal sie na pikniku. Dowiedzieli sie o tym przy stole z przekaskami, gdzie Dicky powital ich, wesolo stwierdzając:

- No, sa w koncu i Fletcherowie! Mamy wreszcie sto procent.

- Nie wiedzialem, ze sprawdzana byla obecność - odparl Step z humorem. - W przeciwnym razie przynioslbym pisemne zwolnienie od mamy. - Po tej wypowiedzi skoncentrowal sie wraz z DeAnne na wrzaniu dzieciom hot dogów.

Później, poniewaz chłopcy nie umieli plywac, Step zabral ich w miejsce, gdzie ludzie rzucali podkowami i rzutkami. Ogladając przez chwile te zabawy, Step stwierdzil, ze nie jest tu dla dzieci bezpieczniejsze niz na srodku jeziora: dzieci ciskaly rzutkami we wszystkie strony, nikt ich nie nadzorowal, konskimi podkowami bawili sie mezczyzni, glównie biznesmeni z Eight Bits Inc., wlaczając w to Boba kowboja, a zelazo furczalo w powietrzu z wystarczajaca predkoscia, by rozlupac glowe dziecka na dwoje. Stevie, oczywiscie, mial sie na baczności, lecz Robbie latwo sie podniecal i biegł wprost do obranego celu, nie zważając na takie blahostki jak rzutki i szybujące podkowy. Step zatem trzymal chłopca za ramie, a po chwili szybko odcignal obu synów z dala od tego miejsca.

Zrobilo sie nudno. No dobra, pomyslal Step. Poszukam DeAnne i Betsy i wyniesiemy sie stad. Obecność została sprawdzona i nikt za nami nie zateskni.

Step dojrzał DeAnne stojaca w cieniu pod baldachimem oslaniającym stół, rozmawiała z pania Keene, która zapalila papierosa i wypuszczala co chwila klebuszek dymu. Choc DeAnne znajdowala sie na wolnym powietrzu, a nawet wial lekki wiatr, Step wiedzial, ze dym z papierosa szybko wywola u niej uczucie mdlosci i oszolomienia, niezbyt szczeniwa kombinacje w polaczeniu z ciąza i popoludniowym skwarem. Tak wiec, ciagnac za soba Stewego i Robbiego, ruszyl razno w strone kobiet i przylaczyl sie do rozmowy.

- Przykro mi, pani Keene, lecz DeAnne jest prawdopodobnie zbyt niesmiala, by skarzyc sie, ze dym papierosowy zle na nia dziala. Gdyby nie byla w ciąży, wytrzymalaby to jakos poza domem, ale...

- Och, nic nie szkodzi - przerwala mu pani Keene uprzejmie. - I tak sie nie zaciagalam. - Rzucila papierosa na ziemie i rozgniotla go obcasem. - Powinnas cos powiedziec, slodziutka, nie domyslilam sie; ja palilam podczas ciąży z Allison, zapomnialam, ze niektórzy ludzie potrzebuja swiezego powietrza.

- Az tak mi to nie przeszkadzalo, tu, na tym wietrzyku - rzekla DeAnne.

- O, niebioso, dziewczyno, jestem zona szefa, myslisz, ze o tym nie wiem? Ale tak miedzy nami, ani w polowie nie jestem tak zachwycona Rayem, jak on sam soba, a z drugiej strony on tez nie dba o mnie az tak, wiec podlizywanie sie mi nikomu nie zaskarbi wzgledów szefa! - Zachichotala: niski, gardlowy smiech palacza.

Pani Keene byla czarujaca, zabawna i mila, lecz takze niebezpiecznie nielojalna. Czyzby zbliżal sie

kryzys malzenski? Zadna niespodzianka, zwazywszy na poze despotyzmu i tajemniczosci, jaka Ray Keene przybieral. Ktos opowiedzial w dziupli kawal: podobno Ray Keene kryje sie tak dobrze, ze zona wynajela prywatnego detektywa, by dowiedziec sie, gdzie maz schowal fiuta. Lecz gdyby jej malzenstwo bylo zagrozone, pani Keene przedstawialaby soba chodzacy pocalunek smierci, obdarzalaby poszczególnych pracowników swymi wzgledami i zostawiala ich nieswiadoma konsekwencji. Ktos musial sledzic, z kim rozmawia.

- Tato - zagadnal Robbie.

Step odwrócił sie od swej rozmówczyni. Robbie byl czymś wyraznie podekscytowany. Za nim stala mala dziewczynka na czele gromadki dzieciaków.

- Allison chce, bym poplynal z nimi na tratwie! Czy moze, tato?

- Nie - sprzeciwil sie Step. - Wiesz, ze nie mozesz wchodzic do wody, Robbie. Nie potrafisz plywac.

Dziewczynka zrobila krok do przodu i - glosem przywyklym do komenderowania - oswiadczyła:

- On moze isc. Mój tatus powiedzial, ze to calkowicie bezpieczne.

- To tylko znaczy, ze ty mozesz isc - odparl Step. - Lecz Robbie nie moze isc, poniewaz jego tatus mówi, ze nie jest to bezpieczne.

- Ale mój tatus jest szefem tej firmy i on tu rozkazuje!

Step przypomniał sobie trzy drogocenne kawalki papieru w gablotce DeAnne - umowe o prace, kontrakt z Agamemnonem i oswiadczenie Raya, ze nie zamierza wspierac PC IBM - i usmiech mu sie rozszerzyl.

- No cóz, dziewczynko, moze i twój tatus jest szefem firmy, lecz nie jest szefem mojej rodziny, a kiedy chodzi o bezpieczenstwo moich dzieci, jego gadanie tyle znaczy, co pierdniecie myszy.

Pozostale dzieci zawyly ze smiechu - takie slowa zawsze gwarantowaly ich rozbawienie. Ale Allison nie bylo do smiechu.

- Powiem tatusiowi, co pan powiedzial!

- A jakze! - odparl Step. - Z duma dowie sie, ze jego córeczka mysli, iz moze rozkazywac doroslym ludziom. Niezle cie wychowuje.

Allison byla za mala, zeby zrozumiec, iz to nie komplement.

- W takim razie dziekuje - powiedziala. - Wybaczam panu i nie powiem. A teraz idziemy, Robbie!

- Nie sluchalas mnie chyba, dziewczynko. Robbie nie bedzie plywal na tratwie. Dlatego, ze kocham Robbiego i nie chce, by wpadl do wody i sie utopil. Ale nie moze sie doczekac, kiedy ty wsiadziesz na tratwe. Wiec prosze, jazda, jezioro stoi otworem.

Allison przez ulamek sekundy wygladala na zmieszana, potem pokazala Robbiemu jezyk i powiodla swój maly oddzialek w kierunku brzegu jeziora.

- Pokazala mi jezyk, tato - poskarzyl sie Robbie.

- Przez co wygladala raczej szpetnie i glupio, no nie? - spytal Step.

Jednakze kiedy odwrócił się do DeAnne i pani Keene, z zakłopotaniem zauważył, że najwidoczniej musiały przysłuchiwać się całej rozmowie. Pani Keene od razu rozproszyła jego wątpliwości, mówiąc z przymrużeniem oka:

- Tyle ma w sobie z ojca, nie sady pan?

- A skąd niby miałbym wiedzieć? - udął zdziwienie. - Od miesiący nie widziałem Raya.

- Niewiele pan stracił. - Pokiwała głową. - Musi pan być niezależny finansowo lub coś w tym stylu, gdyż o utrzymanie się w pracy dba pan tyle, co o zeszłoroczny śnieg. To mi się podoba w mężczyźnie. - Uśmiechnęła się szeroko w stronę DeAnne. - Trochę flirtuje z twoim mężem, pani Fletcher, lecz nie zwracaj na to zbytnej uwagi, bo jestem już nieco podpita. Z reguły nie pijam więcej niż jedno martini - na godzinę - rozesmiała się z własnego dowcipu. - No, może trochę przesadzam. Podnieca mnie to, że mogę patrzeć na tę całą gromadę ludzi - a jest ich teraz więcej niż setka - i w głębi duszy jestem przekonana, że każdy z nich bez wyjątku nienawidzi Raya Keene'a. Nie macie nic przeciwko, że to mówię?

- Prawda jest taka - rzekła wymijająco DeAnne - że musimy się już zbierać.

- Och, wcale mnie to nie dziwi - odparła pani Keene. - Sama muszę już iść.

- Gdzie Stevie? - spytała DeAnne.

- Dokładnie tam. - Step wskazał drzewo, o które opierał się Stevie, obserwując wydarzenia na wodzie.

- A gdzie Betsy?

- Ach, ten młody człowiek, który zwykł cię przywozić do domu tyle razy, zabrał ją na spacer.

- Glass? - zapytał. - Gallowglass?

- Nie, powiedział, że nazywa się Roland McIntyre.

- To właśnie Glass - wytłumaczył Step. Przeklinał się, że zapomniał ostrzec DeAnne, że nie kazał jej mieć Betsy przez cały czas na oku, szczególnie żeby niejaki Roland McIntyre, alias Saladyn Gallowglass, nie wazył się tknąć choćby kosmyka włosów dziewczynki. - Gdzie ją zabrał? Ile czasu temu?

- Kiedy rozmawiałam tu z panią Keene. Zabrał ją w tamtym kierunku, na ten pagórek.

Mniej więcej w stronę parkingu. Albo zagajnika nieznacznie na lewo. W każdym razie na tamtym terenie kreciło się niewiele osób.

- Czy coś jest nie tak? - spytała pani Keene.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekł Step. - Masz tu Robbiego - włożył dłoń chłopca w jej dłoń - i nikomu już więcej nie pozwalaj brnąć na spacer ani jego, ani Steviego, proszę.

DeAnne zorientowała się, że zrobiła coś naprawdę niedobrego, pozwalając Glassowi wziąć Betsy na

spacer.

- Step, przepraszam, myślałam, że to przyjaciel, tyle razy widziałam, jak cie przywozi z pracy...

Nie został, by wysłuchać reszty przeprosin. Najlepszym z biegaczy nie był, poza tym nie miał formy, lecz gdy dotarł do parkingu, nawet ciężko nie dyszał. Zawołał Betsy po imieniu, potem Glassa.

- Tutaj, Step! - odkrzyknął Glass.

Teraz Step go wypatrzył, chłopak stał za samochodem na odległym koncu parkingu, obok zarosniętego pastwiska.

- Czy jest tam Betsy z tobą?

- Oczywiście - odpowiedział Glass. - Twoja żona pozwoliła mi wziąć ją na spacer.

Step przemierzył już połowę parkingu. Teraz jego bieg pod górke dawał o sobie znać - dyszał, brakowało mu oddechu.

- Zdaje się, że jest jej mokro - powiedział Gallowglass. - Właśnie sprawdzałem. Nie wiedziałem poza tym, gdzie jest wasze auto.

Nareszcie Step okrzyknął samochód i zobaczył Betsy, trzymającą Glassa za rękę. Jej pieluszka wciąż była nie naruszona, machała dmuchawcem, próbując stracić ostatecznie z nasion. Step zdołał przemówić:

- DeAnne powiedziała, że możesz ją wziąć na spacer, a nie grzebać przy jej pieluszkach, Glass.

- Sądziłem, że nie chciałabyś, żeby dostała wysypki.

Step wziął Betsy w ramiona i stał tak, patrząc Glassowi prosto w oczy.

- Nie wiem, jak to delikatnie powiedzieć, Glass, więc nawet nie spróbuję. Lubie cie jako programistę, jako przyjaciela. Ale nigdy, przenigdy nie dotykaj żadnego z moich dzieci, dopóki żyjesz. Ponieważ kiedy złapie cie powtórnie z którymkolwiek z nich, będzie to twój koniec.

Glass spoglądał na niego bez zmruczenia powieki i przez chwilę wyglądało na to, że odpowie - ze złością? Zartobliwie? Step nie chciał nawet zgadywać. Ostatecznie zamknął usta i odwrócił głowę, by spojrzeć w stronę wejścia do parku.

Okej, zrobiłem sobie wroga, myślał Step, niosąc Betsy z powrotem w kierunku DeAnne. Ale ja tego nie wyssałem z palca. Glass miał Betsy nie dłużej niż kilka minut, a już zaprowadził ją za samochód, gdzie nikt nie patrzył. Gdybym nie zjawił się w porę, dołączyłby ją do listy pamiętnych historii z czasów, kiedy pucował pupcie małych dziewczynek. Do tej chwili Step raczej skłaniał się ku opinii, że Glass tak naprawdę nie molestował nigdy dziecka, że wszystkie opowieści, jakimi uraczył go w hotelowym pokoju w San Francisco, są najwyżej jego niesamowita fantazja, obsesja zrodzona w wyobraźni. Teraz Step wyrobił sobie opinię. Można nazywać to sprawdzaniem pieluszki lub pomocą przy kąpieli, jest to jednak forma molestowania seksualnego; niemal powiodło mu się z Betsy.

Kiedy dotarł do DeAnne, pani Keene wciąż tam stała, nie ukrywając zaciekawienia.

- O co tu chodzi? - zapytała.

- Po prostu sadze, ze pora wracac do domu - odparl.

- Bez watpienia wygladal pan na zaniepokojonego, ze ten Bubba McInryre zabral Betsy na spacer. Moge pana zapewnic, ze to najslodszy chlopiec, jakiego mozna sobie wyobrazic, poza tym bardzo dobrze opiekuje sie dziecmi.

Step przypomnial sobie Allison Keene i musial zapytac:

- Czy Bubba kiedykolwiek opiekowal sie pani córka?

- Kiedys, gdy Allison byla ledwie szkrabem. Zwykl nas odwiedzac i prosic, byśmy mu pozwolili posiedziec z mala, byl taki uprzejmy. Dzieki temu wlasnie zaczal programowac na naszym poczciwym Commodore Pet - to na nim napisal Scribe'a, no wie pan - dopiero kiedy na serio zaczal pracowac dla Raya, ten zakazal mi prosic Bubbe o opieke nad dzieckiem. Jak to by wygladalo, gdyby najlepszy programista dogladal jego dzieci? - Przy tych slowach zagoscila na jej twarzy zagadkowa mina.

- Czy z Betsy wszystko w porzadku? - spytala DeAnne.

- Zabieral sie prawie do jej pieluszki - powiedzial Step. - By sprawdzic, czy nie ma mokro.

- Oczywiscie, ze nie miala - odparla DeAnne. - Bo wlasnie ja zmienilam. Powiedzialam mu przeciez.

- Powiedzialas mu?

- Zapytal, czy potrzeba bedzie zmienic jej pieluszke, na co ja odparlam, ze przed chwila ja zmienilam.

Pani Keene nie byla idiotka.

- Dobry Boze! Nie podejrzewa pan chyba, ze Bubba... Ze...

- Nic takiego nie powiedzialem - odpowiedzial Step. - Ale ostrzeglem go, ze jesli kiedykolwiek przylapie go sam na sam z moja dziewczynka, sad bedzie orzekal dla mnie kare dozywotniego wiezienia albo smierci.

Pani Keene zrobilo sie niedobrze.

- Ale on przeciez pilnowal caly czas Allison, kiedy byla w wieku waszej malej Betsy.

- Przynajmniej teraz sie juz nia nie opiekuje - powiedzial Step.

- Nie, poniewaz Ray... - Twarz pani Keene pociemniala. - Wiedzialam, ze z niego kawal sukinsyna, lecz nawet on nie wynajalby... osoby, o której wie, ze... - Potrzasnela stanowczo glowa. - Nie dam wiary zlosliwej plotce. - Odwrócila sie i majestatycznym krokiem odeszla.

- Och, Step - odezwała sie DeAnne, a na jej twarzy malowalo sie zdumienie. - Dlaczego nic mi nie powiedziales o tym chlopaku?

- Zapomnialem - przyznal Step.

- Zapomniales?

- To znaczy zapomniałem o tym, gdy przyjechalismy na piknik... że i Glass tu będzie. Prosi o opiekę nad naszymi dziećmi od pierwszej chwili, kiedy się spotkalismy. Lecz po San Francisco, gdzie zrozumiałem, w jakim kierunku zdążają jego fantazje, przypisyłem sobie, że nigdy nie będzie miał okazji poznać moich dzieci. Dzisiaj też by się nic nie zdarzyło. To z mojej winy doszło do tej sytuacji, nie z twojej, a teraz, proszę, chodźmy już stąd.

DeAnne nie oponowała. Po kilku minutach siedzieli z powrotem w samochodzie. Przez całą drogę Step był bardzo spokojny, nie chciał wypowiadać się na temat tego, co zaszło pomiędzy Betsy i Glassem, gdyż w aucie siedział Stevie i Robbie.

Po przyjeździe do domu DeAnne od razu rozebrała Betsy i wsadziła do wanny. Step stał w drzwiach i myślał o tych wszystkich chwilach, kiedy zmieniał Betsy pieluszki i kąpał ją, ale zawsze miał jedynie ochotę porozmawiać z nią, uśmiechnąć się, przebywać blisko niej, nic poza tym, tak samo było w przypadku chłopców. Lecz teraz obserwowanie DeAnne kąpiącej Betsy napelniało go poczuciem winy, jakby lubieżne spojrzenie Glassa z każdego czyniło zboczenie, nawet z ojca.

Wściekłość i wstyd, jakie odczuwał, okazały się dla niego za silne. Uciekł do sypialni i rzucił się na łóżko, zanurzył twarz w poduszce i zaczął krzyczeć, a właściwie wyc, raz za razem.

Po tym ataku, wyczerpany, przewrócił się na plecy.

Stopniowo uswiadamił sobie, że nie jest sam. Odwróciwszy głowę, dostrzegł w drzwiach Steviego.

- Jak się masz, Stevedore? - przywitał go.

- Czy ten mężczyzna skrzywdził Betsy? - spytał Stevie.

- Nie - odparł Step. Oczywiście, pomyślał. Stevie nie jest taki mały jak Robbie. W niektórych sprawach zaczyna się orientować. Dostrzega więcej. Zrozumiał część z tego, co zdarzyło się na pikniku. - Nie, z Betsy wszystko w porządku.

- Dlaczego więc tak wrzeszczałeś? Jakbyś się naprawdę wściekł.

Jak wiele mam powiedzieć? Prawde, rzecz jasna, lecz tylko tyle, ile może usłyszeć ktoś tak młody i niewinny jak Stevie.

- Byłem wściekły, lecz głównie na siebie, gdyż nie zapewniłem Betsy odpowiedniej opieki. Bałem się też, bo niewiele brakowało, a zdarzyłoby się coś okropnego.

- Co? - chciał wiedzieć Stevie. - Co okropnego?

- Są na świecie ludzie, którzy wyrządzają dzieciom krzywdę - tłumaczył Step. - To typy najgorsze na świecie. Jezus powiedział, iż jeśli jakiś człowiek skrzywdzi dziecko, lepiej by było dla niego, gdyby uwiązał sobie u szyi kamień młyński i rzucił się do morza. Kiedy więc wydaje ci się, że ktoś taki mógłby skrzywdzić twoje dziecko, no cóż, czujesz się wtedy wściekły i przerażony.

Stevie kiwnął głową.

- Tak - powiedział.

- Lecz nic się nie stało, okej? Zmartwiłem się, ponieważ myślałem, że niewiele brakowało, a wydarzyłoby się coś złego, to wszystko.

- Czasami złe rzeczy naprawdę się zdarzają - rzekł Stevie.

- Tak to już jest - powiedział Step. - Ale jeśli tylko będę mógł na to coś poradzić, nic takiego nie spotka żadnego z moich dzieci.

- Wiem - zgodził się Stevie. - Ty i mama jesteście naprawdę dobrzy. - Odwrócił się i pomaszerał do swego pokoju.

Od ich przyjazdu do Steubena wypowiedzi Steviego na dowolny temat były dość lakoniczne. Z niecierpliwością czekał na DeAnne, by jej zakomunikować, że ich syn wreszcie powiedział dłuższe zdanie. Ale spał już, kiedy DeAnne weszła do sypialni. Dopiero późną nocą zrelacjonował jej wypowiedź Steviego. Kiedy dotarło do niej, co Stevie powiedział na końcu, przytuliła się do Step'a.

- Może są z nas całkiem dobrzy rodzice, Galganiarzu. Przynajmniej nie jesteśmy tacy jak Ray Keene i jego żona.

Na wspomnienie szefa Step zaczął o nim myśleć. Niemal na pewno musiał zdawać sobie sprawę z upodobania Gallowglassa, a mimo to zatrzymał go w Eight Bits Inc., ba, zapewnił mu nawet towarzystwo ludzi, by z nim pracowali, ludzi, którym Glass z pewnością zaoferuje pomoc przy pilnowaniu dzieci. Ray nie zajaknął się nawet na temat, by ludzie uważali na swe pociechy. Z drugiej strony możliwe, że Ray o niczym nie miał pojęcia, że tylko zbiegowi okoliczności trzeba zawdzięczać, iż zakazał żonie wynajmować Glassa do opieki nad Allison. A może Ray wiedział, tylko nie wyjawiał tego nikomu, gdyż zbyt go potrzebował, zbyt potrzebował Scribe'a 64, by ryzykować odejście dziwnego, chorego podrostka, który był jego autorem.

Dr Weeks już nie odprowadzała Steviego do drzwi gabinetu pod koniec wizyty. Chłopiec sam pchał ciężkie drewniane drzwi i wychodził, za każdym razem sprawiał wrażenie coraz mniejszego - lub tak się DeAnne przynajmniej zdawało. Naprawdę kurczy się u niej, myślała. Mimo to Stevie nigdy nie uskarżał się na te wizyty i nigdy nie rozmawiał na ich temat. Zupełnie jakby go to nie dotyczyło albo było tak mało ważne, że nie warto się nad tym rozwodzić.

W poniedziałek, osiemnastego lipca, DeAnne przywiozła dzieciaki z gabinetu psychiatrii i pozwoliła Robbiemu i Betsy pobawić się na podwórku za domem, podczas gdy sama wraz ze Steviem przyniosła pocztę.

Szła właśnie w stronę bocznych drzwi, wiodących z garażu do pralni i dalej do kuchni - tych drzwi zawsze używali - kiedy Stevie zawołał:

- Mamo, przed głównym wejściem leży jakaś paczka!

W rzeczywistości nie była to żadna paczka, tylko duża szara koperta. Wysłana pocztą, lecz listonosz zostawił ją pod drzwiami, być może z powodu pieczętki NIE ZGINAC, a włożenie tej koperty do skrzynki bez zginania było niemożliwe. Widział na niej stempel poczty w Steubenu, lecz nie dostrzegła adresu zwrotnego. Ich adres schludnie wystukano na maszynie: „Stephen & Diane Fletcher, 4404 Chinqua Penn, Steuben, N.C.”.

Nie umieszczono kodu. Poza tym, choc imie Stepa zapisano poprawnie, jej imienia nie. Zazwyczaj ludzie wpisuja oba poprawnie albo oba blednie. Najwyrazniej przesyłka pochodziła od kogos, kto znalaz Stepa, a nie znalaz jej. Albo od kogos, kto chcial ja zirytowac, a Stepa nie! Dlaczego zadbano o pieczatke NIE ZGINAC, a nie pomyslano o adresie zwrotnym?

Stevie wszedl za nia do domu, a otwierajac poczte, uslyszala, jak chlopiec wlacza Atari. Martwilo ja, ze nie wychodzi czesto na dwór, chociaz jest lato. W sumie spedzal zbyt duzo czasu przed komputerem. Prawdopodobnie nadeszla pora, by wraz ze Stepem nakreslili dla niego ramy czasowe gry na komputerze, jak to sie juz stalo w przypadku telewizji. Godzina dziennie - to brzmialo rozsadnie. A potem nalezy znalezc Steviemu cos innego do roboty. Cos zdrowszego, co by wyciagnelo go na slonce. Jak bladło wygladal w porównaniu z Robbiem i Elizabeth, którzy chlubil sie zlocista opalenizna i rozjasnionymi kosmykami wlosów.

Wieksha czesc przesyłek nie byla interesujaca. Odlozyla na bok list od przedsiebiorstwa kredytowego z Indiany - zapewne zawieral jedynie zle wiadomosci, a te mogly poczekac. Na koncu stworzyla anonimowa szara koperte.

Wewnatrz znalazla plyte analogowa, i to wszystko. Nagral ja zespól, o którym DeAnne slyszala niewiele. Az tak bardzo nie pociagala jej muzyka rockowa, ze Stepem bylo inaczej, lecz lubila od czasu do czasu popatrzyc na nowe teledyski. Mieli tu w Steuben na kablówce MTV, podobnie jak w Vigor, bywalo, ze pracujac zostawiala telewizor wlaczony na tym kanale. Podobal jej sie teledysk Billy Jean - promienisty chodnik dzialal na jej wyobraznie. Lecz ten z Michaeliem Jacksonem, przemieniajacym sie w potwora, przestraszyl dzieci, dlatego nie zostawiala juz MTV, kiedy dzieci chodzily po domu. Tak czy inaczej muzyka rockowa nie byla jej obca, na przyklad widziala, jak graja The Police.

Nigdy nie kupowali plyt analogowych, wiec DeAnne nie miala pojecia, gdzie podziewa sie jedno z tych malych, plastikowych dziwactw, które umieszczaja sie posrodku, zeby uslyszec nagranie. Musi lezec gdzieś kolo wiezy. Z pewnoscia nie wyrzuciliby tego - wyrzucanie rzeczy nie bylo w ich stylu.

Ktos zastukal do tylnych drzwi, prowadzacych z pokoju dziennego na podwórko za domem. Robbie.

- Mozemy wlaczyc zraszacz?

- Okej - zgodzila sie DeAnne. - Ale najpierw oboje do domu, prosze zalozyc kostiumy kapielowe.

Betsy dziarsko wmaszerowala do domu tuz za Robbiem, stawiajac kroki olbrzymia.

- Za-bacz, za-bacz - intonowala.

Dopiero po pewnej chwili DeAnne zrozumiala, ze Elizabeth mówi „zraszacz”. Dlaczego nuci to wlasnie i czy ma to cos wspólnego z ogromnymi, majestatycznymi podskokami, jakimi pokonywala pokój dzienny? DeAnne nie próbowała nawet odgadnac. To stanowilo wielka tajemnice dzieci - o czym myslaly, robiac te wszystkie przedziwne rzeczy.

Oczywiscie, byla to takze wielka tajemnica doroslych.

Przyniosla plyte z kuchni, ulozyla ja na talerzu gramofonu, wlaczyla wieze i nastawila igle. Zabrzmielo tak, jakby jacys kretyni spiewali piesni drwali. Podniosla igle, zmienila predkosc na czterdziestci piec obrotów na minute, po czym opuscila igle z powrotem. Teraz to byl utwór rockowy.

Okazal sie dziwna piosenka milosna. Cokolwiek by ta kobieta zrobila, on zawsze bedzie mial na nia

oko. Nie brzmiało to tak, jakby ja kochał albo nawet lubił. Piosenka mówiła o nieszczerych uśmiechach, dziwnych zadaniach, złamanych obietnicach. Zawierała niemiłosiernie wielką ilość rymów.

Nagle przestała się śmiać. Ktoś przysłał im tę płytę anonimowo. Dlaczego? Chciał przekazać wiadomość? Ze cokolwiek zrobi, będzie ich obserwował?

Obeszła dom wokół, sprawdzając zamki we wszystkich drzwiach. W tym czasie nagranie się skończyło. Wróciła do pokoju i puściła je od nowa. Jednak po kilku taktach piosenki podniosła igłę i wyłączyła wieżę. Step będzie tego słuchał dziś wieczór, do oporu.

Elizabeth weszła do pokoju w pieluszcze, dzwigając swój kostium kąpielowy. DeAnne ciężko usiadła na kanapie, by pomóc jej go włożyć.

- Nie mogę go włożyć na Ciebie tak łatwo jak kiedyś, Elizabeth - powiedziała DeAnne. - Nie mogę sięgnąć ponad moim brzuszkiem. Musisz wejść w kostium.

Potrzeba było kilku prób, lecz ostatecznie Betsy stała w kostiumie, tak że DeAnne mogła podciągnąć go do góry i zawiązać za szyję.

- Też chcesz wejść pod zraszcz, Stevie? - zapytała głośno.

- Nie. - Stevie nie przerwał gry nawet na moment.

- Kiedyś bardzo to lubiłeś - nalegała.

Robbie wbiegł do pokoju, mając na sobie nie tylko kostium kąpielowy, lecz także czapkę Supermana, uszyta przez DeAnne jakiś czas temu.

- Truttu-tu! - krzyczał. - Truttu-tu-tu!

- Oto nadchodzisz, by uratować dzień - powiedziała DeAnne.

- Włącz zraszcz, mamo! - krzyknął Robbie.

DeAnne odchyliła się w bok i raczej się stoczyła, niż wstała, przytrzymując się oparciem kanapy. Poczula się jak słon tarzający się w błocie, widziała takiego kiedyś na filmie.

- Stevie, dawniej uwielbiałeś bawić się pod zraszczem.

- To by nie było fair - odpowiedział.

- Co by nie było fair?

- Bo ja mogę, a oni nie mogą.

Mimo że znała odpowiedź, musiała zapytać:

- Jacy oni?

- Scotty, Jack i ci wszyscy.

Starala sie zachowywac i mówic spokojnie:

- Ale w gry komputerowe grac moga?

- Tak, moga - odpowiedzial.

Otworzyla boczne drzwi i Robbie z siostra wypadli na dwór. Odwróciła sie twarza w strone ciemnej jaskini pokoju dziennego, sylwetka Steviego majaczyła w mroku oświetlona poswiata komputerowego monitora.

- Stevie, nawet jesli nie moga bawic sie z toba pod zraszaczem, jezeli sa naprawde twoimi przyjaciółmi, beda chcieli, bys ty pobawil sie na sloncu. Przyjaciele nie zakazywaliby ci bawic sie od czasu do czasu z braciszkiem i siostrzyczka. Twoje rodzenstwo takze cie potrzebuje.

Sama nie mogła uwierzyc, ze mówi o jego wymaginowanych przyjaciolach, jakby rzeczywiscie istnieli.

Lecz jesli ci przyjaciele byli dla jej syna tak wazni, ze odizolowanie ich oznaczaloby odizolowanie Steviego? Musiala spróbowac zbliczyc sie do niego, a jesli to byla jedyna droga, to trudno.

Stevie siegnal za komputer i wylaczyl zasilanie.

- Okej - zgodzil sie - pójde wlozyc kostium. Z ulga puscila wode.

Zraszacz rozpoczel swa wewrówke po trawniku. Elizabeth wbiegala pod strugi, krzyczac. Jednakze Robbie - inicjator calego przedsiwziecia - trzymal sie na uboczu.

- Smialo! - ponaglala go DeAnne. - Po prostu przebiegnij i daj sie zmoczyc. Woda nie boli.

Robbie wciaz sie wahal.

Wtedy wyszedl Stevie, podszedl do Robbiego i ujawszy go za reke, powiedzial:

- Okej, zaraz zrzuca na nas bombe, wiec biegiem! - Z dzikimi okrzykami obaj pobiegli pod prysznic.

DeAnne wróciła do pokoju dziennego, skad przyniosla skladane krzeslo, którego od niepamietnych czasów uzywala, kiedy chciala posiedziec na podwórku za domem i popatrzyc na bawiace sie dzieci. Usiadla zatem i zaczela dumac: ktos chce, zebym myslala, ze i ja jestem obserwowana. Ktos chce, zebym siedziala na podwórku i sie bala.

No i udalo mu sie.

Step zauwazyl, ze cos ja gnebi, wiec gdy obudzil sie o trzeciej nad ranem i zobaczyl, ze jest w łózku sam, nie zdziwil sie za bardzo. Wiedzial, dlaczego nie moze zasnac. List z przedsiwborstwa kredytowego brzmial nastepujaco: „Panstwa pojedyncza wplata jest niewystarczajaca, by utrzymac rachunek. Jesli nie otrzymamy wszystkich zaleglych wplat wraz z odsetkami i z lipcowa rata, na laczna sume 3398,40 dolarów, do 22 lipca, rozpoczniemy procedure przejecia zastawionej wlasnosci”. Dopiero teraz Step odkryl, ze DeAnne nie uiscila zaleglych splat w czerwcu, kiedy przyszedl pierwszy czek od

Agamemnona. Nie wydała pieniędzy na inne rzeczy; wciąż mogli je wpłacić. Mimo to nie było w stylu DeAnne, wyrażać się ogólnie, takie zwyczajne niezaplacenie. Przecież mieli te pieniądze. Powinni czuć się zobligowani, żeby wszystko spłacić. Razem zdecydowali, że spłaca. A jednak pieniądze ciągle spoczywały w banku.

Zeszłego wieczoru DeAnne sprawiała wrażenie, jakby nie chciała na ten temat rozmawiać ze Stepem. Od razu zgodziła się, że następnego dnia wyśle zaległą spłatę, lecz była przy tym jakos rozkojarzona, jakby nie przywiązywała do tego wagi. Dwa razy zdenerwowana mówiła mu o tym, jak to Stevie bawił się z dziećmi pod zraszaczem. A teraz nie mogła spać. No tak, pomyślał Step, ja też nie bardzo mogę. Wstał i poszedł na poszukiwanie żony. Natrafił na nią w pokoju dziennym i zaczął rozmawiać na temat zastawu hipotecznego.

- Nie o dom chodzi, Step - powiedziała. - Lecz tak się tym przejąłeś, że nie miałam sumienia dokładać jeszcze czegoś.

- Chronisz mnie przed czymś? Nie tak to powinno wyglądać.

- Przykro mi - rzekła. - Tyle zależy od twojej zdolności skoncentrowania się na pracy. Ale już sama nie mogę. - Wrezyła mu płyty i koperty, w której nadeszła. - To leżało pod naszymi drzwiami.

Gdy tylko zabrzmiała muzyka, rozpoznał melodię. Miał zwyczaj, przeciwnie niż DeAnne, słuchać w samochodzie radia, ta piosenka obecnie była hitem. Nawet ją polubił, jej finezję, jej kasliwość. Ale nie w tym wypadku, jeśli ktoś ją anonimowo przysłał jego rodzinie. Przerwał, nim piosenka się skończyła. Następnie przelamał płyty na pół, a kawalki wyniósł na śmieci. Jak mógł teraz dodać DeAnne otuchy? Zabral ją do łóżka i tulił, póki nie zasnęła.

Reszta nocy przespał niespokojnie, a cały następny dzień nurtowało go, kto mógł przysłać te płyty. Kto chciał zniszczyć ich życie, napelnic przerażeniem?

DeAnne wywnioskowała, że kimkolwiek jest ta osoba, zna Stepa lepiej niż ja - ale to w gruncie rzeczy nie upraszczało sprawy, ponieważ wydawało się, iż wszystkich wrogów, jakich mieli, przysporzył im Step. Kto w ogóle chciałby, żeby czuli się obserwowani? Mógł to być oczywiście Lee Weeks, karał ich w ten sposób za incydent podczas chrztu. Albo Gallowglass, po sławetnym pikniku z czwartego lipca - od tamtej pory był w pracy chłodny i trzymał dystans; kto wie, co myślał o oskarżeniu, jakie wystosował wówczas Step pod jego adresem?

Byli też inni mogący żywić wrogię zamiary. Nie można wykluczyć pani Jones, która opuściła ostatni miesiąc nauki i - zgodnie z tym, co powiedziała dr Mariner - nie wróci w przyszłym roku. Czy mogła siedzieć w domu i knuć, może wpadła na pomysł wysłania tej płyty, by Fletcherowie także nieco pocierpieli? A była jeszcze siostra LeSueur, choć to wydawało się najmniej prawdopodobne, jakos nie mógł sobie wyobrazić, by słuchała muzyki rockowej, a tym bardziej kupowała płyty, która uważała za narzędzie szatana.

Dicky? To nie mógł być Dicky. Cechowała go wprawdzie mściwość, Step zdążył się o tym przekonać, prócz tego niejednokrotnie dochodziło między nimi do scysji, jednak z pewnością Dicky przeprowadziłby swą zemstę drogą biurokratycznego wyniszczania w pracy.

Co za straszna lista: Lee, Glass, pani Jones, siostra LeSueur - to są ludzie, którzy niewatpliwie mają powody, by nienawidzić, obawiać się lub czuć urazę do Stepa Fletchera po niecałych pięciu miesiącach przeżytych przez niego w Steuben w Karolinie Północnej. Tylko pomyślcie, ilu ich jeszcze może przybyć do Nowego Roku! A przecież starał się postępować właściwie. Zjawił się w Eight Bits Inc. z nadzieją na

przyjazn z Dickym Northangerem - w czasie rozmów wstępnych nawet go polubił. To Dicky zdecydował się zostać wrogiem Stepa. To siostra LeSueur wtargnęła w ich życie, nie na odwrót. To pani Jones wyselekcjonowała Steviego, by go przesładować - czy miał pozwolić, żeby taka sytuacja trwała dłużej, starać się być „siewcą pokoju”? Jakim byłby siewca pokoju, jakie błogosławieństwo by otrzymał, gdyby szerzył pokój kosztem szczęścia własnych dzieci?

Co się zaś tyczy Glassa i Lee, no cóż, standardy biernego zachowania najwidoczniej w ich przypadku się nie sprawdzały. Z pewnością nie chciał zrobić sobie z nich wrogów.

Okolo godziny dziesiątej doszedł do wniosku, że tego ranka nie zdoła już zrobić nic sensownego. Równie dobrze mógłby powalnąć się po dziupli i sprawdzić, czy może tam udawać pożytecznego pomocnika.

Mijając po drodze zapasowe pomieszczenie, gdzie magazynowano nie używany sprzęt, spostrzegł, że ktoś zapomnieli zgasić światło. Uchylił drzwi, wsadził rękę i pstryknął w przelacznik.

Ktoś wewnątrz ryknął.

Step pospiesznie otworzył drzwi, włączył z powrotem światło, prosząc równocześnie o wybaczenie:

- Przepraszam, po prostu pomyślałem, że niechcący zostawiono włączone światło, nie sadziłem, że ktoś jest w środku.

Zamknął już drzwi, kiedy uswiadomił sobie, że to Dicky siedzi w pokoju przy uprzątniętym biurku i używa komputera, który nie przypomina Commodore'a 64, Atari czy jakiegokolwiek innej maszyny, znanej mu. Powtórnie otworzył drzwi.

- Przepraszam, czy to nie Lisa? Nie mamy tu przecież Lisy, no nie?

Dicky tymczasem zdążył przykryć komputer brezentem i znajdował się w połowie drogi do wyjścia. Powtórne otwarcie drzwi przez Stepa rozszedziło go jeszcze bardziej.

- Niech to szlag trafi, ty podstępny sukinyń! Nie masz już dość szpiegowania jak na jeden dzień?

- Od kiedy szpiegowaniem nazywa się otwarcie drzwi do pomieszczenia magazynowego? - zapytał Step. - Czy natrafiłem na jakiś ściśle tajny projekt?

- Nie, to zwykły Boy Scout, lubi spać w namiocie - odparł Dicky.

Lecz Step zdolał już spostrzec to, co Dicky nieuważnie zapomnieli przykryć - wielkie, puste pudło na podłodze z napisem „Compaq”.

- Przepraszam, Dicky, może klucz w zamku załatwiłby sprawę?

- Właśnie wstawiałem, by zamknąć drzwi, kiedy ty wtargnałeś do środka po raz trzeci, jeśli dobrze policzyłem.

- Przepraszam - powtórzył Step. - Nigdy już nie wyłączę żadnego światła w Eight Bits Inc., obiecuje. - Zatrzasnął za sobą drzwi.

Kiedy szedł korytarzem, usłyszał, jak Dicky powtórnie otwiera i zamyka drzwi. Uff, Dicky, już ci lepiej?

Step zbliżył się do dziupli, położył dłoń na klamce, po czym okrecił się na piecie i wrócił do swego gabinetu. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do DeAnne.

- Czy wysłałaś już czek do tego przedsiębiorstwa kredytowego?

- Jeszcze nie - odparła.

- To nie wysyłaj.

- Czemu nie? Czy coś się stało?

Opowiedział jej, co zobaczył i jak się z tym czuł Dicky. Nie zalała.

- Komputer Compaq to klon IBM. Dicky pracuje na nim w tajemnicy.

- Ach - powiedziała - umowa...

- Jeśli Eight Bits Inc. wesprze PC w czasie, gdy się będę zwalniał, przez rok nie wolno mi będzie programować na PC. Prócz tego odcięty będę od Commodore'a 64 i Atari. Muszę dziś rzucić pracę, DeAnne. Już może być za późno.

- Jeśli już jest za późno - odpowiedziała - to co nam przyjdzie z twojego odejścia? Dziecko się jeszcze nie urodziło. Ma przyjść na świat dwudziestego ósmego. Lecz może to trwać krócej, może urodzić się wcześniak. Podobnie jak Elizabeth.

- Robbie spóźnił się o tydzień i musieliśmy przyspieszyć poród - powiedział Step. - Czy nie rozumiesz? Jeśli nie odejdziesz teraz, dzisiaj, nie odejdziesz w ogóle.

- Ale czy to będzie aż tak źle, Step? Odkąd nie pracujesz do nocy, jest o wiele lepiej.

Miał ochotę krzyknąć na nią. Wcale nie było lepiej, było po prostu krócej. Ale nie krzyknął. Wprost przeciwnie, niżył głos i mówił szybciej, gdyż czuł głęboką potrzebę przekonania jej.

- Moja sytuacja tutaj pogarsza się z godziny na godzinę. Nic mi tu nie podlega. Krzyty autorytetu zawdzięczam jedynie snuciu się wśród programistów i pomaganiu im przy tworzeniu gier za plecami Dicky'ego, a nawet to się już tak nie liczy, gdyż większości z tego, co sam wiem, nauczyłem innych. Za miesiąc Dicky tak mnie będzie cisnął, że każda godzina stanie się nie do zniesienia. Odrzuci wszystko, co napisze, kaze przepisywać po sto razy na nowo z najbliższych powodów. Prawde mówiąc, już się tak zachowuje, tylko że go ignoruje i nie uwzględniam jego poprawek, lecz co się stanie, jeśli nie wolno mi już będzie go ignorować? Nie wiesz, co mówisz, radź mi, żebym tak po prostu został.

- Step, proszę cię jedynie, byś został, dopóki nie urodzi się dziecko...

- Wcale nie. Proszę, bym został na zawsze. Zadnego końca, jak okiem sięgnąć. Tymczasem Dicky wie, że widziałem Compaq. Wie, że sekret się wyda, pobiegnie więc w te pędy do Raya i za moment dostaniemy kolejne oświadczenie, bo wiadomość musi pochodzić od nich, nie ode mnie. Rozumiesz? Chodzi o teraz, o minuty. Nawet nie mogę dać wypowiedzenia. Po prostu muszę rzucić te roboty i wyjść.

- Nie wolno ci, Step. To nie byłoby fair.

- A czy cos bylo fair od samego poczatku, odkad dla nich pracuje? I nagle mam byc szlachetny?

- Musisz dac im dwutygodniowe wypowiedzenie, a potem kiedy odmówia ci praw do pisania na PC, mozesz powiedziec, ze w momencie wreczania wypowiedzenia Eight Bits Inc. ciagle nie wspieralo PC.

- No tak, swietnie. Jestem pewien, ze w sadzie nikt tego nie podwazy.

- Moze nie.

- Posluchaj, DeAnne. Przedzwon do wujka Mike'a. To prawnik. Zapytaj, co powinnismy zrobic. Powiedz o mojej umowie z Eight Bits Inc. - przeczytaj mu umowe - i zobacz, co ci odpowie. A przy okazji zapytaj, co mamy zrobic z domem. Co sie z nami stanie, jesli wykorzystamy pieniadze na przyspieszenie porodu.

- Masz na mysli, zeby przejeci zastaw?

- Dokladnie.

- Och, Step, nie mozemy - to nieuczciwe.

- Nie, DeAnne, gdybysmy podpisali zastaw, nie majac zamiaru go splacic, wówczas byloby to nieuczciwe. Lecz cala idea kredytu pod zastaw polega na tym, ze w chwili gdy spostrzega, ze nie jestesmy w stanie splacac rat, zabieraja dom. Cóz, nie mozemy placic, wiec biora nam dom.

- Ale my mozemy zaplacic, Step. Mamy przeciez pieniadze w banku.

- Te pieniadze nie sa na dom, sa po prostu pieniedzmi. Naszymi pieniedzmi. Jesli uzyjemy ich na wywołanie porodu i inne koszty zwiazane z dzieckiem, juz dzis moge zrezygnowac z pracy, teraz, z miejsca i ciagle bede mial przyszlosc w Agamemnonie. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Wiec tak bardzo chcesz rzucic prace, ze odejdziesz bez wypowiedzenia, pozwolisz odebrac nam dom, pozwolisz, bym rodzila bez ubezpieczenia?

- Sadzilem, ze tez chcialas, bym rzucil te robote. Sadzilem, ze potrzebujesz mnie w domu. Zebym byl przy Steviem. Bysmy znów stanowili rodzine.

- Trudno, nie chce byc niegodziwa, Step, jesli chcesz odejsc, odchodz.

- Ach, wiec wszystko bedzie w porzadku, jesli to ja bede niegodziwy, o to ci chodzi? Tym razem nie podejmujemy decyzji wspólnie, ja musze podjac ja sam, kiedy zatem okaze sie, ze popelnilem blad, ty na wieki obciazysz mnie wina. Gdybym pragnal tego rodzaju zycia, poslubilbym wlasna matke!

- To najglupsza i najokrutniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek powiedziales.

- Tak uwazasz? W takim razie, co powiesz na to. Wyobraz sobie tylko, jak bys sie czula, gdybym przyszedl teraz do ciebie i powiedzial: och, czy nie jest to z twojej strony trozke egoistycznie, ze tak nalegasz, bysmy mieli dziecko wlasnie teraz? Gdybys naprawde kochala rodzine, ponosilabys je jeszcze szesc miesiecy, nie uskarzajac sie przy tym.

Po tych slowach odlozyl sluchawke, nie czekajac na odpowiedz, gdyz tak w tej chwili nienawidzil sam siebie, ze nie mógł zniesc dzwieku wlasnego glosu.

Albo do niego oddzwoni, albo nie.

Po dwóch minutach, kiedy jednak nie oddzwoniła, usiadł przy maszynie do pisania i wystukał:

„Drogi Rayu:”

„Niniejszym rezygnuje ze swego stanowiska zajmowanego w Eight Bits Inc., ze skutkiem natychmiastowym. Nie ma potrzeby płacić mi za dzisiejszą pracę. Dziękuję za możliwość pracy z panem przez ostatnie miesiące. Przepraszam za ewentualne kłopoty, jakie może sprawić moje odejście.”

„Szczerze”

Wyciągnął kartkę z maszyny i podpisał ją.

Czuł się taki wolny.

Następnie podarł ją na strzępki i wrzucił do kosza.

Zadzwoił telefon. DeAnne. Szlochala, niezdolna wykrztusić słowa.

- Step, przepraszam, przepraszam, byłam egoistką - powiedziała.

- Nie, to ja byłam egoistką - zaprzeczył. - Nie odejdziesz. Poczekam, dopóki nie urodzi się dziecko, a jeśli Eight Bits Inc. wspierac będzie wtedy IBM, trudno, widocznie tak miało być. Może już od dawna Pan to zaplanował.

- Nie - powiedziała - nie, mylisz się. Pan zaplanował dla nas Agamemnona. Sam wiesz, jak gładko szło w San Francisco, naprawdę polubił Arkasiana, który dotrzymuje wszystkich obietnic, pieniądze są przyzwoite, musisz tylko wyciągnąć rękę i brać, musisz. To tylko mój strach, mój głupi strach kazał mi to wszystko powiedzieć, prosić cię, byś został w Eight Bits Inc., myliłam się. Czy ja nie mogę się mylić? Zrób to, co uważasz za słusze.

Ta sama klótnia, tylko stanowiska się zmieniły. Kiedy oboje zauwazyli, że teraz DeAnne z kolei nalega, by odszedł natychmiast, wybuchli śmiechem.

- Może wrócmy do planu A, DeAnne. Zadzwoń do wujka Mike'a. Będzie tu cały czas, zaczekam, aż oddzwonisz.

- Oddzwonie natychmiast. Kocham cię, Galganiarzu.

- I ja cię kocham, Rybia Damo.

Usiadł przy maszynie i napisał kolejny list. Przypominał ten pierwszy z tym małym wyjątkiem, że wspominał o dwutygodniowym wypowiedzeniu. Rezygnacja dojdzie do skutku drugiego sierpnia. A jeśli dziecko nie urodzi się dwudziestego ósmego, jak przewidywali, to zdecydują się na przyspieszenie porodu, co pokryje polisa ubezpieczeniowa Eight Bits Inc. Najlepszy kompromis, jaki Step mógł

wymyslic.

Polozył list na biurku, ale tym razem go nie podpisał. Po prostu siedział z zamkniętymi oczami, czekając na telefon od DeAnne. Modlił się po cichu: niech wujek Mike będzie w domu. Niech udzieli nam dobrej rady. Wstrzymaj jeszcze przez jakiś czas reke Raya Keene'a przed napisaniem ogłoszenia o wspieraniu PC. Niech to się wszystko jakos ułoży.

Zadzwonil telefon. DeAnne.

- Powiedział, żeby machnąć reka na dom - powiedziała.

- Na dom? - zapytał. Czy wszystko kreci się wokół domu? No tak, dla DeAnne na pewno, bo dla niej sprawa honorowa jest spłacenie wszelkich długów. Jeśli wujek radzi pozbyć się go, to w dużej mierze uspokoi jej sumienie, o co przecież chodziło.

- Powiedział, że mamy recesję, a Indiana jest nią szczególnie dotknięta. Jest szansa, że tamtejsze banki nie przesadzają z raportami na temat przejętych zastawów. Ta sprawa może nigdy nie ujrzeć światła dziennego. A jeśli już, to nas przecież nie zabije. Dlatego możemy oddać dom.

- W porządku - powiedział Step. - Zatem możemy korzystać z pieniędzy w banku. Co z umową o zatrudnieniu?

- Powiedział, że może być różnie. Jeśli zrezygnujesz w przeswiadczeniu, że polityka firmy jest taka, a nie inna, a przed formalnym odejściem zarząd firmy ją zmieni, najprawdopodobniej nic nie stanie na przeszkodzie, byś robił gry na PC, zgodnie z treścią umowy.

- Lecz jestem raczej pewny, że zabierają się do zmiany kursu - odparł Step. - Dlatego właśnie zrezygnuję, a Dicky nie przegapi faktu, że zrezygnowałem w niecałą godzinę po tym, jak przyłapałem go przy pracy na Compaqu.

- No właśnie - powiedziała - dlatego twierdził, że może pójść różnie.

- No i masz ci los - rzekł Step.

- Radził, byś odszedł od razu. Po prostu wyszedł. Nie będzie wtedy niejasności.

- Tyle że od tej chwili Eight Bits Inc. może rozgłosić, że odchodząc nagle, opuściliśmy ich w potrzebie. I będzie to prawda.

- A nasze przedsiębiorstwo kredytowe może rozesłać wiadomość, że opuściliśmy dom i to też będzie prawda. Zupełnie tak, jak powiedział wujek Mike, lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

- Tak, ale to prawnik, nie odróżnia dobra od zła.

- Step, to mój wujek, on...

- To taki kawał, DeAnne. Wrecze moja rezygnacja od razu.

- Wróć do domu jako wolny człowiek, Step. Wróć do swej rodziny.

- Tego właśnie chce.

- Powiedz, że tak będzie.
- Kocham cie.
- Och, Step!
- Powiedz, że mnie kochasz, nim odłożę słuchawkę.
- Kocham cie.

Odłożył słuchawkę.

Dlaczego teraz tak niechętnie myślał o odejściu? Po prostu wyczuwał podskórnie coś niedobrego. Ten drugi list, ten, który napisał, zanim DeAnne zadzwoniła do wujka Mike'a - wiedział, że ten właśnie powinien wręczyć szefowi. Nie wiedział tylko dlaczego. Wydawało się to przecież najgłupszym rozwiązaniem, które pozbawi go pracy, kontraktu z Agamemnonem, zwiąże na rok klauzula zamieszczona w umowie z Eight Bits Inc. A mimo to, spoglądając na list, wiedział, że tak właśnie powinien postąpić, że to jedyny sposób, by zachować twarz. Mógł sobie odpuścić zastawiony dom, ponieważ bank położy na nim łapę, a jego wartość jest o wiele większa niż pożyczona kwota pieniędzy. Jednak nie należał do tych ludzi, którzy potrafia wypiąć się na pracodawcę bez uprzedniego wypowiedzenia.

Podpisał więc list, odbił go kilka razy na ksero i zabrał oryginał do Ludy, sekretarki Raya, która go przejrzała, cmoknęła kilka razy, uśmiechnęła się don smutno i powiedziała:

- Przypuszczam, że jednak nie zgarne puli.
- Co?
- Sądziłam, że zmałstrujesz ten papierek dopiero po narodzinach dziecka.
- Dziecko urodzi się w ciągu dwóch tygodni.

Przewróciła oczami.

- Jesteś pewny, że nie zamierzasz poczekać z tym, aż polisa ubezpieczeniowa pokryje koszty narodzin?
- Dzisiaj - powiedział, potrząsając głową.
- Nie chcesz czasu na ochłonięcie? Mogę poczekać do jutra rano, a na przykład gdybyś zmienił zdanie, nikt nigdy się nie dowie, że istniał taki list.
- Ludy, jesteś kochana, lecz daj mu list już teraz, proszę.

Uśmiechnęła się.

- Mhm, wy, mężczyźni, jesteście tacy atrakcyjni, myślac, że wiecie, co robicie. Oczywiście, tak do końca, nigdy nie wiecie.

Step zaczął już odchodzić, ale się powstrzymał.

- Naprawde byly zaklady, kiedy odejde?

Rozesmiala sie.

- Jasne, ze nie. No, moze taki malutki. Moze zalozylam sie o lody, ze zostaniesz, i o batonik, ze odejdiesz.

- Zatem zycze smacznego - rzekl Step.

- Trzymaj sie - pozegnala go Ludy.

Step przemierzyl labirynt korytarzy w drodze na tyly budynku, gdzie natrafil na uchylone drzwi do biura Dicky'ego. Zapukal.

- Wejsc.

Dicky rozmawial przez telefon, co sprowadzalo sie przede wszystkim do kiwania glowa. Step polozyl kopie listu na maszynie do pisania Dicky'ego. Dicky spojrzal na nia, sluchajac niewidzialnego rozmowcy, skinal glowa, rzekl: „W porzadku” i odlozyl sluchawke. Popatrzyl na Stepa i usmiechnal sie.

- To byl Ray. Twoja rezygnacje przyjeta.

- Co za szybkoosc - powiedzial Step.

- Ale to pieprzenie sie z dwoma tygodniami nie wchodzi w rachube - zaznaczyl Dicky. - Dwa tygodnie, podczas których rozdrażniony pracownik może narobić szkód? Nafaszerować programy błędami? Przekazać nowym szefom raporty na temat tajemnic Eight Bits Inc.?

- Co wy tu, ludzie, konstruuje w tajemnicy bron nuklearna dla OWP? Poza tym nie mam nowego szefa. Wracam do pracy dorywczej. Mam kontrakt na Hacker Snacka, jak juz wspominalem.

- No tak, oczywiscie - powiedzial Dicky. - Nic innego, tylko siadiesz na dupie, czekajac az uplynie rok, do czego zmusza cie klauzula o niekonkurencyjnosc i ustep o nieujawnianiu zadnych informacji, mam racje? Tylko pamietaj, balwanie, bedziemy cie pilnowac i gdy zauwazymy, ze pogwalciles choc troche umowe, naslemy na ciebie prawnikow, tak ze ci sie wszystkiego odechce.

- Och, co za nieuprzejmosc.

- No tak, widze, ze na nonszalancji ci nie zbywa, ale pojdzimy teraz razem do twojego biura, gdzie wlozysz wszystkie osobiste rzeczy do pudelka, a ja bede patrzyl. Nic, co stanowi wlasnosc Eight Bits Inc., nie opusci tego budynku z toba, a kiedy juz odejdiesz, noga twoja juz nigdy wiecej tu nie postanie, rozumiesz?

- Czyli mam rozumiec, ze odrzucacie moja oferte dwutygodniowego wypowiedzenia, choc nie macie nikogo, by pociagnac dalej moje prace?

Dicky zasmial sie szyderczo.

- Step, nawet wozni rusza z twoja praca juz w ciagu pol godziny. Jestes najbardziej nieudacznym, bezuzytecznym osobnikiem w firmie, do tego w pelni do zastapienia.

- Ho, ho - rzekł Step. - To po co w ogóle mnie zmieniać?

- Bierzmy się do pakowania, Step. Im prędzej odejdziesz, tym lepiej dla firmy.

Te słowa ukluły, nawet jeśli wyszły z ust Dicky'ego. I choć natychmiastowe odejście było czymś, czego naprawdę pragnął, mimo że czuł, iż nieuczciwie jest prosić o to wprost, dotknęło go do żywego, że Ray i Dicky tak mało go rozumieli, by posadzić o chęć kradzieży. Z drugiej jednak strony, jako że sami nie grzeszyli uczciwością i prostolinijnością, zakładali, rzecz jasna, że Step zachowa się dokładnie tak, jak oni by się zachowali w podobnej sytuacji.

W pięć minut pozbił z biurka kilka swoich papierów. Dicky zakazał mu kopiować jakiegokolwiek ogłoszenia zarządu, że to niby były wewnętrzne tajemnice, ale Step o to nie dbał. Jedyne ogłoszenia, których potrzebował, bezpiecznie spoczywały u niego w domu.

Do spiecia doszło jedynie wtedy, gdy Step chciał zabrać kilka dyskietek.

- Nie ma mowy - oświadczył Dicky stanowczo. - Każda linia kodu na każdej dyskietce w tym biurze należy do Eight Bits Inc.

- To tylko osobiste rzeczy - odrzekł Step. - Narzędzia, których używam. Nie należą do Eight Bits Inc. Słuchaj, wrzuć je na komputer i wyświetl drzewko, sam zobaczysz.

- Możesz zmienić nazwy plików, Step. Daj mi te dyskietki.

Nie warto było kruszyć o nie kopii - narzędzia, których najczęściej używał, i tak miał w domu. Wrezył zatem dyskietki Dicky'emu.

Dicky sięgnął po zszywacz leżący na blacie biurka i przekłuł z tuzin dyskietek, bum, bum, bum, bum. Przekazał pokiereszowane dyskietki Stepowi, który uniósł je i upuścił na ziemię.

- Kiedy przyprowadzisz tu woznego, by kontynuował moją robotę, każ mu przy okazji posprzątać - powiedział. Następnie chwycił pudełko ze swoimi papierami i cisnął je do kosza na śmieci. Nie potrzebował niczego z Eight Bits Inc., gdyż nigdy nic wartościowego tu nie przyniósł. Ani skrawka siebie nie zainwestował w tych ludzi, cóż więc mógł zostawić? Oprócz, oczywiście, swej aktówki, prezentu od DeAnne, wypełnionej materiałami lekcyjnymi niezbędnymi w niedziele, także do nauczania w domach; doszło też parę czasopism do czytania podczas lunchu.

- Otwórz aktówkę - zazała Dicky.

- Chyba że będziesz miał nakaz - odparł Step.

Podszedł do drzwi, pogrzał w kieszeni, wyciągnął pek kluczyków, odłączył klucz do tylnego wyjścia z budynku Eight Bits Inc. i rzucił go w kierunku kosza. Ku jego zdumieniu wpadł dokładnie do środka.

- Taki jesteś głupi, Dicky, że nawet nie poprosiłeś mnie o klucz.

Step zatrzasnął drzwi tuż przed nosem Dicky'ego i podążył w dół korytarzem w stronę dziupli. Otworzył drzwi, pomachał ręką i zakomunikował:

- Dałem tym gnidom dwutygodniowe wypowiedzenie, a oni wyrzucają mnie od razu. Taka jest kolej

losu, ludzie. Życie jakos!

Ich aplauz i okrzyki brzmiały mu w uszach, kiedy wychodził tylnym wyjściem, wsiadał do samochodu i odjeżdżał do domu.

Rozdział jedenasty

Zap

Oto co się wydarzyło, kiedy przyszedł czas na narodziny dziecka: w czwartek, dwudziestego ósmego lipca, DeAnne odwiedziła gabinet lekarza, by dowiedzieć się, czemu dziecko jak dotąd nie wykazuje najmniejszej ochoty zobaczenia świata. Nadszedł przecież spodziewany dzień, a DeAnne nie usmiechało się czekać dodatkowego tygodnia, jak w przypadku Robbiego. Kiedy dr Keese przebadal ją, na twarzy malowało mu się zdumienie.

- Nie miała pani żadnych bólów porodowych?

- Nigdy nie miewam silnych bólów porodowych, chyba że przed samym rodzeniem - poinformowała go DeAnne.

- W takim razie niech się pani przygotuje - ostrzegł. - Jest pani przy sześciu centymetrach.

- Och - odparła DeAnne - to znaczy, że chyba nie mam czasu, by przejechać jeszcze czterdzieści mil, nim urodzi się dziecko?

- To znaczy, że na pani miejscu wsiałbym do auta i pojechał prosto do szpitala. Kaze Rochelle zadzwonić do pani meza.

- Niezbyt mi to na rękę - powiedziała DeAnne. - Dzisiaj o dziewiątej trzydzieści przylatuje moja matka z Utah. Sądzi pan, że dziecko narodzi się do tego czasu, by Step mógł pojechać po nią na lotnisko?

- Zdaje sobie pani sprawę, że mówi od rzeczy? - zapytał dr Keese. - Podobne sprawy nie powinny pani interesować przez następne kilka dni, a już na pewno nie najbliższe godziny.

Zatrzymała się przy recepcji i poprosiła o telefon.

- Cześć - rzekł Step. - Jakie nowiny?

- Jest sześciocentymetrowe rozwarcie i lekarz mówi, że nie mam już czasu wracać do domu.

- Okej - powiedział Step. - Pojawily się bóle?

- Na razie nie, ale jestem pewna, że za chwile to się zmieni. Pamiętaj, że matka przylatuje o dziewiątej trzydziestej.

- Już umówiłem się z Samem Freebodym, że pojedzie po nią, jeśli będziemy wtedy w szpitalu.

- Ach tak, a jak ją rozpozna?

- Będzie rozglądał się za kobietą z krótko ostrzyzonymi włosami w biało-czarna szachownicy, wyglądająca na zagubioną i opuszczoną, poza tym reagująca na imię Vette.

- Z twoich słów można by wywnioskować, że masz na myśli zaginionego psa.

- Oprócz tego mam zamiar zadzwonić do niej, nim wsiądzie do samolotu, by szukała mężczyzny tak wysokiego, że bez pomocy drabinki wykreca zarówno, i tak szerokiego, że nawet dwa grzechotniki nie obejmą go w pasie. Sądzę, że się odnajdzie.

- Wiem, że idealnie nadajesz się do załatwiania takich spraw, Step. Ale ja muszę o to zapytać, inaczej zacznę się martwić.

- Wiem. Przecież się nie skarzę. Pragnę cię tylko uspokoić, żebyś się nie martwiła.

- W takim razie idzie ci doskonale. Zadzwon do siostry Bigelow albo Mary Anne Lowe, by któraś została z dziećmi.

- Jeśli jedna powie tak, drugiej kaze skończyć za mnie koszenie trawnika.

- Bardzo zabawne. Skoro tylko któraś przyjedzie, przynies koniecznie moją torbę, tę, do której zapakowałam wszystkie rzeczy potrzebne w szpitalu.

- Dobra. Właśnie stoję w naszej sypialni i otwieram torbę.

- Nie otwieraj jej, Step, bo jeszcze coś wypadnie.

- Wkładam do torby twój egzemplarz „Kolacji w nostalgicznej restauracji”; sama mówiłaś, że chcesz ją czytać w szpitalu, lecz przez niedopatrzenie zapomniałaś włożyć do torby.

- Nie cierpie, kiedy mówisz do mnie takim tonem wyższości.

- Teraz będę mówił jak prawdziwy szef.

- No dalej, zniósę wszystko - jestem kobieta.

- Odlóż słuchawkę, zostaw mi wszystko, jedź do szpitala, będę za pół godziny.

- Okej, Galganiarzu.

- Och, czekaj, jak się nazywał ten szpital?

- Step, nie mogłaś przecież zapomnieć...

Smiał się długo.

- Jesteś chory - powiedziała. - Mam nadzieję, że dziecko nie będzie cię w niczym przypominało.
- Mam nadzieję, że będzie zupełnie jak ty - odparł Step.
- Kocham cię i jestem przerażona, więc pośpiesz się, proszę.
- Dokładnie to mam w planie. Też cię kocham.

W drodze do szpitala przejechała bez zatrzymywania się tylko jeden nakaz stopu. Kiedy weszła do pokoju, kazali jej usiąść na wózku. Sama tu przyjechałam, pomyślała, przyszłam z parkingu, i czyżbym teraz miała potrzebować kogoś do opieki?

A dlaczego by nie? Nie musiała się teraz o nic troszczyć, z wyjątkiem dziecka w środku, które ostatecznie zdecydowało się przyjść na świat. Bez polisy ubezpieczeniowej, za to będzie z matką i ojcem, którzy kochają dzieci, a na to ostatecznie czekają z niecierpliwością, tak jak czekali na wszystkie poprzednie.

Step najpierw wykonał telefony, choć oczekiwał potem i laskotały go zdzbia skoszonej trawy. Sam Freebody bez problemu odbierze matkę DeAnne, na lotnisku będzie trzymał wysoko karton z napisem „Sylvette Brown, znowu Babcia”. Mary Anne Lowe siedziała już w samochodzie, pedząc do domu Fletcherów, aby przypilnować dzieci. Bappy Waters zjawi się, by dokończyć strzyżenie trawnika, schować kosiarkę i zebrać ściętą trawę. Step zadzwonił nawet do Ruby Bigelow, pozornie po to, by poinformować ją, że DeAnne nie będzie mogła udzielić lekcji w te niedziele i w następną, w istocie przypuszczając, że przewodnicząca pierwszej gminy lubi być powiadamiana o każdym nowym narodzinach - kiedy inne kobiety będą dzwonić do niej z nowiną, ona będzie mogła odpowiadać: „Tak, już wiem” - udzielił jej tej cennej wiadomości.

Step kazał Steviemu otwierać drzwi tylko wtedy, gdy pojawi się siostra Lowe, po czym udał się do pralni, zrzucił swe pobrudzone trawą ubranie i pokłusował w bieliznie do łazienki.

- Nie jedziesz chyba do szpitala w bieliznie, tato, co nie? - krzyknął Robbie.

- Ide wziąć prysznic - wytłumaczył mu Step.

- W bieliznie? - krzyczał dalej Robbie. Chłopiec uważał to za tak komiczną sytuację, że podążył w ślad za ojcem, powtarzając: - W bieliznie? W bieliznie?

- Nie, w czerniznie - odparł Step. Zamknął drzwi do łazienki, wrzucił bieliznę do kosza na brudy i wziął najszybszy prysznic swego życia.

Wyskoczył, włożył świeże ubranie, chwycił torbę DeAnne, a kiedy wszedł do pokoju dziennego, odkrył obecność siostry Lowe, wyposażonej w torbę pełną kolorowych książeczek, kredek i gier planszowych dla małych dzieci.

- Proszę pomagać siostrze Lowe we wszystkim - Step przykazał dzieciakom. Do siostry Lowe powiedział: - Dzieci niczego nie lubią, więc proszę się nie kłopotać przygotowaniem obiadu.

- Ta-ato! - rzekł Robbie.

- Robbiemu smakuje wszystko, co jest polane keczupem, włączając w to małe zyjatka - powiedział Step. - Stevie zje tylko makaron z parmezanem, bez masła, bez soli. No a Betsy tak naprawdę nie je, ona po prostu rozsypuje i rozpryskuje wszystko po całej kuchni.

- Niech mu pani nie wierzy! - krzyknął Robbie. - On zartuje!

- Świetnie sobie poradzimy - zapewniła go Mary Anne.

Step spojrzal na Steviego.

- Pomozesz przy braciszku i siostrzyczce?

- Tak - odparł zwięzle.

Mary Anne zwróciła się teraz do Steviego.

- Masz nadzieję, że to będzie chłopczyk czy dziewczynka?

- Chłopczyk - powiedział.

- Sprawdzaliśmy USG - wyjaśnił Step.

- Ach, my też ostatnio - rzekła Mary Jane - lecz nie pozwoliliśmy lekarzowi, by nam wcześniej powiedział. Nie chcieliśmy wiedzieć.

- Nadamy mu imię Zap! - wtracił Robbie.

- Zap? - zdziwiła się Mary Anne.

- Od Zapaty - wytłumaczył Step - wielkiego meksykańskiego rewolucjonisty.

- Co masz jeszcze w zanadru? - wyszczerzyła zęby. - Pancho Ville?

- Mało prawdopodobne - powiedział Step. - DeAnne mi oznajmiła, że jeśli chce nazwać syna imieniem bandyty, który wypędził jej przodków z Meksyku, będzie go musiał sam urodzić.

- Dlaczego tu się jeszcze krecisz? - spytała Mary Anne. - Czy nie powinieneś w tej chwili mówić jej, kiedy oddychać czy coś takiego?

- Nie - zaprzeczył Step. - Wierzmy w użyteczność znieczulenia zewnątrzoponowego. Żadnego bólu. W czasie rodzenia rozwiązujemy krzyżówki.

- Proszę, idź już, przez ciebie się denerwuję - nalegała Mary Anne.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Step.

- Bez obaw, jeszcze ci przyjdzie wyrównać rachunki.

Kiedy Step przybył do szpitala, zastał DeAnne na sali porodowej. Jedna z pielęgniarek zabrała torbę, pozostałe dwie zajęły posterunki. Jak na razie wszystko przebiegało normalnie, czyli zaczynały się bóle.

Step musiał teraz mówić do niej bez przerwy, milkł tylko wtedy, gdy DeAnne nie chciała już słuchać. Posiadł już niejaka wprawę w zgadywaniu, kiedy ma milczeć, a kiedy paplać. A może to ona nauczyła się lepiej okazywać, że nie może już zniesć gadania lub że desperacko pragnie, aby odwrócił jej uwagę od strasznego procesu, którym ewolucja obdarzyła kobiety - rodzenia wielkogłowych niemowląt.

Pielegniarka wpadała i wypadała; anestezjolog nakłuł kregosłup i napelnił rurkę, przygotowując się do znieczulenia.

Zaraz potem nadeszły złe wieści.

- Obecna pacjentka doktora Keese'a ma małe problemy - oznajmiła pielegniarka. - Może zajść konieczność cesarskiego cięcia. Jeśli tak, zjawi się tu zmiennik - dr Vender. Czy może tak być?

- A mamy inne wyjście? - zapytał Step.

- Niech będzie dr Vender - zgodziła się DeAnne. A kiedy już pielegniarka wyszła, dodała: - Dr Vender to kobieta. Niedawno rozpoczęła te same praktyki lekarskie co ginekolog Mary Anne. Mary Anne już się zastanawia, czyby się do niej nie zapisać. Podobno zdobyła dobrą reputację.

- Nie znośże zmieniać koni w trakcie gonitwy - powiedział Step.

- Ani ja. Ale tak to już jest - jeśli twój lekarz jest z inną pacjentką, kiedy przychodzi kolej na ciebie, nie rzuci przecież tamtego dziecka na podłogę i nie pobiegnie do sąsiedniej sali.

- Może się nam poszczęści.

- Może poszczęści się tej drugiej kobiecie.

Nie poszczęściło im się. DeAnne była już gotowa, a dr Keese nadal przebywał z tamtą kobietą. Pojawiła się dr Vender, uzbrojona w fachową minę - spoglądała na Stepę jak jedna z tych kobiet, które zawsze w szkole noszą brązowe, bukatowe spódniczki, a gdy ktoś opowie dowcip, uśmiechają się tylko nieznacznie.

Na sali porodowej nie trwało to aż tak długo. DeAnne rodziła już wystarczająco wiele razy, by móc przyglądać się w lustrze nacieciu, choć Step nie przypuszczał, by nawet po tysięcznym razie przywykł do tego obrazka. Za chwilę wyloniła się główka, niewielki skret ramion i prosze: chłopiec numer trzy. Zap.

- Cześć, Zap - powiedział Step.

- Och, niech usłyszy swe prawdziwe imię - powiedziała DeAnne. - Bo jeszcze gotów wrócić, myślać, że do końca życia zostanie już Zapem.

- Cześć, Jeremy Zapato Fletcherze.

- Czy wszystko z nim w porządku? - spytała DeAnne.

- Wszystkie dwadzieścia palców rozstawionych normalnie - rzekł Step.

Szast-prast, pielegniarka przejęła dziecko od dr Vender i położyła na wadze.

- Przydaj się na coś, tatusiu - powiedziała pielegniarka. - Uważaj na dziecko i niech nigdzie nie

odchodzi.

- Cały się trzesie - zauważył Step. - Sądze, że mu zimno.

Pielegniarki zajmowały się czymś na boku. Dr Vender zajęła się lożyskiem i zszywaniem naciecia.

- Czy nie możemy go czymś przykryć? - pytał Step. - On się naprawdę trzesie.

- No, już dobrze, mamusiu - powiedziała dr Vender. - Wszystko poszło świetnie.

Step miał ochotę warknąć na nią: „Nie mów do nas, jak do dzieci”.

- To by było tyle - odezwała się pielegniarka. Zapisała wagę dziecka, a później wkropiła mu coś do oczu. - Och, wiem, że tego nie lubisz.

- To z pewnością nie jest normalne - powiedział Step. - Trzesie się i musicie coś na to poradzić.

- Co się stało, Step? - spytała DeAnne.

- Nic się nie stało - oznajmiła dr Vender. - Tatus jest tylko nieco zdenerwowany.

- Przestanie gaworzyć jak dzieci - rzekł Step, niezdolny powstrzymać dłużej złości. - DeAnne jest dorosła i ja też. Chcemy wiedzieć, co z naszym dzieckiem.

- Już posłaliśmy po neonatologa - poinformowała go dr Vender. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z jakimś objawem ataku. Nie ma żadnej bezpośredniej przyczyny. Nie nastąpiła przerwa w oddychaniu, nie stwierdzono żadnych anomalii podczas porodu.

Step domyślił się, że to, co słyszy, to standardowa wymówka, żeby uniknąć oskarżenia o zaniedbanie. Domyślił się też, że to najwyraźniej prawda. Lecz wciąż nie otrzymał prawdziwej odpowiedzi.

- Czy z dzieckiem będzie wszystko w porządku?

- Oznaki życia są prawidłowe - powiedziała dr Vender. - Dreszcze nie są normalne, ale może równie dobrze się okazać, że nie jest to nic groźnego. Jeśli tylko dowiem się czegoś nowego, dam znać, lecz najwyższa pora, by pańska żona przeszła do sali poporodowej.

Step pochylił się nad DeAnne, pocałował ją i uścił jej rękę.

- Czy mogę go potrzymać - poprosiła. - Czy mogę go najpierw zobaczyć?

Step wiedział, o czym myślała: coś nie tak z moim dzieckiem. Nie chce, by umarło, nim je potrzymam na rękach.

- Oczywiście, że możesz - odpowiedział Step.

Spojrzał na dr Vender, uniósł brew. Skinęła na pielegniarkę trzymającą niemowlaka. Ta przyniosła Zapa DeAnne i ułożyła go w zgięciu jej ramienia. DeAnne odwróciła głowę, by na niego spojrzeć.

- Jest słiczny - powiedziała.

Nie myliła się. Wszystkie noworodki są brylowate i czerwone, ale Zap od początku przyciągał uwagę uroda.

- Naprawdę się trzesie - zauważyła. - Nie bój się, Jeremy. Już cię kochamy. Czeka cię wspaniałe życie.

Pielęgniarka odebrała dziecko. Kolejna pielęgniarka wywiozła DeAnne z sali porodowej, w towarzystwie dr Vender.

- Chciałbym potrzymać dziecko - powiedział Step.

- Neonatolog ma tu być za minutę - oświadczyła pielęgniarka. - A musimy jeszcze je zmierzyć.

- Chyba aż tak nie urosnie przez trzydzieści sekund.

- W gorącej wodzie jest pan kapany - rzekła. Mógł się założyć, że nie powie: to mi się w mężczyźnie podoba.

- Przykro mi. Lecz ten mały jest dla mnie o wiele ważniejszy niż wszystkie szpitalne procedury razem wzięte, a za drzwiami nie czeka kolejka klientów.

Wreczyła mu noworodka. Zupełnie jak przy trzech poprzednich razach, od razu pomyślał: nigdy bym nie przypuszczał, że dzieci mogą być takie małe. Wszystkie wspomnienia o starszych dzieciach pochodziły z późniejszego okresu ich dzieciństwa. Pierwsze minuty nieodmiennie były czymś nowym.

- Zdaje mi się, że trzesie się trochę mniej.

Pielęgniarka nic na to nie odpowiedziała.

- Czy to się często zdarza? - spytał. - Taki rodzaj napadu?

- Zdarzają się różne rzeczy - odrzekła pielęgniarka - i nic się nigdy nie powtarza.

Czyli, pomyślał Step, widziała podobne przypadki, które zakończyły się śmiercią.

Wciąż mierzyła chłopca, kiedy wszedł neonatolog, dr Torwaldson.

- Dlaczego się pani tak grzebie? - zapytał na wstępie.

- Należałoby, aby pozwoliła mi potrzymać dziecko przez trzydzieści sekund - wtracił się Step. - Zagroziłem, że w przypadku odmowy rozbije jej przednią szybę w samochodzie.

- No to skończyłam - odezwała się pielęgniarka. Nie podejrzewała Stepa nawet o odrobinę grzeczności.

Torwaldson zabrał się za osłuchiwanie małego stetoskopem.

- Pora, żeby pan przeszedł do poczekalni, panie... Fletcher.

- Proszę mi powiedzieć, co to za rodzaj ataku - poprosił Step.

- Powiem panu, co to za rodzaj ataku, kiedy sam będę wiedział - rzekł Torwaldson. - Feno - zwrócił się

teraz do pielęgniarki. - Musimy się najpierw tym zająć.

Step wyszedł. Są chwile, kiedy potrzeba stanowczości, ale są też chwile, kiedy należy zejść z drogi.

Nie poszedł do poczekalni. Zamiast tego udał się do sali poporodowej, gdzie pielęgniarki nie protestowały, gdy poprosił o widzenie się z DeAnne. Najwidoczniej sama ją wcześniej prosiła.

- Jak się czuje? - zapytała.

- Jeden taki medyk bada go w tej chwili. Nadmienił coś o fenol. Coś mi to pachnie barbitalem. Przypuszczam, że ma powstrzymać te dreszcze.

- Czy wyglądał na zafrasowanego? - spytała.

- Wyglądał na kompetentnego i pewnego siebie - odparł Step. - A jak ty się czujesz?

- Boli, ale wszyscy są tu dla mnie bardzo mili i faszują mnie mnóstwem lekarstw. Sądzę, że dadzą mi jakieś pigułki nasenne, bo tak się martwię o dziecko. Odmów ze mną modlitwę, Step. Proszę.

Trzymając ją za rękę, modlił się o to, by lekarze potrafili rozpoznać dolegliwość i zrobić wszystko, na co pozwala współczesna medycyna, by zagwarantować bezpieczeństwo; i niech długo żyją wraz z tym chłopczykiem, tak bardzo go pragnęli, lecz nich się dzieje wola Twoja.

- Myślę, że wydobrzeje - oświadczył Step. - Naprawdę. Nikt tam nie panikował. To nie był nagły wypadek.

Już po chwili zasnęła, Step poszedł do poczekalni, by zacząć dzwonić do różnych ludzi. Lecz wcześniej zauważył w hallu dr Vender. Pomachała mu.

- Przykro mi, jeśli obeszłam się z panem nieco szorstko - powiedziała. - Balam się, że martwi pan panią Fletcher.

- Gdybym dostrzegł w dziecku jakąś nieprawidłowość i natychmiast jej o tym nie powiedział, już nigdy by mi nie zaufała.

- No cóż, niektórzy potrzebują prawdy, inni zaś wszystkiego, tylko nie jej - stwierdziła dr Vender. - Nie znalazłam pańskiej żony ani pana, wybrałam więc najbezpieczniejsze rozwiązanie. A przynajmniej próbowałam.

- Mnie też jest przykro. - Ale wcale mu nie było przykro, o czym z pewnością wiedziała.

- Torwaldson jest najlepszy w Steuben - powiedziała. - Właśnie rozmawia przez telefon z neuro w Chapel Hill.

- Neuro? - zdziwił się Step.

- Z neurochirurgiem - wyjaśniła.

- Przecież wiem, kto to jest neuro. Po prostu chciałbym się dowiedzieć, co to znaczy, że dzwoni do niego.

- Sadze - odpowiedziala dr Vender - ze natknal sie na cos, czego przedtem nie widzial, albo prosil o opinie innego lekarza.

- Czy grozi dziecku smierc?

- Z tego, co sie orientuje - odparla - to nie.

W tym momencie dr Keese wypadl na korytarz, wolajac dr Vender.

- To jest pan Fletcher - przedstawila Stepa.

Dr Keese wyciagnal reke, która Step uscisnal.

- Milo pana zobaczyc, widzialem pana, kiedy wsadzilem glowe do sali porodowej, pamietasz pan?

Step potrzasnal glowa.

- To musialo byc, zanim tu przyjechalem.

- Nie, byl tam pan - upieral sie dr Keese. - Ale sadze, ze wzrok przeslaniala panu DeAnne. Przepraszam, nie moglem byc przy porodzie, lecz zapewniam, ze dr Vender zachowala sie tak, jak ja bym sie zachowal, a nawet lepiej.

Jakie mile, pomyslal Step. Lekarze kryja jeden drugiego, by uchronic sie przed pozwaniem do sadu.

- Panie Fletcher - rzekl dr Keese. - Dr Torwaldson, ja i dr Vender jestesmy zgodni, iz nalezy wyeliminowac objawiajace sie drgawki, w tym celu podajemy dziecku fenobarbital. Jak na swoja wage, dostalo potezna dawke, ale za wszelka cene objawy musza ustac. Kiedy sie z tym uporamy, stopniowo zejdzimy z dawka do niezbędnego minimum. Przechodzi teraz na intensywna opieke, ale szczerze watpie, by jego zyciu zagrazalo realne niebezpieczenstwo. Namawiam wiec, by wrócił pan do domu. Minela juz północ, a rano zapewne znowu zechce pan nas odwiedzic. Wówczas bedziemy wiedziec wiecej i DeAnne zapragnie zobaczyc sie z panem. W porzadku?

Jaki mial wybór? Upewnial sie jeszcze, pod którym numerem lezy DeAnne i gdzie moze następnego ranka odnalezc Zapa, po czym poszedl do samochodu. Wsiadal juz do datsuna, kiedy uzmyslowil sobie, ze nie ma powodu, by zostawiac dobre auto pod szpitalem. Jak na razie DeAnne nigdzie sie nie wybierala. Stary, zardzewialy dwudrzwiowiec bedzie przez noc trzymal tu wachte. W drodze do domu nie mógł sie opedzic od myśli: moje dziecko urodzilo sie z atakiem i zaden z doktorów czegos takiego jeszcze nie widzial. Cos jest nie tak z moim najmlodszy synem, a jedyne, co moze zrobic, to modlic sie, nie widze przy tym zadnego powodu, dla którego Bóg mialby zaczac traktowac rodzine Stephena Fletchera troche lepiej, dlatego watpie, czy moje modlitwy zostana wysluchane. A przynajmniej nie moje prawdziwe modlitwy. Czcisc „niech sie dzieje wola Twoja” z pewnością zostanie wysluchana, lecz co z czescia „niech to wszystko zniknie, jakby nic sie nie stalo, tak by jutro lekarze powiedzieli: nie rozumiem, wczoraj mial atak, lecz teraz ani sladu po czymkolwiek, bedzie zdrowy, bystry i dozyje stu czterech lat”. Watpie, czy Bóg zmodyfikuje swój plan dotyczacy wszechswiata, by wysluchac jednej szczególnej modlitwy.

Kiedy przyjechal do domu, matka DeAnne, Vette, przywitala go w progu.

- Och - powital ja - mialem nadzieje, ze bedziesz juz spac.

- A ja, że zadzwonisz ze szpitala - odparowała.

Zapomnial zadzwonic.

- Były problemy. Odesłali mnie do domu. Postanowilem stad zadzwonic.

- Problemy? - Wygladala na zdeorientowana.

- Z DeAnne wszystko w porzadku. Lecz dziecko chyba ma jakas dolegliwosc i nikt nie wie, co to jest. Trzeslo sie. Nazwali to atakiem. A tak dokladnie „objawem ataku”. Ale powiedzieli, ze nie wyglada to groznie.

- Ach, nie znosze tego - zezlosila sie Vette. - Nie znosze nie wiedziec.

- To tak jak ja - dodal Step. - Chyba powinienem do wszystkich zadzwonic. W Utah jest dopiero jedenasta w nocy, tak?

- Takze Mary Anne Lowe kazala ci zadzwonic do niej, niewazne, o jakiej porze.

- Okej - zgodzil sie Step. - Zadzwonie najpierw do niej.

Wszedl do kuchni, gdzie otoczyly go nagle male, kwilace insekty. Machnal reka wokól glowy, lecz owady nie uciekaly.

- Ach, czyz te komary nie sa uciążliwe? - spytala Vette. - Natknelam sie na tubke Raidu i spsikalam je, lecz wciaz naplywaly nowe roje. Zawsze je macie?

- Nigdy - odparl Step. - Gdzie ten Raid? - Wszystkie komary przejawialy ochote bzyczenia tuz przy jego uchu. - Tylko tego brakowalo.

- Sadze, ze przylatuja z pralni - powiedziala Vette. - Jak dotad nie spotkalam ani jednego w pokoju dzieci.

- Mamy jakies niesamowite problemy z owadami - przyznal Step. Wszedl do pralni i zaczal sie rozgladac, przez jaka szczeline moglyby te komary wlatywac. Podczas poszukiwan opowiedzial Vette o napasci swierszczy i chrabaszczy.

- Te problemy z owadami nie maja ciaglego charakteru - wyjasnil. - Plagi po prostu spadaja na nas falami. Co jakies dwa miesiace kolejna owadzia ekipa decyduje, ze nasza chata nadaje sie na impreze.

Zauwazyl, ze waz od suszarki odstaje czesciowo od przewodu wentylacyjnego. Spróbowal zamocowac go na powrót, lecz cisnienie wypchnelo go i po prostu odpadl. Nieoczekiwanie uniosla sie nastepna chmara komarów. Tyle tylko ze nie przedostawaly sie przez otwór wentylacyjny - wylatywaly z weza. Jakby legly sie gdzies wewnatrz suszarki.

- Daj mi Raid - poprosil.

Vette wreczyla mu aerosol, którym najpierw spryskal krazacych wokól glowy napastników. Potem psiknal do weza, przez wentylator, a kiedy uwazal juz, ze dostaly wystarczajaca dawke, wsadzil waz do otworu wentylacyjnego, siegnal do kredensu po srubokret, którym przykrecil sruby obejmujacy weza, by ten sie juz nie zeslizgnal.

- Co my robimy w tym domu? - powiedział po powrocie do kuchni.

- Radzicie sobie - odparła. - Robicie to, co nieodzowne dla utrzymania rodziny.

- Nigdy nie powinniśmy wyjeżdżać z Vigor.

- Step, sam wiesz, że ja uważam, iż nigdy nie powinniście byli opuszczać Utah! Ale nie macie problemów z małym Jeremym, dlatego, że przyjechaliscie do Karoliny Północnej.

- Skąd wiesz? Może lekarz zawałił sprawę. W Salt Lake rodzi się tysiące dzieci każdego roku, tam widzieli już wszystko. U nas nie ma aż tak wielu dzieci, więc ucza się na Zapie.

Vette skrzywiła się.

- Naprawdę nazywacie go Zap?

- No cóż, pierwsze, co Robbie powiedział, gdy usłyszał imię Jeremy, było „Dzem, Dzem, Dzem”, więc może Zap to mniejsze zło.

- Step, czasem wszystko się wali, choćbyś nie wiem gdzie mieszkał, czasem zaś wszystko idzie jak po masle i wiesz co? Za większość różnych zdarzeń nikogo nie można winić, zatem nie wmawiaj sobie, że przeprowadzka do Karoliny Północnej przyczyniła się do tego, że noworodek ma atak. Nie zrobiłeś nic, co by się mogło do tego przyczynić. Sam zdajesz sobie sprawę, że każda przypadłość, z jaką się boryka, została mu zasadzona już w momencie poczęcia.

- No tak, to prawda, przy tym też byłem. - Przeraził się nagle, że mówi takie rzeczy. Naprawdę dobrze układało mu się z rodzicami DeAnne, ale mimo wszystko nie rozmawia się o poczęciu własnych dzieci z tesciową.

- Lepiej zacznij dzwonić - przypomniała mu. - Ja przypilnuje komarów.

Najpierw Step zadzwonił do Mary Anne. Rozmowa trwała dłużej niż zwykle, gdyż wspomniawszy, że dziecko znajduje się na oddziale intensywnej opieki, przez co musiał na jakieś pięćdziesiąt pytań odpowiedzieć: „Jeszcze nie wiemy”. Sytuacja powtarzała się w każdej rozmowie, lecz nie mógł przecież nie poinformować, że z dzieckiem są kłopoty, bo gdyby się o tym później dowiedzieli, bardzo by ich to boleło. Poza tym, jeśli w tej sytuacji modlitwa mogła pomóc, chciał, żeby modlili się wszyscy ludzie, jakich tylko mógł znaleźć.

Gdy skończył rozmawiać, dochodziła trzecia. Wysłał już Sylvette do łóżka, używając argumentów tego typu, że będzie potrzebna rano do opieki nad dziećmi, kiedy on pójdzie do szpitala, potem natomiast zmieni go w szpitalu, a on zajmie się dziećmi. Zatem musi się wyspać.

- A ty nie? - zaprotestowała Vette.

- Tak, ale zdrzemnę się nieco w drodze do szpitala i z powrotem.

Rozesmiała się i pozwoliła mu rozłożyć leżankę, którą DeAnne przeznaczyła dla matki. Po tym przeniósł aparat telefoniczny do sypialni. Kiedy przeprowadził ostatnią rozmowę i obszedł dom dookoła, Vette już spała.

Spojrzał na każde z dzieci. Betsy, przytulona do wypchanego Snoopiego, którego - z niezbadanych powodów - nazwała Wilbur. Robbie, sciskający swego królika z prawdziwego futra, od najmłodszych lat nazwanego Mammala. I Stevie, nie tulący się do niczego.

Wszystkie jesteście bezpieczne w moim domu, pomyślał Step, a mimo to w ogóle nie potrafię zapewnić wam bezpieczeństwa, nie jest tak? Choćby ten nowy, nie przeżył jeszcze sześciu godzin, a już jego życie jest w niebezpieczeństwie, a mnie przy nim nie ma, gdyż jestem całkowicie bezużyteczny. I oto jesteście, pogrążeni we śnie, bezpieczni w łóžeczkach, tylko że coś dzieje się w twojej głowie, Stevie, a ja nie mogę sięgnąć i przekonać się co to, by przyjść ci z pomocą. Mogę zatkać jedną dziurę i wymieść swierszcze, lecz za chwile chrabaszczę zjawiają się nie wiadomo skąd, a zaraz po nich komary. Nawet gdy masz idealne dziecko, nic idealne nie pozostaje. Z wszystkim jest zawsze związane ryzyko.

W sypialni, rozebrany i gotowy do spania, zrobił to, co zaniedbywał od lat, chociaż DeAnne robiła to każdego wieczora. Uklakł obok łóżka, podobnie jak w czasie misji, podobnie jak w dzieciństwie. Wyzalił się, prosząc o litość dla nowego dziecka. By żyło. By miało dobre życie. Jeśli moc mego kapłaństwa pozwala go uleczyć, to pozwól mi go uleczyć, gdy jutro będę go błogosławił. Nie chce go stracić. Pragnie wszystkich swoich dzieci, tego na równi z resztą, oraz wszystkich dzieci jeszcze nie narodzonych, które być może chowasz dla nas w zanadrzu. Nie zabieraj nam go. Damy mu wszystko, czego będzie potrzebował, jeśli tylko będziemy to mieć.

Później, gdy leżał już pod kołdrą, przyszło mu na myśl, że być może modlił się o to, by Bóg obdarzył go i DeAnne szesćdziesięcioma latami opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem. Gdyby przypadłość, jaka dotknęła Zapa, okazała się poważna, to prośbienie Boga, by go nie zabierał, mogło być zbyt okrutne. Zatem powrócił do modlitwy, którą wcześniej zakończył, dodając zwrot, uprzednio rozmyślnie pominięty: „Niech będzie wola Twoja”.

DeAnne wydobrzała na tyle, że mogła już wracać do domu, ale nie chciała.

- Nigdy nie opuścisz szpitala bez dziecka - oznajmiła.

- Będzie pani mogła spotykać się z nim codziennie - rzekł dr Keese. - Maz też. Także pani matka. Lecz o ile wiem, nie jest pani ubezpieczona, a ten przedłużony pobyt pochłonie wasze oszczędności. A będziecie potrzebować wszystkich pieniędzy, jakie macie, by zaopiekować się Jeremym.

Nic na to nie odpowiedziała.

- Dobrze - kontynuował. - W południe będzie pani gotowa do wyjścia.

Aby zapelnic czymś pozostający czas, zagłębiła się w książce. Zapomniała ją spakować, a jak się okazało, tylko ona mogła odwrócić jej uwagę od Jeremy'ego. Mogła powiedzieć: mamy problemy, ale bohaterowie powieści mają bez porównania większe.

Lecz dochodził jeszcze jeden element. Książka ciągle do niej przemawiała, bohaterowie powtarzali myśli, które odbijały się echem w jej sercu. Na przykład, kiedy ten sympatyczny syn z opowieści powiedział, że życie jest jak erodujący klif, który trzeba nieustannie podpierac. Tak wyglądał koszmar jej życia, czający się zawsze głęboko w umyśle, a on go nazwał. Tak naprawdę to nie on, oczywiście. To autorka. Tyler te słowa napisała dla mnie, pomyślała, bym wiedziała, że nie jestem osamotniona, podczas tych wszystkich strasznych dni.

Tego ostatniego poranka w szpitalu doszła do akapitu, w którym ksiązkowa matka mówi o swych „trzech cudnych ciazach” i jak odliczala miesiace, czekajac, az wydarzy sie cos perfekcyjnego. „Zdawalo mi sie, ze wypelnia mnie swiatlo - powiedziala matka. - To wlasnie swiatlo i plany stanowily tresc mego zycia”. DeAnne pozwolila ksiazce opasc na koc, wtulila twarz w poduszke i zalkala.

Musiala zasnac przy tym placzu, bo gdy otworzyla oczy, Step siedzial przy niej, pochylajac sie na stojacym przy lózkku krzesle, podpieral podbródek na dloniach, a lokcie na kolanach. Patrzyl w próznie, na sciane.

- Czesz - odezwala sie DeAnne.

- Jak sie masz, Rybia Damo - odparl Step. Od razu opuscila go posepnosc, a gdyby go nie zaskoczyla, nigdy by nie zgadla, ze odczuwal cos innego niz ufnosc i wesolosc. - Rozumiem, ze lekarz chce cie stad przepedzic i wyslac do domu. A musze ci powiedziec, ze sam pragne, bys wróčila.

- Wróce - powiedziala - ale prosze, jeszcze nie teraz.

- DeAnne, co najmniej dwa razy dziennie bedziesz sie tu pokazywac, zeby go karmic. Bede cie tu przywozil, a jezeli nie ja, to twoja matka. Lecz w tym czasie powinnas byc w domu.

Siegnela po jego dlon.

- Step, nie chce stad odchodzic bez dziecka.

- Z kazda chwila czuje sie lepiej. A w domu nie moglibysmy mu robic tych wszystkich testów.

- Nie podoba mi sie, co tu z nim robia. Nie podoba mi sie to, ze caly czas podaja mu jakies lekarstwa.

- I mnie sie to nie podoba - rzekl Step. - Ale nie jestesmy lekarzami.

- Oni tez nie sa wszechwiedzacy.

- Lecz mimo to cos jednak wiedza. A spanie w szpitalnym lózkku na pewno nie oswieci mnie ani ciebie, jak powinnismy postapic. Prosze - juz zbyt wiele czasu spedzilas tu w samotnosc.

- Niewiele mam chwil dla siebie - stwierdzila DeAnne. - Sadze, ze kazda siostra z pierwszej gminy Steuben wpadla tu ze dwa razy.

- Dzis rano w kosciele biskup wszystkich prosil, by modlili sie i poscili za Zapa w nastepna niedziele. Calá gmina.

Slyszac to, DeAnne rozrzewnila sie nieco. Naprawde nie byli sami. Ale moze gdy wszyscy zaczną poscic i modlic sie, Bóg wyslucha?

A moze nie. Moze stanie sie tak jak w ksiazce. Moze wszystkie rzeczy zawsze beda pozostawac troche poza kontrola, poza zasiegiem.

Step pochylil sie do podlogi.

- Upuscilas ksiazke - powiedzial.

- Nie chce juz jej wiecej czytac.
- Ach tak? Myslalem, ze ci sie podoba. Wczoraj nawet przeczytalas mi urywek.
- Ona za duzo mówi - wyznala DeAnne. - To zbyt bolesne.
- Zgoda, odloze ja tu na półke...
- Nie - zaprotestowala - oddaj mi ja.
- A wiec jednak zamierzasz ja dalej czytac.
- Nie - odparla - po prostu chce ja miec przy sobie. Czy jest w tym cos zlego?

Patrzyl na nia dziwnie.

- Nie odbija mi, Step. To tylko... To tylko kotwica. Ta kobieta pisze, ze zna sie na rzeczach, które nie układaja sie po czyjejs myśli, a ja po prostu chcialabym potrzymac te ksiazke, okej? To znaczy, przynajmniej nie jest to lalka Barbie czy cos w tym stylu.

- Jak chcesz - odparl Step. - Zastanawialem sie tylko, czy ta ksiazka nie stanie sie dla ciebie jak ikona. Jak Pismo Swiete. Jak piata ewangelia?

- Nie nabijaj sie - upomniala go. - Wiesz przeciez, jak mi ciezko. Zawsze bylam dumna, iz rodze doskonale dzieci. A teraz doskonale robie juz tylko kruche ciasteczka.

- Wcale sie nie nabijalem. - Objal ja niezdarnie. - A poza tym on jest doskonały, DeAnne.

- Nie mozesz temu tak po prostu zaprzeczyc, zebym zapomniala.

- Ma idealne cialo do takiego zycia, jakie dla niego zaplanowal Bóg. Do zycia, jakie dla nas zaplanowal.

Plan Bozy. Nic na to nie mozemy poradzić. Mozemy równie dobrze przestac sie modlic, próbowac czegokolwiek.

Nie, on nie wierzy w to naprawde, zdala sobie sprawe. Bo gdy rozmawialismy wczesniej o tego rodzaju sprawach, to wlasnie ja przekonywalam, ze Bóg musi planowac nasze zycie, gdyz w przeciwnym razie to nie byloby sprawiedliwe, a on odparl: „Bóg nie ma planu co do naszego zycia, po prostu wrzucil nas do swiata, w którym bez wzgledu na to, jakie jest nasze zycie, wciaz mozemy odkryc, jacy dobrzy i silni jestesmy albo jacy slabi, albo tez jacy zli i tchórzliwi”. Opowiada o tym bozym planie, zebym poczula sie lepiej.

- Tak mysle i mysle - powiedziala - ze nie powinniemy byli kochac sie tak szybko po tym, jak uzylam srodka plemnikobójczego ostatnim razem.

Potrzasnal glowa.

- To wcale nie bylo tak szybko, DeAnne.

- Powinienes poczekac dluzej. Tydzien.

- DeAnne, lekarze nie wiedza nawet, na czym polega problem, a cóż tu dopiero mówić o przyczynach.
- A bendectin? Wszystkie te opowiesci o bendectinie i defektach u dzieci...
- W „National Enquirer”, DeAnne, a nie w „Scientific American” lub „Journal AMA”.
- Step, ja nie chce wracac do domu bez mojego dziecka.
- Ale wrócisz bez niego, DeAnne, bo wiesz, ze to dla niego najlepsze i najlepsze dla ciebie. A przeciez ty zawsze robisz to, co uwazasz za sluszne. Taka juz jestes.

Przez chwile sie zastanawiala.

- Okej - powiedziala wreszcie. - Zawolaj pielegniarke.

Później, po poludniu, Step wstapil do apteki, by wykupic srodki przeciwbólowe dla DeAnne. Czekajac na aptekarza, podszedl do stojaka z czasopismami. Stala tam kobieta, a katem oka zauwazyl, ze zerknawszy na niego, wycofala sie. Przegladal okladki dzienników, a potem, z czystej nudy, czasopisma dla kibiców zapasów amerykanskich.

- Pan nigdy nie poposci, prawda? - powiedziala kobieta.

Step spojrzal, próbujac rozpoznać, z kim ona rozmawia. Patrzyla prosto na niego.

Czy ja skads zna? Wygladala znajomo, lecz nie potrafil jej zidentyfikowac.

- U Krogera, w supermarkecie, gdzie tylko sie obróce, tam jest i pan. Czy nie moze mi pan dac wreszcie swietego spokoju?

Step stal zmieszany.

- Przepraszam, ale chyba bierze mnie pani za kogos innego.
- Nie wystarczy, ze rzucilam przez pana prace? Chce mnie pan zaszczuc, bym popelnila samobójstwo?
- Jej glos drzal; zaiste, wygladala na zdesperowana. Cokolwiek wyobrazala sobie na jego temat, w jej oczach bylo to wystarczajaco realne, choc nie mial pojecia, dlaczego uczepila sie wlasnie jego.
- Prosze pani, nikt nie chce, by popelnila pani samobójstwo.
- Wiec prosze przestac - syknela.

Nagle przyszlo olsnienie. Nie wybrala go z czystego szalenstwa; ona naprawde porzucila prace z jego powodu.

- Ach, pani Jones - rozpoznał ja.

- Jest pan skonczonym lajdakiem - mowila. - Cokolwiek bym zrobila, nie zasluzylam, zeby sie pan za mna skradal.

- To nieprawda, przysięgam. Dopiero teraz po raz pierwszy zwróciłem na panią uwagę, odkąd...

- Tylko proszę nie kłamać - przerwała wzgardliwie. - Za każdym razem gapi się pan na mnie. W supermarkecie śmiał się pan ze mnie na całe gardło.

- Pani Jones, skąd miałbym wiedzieć, że odwiedzi pani tę aptekę? Ja tu przyszedłem, by zrealizować receptę dla mojej żony.

- Już nie mogę dłużej znieść widma tej kasy, krzącacego nad moją głową. Po prostu nie mogę. To gorsze niż szantaz. To tortura.

Mierzilo go, że ona, ciemziejczka Steviego, narzeka na tortury. Lecz nie chciał się z nią sprzeczać. Stanowiła zamknięty rozdział.

- Proszę posłuchać, pani Jones. Właśnie przywiozłem żonę ze szpitala, a nasze nowo narodzone dziecko wciąż tam przebywa, gdyż nikt nie wie, dlaczego ma drgawki, lecz znajduje się na oddziale intensywnej opieki za sto dolarów na godzinę, a ja nie mam ubezpieczenia, bank przejmuje nasz dom w Indianie i wie pani co? Nie obchodzi mnie pani. Nie śledzę pani. Żyje własnym życiem, a pani niech żyje własnym i zapomni o mnie, ja do tej chwili nie pamiętałem o pani i szkoda, że ten stan nie trwa dłużej.

Odwrócił się, by podejść do okienka. Złapała go za rękaw.

- Niech mi pan odda taśmę - zażądała.

- Nawet nie pamiętam, gdzie ją wrzuciłem - odrzekł Step. - Proszę spojrzeć, pani Jones, oboje mieszkamy w tym samym mieście. Jesteśmy skazani na spotkanie się od czasu do czasu w tym samym sklepie, w tej samej knajpie czy na tym samym filmie w kinie, to jeszcze niczego nie oznacza.

- Czy tak właśnie zamierza się pan bronić, kiedy złożę na pana skargę? - zapytała. - Tak sugeruje mój prawnik.

- Akurat widzę, że moja recepta jest gotowa, muszę pedzić. Niech pani prawnik napisze do mnie list. - Jeśli w ogóle był jakiś prawnik.

Odebrał zapisane leki, kazał sprzedawcy dopisać należność do jego rachunku w sklepie, po czym wyszedł. Bał się trochę, że pani Jones podąży za nim, będzie go ścigać aż do domu, uderzy w jego drzwi, nalegając, by przestał za nią chodzić. Lecz kiedy wrócił z lekarstwami, jedynymi osobami, jakie zapukały do drzwi, były kolejne siostry ze Stowarzyszenia Pomocy, przybyły, by podnieść DeAnne na duchu. Cokolwiek się stanie, będzie to częścią planu Ojca Niebieskiego, mówiły. Kiedy się już wyniosły, DeAnne nie mogła powstrzymać się od dania upustu swemu rozdrażnieniu.

- Oczywiście, będę częścią boskiego planu, lecz Bóg nie jest zbyt szeroko znany z planowania dla swych dzieci przyjemnych rzeczy - powiedziała mezowi i matce.

Chociaż wyglądała na podenerwowaną, Step zauważył, że ich wizyta dobrze na nią podziałała. W znajomym gronie może szybciej dojdzie do siebie. Bardziej była teraz przewodniczką po życiu duchowym w gminie niż bezbronna matka osaczona w szpitalu, otoczona lekarzami, nie wiedzącymi, co się dzieje z dzieckiem i nie chcącymi się do tego przyznać.

DeAnne tak zaaranżowała poniedziałkowy ranek, że Mary Anne Lowe przyjechała zaopiekować się Robbiem i Betsy, Step zabrał Steviego do psychiatry, a Vette DeAnne do szpitala, by nakarmiła Zapa.

- Od dwóch miesięcy zabieramy go do dr Weeks - uskarżał się Step - i żadnej poprawy.

- Wiem - odpowiedziała DeAnne - ale na to trzeba czasu.

- Po dwóch miesiącach należy nam się chyba raport o wynikach - rzekł Step. - A przynajmniej powinniśmy otrzymać diagnozę. Coś. Zobacz, to samo dotyczy Zapa, lekarze poszukują przyczyny, lecz oni przynajmniej donoszą nam o wynikach. Tłumaczą się z tego, co robią. Każdego dnia dowiadują się czegoś nowego o dziecku.

- Psychiatria nie jest precyzyjna - powiedziała DeAnne.

- Sądzę dokładnie tak samo. Rachunek w szpitalu dochodzi już do około sześciu tysięcy dolarów za samego Zapa, a kto wie, jak długo tam jeszcze zostanie? Lapiduchowi oddajemy tygodniowo dziesięćdziesiąt dolarów - prawie czterysta na miesiąc, prawie tyle samo, ile płacimy za dzierżawę domu - i nie wiemy, co za to mamy.

- Zatem nie zamierzasz go zabrać? Chcesz się poddać? Utknąć w martwym punkcie?

- Chcę go dzisiaj zostawić w domu. Chcę sam tam pójść, porozmawiać z nią, dowiedzieć się czegoś na jego temat.

DeAnne obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Zdaje mi się, że chcesz wydać jej wojnę. Pozbyć się jej w podobny sposób jak pani Jones.

- Jeśli chcesz, zabiorę z sobą dyktafon, byś usłyszała wszystko, o czym będziemy mówić.

- Nie. Poradzisz sobie świetnie bez tego.

- Obiecuję, że nie uczynię niczego, co by mogło ją urazić - przyrzekł Step. - Nie chciałbym, by Lee miał przez to w Kościele jeszcze ciężiej.

- Albo żeby Stevie nie mógł się już z nią później spotykać - dodała DeAnne.

- O ile te spotkania leżą w jego dobrze pojętym interesie.

DeAnne stała w milczeniu, patrząc mu w oczy.

- Ciesze się, że zdecydowałaś się tego nie powiedzieć.

- Powiedzieć czego - spytała DeAnne.

- Że nie sądzisz, bym był zdolny ocenić, czy Stevie powinien spotykać się z nią dalej, czy też nie.

- Wcale nie to chciałam powiedzieć.

- Ale tak właśnie myślałaś.

- No chyba nie bedziesz sie na mnie wsciekal za to, co pomyslam, a czego nie powiedzialam!

- Nie wsciekam sie na ciebie. Po prostu przypominam ci, ze przez te wszystkie lata naszego malzenstwa ani razu nie zrobilem w tajemnicy czegos dotyczacego rodziny, czemu bys byla przeciwna. Nie mam racji?

- Masz - odparla.

- Wiec moze zasluzylem na troche zaufania. Nie tylko ty kochasz Stewiego.

- Och, to takie niesprawiedliwe. Nigdy tego nie powiedzialam, nigdy nie pomyslam, nigdy bym...

- Tak wlasciwie to calkiem niezle radze sobie z codziennym zyciem, DeAnne. Sam sie juz ubieram, przeprowadzam rozmowy z obcymi i prawie nigdy nie musze dzwonic do domu po pomoc. Nawet uzylem raz karty kredytowej bez robienia zamieszania, a w sklepie za rogiem pozwalaja mi spieniezyc czek, jesli mam zgode od mamy.

- Próbujesz doprowadzic mnie do placzu? - spytala DeAnne. - Chcesz mi zaszczepic poczucie winy, bo to twój pierwszy raz, kiedy zabierasz Stewiego do dr Weeks, a ja sie martwie, ze powiesz cos albo zrobisz...

- Widzisz? - przerwal jej Step. - Naprawde mi nie ufasz. Od pieciu miesiecy dbasz o wszystko w domu, a gdy nareszcie wróciłem do tego domu, zdaje ci sie, ze jesli nie zaprogramujesz kazdego mojego czynu, jesli ja nie bede sie trzymal tego programu w kazdej chwili, bez odchylen, bez myslenia za siebie, to wszystko runie.

- Nie klóćmy sie, dobrze? Proszę.

- Nie klóćmy sie - sprostowal Step. - Po prostu wyrazam oburzenie, ze nie ufasz mojemu osadowi. Nie pamietasz juz, ze razem zdecydowalismy sie wyslac Stewiego do dr Weeks? A moze nadal sadzisz, ze wrobilas mnie w to, i nie smiesz zaniechac swoich manipulacji?

- Nie róć mi tego! - powiedziala. - Musze jechac do szpitala i trzymac dziecko, które jest tak nafaszerowane lekarstwami, ze wisi w mych ramionach niczym szmaciana lalka. Musimy odciajac mleko z moich piersi i karmic go nim, kiedy spi! Musze uzerac sie z tymi wszystkimi lekarzami, którym wydaje sie, ze nawet nie rozumie po angielsku, i zmuszac ich, by wyjasnili mi, jaka jest sytuacja, bym miala choc mgliste pojecie, co sie dzieje z moim dzieckiem, a teraz ty mnie jeszcze atakujesz...

- No, skoro juz jestes taka nieustepliwa i zajadla w dowiadywaniu sie, co lekarze robia z Zapem - powiedzial Step - to dlaczego do diabla od dwóch miesiecy wysylamy Stewiego do dr Weeks, a ty nawet nie wiesz, jak przebiegaja te spotkania? A kiedy mówie, ze mam zamiar przejsc sie do dr Weeks i zrobic z nia dokladnie to samo, co ty robisz z lekarzami Zapa, uwazasz, ze jestem za glupi, za nerwowo lub zbyt narwany, by sie tego podjac. No a ja ufam ci, skladajac w twoje rece zycie Zapa. Czy nie uwazasz, ze zaslujuje na ten sam szacunek, kiedy chce porozmawiac z dr Weeks? A moze w tym malzenstwie jestem wiceprezydentem? Czy mam sie tylko pokazywac na pogrzebach?

DeAnne sapnela.

- Nie mów w ten sposób! - krzyknela. - Och, Step, naprawde myslisz, ze on umrze! - Wybuchla placzem.

Step był przerażony.

- To tylko taka figura retoryczna. Miałem na myśli, że Reagan posyła Busha na pogrzeby, nic innego. Na przykład, kiedy zamordowano Sadata. Nie miałem wcale na myśli Zapa. Naprawdę.

Objął ją. Odwróciła się do niego i przez krótką chwilę płakała na jego piersi. Podniosła głowę.

- Nie dopuszczę do tego - powiedziała. - Nie będę płakać. Nie mam zamiaru się rozkleić. Czy mnie rozumiesz?

- Tak.

- Jeśli się rozkleję, nie pomogę już Zapowi. Ani Steviemu, ani nikomu. Po prostu stąkam po krawędzi, Step. Tuż nad przepaścią. Nie wolno ci mnie popychać. Po prostu nie wolno. Jesteś jedyną osobą, w której mam oparcie.

- Więc wesprzyj się na mnie. I też mnie nie odpychaj. Zaufaj mi. Zaufaj mi w ten sam sposób, w jaki ja ufam tobie.

- Cała ta sprzeczka wynika tylko z tego, że jesteśmy przygnębieni, to wszystko. Przygnębieni i zmartwieni Zapem.

- I Steviem - przypomniał Step.

- Tak - przyznała. - I Steviem. Muszę już iść.

- DeAnne - powiedział. - Muszę wiedzieć. Czy jesteś ze mną?

- Jak to z tobą? - zapytała.

- Czy popierasz mój pomysł wypytania dr Weeks, co dolega Steviemu?

- Tak - odparła. - Zrób, co uważasz za słusze.

- Nie zrobię głupstwa - zapewnił. - Po prostu wybadam, jak sprawy stoja. W stylu, jakim posługujesz się z lekarzami Zapa. Zgoda?

Patrzyła na niego badawczo.

- Jeśli się przekonasz, że dr Weeks wcale nie jest pomocna, możesz przerwać sesję. Bez pytania mnie o pozwolenie.

- O, nie - zaprzeczył. - Nie dojdzie do tego bez rozmowy z tobą.

Po tej rozmowie Step pojechał samotnie do gabinetu dr Weeks, podając za wskazówkami udzielonymi przez DeAnne. Kiedy wszedł do środka, dr Weeks wstała i przywitała go goraco.

- Panie Fletcher - powiedziała.

- Proszę mówić mi Step.

- W takim razie - Step. Tak sobie myślałam, że chyba najwyższa pora, abym odbyła sesję z tobą i twoją żoną.

- Jest w szpitalu. Nasze nowe dziecko znajduje się na oddziale intensywnej opieki.

- Och, tak mi przykro. A o co chodzi?

Step wyjaśnił pokrótce, mówiąc na koncu:

- Oto dlaczego tu dziś jestem. Płyniemy bez ubezpieczenia. Rachunki za te sesje są nieco wygórowane, pomyśleliśmy zatem, że czas ocenić, na czym stoimy - czego właściwie dowiedziała się pani o problemach Steviego i czego można się spodziewać... No wie pani, w końcowym rozrachunku.

- No cóż, zrobiliśmy znaczny postęp, Stevie i ja. Na spotkaniach mówi teraz całkiem dużo. Sądzę, że się do mnie przyzwyczajają.

Step miał ochotę wtrącić: mówi całkiem dużo? To znaczy, że oplacaliśmy sesje, na których nie mówił w ogóle? Po dwóch miesiącach dopiero teraz się do pani przyzwyczajają? Ale przypomniał sobie troszkę DeAnne i powściągnął język.

- Ale pomijając to - ciągnęła - ciągle jeszcze waham się co do diagnozy. Jego powściągliwość w wypowiedzeniu się jest oczywiście normalnym objawem przypadłości, ale to raczej nie przyspiesza procesu stawiania diagnozy. Sądzę, że za miesiąc bądź dwa będzie już gotowa, by coś prognozować. Tymczasem... - Przewróciła kilka kartek papieru leżących na biurku.

Próbując utrzymać język na wodzy, Step przerwał:

- Dzisiaj interesuje mnie, dr Weeks, nie końcowe oświadczenie, ale sprawozdanie z tego, czego się pani dowiedziała do tej pory albo co pani podejrzewa. DeAnne i ja musimy zdecydować teraz, nie za dwa miesiące, czy kontynuować kurację.

- Z chęcią dogadam się z tobą na temat sposobu zapłaty - powiedziała dr Weeks. - Ale ciężko mi jest dyskutować o trwającym leczeniu, szczególnie że nie jesteś pacjentem.

- Pacjent ma osiem lat - zauważył Step. - A gdybym był kolega po fachu, nie sprawiłoby pani żadnego kłopotu rozmawianie ze mną na temat przypuszczalnej diagnozy.

- Ale ty nie jesteś psychiatrą, Step.

- Mam doktorat, dr Weeks. Z historii, która co prawda nie całkiem jest związana z psychiatrią, wiem, ale to oznacza, że jestem wykształconą istotą ludzką i sądzę, że jeśli spróbuje pani wytłumaczyć mi, co dolega Steviemu, zrozumieć. - Mając na uwadze to, co się działo w szpitalu z Zapem, dodał: - Na przykład, musi mieć pani jakieś pojęcie, w jakim stanie on się nie znajduje.

- Wiele pomogłoby w całej tej procedurze, Step, gdybyście razem z żoną sami przyszli na kilka sesji. Co prawda podejrzewam, że twoje naleganie na szybsze postawienie diagnozy może sugerować możliwe źródło anormalnych reakcji Steviego na stres.

Powinienem się tego spodziewać, pomyślał Step. Sam fakt, że zadam od niej sprawozdania, jest wykładnikiem mojego zaburzenia. Ha, nie pozwoli dr Weeks ustanowić z nim relacji doktor-pacjent.

- W porządku - powiedział. - Jeśli wyjaśni nam pani, na czym mógłby polegać problem i w czym nasze przybycie na sesję byłoby pomocne, wówczas możliwe, że zgodzimy się na włączenie nas w proces terapii, ale musimy uznać to za właściwy kierunek działań.

- Step - odparta - zdajesz się emanować jakąś wrogością w stosunku do psychoterapeutów, a także wyraźną fascynacją, która pozwoliła ci zaznajomić się z niektórymi aspektami psychologicznego żargonu. Nie dziwiłabym się, gdybyś bezwiednie przekazywał tę wrogość Steviemu.

- Dr Weeks, moje wysiłki mające na celu wyjaśnienie, co zachodzi między pania a Steviem, nie spowodowały jego problemów.

- Nie sugerowałam nic tego rodzaju - zaprzeczyła dr Weeks. - Jak sądzisz, dlaczego poczułeś potrzebę obrony właśnie teraz?

- Dr Weeks, myślę, że źle pani interpretuje nasz wzajemny stosunek. Jestem tu jako ojciec Steviego. Gdybym go przyprowadził do pediatry z okropnym kaszlem, miałbym prawo spodziewać się po pediatrze, że mi powie, co w jego opinii mogło spowodować ten kaszel i jak ma zamiar temu zaradzić, a on nie opowiadałby mi bajek, jak to najprawdopodobniej nie zrozumie funkcjonowania płuc i - przy okazji - czy ostatnio nie czulem duszności. Stevie uczeszcza do pani od dwóch miesięcy, a na pierwszy rzut oka wszystko, co pani zaobserwowała, to jego przygnębienie i wyimaginowani przyjaciele. To wiedzieliśmy, zanim go do pani przyprowadziliśmy. Mam nadzieję, że zrozumie pani, że nie staram się mieszać do jego terapii. Ja po prostu muszę wiedzieć, z czego się ta terapia składa i jaki jest jej cel.

- A więc wyjaśnię, dlaczego wzbraniał się przed rozmawianiem na ten temat z panem, panie Fletcher. Biorąc pod uwagę znaczenie, jakie rodzice odgrywają w życiu dziecka, nieunikniony jest fakt, że częściowo jesteście odpowiedzialni za jego problemy. To założenie, rzecz jasna, jest dla was groźne i obawiam się, że zechcecie przerwać kurację Steviego, by ochronić własne ego. To może wyrządzić chłopcu wielką krzywdę.

Step domyslił się, że urabia go tak, by się wycofał - każda obiekcja, jaka wystosowałby pod adresem jej diagnozy, odrzucono by jako próbę chronienia własnego ego. Powstrzymał jednak temperament i nie wygłosił żadnej uszczypliwej uwagi, jaka mu się nasunęła.

- Dr Weeks. DeAnne i ja od samego początku wiedzieliśmy, że rozwiązanie problemów Steviego pociągnie za sobą pewną zmianę naszego trybu życia. Pragniemy uczynić wszystko, by pomóc synowi, i nie boję się odkryć moich błędów rodzicielskich. Lecz oznajmiam, że jeśli nie powie mi pani nic na temat jego stanu, wtedy z pewnością przerwiemy kurację Steviego.

Mierzyła go przez chwilę zimnym, beznamiętnym wzrokiem. Musiała spędzić godziny przed lustrem, gdy chodziła do szkoły, pomyślał Step, ćwicząc spojrzenie mówiące: jestem ponad emocjonalnymi powiązaniem ze zwykłymi szarakami i ich blahymi problemami.

- W porządku, panie Fletcher. Powiem panu, jakie możliwości biorę obecnie pod uwagę przy diagnozie stanu pańskiego syna. Po pierwsze, możemy mieć do czynienia z prostym, udawanym zaburzeniem. Po drugie, możemy...

- Udawanym zaburzeniem? - przerwał Step.

- Udawanym znaczy coś przeciwnego do tego, na jakie wygląda, panie Fletcher...

- Słowo „udawanym” nie jest mi obce - odparł Step. - Chodzi mi o znaczenie zwrotu „udawane

zaburzenie”, które chciałbym, żeby mi pani wyjaśniła.

- To znaczy, że Stevie mógłby kłamać na temat tych wymyślonych przyjaciół, gdyż wie, że to was dreczy, a jest przy tym spragniony waszej uwagi.

Step zdusił w sobie ochotę wykrzyknienia, że Stevie nie kłamie, nigdy nie skłamał, mówi prawdę nawet wtedy, kiedy jest znużona, nawet kiedy jest pewny, że spotka go za to kara. Jeśli Stevie twierdzi, że bawi się z wymyślonymi przyjaciółmi, to zapewne naprawdę sądzi, że towarzysza mu w zabawach, i nie jest to jakieś przekleństwo, błazenské, udawane zaburzenie. Zamiast tego ograniczył się do słów:

- A pani druga hipoteza?

- Możliwe także, że to zwykłe zaburzenie przystosowawcze, połączone z depresją i biernością.

- A to co by znaczyło? - zapytał Step.

- Ze poważnie zaszkodziły mu wasze przenosiny do Karoliny Północnej. Ze poczuł się odizolowany od swoich przyjaciół, rodziny i bezpiecznego ładu, zamiast tego znalazł się wbrew własnej woli w przerażającym środowisku, gdzie nie potrafi zrozumieć, co się dzieje, czuje się przy tym bezbronny wobec poczynan innych. W takim wypadku wszyscy ci wymyślone przyjaciele stanowiliby jedynie halucynacyjny wysiłek jego podświadomości, mający na celu odtworzenie bezpiecznego środowiska z przeszłości, a depresja wynikałaby z faktu, że halucynacji nie udaje się zamaskować nieszczęścia. Nie dowierza bezkrytycznie szczęśliwej, ale fałszywej rzeczywistości, jaką stworzyła dla niego podświadomość.

Step powstrzymał się od stwierdzenia, że to dokładnie to samo, co wraz z DeAnne podejrzewali przed przeprowadzeniem syna do psychiatry.

- Co można z tym zrobić? - zapytał.

- To tylko jedna z hipotez. Nie diagnoza, więc na razie nie zrobimy nic.

- Ale gdyby to była prawdziwa diagnoza, jak wyglądałby właściwy tryb postępowania?

- Wkraczamy tu na niebezpieczny grunt - powiedziała dr Weeks. - Reszta to czyste spekulacje.

- Zdaje sobie z tego sprawę i nie kaze pani zachowywać się niestosownie. Chciałbym po prostu mieć jakieś pojęcie, z czego składać się będzie kuracja, jeśli ta ostatnia hipoteza okaże się diagnozą.

- No cóż - powiedziała. - Może zaczęlibyśmy od tego, że skontaktowałibyscie się z rodzicami jego poprzednich przyjaciół w Indianie, by namówili ich do napisania listu lub zadzwonienia do Steviego. Jednakże może okazać się to mało efektywne, ponieważ w jego wieku dzieci niezbyt chętnie nawiązują znaczącą emocjonalną więź za pomocą kontaktu pośredniego, jak telefon czy listy.

- I?

Chciał, żeby wyliczyła mu dalsze możliwe kierunki terapii, gdyby stanem Steviego naprawdę było zaburzenie przystosowawcze z depresją i biernością. Ale ona odebrała to jako prośbę o trzecią hipotezę.

- Trzecia możliwa diagnoza uważam za najbardziej prawdopodobną, ale pan uzna ją za najtrudniejszą do zaakceptowania, dlatego proszę, by był pan teraz bezstronny i otwarty na wszystko, co powiem,

choć będzie to trudne.

Step skinął głową, choć jasne było, że dr Weeks odrzuca taką możliwość.

- Sądzę, że najlepiej wytłumaczymy zachowanie Steviego, jeśli spojrzymy na niego nie pod kątem stanu spowodowanego przyjazdem do Karoliny Północnej, ale pogorszenia jakiegoś uprzednio istniejącego ciężkiego stanu, który pozostawał nie dostrzegany, gdyż trwał tak długo, że uważaliście go za integralną część charakteru Steviego.

- Dlaczego więc dostrzegliśmy go, gdy tylko...

- Proszę - przypomniała mu dr Weeks. - Musi pan być otwarty. Stres tej przeprowadzki zniekształcił pewien wzorzec, wie pan, i to właśnie te zmiany zaobserwowaliście, nie zaś jakiś gwałtowny atak.

- A stan ten to...

- Atypiczna dysocjacja - powiedziała. - Udokumentowano ją po raz pierwszy u ludzi, których poddano intensywnemu praniu mózgu, lecz zgodnie z moim przekonaniem zaburzenie to zdarza się o wiele częściej i rzadko bywa zauważane.

Step czuł się zmieszany. Jakie doświadczenie mogło u Steviego wywołać efekt podobny do prania mózgu?

- Obecnie większość dzieci w Ameryce od najmłodszych lat poddawana jest przeróżnym formom indoktrynacji, na przykład wpajania im wiary w potężną osobę, która naprawdę nie istnieje. Mimo to podsuwa się im świadectwa popierające te wiary, łącznie z opowieściami, by dziecko uwierzyło, że cały świat wierzy w tę szczególną mityczną osobę.

- Uważa pani, że kłopoty Steviego wynikają z faktu, że kazaliśmy mu wierzyć w Świętego Mikołaja? - spytał Step, powątpiewając.

- Wprost przeciwnie. Sądzę, że Święty Mikołaj jest, ogólnie biorąc, całkiem dobroczynny, bo kiedy dziecko ostatecznie zorientuje się, że Święty Mikołaj nie istnieje, wówczas przeprowadzi konieczny intelektualny proces rekonstruowania rzeczywistości w świetle nowych dowodów, włączając w to dodatkowo powtórne komponowanie nowych opowieści, tłumaczących minione wydarzenia. To przygotowuje dziecko na wiele następnych rozczarowań i obdarza je niezbędnym doświadczeniem w rozróżnianiu rzeczywistości, niezależnie od opowiadanych w danym czasie historii.

- Zatem Święty Mikołaj jest dobry - rzekł Step.

- Święty Mikołaj wpływa zazwyczaj korzystnie - odparła dr Weeks. - Wątpię, czy wielu rodziców ma na myśli ten pozytywny efekt, opowiadając dzieciom absurdalne historie przy kominku.

- Zgadza się w tym z paniami - powiedział Step.

- Święty Mikołaj z pewnością nie leży u podstaw problemu Steviego. Chłopak już teraz przejawia względem tej historii zdrowy sceptycyzm.

Placiliśmy dziewięćdziesiąt dolarów za godzinę, by sprawdzić, czy Stevie wierzy w Świętego Mikołaja?

- Steviemu przekazano inny niespójny system wierzeń, którego implikacje są daleko bardziej

dalekosieżne niż jego interpretacja tego, co się wokół dzieje. Odczuwa silną presję, by zademonstrować lojalność względem tego systemu, z tej przyczyny od długiego czasu zmuszony jest wynajdywać wspierające go osobiste doznania, o których opowiada panu i pani. Jednakże oprócz tego Steviemu wpojono absolutne oddanie prawdzie, skutkiem czego nie może on zwyczajnie, jak inni chłopcy, klamać, przyznając się do doznań, których nie miał. Nie mógł też, będąc raczej dzieckiem o łagodnym temperamencie, osiągnąć tego emocjonalnego stanu, gdzie pojawia się histeria, powszechny sposób rozładowania napięcia.

- Mówi pani o religii, nieprawdą? - zapytał Step.

- A w szczególności o religii mormonów, gdyż należy pan, jak rozumiem, do charyzmatycznej sekty. Jak się dowiedziałam od Lee, przy okazji waszych comiesięcznych zbiorowych spowiedzi dochodzi do znacznego emocjonalnego wywnętrzenia się, kiedy ludzie wstają i podczas mówienia płaczą. To czysto historyczne zjawisko, wcale nie niezdrowe - wiele Kościołów na południu od dawna pielęgnuje podobną tradycję, dobrze im służy jako emocjonalne odreagowanie. Jednak Stevie należy do tych nieszczęśliwców, którzy nie potrafią się doprowadzić do stanu hysterii, prócz tego jest niechętny bądź niezdolny do kłamania lub udawania. A to wszystko prowadzi do halucynacji.

- Dr Weeks, jedyne halucynacje, jakich Stevie doznaje, ci wyimaginowani przyjaciele, rozpoczęły się tuż po naszym przyjeździe do Steuben.

- Wprost przeciwnie - odparła dr Weeks. - Stevie powiedział mi, że we wczesnym dzieciństwie miał kilka doświadczeń, podczas których wyczuwał bardzo złą obecność, groźną mu zniszczeniem. Z miejsca rozpoznałam w tym ojca-stracha, zwykłego u chłopców w tym wieku, z czego zazwyczaj wyrastają. Jednak twierdzi, że mówił wam o tych „strachach” i „złych uczuciach”, jak je nazywał, a oboje poinformowałam go, że te uczucia pochodzą od diabła.

- Powiedzieliśmy, że prawdopodobnie - powiedział Step. Starł się zachować spokój ducha, lecz czuł się atakowany, kiedy jej sceptyczne oko przyglądało się tym tkliwym chwilom z dzieciństwa Stewego, kiedy wraz z DeAnne próbowali ostrożnie nie narzucać własnej interpretacji snów Stewego.

- Dla dziecka w tamtym wieku oczywiście nie mogło być żadnej wyraźnej różnicy pomiędzy „być może” a „jest”. Ale skąd mógł pan o tym wiedzieć, złapany w sieci tego samego systemu wierzeń. W każdym razie Stevie zaczął kojarzyć wszelkie duchowe zjawiska, o których wiele słyszał, ale których nie doświadczył, ze swą edypową bojaźnią z wczesnego dzieciństwa...

- Kiedy bał się w nocy - przerwał jej Step - zwykle leżał przy jego łóżeczku godzinę albo dwie, dopóki nie zasnął, śpijąc lub nucąc. Nie mnie się więc bał.

- Oczywiście, nie wiedział, że to pana się boi. Odsunął stracha na bok, na jego miejsce wprowadzając bezimienny, wyobrazony byt, który pan wygodnie nazywał za niego. Zatem od tego czasu jego odpowiedzi na presję pańskiej kultury stanowiła halucynacja, a za każdym razem szufladkował pan te halucynacje jako doznania duchowe. W ten sposób Stevie mógł stac się częścią kultury. Wyprano mu mózg.

- Zdumiony jestem w takim razie, że pozwoliła pani wstąpić Lee do naszego Kościoła, jeśli mamy do czynienia z tym, co pani myśli - rzekł Step.

- Jestem naukowcem, pani Fletcher. Nie zamierzam nikogo obrażać. Czuje po prostu, że zrobilibyśmy Steviemu niedźwiedzia przysługę, gdybyśmy po rozpoznaniu, że od dawna doznaje halucynacji, nie związanych z przeprowadzką do Karoliny Północnej, lecz tylko te symptomy, które objawiły się po waszym przyjeździe, zostawiając podstawowy problem, będący przyczyną wszystkiego, bez

rozwiązania.

- Jeśli okaże się, że to prawidłowa diagnoza - zauważył Step.

- Jak już powiedziałam, tylko przychyliłam się do tej interpretacji. Ale musi pan zrozumieć, że kiedy opowiadał mi o chrzcie oraz jak podczas tego doświadczenia ujrzał w wodzie jaskrawe światło, które weszło w niego, wypędzając całą ciemność, zrozumiałam, że jego halucynacje wykraczają daleko poza wyimaginowanych przyjaciół.

Stevie nie opowiadał nikomu o swym doświadczeniu, nikomu z wyjątkiem dr Weeks, która uważała to za szalenstwo.

- Jest pani przekonana, że to szalenstwo? - zapytał.

- Sam pan tam był, panie Fletcher - powiedziała dr Weeks. - Czy widział pan światło?

- Nie - odparł Step.

- Kiedy jedna osoba stojąca pośrodku wielu świadków widzi to, czego nikt inny nie widzi, na ogół mamy słuszną, identyfikując takie doznanie jako halucynacje.

- A może on ma czystsze spojrzenie niż inni? - spytał Step.

- Ach tak? Naprawdę sądzi pan, że istniało jakieś podwodne źródło światła, którego nikt postronny nie potrafił dostrzec?

- Sądze - odpowiedział Step - iż jest możliwe, by coś było równocześnie subiektywne i realne. Jeśli tylko jedna osoba coś widzi, nie oznacza to wcale, że tego tam nie ma.

- Ale zgodnie z tym założeniem, panie Fletcher, nie sposób zrozumieć, dlaczego w ogóle przyprowadzaliście do mnie Steviego. Przecież jeśli dobrze pamiętam, to pana i pańska żona martwił fakt, że Stevie widzi wyimaginowanych przyjaciół, których prócz niego nikt nie dostrzega.

Step nigdy dotąd nie myślał w ten sposób o wyimaginowanych przyjaciółach. Rozzłościło go to jej łączenie doznań duchowych ze złudzeniami Steviego. Ale ona je połączyła, a jeśli miała rację, jeśli były podobne, wówczas cała ta jego niespotykana wrażliwość na innych ludzi, zdolność do rozróżniania dobra i zła, świadomość duchowej strony życia - wszystko to było uludą, mirażem.

Z drugiej jednak strony, wniosek mógł też być przeciwny. No bo skoro wrażliwość Steviego na sprawy ducha była rzeczywista, więc też zdolność postrzegania wyimaginowanych przyjaciół nie była fałszem. A w takim razie dr Weeks ma rację, a oni popełnili kolosalny błąd, przyprowadzając go do niej. Zupełnie w ten sam sposób, w jaki opowiedział im pozornie nonsensowną historię o zniecaniu się nad nim pani Jones, przekazywał im prawdę o wyimaginowanych przyjaciółach.

Znaczyło to, że naprawdę istnieli wyimaginowani chłopcy, bawiący się z nim na podwórku za domem, gdy tylko wychodził na powietrze.

Nie, pomyślał Step. Nie. Powodem, dla którego to nie może być prawda, jest fakt, że dr Weeks myli się już u samych podstaw. Jego wyimaginowani przyjaciele to nie to samo co duchowa wrażliwość. Ta druga możliwość, która wymieniła - zaburzenie przystosowawcze wraz z depresją i biernością - tłumaczyła wszelkie symptomy, a przynajmniej te, które nimi były w mniemaniu Stepa i DeAnne. Dr

Weeks po prostu nienawidziła religii, usiłowała doszukać się zaburzeń psychicznych w kosmologii mormonizmu.

Tylko, skoro nie cierpiała religii, z jakiego powodu w każdą niedzielę odwoziła Lee do kościoła?

- Czy istnieje jeszcze jakaś możliwa diagnoza? - zapytał Step.

Wypowiedziała się pokrótce na temat zaburzenia schizofrenicznego o charakterze rezydentnym, ale było jasne, że nie przychyliła się ku tej teorii.

- Widzę jednak, że przedłożyłby pan prawie każdą diagnozę nad tę, która rzuca cieniem wątpliwości na pański ukochany system wierzeń.

- Wiem, co jest najlepsze dla Steviego - odparł Step. - Doskonale się orientuję, jak nasze dogmaty religijne odbierają ci, którzy w nie nie wierzą.

- Zamierza pan pozwolić Steviemu kontynuować kurację?

- Nie podejmuję takich decyzji sam - odrzekł. - Muszę przedyskutować tę sprawę z moją żoną.

- Proszę ją przyprowadzić - zaproponowała dr Weeks. - Sądzę, że naprawdę nadeszła pora, byście oboje włączyli się w proces terapii. Mniemam, że jeśli nieustanna presja, by Stevie demonstrował lojalność wobec waszego systemu wierzeń, zostanie nieco złagodzona - proszę zauważyć, że nie mówię, iż ma ustąpić zupełnie - być może chłopiec rozluźni się na tyle, by obrócić normalniejszą strategię radzenia sobie z rodzinnymi i środowiskowymi wymaganiami. Za rok lub dwa możemy całkowicie wytłumaczyć te halucynacje, przy założeniu, że cała rodzina będzie współpracować.

- Dziękuję, że mnie pani poinformowała o tym wszystkim, dr Weeks - powiedział Step. - Widzę, że bardzo się pani starała zrozumieć sytuację naszego syna.

- A zatem istnieje nadzieja, że będę mogła kontynuować pracę z tym słodziutkim chłopczykiem?

- Nie wiem, jak będzie - odparł Step. - Powiedziałem już na początku, że pieniądze stanowią dla nas obecnie poważny problem. Ale jeśli przerwiemy terapię Steviego, nie stanie się to z powodu naszego przeswiadczenia, że jako lekarz nie włożyła pani w swą pracę ze Steviem maksymalnego wysiłku.

Dr Weeks skinęła łaskawie. Zbyt wielką profesjonalistką była, by pozwolić sobie na uśmiech - Step odniósł wrażenie, że zostawia ją w przychylnym nastawieniu do niego i do Steviego i w nie najgorszym do Kościoła, tak że chyba nie zaprzestanie podwozić Lee w niedzielę. Dlaczego przywoziła Lee do kościoła, zważywszy na jej stosunek do religii, stanowiło dla Stepa zagadkę. Jednak postępowała tak, a nie inaczej i wolałby, żeby z jego winy nie zmieniała przyzwyczajen.

W recepcji nawet potwierdził wizytę Steviego w następnym tygodniu. Potem wyszedł z przychodni, wyłączył dyktafon i pojechał do domu.

DeAnne wieczorem przesłuchała całe nagranie i powatpiewał, czy Stevie kiedykolwiek wróci do gabinetu dr Weeks.

DeAnne przeżyła meczący ranek z Zapem. Nie można go było na tyle rozbudzić, by wypił choć kroplę

mleka. Pielęgniarka wzięła od niej ściagnięte mleko i umieściła je w lodówce, by później nakarmić Jeremego. To jednak w najmniejszym stopniu nie stłumiło jej niepokoju.

Kiedy zwierzyła się neonatologowi z obaw dotyczących nadmiernej sennosci dziecka, ten cierpliwie pokiwał głową i powiedział:

- Wie pani oczywiście, że trudno spodziewać się po dziecku zazywającym środki przeciwko drgawkom, że będzie takie komunikatywne, jak pani poprzednie dzieci. Ale dopóki nie dowiemy się, co jest przyczyną tej aktywności, wstrzymanie podawania leków byłoby z naszej strony brakiem odpowiedzialności. Drgawki mogą doprowadzić do poważnego uszkodzenia mózgu, a nawet śmierci.

- A czy za dużo fenobarbitalu nie spowoduje też jakichś problemów?

- Mogłoby, gdyby dostał za dużą dawkę - odrzekł dr Torwaldson. - Ale nie dostaje. - I na tym się skonczyło.

Lecz DeAnne nie mogła jakos przegnać wszystkich trosk, które klebiły jej się w głowie, tak więc kiedy dr Greenwald, pediatra, wpadł do niej, wyjaśniła całą sprawę od początku.

- Traci wagę, nieprawdaz? Szybciej niż normalnie. Czy to nie jedna z rzeczy, które nas niepokoją? A jeśli feno czyni go takim spiacym, że nie chce jeść...

- Powiem pani coś - rzekł dr Greenwald. - Może byśmy tak zerknęli na oddział intensywnej opieki, gdzie mógłbym sprawdzić dawkowanie. Nigdy nie szkodzi sprawdzić dwa razy.

DeAnne i Vette podążyły za nim na oddział, gdzie przystawał i spoglądał na kilkoro dzieci, nim ostatecznie nadszedł czas na Jeremego.

- Cześć, Zap - powiedział. Włożył dłoń we wbudowaną w boczna ściankę inkubatora rękawiczkę i zaczął pobieżnie badać dzidziusia, dotykając go tu i ówdzie, rozciągając ręce i nogi, podnosząc powieki.

- Niektóre dzieci umieszczone tutaj po prostu łamią mi serce - odezwała się Vette. - Są takie malenkie albo takie... okaleczone.

- Ha - rzekł dr Greenwald. - Ale nie łamią mojego serca, gdyż akurat dzisiaj wszystkie moje dzieciaki tutaj czują się całkiem dobrze. Sądzę, że wszystkie przetrzymają. Szczególnie ten tu Zap. Wygląda bombowo.

DeAnne spostrzegła z rezygnacją, że każdy podchwytuje imię Zap, na przekór jej stanowczemu obstawaniu przy Jeremym. Ale dopóki dr Greenwald mówił jej, że dziecko czuje się dobrze, DeAnne tak naprawdę nie troszczyła się, jak je nazywa.

- Jest raczej mało komunikatywny, no nie? - stwierdził lekarz.

- Jak szmaciana lalka - przyznała DeAnne.

Dr Greenwald spoglądał na wykres.

- Hmm. - Pokiwał głową. - Całkiem mocna dawka tego feno.

- Czy za dużo, jak pan myśli?

- Nie - odparł. - To normalna doza.

- Och - rzekła DeAnne. - Po prostu myślałam... To chyba nie w porządku, że jest do tego stopnia spiący, iż nie można go karmić.

- Nie, to nie jest w porządku. Prawde mówiac, ma w organizmie o wiele za dużo fenofenonu.

- Więc to nie jest normalna dawka?

- Fenobarbital to bardzo śmieszne lekarstwo. Każdy organizm zużywa go w inny sposób. Rzekłbym, że wygląda na to, iż organizm pani małego synka nie wyplukuje lekarstwa, jak to się dzieje u większości ludzi, tylko magazynuje. Dostaje normalną dawkę, która jednak odkłada się w środku.

- Czy można temu zaradzić?

- No cóż, nie jest to aż tak trudne. Po prostu ograniczymy dawkowanie, dopóki poziom lekarstwa we krwi nie będzie się mieścił w rozsądnych granicach. Ale to oznacza jeszcze kilka testów krwi.

- Czy muszą mu pobierać krew z głowy w ten sposób? - zapytała.

- Ach, nie podoba się pani jego uczesanie? Trochę punkowe, rzekłbym. Widzi pani, to noworodek. Jego żyły nie są szczególnie duże bądź łatwe do odnalezienia. Do diaska, mamy tu igły o większej średnicy niż jego palec.

- W porządku, wiem, że tak musi być, tylko to tak okropnie wygląda. Doktorze Greenwald, czy nie mógłby mnie pan poinformować, jaka jest jego aktualna dawka?

- A czy liczby coś pani powiedzą? - spytał dr Greenwald.

- Nie. Ale jeśli liczby do jutra się nie obniżą, to będzie to już dla mnie coś znaczyło.

Wyszczzerzył zęby.

- Jest pani uparta, co?

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- To moje dziecko.

- Doktorze Greenwald - wtraciła Vette. Znajdowała się przy jednym ze stojących obok inkubatorów. - Czy ta ciecz ma wykapywać z tej igły?

Greenwald natychmiast podszedł do inkubatora, który wskazywała Vette.

- Nie jest to żadne z moich dzieci, lecz twierdziłbym, że to nie wygląda jak należy. Niedawno się zaczęło, na poscieli nie ma jeszcze nawet śladu. Dana! - zawołał.

Jedna z pielęgniarek momentalnie podeszła.

- Zerknij na to, a ja tymczasem zadzwonię do dr Vont.

Pielegniarka o imieniu Dana zrobiła dwa kroki i natychmiast potrzaskała głową.

- Znowu byłaś niegrzeczna dziewczynka, Marisha? Wyciągasz igły? Bedziemy musieli przypiąć następną. - Spojrzała na Vette. - Dziękuję, że zwróciła pani na to uwagę. Sprawdzamy każde dziecko co pięć minut, oprócz czuwania non stop przy monitorach, lecz liczy się każda sekunda. Ta tutaj jest taka mała, że bardzo ciężko nam odnaleźć żyłę, prawda, Marisha? A kiedy wykonuje jakiś gwałtowny ruch, igła wypada.

- Jest taka mikroskopijna - powiedziała Vette.

- Tak - odparła Dana. - Najprawdopodobniej ją stracimy. Jej stan się nie poprawia, a czasem nawet nieznacznie pogarsza.

- Biedni ci jej rodzice - powiedziała DeAnne, myślar o bólu, jaki poczulaby, gdyby ktos właśnie powiedział to samo o Jeremym.

- No nie wiem - rzekła Dana. - Jeśli Marisha przeżyje, jej mózg będzie poważnie uszkodzony. Cóż z takiego życia? Czasem Bóg jest miłosierny i pozwala im wrócić do domu, nie posyłając na ten padół leż.

Dokładnie w tym momencie Step wszedł na oddział.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Sądziłem, że cię tu jeszcze zastane.

- Czy Mary Anne ciągle jest z dziećmi? - zapytała DeAnne.

- Kiedy przyjechałem do domu, spotkałem jej męża, który zaofiarował się przyjść i wesprzeć Zapa błogosławieństwem.

Spostrzegła teraz, że Harv Lowe przechodzi z bojaznia między inkubatorami.

- To muszą być jakieś twarde dzieciaki - powiedział Harv - jeśli trzeba wpychać im te wszystkie igły, by je uspokoić.

Dana rozesmiała się.

- Och, to są te najtwardsze.

Step zwrócił się do pielęgniarki:

- Czy trzeba używać tych rękawiczek w przypadku Zapa? Nie jest przecież chory zakaźnie czy coś takiego, ma też właściwą wagę. Nie zadamy stanowczo, by pozwolono nam go dotykać gołymi rękoma, ale tak byłoby lepiej.

- Jeżeli chce pan otworzyć to pudło, musi pan wpięrow uzgodnić to z doktorem Torwaldsonem - poinformowała go Dana.

W tej chwili powrócił dr Greenwald z dr Vont, która natychmiast przystąpiła do wydawania poleceń i zajmowania się Marishą. Okazało się, że prócz luznej igły więcej rzeczy należy poprawić, dlatego cały

personel medyczny pochłonięty był swoją pracą. DeAnne nie narzekała na czekanie. Jeśli chodzi o Jeremy'ego, nikt się nie spieszył, co dobrze wróżyło.

W kilka chwil potem zjawił się dr Torwaldson, wtedy dr Greenwald wycofał się i podszedł do Fletcherów.

- Nie moje dziecko - powiedział - a ja nie jestem neonatologiem, więc stanowie o jedną parę rak za dużo, odkąd Tor się pojawił.

- Czy wyjdzie z tego? - zapytała Vette. - Ta malutka?

- Nie wygląda mi na to - odparł dr Greenwald. - Lecz czasem cie zaskakują. Czasem naprawdę chcą żyć.

- Sądzi pan, że one naprawdę mają pragnienia? Takie maluchy?

- To zależy - rzekł dr Greenwald. - Od tego, czy się wierzy, że mają dusze, czy nie. Ja przypadkiem wierzę, że mają, że dusza może mieć pragnienia, choć ciało nie dorosło jeszcze, by zamienić je w słowa. Widziałem dzieci trzymające się życia z całych sił, gdy inne po prostu poddawały się i odchodziły. Nie rozmawiają o tym, lecz ja to tak odczuwam.

- Czy to właśnie robi Jeremy? Odchodzi?

- Może poczekajmy z odpowiedzią - zaproponował dr Greenwald - dopóki nie zobaczymy, jak się będzie czuł po odzyskaniu przytomności?

- Doktorze Greenwald - rzekł Step. - Sądzę, że pan zrozumie - chcemy pobłogosławić naszego syna, dlatego musimy położyć na nim nasze ręce. Także chcemy namaszczyć go pojedynczą kroplą czystej oliwy, na czole lub ciemieniu. Czy jest to dozwolone?

Dr Greenwald popatrzył na Torwaldsona.

- Och, nie widzę przeciwwskazań. Zap to naprawdę morowy chłopczyk. W porównaniu z innymi tutaj to wykapany Larry Holmes.

Dr Greenwald otworzył inkubator i Harv wyciągnął olejek, kroplą namaszczył czoło dziecka, odmawiając towarzysząca temu obrzędowi krótka modlitwa. DeAnne zauważyła, że dr Greenwald przypatruje się temu, z szacunkiem chyląc głowę. Wówczas obaj ze Stepem dotknęli delikatnie ciała dziecka i Step dopełnił namaszczenia dłuższą modlitwą, dostosowaną zawsze do potrzeb osoby przyjmującej namaszczenie i zgodną z tym, co Step w danym momencie czuł.

Dopiero dwa miesiące temu, pomyślała DeAnne, Step potwierdził Steviego, a teraz swemu najmłodszemu dziecku daje całkowicie odmienne błogosławieństwo. Dobrze się czuła wiedząc, że maż jest do tego zdolny, jest zdolny wezwać potęgę niebieską, by przyszyły na pomoc dziecku. Mógł mu dać mleko z jego ciała, żywiła go wewnątrz siebie przez dziewięć miesięcy, a Step nie mógł mieć w tym swego udziału. Lecz on może naszemu dziecku dać to.

Błogosławieństwo zdawało się DeAnne potężne, kiedy je wymawiał; kiedy jednak było już po wszystkim, uswiadomiła sobie, że Step nie wspominał nic o leczeniu. Błogosławił jedynie Jeremy'ego, by lekarze zdali sobie sprawę z własnych ograniczeń i nie mylili się co do niego, i żeby wkrótce był w domu z matką, ojcem, siostrą i braćmi.

Dr Greenwald potrząsnął dłonią Stepa, kiedy ten zatrząsnął inkubator.

- Jest pan pastorem? - zapytał.

- Nie - odparł Step. - Jestem programista komputerowym. Harv zaś jest księgowym.

- No cóż - rzekł dr Greenwald. - Miło było popatrzeć na ojca, jak to robi własnemu synowi. Pierwszy raz widzę coś takiego.

Od pobliskiego inkubatora, gdzie zebrali się pozostali lekarze, dobiegł głos, cichy, lecz wyraźny.

- Odeszła.

Po chwili lekarze zaczęli się rozchodzić. DeAnne usłyszała, jak dr Vont mruczy:

- Zadzwoń do jej rodziców.

DeAnne objęła matkę, która zdawała się wstrząsnęta tym faktem. Zauważyła prócz tego, że dr Greenwald wyciągnął chusteczkę i przeczyszczył okulary, po czym dodatkowo przetarł oczy.

- Nigdy do tego nie przywyknę - powiedział. - Nawet jeśli nie należa do mnie. Nie lubię, gdy je tracimy.
- Nagle zebrął się w sobie. - Może byśmy tak wyszli z oddziału? Nie musimy uczestniczyć w tym, co teraz nastąpi.

Wyprawdzając ich na korytarz, dr Greenwald pocieszał:

- Wasz chłopczyk nie sprawia wrażenia, jakby groziło mu obecnie jakieś niebezpieczeństwo, a co do letargu, no cóż, porozmawiam po południu z Torem. Dostrzeżecie poprawę, obiecuje, gdy tylko dobierzemy odpowiednie dla jego organizmu dawkowanie. Miło było pana spotkać, panie Fletcher, pani...

- Brown - powiedziała Vette.

- Miło było pana spotkać - rzekł Harv, sciskając jego dłoń. Greenwald odszedł.

- Czuje się lepiej, gdy Zap znajduje się pod jego opieką - oświadczył Step. - To pomaga, że on naprawdę kocha te dzieci. I że on... No wiecie. Traktuje nas poważnie.

- Dzięki za pomoc - DeAnne zwróciła się do Harva.

- Mam pewien pomysł - odezwała się Vette. Ton jej głosu poweselał nagle, oddalając przygnębienie, jakie opanowało ją na oddziale intensywnej opieki. Taki już miała dar, wyczuwała właściwy moment, by odmienić nastrój ludzi, by postawić ich znowu na nogi.

- Poproś Harva, by odwiózł mnie do domu, a wy dwoje wróćcie drugim samochodem.

- Nie ma sprawy - rzekł Harv.

- Dzięki - powiedział Step. - Muszę porozmawiać z DeAnne.

- Jeden warunek - zaznaczyła Vette. - Mnie przypadnie renault. Klimatyzacja, wiecie.

- Pootwieramy w datsunie okna - oznajmił Step. - Bedzie nam tak samo goraco, ale nasz pot pomoze w podlewaniu trawników po obu stronach drogi.

Kiedy tylko znalezi sie sami w datsunie, DeAnne zapytala o blogoslawienstwo.

- Nie mogles poblogoslawic go, zeby zostal uleczony?

- Myslisz, ze nie chcialem? - odparl Step. - Myslisz, ze nie zamierzalem tego zrobic?

- Tamtego dnia byles tak fatalistycznie nastawiony - powiedziala DeAnne. - To znaczy wczoraj. Czy tylko wczoraj? Sadzilam, ze moze juz go skresliles.

- Usilowalem powiedziec cos o Zapie, który by wyzdrowial i cieszył sie idealnie zdrowym ciałem, ale nie mogłem. Moze z mojej strony to brak wiary, a moze powiedziano mi, bym nie blogoslawil go w taki sposób. Tak czy inaczej, co mogłem zrobic? Powiedzialem, co byłem w stanie powiedziec.

- No dobrze - rzekla DeAnne - jak poszlo z pania Weeks?

- Najpierw powiedz mi, jak sie czujesz. Ból ciagle dokucza?

- Do tego troche krwawilam. Musze wiecej lezec.

- A ja cie wioze tym rzechem, trzesacym sie jak galareta.

- Chodzi o to jezdzenie do szpitala tam i z powrotem.

- Zatem mówisz, ze powinna byla zostac?

- Ja nie umieram, Step. Po prostu boli mnie i troche krwawie. Opowiedz mi o dr Weeks. Czy pokłóciliscie sie?

- Tylko przesluchaj tasme. - Wyciagnal z kieszeni dyktafon, wlozyl go do magnetofonu i wcisnal „play”.

Przez pierwsza chwile, sluchajac rozmowy w biurze dr Weeks, DeAnne chciala krzyknac, zeby przestal, ze robi wszystko na opak, rozmyslnie prowokujac lekarke. Wówczas jednak zdala sobie sprawe, ze jest calkiem opanowany. A dr Weeks naprawde nie chce udzielic mu jakichkolwiek informacji. Dlatego fakt, ze zdolal wydusic z niej prawdopodobna diagnoze, jest byc moze sporym osiagnieciem, jak tez to, ze sluchal cierpliwie, co pozwolilo dr Weeks ostatecznie wyjasnic, na czym polega zaburzenie przystosowawcze. Dokladnie pasowalo to do stanu, w jakim obecnie znajdowal sie Stevie.

- Moge to zrobic - powiedziala DeAnne. - Napisac do przyjaciól w Indianie. Szkola moze udostepnic mi adresy rodziców albo przekazac im moje listy.

Step wcisnal „stop”.

- Ona nie wierzy w te diagnoze - powiedzial. - I nie takimi srodkami pragnie leczyc chlopca. - Po tym stwierdzeniu wcisnal na powrót „play”.

Reszte tasmy przesluchala bez komentarza.

- Cóż, Step - powiedziała na koniec. - Nie mogę uwierzyć, że wychodząc, nie powiedziałeś jej niczego uszczypliwego.

- Nie miałem zamiaru palić za sobą mostów, na wypadek gdybyś chciała kontynuować terapię.

DeAnne była poruszona.

- Sądziś, że powinniśmy?

- Nie wiedziałem, co ty pomyślisz - rzekł Step.

- Alez wiedziałeś - zaprzeczyła DeAnne. - Wiedziałeś bardzo dobrze, co powiem na ten temat. Ona twierdzi, że niepoczytalny jest każdy, kto wyznaje religię - czyli większość ludzi na przestrzeni wieków.

- Tak - przyznał Step. - Lecz może prawdziwa poczytalność nie istniała, dopóki nie pojawili się ludzie podobni do niej.

- Znamy wielu mormonów, Step. Lecz niewielu z nich histeryzuje, a jeszcze mniej jest szalonych.

- Jest przecież siostra LeSueur.

- Ona tylko knuje, nie jest szalona - odparła. - Jedyńm prawdziwie szalonym mormonem, jakiego ostatnio poznałam, jest syn dr Weeks, ale winą za to ona nie może obarczać nas.

- Daj jej trochę czasu - zaproponował Step.

- Ponoszą mnie nerwy, kiedy odrzuca nasze wierzenia, jakby nawet nie zasługiwały na przemyślenie.

- Ona jest wierna rywalizującej religii - powiedział Step. - Jeśli nasza jest prawdziwa, wówczas jej jest trochę wypaczona.

- No dobrze, nasza jest prawdziwa - powiedziała.

- A jej trochę wypaczona.

- Jak mówiles już wcześniej.

Step wzruszył ramionami.

- Nie chodzi tu o to, co ci powiedziałem. Chodzi o Steviego. Możemy spróbować później z innym psychiatrą. Ale wątpię, czy ciągle powinien chodzić do psychiatry, który jest stanowczo przekonany, że jedyną drogą do wyleczenia Steviego prowadzi poprzez wyleczenie nas z naszych iluzji. Nawet gdyby odniosła sukces, nie pomogłoby to Steviemu, gdyż to nie jest jego problem.

- Zgadza się - powiedziała DeAnne.

- A więc skreślamy dr Weeks, okej?

- Okej.

- Tylko z uwagi na Lee powiemy jej, że zamierzamy odłożyć kurację na kilka miesięcy i że w tym czasie będziemy obserwować, czy nie następuje poprawa.

- Wspaniale - ucieszyła się DeAnne.

Radio nie było włączone bardzo głośno, lecz przypadkowo puszczały właśnie „Every Breath You Take”, co oboje zauważyli.

- Grają nasza piosenkę - powiedziała DeAnne.

- Dziwne rzeczy przydarzają nam się ostatnio - rzekł Step. - Czuję się przez to trochę szczególnie.

- Problemy Jeremy'ego z pewnością spychają te sprawy na dalszy plan, no nie? - spytała DeAnne. - To znaczy trudno się ekscytować głupota siostry LeSueur, kiedy widziało się własne dziecko pod szklanym kloszem. A ta anonimowa płyta...

- Wciąż mnie trapi - wtracił Step.

- Mnie też - przyznała DeAnne. Położyła dłoń na nodze Step'a, czując, jak jego mięśnie przebiegają i przesuwają, gdy przenosi nogę z hamulca na gaz. - Step, dzięki, że złożyłeś wizytę dr Weeks. Nie wiem, czy zdołałabym przekonać ją do wyjawienia mi tych wszystkich hipotez. To oczywiście, że starała się nie dopuścić nas do informacji, co właściwie robi ze Steviem. Gdybyś nie naciskał, wciąż trwałibyśmy w ignorancji.

- Zrobiłem to tylko z jednego powodu: wiedziałem, że jesteś ze mną.

- Kocham cię, Step. - Scisnęła go za nogę.

- Ja cię też kocham. Kochałbym cię jeszcze bardziej, gdybyś pamiętała, że mam laskotki w nodze, a gdy przyciskasz ją tuż nad kolanem, mogę się poderwać i stracić panowanie nad samochodem.

Nacisnęła jego nogę jeszcze kilka razy z rzędu, lecz chociaż miał tam laskotki, nauczył się już rozluźniać mięśnie brzucha i walczyć ze śmiechem - technika ta pozwoliła mu przetrwać dzieciństwo ze starszym bratem, który uwielbiał go laskotać.

- Nie jest ci do śmiechu - zauważyła.

- Spróbuj ponownie, kiedy będziesz w stanie polechtac mnie na poważnie.

- Mam nadzieję, że już wkrótce - odpowiedziała.

- I ja mam taką nadzieję.

Kiedy przybyli do domu, znaleźli Stevi'ego siedzącego na kanapie w pokoju dziennym, z miejsca oznajmili mu nowinę: nie wróci już do dr Weeks.

- Och, w porządku - odpowiedział. - I tak była trochę stuknieta.

- Jak to? - spytała DeAnne.

- Powiedziała, że Jezus przypomina Świętego Mikołaja - rzekł Stevie. - Tylko że każdy wie, że Święty

Mikolaj to jedynie bajka.

- No wiesz - powiedział Step. - Ona wierzy, że Jezus to też tylko bajka.

- To dlatego, że nie słucha, kiedy do niej mówi - odparł Stevie.

- Myślenie, że to prawda - rzekł Step. Zerknął na DeAnne, podchwycił jej spojrzenie. - Wyrazna dysocjacja - dodał z uśmiechem.

Potrząsnęła głową. Nie powinien żartować w ten sposób w obecności Stewiego - mógł łatwo wychwycić sens słów Step'a.

- Czy to znaczy, że wciąż mogę bawić się z moimi przyjaciółmi? - zapytał chłopiec.

DeAnne westchnęła. Jedną rzeczą było przeswiadczenie, że dr Weeks po prostu daje upust swoim poglądom, a drugą przypuszczenie, że skoro dr Weeks nie może pomóc, to Stevie już nie potrzebuje pomocy.

- Wolalabym, żebyś bawił się z bratem i siostrą - oznajmiła DeAnne.

- Ale kiedy nie będę z nimi się bawił, mogę pobawić się ze Scottym, Jackiem i resztą chłopaków? Bo doszedł nowy dzieciak.

DeAnne bez słowa wstała i wyszła z pokoju. Stevie obserwował w milczeniu, jak wychodzi.

- Rób, jak uważasz - powiedział Step. - Rób, co uważasz za stosowne. - Powiedziawszy to, podążył w ślad za DeAnne do sypialni, gdzie na dłuższą chwilę przytuliła się do niego w milczeniu.

Po dwóch tygodniach na oddziale intensywnej opieki przywiezli Zapa do domu, z rachunkiem na ponad osiemnastę tysięcy dolarów i bez diagnozy. Nadszedł bowiem dzień, w którym Step i DeAnne stanęli przed doktorem przybyłym z Chapel Hill. Zalecał kilka sposobów postępowania i przepisywał leki, których mogliby użyć w wypadku, gdyby stan Zapa spowodowany był przez to i tamto, aż Step mu przerwał:

- Nie sądzę, żebym chciał, aby mój syn był leczony na nie rozpoznana choroba.

Specjalista z Chapel Hill spoglądał na niego zaskoczony; jego zachowanie uległo diametralnej zmianie; mówił teraz z szacunkiem, niemal przeproszał za uprzedni ton:

- Och, nie przypuszczałem, że jest pan lekarzem - powiedział. W jego głosie nie było ani śladu ironii i Step domyślił się, że specjalista tak naprawdę proponował środki, z którymi może by się wstrzymał, wiedząc, że Step i DeAnne są o wszystkim poinformowani. To im wystarczyło.

Szpital był bardzo wyrozumiały. Przyjęli dwa tysiące dolarów i obietnicę spłacenia przynajmniej połowy pozostałej sumy, gdy tylko Step otrzyma pieniądze od Agamemnona z tytułu zamieszczonej w kontrakcie klauzuli albo reszty należności za wersję Hacker Snacka do sześćdziesiątki.

Wówczas przywiezli Zapa do domu, po czym rozpoczął się powolny proces odkrywania, co naprawdę dolega Zapowi i jak niewiele można na to poradzić.

Jedyna korzyścią, jaka wynikła z przedłużonego pobytu dziecka w szpitalu, była świadomość, jak bardzo mogli polegać na ludziach z pierwszej gminy, którzy, uprzednio uważani za zwyczajnych znajomych, okazali się prawdziwymi przyjaciółmi. Wspomniała też o tym Vette. „Mieszkacie w dobrej gminie - powiedziała. - Naprawdę tu o was dbają”.

Gdyby tylko stan Steviego mógł być przyczyną podobnego społecznego odzewu, pomyślała DeAnne. Gdyby mogli skupić się wokół Steviego, pościć i modlić się za niego. Może powinni opowiedzieć ludziom, przez co przechodzi Stevie, w ten sposób mogliby pomóc chłopcu. Lecz nie. Istniało zbyt wielkie prawdopodobieństwo, że w przypadku choroby umysłowej ludzie się zlekna, zaczęła unikać Steviego, izolując go jeszcze bardziej, przez co staczałby się w szalenstwo coraz szybciej.

Czy moglibyśmy ich za to winić? - pomyślała DeAnne. Gdybym sama była matką normalnego chłopca i usłyszała, że mały chłopczyk z sąsiedztwa ma halucynacje dotyczące wyimaginowanych przyjaciół, czy wtedy pozwoliłabym się im razem bawić? Czy miałabym tyle współczucia dla obcego dziecka, by ryzykować, że moje dziecko ucierpi w jakiś sposób przy wybuchu szalenstwa tamtego chłopca? Nie, rany umysłu były zbyt dziwne, zbyt niewidoczne, zbyt magiczne, aby mieć nadzieję na tolerancję i pomoc udzieloną nawet przez najlepszych ludzi.

To mnie przeraża, pomyślała DeAnne. Dlaczego miałabym oczekiwać od innych, by byli lepsi ode mnie?

Tak więc problem Steviego pozostał sprawą ich rodziny. Dopóki artykuł w gazecie nie zwrócił ich spojrzenia na inne tory.

Rozdział dwunasty

Przyjaciele

Oto nagłówek z pierwszej strony wydawanego w Steuben „Times Journal”, jaki ukazał się w niedzielnym wydaniu, 21 sierpnia 1983 roku: SERYJNY MORDERCA W STEUBEN? Ów nagłówek strachem napelniał serca wszystkich rodziców w mieście, gdyż gazeta nie była brukowcem, a artykuł nieodpowiedzialna, wyssana z palca historia. Szef policji sformował oddział specjalny, w którego skład wchodziło biuro szeryfa okręgowego, współpracujące ze Stanowym Biurem Śledczym w Karolinie Północnej. Korzystano też z pomocy ekspertów od seryjnych morderców, szczególnie z tych wyspecjalizowanych w porwaniach i zabójstwach małych chłopców.

Od kilku miesięcy policja zajmowała się niewyjaśnionymi zniknięciami małych chłopców na obszarze Steuben, przypadkami, kiedy nigdy nie znajdowano ciał i nie narzucał się żaden motyw, dla którego dziecko mogłoby uciec, nawet po najbardziej bezlitosnym ataku oszalałych rodziców. Na dodatek we wszystkich tych zniknięciach dało się dostrzec pewien schemat. Żaden precyzyjny wzorzec, na przykład znikanie pewnego dnia każdego miesiąca czy coś równie wyraźnego. Po prostu odstęp dwóch miesięcy albo trzech między zniknięciami.

Po raz pierwszy nazwiska wszystkich chłopców, będących przypuszczalnymi ofiarami seryjnego mordercy, wyszczególniono w spisie. Ich zdjęcia widniały nad zakładką na pierwszej stronie. Było ich siedmiu; zaczęli znikać w maju 1982 roku; zniknięcia stopniowo stawały się częstsze.

Był to główny artykuł. Właściwie na pierwszej stronie nie było żadnych innych artykułów, z wyjątkiem notki dotyczącej prowadzącego śledztwo detektywa Douga Douglasa, będącego dość barwną postacią w latach sześćdziesiątych, kiedy podczas zamieszek na tle praw obywatelskich ślubował, że każdy, kto naruszy miejskie rozporządzenie, zostanie aresztowany i umieszczony w więzieniu w Steuben. A nikt, kto znajdzie się w więzieniu, nie opuści go w takim samym stanie, w jakim był w czasie aresztowania. Niektórzy w tamtych dniach pomrukiwali, że to pozwoli czarnuchom myśleć, iż mogą w Steuben robić, co im się żywnie podoba, lecz w rezultacie zamieszki rasowe ustąpiły bardzo szybko, zastąpiono je natomiast dialogiem i kompromisem. Douglas był wówczas szefem policji, najmłodszym w historii Steuben. Wiele lat później burmistrz, którego wybrano w czasie czystki, jaka nastąpiła po wyborze Reagana na prezydenta w 1980 roku, zdegradował Douglasa do funkcji szefa detektywów, a niektórzy mówili, że to długo oczekiwana zapłata za jego bezstronność w latach sześćdziesiątych. Lecz zamiast podawać się do dymisji albo nawet wnosić skargi, Douglas po prostu odwaliał swoją robotę. Artykuł miał na celu zapewnić miasto, że jeden z najwybitniejszych w Steuben ludzi zajął się tą sprawą. Drugim celem było zapewnienie czarnej społeczności, że chociaż wszystkie ofiary są białymi chłopcami, w śledztwie nie pojawia się rasistowskie podteksty, a czarnych nie będzie się dreczyć.

Lecz Fletcherowie nie zobaczyli w niedzielny poranek tego artykułu, gdyż nie mieli czasu nawet zerknąć na gazetę, ponieważ w pośpiechu szykowali się do kościoła. Ta niedziela była ostatnią przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Zeszłego dnia tak byli zajęci kupnem nowych ubrań szkolnych dla Steviego i Robbiego, który w tym roku szedł do przedszkola, że zapomnieli zrobić pranie i cały ranek spędzili na wyciaganiu z koszu brudy ciuchów zdanych jeszcze do noszenia i prasowaniu ich, by wyglądały schludnie w kościele.

Chłopcy byli ubrani; DeAnne rozczesywała włosy Betsy; Stepowi przydzielono zmienienie Zapowi pieluszki i wyszykowanie go do kościoła.

Zap sprawiał kłopoty jedynie wtedy, gdy zmieniano mu się pieluszkę. Zwykle spał, ale nawet rozbudzony raczej nie narzekał na karmienie czy ubieranie. Step niemal pragnął, żeby było inaczej, co by świadczyło o pewnym wigorze, pewnej świadomości świata, ale ten nawet płakał rzadko. A kiedy ojciec ruszał jego ciałem, nie wyczuwał żadnego zaczątku mięśni, żadnej sztywności. Od czasu do czasu podrygiwał zabawnie, lecz przeważnie jego ręce i nogi były luźne i sprężyste. Jakby nie dbał bardzo, co robia jego kończyny. W rzeczywistości nogi Zapa przejawiały ochotę do przybierania zabójczych pozycji, kolana daleko od siebie, stopy podkurzone aż po same pośladki. Oznaczało to, że z chwilą zmiany pieluszki jego pięty zahaczały o zawartość w pieluszcze. To z przewijania czyniło prawdziwe wyzwanie. Step zwykł rozciągać nogi Zapa daleko i prosto, masując uda i łydki, mówiąc: „Oto mój chłopiec, widzisz, jaki jesteś wysoki, kiedy cię rozciągnąć? Rozciągnij no te nogi, dryblasku”. Niewiele to jednak pomagało. Kiedy pieluszkę ściągnięto, pięty powracały na powrót do ulubionej pozycji, przez co miało się wrażenie, że do przewinięcia Zapa potrzebne są trzy ręce. Trzy ręce albo dodatkowe scierki, by przetrzeć jego stopki.

W każdym razie Step nabierał pewnej zrecznosci w przewijaniu dziecka, które uważało się za zabawę; już po chwili wynurzył się z sypialni z Zapem leżącym twarzą w dół na jego przedramieniu, z głową wcisniętą w dłoń, dyndającymi nogami - jak u zaby - obejmującymi bicepsy Stepa. Lubiał w ten sposób nosić dzieci, kiedy te były jeszcze bardzo małe. DeAnne początkowo napawała to przerażeniem, gdyż Step przypominał jej wtedy futbolistę biegnącego z piłką, lecz szybko oboje zauważyli, że gdy nosi rozplakane dziecko w tej pozycji, płacz szybko milknie, przynajmniej na chwilę.

Step wnioskował z pisku w kuchni, że Betsy wciąż jest czesana. Stał w milczeniu w drzwiach do pokoju dziennego, obserwując, jak Robbie roztrzaskuje kilka samochodzików, a Stevie gra na komputerze.

A wcale nie wyglądało na to, żeby Stevie grał w jakąś grę. Z miejsca, w którym się znajdował, Step nie mógł dojrzec ekranu, lecz widział dłonie Stewego, spoczywające na joysticku, którego prawie nie używał. No, może sporadycznie odchyłał się to w lewo, to w prawo, lecz większość czasu po prostu wpatrywał się w ekran, a jego twarz była niczym z marmuru.

- Zrób to, Sandy - szeptał. - No dalej, teraz, teraz. No właśnie! - A po chwili: - Nie, Van, nie tak, bo cię dorwie, chcesz, żeby cię dorwał? Będziesz dla niego za szybki, jeśli pobiegiesz.

Jak zwykle Stevie nazywał bohaterów swych komputerowych gier tak samo jak wyimaginowanych przyjaciół. Ale co to była za gra, gdzie najwidoczniej coś zajmującego działo się na ekranie, a gracz nie miał co robić? Nie mogła być zbyt zabawna przy tak niewielkiej kontroli ze strony gracza, kiedy potrzebny był ledwie jeden ruch joystickiem na minutę. Mimo to Stevie zdawał się kompletnie pochłonięty. Step musiał zobaczyć ekran.

Wszedł do pokoju, zaszedł Stewego od tyłu i popatrzył na monitor. Znowu ta gra ze statkiem piratów, pomyślał. Nigdy nie trafiłem na te dyski.

- Cześć, tato, patrz, jak rozwalam tych facetów! - odezwał się Robbie.

Step zerknął w dół na Robbiego i obserwował, jak zderzają się dwa samochody, jako że Robbie dawał efektowny pokaz, w którym auta, przeleciawszy w powietrzu, rozbiły się o półki z książkami i odbijały później od wszystkiego w pobliżu.

- Wystarczy, wystarczy - rzekł Step. - Przez ciebie nie zechcę już wsiąść do samochodu! - Robbie śmiał się wniebogłosy.

Step popatrzył z powrotem na ekran komputera, lecz ten był pusty. Stevie wyłączył komputer i wstał z krzesła.

- Dlaczego wyłączyłeś? - zapytał Step.

- Pora do kościoła, no nie?

- Najwyższa! - krzyknęła DeAnne z sąsiedniego pokoju. - Miło by było, gdybyśmy choć raz się nie spóźnili i nie musieli paradować między rzędami ławek, niczym laureaci konkursu piękności podczas hymnu otwarcia.

Step pomógł dzieciakom zapakować się do samochodu i zapiał Zapa na przednim siedzeniu, podczas gdy DeAnne uporała się z przypięciem Robbiego i Betsy jednym pasem pośrodku tylnego siedzenia, tak by wraz ze Steviem mogła wpełznąć się obok i użyć pasów bocznych.

- To nie ulega wątpliwości - powiedziała DeAnne. - Powinnismy zacząć zabierać dwa samochody do kościoła.

- Przecież jakos sobie radzimy - rzekł Step.

- Szkoda, że nie siedzisz z tyłu - odparła DeAnne.

Step natychmiast wysiadł z samochodu i okrzyknął go, otworzył drzwi DeAnne.

- Och, Step, nie rób sceny tylko dlatego, że...

- Nie robie żadnej sceny - ty ja robisz, kochanie. Proszę, pozwól mi tu usiąść z dziećmi, a sama poprowadź. Może dzięki temu przychyli się do pomysłu, by brać do kościoła dwa samochody.

- Step, naprawdę nie czuje się jeszcze tak dobrze, by prowadzić. Nie upłynął nawet miesiąc.

- Sądziłem, że czujesz się już lepiej.

- Zazwyczaj. Prowadź. Nie powinnam była narzekać, teraz się przez to spóźnimy.

- Przykro mi - odparł Step. - Chciałem być tylko uprzejmy.

Mimo to nie spóźnili się i mieli dobrą ławkę z boku. Step śpiewał solo w chórze, a Robbie wygłaszał mowę w szkółce, dlatego była to dla nich pracowita niedziela. Kiedy wrócili do domu, dzieciaki domagały się jedzenia i Step przyrządzał obiad, podczas gdy DeAnne karmiła niemowlaka, co stanowiło dla niej potworne przeżycie, jako że Zap miał zwyczaj od czasu do czasu zwierac szczeki, odgryzając niemal sutek, a przynajmniej mówiła, że tak się wtedy czuje.

- Sądzi, że powinnas przejść na mieszankę - zasugerował Step. - Następny dzieciak może cię odtrącić, jeśli Zapowi uda się odpilnować końcówkę weza strażackiego.

- Czasami daje mu mieszankę, ale to jest na pewno dla niego lepsze i bardziej mu smakuje - rzekła DeAnne. - Zahartuje się.

- Mmm - mruknął Step. - Stwardnienia i obrzęki - bardzo sexy.

- Jeśli nie oduczy się tego, kiedy wyjdą mu zębki, Step, odstawie go od piersi - kategorycznie, mówię ci.

Jeśli nie oduczy się tego. Jeśli się nauczy. Jeśli się zmieni. Jeśli zacznie sypiać zgodnie z jakimś rozsądnym harmonogramem, zamiast spać osiemnast godzin, by później nie zamykać oczu przez dwadzieścia cztery. Jeśli ktoś wykombinuje, co znaczą te wszystkie sondy, próbki i pomiary, jakie wykonano w szpitalu. Jeśli ktoś nazwie to, co dolega Zapowi, byśmy mogli zacząć go leczyć - albo zaprzestac wszelkich starań. Cokolwiek okaże się właściwe.

Dzieci wpadły i pochłonęły paszteciki z tunczyka, które Step przygotował - przepis z ery kryzysu, na którym wychowała go matka. Dzieciaki chyba je lubiły, Robbie wtedy, gdy zezwolono mu je przykryć szesciuncjową warstwą keczupu.

Po posiłku dzieciaki ostatecznie udały się na drzemkę - albo by leżąc na łóżku, czytając, albo by wpatrywać się w sufit, jak w przypadku Steviego - a DeAnne wyszła przed dom, skąd powróciła z gazetą. Tymczasem Step usiadł i zaczął przebierać między dyskami porzucanymi wokół Atari, starając się znaleźć coś, co mogło przypominać gre o piratach. Jednak jego uwagę zaprzatła dyskietka z Lode Runnerem, która natychmiast włożył do stacji i zaczął grać. Była to zgrabna gierka w trybie znakowym, w której osmiopikselowa figurka gracza musiała biegać w kółko, zbierając wszystkie skarby na ekranie i uciekając jednocześnie przed czarnymi polykaczami. Sposób, w jaki skarby rozmieszczono w zmieniającym się krajobrazie, czynił z każdego poziomu nową układankę, przez co Step zapomniał o bożym świecie. To wspaniała gra, choć jest tak zwodniczo prosta. Żadnych dodatkowych gadżetów,

których ja używam w Hacker Snacku. Po prostu ze wszystkich stron rzetelna koncepcja, pozwalająca rozwijać się wciąż na nowo. Muszę brać z tego przykład.

Uświadomił sobie, że DeAnne stoi za jego plecami.

- Step - powiedziała. - Musisz przyjść i przeczytać ten artykuł w gazecie.

- Za moment - odparł.

- Nie możesz zatrzymać gry? - zapytała.

- No, skoro się pali - poddał się. Siegnął, by nacisnąć spację i przerwać grę, ale był zbyt wolny i jego bohater zginał.

- Och, przepraszam - powiedziała DeAnne. - Czy przeze mnie przegrales?

- Jeszcze mam osiem żyć - odparł Step. - Prawdziwie chrześcijańska gra. Mnóstwo szans na zmartwychwstanie. Lecz pedzę niczym lokomotywa, bo na końcu czeka mnie wniebowzięcie.

Nie uśmiechnęła się, nawet tym swoim ugrzecznionym uśmiechem, mówiąc: „Nie rozumiem, co w tym takiego śmiesznego, ale i tak cie Kocham”. Udał się za nią do kuchni i usiadł przy stole. Od razu jego uwagę przykuł nagłówek, przeczytał więc całą historię - szybko, nie pomijając jednak niczego. Nie przebrnąłby przez sto tysięcy hiszpańskojęzycznych gazet w czasie zbierania materiałów do swojej dysertacji, bez umiejętności błyskawicznego oddestylowania esencji z artykułu w prasie.

- To wstrząsająca rzecz - ocenił. - Wiem, że już uważasz na dzieci, zupełnie jak ja, lecz sądzę, że nie będziemy pozwalać im biegać choćby po podwórku za domem bez opieki.

- Absolutna racja - przytaknęła DeAnne. - Ale, Step, niczego nie zauważyłeś?

- Niby czego - zdziwił się.

- Pomyślisz, że zwariowałam.

- Być może - nie zaprzeczył. Lecz jego rubaszny ton był teraz nie na miejscu; rozpoznał po minie DeAnne, że jest naprawdę przestraszona. Bez wątpienia sądziła, że to, co obwieści teraz Stepowi, kaze mu uznać ją za szaloną. - Wal śmiało.

- Miałam nadzieję, że sam się połapiesz. Spójrz na zdjęcia zaginionych chłopców, Step. A potem na nazwiska.

Spojrzał.

- Czy znamy ich rodziny albo coś w tym stylu? - Brzmiało to absurdalnie: gdyby ktoś z kregu ich znajomych stracił dziecko, wiedzieliby o tym znacznie wcześniej.

DeAnne wyłożyła na blat stołu listę imion. Napisana odrecznie. Step porównał ją z nazwiskami opisującymi zdjęcia, gdyż zdawało się, że tego właśnie oczekuje. Większość imion z gazety widniała na liście w identycznej bądź podobnej formie. Scott Wilson pasował do „Scotty’ego” z listy. „David” pasował do Davida Purdoma. „Roddy” musiał być Roddym Markerem. „Jack” mógł być zdrobnieniem od Jonathan Lee.

- Czy w artykule pisza, ze ten Jonathan Lee przezywany jest Jack? - spytal Step.

- Nie - odparla DeAnne. - Mam nadzieje, ze nie.

- W takim razie dlaczego napisalas te liste?

- Step, ja nie napisalam tej listy dzisiaj. Napisalam ja w czerwcu.

Step odczekal chwile, az to do niego dotrze. Wreszcie sie polapal.

- To jest lista wymaginowanych przyjaciól Steviego. Przypominam sobie Jacka i Scotty'ego.

- Jest juz tego wiecej - powiedziala. - Od tamtego czasu slyszalam inne imiona. Na pewno slyszalam, jak rozmawial z Vanem i Peterem, i oto masz, spojrz!

Step spojrzal i okazalo sie, ze zamieszczono w gazecie zdjecia Vana Rosewooda i Petera Kemeny.

- Wielkie nieba - mruknal. - To naprawde niesamowite.

- Nic wiecej nie powiesz? - zapytala. - Po prostu niesamowite?

- Boje sie jak cholera - odparl Step. - Lecz zazwyczaj wolisz, zebym sie tak nie wyrazal. Co by ten seryjny morderca mógł miec wspólnego z naszym synem?

- Nie wiem. Nic. Nie mógł.

- Moze Stevie czyta gazete i z niej podchwytuje nazwiska czy cos takiego?

- Lecz trzech chlopców zniklo jeszcze przed naszym przyjazdem do Steuben. Nie mogliśmy dotad nigdzie o tym czytac. Ten artykul pierwszy zamieszcza kompletna liste zaginionych. Pomysl o tym, Step. Stevie wpadl niemal na te sama liste, która opracowali detektywi, a nie widze sposobu, jak by mial tego dokonac. Zadnego sensownego sposobu.

Dlonie Stepa drzaly, jakby zmarzniecie. Bylo mu zimno.

- To prawie taka sama lista - powiedzial. - Jesli Jonathan naprawde jest Jackiem, w takim razie ten ostatni, Alexander Booth...

- Nigdy nie wspominal o Alu badz Aleksie - przerwala DeAnne.

- Ale rano, gdy obserwowalem go grajacego na komputerze, uslyszalem cos jakby „No dalej, Sandy”. Sandy to takze zdrobnienie od Alexandra.

DeAnne ukryla twarz w dloniach.

- Juz sam artykul mnie przerazil, Step. A tu jeszcze na dodatek to. Co mamy z tym robic?

- Nie wiem - odrzekl Step. - Nawet nie wiem, co to znaczy.

- Pamietasz te plyte, która przyszla poczta? Te anonimowa? - zapytala DeAnne. - Piosenke o tym, ze

cały czas ktoś będzie cię obserwował?

Już dawno o tym zapomniał. Wciąż puszczano ją w radiu, lecz wszystko, co zdarzyło się później, zepchnęło tamtą sprawę w cień. Teraz jednakże nabrała prawdziwie złowieszczonego posmaku.

- Naprawdę sędzisz...

- A jeśli ten... seryjny morderca...

- Ma na nas oko? - dokończył Step.

Przez moment wydawało się, że DeAnne straci kontrolę nad sobą, wydawała jakieś piskliwe okrzyki i kryła twarz w dłoniach. Nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z zaistniałą sytuacją; położyła jej rękę na plecach, jakby chciał ją podtrzymać, jakby się przewracała, a on nie dawał jej upaść.

- Och, Step - wyszeptala. - Och, Step, jestem taka przerażona. Kim on może być? A jeśli seryjny morderca... rozmawiał ze Steviem?

- To niemożliwe - zaprzeczył Step. - Sama czytałaś artykuł. Pisz, że ten seryjny morderca dlatego jest tak niebezpieczny, że nigdy nie pozostawia śladów. Nawet nie są pewni, czy istnieje jakiś seryjny morderca. Ponieważ nie odnaleziono ani jednego ciała. Tak właśnie ci chłopcy trafiają na listę - nie znaleziono ich ciał.

- Lecz może on... Nie, Stevie by nam powiedział.

- Możemy go zapytać. Czy ktoś już z nim rozmawiał?

- Nie. Jutro idzie do szkoły. Wszędzie będzie się mówić o seryjnym zabójcy. Bada ostrzegac wszystkie dzieci przed rozmawianiem z nieznajomymi. Połącz to z nami, jeśli go wypytamy, czy ktoś z nim rozmawiał. Ma już dość kłopotów, po co jego rodzice mają go jeszcze mieszać w tę sprawę?

- Ale on już jest wmieszany - rzekł Step.

- Może być wmieszany. To wygląda na zbieg okoliczności.

- Van i Sandy nie są aż tak popularnymi imionami - zauważył Step.

- No dobrze, ale Sandy to nie Alexander, a Jack to nie Jonathan.

- Zatem cóż mamy robić? Zadzwoń na policję? O, tak, oficerze, mamy dla was ślad w sprawie seryjnego mordercy. Nasz syn, no wie pan, on miewa halucynacje na temat wymyślonych przyjaciół, a tak się składa, że mają te same imiona co zaginięci chłopcy. Co? Ach, nie ma pan czasu, by o tym mówić?

- Masz rację - zgodziła się DeAnne. - Pomyśla, że nam odbiło. - Zaczęła mietosić listę, jej zwykły nawyk, kiedy była zdenerwowana: zwinęła wówczas i darła papier, dopóki nie przypominał konfetti. Step przytrzymał jej dłoń.

- Nie rwij tej listy - napomniął. - Napisałaś ją, zanim ukazał się artykuł.

- Tak, ale nie mam na to żadnych świadków.

- Wysłałaś przecież kopie dr Weeks?

- Tak - przyznała. - Tak, to by udowodniło, że mieliśmy przynajmniej kilka imion wcześniej. Poza tym przysłano nam te płyty.

- Sądze, że sugerujesz, byśmy zadzwonili na policje.

- Do kogoś musimy zadzwonić. Musimy coś zrobić. Nie można odkryć istnienia jakiegoś ognia łączącego własnego syna z seryjnym mordercą i założyć ręce na plecach, mówiąc: ach, jakie to interesujące.

Step zerkał powtórnie do gazety.

- A więc jak myślisz, łatwo się skontaktować z tym Dougiem Douglasem?

Wkrótce się dowiedzieli. DeAnne odszukała numer telefonu komisariatu policji i Step zadzwonił. Poprosił na centrali, by połączono go z detektywem Douglasem.

- Jest nieobecny w niedzielę, ale spróbuje go złapać.

Po krótkim oczekiwaniu mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Czy pan Douglas? - zapytał Step.

- Nie - odrzekł mężczyzna.

- Czy zastałem go w domu? Mogę z nim porozmawiać?

- A o co chodzi?

Step przykrył słuchawkę i szepnął do DeAnne:

- Zdaje się, że jest - następnie dodał do słuchawki: - Prawdopodobnie to nic ważnego. To coś, czego sami nie możemy pojąć. Lecz może on się w tym polapie.

- Czy może wyrazić się pan jasniej? - poprosił mężczyzna.

- Chodzi o historię w porannej gazecie.

- Artykuł o seryjnym mordercy?

- Właśnie.

- Wyznaczono mnie, bym zbierał wszelkie raporty i informacje, zatem trafiłście na właściwego człowieka.

- Lecz my nie mamy zamiaru składać żadnego raportu. A to, co mamy, może nie okazać się informacją. Poza tym - pan wybaczy - nie mógłbym porozmawiać osobiście z panem Douglasem? To zajmie nie więcej niż dwie minuty, potem zostawię go w spokoju.

- Musi pan zrozumiec, tylko dzisiaj otrzymalismy ponad dwiescie telefonów na ten temat i gdyby pan Douglas miał je wszystkie odbierac osobiscie...

- W takim razie w porzadku - przerwal Step. - Nie mamy zamiaru sprawiac klopotu. Prosze mi tylko pozwolic zostawic moje nazwisko i numer telefonu, zadzwoni do mnie, kiedy znajdzie na to czas.

- Czy nie byloby latwiej zostawic u mnie informacje?

Tak, byloby, pomyslal Step. Lecz jestes tam po to, zeby odnotowywac wszystkie dziwaczne telefony oraz szczere, lecz nie zwiazane z tematem rozmowy i odsiewac je, przy czym z pewnoscia nasz telefon zakwalifikujesz do jednej z powyzzszych kategorii, tak wiec nie potraktujesz nas powaznie. Nigdy nawet sie nie dowiemy, czy imiona naprawde pasuja albo - co wazniejsze - czy mylilismy sie i mozemy odetchnac z ulga.

- Nie - rzekl Step. - Oto mój numer. Niech pan go zapisze, jesli pan zechce.

Meczyzna zapisal go i odczytal na glos. Step pozegnal sie i odlozyl sluchawke.

- Slepý zaulek, nie? - odezwala sie DeAnne.

- Sam nie wiem - odparl Step. - Facet chcial, zebym powiedzial jemu, ale nie mialem ochoty dolaczyc do jego listy zbzikowanych rozmówców. Moge sie zalozyc, ze fakt, iz nie chcialem rozmawiac z nikim prócz Douglasa, albo umieszcza mnie na ich liscie powaznych rozmówców, albo Douglas zadzwoni do mnie osobiscie. W obu przypadkach ktos z nami porozmawia.

Zadzwonil telefon.

DeAnne zasmiala sie nerwowo.

Step podniósł sluchawke.

- Czy to Stephen Fletcher? - zapytal meski glos o miekkim akcencie.

- Tak - odparl Step.

- Tu Doug Douglas, departament policji w Steuben. Co pan chcial mi powiedziec?

Step mruknal do DeAnne, ze to on. Potem powiedzial do Douglasa:

- Panie Douglas, to raczej zakrawa na wariactwo i mozliwe, ze skonczymy na panskiej liscie niedorzecznych telefonów, lecz mamy tu cos, co musimy panu powiedziec, bo spedzaloby nam to sen z powiek. Jesli da mi pan dwie minuty, spróbuje wyjasnic, o co mi chodzi, a potem moze mnie pan nazwac swirem, a ja spokojnie odloze sluchawke.

- Masz dwie minuty, synu - rzekl Douglas - Do dzieła.

- Mamy tu liste, na której znajduja sie cztery imiona. Jack, Scotty, David i Roddy.

- Mhm.

- Te liste napisano na poczatku czerwca. Od tamtego czasu, jeszcze zanim ujrzelismy ten artykul w

gazecie, dodaliśmy do niej jeszcze trzy. Peter, Van i Sandy.

- Zatem twierdzi pan, że jest jasnowidzem? - zapytał Douglas. Zmeczenie w jego głosie powiedziało Stepowi, co detektyw myśli na temat parapsychologii.

- Nie - zaprzeczył Step. - Nic z tych rzeczy. Mamy te imiona od kogoś innego, zapisane w całkowicie odmiennym celu. Moja wypowiedź może potwierdzić osoba postronna. Ta sama lista jest w posiadaniu jednego z lekarzy w mieście, który otrzymał ją także z całkowicie niezwiązanego ze sprawą powodu.

- Mhm.

- Także w czerwcu przysłano nam pocztą płytę analogową, anonimowo, lecz z pieczęcią poczty w Steuben. Utwór, który gra grupa rockowa The Police, nosi tytuł „Every Breath You Take”. Zawiera kawałek o tym, że wykonawca piosenki wciąż kogoś obserwuje. Wywnioskowaliśmy, że ktoś chce nas nastraszyć lub za coś ukarać, nie sędziliśmy przy tym, by policja tym się zajęła, a gdyby już, to co by mogła poradzić? Więc nie donieśliśmy o tym. Lecz teraz, gdy ukazał się ten artykuł, uważamy, że może fakt, iż zanotowaliśmy te imiona, wiąże się jakos z osobą, która wysłała nam płytę. A może ta osoba powiązana jest z seryjnym mordercą. Może więc...

- Jest pan trochę za sprytny w rozmowie ze mną, panie Fletcher. Ciągłe unikanie pan wyjaśnień, dlaczego sporządzono te listy.

- Nie próbuję niczego zatajać, chcę po prostu najpierw poinformować o rzeczach poważnych, zanim przejdę do części nieprawdopodobnej, nawet dla nas. To znaczy chcę, żeby potraktował pan to serio.

- Jak dotąd słucham uważnie, oczekuję też, że pan zacznie mówić poważnie.

- Tak. Czy może pan - może pan na początku powiedzieć, czy nasza lista się zgadza? To znaczy, czy Jonathan Lee przezywany był kiedykolwiek „Jack”? Czy Alexander Booth to inaczej „Sandy”?

- Panie Fletcher, jeszcze nie odłożyłem słuchawki. Czy to nie jest odpowiedź na pana pytanie?

- Tak, to prawda - Step wziął głęboki oddech. - Panie Douglas, te listy napisała moja żona.

- Jest jasnowidzem?

- Nie, jest matka. Ja jestem ojcem. Druga osoba, która otrzymała te listy, jest psychiatrą. Był psychiatrą naszego syna. To nasz syn jest autorem tej listy.

Douglas wypuścił strumień powietrza prosto do słuchawki. Przyszło na myśl Stepowi, że najprawdopodobniej pali.

- No, no, to ciekawe. - Po tych słowach nastąpiła pauza, jakby Douglas namyslał się. Nareszcie przemówił. - Czy wasz syn z wami mieszka?

- Oczywiście - odpowiedział Step.

- Czy ma pracę? To znaczy, czy pracuje teraz, czy też wyszedł do pracy?

- Panie Douglas, nasz syn nigdzie nie pracuje i mieszka z nami. Na miłość boską.

- Panie Fletcher, ile lat ma pana syn?

- W czerwcu skończył osiem.

Po drugiej stronie ławy rozległ się głośny, skrzypiący dźwięk. Step pomyślał: wyprostował się na krzesle, które skrzypi.

- Osiem lat?

- Tak, proszę pana.

- Jezu Chryste - powiedział Douglas.

- No właśnie.

- To znaczy, wspominał pan o psychiatrze leczącym pana syna i że syn sporządził te listy - sądziłem, że w pana opinii syn mógłby być seryjnym mordercą. Kurcze, kazałem już moim chłopcom sprawdzić pana adres i posłałem trzy wozy w stronę pana domu, a pan mi mówi, że to osmioletni chłopiec?

- Tak! - powiedział Step. Skoczył na równe nogi, w czasie rozmowy zaczął spacerować nerwowo.

- Sam mam dopiero trzydzieści dwa lata, do krocet! Niech pan tu nie wysyła gromady radiowozów, nigdzie nie wyjeżdżamy! Myślałem o swoim synu jako o prawdopodobnej ofierze, że może ten facet nas śledzi, naszego syna, próbuje nas zastraszyć albo nawet zrobić, a pan wysyła samochody policyjne, by go zaarrestować?

- Och, Step! - krzyknęła DeAnne. - To szalenstwo! Czy oni naprawdę...

Douglas znów zaczął mówić; Step podniósł rękę, uciszając DeAnne, by mógł słyszeć detektywa.

- ... Już je zawróciłem, bez obaw - Douglas zachichotał. - Widzi pan, łatwo się tu podniecamy. SBI chce nas odsunąć od śledztwa i czujemy coś, jakby oddech tygrysa na plecach. Ale nie martwcie się, już odwołałem ludzi. Mimo to chciałbym wpasć do was i pogadać. Czy to możliwe?

- Bedziemy w domu całe popołudnie - rzekł Step.

- Dajcie mi więc jakieś trzydzieści minut.

DeAnne natychmiast zaczęła się martwić, co będzie, kiedy dzieciaki po przebudzeniu zobaczą policjanta w domu.

- To detektyw - powiedział Step. - Będzie w garniturze.

- A one będą w pokoju dziennym i nie ma sposobu, by zamknąć te drzwi, żeby nie słyszały.

- Zatem weźmiemy go do sypialni i zamkniemy drzwi.

- Z tym całym balaganem, jaki tam panuje?

- Zrzuć więc na łóżko jakiś koc - zaproponował Step.

- Ciebie to rzeczywiście nie obchodzi, no nie?

- Naprawdę nie wierze, by wygląd naszego pokoju liczył się choć tyle, co pierdniecie wróbla w czasie huraganu, w porównaniu z tym, o czym się tu będzie dyskutować.

- To twoja filozofia. Moja brzmi tak, że nie chce, by pomyślał, iż natknął się na kolejną upadłą rodzinę, która nie dba o to, w jakich warunkach żyje.

- Ale my naprawdę nie dbamy, bo w przeciwnym razie nasza sypialnia byłaby już posprzątana - rzekł Step złośliwie. Lecz podał za nią do sypialni i przyłączył się do pośpiesznego porządkowania. Udało im się nawet rozłożyć dwa składane krzesła, kiedy rozległ się dzwonek. Upłynęło dopiero piętnaście minut.

- Może to nie on - powiedziała DeAnne.

Był to jednak Douglas, stał na werandzie i zapalał papierosa. Po wymianie zwyczajowych grzeczności, ale przed zaproszeniem go do środka, Step przelknął ślinę i powiedział:

- Proszę nam wybaczyć, ale w środku nie palimy.

Upłynęło kilka chwil, nim Douglas uzmysłowił sobie, że to naprawdę znaczy, iż ma na to jakos zareagować.

- Twierdzicie zatem, że nie macie żadnych gości, którzy palą?

- Nawet nie mamy popielniczki - stwierdził Step. - Poza tym dopiero co urodziło nam się dziecko, a to oznacza, że po prostu nie możemy mieć dymu w mieszkaniu.

- A niech mnie! Przeciwnicy palenia w tytoniowym mieście. Mój ojciec całe życie pracował w fabryce papierosów. Do czego zmierza Karolina Północna?

- Gdy tylko ten się dopali - powiedział Step - będziemy zaszczytzeni mogąc powitać pana u siebie.

Douglas zagwizdał, rzucił papierosa i rozdeptał go obcasem.

- Bez obrazy - rzekł.

- Nic się nie stało - odparł Step. - I vice versa, mam nadzieję.

Niezbyt szczęśliwy początek rozmowy, pomyślał Step. A skoro dzieci wciąż spały, a przynajmniej zachowywały się cicho, DeAnne usiadła naprzeciwko Douglasa w pokoju dziennym, podczas gdy Step poszedł zamknąć drzwi do sypialni dzieci. Kiedy wrócił, rozmowa toczyła się już najwyraźniej na właściwy temat, bo DeAnne pokazywała mu listę.

- No tak, ale wiecie, to mogło zostać napisane w każdej chwili - powiedział Douglas.

- Tak czy inaczej to żaden dowód - przyznał Step. - No bo z jakiej racji? Ale jeśli zada pan potwierdzenia, swego czasu psychiatra Steviego, dr Alice Weeks, otrzymała kopie tej listy, która DeAnne wreczyła jej w czerwcu. Poza tym ma własną listę pozostałych imion.

- Rozmyślnie wstrzymaliśmy się z wydrukowaniem zdrobnień - rzekł Douglas. - Postępujemy tak między

innymi, by móc odróżnić błagę od autentycznej informacji. Na przykład ktoś „pamięta”, że widział ciagnietego gdzieś małego chłopca i słyszał głos go ponaglący „No dalej, Alex”, tyle tylko że my wiemy, iż gdyby zapytać małego Alexandra Bootha o imię, odpowiedziałby „Sandy”. Tak więc to błaga.

- Dlatego potraktował nas pan serio - powiedział Step.

- Jack rozstrzygnął - mówił Douglas. - Panska żona opowiedziała mi, kiedy pana nie było, że to są imiona, którymi wasz syn ochrzcił swych wyimaginowanych przyjaciół.

- To prawda.

- Dość zadziwiające - pokiwał głową Douglas. - A na dodatek ta czterdziestkapiątka, ta płyta. Przysłana pocztą. „Every Breath You Take”.

- Niewiele myśleliśmy o tym później. Az do tego artykułu.

- Nic dziwnego.

- Ale uważamy, że ta anonimowa przesyłka miała na celu wystraszenie nas.

- Och, co do tego nie ma dwóch zdań - rzekł Douglas. - Kłopot jedynie w tym, że to nam niewiele pomaga.

- Nie?

- Niemal na pewno nie dostalście tej płyty od seryjnego mordercy.

- Och - odparł Step. - Chyba powinno nam ulżyć.

- Ale skąd ta pewność - zapytała DeAnne - skoro pan nie wie, kto jest tym zabójcą?

- Mamy profile psychologiczne. Niektórzy faceci próbują przekomarzać się z gliniarzami. Syn Sama, na przykład. Wyzywają nas. Chcą, by ich złapano. Lecz są też typy pokroju Teda Bundy'ego. Sprytni, wyrachowani. Wszystko, czego pragną, to nie dają się złapać. Bundy nigdy nie wysyłał listów do prasy. Nigdy nie ujawniał, jakie ma karty w talii. Na przykład sypiał z dziewczyną w tamtych czasach, kiedy mordował te kobiety, a ona nigdy się nie domyśliła. Wiedziała, że obrobił parę sklepów i podobne sprawy, lecz o zabójstwach nie miała pojęcia. Ten seryjny morderca - jeśli istnieje takowy, bo przecież nie możemy tego jeszcze dowiedzieć - przypomina Bundy'ego. Jest sprytny i nie chce, by go złapano. Obawia się, by go nie przyskrzyniono, a uczucie strachu jest mu niemiłe. Nie chodzi mu o dreszczyk emocji. Chodzi mu o... coś innego.

- O co? - zapytał Step.

- Nie jestem tu po to, by rozwodzić się na temat seryjnych morderców - odrzekł Douglas. - To by zrujnowało wasz sen na jakiś czas. Tak jak mój, do cholery. Przepraszam za słownictwo, droga pani.

- Zastanawia mnie tylko, skąd pan to wszystko o nim wie - powiedział Step.

- Stąd to wiemy, gdyż nie odnaleziono ciała. Ani śladu, ani motywu. Jesliby należał do tych gadatliwych, po siedmiu zniknięciach już by się odezwał. Szczególnie po ukazaniu się tego artykułu. Dlatego właśnie postanowiliśmy poinformować o tym prasę - sędziliśmy, że to go wywabi z kryjówek. Lecz to ten drugi

typ. Jeśli w ogóle istnieje. To typ nie znoszący, gdy uwaga społeczeństwa koncentruje się na nim. Zatem teraz, po wydrukowaniu tego artykułu, spodziewam się, że przywaruje na pewien czas. Uderzał co dwa miesiące, lecz zdaje mi się, że w tym roku już się nie odważy. To zależy...

- Od czego? - wpadł mu w słowo Step.

- Od tego, jak jest silne to coś, co każe mu zabijać.

- Nie cierpię tego - odezwała się DeAnne - ponieważ ma to coś wspólnego z moim synem.

- To nic pewnego - rzekł Douglas. - Chciałbym poznać waszego chłopaka, jeśli wolno.

- Nie chce, żeby go przesłuchiowano - oświadczył Step od razu.

- O, nie. To nie w moim stylu. To chłopiec. Na dodatek przesładują go kłopoty. Sam mam dzieci. Po prostu muszę... wychwycić jakiś sens w tym jego wymyślaniu imion, sami rozumiecie. A kiedy go poznam, poznam jego osobowość, szybciej będę wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

- Naprawdę, raczej nie - zaproponowała DeAnne. - Musielibyśmy powiedzieć mu, że jest pan policjantem, a wtedy on...

- Więc nie wzięlibyście pod uwagę pomysłu, by powiedzieć mu, że jestem wujkiem spoza miasta?

- On zna wszystkich swoich wujków - rzekł Step. - Poza tym nie jest głupi.

- Dlaczego mi nie zaufacie? - zapytał Douglas.

- Dlaczego nie może pan po prostu... zapoznać się z kopertą, w której przyszła płyta? Nadal ją mamy, prócz tego okładkę płyty. Można by zdjąć odciski palców czy coś takiego.

- Wiecie co? - spytał Douglas. - Jak wam się zdaje, kto mógł ją przysłać?

DeAnne i Step zawahali się.

- No cóż - rzekł Step. - To tylko spekulacje. Nie chcemy narobić kłopotów jakiejś niewinnej osobie.

- Widzicie? Już teraz chodzą wam po głowie pewni ludzie, którzy mogliby wysłać te płyty. Macie dość osób na myśli, by sądzić, że większość z nich jest niewinna, lecz jedna prawdopodobnie wysłała płytę. Zgadza się?

- Lecz ten, kto to zrobił... - zaczął Step.

- Ten, kto to zrobił, nie jest seryjnym mordercą. To się samo rzuca w oczy. Jeżeli jest coś, czego się nauczyłem o seryjnych mordercach, to to, że nie zmieniają swego wzorca. Kiedy już go określa, nie zmieniają go. A nawet ci, którym się wydaje, że zmieniają go za każdym razem, zmieniają zaledwie głupie, nic nie znaczące detale. Wzorzec podstawowy pozostaje absolutnie taki sam, gdyż stanowi część rytuału, rozumiecie? Jeśli nie zrobiliby tego w ten sam sposób, nie daloby im to... tego, co im daje. Ale sporządźcie listę znajomych, którzy mogliby wysłać wam wiadomość z pogrózkami. Nie będę ich wypytywał. Po prostu wykorzystam tę listę jako materiał porównawczy. Jeżeli wymienione osoby pojawiają się na innych listach, które mamy, wtedy podejmiemy odpowiednie kroki, tak by sądziły, że przesłuchujemy je z powodu umieszczenia na innej liście, nie na waszej. A jeśli ich nazwiska nie widnieją

na żadnym innym wykazie, zostawimy je w spokoju. Czy uczciwie stawiam sprawę?

- Bez zarzutu - odparła DeAnne.

- A co do waszego nadawcy płyt, cóż, może pewnego dnia zostanie morderca, lecz jeśli ciągle jest na etapie anonimowych grózb, to daleka przed nim droga. Zło wciąż pelźnie w kierunku jego serca. Nie ogarnęło go jeszcze. Innymi słowami to wciąż cywilizowany człowiek. Może to zło trzymać w ryzach. Może kontrolować je aż do dnia śmierci. Nikt się nigdy nie dowie. Jego jedynym uczynkiem, najgorszym, jakiego się dopuścił, będzie wysłanie pocztą płyty analogowej z nagraniem The Police. Miejmy nadzieję, że tak to się właśnie potoczy. Tak zwykle się dzieje.

- Zwykle? To jest więcej płyt analogowych, które rozsyła się po domach?

- Mnóstwo anonimowych wiadomości. Więcej, niż można sobie wyobrazić. Powiedziałbym, że większość ludzi otrzymuje kilka w ciągu życia, a może też większość wysyła coś nieco. Wypełnia cię taką wściekłością, chcesz skrzywdzić kogoś, tylko brakuje ci trochę nienawiści, by otruc lub podpalić dom. Wysyłasz zatem list. Wysypujesz smieci na trawnik. Dzwonisz przez telefon, a kiedy go odbierają, odwieszasz słuchawkę - raz, drugi, trzeci, aż zaczynasz się obawiać, że być może telefon jest na podsłuchu i przestajesz. Czy już wcześniej otrzymaliście podobny dziwny telefon?

- Raz - odpowiedziała DeAnne.

- I ja też - dodał Step.

- Tak się dzieje zawsze. Nie ma na świecie dość policjantów, by zbadać każdą sprawę. A przeważnie chodzi o to, że ktoś jest na was zły. Może nawet najlepszy przyjaciel, tylko brak mu śmiałości na otwartą konfrontację, więc posyła wam płytę i ból mija, jak reka odjął, i na tym sprawa się kończy.

- Co za ulga - zauważyła DeAnne.

- Bez przesady, powinniście odczuwać ulgę. Lecz prócz tego zawsze się upewniamy, kto stoi za drzwiami, nim je uchylicie, i kto jest adresatem przesyłki, nim ją otworzycie. Ponieważ raz na dziesięć tysięcy razy facet nie żartuje.

- Jedną ręką pociechę daje - rzekł Step - a drugą ją zabiera.

- Cóż mogę powiedzieć? - zakończył wywód Douglas. - Umieram z braku papierosa, a tylko dlatego tu przyjechałem, by dowiedzieć się, skąd macie te imiona, a nie pozwalacie mi spotkać się z waszym synem.

- Sądziłismy, że to pan nam powie, skąd chłopiec wytrzasnął imiona tych zaginionych - powiedział Step.

- Trudno, nie będę go wzywał oficjalnie. Ale to wam powiem, ludzie, że każdy chłopiec w mieście jest teraz w niebezpieczeństwie. Ten zabójca może przycząć się na jakiś czas, lecz wkrótce wróci i cokolwiek zrobi, piekielnie ciężko będzie go pochwytać. Ilu jeszcze zamorduje, nim powinie mu się noga? Mam nadzieję, że nie waszego, lecz na pewno czyjś zabije.

- Lecz Stevie nie może przecież wiedzieć... - zaczął Step.

- Co ma pan nadzieję wyciągnąć z niego? - spytała DeAnne.

- Na pewno nie nazwisko mordercy, spokojna głowa - odpowiedział Douglas. - W ogóle nic konkretnego. Po prostu chce wyczuć, jaki on naprawdę jest. Jaka osobowość sobą przedstawia.

- To dobre dziecko - powiedział Step.

- Nie wątpię - odparł Douglas.

Step rozesmiał się.

- Załóżę się, że wciąż słyszy pan to samo od rodziców dealerów narkotyków, gwałcicieli i przerniewierców.

- To albo: „Zawsze mu mówiłam, że skończy w więzieniu”.

Step spojrział na DeAnne, ona - na niego.

- Skoro już tak daleko zaszliśmy - powiedziała.

- Pozwóliliśmy mu rozmawiać z żalnym lapiduchem - rzekł Step. - Przez dwa miesiące. Cóż pan Douglas może zrobić gorszego niż dr Weeks?

- Pójdę po niego - zaofiarowała się DeAnne.

Kiedy znikła, Step musiał zadać pytanie:

- Co tak na serio oni z tego mają? Faceci jak... ten, którego szukacie?

- Chorobliwa ciekawość? - Douglas podniósł brew.

- Tak - zgodził się Step. - Lecz ja jestem także historykiem. Studiuję ludzką naturę, a ten facet w jakiś sposób też jest ludzki, prawda?

- Nie - powiedział Douglas. - Faceci jego pokroju rodzą się ludzcy, lecz w ich wnętrzu znajduje się pusta przestrzeń, głodna przestrzeń, zaczynająca wysysać z nich człowieczeństwo, przyzwoitość, miłość i dobroć. A kiedy już znajduje się na tym samym poziomie, co poszukiwany przez nas zabójca, nic w nich nie pozostaje, prócz tej dziury. Dlatego facet spędza każdą godzinę, usiłując wypełnić tę dziurę, odnaleźć coś, co by zaspokoilo to pragnienie, ten głód, na próżno. Po prostu próbuje raz za razem, lecz zawsze czuje niedosyt. Jeśli facetowi zostało nieco przyzwoitości, rąbek człowieczeństwa ukryty gdzieś w cieniu, zostawi za sobą trop, postąpi jak Syn Sama i będzie drażnił się z policją, krzyczał o pomoc. Uwolnijcie mnie od tego głodu, co zżera mnie żywcem. Ale w najgorszym wypadku nie pozostaje nic. Jak u nas - nic.

- No tak, ale jeśli nie ma niczego, człowieczeństwa, w takim razie, czy ludzie z jego otoczenia niczego nie zauważają?

- Mogą zauważyć. Może być doskonałym sukkinsynem, szczującym psy na każdego zbliżającego się do jego posiadłości. Lecz może być też najmiłszym, najnormalniej w świecie wyglądającym facetem. Tego się nigdy nie wie. To może być twój dentysta. Chłopiec pakujący zakupy w sklepie. Pastor. On każdego zwiedzi.

- Jak to? - zapytał Step. - Czy ludzie nie przejrzą jego kłamstw?

- Tylko że on nie kłamie - tłumaczył dalej Douglas. - Tu znów kłania się przykład Bundy'ego. On naprawdę wierzy w swoją niewinność. Ponieważ to nie on jest sprawcą, tylko zło w nim zakorzenione. Wie, że ono tam jest, lecz to nie on, dlatego nie ma nawet wyrzutów sumienia, gdyż zdaje sobie sprawę, że sam nigdy nie byłby autorem tych okropnych czynków.

- Zatem to może być każdy i nawet sam o tym nie wie?

- No nie, sam to on wie. Mimo że wmawia sobie, że sam by tego nigdy nie zrobił, w gruncie rzeczy stara się ze wszystkich sił chronić w sobie tę drugą część. By nikt go nie mógł złapać. Nie, on wie. Gdyby nie wiedział, co robi, gdyby naprawdę był szalony, znaleźlibyśmy ciała.

Usłyszeli słowa DeAnne, kiedy zbliżała się do pokoju.

- To nic specjalnie ważnego - mówiła. - On po prostu chce z tobą porozmawiać.

Stevie wszedł do pokoju, wyglądał na zasnętego. Zatem ostatecznie uciął sobie drzemkę, pomyślał Step. Douglas, nie wstając, wyciągnął dłoń. Ponieważ siedział, jego twarz znajdowała się mniej więcej na tej samej wysokości co twarz Steviego.

- Jestem Doug Douglas, synku - powiedział. - Nie uściskasz mi ręki?

Stevie zbliżył się, chwycił wielkie łapsko Douglasa i potrząsnął nim uroczysto.

- Nie wiem, co ci mama o mnie powiedziała, ale jestem policjantem.

Stevie zerknął na jego garnitur.

- To prawda, nie noszę munduru. Jestem detektywem, zatem jeśli twój tato przekroczy kiedykolwiek dozwoloną prędkość, nie mrugnie nawet okiem, ponieważ jeźdźnia to nie moja działka.

Douglas przerwał, najwidoczniej oczekując od Steviego pytania, jaka jest jego działka. Oczywiście Stevie nie otworzył ust.

- Chodzi o to - podjął Douglas - że ostatnio pojawiła się w Steuben zła osoba, porywająca dzieci. Czy wiesz, co to znaczy porwanie?

Stevie przytaknął skinieniem.

- Tak czy siak jutro wiele usłyszysz w szkole o tym facecie. W której jesteś klasie?

- Trzeciej.

- Tak, usłyszysz mnóstwo. Wasi nauczyciele wam powiedzą, gliniarze podobni do mnie przyjdą do szkoły i też wam powiedzą - trzymajcie się z dala od nieznajomych. Jeśli ktoś was schwyta, drzyjcie się na całe gardło.

- Już go tego nauczyliśmy - wtraciła DeAnne. - On przestrzega tych reguł.

- Cóż, miło mi to słyszeć - powiedział Douglas. - Czy zawsze przestrzegasz tych reguł?

Stevie skinął głową.

- A gdyby tak ktos chciał, żebyś poszedł z nim gdzieś, a na twoje „nie” tak by powiedział: „W porządku, ale nigdy nie mów nikomu, że cie prosilem”. Co byś wtedy zrobił?

- Powiedziałbym mamie i tacie.

- A gdyby ci groził, że jeśli się wygadasz, skrzywdzi cie?

- I tak bym powiedział.

- Ten chłopiec jest niezłe wyszkolony - pochwalił Douglas. - Stevie, słyszałem, że masz kilku fajnych przyjaciół.

DeAnne stezala, a Step powiedział:

- Panie Douglas!

- No dobrze, dobrze, Stevie nie ma nic przeciwko rozmawianiu o swych przyjaciółach. A może się myle, Stevie?

Stevie wzruszył ramionami. A właściwie jednym ramieniem.

- Przecież nie zamierzam pytać o nic trudnego. Chce, żebyś powiedział mi tylko jedną rzecz. Który z nich powiedział ci ich imiona?

- Jack - odparł Stevie.

- Jack - powtórzył Douglas. - No dobrze, czy to jeden z twoich przyjaciół, czy masz na myśli jakiegoś innego Jacka?

- Jest jednym z nich.

- Tak więc powiedział ci, jak ma na imię.

Stevie kiwnął głową.

- I imiona pozostałych?

Stevie powtórnie kiwnął głową.

- Z wyjątkiem Sandy'ego.

- A kto ci wyjawił imię Sandy'ego?

- Sandy - odpowiedział chłopiec.

- Stevie, założę się, że kochasz mamusię i tatusia?

Stevie potrasnął głową natychmiast, energicznie.

- Chce ci tylko powiedziec, ze przez jakas chwile rozmawialem z nimi i oni cie tez naprawde kochaja. Wiecej, niz sie domyslasz, a zaloze sie, ze juz myslisz, ze kochaja cie bardzo mocno.

Stevie znów kiwnal glowa.

- Tak bardzo cie kochaja, ze chca, ze bys byl zawsze bezpieczny. Czy mozesz tyle dla nich zrobic? Czy mozesz unikac zagrozen? Przestrzegac regul?

Stevie przytaknal.

- No, to by bylo tyle - rzekl Douglas. - Ciesze sie, ze cie poznalem, Stevie. A gdyby ktos cie kiedykolwiek niepokoil, powiedz mu po prostu, ze Doug Douglas jest twoim przyjacielem i zeby lepiej byl dla ciebie mily, zgoda?

Stevie przytaknal ponownie i na koniec powiedzial:

- Dzieki.

- Czy mozesz wrócić teraz do swego pokoju, Stevie? - poprosil go Step. - Chcemy tu jeszcze troszeczke porozmawiac z panem Douglasem, okej?

Stevie wyszedl na korytarz. DeAnne wstala i podazyła za nim; kiedy po chwili wróciła, powiedziala:

- Musialam sie tylko upewnic, ze wrócił do pokoju.

- No cóż - odezwal sie Step. - Nie wiem, czego sie pan mógł z tej rozmowy dowiedziec.

- Ach, dowiedzialem sie tego, czego chcialem sie dowiedziec.

- Czyli?

- Ze wasz syn jest uczciwy - odpowiedzial. - Jest slodki. Przesiakniety slodycza. Gdyby Bóg mógł go kosztowac, tak by powiedzial: ten chlopiec jest slodki na wskros.

Step nie mial zamiaru polemizowac z ta opinia, ale nie bardzo wiedzial, jak Douglas mógł sie tego dowiedziec z banalnej pogadanki, jaka odbyl ze Steviem.

- Przypomina mi zmarla zone - rzekl Douglas. - Miewala czasami koszmary, straszne koszmary. Budzila sie posrodku nocy i kazala mi siebie przytulic, a wtedy opowiadala sen. Potem wstawalem rano i udawalem sie do pracy, czasami zas dostawalem telefon jeszcze tej samej nocy: zawsze wtedy wychodzila na jaw jakas zbrodnia, powiazana nieodmiennie z tym snem. - Douglas odchytil sie do tyłu, wspominajac. - Pewnego razu snila o niebieskiej sukience, o tym, jak chciala ja wlozyc, tylko ze ta ciagle sie zsuwala. Nie potrafila jej wlozyc na siebie, co ja przerazalo; wiecie, jak to jest, kiedy snicie - strasza was byle blahostki, na przyklad niemoznosc wlozenia sukienki. Przychodze potem do pracy i zastaje kobiety, spisuja wlasnie jej zeznanie. Zgwalcono ja tej nocy, facet scigal ja, trzykrotnie wyslizgiwala sie z uscisku z powodu sukienki, która miala na sobie, niebieskiej sukienki.

- Och - westchnela DeAnne.

Step od poczatku wiedzial, jak ta historia sie skonczy. Wszystkie konczyly sie w ten sposob.

- I to właśnie przysniło się pani żonie? Czy usłyszał pan te historie od kolegi kolegi?

Douglas zaśmiał się cicho.

- To pan zadzwonił do mnie, bo miał pan te listy, a pyta mnie pan, czy to jakaś bajka na dobranoc? Tak, zawsze wykazujemy sceptycyzm, gdy trzeba uwierzyć w którąś opowieść. Ale ja tak naprawdę nie dbam, czy mi wierzycie, bo nie to chcę wam powiedzieć. Chodzi mi o to, że istnieją ludzie czyniący rzeczy tak podle, że pruje się materia świata, z drugiej strony istnieją ludzie tak dobrzy i uprzejmi, że czują, kiedy ta materia się drze. Widzą wszystko, tylko że są tacy dobrzy i czysti, że nie zdają sobie sprawy, co właściwie widzą. Sądzi, że to właśnie ma miejsce w przypadku waszego chłopca. To, co się dzieje w Steuben, jest takie złe, a on jest tak dobry i czysty, że po prostu, chcąc nie chcąc, musi to czuć. Już w chwili przybycia do Steuben musiał to wyczuć, co napęłniło go smutkiem. Moja żona była podobna - zawsze smutna. Co się tyczy reszty ludzi, zło i dobro jest w nas wymieszane, przy czym nasza niedoskonałość czyni tyle hałasu, że nie słyszymy ryku złego potwora. Ale wasz Stevie może go usłyszeć. Może usłyszeć imiona chłopców. Tyle tylko że podobnie jak moja żona robiła z tego sen, w którym próbowała włożyć na siebie sukienkę, wasz syn zaprzyjaźnia się z tymi, którzy te imiona noszą. Dla niego ci przyjaciele są realni, ponieważ zło, które wpełchnęło w jego umysł te imiona, też jest realne.

- Więc nie uważa pan, by Stevie zwariował? - spytał Step.

- Do licha, wiecie, że nie zwariował. Macie przecież listy, czyż nie tak?

- Czy jest coś, co powinniśmy zrobić? - zapytała DeAnne.

- Nic mi nie przychodzi do głowy, po prostu uważajcie na dzieci, uważajcie na nie o każdej porze, niech będą całkowicie bezpieczne.

- Tak, proszę pana - odrzekł Step.

Douglas powstał.

- Potrzebuje teraz mojego papierosa, zatem będę się już zbierał.

- Przykro mi, że zwracałem panu głowę czymś, co, jak się okazało, nie było wcale pomocne - powiedział Step.

- Och, pomogło mi to bardzo.

- Naprawdę?

- No jasne. - Douglas stał w otwartych drzwiach. Step i DeAnne wyszli z nim na werandę. - Zanim pan zadzwonił - kontynuował, zapalając papierosa - nie mieliśmy nawet stuprocentowej pewności, że jest jakiś seryjny morderca. Lecz obecnie... obecnie już wiem. Ponieważ w przeciwnym razie wasz chłopiec nie znalazłby tych wszystkich imion, no nie? Nie byłyby wszystkie na jednej liście, gdyby coś ich nie łączyło, coś różniącego je od innych. Każdego roku znika kilka dzieciaków, nie ma w tym nic specjalnie szatańskiego, tak się po prostu dzieje. Taka jest kolej rzeczy. Tamtych wasz syn nigdy nie dostrzegł. Dostrzegł te. A zatem już wiem.

- Nie może pan tego wykorzystać, nie przekona pan nikogo - powiedział Step.

- Bo i nie potrzebuje. Ja wiem. Nie spoczne teraz, póki nie odnajde lotra i nie powstrzymam go.

- A wtedy Stevie przestanie spotykac tych... wymaginowanych przyjaciól?

- Jezeli zniknie źródlo jego przypadlosci, wówczas nie bedzie juz sie z tym musial borykac. Moja zona nigdy nie snila o tym samym dwukrotnie.

Ruszył w kierunku swego samochodu, kiedy DeAnne zawolala za nim:

- Czy wciaz pan chce, byśmy sporzadzili liste osób, które w naszym mniemaniu mogly wyslac te plyte?

- Czemu nie? - zgodzil sie. - Moze sie jeszcze przydac.

- Zadzwonimy do pana po poludniu, okej?

- Niech bedzie - odparl. - Jesli mnie nie zastaniecie, zostawcie wiadomosc temu, kto odbierze sluchawke. Osoba ta bedzie uprzedzona.

Wsiadl do auta i odjechal. DeAnne i Step wrócili do mieszkania, usiedli przy kuchennym stole i spisali liste nazwisk. Ludzi, którzy mieli powód - albo sadzili, ze maja powód - by nienawidzic Fletcherów. Pani Jones, Dicky Northanger, Lee Weeks, Roland McIntyre. Debatowali zywo, czy wlaczyc nazwisko siostry Dolores LeSueur, na co w koncu przystali. Mysl o Dolores LeSueur jako seryjnej morderczyni wydawala sie zabawna - juz sam pomysl, by kobieta byla seryjnym zabójca, zdawal sie absurdalny - ale lista musiala byc kompletna, inaczej po co ja w ogóle sporzadzac?

Przekazali ja telefonicznie. Jak zapewnial Douglas, czlowiek przy telefonie zostal uprzedzony, byl sumienny i rzeczowy. Po chwili bylo po wszystkim.

Step i DeAnne patrzyli na siebie poprzez szerokosc stolu.

- Co za niedziela - powiedzial Step.

- Wiem, ze to zabrzmi okropnie - odparla - poniewaz tam gdzie czai sie seryjny morderca, ale... czuje sie znacznie lepiej.

- I ja - stwierdzil Step i rozesmial sie odprezony. - Stevie nie zwariowal. Cale to gówno dr Weeks - wybacz, ale taka jest prawda - moze sobie wsadzić z powrotem. Cokolwiek dzieje sie z zyciem Steviego, nie jest to zmyslona historia, my tez tego nie spowodowalismy, poza tym chlopiec nie zwariowal. Chodzi o rzeczywisty swiat, w którym zyje, tylko tak jak przypuszczalismy, postrzega go glebiej i prawdziwiej niz my. Kiedy o tym pomyslec, wydaje to sie takie slodkie, nieprawdaz? Chce przez to powiedziec, ze cokolwiek by sie przydarzylo tym zaginionym chlopcom, wciaz zyja w umysle Steviego. Wyobrazal ich sobie i przyjazni sie z nimi. I juz sie ich nie boje.

- A ja tak - powiedziala DeAnne. - Nic na to nie poradze.

- Cóż, i ja sie boje - mordercy.

- Szkoda, ze nie mieszkamy gdzie indziej. - Chcialaby zabrac Steviego daleko od tego miejsca.

- Tez zaluje - przytaknal Step. - Lecz mieszkamy w miejscu, gdzie lekarze wiedza o Zapie. W gminie,

gdzie poszczono i modlono się o niego. Reszta z nas może mieszkać gdziekolwiek, lecz Zap jest już częścią tegoż życia. Ci wszyscy ludzie mieszkający w naszej gminie... sędzisz, że będa patrzec, jak dorasta Zap, mówiac: „Jaki dziwny dzieciak, dlaczego nie trzyma wysoko głowy?” Nie. Powieǳa raczej: „Znamy tego chłopca, to jeden z nas”. DeAnne, w żadnym innym miejscu tak nie powieǳa.

- Wiem - przyznała. - Wiem. - Nie wydawała się jednak przekonana.

- Niebezpieczeństwo wciąż tu czyha - rzekł Step, wskazując znowu na artykuł w gazecie - lecz nie jest skierowane na nas. To znaczy, jest tak, jak pisał, dziecku w Steuben i tak prędzej grozi wpadnięcie pod samochód czy przypadkowy postrzał niż padnięcie ofiara tego zabójcy. Rodzice muszą na razie mniej ufać obcy, to wszystko. A my już mieliśmy na tym punkcie obsesję, więc nie musimy się nawet specjalnie przestawiać.

Skinela głowa.

- Poza tym nie stac nas na przeprowadzkę, DeAnne. Chyba że uważasz, iż warto jest porzucić wszystko i czmychnąć do domu, do suterenu twoich rodziców.

- Przylapuje się na rozmyślaniu, że nie chce już być dorosła. Chciałabym wrócić do domu, gdzie mama i tata mogliby się mną opiekować. - Rozesmiała się. - Ciężko być mama i tata, no nie? Ponieważ wszystko, co postanowisz, może okazać się błędne.

- Do pioruna! Wszystko, co postanowimy, okaże się błędne - powiedział Step - bo cokolwiek zrobimy, i tak później coś złego się stanie. Dlatego nie żałuje niczego. Nie żałuje zatrudnienia się w Eight Bits Inc. i nie żałuje, że odszedłem. Nie żałuje tych wszystkich kosztownych testów, jakie przeprowadzili Zapowi, bo musieliśmy wiedzieć. A szczególnie nie żałuje tego dnia, kiedy ujrzałem cię rozmawiającą przez telefon i pomyślałem, że nie dane mi było dotąd ujrzeć niczego tak pięknego jak moja żona, kiedy czule rozmawia z kims potrzebującym pomocy.

Pochyliła się i objęła go, na chwilę położyła głowę na jego piersi.

- Dzięki tobie czuję się tak dobrze.

- Pomyśl jeszcze o jednym - powiedział Step. - Nie tylko upewniliśmy się co do tego, że nikt w naszym domu nie oszalał, ale po raz pierwszy od przeprowadzki do Steuben posprzataliśmy w naszej sypialni.

Udała, że kasa go poprzez koszulę, po czym się wyprostowała.

- Nieważne, co czuję, czas nakarmić Zapa, jeśli będę potrafiła go zbudzić. Zaczynam myśleć, że gdybym nie budziła go do karmienia, przespałby resztę życia.

- Znam to uczucie - odparł Step. Przewornie powstrzymał się od zwrócenia jej uwagi, że właśnie nazwała dziecko Zapem. Inaczej postąpiła pierwszy raz, gdy nazwała Elizabeth Betsy, a później postanowiła nigdy więcej tak jej nie nazywać, tak że będne dziecko dorastało w przeswiadczeniu, że jest jedna osoba dla mężczyzn, a inna dla kobiet. Co w sumie mogło nie rozmijać się aż tak bardzo z rzeczywistością, oczywiście zwązywszy na sposób, w jaki oddziałuje otoczenie. Wkrótce zapewne podda się i zaprzestanie wołać na Betsy Betsy, tak by miała to samo imię dla wszystkich. Lecz sędził, że Zap to wspaniałe imię, przynajmniej dopóki nie dorosnie, by się na nie uskarżać, jeśli więc pozwoli DeAnne przyzwyczaić się do niego, będnie miło.

Step został w kuchni i przez chwilę spoglądał bezmyslnie w gazetę. Zauważył wówczas, że mieli na stole

obie listy - liste przyjaciół Steviego i liste ludzi, którzy mogliby nienawidzić go na tyle, by przysłać anonimową pogrózkę. Wstał i schował je wysoko w kredensie. Nieważne, co Douglas mówił, Stepa nie uszczesliwiał żaden z tych spisów. Wolalby raczej, by bohaterowie obu tych list zostawili jego rodzinę w spokoju.

Późno tej samej niedzielnej nocy zadzwonił telefon. DeAnne obudziła się i zasnana podniosła słuchawkę. Słuchała.

- Jest już późno - powiedziała. - Sądze, że спи. O, nie, nie. Jest tu obok. - Przekazała telefon Stepowi. - Do ciebie - powiedziała. Pograyła się we śnie, zanim jeszcze odebrał słuchawkę.

- Tu Step Fletcher - powiedział. - Kto mówi?

- Cześć, tu Glass, Step, pamiętasz mnie? Z Eight Bits Inc.?

- Jasne, że pamiętam - odparł Step. - Ale czy nie jest trochę późno na dzwonienie? Już prawie północ.

- No tak, ale wiesz, to nie jest całkowicie towarzyski telefon. Pozwolili mi zatelefonować tylko jeden raz, namyślałem się około minuty, no i ty byłeś najlepszym rozwiązaniem. A przynajmniej mam taką nadzieję.

- Ale rozwiązaniem czego?

- Jestem na posterunku policji. Ktoś mnie musi podwieźć do domu. Czy mogę wyjaśnić to później? Nie jestem aresztowany ani nic w tym stylu, ale nie chcę wracać do domu wozem policyjnym. To wygląda podejrzanie, ludzie zadają pytania.

- Jeśli cię nie aresztowali, to z jakiej paki możesz tylko raz telefonować?

- O rany, to teatr, mówię ci, wiesz? Wygląda to bardziej dramatycznie, niż jest w istocie. To naprawdę nic. Tylko potrzebuje akurat teraz przyjaciela, no wiesz. By po mnie podjechał i nie powiedział nikomu, gdzie po mnie podjechał.

- Nie będę dla ciebie kłamał - zastrzegł się Step.

- No tak, wiedziałem - rzekł Glass. - Ale sam widzisz, nie pracujesz już dla Eight Bits Inc., nie utrzymujesz też z nimi specjalnego kontaktu, więc tak sobie myślę, kto cię będzie pytał? A przecież nie masz zamiaru wydzwaniać do ludzi i mówić im o tym, no nie?

- Nie wiem, gdzie znajduje się posterunek policji.

- Jest w samym centrum. Róg Center i Church. Wielki gmach ratusza, nie można go nie zauważyć. Spotkam się z tobą przed wejściem, żebyś nie musiał parkować i wchodzić do środka.

Kiedy Step odłożył słuchawkę, DeAnne rozbudziła się na tyle, by mruknąć:

- Kto to był?

- Glass. Roland McIntyre. Zgarnęła go policja na przesłuchanie i teraz chce, by go ktoś odwiedził do

domu.

Oczy DeAnne rozwarły się szeroko.

- Mamy go na liście.

- Hm, no tak, chyba był też na innej liście, co?

Step w ciągu dziesięciu minut zdążył podjechać pod ratusz i Glass stał przed frontem budynku. Wyglądał złośliwie w swojej koszuli w kratę z krótkimi rękawami i w grubych okularach.

- Fajny samochód - powiedział Glass, wślizgując się do środka.

- Niemal wysiłku kosztuje uporanie się z tymi plamami rdzy - rzekł Step. - Ale ten przynajmniej jeździ, gdy tymczasem tamten non stop stoi w warsztacie. Dokąd?

- Do domu - odpowiedział Glass. A po chwili dodał: - A, no tak, mieszkam w Oriole Apartments, jedź na zachód w stronę Shaker Parkway. W kierunku lotniska.

Step ruszył.

- To miło z twojej strony, że mnie odebrales - powiedział Gallowglass. - Nie wiedziałem, do kogo mógłbym zadzwonić.

- Nie ma problemu - odparł Step. Lecz kiedy to mówił, czuł inaczej.

- Człowieku, tęsknimy za tobą w Eight Bits Inc. - odezwał się Gallowglass.

- Ciesz się, że mnie ktoś pamięta.

- Dicky wtyka teraz nos we wszystko. Przychodzi, zabiera nasze dyskiety, na których pracujemy, babcze się w naszym kodzie, przez co kiedy przychodzimy rano do pracy program, który poprzedniego wieczoru działał doskonale, teraz się zawiesza, a gdy pytamy go, co zrobił, odpowiada: „To był najbardziej nieefektywny program, jaki widziałem, więc zacząłem go poprawiać”. A kiedy odpowiadasz: „Ale przedtem się nie zawieszał, a teraz tak”, on patrzy na ciebie i mówi: „Czy wszystko muszę tu robić sam?”

Step zaśmiał się ponuro. Dicky. Nie lubił wspominać Dicky'ego, nawet gdy dawano mu do zrozumienia, że jest powszechnie znienawidzony. Dicky figurował na jego liście. A zatem Step zmienił temat.

- O co poszło?

Przez chwilę Glass zachowywał milczenie, wyglądając przez szyby. Ostatecznie rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Nie wydaje mi się, żebyś nie wiedział.

- Gdybym wiedział, to bym nie pytał - odparł Step, co nie było prawdą, ale za bardzo o to nie dbał. W jakiś sposób uczciwość w stosunku do Gallowglassa nie wydawała mu się aż tak nieodzowna, jak na przykład uczciwość względem dzieci, DeAnne czy Douglasa.

- Przecież mnie znasz - Glass westchnął. - Tak naprawdę nigdy nic nie zrobiłem. I nie chce, serio. Lecz jedni tacy rodzice wniesli skargę, bo jeden z ich starszych dzieciaków opowiedział im jakąś idiotyczną historyjkę, przez co zaciągnęli mnie do sądu w wieku szesnastu lat, a ten pieprzony prawnik, którego mama mi znalazła, powiedział, że lepiej by było, gdybym przyznał się do winy w zamian za zawieszenie, zamiast odsiadywać w poprawczaku - ponieważ tego właśnie cały czas domagał się prokurator; mój nowy adwokat powiedział mi, że prawdopodobnie i tak nie poszedłbym siedzieć, jedynym świadkiem był tylko jakiś dzieciak i mógłby rozdrzeć go na sztuki w sądzie, a tak jestem teraz na ich liście przestępców seksualnych. - Step wyczuwał na sobie przenikliwe spojrzenie Glassa. - Jestem na liście zboczeńców. Gdy tylko ktoś w pobliżu Steuben spojrzy na małą dziewczynkę spod oka, już do mnie dzwonią, pytając, gdzie wtedy byłem. No cóż, zwykle jestem w Eight Bits Inc. wraz z mnóstwem świadków, więc rzadko mnie zabierają na posterunek.

- Dlaczego więc tym razem? - spytał Step, czując lekkie mdłości; nie był pewny, czy podoba mu się, że Glass opowiada mu o takich rzeczach, szczególnie że wiedział, iż Glass prawdopodobnie wciąż kłamie i w rzeczywistości istniał wówczas więcej niż jeden świadek, i naprawdę molestował małe dziewczynki o wiele częściej niż raz czy dwa razy. Ale pozwolił dokończyć Glassowi opowieść bez sprzeczek, żeby go nie złościć.

- Chodzi o tego seryjnego mordercę, nie do wiary. SBI zgarnia każdego przestępcę seksualnego notowanego w szesciu hrabstwach, stąd moje imię znalazło się w ich wykazie. Co za kompletny idiotyzm, kompletna bzdura, by mnie tu sprowadzać. - Jego głos obecnie rozbrzmiał autentyczną wściekłością. - Ten seryjny morderca zajmuje się małymi chłopcami, na litosc boska! Co oni sobie myśla, że jestem pedziem?

Step nic nie powiedział, po prostu prowadził samochód, zaciskając ręce na kierownicy.

Po jakiejś minucie ciszy Glass powrócił do opowiadania plotek z Eight Bits Inc., aż wreszcie dotarli do kompleksu kamienic i Glass wskazał mu budynek, w którym mieszka. Step wypuścił go i odprowadził wzrokiem aż do drzwi budynku. Obserwując go, przypominał sobie, jak wiele razy odprowadzał opiekunów dzieci pod drzwi ich mieszkań; pomyślał o Gallowglassie opiekującym się dziećmi i zadrzał. Ale i ja byłem opiekunem dzieci, przypomniał sobie. Mając dwanaście lat. Skąd ci ludzie mogli wiedzieć, że nie jestem podobny do Glassa? Musieli mi zaufać. Trzeba ufać ludziom, choć czasem nadużywają tego zaufania, bo w przeciwnym razie, jak wyglądałoby to życie?

Wówczas nasunęła mu się kolejna myśl. Glass miał matkę i ojca. Ojca, który nim gardził - czy to zaczęło się przed, czy po tym, jak zaczął się dobierać do małych dziewczynek? Ale matka, ona wciąż go kocha. Nosila go zupełnie tak, jak DeAnne nosila Steviego, Robbiego, Betsy i Zapa, karmiła go piersią lub z butelki, wstawiała wraz z nim w środku nocy, sniła, kim zostanie, gdy dorosnie. A musiał to być naprawdę bystry dzieciak. Musiała być z niego dumna w szkole, to było dla niej pocieszeniem, gdy inne dzieci nabijały się z chłopaka. I wtedy to się przydarzyło - jej chłopiec zaczął nagle okazywać pociąg do dziewczynek. Coś tak ciemnego i obrzydliwego, że nawet najgorsi kryminaliści w więzieniu uważają obecność napastującego dzieci za zbyt ohydny do wytrzymania. A ona musi teraz z tym żyć - ze świadomością, jaki stał się jej syn.

Wówczas Step pomyślał o małym Zapie i zdał sobie sprawę, że są na świecie gorsze rzeczy niż posiadanie dziecka, którego organizm nie funkcjonuje w prawidłowy sposób. Można mieć dziecko, którego dusza jest nic niewarta. I Step wrócił pamięcią do tego seryjnego mordercy, grasującego po Steuben. Gdyby ktoś zmuszał Stepę, by zamienił się miejscami, bądź to z ojcem jednego z tych zagubionych chłopców - wiedzącego, że ktoś zabrał, wykorzystał i zabił jego dziecko - bądź to z ojcem tego potwora, który je zabrał, wykorzystał i zabił, wybór nie byłby trudny. Rodzice tych zaginionych chłopców muszą odczuwać największą możliwą wściekłość, nienawiść i smutek, i rozpaczliwe uczucie

porazki w czuwaniu nad bezpieczeństwem synów. Lecz rodzice seryjnych morderców czują wszystko powyższe plus jeszcze coś: wstyd za wydanie na świat potwora.

Cokolwiek by się jednak stało, pomyślał Step, moje dzieci są dobre. Nawet gdyby coś im się przydarzyło, gdyby ktoś potrącił samochód, jak Roba Roblesa z czwartej klasy, lub dostało białaczkę, jak chłopczyk doktora Duhmera w Vigor, Step miałby przynajmniej satysfakcję, że każdy rok ich życia był darem dla otaczających je ludzi, pamięć o nich pełna byłaby miłości i radości, nie zaś wstydu i rozpacz.

Nie sądzę, że byś to był ty, Glass, pomyślał Step. Nie sądzę, żeby potwór w tobie dorósł do takiego czynu. Lecz okłamywałeś mnie, chciałeś ukryć przede mną potwora, myśl o skrzesie nawet raz nie postąpiła ci w głowie. Oznacza to, że potwór siedzi w tobie i rośnie, potężnieje. Knujesz i szukasz okazji, by posiadać bezbronne dzieci, może oddałbym wszystkim przysługę, gdybym kupił sobie jutro pistolet, przyszedł do Eight Bits Inc. i zastrzelił cię na miejscu, na oczach świadków. Czy Bóg mógłby to nazwać morderstwem, gdybym obronił wszystkie dzieci, które na pewno byś skrzywdził?

Tak, to by było morderstwo. Bo nie jest powiedziane, że ten potwór urosnie. Może jakos przejmiesz nad sobą kontrolę? A gdyby cię ktoś przed tym zabił, straciłbyś szansę na pokutę i uzyskanie przebaczenia. Jeśli jest taka rzecz jak przebaczenie za twoje czyny albo zamiary. Bóg pozwala winowajcom żyć pomiędzy dobrymi, by ich nekali o każdej porze; pozwala wyć pieńć się w kukurydzy. A wszystko, co przyzwoici ludzie mogą zrobić, to uczyc dzieci i starać się być dla siebie dobrymi.

Gdy Step powrócił do domu, ruszył z miejsca do łóżka, lecz zajął się dziećmi i popatrzył, jak leżą uspięte. Pocałował każde z nich. Robbie, Stevie, Betsy, tacy znajomi, tak często widział ich pograżonych we śnie, znalazł słodkie piękno ich twarzy, gdy spali. Był jeszcze mały Zap, bezbranny, biedny przybysz, z nogami zgiętymi w zabójczej pozycji, otwartymi ustami i zawsze mokrymi policzkami. Wszystkie. Wszystkie was kocham, jestem z was wszystkich zadowolony. Tyle z wami wiąże nadziei. Nawet z tobą, Zap, choć masz tak odporne ciało. Nawet z tobą, Stevie, choć zło cię odszukało. Świat jest lepszy, odkąd w nim jesteście, a chociaż pragnę zatrzymać was na zawsze, wiem, że gdy nawet was stracę, moje życie zawsze będzie radosne, bo byliście zawsze, zawsze moje.

Rozdział trzynasty

Bóg

Oto jak ostatecznie znaleźli nazwę dla stanu Zapa: przez całą jesień, co miesiąc składała im wizyty Jerusha Gilbert, pielęgniarka z okregowej kliniki wysokiego ryzyka. Już podczas pierwszej wizyty zauważyła, że wszystko, co normalnie sprawdza, DeAnne i Step zdążyli już sprawdzić wcześniej. Pomimo to zostawała pełną godzinę i - jak wyjawiała DeAnne - większość dzieciaków, które odwiedza, dotknięta jest płodowym syndromem alkoholowym lub problemami opieki prenatalnej, zatem nietrudno wyobrazić sobie, że domy, które Jerusha odwiedza, zwykle nie należą do najprzyjemniejszych miejsc. A

ponieważ nie musiała wykonywać normalnej, leczniczej pracy, zaczęła zastanawiać się nad bardziej zaawansowanymi terapiami, które mogłyby pomóc DeAnne i Stepowi w leczeniu Zapa.

To właśnie Jerusha pierwsza wymówiła słowo porażenie mózgowe.

- To nie jest, oczywiście, żadna diagnoza - powiedziała - ponieważ nie jest nią nigdy. Porażenie mózgowe to termin medyczny, to taki koszt, do którego wrzucamy wszystkie stany, zdające się wypływać z pewnych dysfunkcji mózgu. Sztywne dzieci, elastyczne dzieci, niektóre niedorozwinięte umysłowo, niektóre nad wyraz bystre. Niektóre chodzą, inne zaś jeżdżą na wózkach inwalidzkich. Niektóre, leżąc w łóżku, wydają skowyt o wysokiej tonacji, przez cały czas, kiedy są przytomne, jeśli można to nazwać przytomnością. W pewnym momencie każdy się zgadza, że ten szczególny stan mieści się w granicach pojęcia PM, wówczas zaczyna działać pewien system. Zaczynacie nazywać stan Zapa PM, a nikt się z wami na ten temat nie będzie spierał.

- A jeśli to coś innego? - zapytał Step.

- To zawsze jest coś innego - odparła Jerusha. - Etykieta PM oznacza po prostu, że nikt z nas nie wie, co to właściwie jest, lecz dziecko potrzebuje pomocy grupy kompetentnych ludzi. Poza tym będziecie mieć dużo szczęścia, jeśli zdecydujecie się, że to PM, gdyż Steuben ma jeden z czterech czy pięciu najlepszych w Stanach Zjednoczonych zespołów do opieki nad osobami dotkniętymi porażeniem mózgowym.

- Naprawdę? - zdziwiła się DeAnne.

- We wschodniej części miasta. Centrum Edukacyjne Otwartych Drzwi. Doprawdy, przemily pawilon. Zarządza nim obecnie miasto, lecz wzniesiono go ze składek obywateli. Rodzice dzieciaków z PM kwestowali, dopóki nie uzbierali wystarczająco dużo. I to się tam czuje. Pełny zestaw wszystkiego - cokolwiek okaże się potrzebne Zapowi, będa tam to mieć. A dla przedszkolaków jest Centrum Daggetta. Trzeba tam płacić, gdyż działają z własnych funduszy, a nie dotacji rządowych, lecz koszt nie jest tak duży. Lecz płacić będziecie od chwili, gdy Zap skończy dwa lata. To znaczy, jeśli musicie mieć dziecko z problemami układu nerwowego, to jest to jedno z najlepszych miast w Stanach, gdzie może dorastać.

Porażenie mózgowe. Przynajmniej już o tym słyszeli wcześniej. Kiedy tylko dla problemów Zapa znalazła się jakaś nazwa, porozmawiali o tym z dziećmi na wieczornym zebraniu rodziny. Step opowiedział im o dziecku z porażeniem mózgowym, które wcześniej znalazł.

- Miał szesnaste lat, kiedy mieszkalem w Mesa - mówił Step. - Ja miałem jakieś trzynastce. Mieszkał w tej samej gminie co ja. Gdy go pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że jest umysłowo chory, bo śmiesznie chodził, kołysząc głową do przodu i do tyłu, a gdy mówił, trudno go było zrozumieć. Ale pamiętam, pewnego razu stałem w holu - czytałem wtedy „Doktryny i przymierza”, o ile pamiętam - a on wyszedł z jednej z klas i stanął przy mnie, był chyba tak wściekły, że chciał się gdzieś wyladować, zaczął do mnie coś mówić. Przestraszyłem się, bo był dziwny, lecz stałem i słuchałem; nagle zdałem sobie sprawę, że mogę go zrozumieć, jeśli się tylko trochę wysiłę. Wyrzucił się pełnymi zdaniem. Skarżył się, jak to aktyw gminy nie chciał mu nic zlecić, przez co ogarnia go gniew. Pamiętam, jak powiedział: „Myślałem, że jestem umysłowo chory, ale nie jestem, dostaję najlepsze stopnie, jestem od nich sprytniejszy, ale oni nie pozwalają mi błogosławić sakramentu! Nie pozwolili mi się ochrzcić, dopóki nie skończyłem dwunastu lat, gdyż nie wierzyli, iż jestem na tyle rozgarnięty, żeby zdawać sobie sprawę z własnych czynów”. Oczywiście, mówił to wszystko naprawdę wolno, ciężko mu było klecić zdania, pamiętam, że to było dla mnie niczym rewelacja. Facet nie był kretyńcem. Miał osobowość. Miał zranione uczucia, a ja byłem jednym z tych, którzy je też czasem ranili, ponieważ Bóg wie, że się go bałem, uważałem go za

oblakanego. A kiedy zakonczył przemawiac, jak to nikt nie daje mu szansy, powiedzialem: „Sadze, ze powinienes poblogoslawic sakrament”. Sadze, ze to wlasnie chcial uslyszec, by ktos sie z nim zgodzil, nawet trzynastoletni szczeniak z ksiazka w dloni, bo odpowiedzial: „Pewnego dnia tak zrobie”.

- I zrobil? - zaciekawil sie Robbie.

- Nim wyjechalem stamtad, zobaczylem, jak slaniajac sie, wchodzil po schodach do sakramentalnego stolu. Modlitwe musial wymawiac chyba piec razy dluzej, niz to sie zwykle czyni, lecz powiedzial kazde slowo, a kiedy wreczal tacki diakonom, trzesly sie i czasem wylalo sie nieco wody. Z poczatku ludzie byli zazenowani, lecz pozniej slyszalem, jak mowia: „Odważny ten dzieciak” i podobne rzeczy. Byli z niego dumni.

Wówczas DeAnne powiedziala:

- Bedzicie teraz, dzieci, specjalnie odpowiedzialne za Zapa. Musicie traktowac go tak naturalnie, jakby to byl normalny chlopiec. Nie bedzicie sie go wstydzic. Poniewaz kiedy wy zaczniecie sie zachowywac, jakby bylo w nim cos okropnego i wstydliwego, wtedy za waszym przykladem pójda inni.

- To mój mlodszy braciszek! - powiedzial Robbie.

- To prawda - rzekla DeAnne.

- Nie zawsze bedzie to latwe - kontynuowal Step. - Moja ciotka Ella jest chora umyslowo, to wprawdzie nie to samo, lecz roztaczala wokół siebie taka atmosfere, która czynila ja smieszna i dziwaczna, a dorastala w latach dwudziestych, ludzie nie byli wtedy mile nastawieni do takich osób, a szczególnie dzieciaki. A moja mama byla jej mlodsza siostra.

- To babcia Sal! - wykrzyknal Robbie.

- Bacia! - rozdarla sie Betsy.

- Wlasnie ta, wasza babcia Sal. Kiedy miala siedem albo osiem lat, odprowadzala w jeden dzien ciocie Elle do szkoly. Moja mama opowiadala, jak bardzo sie wstydzila, byla naprawde okropna w stosunku do cioci Elli, kazala jej isc daleko za soba lub po drugiej stronie ulicy, by nikt nie spostrzegl, ze sa razem. Ale z drugiej strony moja mama byla wtedy mala dziewczynka i nikt jej nie mowil, ze nie powinna sie wstydzic. Pewnego razu natkneli sie na bande dzieciaków, które zaczely rzucac w nie smieciami i szydzic w okropny sposob, tylko dlatego ze Ella byla umyslowo chora, a moja mama, wówczas dziewczynka, usiadla na krawezniku i plakala, i plakala, a dzieciaki wciaz biegaly wokolo, wyjac. Ciocia Ella wtedy usiadla przy niej, objela ramieniem i powiedziala: „Nie placz, Sally. Oni nie wiedza. Nie placz, Sally. Sa po prostu zli”.

DeAnne spojrzala na Stepa troche dziwnie.

- Dlaczego opowiadasz te historie, Step?

Przyszlo mu na mysl, ze dzieci moga zrozumiec, ze skoro Zap jest ich bratem, beda im dokuczac w różny sposob, ale z pewnoscia nie dlatego zaczal opowiadac te historie. Przez chwile Step stal zmieszany, nie wiedzac, co odpowiedziec, az w koncu zrobil to, co kazdy zmieszany rodzic na jego miejscu: udal, ze rozmyslnie wybral te przypowiesci w celach naukowych.

- A jak ty sadzisz, dlaczego opowiedzialem te historie, Robbie?

- Bo nie dbamy o to, czy są zli dla Zapa, bo i tak idziemy razem z nim do szkoły! I będziemy iść tuż przy nim i nie przechodzić bez niego na drugą stronę, bo wtedy będzie się bał!

Robbie wysuplał z przypowieści prawdziwy moral, chociaż sam Step zapomniał, o co mu chodziło.

Wtedy Stevie, choć nikt go nie prosił o zdanie, odezwał się:

- Myślę, że ciocia Ella była najsprytniejsza, nawet jeśli była umyślowo chora.

- Dlaczego? - spytał Step, zadowolony, że syn postanowił zabrać głos nie pytany.

- Bo obchodziło ją jedynie to, że babcia Sal płacze - rzekł Stevie. - Nie wściekła się na złe dzieci, chciała po prostu, by babcia Sal poczuła się lepiej.

- Okej, myślę, że wszyscy wyciągnęliśmy z lekcji słuszne wnioski, prawda? - powiedział Step.

- Musimy powiedzieć Zapowi, że nie wolno mu płakać! - odezwał się Robbie.

- Zap może płakać, jeśli zechce - odpowiedział mu Step. - Wiecie, że to w naszej rodzinie reguła, możemy płakać, kiedy tylko mamy na to ochotę. Stevie, jaki główny wniosek wypływa z tej lekcji?

- Musimy pomóc Zapowi stać się częścią wszystkiego i nie uciekać od niego, a szczególnie uważać, by ludzie nie uważali go za umyślowo chorego.

- Bardzo dobrze, Stevie - pochwalił go Step. - No dobrze. Może okazać się z upływem lat, że spostrzeczemy, iż Zap naprawdę jest umyślowo ograniczony, że naprawdę jest umyślowo chory, ale i tak będzie okej, bo moja ciocia Ella jest umyślowo chora całe życie i mimo to jest dobrym człowiekiem, wielu ludziom przyniosła szczęście. Ale istnieje też szansa, że Zap nie będzie umyślowo chory. Bez względu na to, co się stanie, będziemy traktować go właściwie, nigdy się go nie powstydzimy.

- Jesteśmy z niego dumni - powiedział Robbie. - Jest moim pierwszym młodszym bratem, więc ja jestem teraz starszym bratem!

- Jak ja - dodał Stevie.

Step zwrócił się do DeAnne.

- Sądzę, że załatwilismy tę sprawę.

Tymi słowami zakończyła się lekcja. Robbie machał dokoła ręką, odmierzając rytm wienczącej lekcję piosenki, a DeAnne pomogła Betsy odmówić kończącej lekcję modlitwę, później zjedli lody, podczas gdy DeAnne karmiła Zapa, zasłaniając się skromnie pieluszką przewieszoną przez ramię.

- Zap też dostaje deser! - krzyknął Robbie.

- Załóż się, że smakuje zupełnie jak jego obiad - odparł Step. - I jego sałatka, i jego podwieczorek.

- I płatki owsiane! - wrzasnął Robbie. - I tunczyk!

- Czy muszę karmić dziecko w innym pomieszczeniu? - zapytała DeAnne. Lecz tak naprawdę nie

przeszkadzało jej to. Zaden z problemów i kłopotów nie zniknął, lecz to był udany wieczór. Byli szczęśliwą rodziną, przynajmniej podczas tej godziny. Wystarczyło, jak na jeden dzień.

Tak oto przebiegała cała jesień, zaledwie z kilkoma wyjątkami. Każdego ranka DeAnne odwoziła Steviego i Robbiego do innych szkół, Step zostawał wtedy z Betsy i Zapem. Dzięki temu tylko zabierała dwójkę dzieci do szkoły, ale nie musiała ubierać i karmić Betsy.

Bynajmniej nie mogła przez to pospać dłużej. Musiała rano opuszczać dom piętnaście minut wcześniej niż zeszłego roku, bo tylu rodziców odwoziło dzieci do szkoły i zabierało je po skończonych zajęciach, że natężenie ruchu przy szkole było koszmarnie. Strach przed seryjnym mordercą odmienił życie wielu ludzi w Steuben. Rodzice, jeśli nie mogli wyjechać po pociechy do szkoły, czekali na nie na przystankach autobusowych. Pracujący rodzice łączyli się w grupy, wiele lokalnych instytucji pozwalało pracownikom na godzinny lunch w czasie, gdy kończyły się lekcje, dzięki czemu coraz mniej dzieci wracało po szkole do pustego domu.

Bycie matką było teraz dla DeAnne pracą w pełnym wymiarze godzin, tak że zaczęła od czasu do czasu zaniedbywać swoje zajęcia w kościele, udzieliła kilku lekcji, które nie były tak do końca przygotowane, choć nikt zdawał się nie zauważać różnicy. Obecnie centrum jej życia stanowił Zap - w rzeczywistości nie miała wyjścia. Czy to były pozostałości po fenobarbitalu, czy wrodzony wzorzec snu Zapa, chłopiec miał tendencję do przesypania osiemnastu lub dwudziestu godzin bez przerwy, potem budził się głodniaki jak wilk. Fakt ten stanowił oczywiście dla DeAnne wielkie utrapienie - albo musiała budzić go i zmuszać do posiłku co osiem godzin, albo ściągac mleko i wkładać je do lodówki. Kiedy spał, miała za dużo pokarmu - brakowało jej na pierwszy posiłek, kiedy się budził.

Prócz tego, ponieważ spędzał tak mało czasu na jawie, nie mogła znieść myśli, że tyle go marnuje, leżąc beczynnie w łóżku. Nie używał przez to rąk ani nóg, jak czyniły normalne dzieci, nie eksperymentował z grzechotkami, a nawet z własnym ciałem, jak większość dzieci ma w zwyczaju. Zatem każda chwila, jaka spędzał po przebudzeniu, cechowała kompletna pustka; DeAnne bała się, że znudził się i stracił wszelką chęć do życia, że zamierzał po prostu spać aż do śmierci. Nie miała zamiaru na to pozwolić. Jeśli będzie mogła temu zaradzić, puste godziny odejda w zapomnienie. Kiedy obudzi się o północy, ona będzie przy nim, żeby gawędzić i bawić się, ruszać za niego rękami i nogami i śpiewać mu do ucha. Ucinała sobie drzemki w czasie dnia, kiedy i on zasypiał, od czasu do czasu udawało się też przespac całą noc. Ale takie życie bardzo ją męczyło, przez co nie miała dość energii, by należycie zajmować się pozostałymi dziećmi. Nie miała innego wyjścia - one mogły już na tyle zadbać o siebie, iż nie potrzebowały jej tak bardzo jak Zap. Nadal pomagała w gospodarstwie domowym i zadaniach w gminie, podobnie jak Step, lecz Robbie i Betsy zaczęli spędzać z sobą ogromną ilość czasu, stając się całkiem dobrymi przyjaciółmi, kiedy Betsy zaczęła się już przystosowywać do niektórych zasad regulujących cywilizowane zachowanie. Stevie spędzał mnóstwo czasu samotnie.

Step dlatego starał się wypełnić powstałą lukę, że DeAnne poświęcała tyle czasu Zapowi, bawił się z dziećmi, często jednak przyrządzał też posiłki lub pral, kiedy żona drzemiała, przez co tak naprawdę nie wiedział, co porabiają dzieciaki. A kiedy tylko miał sposobność, odgradzał się w swoim gabinecie, zmagając się z językiem maszynowym IBM PC, aż ostatecznie zdał sobie sprawę, że podobne rezultaty może uzyskać, wykorzystując nowy język Turbo C, co wiązało się z odrzuceniem wszystkiego, czego się do tej pory nauczył, i rozpoczęciem od nowa. To była szalona praca, częściowo dlatego, że komputer ten został tak irytująco skonstruowany, iż musiał używać wielu sztuczek, by grafika wyglądała choć trochę przyzwoicie i by wbudowany głośniczek emitował dźwięki, które nie budziłyby chęci poszatkania całego urządzenia. Kiedy Step wyszukiwał błędy lub dumał nad rozwiązaniem konkretnego problemu, tak głęboko się koncentrował, że gdy odrywał w pewnym momencie wzrok od komputera z myślą, że trzeba może przygotować lunch, na dworze było już szaro, a DeAnne zmywała już w kuchni naczynia po obiedzie. Jeszcze w Indianie dogadali się, że ich życie potoczy się spokojniej,

jesli nie bedzie uparcie wolac Stepa na obiad. Jesli byl tak skoncentrowany, ze nie zwracal uwagi, iz DeAnne wola dzieci, to oznacza, ze nie chce, by mu przerywala.

Tak wiec oboje tej jesieni niezbyt dbali o trójke starszych dzieci, a kiedy spostrzegli, ze Stevie ciagle otacza sie swymi wymaginowanymi przyjaciółmi i nie dopuszcza do siebie prawie nikogo, zmartwilo ich to, ale pocieszali sie, ze nie oznacza to wcale, iz traci zmysly lub ze ktos na niego czyha. Uwazali to za próbe, która przechodzi, a która w ostatecznym rozrachunku moze go nawet zahartowac. Przeciez istnieli Zap i Hacker Snack, bezlitosni pozeracze czasu.

Pierwszego wrzesnia CNN pekalo w szwach od wiadomosci o samolocie Koreanskich Linii Lotniczych, który naruszył radziecka przestrzen powietrzna i prawdopodobnie zostal przez Rosjan zestrzelony. Step i DeAnne byli uzależnieni od wiadomosci telewizyjnych jak palacze od papierosów - jedli obiad, podczas gdy telewizor dudnil w pokoju dziennym, tak ze mogli go slyszec w kuchni.

Zadzwonil telefon. DeAnne wlasnie chciala wyciagnac cos z lodówki, ale zlapala za sluchawke, wymienila kilka słów i wrzeczyla ja Stepowi, mówiac, ze to od Lee.

- Czesc, Lee - powital go Step. - Zadziwiasz mnie, dzwoniac juz pierwszego dnia nowego miesiaca. Jeszcze zrobisz ze mnie czolowego domowego nauczyciela.

- Nie mamuj mojego czasu - powiedzial Lee.

- Przepraszam? - odparl Step. Co mu odbilo? - Dlaczego dzwonisz?

- Wiem wszystko - rzekl Lee. - Wiem, co zrobiles. Jesteś tym, który sam musi kazdego wlozyc pod wode, no nie?

- Co takiego? Nie mam pojecia, o czym mówisz.

- Nie udawaj niewiniatka - ciagnal Lee. - W tle slyszes twój telewizor. Nastawiles na CNN, zupełnie jak mamuska. To ty ich wrzuciles do wody, wszystkich potopiles.

- Lee, naprawde myslisz, ze mialem cos wspólnego z samolotem Koreanskich Linii Lotniczych?

- Chce sie jedynie dowiedziec od ciebie, czy jestes przygotowany na konsekwencje wojny nuklearnej? Bo komunisci nie pozwola, bys ich chrzcił. Nie sa chrzescijanami, nie zgoda sie na to. Wyslali rakiety. Studiowalem skutki wojny nuklearnej. Wiem, co to zima jadrowa. Wiem, co sie stanie ze zwyklymi ludzmi. Ale ty jestes za sprytny, zeby dac sie zlapac. Nikt nie moze cie zlapac.

Lee przez ostatnie miesiace stapal nad przepascia, ale teraz juz w nia po prostu spadal.

- Lee, nie bedzie zadnej wojny nuklearnej.

Lee rozesmial sie.

- Czy sadzisz, ze mozna mi tak po prostu naklamac, a ja sobie pójde? Nie, nie zapomne o tobie. Przywarlem do ciebie, jak klej. Kiedy wsiadziesz na te łódz podwodna, bede przy tobie.

- Lee, czy jestes teraz w domu?

- Bóg jest teraz we mnie, Step. Nawet nie używam telefonu, co ty na to?

- No cóż, ja go używam - odparł Step.

- Nie potrzeba mi telefonu, kiedy Bóg jest we mnie. Mogę cię teraz zobaczyć. Mogę zobaczyć całą twoją rodzinę.

- Gdzie jesteś?

- Jestem wszędzie. Jestem wszystkim. Jestem miłością, Step. Jestem, który jestem - zachichotał. - Mojżesz nigdy nie rozumiał, co miałem wówczas na myśli.

- Lee, nie daj się ponieść.

- Wszyscy ci ludzie pod wodą, niczym armia faraona w Morzu Czerwonym. Chcesz być Mojżeszem? Rozdzielać morze, zatapiając ludzi? Cóż, możesz być moim prorokiem, jeśli chcesz. Lecz lepiej pomóż mi w przód. Lepiej złóż najpierw ofiarę.

Słowa Lee dawno przestały być dziwaczne, teraz były niepokojące.

- Gdzie jesteś, Lee?

- Nie możesz mnie znaleźć - rzekł Lee. - Nikt nie może, gdyż jestem niewidzialny.

- Dlaczego do mnie zadzwoniłeś?

- Ponieważ jesteś jedynym, który ma siłę powiedzieć mi „nie”.

- A twoja matka?

- Csst! - nagle przeszedł do szeptu. - Nic jej nie mów. Obiecuję.

- Nie mogę tego obiecać, Lee. Potrzebujesz pomocy.

- Nie, to ty potrzebujesz pomocy! - Lee zdawał się być na serio rozgniewany, choć wciąż mówił dość niskim tonem. - Potrzeba ci wiele pomocy, ponieważ mam zamiar cię powstrzymać, nim wrzucisz kogoś pod wodę. Nie pozwolę ci powtórnie zniszczyć świata.

- Lee, jestem tylko facetem, z którym uczysz po domach.

- Wiem o tym - odpowiedział Lee szyderczo. - Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Chyba oszalałeś, myślisz, że możesz się przede mną schować.

- Odkładam słuchawkę, Lee.

- Nie odpływaj beze mnie. - W głosie Lee zabrzmiała nagle rozpacz i strach. - Znajdź mi miejsce na łodzi podwodnej! Nie będę jadł dużo.

- Do zobaczenia, Lee.

- Naprawdę musisz już kończyć?

- Tak.

- Okej - znowu zabrzmiało to radośnie. - Fajnie się z tobą gadało, na razie.

Step zawiesił słuchawkę.

- DeAnne, potrzebuje numer telefonu do dr Weeks.

Nim jeszcze dopowiedział zdanie do końca, wręczyła mu wizytówkę z numerem telefonu.

- Numer domowy? - spytał.

- Wyszukałam go - odpowiedziała. - Miałam przeczucie, że ci będzie potrzebny.

Kiedy się z nią połączył, dr Weeks nie wydawała się wcale zaskoczona faktem, że Lee dzwonił do niego.

- Mówił, że jest niewidzialny - Step tłumaczył. - Mówił, że rozmawia ze mną bez użycia aparatu.

- No tak, ale przecież używał aparatu - powiedziała dr Weeks.

- Wiem o tym - przykrył słuchawkę i szeptem zwrócił się do DeAnne: - Ona sądzi, że to ja jestem wariatem. - Do dr Weeks zaś tak powiedział: - Niech pani posłucha, coś dolega Lee i chciałem tylko pani o tym poinformować, nic ponadto. Naprawdę coś go gnębi, twierdzi, że jest Bogiem, i myśli, że to ja zestrzeliłem ten koreański samolot.

- Bezsprzecznie stał się pan dla niego potężną figurą - odrzekła dr Weeks. - Te napady nigdy się długo nie ciągną, a syn nie zamierza nikomu wyrządzić krzywdy.

- Zatem panuje pani nad sytuacją?

- Szachruje coś z pigułkami, wie pan - odparła dr Weeks. - Ale w końcu musi pójść spać.

- Leczy się?

- Nie omawiam podobnych zagadnień z nieprofesjonalistami.

- W porządku - rzekł Step. - Proszę więc po prostu powstrzymać syna od wydzwaniania do nieprofesjonalistów, a nie zajdzie potrzeba dyskusowania z nimi.

- Dziękuję za troskę - powiedziała dr Weeks. - Poradzę sobie. Do zobaczenia.

Na tym się skończyło.

- Co mówiła? - zapytała DeAnne.

- Sądzę, że sobie z tym radzi. - Ale pomyślał o złudzeniach rodziców się w umyśle Lee, dotyczących jego i rodziny, zastanawiając się, czy dr Weeks rzeczywiście panuje nad czymkolwiek.

Step był w sklepie, kiedy natarczywy głos zaczął go przywoływać:

- Bracie Fletcher! Bracie Fletcher! - Dziwnie się poczuł, słysząc zwrot „bracie” poza kościołem. Zazwyczaj mormoni podchodzą do tego z nieco większą dyskrecją. Wówczas zauważył, że to siostra LeSueur i zrozumiał.

- Jak się ma ta wasza słiczna rodzinka, bracie Fletcher? - spytała.

- Jakos tam leci - odparł.

- Każdego dnia modlę się o waszą rodzinę - oświadczyła. - Zeszłego tygodnia dedykowałam mój czwartkowy post waszemu małemu dziecku. Wiesz, poszczę w każdy czwartek.

- Dzięki, że myślisz o nas - rzekł Step, niecierpliwie wyglądając okazji, by się od niej uwolnić. Mówiła tak głośno. Musi coś chcieć od niego, ale nie potrafił zgadnąć co.

- Odwiedził mnie świadek, którego zdaniem w oczach Pana jesteś naprawdę wyróżniony - powiedziała.

- To uprzejmie z jego strony, że cię o tym powiadomił - odrzekł Step. Omiótł wzrokiem rząd regałów, by sprawdzić, czy kogos nie przyciągnął ten hałas. Nikogo nie było. Za nim też. Sekcje żup w puszkach mieli tylko dla siebie.

- Ale trzeba najpierw przeprowadzić test - ciągnęła siostra LeSueur. - O to właśnie chodzi twojemu maństwu.

Step poczuł, jak rośnie w nim fala gniewu. Jak śmie komenderować subtelnym życiem Zapa.

- Sadzę, że Zapowi chodzi o siebie - odpowiedział Step. - Zupełnie jak każdemu dziecku.

Sięgnęła ręką i dotknęła jego ramienia, promieniejąc.

- Tyle w tobie racji, bracie Fletcher. Jakże cudownie być obdarzonym przez Ducha tak przenikliwym wewnętrznym spojrzeniem.

- Naprawdę, muszę pośpieszyć się z zakupami i wrócić do domu, żeby...

Przy końcu regału stała kobieta, obserwując ich uważnie. Step znalazł ją, tylko nie wiedział, skąd. Czy pracowała w Eight Bits Inc.?

- Nie uważasz, że nadszedł czas, by pobłogosławić dziecko - zapytała siostra LeSueur.

- Nie uważasz, że to ja z DeAnne powinienem o tym zdecydować? - Nie, ta kobieta nie pracowała w Eight Bits Inc. Była to pani Jones. Ostatnio też nie rozpoznał jej od razu, kiedy spotkali się w drogerii, a Zap leżał jeszcze w szpitalu. Nie wyróżniała się niczym szczególnym.

- Pan oczekuje od nas odwagnych i ufnych działań, bracie Fletcher - mówiła siostra LeSueur. - To właśnie usłyszałam we śnie. Błogosławieństwo należy ci się zgodnie z prawem, jeśli znajdziesz w sobie dość siły, by o nie poprosić. Jak wtedy, gdy pilnie potrzebowano mojej miłosiernej posługi. Tamtej nocy zdarzyła się burza śnieżna, nie miałam czasu, by oczyścić samochód ze śniegu. Powiedziałam więc Panu,

ze jeśli chce, bym w jego imieniu spełniła te posługi, musi oczyścić moja przednia szybę, bym mogła prowadzić. A kiedy wyszłam z domu, tylko mojego samochodu nie pokrywały dwa cale śniegu.

Spojrzenie pani Jones było nieugięte. Sądzi, że się za nią skradam, pomyślał Step. Z koszykiem pełnym zakupów i listą w dłoni, sądzi, że jestem tu tylko po to, by ją napastować.

- Duch przemówił do mnie: nadeszła pora, by brat Fletcher upomniął się o uzdrawiające błogosławieństwo od Pana.

- Prosimy o błogosławieństwa - rzekł Step - a nie upominamy się o nie.

- Ja, Pan, dotrzymuję słowa, gdy spełniacie moje przykazania - zacytowała. - Spraw, niech Pan dotrzyma słowa, bracie Fletcher, spraw i uzdrów swe dziecko. Duszyczkę jego słodka jako jęca trzymasz, jęca swej dumy, rzekł Pan.

Rzekła Dolores LeSueur, sprostował Step po cichu.

- Musisz nagiąć się do woli Pana i przestać odrzucać jego słowa. Czy wiernie oddajesz dziesięcine?

Pani Jones ciągle tam stała. Gdybym tylko miał przy sobie tasme. Mógłbym rzucić ją w jej kierunku, by przestała uważać na każdy mój ruch. Uśmiechnął się do siostry LeSueur, myśląc: udaje uśmiech. Pani Jones obserwuje mnie, jak w tej piosence The Police.

- Pójdź do swego dziecka, połóż dłoń na jego głowie i każ mu powstać i iść!

- To byłby cud - odparł. - Ma zaledwie dwa miesiące.

Jakby ktoś chlusnął w nią zimną wodą.

- Wiem przecież - powiedziała. - Byłam pewna, że rozpoznasz przenosnie.

Jestem pewny, że rozpoznasz przenosnie, kiedy kaze ci usiąść na kiju od miotły i odfrunąć.

- Siostrze LeSueur, doceniam twoją radę. A teraz muszę kończyć zakupy. - Wykrecił swój wózek, by odjechać w stronę drugiego końca regału, jak najdalej od pani Jones. Ale siostra LeSueur złapała go za rękaw.

- Bracie Fletcher, nie można w nieskończoność opierać się Panu.

Odwrócił się w jej stronę.

- Nigdy w życiu nie opierałem się Panu, siostrze LeSueur, i nigdy nie będę. Ale nie jestem aż tak zadany dialogu z Nim, by oprócz swojej wygłaszać też Jego kwestie.

Jej głos nabral metalicznego brzmienia.

- Strzeż się, by Pan cię nie wychłostał za twą pychę.

Idealny moment, by pani Jones wyciągnęła z torebki rewolwer i położyła mi jednym strzałem. Siostra LeSueur mogłaby żyć tym jednym wydarzeniem do śmierci. Ale pani Jones już tam nie było. Wycofała się, kiedy odwrócił się do niej plecami.

- A grzechy ojców spadną na ich dzieci - powiedziała siostra LeSueur.

Odszedł od niej, pchając wózek. W jednej chwili odegrał w myśli całą scenkę swej śmierci z reki pani Jones. Tak była realna, że poszczególne momenty pamiętał wyraźnie, jakby je naprawdę widział. Oto pistolet wylania się z torebki, lufa mierzy prosto w jego piers - mógłby sięgnąć i dotknąć chłodnego metalu. Czy podobnie Stevie dostrzegał swych wymyślonych przyjaciół? A w jaki sposób swe wizje odbierała siostra LeSueur? Nigdy nie odbywały się na jawie, a jednak kiedy się je wspominało, zdawały się tak rzeczywiste.

- Na trzecie i czwarte pokolenie po tych, co mnie nienawidzą - kontynuowała przestrożona Dolores LeSueur.

Skreślił za róg regalu, zostawiając za sobą przepowiednie siostry LeSueur. Pedem popychał wózek, lawirując między ludźmi, jakby był na autostradzie. Dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że nie ucieka już od siostry LeSueur, tylko szuka pani Jones. Ponieważ obserwowała go. Ponieważ kazała mu myśleć o piosenkach. Musiał się przekonać.

Nie dostrzegł jej nigdzie między regałami. Nie było jej też przy kasach. Porzucił swój koszyk, wypadł ze sklepu i zaczął lustrować parking. Przemierzał zwawo rzędy aut. Pospieszył za nią.

Być może powinien za nią krzyknąć, lecz obawiał się, że zacznie uciekać, skoro już i tak sądziła, że ją śledzi. No właśnie, kiedy ją dogonił - wkładała akurat klucz do zamka drzwi swego pinto - wydała lekki okrzyk.

Step upewnił się, że nie stoi za blisko, a dłonie jego są widoczne.

- Pani Jones, nie skradałem się za pania. Po prostu robiłem zakupy w sklepie.

Nic na to nie odpowiedziała.

- Ale to pani skrada się za mną.

Jej wargi wydęły się pogardliwie.

- To pani przysłała mi te płyty, proszę się przyznać.

Jej cera powlekła się bielą.

- Jaka płyta?

- Płyta The Police. Piosenka o obserwowaniu. Ktoś ją przesłał pocztą na nasz adres.

- Nawet nie wiem, gdzie pan mieszka.

- Jesteśmy w książce telefonicznej - powiedział Step - więc proszę nie pleść głupstw. Po prostu proszę mi powiedzieć, że to pani ją wysłała.

Uśmiechnęła się.

- Ach, tak - powiedziała. - Nie jest zbyt przyjemnie, gdy ktoś pana obserwuje, o to chodzi?

- Nigdy nie zachowywałem się wobec pani anonimowo, pani Jones.

- Nic panu nie wysłałam pocztą, pani Fletcher - odparła. - Zatem musi to być przesyłka od jakichś innych ludzi, których pan szantazuje.

- Nikt więcej nie przesładował moich dzieci.

- Więc sądzi pan, że to ja. O kolejny problem w pańskiej rodzinie oskarża pan kobietę, która już nawet nie uczy pańskiego syna.

Bawi ją ta sytuacja, pomyślał Step. Cieszy się na myśl, że ta płyta naprawdę mnie pogrzebiła. Zupełnie jak w przypadku Steviego, uwielbia pastwić się nad innymi.

- Pani adwokat nie dzwonił do mnie w sprawie złożonej na mnie skargi.

Wzruszyła ramionami.

- Lecz kapitan Douglas z policji w Steuben uważa, że odciski palców widniejące na okładce płyty wystarczą, by zidentyfikować sprawcę, co w sądzie będzie niezbitym dowodem.

- To idiotyczny pomysł.

- Wszystko w rękawiczkach, co? - zapytał. - Ale nie miała pani włożonych rękawiczek przy lizaniu znaczka i nalepieniu go na kopertę.

Wyraz przerażenia na jej twarzy był wystarczającą odpowiedzią. Szybkie zrelaksowanie się w sekundę potem tylko ją potwierdzało.

- Widzę, że poczuła pani ulgę - rzekł Step.

- Co pan przez to rozumie? - zapytała.

- Przypominając sobie, że chłopiec na poczcie sam wbijał pieczęć.

Jej oblicze obrazowało wewnętrzną walkę. Czy naprawdę miał teraz pewność, że to ona je wysłała, czy też blefował?

- Nigdy nie sądziła pani, że się za nią skradam - powiedział Step. - Od początku to pani mnie śledziła. Więc teraz pani mówie, proszę z tym skończyć. Już zdążyłem przekazać policji pani nazwisko, jako prawdopodobnego nadawcy przesyłki. Maja na pania oko. Najwyższa pora, by zostawiła pani mnie i moją rodzinę w spokoju.

- Zostawiła pana w spokoju! - Starła się, by zabrzmiało to wyzywająco, lecz wzmianka o policji nie dawała jej spokoju.

- Nie wyrządziliśmy pani żadnej krzywdy. Mógłbym złożyć doniesienie na pani temat w radzie pedagogicznej, pozwać szkołę do sądu i panią osobiście za to, czego się pani dopuściła. Pani nazwisko mogłoby się znaleźć we wszystkich kartotekach. Zamiast tego chciałem wykazać się przyzwoitością i załatwić tę sprawę prywatnie. Niech pani będzie wdzięczna za to i przestanie szukać okazji do wyrównania rachunków.

- Wdzieczna? - parsknęła. - Panu? Jest pan taki sprytny, panie Fletcher. Pan i panski bystry chłopczyk. Potrafi pan rujnować kariery ludzi. Tak, by musieli pracować dorywczo, żyjąc w hanbie i strachu do końca swoich dni.

- Zupełnie to samo czuł Stevie - rzekł Step.

Obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem, otworzyła drzwi samochodu i odwróciwszy się do plecami, wślizgnęła się do środka.

- Niemal czuje dla pani miłość - powiedział Step. - A pani raz za razem udowadnia mi, że ciągle czerpie rozkosz z krzywdzenia innych ludzi. Tak właśnie wygląda zło, pani Jones. Tym właśnie pani jest.

Zawahała się przed zatrasnięciem drzwi auta, jakby w poszukiwaniu jakiejś finałowej, rozstrzygającej riposty. Huknęła jednak tylko drzwiami i uruchomiła silnik. Step obserwował, jak z piskiem opon wypadła z parkingu na drogę.

Przynajmniej wiem już teraz, kto wysłał te płyty, pomyślał Step. Nie była to zatem sprawa mordercy, jak słusznie odgadł Douglas, tylko dreczyciela. Nic poważnego.

Kiedy wrócił do sklepu, ktoś zabrał jego wózek. Bez wątplenia pracownik sklepu pieczolowicie układał wszystko z powrotem na półkach. Westchnął, wyciągnął z kieszeni listę i zaczął od nowa.

Pewnego wieczoru pod koniec września Step miał zostać sam z dziećmi, gdy w tym czasie DeAnne miała zorganizować pokaz korzystania z rozkładu zajęć domowych na spotkaniu gospodyń. Wiedział, że powinien zająć czymś dzieci, by nie naprzykrzały się matce, gdy się przygotowywała. Lecz brnął akurat przez zawiąłany algorytm, który nie chciał się jakos ułożyć po jego myśli. Wciąż powtarzał w myśli: za minutę się rusze.

Robbie spacerował tam i z powrotem korytarzem, odbijając pileczką mocno, jak tylko potrafił; rozlegało się beztrosne bam, bam, bam, które przyprawiało Stepa o szalenstwo. Ostatecznie nie mógł już tego zniesić. Wstał i wyszedł na korytarz, by położyć kres temu waleni. W tym samym momencie DeAnne wynurzyła się w halce z sypialni, przyswiecając jej podobny cel. Biedny Robbie stał między nimi, patrząc w przerazeniu na oboje rodziców.

- Przepraszam - rzekł zdławionym głosem.

Oboje wybuchli śmiechem.

- Po prostu przestań odbijać pileczkę w mieszkaniu, Chrabaszczu - powiedział Step.

- Okej - zgodził się Robbie. - I tak na dywanie nie odbija się dobrze.

Pół godziny po tym, jak DeAnne pojechała do kościoła, rozdzwonił się telefon. Dzwoniła DeAnne.

- Wiem, że to może zabrzmieć głupio, Galganiarzu, ale zapytaj Robbiego, skąd ma te pileczkę?

- Ma ją od lat - odparł Step.

- Ale wpadła do jednej z tych ohydnych jam przed domem w pierwszym tygodniu naszego pobytu w Steuben - powiedziała. - Chce wiedzieć, jak ja stamtąd wy dostał. No bo ty jej nie wyciągnąłeś, prawda?

- Nawet nie wiedziałem, że zaginęła. Może odłożymy to na później?

- Step, proszę cię, dowiedz się albo postradam zmysły.

Zgodził się, odwiesił słuchawkę i wyszedł na poszukiwanie Robbiego.

- Ten niewidzialny facet wy dobył ja dla mnie - wyjaśnił chłopiec. - Powiedział, że nie leżała głęboko w kanale, a kiedy zawołał, sama przyszła.

Step chciał go zrugać za zmyślenie takiej bezsensownej historii, lecz wzmianka o niewidzialnym facecie kazała mu ugryźć się w język.

- Gdzie spotkałeś tego niewidzialnego faceta, Robbie?

- Dzisiaj na podwórku - powiedział Robbie. - Był nagi, bo gdyby założył ubranie, ludzie by go zobaczyli.

- Ale ty go zobaczyłeś - rzekł Step.

- Jestem twoim synem - odpowiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

Lee Weeks, pomyślał Step.

- Kiedy to było? - zapytał. - Przed czy po tym, jak Stevie wrócił ze szkoły?

- Przedtem - odparł Robbie. - Już go nie ma. Musiał pofrunąć do Raleigh.

Step obszedł dom dookoła, po dwa razy sprawdzając zamknięcia. Potem kazał Robbiemu i Steviemu pójść do pokoju Betsy i Zapa, a sam wyszedł na zewnątrz.

Zapadł już niemal zmrok, światło księżycy było słabe, lecz Step prawie od razu zauważył bladą, zwiewną postać, stojącą przy wysokim żywopłocie sąsiadów na podwórku przed domem. Step zaryglował za sobą frontowe drzwi i ruszył w jej kierunku.

- Jak tu się dostałeś zupełnie bez ubrania, Lee? - zapytał.

Lee roześmiał się, uszczęśliwiony.

- Wiedziałem, że będziesz w stanie mnie dostrzec, jak twój syn.

- Masz szczęście, że nie zobaczył cię gliniarz, Lee. Twój czyn nazywa się „obraza moralności”, trafia się za to do więzienia. - Prawde mówiąc, nagie ciało Lee było bardziej przygnębiające niż cokolwiek innego, takie blade, włosy rzuciły nagle cień. - Nie podoba mi się, że w tym stanie rozmawiasz z moim synem.

- Nic na to nie poradzę, że posiadał twoją zdolność, by widzieć rzeczy niewidzialne - powiedział Lee.

- Znowu wyrzuciłeś lekarstwa, jak przypuszczam.

- Matka patrzy mi na ręce - rzekł Lee. - Patrzy mi w usta. I obserwuje mnie, żeby mi nic nie wypłuli.

- Tak ich nienawidzisz?

- Przez nie czuje sie, jakbym poruszał sie w swiecie zasnutym mgła - odparł Lee. - Kiedy ich nie biore, wszystko nabiera takich wyraźnych, ostrych konturów. Dostrzegam nieskonczonosc. A moje mysli - mysle mysalami Boga. Nie musze spac. Nie spałem od pieciu dni.

- Moze i tak - powiedzial Step, ale jesli Lee jest Bogiem, to Bóg zuje gume. - Dlaczego tu jestes?

- Jesli naprawde chcesz byc moim rzecznikiem, musisz sie poddac testowi.

- Ja nie chce byc twoim rzecznikiem, Lee. Gdzie twoje ubranie?

- To sa szaty mojej niewoli - odparl. - Nigdy nie mialem ubran.

- No dobra, nie pasuja przeciez na twoja matke?

- Moja matka cie lubi - powiedzial Lee. - Sadzi, ze jestes naprawde bystry.

- Milo mi.

- Lecz twierdzi, ze nie lubisz kobiet psychiatrów.

- Jest w bledzie - rzekl Step.

- Och, nie musisz udawac. Ja ich tez nie lubie. Sa takie napuszone. I nie wiedza, jak to jest. Maja te swoje leki, by zmienic cie w robota, kiedy jestes tak blisko, by objac wszystko wzrokiem. By ogarnac wszystko.

Wszystko, czego akurat teraz potrzebuje, pomyslal Step, to sposobu na bezpieczne dostarczenie cie pod opieke matki, bez powiadamiania policji, jesli to mozliwe, i bez pozostawiania dzieci bez opieki.

- W tym zyciu nigdy nie ogarniamy wszystkiego, Lee.

- Ja tak - rzekl Lee. - Widze, ze planujesz zadzwonic do mojej matki.

- Oczywiscie - powiedzial Step. - Potrzebujesz lekarstwa.

- Juz nigdy wiecej. Mam zamiar nie klasc sie spac przez siedem dni, a siódmego dnia osiagne pelnie mocy. Sam wiesz, sen poskramia nasze umysly. Raz juz mi sie niemal udalo. Prowadzilem wtedy moja czarna jak smola gablotę; wiedzialem, ze wystarczy, bym oparl glowe odpowiednio na fotelu, a wtedy wszedzie pofrunę. Byl we mnie Bóg. Szkoda, ze tego nie zrobilem, Step. Lecz policja nie chciala mnie sluchac. Facet z tego parkingu musial do nich zadzwonic. Nie chcial zrozumiec, ze to juz jest mój samochód. Jechalem dokladnie piecdziesiat piec mil na godzine, wiec policjanci nie mogli mnie zatrzymywac. Lecz nie mieli szacunku dla prawa. Wiedzieli, ze musza mnie zatrzymac, nim zacne sie unosic. Odcieli mi droge, jakies piec czy szesc policyjnych wozów, i wysiadlem z auta, kiedy mi polecili, ale oni jeszcze kazali mi sie polozyc i zwir pokaleczyl mi twarz, to naprawde bolalo. - Jego glos pod koniec wibrowal placzliwie. Cos jak skowyt, dziecięce lkanie. Step przypomniał sobie piskliwy, dziecięcy głosik Howiego Mendela. Zabawne bylo, kiedy go wydawal.

- To zdarzylo sie w szpitalu. Powiedzialem im, ze nie cierpie byc skrepowany. Lecz tak czy inaczej

zdarli ze mnie odzież, włożyli mi coś podobnego do kaftana bezpieczeństwa, jaki musisz mieć, gdy kładą cię na stole. Możesz, na przykład, unieść jedną rękę, lecz jeśli to zrobisz, zaciskają się wszystkie pozostałe opaski, razem z tą opasującą gardło. A więc jeżeli podniesiesz naraz obie ręce, możesz się udusić. Tak sobie wtedy myślałem, a gdyby tak spaść ze stołu? Uduszę się tu, a oni nie robią nic, bo są o mnie zazdrośni i chcą, żebym umarł, nim wzrosnie moja potęga.

- Lee, sadzę, że oni chcieli ci pomóc.

- To mnie zabijało. Zacząłem więc krzyknąć: „Nie znoszę tego, nie znoszę tego!” Powtarzałem to w kółko, ale kiedy w końcu zjawił się ten facet, zacisnął pasy jeszcze mocniej, że nie mogłem ruszyć nawet jedną ręką, i powiedział: „Nie popuszczymy, dopóki nie pokazesz nam, że panujesz nad sobą”. Ja im na to: „Jak mogę panować nad sobą, skoro jestem związany? Musicie pozwolić mi wstać, nigdzie nie odejdę, obiecuję”. Lecz on odparł: „Akurat!” Wówczas przyjechała moja mama z lekarstwem, ale kiedy chciała mi je zaaplikować, wyplułem je prosto na nią. - Zaniósł się szalenczym śmiechem. Potem przestał. - Nie pozwala mi już prowadzić. Musiałem tu przyjść na piechotę. Patrz. Moje stopy krwawią.

Powiedział prawdę. Kiedy usiadł na trawie i pokazał stopy, Step dojrzał w słabym świetle dobiegającym z werandy, że są poważnie pokaleczone i pobrudzone kawałkami zuzłu i ziemia.

- To musi boleć - rzekł Step.

- Mnie ból nie dotyczy - odpowiedział Lee. - Wiem, że stoję na krawędzi potęgi. Ból nic dla mnie nie znaczy. Mogłbym cię przelamać na pół, a ty byś mnie nie skrzywdził. Mogłbym rozerwać cię na kawałki.

Step wyobraził sobie Lee rozmawiającego w tym stanie z Robbiem i wstrząsnął nim dreszcz.

- Nadszedł czas na twój test - powiedział Lee. - By się przekonać, czy jesteś godzien zostać moim sługą i towarzyszyć mi w niesmiertelności.

Step wyobrażał sobie kilka sposobów osiągnięcia niesmiertelności i nie życzył sobie, żeby któryś z nich znalazł teraz swoje zastosowanie, a szczególnie ten uwzględniający Lee Weeksa.

- Nie mam zamiaru poddawać się żadnym testom.

- W porządku. Ale założę się, że nie zgadniesz, jak nabrałem mamę z tym lekarstwem.

Step powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- Schowałeś tabletkę w gumie do żucia.

Lee zarechotał z uciechy.

- To właśnie był test! Zdales go!

- Tylko jedno pytanie? I to ma być cały test?

- Dokładnie. Teraz mam zamiar wziąć cię z sobą. - Lee podpełzł na czworakach do żywoplotu, gdzie zaczął czegoś szukać. Pistoletu? Step nie miał ochoty czekać biernie na odpowiedź.

- Zaczekaj no chwilę. A co z moim testem dla ciebie?

- Mnie nie poddaje sie testom - wyczedzil Lee. - Jestem Bogiem, idioto.
- Ty tak mówisz. Kazdy moze tak powiedziec.
- Ale jestem niewidzialny.
- Nie dla mnie.
- Jaki w takim razie jest ten twój test? - spytał w koncu Lee.
- Wejde tylko po cos i to wezme.
- Co wezmiesz?
- To test. Bedzie to przedmiot, a ty bedziesz mi musial powiedziec, skad go wzialem. Jesli jestes Bogiem, zgadniesz.
- Juz wiem, co to jest. Bóg juz przejrzał twój test na wylot. Kiedy cie pytałem, to byl zart.
- Okej - rzekl Step. - Zaczekaj tutaj.

Otworzył drzwi frontowe, wszedł do srodka i zamknal je za soba. Zmierzajac do telefonu, zawolal Steviego. Telefon u dr Weeks juz dzwonil, kiedy Stevie wszedł do kuchni.

- Przynies mi natychmiast pileczke Robbiego. Powiedz mu, ze jest mi teraz bardzo potrzebna.

Wtedy odezwala sie dr Weeks.

- Czy szuka pani Lee?
- Jest u pana?
- Goly rozpowiada, ze zapewni mi niesmiertelnosc. Byc moze ma przy sobie pistolet.
- Lee nie naduzywa przemocy - odpowiedziala.
- Jego stopy sa mocno poranione. Sadze, ze potrzebna bedzie karetka.
- Zaraz tam bedziemy. Niech mu pan nie pozwoli odejsc. - Odlozyla sluchawke.

Zblizyl sie Stevie z pileczka. Robbie szedł za nim.

- Idzcie z powrotem do pokoju Betsy, chlopcy - nakazal im Step. - Zostancie tam i nigdzie nie wychodzcie.

Kiedy wyszedł znowu na zewnatrz, zamknal za soba drzwi i wyciagnal pileczke.

- Poznajesz? - zapytal.
- Przyzwalem ja i przybyla do mnie - powiedzial Lee. - Przyzwalem ja powtórnie i oto mi ja przynosisz.

- Skąd mam te pileczkę, Lee? Jeśli jesteś Bogiem, będziesz to wiedział.

- Dostałeś ją od Robbiego, oczywiście.

- Nie, Robbie dostał ją ode mnie. Jako prezent. Pytam więc powtórnie, skąd mam te pileczkę?

Lee próbował kilku odpowiedzi, ale po każdej natychmiast zastrzegł się, by Step mu nie wyjawiał, czy ma rację.

- To bardzo trudne. Masz wielką moc, bracie Fletcher. Zdolny jesteś ukryć tę wiedzę przede mną.

Gra w zgadywanke trwała, dopóki dziesięć minut później nie pojawił się ambulans wraz z dr Weeks na pokładzie.

- Wyrolowałeś mnie, sukinsynu - powiedział Lee.

- Istota testu było - rzekł Step - poznanie, że to wcale nie był test.

Furia Lee przeszła w rozczarowanie.

- W takim razie nie zdalem.

- Nie jesteś Bogiem, Lee. Jesteś po prostu miłym chłopcem z poważnym problemem.

Lee stał bez ruchu, gdy mężczyźni z karetki chwytały go za ramiona. Dr Weeks podeszła do niego, ze strzykawką w dłoni.

- Proszę, nie, mamo - powiedział Lee. - Wszystko zburzysz, wszystko pójdzie na marne.

- Musisz się przespac - rzekła dr Weeks.

- Muszę się przespac z tobą - powiedział Lee ze śmiechem. - Czy nie tak właśnie twierdził twój drogocenny Freud? Muszę zabić tatę i przespac się z tobą.

- Jak tym razem pozbyłeś się tabletki?

- Step wie.

- Schował ją w gumie do żucia - poinformował Step.

Lee wyglądał na przybitego.

- Powiedziałeś.

Dr Weeks nacisnęła tłoczek strzykawki i Lee patrzył zafascynowany, jak ciecz wpływa mu do reki.

- Czy to szybko działa?

- Tak - odpowiedziała dr Weeks.

Rzeczywiście tak było. Kiedy wnosili go do karetki, Lee nie miał siły utrzymać się na nogach. Wewnątrz

umocowali go pasami.

- Zabierzcie go od razu do osrodka - przykazala im dr Weeks. - Juz go oczekuja. Wkrótce sie tam zjawie.

Odjechali. Dr Weeks stala na trawniku, mierzac Stepa wzrokiem.

- Dziekuje - powiedziala.

- Musi byc pani ciezko - rzekl Step. - Byc psychiatra i równocześnie miec dziecko dotkniete depresja maniakalna.

- To z przyczyny Lee zostalam psychiatra. Zebym mogla go zrozumiec.

- A rozumie pani?

- Nie - przyznala sie. - Nie, gdy znajduje sie w takim stanie. A nawet wtedy, gdy nie znajduje sie w takim stanie. Mysle, ze podoba mu sie wlasne szalenstwo. Mysle, ze nie chce byc zdrowy. - Usmiechnela sie nieznacznie. - Pan mnie nie lubi, panie Fletcher.

- Wydaje mi sie, ze powinna nas pani ostrzec, kiedy Lee przylaczyl sie do Kosciola.

- Kiedy ktos jest samotny i zmysly odmawiaja mu posluszenstwa - powiedziala cicho - chwytala sie nawet strzepka nadziei.

- Spodziewala sie pani, ze moze nam uda sie go wyleczyc? - spytal Step, myslac o siostrze LeSueur i zastanawiajac sie, czy podjelaby sie tego zadania.

- Nie. Ale pomyslam, ze skoro wierzycie... ze Bóg przemawia do ludzi... Pomyslam, ze moze go zaakceptowac.

- Tak tez postapilismy - odparl. - W znacznej mierze.

- I ja tak postapilam - powiedziala dr Weeks. - W znacznej mierze.

Kiedy juz odeszla, przetrzasnal zywoplot, szukajac tego, co zostawil Lee. Okazalo sie w koncu, ze to nie bron. Znalazl „Ksiege Mormona”, która Lee dostal od misjonarzy.

Trwala jesien, rozklad dnia nie zmienil sie w zasadniczy sposob. Jerusha przyprowadzila z soba w czasie pazdziernikowej wizyty fizykoterapeute, który wyjasnil Stepowi, ze to, co robi - chodzilo o napinanie miesni Zapa i poruszanie konczynami w najwiekszym mozliwym zakresie - jest nie tylko dobre, ale i nieodzowne.

- Jego mózg moze nie byc normalnie polaczony z miesniami. Kiedy wydaje rozkaz, dawka jest zbyt silna, dlatego tak mocno kopie, lecz nagle impuls zanika, tak po prostu, skutkiem czego zaden ruch nie jest dluzej podtrzymywany. Sam z siebie nie potrafi utrzymac w konczynach gietkosci, ze tak powiem. Wiec powinniscie pilnowac, by jego sciegna nie zeszytnialy. Tak samo cwiczy sie pacjentów pograzonych w spiaczce.

- Jak długo będziemy musieli to robić? - zapytał Step.

- Dopóki nie znajdzie jakiejś innej ścieżki nerwowej, wtedy sam o to zadba. Tak się stanie, zobaczycie. Dajcie mu tylko trochę czasu.

Brzmiało to budująco, od tego czasu DeAnne i Step zmieniali się dwa razy dziennie, gięli i rozciągali wszystkie stawy Zapa. Nawet Robbie i Stevie brali udział w tej pracy - Stevie wykonywał ją cicho, bez słowa, powtarzając dokładnie to, co zauważył u Stepa i DeAnne; Robbie był zbyt brutalny i nigdy zbyt nie przestrzegał prawidłowej metody, dlatego rodzice nalegali, by skupił się jedynie na „zginaniu Zapa”.

Najcięższą pracą DeAnne związaną z Zapem była kąpiel. Zap wiele nie płakał - tylko wtedy, gdy go bardzo bolało, co zdarzało się najczęściej, gdy karmiła go mieszanka, a jemu rzadko przy tym się odbijało. Jednakże kąpiel była dla niego meczarnią. Z jakiegoś powodu wpadał w popłoch na widok wody. Być może, Step spekulował, dlatego że siła grawitacji jest jedyną rzeczą, nad którą panuje w życiu, a w wodzie grawitacja nie działa już w ten sam sposób. DeAnne odpowiedziała tylko: „Może, ale kto to wie na pewno?” Ważne, że kąpiel była jedyną chwilą, kiedy Zap naprawdę się złościł, miotał się, jego desperackie okrzyki cwiartowały po prostu serce DeAnne, ponieważ nie mogła mu ulżyć, nie przerywając przy tym kąpiele. Ostatecznie wynalazła piosenkę zatytułowaną „Na wanieńkę czas”. Była kompletnie absurdalna i kiedy pierwszy raz zdała sobie sprawę, że Step jej słucha, zaczerwieniła się i przerwała, ale nalegał, by nauczyła go słów; potem śpiewał razem z nią, tak więc od tej pory już się nie wstydziła.

Na wanieńkę czas już na wsi,

Na wanieńkę czas też w mieście.

Do wanieńki, do wanieńki

Jeremy’ego dzisiaj niescie!

Wiec szuru-buru, rach ciach ciach,

Pod posciel już wskoczyc musisz.

Do wanieńki biegnie cały świat,

Wiec prosze cie, nie krzyw buzi.

Jak wyjaśniła Stepowi, piosenka w ogóle nie pomaga Zapowi. Ale pomaga jej. Uspokaja ją w takim stopniu, że może znieść desperackie szlochanie, nie przerywając kąpiele i zachowując przy tym serce w jednym kawalku.

Gdzieś w połowie października Step i DeAnne uswiadomili sobie, że zachowanie Stewiego zmienia się nieznacznie. Nie był już taki posłuszny jak uprzednio, czasami zdawał się nawet buntować. Panowała teraz zasada, zgodnie z którą żadne z dzieci nie mogło wyjść na zewnątrz bez towarzystwa przynajmniej jednego z rodziców, z czego Stevie zdawał sobie sprawę - Step kilka razy przyłapał Betsy wychodzącą

sama na podwórko i przyprowadzał ja do domu. Ale pewnego dnia DeAnne, wychodząc do pokoju dziennego od tyłu, spostrzegła, że Stevie wraca z podwórka.

- Stevie, co robiles na zewnatrz?

- Rozgladalem sie - odpowiedzial Stevie.

- Wielkie nieba, mlody czlowieku, alez ty jestes upaprany! Gdzie ty sie podziewales?

- Bylem pod domem - powiedzial.

Przypomniała sobie obramowanie z płytek wokół podstawy budynku i momentalnie powrócił wymagany obraz tego, co się mogło pod spodem znajdować, wszystkie te robaki, pajeczyny, błoto i brud. Spotkanie ze świerszczami wyskakującymi z dziury w szafce ściiennej zeszłej zimy na pewno nie pomogło jej zmienić tej wizji.

- To po prostu nie do wiary! - powiedziała. - Znasz zasady dotyczące wychodzenia na zewnątrz i pomysleć, że wydlubałeś płytkę i wczłogałeś się pod dom, tego po prostu nie da się opisać! Mam zamiar poprosić Bappy'ego, by zalatal wszelkie dziury. A teraz idź do pralni, zrzuć z siebie te lachy, a ja przygotuję ci kąpiel.

Tego samego wieczoru DeAnne omówiła to zdarzenie ze Stepem i oboje doszli do wniosku, że przez to ciężkie przystosowywanie się Stewiego i ich troskę o jego niewidzialnych przyjaciół nadmiernie mu pობlazali. Mogą nie wykształcić w nim odpowiedniej dyscypliny.

- Ale pomyśl, nie musieliśmy wpajać mu tej dyscypliny - rzekł Step. - No wiesz, do teraz nie popełnił żadnego wykroczenia.

- No tak, ale to było do dzisiaj, a teraz nie wiem, co zrobić. Nie mogę zacząć zamykać tylnych drzwi na trzy spusty i chować kluczy, bo co będzie, jeśli na przykład wybuchnie pożar? Już widzę nagłówek w gazecie: RODZINA MIAŁA MNÓSTWO CZASU NA UCIECZKĘ, LECZ WSZYSTKIE DRZWI BYŁY ZAMKNIĘTE, A KLUCZY NIE UDAŁO SIĘ SZYBKO ODNALEZĆ.

- Nie pisze się takich długich nagłówek - zauważył Step.

- No tak, w porządku, więc wszyscy zginiemy i nikt nigdy nie dowie się dlaczego?

- Mniej wstydu przynajmniej.

- Sadzę, że musimy go przekonać, że to poważna sprawa. To znaczy, jest gdzieś w Steuben morderca, a Stevie wymyka się z domu bez powiadomienia nas. Nie wspominając o człoganiu się pod domem, co dla mnie jest ohydne.

- Nie tak do końca - rzekł Step. - Nie, zważywszy na to, że moje młodsze rodzeństwo zwykle jadło ziemię.

- Do krocset! - wykrzyknęła DeAnne. - Czy musiałeś mi o tym mówić?

- Wrócili do domu z twarzą ubrana błotem i próbowali odgrywać niewiniątka, kiedy mama pytała: „Znowu jedliście ziemię?” Otwierali buzie, by powiedzieć: „Nie, mamó”, a w ustach było czarno od szlamu.

- Zaraz zwymiotuje, Step. Mówcie poważnie.

- Chcę tylko powiedzieć, że dzieciaki lubią bawić się z ziemią. Zawsze lubiłem kopac, ryc, a może Stevie ma podobne upodobania, tylko nie za bardzo ma gdzie to robić.

- Ten dom wynajmujemy. Nie możemy tak po prostu wyrwać skrawka trawnika.

- Och - powiedział Step. - To właśnie miałem zasugerować.

- Mamy październik, na zewnątrz nie będzie już ciepło. A co najważniejsze, to nie ma związku z wychodzeniem z domu bez pozwolenia. Musi wiedzieć, że nie zartujemy.

- Okej, więc uwięzimy go w domu.

- Step, więzienie w domu nie jest normalne. Poza tym chcę, żeby wychodził.

- A zatem zakazemy mu używać komputera. Jutro zero Atari.

- Och, to naprawdę zaboli. Zawsze gra w Lode Runnera.

- Naprawdę? Nigdy nie widziałem, żeby w niego grał. Sądziłem, że ja jestem jedyną osobą, która w to grała - myślę, że gra okazała się całkiem chybionym prezentem na urodziny.

- Nie, gra w nią cały czas. Nawet kilka razy sadziłem, że fajnie by było, gdybyś mnie nauczył, jak się w nią gra.

- To nic trudnego. Upewniasz się tylko, że nie ma w komputerze żadnych cartridge'ów, wkładasz dyskietkę, zamykasz drzwiczki i uruchamiasz maszynę.

- No tak, dla ciebie i Steviego to łatwe.

- Zróbmy to więc teraz.

Przeszli do pokoju dziennego, gdzie Step pokazał jej, co należy zrobić, potem włączył komputer i uruchomiła się gra, a wówczas Step powiedział:

- Oto ja masz. Prowadzisz po prostu ludzika za pomocą joysticka i starasz się zebrać wszystkie skarby, uważając jednocześnie na tych zbirów.

- To nie jest Lode Runner - stwierdziła DeAnne.

- Jak to nie jest? Jest.

- Nie, to tylko ta gra z ludzikiem. Widziałam, jak ty w nią grasz.

- To prawda, a gra z ludzikiem nosi nazwę Lode Runner.

- Nie - sprzeciwiła się.

Step wyluskał ze stacji dyskietki i pokazał jej etykietkę.

- Zobacz! To ci dopiero cud! Na dyskietce napisano Lode Runner, a jednak na ekran wyskakuje niewielki ludzik!

- Nie, to znaczy, oczywiście, masz racje, po prostu myślałam, że Lode Runner to inna gra.

- Tak, która?

- Ta, w którą Stevie zawsze gra. Gra ze statkiem piratów. Czasami naprawdę wygląda pięknie, kiedy tak sobie zeglują, zagle łopocza na wietrze. Na wanty wspinają się marynarze - nigdy nie widziałam podobnej gry. Bez obrazu, ale ciągle myślałam: „Zeby Step mógł zrobić podobną grę”.

- Oczywiście, nie czuje się urazony - odparł Step. Był lekko poirytowany, ale liczyło się to, że ona także widziała te gry z piratami, widywała ją dostatecznie często, by dostrzec jej cechy charakterystyczne. - Musi wylaczac ją, kiedy tylko jestem w pobliżu. Widziałem ją tylko przelotnie.

- Wcale nie, gra w nią godzinami - rzekła DeAnne.

- Przy tobie?

- No jasne.

- Przez cały czas rozmawiając ze swymi przyjaciółmi?

- Hm, no tak - odpowiedziała. - To wtedy podchwytuje ich imiona. Gdy słucham, co do nich mówi.

- Zauważyłaś może, co robi z joystickiem, kiedy gra?

- Och, sadzę, że porusza nim raz na jakiś czas, ale to inny typ gry.

- No, nie powiedziałbym - rzekł Step. - A czy wstukuje coś? Używa klawiatury? Albo wioselek?

- Jakos nie pamiętam - odparła DeAnne. - A o co chodzi?

- No bo jeżeli nie posługuje się joystickiem ani klawiaturą, ani czymkolwiek, więc co to za gra? Co on naprawdę robi?

- Czy musi robić cokolwiek?

- DeAnne, jeśli ma wpływ na to, co dzieje się na ekranie, to wtedy to jest gra, w przeciwnym razie to film.

- No dobrze, ale ludzie chodzą na mecze futbolu i oglądają je, a choć nigdy nie kopią piłki, to w dalszym ciągu jest to gra.

- Bo na boisku grają istoty ludzkie. Lecz jaki człowiek steruje tym statkiem korsarzy? Przecież nie Stevie.

DeAnne zmarszczyła czoło.

- Wiesz, że nie znam się na komputerach, naprawdę, z wyjątkiem uruchomienia twojego Altosa i

dostania się do Wordstara, w którym mogę pisać materiały dla Kosciola.

- Uwierz mi na słowo. Przyczyna, dla której nie stworzyłem nigdy gry z tak cudowną animacją, jest to, że tego się nie da zrobić.

- A właśnie, że się da - uparła się DeAnne. - Sama widziałam.

- Na tej maszynie jest tylko 48 kilobajtów RAM-u, a dysk nie pomiesci nawet stu kilobajtów. Trzysekundowy rejs tego statku wraz z marynarzami pływającymi na maszty pochłonąłby ostatni skrawek tej pamięci. A mimo to statek porusza się cały czas po ekranie, tak?

- Dwa statki, czasami trzy - powiedziała DeAnne.

- Czasem też są mniejsze lub większe?

- Stają się większe, kiedy podpluwają bliżej, tak sądzę.

- Tego się nie da zrobić. Z pewnością tego się nie da zrobić tak, by animacja była płynna.

- Dobrze, ale ja to widziałam, Step, więc nie mów mi, że tego nie można zrobić, skoro nie wiesz jak!

Step powstrzymał się od dalszej polemiki.

- Cała ta dyskusja ma tylko wyjaśnić, jak dać Steviemu do zrozumienia, że poważnie traktujemy sprawę wychodzenia na dwór, pamiętasz?

- No tak.

- Więc powiemy mu, że jutro nie może włączać komputera, okej?

- Okej.

Nie było to wcale takie proste. Kiedy oznajmili to Steviemu następnego ranka przy śniadaniu, nim poszedł do szkoły, wyglądał na naprawdę wstrząsnietego.

- Nie możecie - powiedział.

- Zdaje mi się - rzekł Step - że możemy.

- Proszę - błagał Stevie. - Będzie już grzeczny.

- Wiemy, że jesteś grzecznym chłopcem - powiedziała DeAnne. - Ale musimy pomóc ci zrozumieć, jak ważne jest, żebyś nie wychodził z domu bez pozwolenia.

- Proszę, nie zakazujcie mi używać komputera. - Zaczął płakać. Uplynęły całe miesiące, odkąd Stevie płakał po raz ostatni.

- Przecież nie zabieramy ci go na zawsze - powiedział Step.

- Tylko na jeden dzien - dodala DeAnne.

- Nie mozece - opieral sie dalej Stevie.

- Czemu nie? - zapytal Step.

Stevie odsunal miske z platkami, polozyl glowe na stole i szlochal.

Step spojrzal na DeAnne skonsternowany.

- Stevie - powiedziala DeAnne. - Twoja reakcja martwi mnie niemal w tym samym stopniu, co złamanie reguly niewychodzenia z domu. Nie mialam pojecia, ze tak uzaleznils sie od komputera. Sadze, ze to niezdrowe. Moze potrzebujesz spedzic z dala od komputera o wiele dluzszy czas niz jeden krótki dzien.

Przy tych slowach Stevie odsunal krzeslo i chwiejnie podszedl do kata przy oknie. Wygladal dziko, byl zdesperowany.

- Nie mozece! To jedyna rzecz, dla której jeszcze zostaja! Jesli nie bede mógł grac, odejda!

DeAnne i Step spojrzeli po sobie, równocześnie dochodzac do tej samej konkluzji. Czy pozbycie sie jego wymaginowanych przyjaciół bylo az takie latwe? Nalezalo po prostu wylaczyc komputer?

- Nie macie prawa! - Stevie wrzeszczal na nich. - Tak sie staralem!

Slowa Stewiego byly tak dziwne, ze Step przypomniał sobie rozmowy z Lee w czasie jego napadów szalenstwa. Nie, pomyslal Step, odrzucajac porównanie. Po prostu nie rozumiem kontekstu wypowiedzi Stewiego. Jesli zrozumie kontekst, wszystko nabierze sensu.

- Uspokój sie, Kluczniku - rzekl Step. - Uspokój sie, zrelaksuj. Twoja mama nie powiedziala wcale, ze definitywnie odbieramy ci komputer. Ale spojrz na siebie. Wymykasz sie spod kontroli. To jest grozne, kaze nam przypuszczac, ze poswiecasz o wiele za duzo czasu komputerowi.

- Nie tyle, ile ty spedzasz przy swoim - odparowal Stevie.

- Przypadkiem to moja praca. Przypadkiem z tej pracy pokrywamy oplaty za dom, jedzenie i szpitalne rachunki Zapa.

- Czy tylko ty jeden w rodzinie masz prace do wykonania? - zapytal Stevie.

To pytanie zadziwilo Stepa.

- A co, moze ty masz prace do wykonania? - zapytal chlopca.

- Prosze, nie zabraniajcie mi grac na komputerze. Nigdy juz nie bede niegrzeczny, prosze, prosze, prosze.

- Stevie, ty nie byles niegrzeczny, tylko po prostu...

- W takim razie nigdy juz nie bede taki, jaki bylem, tylko nie kazcie mi przestac z nimi grac, odejda i juz ich nie odnajde. Tak ciezko bylo ich wszystkich razem zebrac, tak ciezko.

Nagle w wyobraźni Stepa ukazał się obraz. Ta gra ze statkami piratów stała się w umyśle Steviego całym światem wymaganych przyjaciół. Bawił się z nimi na podwórku za domem, ale teraz wszystko przeniosło się do mieszkania, więc mógł ich znaleźć jedynie wtedy, gdy grał. Oznaczało to, że może Stevie już nie ma halucynacji. Może widzi ich tylko wtedy, gdy stanowią piksele poruszające się na ekranie; ogarnia go lek na myśl, że jeśli wyniosą się w inne miejsce, już ich nie odnajdzie.

No tak, czy nie tego właśnie chcieli? Sądzi, że Stevie nie czyni żadnych postępów, lecz bez ich wiedzy chłopiec przestał mieć halucynacje. Zatem postęp dokonywał się stopniowo i powoli, dzięki czemu nie musieli wywierac na niego presji. Wymyślił tych chłopców, by pasowali do imion, które mu narzucono, by obdarzyć ich materia, potem zaś dobudował im cały świat. Trzeba pozwolić, żeby z nich wyrósł, żeby proces, który się rozpoczął, trwał. Żeby powrócił do rzeczywistości,

- Co powiesz na to? - spytał Step. - Zamiast odcinać cię od komputera, wyznaczmy limit czasowy. Jeśli odrobisz zadanie domowe, zjesz obiad, wykupisz się, a to wszystko przed siódmą trzydziestą, możesz grać do ósmej trzydziestą, a później, choćby walały się góry, komputer zostaje wyłączony, a ty jesteś w łóżku.

- Codziennie? - zapytała DeAnne. - To mi nie wygląda na wielkie ograniczenie.

- Może porozmawiamy o tym później? - zwrócił się do żony. - Zaczniemy od godziny dziennie, a potem zobaczymy. W porządku, Stevie?

- Nawet dzisiaj? - zapytał chłopiec.

- Dzisiaj wciąż obowiązuje zakaz - powiedziała DeAnne.

- A może by inaczej - zasugerował Step. - Zaraz po szkole nie ma mowy o komputerze, a później ja z mamą porozmawiamy i postanowimy o wieczorze.

DeAnne popatrzyła na niego, w jej oczach dało się wyczytać irytację, lecz wyraz twarzy Stepa pozostał nieprzenikniony, kazał jej dostosować się do umowy mówiącej, że nigdy nie będzie odgrywać dobrego i złego rodzica na oczach dzieci - choć w rzeczywistości sam naruszył tę umowę.

Tak naprawdę umowa uwzględniała niewypowiedziane uzgodnienie, że jeśli jeden rodzic jest o czymś głęboko przekonany, drugi rodzic, mniej przekonany, nie będzie się przeciwstawiał. I chociaż DeAnne wyraźnie czuła, że powinna mieć pierwszeństwo, sam fakt, że Step mimo to nalegał, powiedział jej, że powinna się wycofać.

Tak więc zrobiła.

Stevie uspokoił się już znacznie, choć wciąż miał podkrążone, a twarz blada.

- Sądzi, że możesz pójść dzisiaj do szkoły? - spytał Step.

Przytaknął.

- Stevie, czy zaprzyjaźniłeś się z kims w tym roku w szkole?

Wzruszył ramionami.

- Stevie, czy dzieci rozmawiają z tobą?

Wzruszył ramionami, potem skinął głową.

- Stevie, czy bywa, że dobrze się bawisz?

Stevie patrzył przez chwilę na niego.

- Jasne - rzekł w końcu.

- No tak, ale oprócz komputera?

Kiedy Stevie nie odpowiadał, wtraciła się DeAnne:

- Jeśli któryś z was, chłopców, chce zdążyć dziś do szkoły, musimy już wyjeżdżać. A potem wasz ojciec i ja mamy zamiar odbyć długą rozmowę.

Odbyli rozmowę, która jednak nie była burzliwa. Step wyjaśnił swój punkt widzenia, DeAnne zgodziła się z nim, oboje zdecydowali, że ograniczanie do jednej godziny czasu przy komputerze pozwoli Steviemu wyzwolic się, bez stresu związanego z przerwaniem grania i nagłą utratą przyjaciół.

- Najśmieszniej było - powiedziała DeAnne - no wiesz, wtedy, gdy powiedział: „Czy tylko ty jeden w rodzinie masz prace do wykonania?”

- Tak, nie wiedziałem, czy zachwycić się, że okazuje tyle emocji, czy też przerazić się faktem, że po raz pierwszy w życiu krzyczał na swego ojca.

- Wiesz, o czym pomyślałam, kiedy to mówił? Pomyślałam: „Czy nie wiecie, że muszę się troszczyć o sprawę mego ojca?”

Step spoglądał na nią i po chwili powiedział:

- A czy ty wiesz co mi to przypomina?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Lee Weeksa - rzekł Step. - Najpierw myśli, że jest Bogiem, a potem ty myślisz, że jesteś Dziewicą Maryją.

- Ja nie żartowałam.

- Miałem nadzieję, że żartujesz - powiedział Step.

- Może on zajmuje się czymś naprawdę poważnym, Step. Może ma bardziej wyrazistą wizję świata niż my. To znaczy, wiemy już, że w niektórych aspektach on rozumie więcej od nas, zawsze tak było.

- Nie przeczę - powiedział Step. - Ale mówimy tu o grach komputerowych.

- Mówimy o Steviem, który ma świadomość zła nawiedzającego ziemię. Czyżbyś już zapomniał, że znalazł imiona?

- Seryjny morderca nie dał znaku życia, odkąd ukazał się ten artykuł.

- Ale chłopcy, których zabil, są wciąż martwi - powiedziała DeAnne. - A Stevie ciągle bawi się z wymyślanymi przyjaciółmi, którzy noszą ich imiona. Skąd my możemy wiedzieć, co jest, a co nie jest ważne? Kiedy Jezus, będąc chłopcem, stał w świątyni, rozmawiając z uczonymi w piśmie, większą wagę to miało niż ciesielska praca Józefa i troska matki.

- Może masz rację. Lecz mimo że Maryja martwiła się o niego, Józef nadal strugał w drewnie, ponieważ to była jego praca. A kiedy przyszli, by zabrać Jezusa ze świątyni, udał się wraz z nimi. Nie stał, płacząc i krzycząc na nich. Wiem, DeAnne, ale bez przesady.

- Masz rację. Po prostu opowiedziałam ci, o czym wtedy myślałam.

Ostatni raz Lee Weeks zadzwonił dwudziestego szóstego października, w środową noc. Był to drugi dzień inwazji na Grenadę i Step przerwał pracę, cały dzień śledził wiadomości. O pierwszej w nocy Step nadal siedział przed odbiornikiem, w pokoju dziennym przelaczał programy z wiadomości na głupie, stare filmy. Kiedy zadzwieczał telefon, pomyślał, że albo ktoś umarł, albo dzwoni z Utah ktoś, kto zapomniał o różnicy czasu.

- Rozpetana się wojna - powiedział Lee.

- Cześć, Lee - powiedział Step.

- Oszczędziłem ćwierć dolara, które mi posłałeś. Podniosłem je z chodnika, gdzie je zostawiłeś.

Proszę, pomyślał Step, proszę nie dzwonić już do mnie więcej.

- Widzieli, jak podnoszę coś z chodnika i przeszukali mnie, lecz ja je połknąłem.

- Połknąłeś ćwierć dolara?

- Wiedziałem, że dostanę monety z powrotem, a kiedy się to stanie, zadzwonię. Znalazłem ją tego dnia, kiedy wysadzili piechotę morską. Poznałem, że Bóg ma dosyć świata, a później ty posłałeś mi ćwierć dolara i pomyślałem, że jestem gotowy. A teraz, gdy wojna rozgorzała na planecie, dostałem z powrotem moją ćwierćdolarówkę.

- Skąd dzwoniisz? - zapytał Step.

- Z aparatu w poczekalni. Nie mogę długo mówić, bo salowi zauważa, że nie wracam do łóżka. Dlatego musisz działać szybko. Czy łódź podwodna jest gotowa?

- Lee, ja nie mam żadnej łodzi podwodnej.

- Nie! - krzyknął. - Nie! Nie!

Step chciał kazać mu zniżyć głos, lecz zdał sobie sprawę, że jeśli Lee znajduje się w jakiejś instytucji i ukrywa się, pozwalając mu krzyczeć do słuchawki, spowoduje, że szybciej go odnajdą.

Jednak po chwili Lee przestał krzyczeć.

- Ona mnie tu wsadziła - powiedział. - Lecz Bóg traci już cierpliwość. Mecz go te moje powroty do spania, ale nic na to nie poradzę. Nic na to nie poradzę. - Zaczął płakać.

- Lee, wszystko będzie dobrze, naprawdę.

- Step, jesteś moim jedynym przyjacielem. Jedynym, który kiedykolwiek zrozumiał świetlistą istotę w moim podłym ciele.

- Masz rację, Lee. Ugrzałeś w ciele, które nie funkcjonuje prawidłowo. Które przekazuje ci wypaczoną wersję rzeczywistości.

- Staralem się dociec prawdy - rzekł Lee. - Lecz nie dostrzegłem wszystkiego, no nie? Nie sprawdziłem się. Więc zamierzasz odpłynąć bez mnie, a ja tu będę tego następnego, fatalnego dnia. Lecz nie lekam się. Raczej umrę, niż będę żył, wiedząc, że nie mam tego, czego potrzeba, by się uratować.

- Lee, wcale nie zawałiłeś testu. Po prostu musisz zacząć lekarsko, które ci dają.

- Tak właśnie się mówi tym, którzy przegrywają. Ja to rozumiem, Step. Powinieneś być mnie spalić, widząc, jak jestem słaby. Ale nie jestem tak słaby, jak przypuszczają. Odplaciłem im. To takie cudowne, spodoba ci się! Chcesz wiedzieć, co zrobiłem?

- No jasne - rzekł Step.

- Nie umyłem monety - Lee parsknął śmiechem, długim i głośnym. - Nie... umyłem... monety!

Step usłyszał nagle wiele głosów. Lee przestał się śmiać i powiedział całkiem radośnie:

- No to na razie!

Wszystko ucichło.

Rozdział czternasty

Boże Narodzenie

Oto jakie Stevie kupił prezenty pod choinkę: dla Robbiego Go-Bota, ponieważ Robbiego nazywano czasem Robotem i chłopiec lubił wszelkie pojazdy, a Go-Bot zmieniał się z jednego w drugie, kiedy tylko się chciało. Dla Betsy dwie spinki z niebieskimi kokardami, gdyż była bardzo dumna ze swych długich włosów, lecz zawsze wpadały jej do oczu. Dla Zapa nabył kasetę z piosenkami dla mormońskich dzieci, sprzedaną przez córkę Dolores LeSueur, Janet - dystrybutorke Jasnej Muzyki na obszarze Steuben - w dniu, kiedy wpadła do nich, łącząc zamówienie handlowe z domowym nauczaniem w ramach programu Stowarzyszenia Pomocy.

Dla Jacka samochód wycigowy Hot Wheels, gdyż chłopak był bardzo szybki. Dla Scotty'ego talie kart, gdyż chętnie się, jak to z niego wytrawny pokerzysta. Dla Davida kupił piaskę ze sztucznej porcelany, gdyż ten uwielbiał psy. Dla Roddy'ego harmonijkę ustną, gdyż lubił piosenki. Dla Petera klebek sznurka, gdyż ten lubił puszczać latawce. Dla Vana miecz Vadera, gdyż „Gwiezdne wojny” były jego ulubionym filmem. Dla Sandy'ego pistolet na wodę, gdyż chłopiec świetnie celował.

Stevie zachował swoje kieszonkowe i dodał je do dwudziestu dolarów świątecznych pieniędzy - jakie Step i DeAnne wręczyli każdemu dziecku - tak więc starczyło mu, prawie. DeAnne zabrała ze sobą Steviego i Zapa w wózku, a Step Robbiego i Betsy, tak więc dwie pary dzieciaków mogły kupić dla siebie prezenty i dla tego z rodziców, którego z nimi nie było; później spotykali się w części spożywczej supermarketu, jedli słodkie bułeczki i rozdzielali dzieci, by mogli dokończyć zakupy. DeAnne pierwsza zorientowała się, dla kogo kupuje prezenty Stevie. Bezowocnie starała się go odwieść od tego pomysłu.

- Stevie - powiedziała - nie pozwala się dzieciom kupować prezentów dla przyjaciół, tylko dla rodziny.

Stevie spojrzał na nią i powiedział:

- Poza mną nikt im nie kupi prezentów.

Wobec takiego obrotu sprawy nie miała serca mu zakazywać, choć sama sobie żałowała. No cóż, pomyślała, przynajmniej nigdy nie wymagał od nas, byśmy zostawiali miejsce przy stole dla wymyślanego przyjaciela, jak czynią niektórzy dzieci. Każdego wieczoru musielibyśmy wynajmować salę bankietową.

Kiedy zakupy dobiegły końca i wszyscy w chłodny, wietrzny wieczór maszerowali do samochodu, Stevie powiedział:

- Mamo i tato.

- Tak, Stevie?

- Nie kupiłem wam prezentów, lecz to w porządku, bo robię coś innego.

- Nie ma sprawy, Stevie. Tak naprawdę niczego nam nie potrzeba, może oprócz jedności w rodzinie, szczęścia i uprzejmości - powiedziała DeAnne.

Stevie nic więcej na ten temat nie powiedział.

Lecz jeszcze tego wieczoru, gdy byli sami w pokoju, DeAnne i Step dyskutowali o problemie jego prezentów dla wymyślanych przyjaciół.

- Co mamy z nimi zrobić? - spytał Step. - To samo co z listami do Świętego Mikołaja? Zostawi je pod choinką, a następnego ranka podłożymy prezenciki niby to od jego przyjaciół?

- Nie możemy tego zrobić - powiedziała DeAnne. - Nie możemy zachęcać go, by wierzył w to jeszcze bardziej.

- Sam już nie wiem - rzekł Step. - Może zaplanował jakiś specjalny sposób wręczenia im prezentów czy coś w tym stylu?

- Wszystko, co możemy zrobić, to improwizować na bieżąco.

Tego roku Boże Narodzenie przypadło w niedzielę, co zawsze było bolesne, gdyż oznaczało konflikt między amerykańskim zwyczajem otwierania prezentów w Boże Narodzenie rano a mormońskim wymogiem udania się na sakramentalne spotkanie. Z ulgą dowiedzieli się, że w gminach Steuben kultywuje się tradycję ograniczania się do pojedynczego, połączonego spotkania sakramentalnego o godzinie dziesiątej, odwołując szkółkę niedzielna i pozostałe spotkania, by każdy wrócił do domu jeszcze przed południem. W ten sposób, jeśli nawet otwieranie prezentów miało zostać rozdzielone na dwie części, dzieciaki otrzymają wszystkie prezenty w podkolanówkach nim pójdą do kościoła - tylko te od Mikołaja będą leżały pod choinką. Zatem ich zniecierpliwienie zostanie rozładowane.

Ale specjalne bożonarodzeniowe sakramentalne spotkanie oznaczało poważne zaangażowanie chóru. Dyrygentka chóru z drugiej gminy uważała się najwybitniejszą solistką zachodniej półkuli i Mary Anne Lowe szybko została zepchnięta na dalszy plan: chór uformował się wyłącznie pod wskazówkami dyrygentki drugiej gminy. DeAnne rozważała pomysł zbojkotowania chóru z czystej lojalności wobec Mary Anne, lecz Mary Anne tylko się rozesmiała.

- Sa święta - powiedziała. - Dlaczego mam się martwić, kto jest szefem? Chcę jedynie śpiewać i postarać się, byśmy wspaniale wypadli, aby reszta gminy poczuła, że naprawdę jest Boże Narodzenie.

Ostatnie tygodnie grudnia cechowała wzmożona aktywność w gminie, okręgu, w Kole Pomocy i w zgromadzeniu, mnożyły się bożonarodzeniowe przyjęcia, spotkania, programy, próby chóru odbywały się przy każdej nadarzającej się okazji. Step uczeszczał na tyle prób, na ile mógł sobie pozwolić, zamieniając się z DeAnne, tak że nie musieli wyprowadzać dzieci z domu zbyt często. Pogoda zmieniała się na gorsze, powietrze stawało się mroźne i chodziła plotka, że w Wigilię nadejdzie tak zimny front, że mieszkańcy Steuben będą myśleć, iż w ciągu jednej nocy ich miasto przeniosło się za koło polarne.

W tym czasie Step pracował w zwirowanym tempie nad uruchamianiem Hacker Snacka na PC, który naprawdę nabierał kształtu fantastycznego programu. Musiał się z nim uporać przed Nowym Rokiem, by otrzymali resztę honorarium na czas, należało bowiem wyrównać świąteczne rachunki na kartach kredytowych, nie wspominając o ostatniej racie za szpitalny rachunek Zapa i ostatniej z zaległych opłat należnych IRS. Urzędnik zaklinał się na wszystkie świętości, że tego roku IRS nie wyczyszcza całkowicie ich kont, by nie zostali z zaległościami za świąteczne zakupy, jak to się zdarzyło w Indianie. Lecz Step i DeAnne w czasie świąt trzymali w banku jak najmniej pieniędzy, płacąc za wszystko gotówką bądź kartami kredytowymi; IRS nie dotrzymał jeszcze żadnej obietnicy w swej żalostnej historii załatwiania problemów ich zaległych opłat, tego roku też nie spodziewali się, by miało być inaczej.

Niedziela poprzedzająca Boże Narodzenie była kłeska w kościele, gdyż Dolores LeSueur odkryła, że dwa biskupstwa postanowiły dodać coś nowego do bożonarodzeniowego programu w tym roku. W zeszłych latach miał Dolores, Jacob (nie Jake, nie Cubby), czytywał cały tekst zatytułowany „Ten drugi mądry człowiek”, o którym poinformowano Dolores we śnie, że wcale nie jest fikcja; miał zawierać się początkowo w Ewangelii św. Jana, ale został wymazany przez nikczemnych skrybów, pracujących dla czczącego słońce cesarza Konstantyna w czwartym wieku naszej ery. Tego roku gminy zdecydowały, że krótka mowa wygłosi Emil Houdon, który latem odwiedził Ziemię Świętą, na przekór upalnej pogodzie i walkom w Libanie. Emil zgodził się opowiedzieć dwie inspirujące anegdoty i po dziesięciu minutach było już po wszystkim. Każdy, kto znał plany na ten rok, sądził, że będzie to najlepsza bożonarodzeniowa niedziela w ostatnich czasach. Jednakże siostra LeSueur wiedziała, że to znak, że obie gminy znajdują się na prostej drodze do apostazji i podniosła takie larum, że w niedzielne południe, osiemnastego grudnia, obowiązywała decyzja, iż cały program, wraz z występami chórów, zostanie zamieniony na czytanie „Tego drugiego mądrego człowieka”.

Zaraz potem dyrygentka chóru z drugiej gminy dowiedziała się, że ją wymanewrowano i teraz ona z kolei wywołała taką wrzawę, że o czwartej po południu, kiedy dobiegły końca spotkania drugiej gminy, program chórów był przywrócony, a specjalne sakramentalne spotkanie miało się przez to wydłużyć do około dwóch godzin, jeśli wszystko pójdzie gładko. Członkowie biskupstwa wracali do domu ze świadomością kompletnej porażki, lecz przynajmniej wdzięczni, że ta cała chryja zakończyła się bez telefonowania siostry Dolores do władz w Salt Lake City.

Wszystkie te wydarzenia Step i DeAnne obserwowali z mieszaniną wstretu i rozpaczki.

- I pomyślc tylko, że gdy byłam dzieckiem, zastanawiałam się, w jaki sposób prawdziwy Kościół Chrystusowy może kiedykolwiek zostać zmieciony z ziemi - powiedziała DeAnne.

- Och, to małe piwo - odparł Step. - Zabijano już ludzi podczas kłótni o to, którego dnia powinno się obchodzić Wielkanoc.

- No tak, ale my powinniśmy wiedzieć lepiej.

- Wiemy. Lata upływają, a nikt jak dotąd nie zorganizował publicznego kamienowania Dolores LeSueur. Gminy Steuben zamieszkują sami święci.

Tego wieczoru DeAnne pojechała na próbe chóru, gdzie wraz z Dolores LeSueur dzieliły się wspólnym śpiewnikiem. Dobrze im się razem śpiewało, lecz pod koniec próby, po finałowej pieśni, gdy ludzie zakładali już swe płaszcze i zabierali torebki, i - w niektórych przypadkach - dzieci, Dolores położyła rękę na ramieniu DeAnne i powiedziała:

- Sostro Fletcher, modlę się i modlę o waszego chłopca i chce, byście wiedzieli, że Bóg go naprawdę kocha.

- Jestem tego pewna - odrzekła DeAnne.

- Nie mogę podzielić się z tobą wszystkimi świętymi znakami, jakie ujrzałam w wizji dotyczącej waszego chłopczyka, ale mogę wyjawic, że błogosławieństwem dla was będzie wiedziec, iż jego duch jest tak prawy i nieskazony, że zostanie zabrany do niebieskiego królestwa, nie smakując uprzednio grzechu ni pokusy.

DeAnne domysliła się, że siostra LeSueur zakłada, iż Zap jest umyślowo chory i zostanie potraktowany jak dzieci zmarłe przed chrztem, które nie osiągnęły wieku poczytalności. Czyli że dostanie się prosto do nieba. Denerwowało ją wielce, że zakłada coś, czego nawet lekarze nie osmielają się twierdzić - że Zap będzie umyślowo upośledzony. A we wściekłość już wprowadzał ją słodki, anielski uśmiech na obliczu Dolores - DeAnne zdawała sobie doskonale sprawę, że ta kobieta rano straszyla i zlorzeczyła, przez co ona i jej rodzina będą musieli przesiedzieć całe dwie godziny sakramentalnego spotkania w najchłodniejszy bożonarodzeniowy poranek w historii Steuben.

Położyła swą dłoń pewnie na dłoni Dolores, przytrzymując ją jak w imadle, po czym przybliżyła swą twarz bardzo blisko do jej twarzy. Wtedy spokojnym, lecz maksymalnie napiętym głosem wycedziła:

- Mój syn, Jeremy, jest dzieckiem Boga, jak każde inne dziecko, będzie musiał przejść przez te same próby i decyzje w życiu, co pozostałe dzieci. Jeśli dostanie się do królestwa niebieskiego, to dlatego tylko, że wybrał prawosc. A ponadto, sostro LeSueur, jeśli kiedykolwiek jeszcze będziesz opowiadać mnie, bądź komukolwiek na tej planecie, o wizjach dotyczących mojej rodziny, jakie w swoim mniemaniu otrzymałaś, obiecuje, że kiedy obie będziemy martwe, a ty staniesz przed bożym trybunałem,

skocze na równe nogi i opowiem Panu o twoim horrendalnym, samolubnym zachowaniu tego ranka, kiedy zastraszyłaś biskupów, by pozwolili twemu mezowi czytać te same marny historie piętnasty raz z rzędu. Zapewniam cię, że jeśli Bóg jest sprawiedliwy, odesła cię prosto do piekła.

Mniej więcej od połowy tej przemowy siostra LeSueur próbowała zdjąć swą dłoń z ramienia DeAnne, ale skoro DeAnne przygwozdziła ją tam, siostra LeSueur mogła jedynie odwrócić głowę, niczym dziecko odmawiające wysłuchiwania surowego napomnienia rodziców. Kiedy DeAnne ostatecznie ją uwolniła, siostra LeSueur, chwiejąc się, zrobiła kilka kroków do tyłu, odwróciła się i syknęła:

- Wybaczam ci, siostrze Fletcher! I będę się za ciebie modlić!

Same słowa były, zwyczajowo, błogosławieństwem; lecz wypowiedziano je z taką nienawiścią, głośno, złośliwie, że każdy, kto jeszcze guzdrał się w kaplicy, odwrócił głowę w jej stronę. DeAnne nie potrafiłaby ułożyć tej sceny lepiej, gdyby wcześniej chciała się zabawić w choreografa: sama spokojnie stała i spoglądała niemal ze zdziwieniem; Dolores LeSueur, nachylona ku niej, twarzą niczym maska Gorgony, usta otwarte z wargą pogardliwie wygiętą, oczy płonące, oblicze tak czerwone, że przez makijaż zdawało się różowe.

Trwało to jedynie moment. Wtedy DeAnne powiedziała:

- Dziękuję, siostrze LeSueur.

Dolores, odzyskawszy panowanie nad sobą, odwróciła się, by czmychnąć z budynku, lecz sposób, w jaki ludzie odwracali od niej wzrok, wskazywał, że jeśli ktoś w tej grupie jeszcze wierzył w szczerą siostrę LeSueur i jej zrównowagony temperament, złudzenia te właśnie legły w gruzach.

- Będę to uważała za swój podarunek pod choinkę dla gminy - powiedziała później DeAnne Stepowi.

W środowy wieczór Step zmagał się z podprogramem obsługującym listę najlepszych wyników Hacker Snacka, przez co gra zawieszala się w jednym przypadku na cztery bez żadnej dostrzegalnej przyczyny. Miał przy tym świadomość, że DeAnne właśnie kładzie dzieci do łóżek i ma przy tym trochę kłopotu, częściowo dlatego, że następnego dnia nie ma zajęć w szkołach i Stevie z Robbiem zachowują się tak, jakby w ogóle nie musieli iść do szkoły.

Na koniec Step usłyszał, jak DeAnne mówi do Steviego:

- Trzy razy proszę, żebyś wyłączył ten komputer i położył się spać, Stevie, a ty ciągle powtarzasz „tak”, a kiedy przychodzę po półgodzinie, siedzisz, jak siedziałeś. To, że jutro nie ma szkoły, nie znaczy wcale, że wygasła reguła dotycząca spędzania tylko jednej godziny przy komputerze.

Ton jej głosu był naprawdę podniesiony, a Step tak był przybity tym, że nie mógł nigdzie w programie znaleźć błędu, iż wreszcie wstał od biurka i wypadł na korytarz, by użyć pełnej mocy zagniewanego męskiego głosu w celu wyegzekwowania posłuszeństwa. Dawno już spostrzegli wraz z DeAnne, że na jej głos dzieci łatwo obojętnieją, gdy tymczasem Step osiąga te same rezultaty, co ryk trab jerychonskich. Wszedł do pokoju dziennego i stanawszy za krzesłem Steviego, powiedział:

- Twoja matka nie powinna cię prosić aż trzy razy, żebyś coś zrobił, Stevie.

Ale mówiąc to, dostrzegł, że na ekranie zagrociła nowa gra; nie pamiętał, by ją kiedyś widział. Po torze

mknal pociag, sceneria zmieniala sie bardzo szybko. Animacja byla tak samo szybka, grafika tak samo realistyczna, jak w tej niemozliwej grze o piratach i - zupełnie jak w tamtej grze - w pociagu rojno bylo od postaci. Wtem przypomniał sobie, iż w przerwach między napomnieniami DeAnne Stevie wymawiał imiona swych przyjaciół i pokrzykiwał coś takiego: „Uda ci sie. Musi ci sie udac!” Lecz sama gra nie mogła sprawiać aż takiej frajdy - dzieciaki biegały tylko po dachach, przeskakując z wagonu na wagon, bez wrogów, bez przeszkód, bez niczego. Byli sami. Cudowna grafika, brak sensu.

Stevie siegał ręką za komputer, żeby go wyłączyć.

- Stój! - krzyknął Step. - Nie ruszaj ręką. Nie wyłączaj komputera. Po prostu wstan, natychmiast, i idź do swego pokoju. Ja wszystko powylaczam.

Stevie wahał się przez chwilę. Step zauważył, że chłopak decyduje: posłuchać czy nie. Step mógłby sięgnąć i zmusić go, lecz tego nie zrobił. To musiał być wybór Steviego; po chwilowym wahaniu Stevie wyszedł z pokoju, pozostawiając włączony komputer.

- Szkoda, że nie mogę pożyczyć twego głosu, gdy przychodzi pora klaskać dzieci - powiedziała DeAnne. - Wrzeszcze na nie i rycze, aż zaczynam się czuć, jakbym sprzedawała ryby na bazarze, a ty wchodzisz, wymawiasz trzy zdania i one posłusznie idą.

Step nie zwracał większej uwagi na jej słowa, wślizgnął się na krzesło Steviego i usiłował podjąć wątek gry. Ale w jakiś sposób wszystkie sylwetki znikły z ekranu. Został tylko pedzacy pociąg. Gdy Step poruszył joystickiem, by sprawdzić, co się stanie, tło zatrzymało się również, pozostał jedynie ten pociąg i nic poza nim. A potem znikły tory, koła przestały się toczyć.

A potem ekran stał się niebieski. Pusty.

- Step, dlaczego kazałeś mi ją zostawić, skoro już ja sam wyłączyłem?

Step przysunął klawiaturę, wpisał komendę LIST. Wcisnął „Enter”, w nadziei, że jakaś część niezwykłego kodu tego programu pozostała w pamięci, by mógł ją zbadać. Lecz nic się nie stało. Nawet nie wyświetlił się napis ERROR. Kursor przeszedł po prostu do początku następnej linii. Step wpisywał różne komendy, wciskał klawisz „Enter” wielokrotnie. Tło zaczęło się przesuwac, nic poza tym.

- Nie ma tu żadnego programu - powiedział.

- Co znaczy, nie ma?

- Atari jest w trybie oczekiwania.

- No tak, ale przecież piszesz.

- Tylko tyle mogę zrobić. Ale nie można uruchomić programu.

- Czy możesz go zresetować?

Step otworzył stację dysków. Żadnej dyskietki. Sprawdził cartridge. Nie było żadnego cartridge'a.

- Nigdy tu nie było programu.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się DeAnne. - Tyle tu leży dyskietek.

- Czy już widziałas wcześniej te gry z pociągiem?

- Nie - odparła DeAnne.

- Od urodzin Steviego nie kupowałem żadnych gier. A już na pewno nie widziałem tej gry w Eight Bits Inc., zanim odszedłem. Przeglądałem wszystkie dyskietki, szukając tamtej gry o piratach, i z pewnością nie napotkalem żadnej o pociągach.

- Stevie ma osiem lat, Step. Sam jej nie napisał.

- DeAnne, nikt jej nie napisał. Nie rozumiesz tego? Nie było żadnego programu na tej maszynie.

DeAnne stała nieruchomo, wpatrując się w błękitny ekran.

- Szkoda, że go wyłączyłeś - powiedziała. - Szkoda, że nie przypatrzyłam im się lepiej.

- Komu?

- Chłopcom. Zaginionym chłopcom. Jego przyjaciółom.

Oboje przez chwilę spoglądali na ekran, po czym Step westchnął i powstał.

- Nie wiem - powiedział.

- Czego nie wiesz? - zapytała.

- Co robić. Co myśleć. Nic.

W czwartek Zap się rozchorował. Była to jego pierwsza choroba, oprócz rozstroju nerwowego, i DeAnne ze Stepem nie bardzo wiedzieli, jak sobie z nią poradzić. Z jednej strony, mając już prawie pięć miesięcy, Zap nadal nie potrafił samodzielnie poruszyć głową. Gdyby leżał na plecach i wymiotował, zachodziło ryzyko, że nie odwróciłby głowy, by opróżnić usta. Udlawiłby się wymiocinami, udusił się. Lecz gdyby leżał na brzuchu, jego twarz też by się w nich taplała, dostałyby się do nosa i oczu, mógłby zacząć je wdychać. Mimo to nie płakał i nie miał zbyt wysokiej gorączki. W każdym razie DeAnne zadzwoniła do lekarza, który przykazał jej robić dokładnie to, co i tak cały czas robiła. Zatem trzymała go nieustannie i kołysała, czekając, aż znowu zwymiotuje albo nie zwymiotuje przez tak długi okres, iż będzie mogła położyć go z powrotem do łóżeczka, nie czując niepokoju.

- Żadnej mieszanki jak na razie - poinformowała Stepą. - Może zatrzyma moje mleko?

Zaczęło się to wkrótce po lunchu i trwało przez resztę popołudnia. Step oczywiście przestał pracować, bawił się z Robbiem i Betsy w chwilach między pomaganiem DeAnne, przyrządzaniem obiadu, odbieraniem telefonów i innymi sprawami, które ciągle trzeba było załatwiać. Step nie potrafił zrozumieć, jak DeAnne może tak żyć, nie mogąc skoncentrować się na niczym, przeskakując z jednej pracy do drugiej.

Stevie, oczywiście, nie brał udziału w dziecięcych zabawach, lecz to już przestało kogokolwiek dziwić. Niespodzianką natomiast było, że kiedy Step przechodził przez pokój dzienny, by odpowiedzieć na

dzwonek u drzwi, zauważył, że Stevie nie gra na komputerze. Musi nadal być w swym pokoju i pakować prezenty, pomyślał. Wcześniej pożyczył taśmę i nożyczki.

Przy drzwiach stał Bappy. Na jego ustach blakł się trochę niesmiały uśmiešek.

- Nie chce przeszkadzać - powiedział - ale jestem starym, sentymentalnym głupcem, przejeżdżałem wtedy dwie noce temu i widziałem, że nie świecą się wam żadne świąteczne lampki.

- Nie mieliśmy czasu - rzekł Step.

- Ach, tego ostatnio mi nie brakuje i gdzieś mam jeszcze te lampki, które zakładaliśmy tu rok temu i jeszcze wcześniej. Załóż się, że wszystkie stare gwoździe i te sprawy są na swoim miejscu. Nie macie nic przeciwko, jeśli przyciągnie tu drabinę i połazę wam trochę po dachu? Nie nabije wam dużo na liczniku, tym bardziej że do Bożego Narodzenia już tylko parę dni.

- Nie, wszystko w porządku - powiedział Step. - Będzie miło. Gdzie mam je podłączyć?

- Z tyłu jest gniazdko, przy drzwiach do pralni. Przeprowadzę tylko przedłużacz z dachu. Ten sam co rok temu, więc wiem, że działa.

- To wspaniale. Dzięki - powiedział Step.

Bappy skinął głową i pomachał, choć stał przecież w drzwiach, potem poszedł w kierunku swego pikapa i Step zamknął drzwi.

Dokładnie wtedy, gdy zmierzał do kuchni, by zbadać, jak mają się klopsy, które przygotował, Zap zaczął znowu wymiotować, udowadniając tym samym, że mleko DeAnne nie utrzymuje się w nim wcale dłużej niż mieszanka. Teraz, zamiast być zadowolony po zwymiotowaniu, Zap stracił fochy. Plastikowa opaska na czoło DeAnne ponownie zmierzyła mu temperaturę, miał prawie trzydzieści osiem stopni.

- Muszę go zabrać do lekarza - powiedziała. - Gdyby był normalnym dzieckiem, poczekałabym jeszcze, ale on jest taki słaby.

Zatem gdy powtórnie wymyli Zapa, Step odszukał numer telefonu i zadzwonił do gabinetu doktora Greenwalda; pani, która odebrała, obiecała przekazać wiadomość i dwie minuty później lekarz oddzwonił. DeAnne po rozmowie z nim powiedziała:

- Ma zamiar wrócić do gabinetu tylko po to, żeby zbadać Zapa. Czyż to nie miłe z jego strony?

- A jeśli zwymiotuje, gdy będziesz prowadzić samochód? - spytał Step.

- O tym nie pomyślałam - przyznała DeAnne.

- Sądziś, że Mary Anne zgodzi się wpasć do nas i popilnować dzieci, kiedy ja was odwiozę?

- Zgodzi się, jeśli będzie mogła.

Mogła, a ponieważ nie mieszkała daleko, miała zjawić się za kilka minut.

Step wspominał o klopie.

- Nie mogę uwierzyć, że zegar jeszcze nie zabrzmiał - rzekł.
- Może ma to coś wspólnego z faktem, że go nigdy nie nastawiono?
- O, nie, muszą już być spalone na popiół.
- Nie sądzę. - DeAnne uśmiechnęła się. - Kuchenka nie jest włączona.
- Nie włączyłem kuchenki?

Jasne jak słońce, klopsy były surowe.

- No cóż, nie możemy tego włożyć do ust - zauważyła DeAnne.
- Możemy je teraz ugotować, no nie? Mary Anne poda jej dzieciom, kiedy będą gotowe.
- Nie, Step. Nie można podawać klopsa, który tak długo przeleżał w temperaturze pokojowej.
- Tylko mi nie mów, że mięso może się zepsuć tak szybko.
- Nie chodzi o mięso - rzekła DeAnne. - Chodzi o jajka.
- Zapomniałem o jajkach.
- Gdyby mnie tu nie było, dzieci by co chwile miały salmonellę.
- Możliwe. W takim razie, co będzie z kolacją?
- Rzuc na stół kilka misek i zimne płatki, potem wołaj dzieci, by jadły - poradziła mu DeAnne. - To ostatnia deska ratunku dla spieszącej się matki, ale zaraz, zaraz - przecież to ja nią jestem.

Robbie i Betsy zjawili się od razu.

- Stevie! - Step krzyknął powtórnie. - Chodź na kolację, w tej chwili!

Wiedząc, że syn go posłucha, Step wyszedł na zewnątrz, by otworzyć DeAnne drzwi samochodu. Akurat gdy DeAnne sadowiła się w środku z Zapem na rekach, Mary Anne zatrzymała się na podjeździe tuż za renaultem. Step odpowiedział na jej machnięcie, a ona przyłożyła dłoń do policzków, by okazać zmartwienie. Wrzuciła wsteczny bieg i zaparkowała na ulicy, przed pikapem Bappy'ego. Robiło się ciemno i przyszło Stepowi na myśl, że skoro Bappy nie zdążył się jeszcze uporać ze światłkami, powinien raczej zrobić przerwę. Niebezpiecznie jest chodzić po dachu w ciemności.

Mary Anne przybiegła i zapytała:

- Jak się ma mały Zap?
- Prawdopodobnie nie jest aż taki chory - powiedziała DeAnne. - Ale musimy się upewnić.
- Jeśli zadzwoni lekarz, pytając, gdzie jesteśmy, powiedz mu, że w drodze - poinstruował ją Step. - Dzieciaki zajmują się właśnie pokrywaniem wnętrza kuchni warstwami płatków kukurydzianych, więc wchodzisz na własne ryzyko. - Gdy Mary Anne pokonała już dwa schodki i wbiegła do środka, Step

zawołał jeszcze:

- I zasun blokady na drzwiach!

- Zawsze tak robie! - odkrzyknęła.

Dr Greenwald chyba się nie gniewał, że tak długo zwlekali z przyjazdem do gabinetu, a po opukaniu, osłuchaniu i kilku testach pocieszył, że nie ma się czego obawiać. Przeprosili go za marnowanie czasu, lecz zapewnił, że mieli prawo się martwić.

- U tak delikatnego dziecka - powiedział - wszystko może być poważne.

Kiedy wrócili do domu, budynek był oświetlony naokoło białymi światłkami.

- Sprawia wrażenie świni ze świecznikiem - powiedziała DeAnne.

- Jak na nadzwyczaj paskudny dom, pali się całkiem fajnie - odparł Step.

Gdy jednak weszli do środka, ogarnął ich chaos. Betsy i Robbie stali na krzesłach w kuchni, a kiedy tylko Step i DeAnne zjawili się w progu, zaczęli krzyczeć:

- Pajaki! Długonogi!

Step nie dostrzegał w kuchni żadnych pajaków. Potrzymał dziecko, gdy DeAnne zdejmowała płaszcz.

- A gdzie Mary Anne? - zapytała DeAnne.

- Czy to wy, tam w drzwiach? - krzyknęła Mary Anne gdzieś z głębi domu.

- Tak, to my! - odpowiedziała DeAnne. - Gdzie jesteś?

- W krainie pajaków potworów! - wrzasnęła Mary Jane. - Potrzebna mi pomoc i dodatkowa rolka papierowych ręczników!

- Zajmij się Zapem i dziećmiakami - zwrócił się Step do DeAnne - a ja sprawdzę, co się dzieje w łazience. - Podskoczył do pralni, by wziąć rolkę papierowych ręczników.

- Nie przypuszczasz chyba, że mamy kolejny najazd owadów, no nie? - spytała go DeAnne.

- Nie - odparł. - Pajaki to nie owady.

W łazience wyglądało na to, że ktoś chciał wyłożyć całe pomieszczenie papierowymi ręcznikami, a po przemyśleniu sprawy opryskał je atramentem. Lecz plamy atramentu okazały się martwymi długonogimi pajakami, a ręczniki stanowiły część strategii Mary Anne, polegającej na unieruchamianiu jak największej ilości intruzów i równoczesnym deptaniu tych, które nie ugrzęzły pod mokrym papierem.

Najwidoczniej, jako jedyna dorosła osoba w domu, Mary Anne panowała nad sobą. Lecz gdy tylko Step znalazł się w łazience i przystąpiła do wyjaśnień, co się wydarzyło, zaczęła trząść się i dygotać, potem pisnęła, gdy stworzenie wpelzło jej na kostkę. Tupala i tupala, aż odpadło. Step złapał ją za ramiona i wyprowadził na korytarz.

- Stój tu i pilnuj, by zaden sie nie wydostal. Nie zapominaj o patrzaniu w góre i sprawdzaniu sufitu.

Po wyjściu z łazienki uspokoiła się stopniowo, gdy tymczasem Step metodycznie unicestwiał pajaki.

- Wychodziły z odpływu w wannie - odezwała się Mary Anne. Step zajrzał do wanny, była zatkana mokrymi ręcznikami. - Betsy siedziała akurat na swym nocniku, gdy zaczęła wrzeszczeć, a dopiero po chwili zorientowałam się, że krzyczy „Pajak, pajak!”

- Świetnie się spisalas - pochwalił ją Step. - Nad wszystkim zapanowalas. Nie uwierzysz, ale tak dzieje się mniej więcej raz na kwartał. Najpierw swierszcze, potem chrabaszce i komary, w te noc, gdy urodził się Zap. Sadze, że neka nas dziesięć plag egipskich.

- Pajaki to najokropniejsze ze stworzeń. Nie mogę znieść sposobu, w jaki ich małe nóżki wznoszą się i opadają, robią to tak delikatnie, niczym monstualne baletnice.

- Mów, mów. Nie mogę się doczekać, co pojawi się dziś w moich snach.

- Ty na nie patrzysz, moje słowa nie pogorszą już sprawy.

- Tak, ale właśnie nie patrzę na pajaki, patrzę na monstualne baletnice. Disney w swej „Fantazji” przegapił świetny pomysł.

Ostatecznie pajaki uprzątnięto i wszystkie papierowe ręczniki zapelnily worek na śmieci. Gdy Step wrócił do kuchni, jak już wyniósł worek, Mary Anne stała przy stole, rozmawiając z DeAnne.

- No cóż, jesteś bohaterka, Mary Anne.

- Do usług. Tylko następnym razem pominiemy te scenki z pajakami. - Idąc już do pralni, zatrzymała się. - Ach, twoja mama dzwoniła, DeAnne. Wszystko gra, bez obaw, chciała tylko przepis na ciasto do szarlotki.

- Moja matka chce piec szarlotkę?

- A nigdy tego nie robi?

- Mój ojciec jest rodzinnym cukiernikiem - wyjaśniła DeAnne. - Lecz cuda się zdarzają, no nie? - Step wykreślił dla niej numer telefonu, potem wreczył jej słuchawkę, by nie musiała odrywać się od karmienia Zapa.

Pozegnali się z Mary Anne. Następnie nie obyło się bez odrobiny zamieszania, kiedy układali do snu Robbiego i Betsy. Stevie położył się już wcześniej i Step kazał Robbiemu przykryć się po cichu, żeby nie zbudził brata.

Dopiero gdy Step leżał w łóżku przy DeAnne, przypomniał sobie, że świąteczne lampki wciąż płoną na zewnątrz.

- A niech się pali - powiedziała DeAnne.

- Ty nie pozwoliłaś, by twoja rodzina zjadła tamto mięso, a ja nie pozwolę rodzinie spać w domu, na którego dachu podłączono jakąś dziwną instalację elektryczną.

Zarzucał na siebie szlafrok i wtedy przypomniał sobie, jak na zewnątrz jest zimno, zdjął z wieszaka płaszcz. Odnalazł za domem wtyczkę i wyciągnął ją, potem okrzyknął dom, by przekonać się, że wszystkie lampki zgasły. Zmarzył już porządnie, więc pognął do mieszkania, zaryglował drzwi, sciągnął płaszcz, na koncu obszedł ponownie budynek, sprawdził zamki w drzwiach i zerknął do pokoi dzieci, by sprawdzić, czy są przykryte.

Owa rutyna nie ulegała od tak dawna zmianie, że dopiero gdy wchodził do swojej i DeAnne sypialni, uzmysłowił sobie, że Steviego nie było w łóżku. Robbie spał jakby nigdy nic, lecz pościel Steviego była ściągnięta, a łóżko puste. Może poszedł na górę do łazienki? Nie było go w łazience dziecięcej ani nigdzie indziej, czyżby poszedł do łazienki rodziców?

Step obszedł łóżko dookoła i sprawdził łazienki. Ani śladu Steviego. Nieprawdopodobne. Jeśli Stevie nie bawił się w ciuciubabkę, chowając się w jakimś zakamarku, to nigdzie go nie było. Step udał się jeszcze raz do pokoju dzieci, by sprawdzić szafę w ścianie, nim wcisnie guzik alarmu, ale nagle skamieniał w progu. Zobaczył Steviego. Leżał na górnym łóżku. Pościel leżała w nieładzie, tak jak Step pamiętał, lecz Stevie tam był. Zwinął się w klebuszek, wyglądał na pogrążonego we śnie.

Jestem przepracowany, pomyślał Step. Kiedy spojrzałem do pokoju, nie zauważyłem niczego niezwykłego, tak czy nie? Dopiero później pomyślałem, że go tam nie ma, ale oczywiście cały czas tam był.

Step powrócił do łóżka, gdzie DeAnne pochrapywała, wkrótce także zasnął. Jeśli śniły mu się pajaki, nie pamiętał ich już rankiem.

Następne dwa dni cechowały się wzmożoną krztaniną, ale należało się tego spodziewać. Każdy wstawał o innej porze i wyglądało, jakby połowa gminy wpadła do nich lub dzwoniła, nalegając, by Step i DeAnne zrobili to bądź tamto, jako część przygotowań do Bożego Narodzenia. Po południu w Wigilię Bożego Narodzenia, gdy DeAnne pomagała Elizabeth zapakować prezent w pokoju dziennym, przypomniawszy sobie i zawołała Stepą, który w kuchni wyjmował zakupy.

- Przyszło mi właśnie na myśl, że nie pamiętam, by Stevie jadł cokolwiek ostatnimi dniami.

- Ja nie zauważyłem, żeby ktokolwiek jadł ostatnimi dniami! - Step krzyknął w odpowiedzi. - Nie sadzę, by ktos jadł w obecności kogoś drugiego, odkąd zaczęły się ferie w szkole.

- Ja mówię poważnie - rzekła DeAnne. - Nie grał też na komputerze, przebywa głównie w swoim pokoju. Nie uważasz, że może być chory?

- Zobacz się z nim, kiedy tylko uporam się z zakupami - zapewnił ją Step.

Zabrało mu to ledwie kilka minut, po czym poszedł do pokoju chłopców. Robbie siedział na podłodze, zawijając prezent.

- Wyjdz, wyjdz! - krzyknął na Stepą.

- Przepraszam - powiedział Step. Odwrócił się natychmiast i wyszedł na korytarz, zostawiając w drzwiach niewielką szczelinę.

- Zniszczyłeś niespodziankę! - krzyczał Robbie.

- Wcale nie - odpowiedział Step. - Niczego nie widziałem. Chciałem tylko sprawdzić, jak czuje się

Stevie.

- Nic mi nie jest - powiedział Stevie.

- Nic mu nie jest! - krzyknął Robbie.

- Słysze go dość wyraźnie bez twojego pośrednictwa, ale mimo to dzięki, Robbie. Stevie, twoja matka martwi się, że nic ostatnio nie jesz.

- Nie jestem głodny.

- Musisz przecież coś jeść.

- Tak - odrzekł Stevie.

- Czy przyjdiesz dziś na kolację?

Stevie przez dłuższą chwilę milczał.

- Chyba tak - odparł na koniec.

- Stevie, czy wszystko w porządku?

- Tak. - Odpowiedź nadeszła po kolejnej pauzie.

Step wrócił do pokoju dziennego, gdzie DeAnne ciągle pakowała prezenty z Elizabeth, która raz na jakiś czas tak się przykladała do tego zajęcia, że po chwili miała z tuzin skrawków taśmy klejącej na twarzy, które sterczały niczym spalona na słońcu skóra.

- Och, Betsy, jak ty ładnie wyglądasz.

- Słyszałam, jak wołałeś Stewiego - powiedziała DeAnne.

- Robbie nie chciał mnie wpuścić do pokoju. Zawijał prezenty.

- Twoje już zawinał.

- Pakuje dla Zapa. Lecz nie chciał zepsuć niespodzianki.

- Czy nie kupił prezentu, kiedy był z tobą?

- Znasz Robbiego. - Jeśli zepsujesz jedną z jego niespodzianek, możesz równie dobrze odciąć sobie głowę, co ci zaoszczędzi cierpienia.

Ostatecznie około godziny czwartej Step znalazł chwilę wolnego czasu, wślizgnął się wtedy do swego gabinetu, by posiedzieć parę minut nad programem. Był o włos od ukończenia pracy, a gdyby mu się udało, spędzałby święta o wiele bardziej zrelaksowany. Chodziło teraz już tylko o kosmetykę, co jednak oznaczało zmianę jednej, dwóch linii, skompilowanie wszystkiego, uruchomienie i obserwowanie, jak się to prezentuje; potem następowało dalsze podrasowanie i ponowna kompilacja, i tak w kółko... Zegar pedził nieubłaganie, a postęp był niezauważalny.

- Step, czy nawet w Wigilie nie zejdiesz na kolacje?

Step odwrócił się i zauważył DeAnne stojącą w drzwiach gabinetu.

- Poza tym Stevie też nie chce przyjść. Nie przygotowałam bankietu, ale nawet ludzie nie podlegający w pracy szefom pozwalają sobie na wolną Wigilię.

- Jestem już tak blisko, DeAnne.

- W porządku, jak chcesz - odrzekła, zamykając drzwi.

Step z westchnieniem wstał z krzesła. Kiedy wyszedł na korytarz, usłyszał, jak DeAnne mówi do Steviego:

- Nie będę cię prosić tysiąc razy! Najwidoczniej mężczyźni w tej rodzinie przestali już jeść.

- DeAnne - wtracił się Step. - Już nie jest dobrze, kiedy mówisz jak twoja matka, lecz teraz mówisz jak moja.

Przez chwilę wyglądała na zaciętrzewioną, ale zdecydowała odebrać to jako żart.

- To mnie nawet cieszy - powiedziała. - Lubię twoją matkę. A ona lubi mnie. Prawde mówiąc, lubi mnie bardziej niż ciebie.

- Bardziej niż ja cię lubię? Czy bardziej lubi ciebie niż mnie?

- I jedno, i drugie - odparła.

- To niemożliwe. - Dotarł już do końca korytarza, przytulił ją i szepnął do ucha: - Zapomnijmy o tych dzieciach, chodźmy zrobić sobie inne.

- Za wcześnie na to - powiedziała. - Jeszcze nie zapomniałam, jak to boli.

Oboje pamiętali o kłopotach z Zapem i słowa te nabrały nagle innego znaczenia; kiedy ją pocałował, zrobiło się romantycznie, czule i kojaco.

Potem otworzył drzwi do pokoju chłopców. Stevie leżał na łóżku, gapiąc się na sufit.

- Chodź na kolację, Stevie.

- Nie jestem głodny, tato.

- Nie pytałem wcale, czy chcesz jeść - powiedział Step. - Jest Wigilia i powinniśmy być razem.

- Myślę, że jest chory - powiedział DeAnne. - Może ma to samo co Zap dwa dni temu. - Przecisnąwszy się obok Stepa, weszła do pokoju i skierowała się w stronę Steviego. A wtedy, ku zdumieniu Stepa - i DeAnne, oczywiście - Stevie wyprostował się, jakby go piorun poraził, i odsunął się od skrajów łóżka.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknął. Wyglądał na przestraszonego.

- No cóż, muszę cię dotknąć - powiedziała DeAnne. - Muszę sprawdzić, czy nie masz gorączki.

- Po prostu chce jeszcze przez chwilke pobyc tu sam.
- Stevie - nie ustepowala DeAnne. - Pozwól mi tylko sprawdzic, czy twoje czolo jest gorace.
- Nic mi nie jest - odparl chlopiec.
- DeAnne - powiedzial Step. - Proszce, nie klócmcy sie z tego powodu w Wigilie Bozego Narodzenia.
- Ale jesli on sie zle czuje, nie moge go tak zostawic...
- Wyglada w porzadku - rzekl Step, wyprowadzajac jaz pokoju.
- Nagle zmieniles sie w cudownego lekarza, potrafiacego wydac diagnoze na odleglosc?

Gdy tylko znalezi sie za drzwiami, Step zatrzasnal je i powiedzial:

- DeAnne, czyzbyś nie dostrzegła jego spojrzenia? On był panicznie przerażony.
- Wiem, Step. Tym bardziej należy przypuszczać, że ma goraczkę. Nie zachowywał się rozsądnie.
- Jego twarz nie była ani blada, ani zaczerwieniona, jak to się zdarza podczas choroby. Jest naprawdę zmartwiony, lecz posłuchaj, co powiedział. Chce zostać sam.
- W Wigilie, to smutne. - Nagle zrozumiała, o co chodzi Stepowi. - To znaczy, bez swych wyimaginowanych przyjaciół.
- Czy widziałas, żeby grywał na Atari przez ostatnie dwa dni? Choc raz?
- Chcesz powiedzieć, że pewne oznaki u niego się cofają?
- Nie wiem, lecz pewne jest to, że obecnie jest naprawdę spięty, więc zjedźmy coś sami, a potem wróć i porozmawiam z nim, albo ty, jeśli chcesz; zobaczymy, czy da się uspokoić. Przecież nie ma zamiaru opuścić ceremonii, prawda? To on najlepiej o wszystkim pamięta, zawsze lubi opowiadać historie. Pojawi się, jeśli nie zrobimy z tego wielkiego halo.

DeAnne westchnęła.

- Gdy tylko stajesz się tak wyrozumiały i cierpliwy, jeśli chodzi o dzieci, czuje się, jakbym była sekutnica.
- Jak się zatem czujesz, gdy na nie krzycze? - zapytał Step.
- Usprawiedliwiona.

Po kolacji Step wyszorował żeby i poszedł do pokoju Stewiego, by namówić go na jakąś przekaske. Stewiego nie było w łóżku; DeAnne musiała zaprowadzić go do kuchni.

Step zamierzał dołączyć do reszty rodziny, lecz zatrzymał się przy drzwiach do gabinetu i pomyślał: jeśli Stevie je, zabierze to trochę czasu, co zostawia mi kilka minut. Może uda mi się wreszcie to skończyć. Podjął pracę w przerwany miejscu.

Nie wiedział, jak długo już pracuje, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Określił się na krzesle. DeAnne stała w progu, uwieszona do galki. Wyglądała na trochę roztrzesiona, jakby potrzebowała usiąść.

- O co chodzi? - zapytał z ciekawości.

- Step, Stevie przyprował pod drzwi swoich przyjaciół. Chce zaprosić ich na Wigilię.

Step poczuł skurcz w żołądku. Stan Stewiego wcale się nie poprawiał. Starł się, ale nie udało mu się opuścić tej krainy fantazji. Może dlatego, że zło nie opuściło jeszcze Steuben? Może nic się nie zmieni, dopóki nie złapia seryjnego mordercy? Albo dopóki się nie wyprowadza.

- Może po skończeniu tego programu powinniśmy się wyprowadzić? - powiedział. - Zabrać stąd Stewiego na dobre?

- Nie, Step - odpowiedziała DeAnne. - Mam na myśli, że jego przyjaciele stoją przy drzwiach.

Nagle zmartwiało. Dlaczego wyglądała na tak słabą?

Czyby moc wyobraźni Stewiego ostatecznie ogarnęła DeAnne? Nie, to nie mogło się zdarzyć, była o wiele za silna.

Wstał, chcąc ją objąć, wesprzeć. Ale gdy tylko zauważyła, że wstaje, odsunęła się od drzwi, a kiedy szła, zauważył, że stąpa pewniej, niżby przypuszczał.

Podszedł za nią. Najwidoczniej nie chodziło o drzwi frontowe, bo nie kierowała się do pokoju gościnnego, tylko do pokoju dziennego. Tylnie drzwi zostały uchylone, choć powietrze było przenikliwie zimne i w pomieszczeniu szybko spadała temperatura. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości od tych drzwi, zerkając na drugą stronę. Step podszedł bez wahania prosto do wyjścia i uchylił drzwi szerzej.

Na podwórku stał Stevie. Siedmiu chłopców skupiło się za nim, wiek ich mieścił się w płynnych granicach od pięciu do dziesięciu lat. Dwójka odziana była w ubrania zimowe, lecz pozostali mieli na sobie podkoszulki i krótkie spodenki, jeden kamizelkę.

- Tato - poprosił Stevie. - Czy mogą wejść? Powiedziałem im, że pozwolisz im dołączyć do nas na Wigilię. Za tym tęsknią najbardziej.

Step poczuł, jak DeAnne chwyta go za dłoń.

- Oczywiście, że mogą wejść - powiedział Step. - Czekałimy, by ich poznać.

Powiedzieć to jedno, drugie to oglądać, jak wchodzi po schodkach jeden za drugim i znikają w mieszkaniu. DeAnne, mająca lepszą pamięć do imion i twarzy, rozpoznawała ich na podstawie fotografii w gazetach.

- Van - powiedziała.

Jeden z chłopców uśmiechnął się do niej.

- Roddy. Peter? David. Jack. Scotty.

Jeden po drugim usmiechali się do niej, a potem spoglądali po sobie, jakby mówiąc: hej, ona nas zna, zna nas.

- Sandy - powiedziała.

Step zamknął drzwi.

- Szkoda - rzekł Step. - Szkoda, że was wcześniej nie widziałem.

- Próbowaliśmy, tato - powiedział Stevie. - Wiedziałem, że im się uda, wiedziałem, że muszą pokazać się ludziom, bo nikt mi nie uwierzy, ale oni po prostu nie mogli wpaść na to jak. Musiałem im pokazać.

- Wierzyliśmy ci, synku - odparł Step. - Zawsze wiedzieliśmy, że nas nie okłamujesz.

- Ale myśleliście, że udaje. A ja nie udawałem.

Nastąpiła wtedy chwila ciszy, po której jeden z chłopców cichym, słabym głosem, powiedział:

- Wesolych świąt.

- Tak. - Step skinął głową. - Tak, wesolych świąt. Proszę, wejdźcie do pokoju gościnnego. Tam stoi choinka. Mieliliśmy właśnie wykladać nasze prezenty i odbyć ceremonie, chcielibyśmy bardzo, byście byli z nami.

Chłopcy usmiechali się. I Stevie - ach, Stevie też się usmiechnął! Step niemal zapomniał, jaki ma uroczy uśmiech. Tyle upłynęło czasu.

Stevie ruszył do pokoju na czele oddziału drepczącego w milczeniu w ślad za nim.

DeAnne wciąż trzymała się jego ręki. Usłyszał, jak mruczy:

- Pokazał im, jak?

Lecz nie mógł teraz o tym myśleć. Była przecież Wigilia i Stevie ostatecznie przyprowadził swoich przyjaciół do domu.

Podążyli za chłopcami do pokoju, a wtedy powiedziała:

- Muszę przyprowadzić Robbiego, Betsy i Zapa. - Zostawiła go samego.

- Siadajcie - zaczął. - Gdziekolwiek, tylko zostawcie ten miękki fotel na biegunach dla mamy Stewiego, musi tam siedzieć i trzymać dziecko. - Po tych słowach Step rozejrzał się po pomieszczeniu, widząc je teraz jakby ich oczami. Choinka, pokryta różnorodnymi dekoracjami, w większości wykonanymi ręcznie, malusienkie wyszywane poduszeczki, które DeAnne wykonała na pierwsze Boże Narodzenie, kiedy nosiła w łonie Stewiego. Małe zwierzątka - razem sklejali je na pierwszą choinkę, którą widział Stevie, choć oczywiście był wtedy bardzo mały i nie wiedział, co ogląda. Ozdoby starsze od Stewiego, pomyślał Step. Nigdy nie miał choinki bez nich.

I nie tylko choinki. Cały pokój był udekorowany czerwonymi i zielonymi tasiemkami i małymi wioseczkami z drewna; znalazł się też wypchany Święty Mikołaj obok san z plecionki, ogromny dziadek do orzechów w formie kominiarczyka, prócz tego wiele innych rzeczy, które Step i DeAnne kupili lub

zrobili przez te wszystkie lata.

DeAnne wprowadziła do pokoju Betsy i Robbiego. Betsy wstydziła się obcych, trzymała się trochę na uboczu, lecz Robbie chwycił bez pardonowo jej rękę i zaprowadził, by usiadła przed kanapą, obok nóg Stepa. DeAnne zasiadła w fotelu bujanym i tak ułożyła spiącego Zapa, by mógł wszystko obserwować, chociaż nie było oznak, by oczy jego zdolne były skupić się na jednym przedmiocie dłużej niż sekunde.

Rozpoczęli, śpiewając „A tam przy złocie”, a kiedy Step śpiewał, utrzymując tempo, wspominał wszystkie te noce, miesiące i lata, kiedy leżąc obok łóżeczka Steviego, nucił te piosenki, by małego opuścił strach i mógł zasnąć.

Wówczas nadszedł czas na historie. Step na wstępie poprosił Robbiego, by opowiedział im o aniele przybywającym do Maryi. Potem poprosił Steviego, by opowiedział, co zrobił Józef, gdy dowiedział się, że Maryja jest w ciąży, i tak dalej: Robbie, po nim Stevie, potem DeAnne lub Step opowiadali fragmenty dotyczące Bożych Narodzin. Pasterze, medcy, następnie „Księga Mormona” i opowieść o dniu, nocy i dniu bez ciemności, gdy Chrystus się narodził po drugiej stronie świata. Potem Step tłumaczył, dlaczego zył Jezus. Mówił o wybaczeniu złych uczynków, jakich dopuszczają się zli ludzie.

Chłopcy słuchali, oczarowani tym przeżyciem, obecnością na Wigilii Bożego Narodzenia, ich oczy błyszczały w świetle rzucałym przez lampki na choince. Na koniec jeden z nich przemówił:

- Wszystkich?

Zanim Step upewnił się, o co pyta, Stevie odpowiedział ostro, z przekonaniem.

- Nie. Zabijania nie.

DeAnne wstrzymała oddech, zakrywając usta, mrugając oczami, by nie popłynęły łzy.

- Stevie ma rację - powiedział Step. - Nasza wiara mówi, że Bóg nie wybacza ludziom, którzy zabijają celowo. w Nowym Testamencie Jezus powiedział, że jeśli ktoś skrzywdzi dziecko, to lepiej dla niego, by uwiązał sobie u szyi kamień, wskoczył do morza i utopił się.

- Oni zostali skrzywdzeni, tato - powiedział Stevie. - Oni mi tego nie powiedzieli.

- To była tajemnica - rzekł jeden z chłopców. - Obiecałem, że nigdy nie powiem, bo wtedy... - Głos chłopca odplynał, ściął.

- Nie odchodźcie! - powiedział Stevie. - Mówiliście, że dopiero po Wigilii.

- To trudne - powiedział drugi chłopiec.

Stevie odwrócił się do Stepa.

- Tato, musisz zadzwonić do pana Douglasa. Jeśli zobaczy ich razem, musi uwierzyć, no nie?

- Tak - zgodził się Step.

- Wiedziałem, że nie uwierzy mi, jeśli mu o tym powiem, bo skoro ty mi nie uwierzyłeś, dlaczego on by miał mi uwierzyć?

- Wierzyliśmy ci, Stevie - zapewniła go DeAnne, z trudem walcząc z napływającymi łzami. - Naprawdę.

- Ale nie uwierzyliście w nich - odparł. - Myślałem, że możecie ich widzieć jak ja, ale nie mogliście, nawet Robbie widział ich tylko raz przez sekundę.

Step pomyślał: Robbie mógł, lecz ja nie mogłem i DeAnne nie mogła.

- Staralem się wymyślić, jak ich pokazać. Powiedzieli, że pogrzebano ich pod domem, więc...

Kolejne westchnienie wydała DeAnne, Step poczuł, jak coś skreca mu kiszki. To wcale nie żadne rozdarcie w materii wszechświata Stevie odczuwał, wcale nie jakieś bezimiennie zło przyczajone gdzieś w mieście. To było tutaj. Pod domem. Miejsce, które w poplochu opuściły świerszcze i pajaki. Miejsce, gdzie ukryto ciała siedmiu chłopców, gdzie nikt ich nie mógł odnaleźć, choćby nie wiem jak szukał.

Lecz ktoś był pod domem, odkąd się tu wprowadzili, tak, więcej niż raz, więcej niż raz. Bappy był pod domem. I Bappy mieszkał tu przed nami, zanim syn kazał mu się wyprowadzić, by móc wynająć nam ten dom. Bappy mieszkał tu, kiedy uprowadzono pierwszego z chłopców, później też tu często bywał, cały czas.

Stevie ciągnął dalej:

- Dlatego wczółgałem się tam i kopalem, ale to nic nie dało, nic nie pomogło, a potem zdenerwowaliście się na mnie za to, że się wybrudziłem i wyszedłem z domu, więc drugi raz już nie próbowałem.

Mój syn był tam, pod spodem, pomyślał Step. Chciał krzyknąć, tak jak krzyczał po pikniku czwartego lipca. Ale zdusił to w sobie.

- Nie wiedziałem już, co mam robić - mówił Stevie - dlatego się poddałem, pomyślałem, że nikt ich już nie zobaczy. Ale nie mogłem tak po prostu pozwolić, żeby dalej to robił, prawda, tato? Tak nie byłoby dobrze. Nie podobało im się to, wiedziałem, nawet jeśli nie powiedzieli mi, jak bardzo to boli.

Popatrzył na pozostałych chłopców, niektórzy odwrócili wzrok, prawdopodobnie zawstydzeni.

- Więc przypomniałem sobie, co mi mówiłeś, jak zli ludzie nienawidzą prawdy, boją się jej, więc złamałem regule i wyszedłem na zewnątrz, kiedy pracowałem przy światłach i powiedziałem: „Wiem, co pan robi”, a on powiedział: „Nie wiem, o czym mówisz”, a ja na to: „Opowiedzieli mi o panu”, on wtedy: „Kto ci powiedział?”, a ja powiedziałem: „Oni mi powiedzieli o Chłopcu”, i dodałem: „Pan Douglas jest moim przyjacielem, spotkałem go i sam tak powiedział. Musi pan przestać”, a on: „Juz przestałem”. Powiedział: „Chłopiec już tego nie robi”. Ale wiedziałem, że kłamie, bo Chłopiec jest inny, niż mi o nim mówili, Chłopiec nie jest kims innym, on jest Chłopcem, Chłopiec był nim samym, a potem pobiegłem, by schować się w domu, ale byłem za wolny.

DeAnne płakała, twarz kryjąc w dłoniach, Step czuł lzy na własnych policzkach, bo teraz wiedział, ponad wszelką wątpliwość, że osmiu zaginionych chłopców, nie siedmiu, spędzało u nich te Wigilie. Osmiu chłopców, nie siedmiu, zagrzebanych w strasznym miejscu.

- I pomyślałem, że wszystko zniszczyłem - kontynuował Stevie. - Ale potem zrozumiałem, że wcale nie. Bo wiedziałem, co zrobić, żebyście mnie zobaczyli. Pierwszej nocy było naprawdę ciężko i myślałem, że kilka razy nie widziałeś mnie, kiedy powinienem, ale nabierałem wprawy, a później naprawdę mogłem pokazać im, bo byłem jak oni. No i teraz, tato, stoimy tu przed tobą, musisz zadzwonić do pana Douglasa, bo Chłopiec wciąż tam jest, trzeba go powstrzymać.

- Tak - odrzekł Step. - Zostaniecie, chłopcy? Dopóki nie przyjedzie pan Douglas?

Nie odpowiedzieli; niektórzy spoglądali po sobie, a inni patrzyli w ziemię.

- Boja się znowu go zobaczyć - rzekł Stevie. - Starca.

- Chłopca - szepnął jeden z przyjaciół Stewiego.

- Chłopca - jak echo powtórzyło kilku innych.

- Wiem, co powinniśmy zrobić - powiedziała DeAnne. Starła się, żeby zabrzmiało to radośnie, na przekór łom. - Siedzieliscie tu wszyscy i patrzyliscie, co nasza rodzina robi w Wigilie. Teraz niech każdy z was opowie reszcie, co wasze rodziny wtedy robią. Nie musicie, jeśli nie chcecie, ale naprawdę chciałabym wiedzieć, bo nie sadzę, by na całym świecie istniały dwie rodziny, które spędzają święta dokładnie tak samo. Co nam powiesz, Jack?

DeAnne przewodziła im w tej wymianie opowieści o minionych świętach Bożego Narodzenia, Step natomiast przeszedł do kuchni i zadzwonił na posterunek policji.

- Połączcie się z panem Douglasem i powiedzcie, że Step Fletcher pragnie się z nim zobaczyć dziś wieczór. Wiem, że to Wigilia, ale proszę mu powiedzieć, że mam tu wszystkie odpowiedzi, ale musi przyjechać od razu, by ujrzeć je na własne oczy.

Step bał się przez moment, że policjant może mieć jakieś opory przed urażeniem kogoś, przed utratą pracy albo awansu, na skutek wydzwaniania do swego zwierzchnika w czasie Wigilii.

- Obiecuję ci, przyjacielu - rzekł Step - że jeśli wykonasz ten telefon, wręczysz tym samym Dougowi Douglasowi najlepszy prezent świąteczny, jaki w życiu otrzymał.

- Łatwo panu mówić - odpowiedział mężczyzna. - Ale podejmę ryzyko i zobaczę, czy zechce z panem rozmawiać.

Choć nie upłynęła minuta, czas ten dłużył się niemiłosiernie, aż wreszcie telefon zadzwonił. Step chwycił słuchawkę, nim dzwonek telefonu zdążył rozbrzmieć na dobre.

- Co tam ma pan ciekawego w Wigilie Bożego Narodzenia?

- Zrobiłem te listy wtedy, panie Douglas, i nie była zmyślona, prawda? Nic nie zmyślałem, prawda?

- Prawda.

- Proszę przyjeżdżać, i to szybko. Mam tu wszystkie odpowiedzi. Lecz żadnych świateł, żadnych syren. Bo może ich pan nastraszyć, a wtedy odejda.

- Kto? Kto odejdzie?

- Chłopcy, panie Douglas. - Step odwiesił słuchawkę, ufając, że Douglas uwierzy mu na tyle, by przyjechać.

Przybył, zanim chłopcy skończyli opowiadać swoje historie. Przyjechał po cichu, a kiedy ujrzał ich

wszystkich zebranych, Step dostrzegł nadzieje w jego oczach, wielkie zadziwienie, że okazało się w końcu, iż żyje. Ale potem spojrzał na twarz Stepa, a Step wiedział, że nie stanowiło tajemnicy to, że jest pogrążony w rozpacz, i Douglas zaczął rozumieć.

- Pana chłopak naprawdę ich widział - powiedział.

- Cały czas - stwierdził Step.

- Ale dlaczego my ich teraz widzimy?

- Bo Stevie pokazał im, jak mają to zrobić. I zebrał ich tutaj, by mógł się pan im przyjrzec.

Douglas wkroczył powoli, uważnie na środek pokoju.

- Ach, chłopcy, gdybym go tylko znalazł wcześniej. Gdybym go powstrzymał, zanim... Ale mogę to zrobić teraz. Tylko powiedzcie, kto to taki.

W tym miejscu Stevie opowiedział wszystko od początku, tym razem dodając więcej szczegółów. Głębokie miejsce pod domem. Jak nie mógł zrozumieć, co przytrafiło się jego przyjaciół, dopóki nie ujrzał tego miejsca, a później kazał im powiedzieć. I kazał im też powiedzieć, kim jest on.

- To Bappy - zakończył.

- Chłopiec - rzekli niektórzy.

- Baptize Waters - powiedział Step. - Ojciec właściciela naszego domu. Kiedyś tu mieszkał. Zapisalem dla pana jego adres i numer telefonu, kiedy był pan w drodze.

- Chłopcy - zwrócił się do gromadki Douglas. - Cos wam powiem. Nie sadze, byście jeszcze kiedyś oglądali tego człowieka. Nie sadze, żeby jakiegokolwiek dzieci musiały go kiedyś oglądać.

Kiwali głowami.

- Zatem obiecuję wam, że jeśli zostaniecie dokładnie tu, w tym pokoju, jeszcze przez chwilę, nigdy już go nie zobaczycie. A jeśli zaczekacie, zadzwonię do waszych rodziców. Chciałbym, żeby mieli okazję was zobaczyć.

- Będę się złościł - powiedział jeden z chłopców. - Nie zostałem tam, gdzie mi kazali.

- Nie - odparł Douglas. - Rozmawiałem z nimi wszystkimi i mogę wam obiecać, że ani jedno z nich nie będzie się złościło. Ani jedno. Czy możecie zostać chociaż trochę dłużej?

- To trudne - rzekł jeden z chłopców.

- Wobec tego będę się spieszył.

Douglas wyszedł z pokoju, poszedł w stronę kuchni. Step słyszał, jak dzwoni, mówi spokojnie. Później dowiedział się, jak wyglądały te rozmowy. „Odkryliśmy, gdzie schowano ciała, a wasz syn jest jednym z nich. Lecz jest coś jeszcze, szansa na coś jeszcze, by pożegnać się z waszym synem, jeśli się pośpieszycie. Nikomu nic nie mówcie. Przyjeżdżajcie bez zwłoki”. Nie rozumieli, oczywiście, ale przyjeżdżali. Wkrótce rozeszli się po domu, rodzice w złości, chłopcy, niesmiali z początku, cicho

mówiacy, gdyż zaden z nich nie był tak silny jak Stevie.

A kiedy wewnątrz toczyły się rozmowy, policjanci pracowali na zewnątrz i pod spodem, ciała wydobywano jedno po drugim i na noszach układano na trawniku w blasku świateł. Bappy'ego sprowadzono do domu przy Chinqua Penn, a wraz z nim syna i obrońce syna, wściekłych z początku, ze przywleczono ich tutaj w Wigilie Bożego Narodzenia. Ale potem ujrzeni zwłoki na trawniku, syn zwrócił się w stronę ojca i wrzasnął:

- Twierdziłeś, że z tym koniec. Powiedziałeś, że jesteś za stary, by tego jeszcze pragnąć. Lecz ty nie przestałeś, ty stary sukinsynu, dalej to robisz, tylko że teraz zabijasz! - Lkając ze wstydu, wściekłości i okropnych wspomnień, syn pchnął ojca na ziemię i zaczął go kopać, aż policjanci złapali go i przytrzymali, a on stał i płakał. - Twierdził, że przestał. Powiedziałbym wam o nim, gdybym wiedział, że wciąż to robi, gdybym wiedział, że to robi, powiedziałbym.

- Zatem dlaczego nam nie powiedziałeś? - spytał Douglas.

Przez moment nie mógł wymyślić, co ma na to powiedzieć. A po chwili już mógł.

- To mój ojciec.

- To nie ja - powiedział Bappy.

- A właśnie, że ty - rzekł Douglas.

- To Chłopiec - stwierdził Bappy. - Ja nigdy nie chciałem. Myślicie, że kim jestem? Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. To zawsze ten Chłopiec.

Wszystko to utrwalono na taśmie wideo. Syna. Ojca. Prawnika o ponurym wejrzeniu, przekonującego obu, by zamilkli, by nic już nie mówili; o wiele za późno. Wszystko znalazło się na taśmie, więc nie było powodu, by ludzie na zewnątrz musieli widzieć, a nawet wiedzieć, co dzieje się w środku.

Kiedy odprowadzano Bappy'ego, kiedy z ukrytych grobów wydobywano ciała, oświetlane przez policjantów tego mroznego, wigilijnego wieczoru, jeden po drugim chłopcy w domu tracili siłę lub chęć dłuższego opierania się, zegnali się i znikali. W jednej chwili tam, w drugiej chwili już gdzie indziej. Potem odjeżdżali ich rodzice, lkając, tuląc się do siebie, zegnani kilkoma słowami Douglasa, wypowiedzianymi szeptem.

- Nikomu nie mówcie - przestrzegal. - Nie chcecie chyba, żeby imiona waszych dzieci pojawiły się w prasie. Wracajcie po prostu do domu i dziękujcie Bogu, że dał wam szansę się pożegnać. Jedno małe miłosierdzie w całej tej okrutnej sprawie.

Rodzice kiwali głowami, zgadzając się: wracali do domu w najsamotniejsze Boże Narodzenie ich życia, Boże Narodzenie, podczas którego wszystkie pytania nareszcie znalazły odpowiedzi, podczas którego pamiętano o miłości i ja oplakiwano, Bogu składano dzięki, obwiniając go zarazem, że nie zrobił więcej.

W mieszkaniu Stevie opierał się najdłużej; od początku był najsilniejszy. Robbie i Betsy oboje spali, Zap także drzemał w ramionach DeAnne. Na koniec Stevie został sam z rodzicami, tak jak był sam z nimi, gdy ich rodzina dopiero się rozrastała.

- Ach, Stevie - mówił Step. - Dlaczego poszedłeś tam sam, w pojedynkę? Dlaczego nie sprawiłeś, byśmy ci uwierzyli? Dlaczego nie wyjaśniłeś?

- Byłem tym, do którego przyszedli - wyjaśnił Stevie. - Takie było moje zadanie. Czy nie dlatego tu się wprowadziliśmy?

- Nie po to, żeby cię stracić - oświadczyła DeAnne.

- Postąpiłem tylko tak, jak mnie nauczyliście - mówił Stevie. - Nie chciałem umierać. Lecz nie wiedziałem, jak to zrobić, aż do wtedy. Czy źle postąpiłem?

- Och, Stevie - powiedziała DeAnne. - To, co zrobiłeś, było szlachetne, dobre i odważne. Wiedzieliśmy, że takim właśnie człowiekiem będziesz, wiedzieliśmy od początku.

- Tylko sędzieliśmy, że będziemy mieli sposobność znać cię dłużej - rzekł Step. - Sędzieliśmy, że umrzemy długo przed tobą. Bo tak powinien wyglądać świat.

- Nic nie poszło tak, jak powinno - stwierdził Stevie. - Nic nie było w porządku, ale teraz jest lepiej, no nie? Ja zrobiłem to lepiej, prawda?

- Ze względu na matki i ojców, którzy nie będą musieli rozpaczyc - powiedział Step - gdyż powstrzymałeś tego człowieka, nim odnalazł ich synów, tak, teraz jest lepiej.

- I nie złoście się na mnie, że zламаłem regule? - spytał Stevie.

- Nie, nie złościmy się - odparł Step. - Ale jest nam smutno.

- Stevie, czy nam wybaczysz? - wtrąciła DeAnne. - Ze nie zrozumieliśmy? Ze nie wiedzieliśmy, iż to, co nam mówisz, to prawda?

- Jasne - odpowiedział. - Mogłem ich widzieć, a wy nie. Byłem na was tylko zły, dopóki nie domyśliłem się tego. - Westchnął. - To takie trudne, zostawać tu dłużej.

- Nie chce, żebyś odchodził - prosiła DeAnne.

- To takie trudne - powtórzył.

- Kocham cię, Stephenie Bolivarze Fletcherze - powiedział Step. - Kocham cię nad życie. Będzie za tobą tęsknił.

- Ja też będę za tobą tęsknił, tato. I za tobą, mamo. Pożegnajcie ode mnie Robbiego i Betsy. I powiedzcie o mnie Zapowi, kiedy będzie większy, bo ciągle jestem największym bratem.

- Kocham cię - powiedziała DeAnne. Chciała mu powiedzieć, co te słowa znaczą. Co on dla niej znaczył, jak czuła się, nosząc go przez te wszystkie okropne miesiące dolegliwości, i jak to się wszystko opłacało, kiedy już trzymała go w ramionach; opłacało się z dużą nadzieją, gdy patrzyła, jak dorasta, jakim jest ładnym, dobrym chłopcem. Chciała mu powiedzieć o wszystkich marzeniach z nim związanych, o wszystkich dzieciach, które chciała, by miał, dzieciach szczęśliwych, że mają takiego ojca. Chciała mu opowiedzieć, jak to raz przysniło jej się, że leży na łożu śmierci i wie, że lekko jest umierać, gdyż Stevie siedzi obok, trzymając ją za dłoń. Jak sniło jej się, że powiedział: „Zegnaj, matko”. A potem: „Czekaj tam na mnie, kiedy przyjdę”.

- Zegnaj, matko - powiedział Stevie. - Zegnaj, ojcze.

- Zegnaj, Kluczniku - odparł Step.

DeAnne powiedziała:

- Czekaj tam na nas, kiedy przyjdziemy.

Rozdział piętnasty

Nowy Rok

Oto jak Fletcherowie dotrwali do Nowego Roku: zadzwonili do panstwa Lowe, którym wystarczyły jedynie dwa zdania, by pedem przybyli do domu przy Chinqua Penn. Mary Anne pomogła im spakować to, czego będą potrzebowali na następne kilka dni, podczas gdy Harv zatelefonował do biskupa i siostry Bigelow, która także przyszła. Choć Fletcherowie przenieśli się już do domu panstwa Lowe, gdzie zamierzali spędzić resztę tej długiej, wigilijnej nocy, biskup i siostra Bigelow pozostali, zbierając wszystkie prezenty, które Step im wskazał, pakując te wciąż nie zapakowane, napelniając skarpety lakociami i podarkami, które Step przygotował wraz z DeAnne, a potem przenieśli to wszystko do domostwa panstwa Lowe, zanim przebudziło się którekolwiek z dzieci. Step i DeAnne obserwowali spokojnie, jak Harv i Mary Anne czynią z Bożego Narodzenia dzień radosny i szczęśliwy dla dzieci.

W czasie gdy oni zostali w domu - nie poszli do kościoła - zebrały się dwie gminy ze Steuben, a tak głęboko przemyślany program bożonarodzeniowy został z miejsca zmieniony. Zamiast niego biskup, zawsze trzymający rękę na pulsie, opowiedział historie niewiniątek z Betlejem, a potem historie Almy i Amuleka, którzy też obserwowali śmierć innych niewiniątek. I tak powiedział:

- Takie boże dzieci wkrótce zapominają, co to ból i śmierć, jako że witane są z radością. Za to te, które zostają, potrzebują naszej pomocy i pocieszenia.

Pomoc i pociecha przybrały wiele form podczas następnych kilku dni. Znalazło się nowe i puste mieszkanie, którego właściciel, słysząc co nieco o ich historii, pozwolił Fletcherom mieszkać w nim nieodpłatnie w pierwszym miesiącu. Choć tasma policyjna wciąż odgradzała ich dom przy Chinqua Penn, starszyzna ze zgromadzenia omijała ją, przenosząc wszystkie doczesne dobra Fletcherów na furgonetkę, która kursowała tam i z powrotem, dopóki wszystko nie znalazło się w nowym mieszkaniu Fletcherów. Nigdy nie będą już musieli postawić nogi w domu, gdzie umarł Stevie.

Siostra Bigelow pozostała, kiedy już wszyscy pomagający przy przeprowadzce odeszli.

- Znalazłam coś - powiedziała. - Pomyślałam, że powinniście być sami, kiedy to dostaniecie.

Położyła na stole paczuszkę owiniętą brązowym papierem.

- Znalazłam ją w szafce na zapleczu. - Usciskala DeAnne i wyszła.

Otworzyli paczkę. Wewnątrz były dwa dziwnie wyglądające prezenty gwiazdkowe, zawinięte. Prezent DeAnne był ciężki. Odwinęła go, by znaleźć dwa kamienie, tak sklezione razem i pomalowane, by przedstawiać królika. Jeden kamień stanowił ciało, drugi, mały - głowę. Poza tym dolepiono uszy z papieru kolorowego. Na karteczce Stevie napisał: „Królik z podwórka”. Prezent Stepa był o wiele lżejszy i trudniejszy do sprecyzowania. Stevie wziął opakowanie po Cool Whipie, do pokrywki dolepił dozownik taśmy klejącej, całość pomalował jaskrawą czerwień. Na załączonej kartce widniał staranny szkic, pokazujący zegarek dyndający na jednym ramieniu dozownika, kilka piór wystających z otworu w dozowniku i trochę drobnych w pojemniku po Cool Whipie. W pojemniku znajdowało się piętnaście centów, by ułatwić mu początek. Był to pojemniczek z przegródkami na drobiazgi, które Step trzymał po kieszeniach.

Przez długą chwilę przyglądali się prezentom, pograzeni w myślach.

Zadane rodziców nie puściło pary z ust na temat zdarzeń tej Wigilii, a Doug Douglas zadbał o to, by dziennikarze usłyszeli jedynie historie o Bappy'emu i jego synu, i o mrocznej tajemnicy starego zbrodniarza. Tak więc jedynie zdjęcia Bappy'ego i jego syna ukazały się w wieczornych wiadomościach i na czółówkach gazet. Doug Douglas miał jeszcze przez wiele lat utrzymywać kontakt z tymi rodzinami, nawet po odejściu na emeryturę, ale nigdy nie podejmował tematu tamtej nocy i poprzedzających ją wydarzeń; wszyscy poznali naturę nici, jakie związały ich razem. Dzielili z nim przyjaznych ludzi, którzy odbyli z sobą daleką podróż, podróż, której wspomnienie nie opuści ich nawet na chwilę.

Tylko raz Doug Douglas zadzwonił do Fletcherów. Przeglądając akta tej sprawy, po prostu dla zwykłego spokoju, natknął się na związek, jaki zachodził między przypadkami dziwnych inwazji owadów lub pajaków na ich dom a nocami, kiedy umierali chłopcy. Mógł dzięki temu upewnić się co do tych dat. Nie tylko Stevie wyczuwał, jak świat drze się na strzępy.

Step i DeAnne pochowali swego najstarszego syna na cmentarzu pięknie położonym na zachodnim skraju Steuben, otoczonym gestymi lasami pełnymi ptactwa i zwierząt; wokół tego miejsca kwitło życie. Oboje wiedzieli, stojąc przy grobie, że dni wędrowek mają już za sobą. Zakotwiczyli w Steuben, ciągnęli ich tu zarówno żywi, jak i umarli. Mały Jeremy wstąpi do Otwartych Drzwi, gdy czas jego nadejdzie; kwiatki obrosną ten grób.

W tych kilku dniach, dzielących Wigilię od Nowego Roku, odbyło się w Steuben jeszcze siedem pogrzebów. Ciała tych siedmiu chłopców zdazały do grobów w towarzystwie skromnych podarków, jakie przy nich znaleziono: samochodu wyscigowego, pieska ze sztucznej porcelany, harmonijki, klebka sznurka, plastikowego miecza, pistoletu na wode, talii kart.

Ponieważ życie toczy się dalej, a rachunki trzeba spłacać, Step ukończył program, nad którym tak długo pracował, po czym przesłał go do Agamemnona. Miał otrzymać pieniądze i zacząć następny projekt, gdyż rodzina potrzebowała jego pracy. Podobnie potrzebowała DeAnne, która opiekowała się Jeremym, Elizabeth i Robbiem, trójka, która pozostała. To ich potrzeby liczyły się teraz, a ona je zaspokajała z całych swoich sił, podobnie jak Step.

W dzień Nowego Roku ich rodziny, które przyleciały z Utah, by być z nimi w tych trudnych dniach, porzuciły się do swoich domów. Członkowie gminy powrócili do swoich normalnych powinności, które porzucili, by pomagać Fletcherom. Stopniowo życie całej gminy unormowało się i uspokoiło.

Nawet życie Fletcherów. Nie wróciło do normy, gdyż taki powrót był już niemożliwy, ale przestawilo się na nowe tory. Zawsze odtąd Step czuł podświadomie, że ktoś go obserwuje, jakby w każdej chwili

triumfu mógł się odwrócić, mówiąc: „Widziałeś? Całkiem niezłe, co?” Ten zaś, który obserwował, rzekłby: „Nawet, nawet, tato”.

DeAnne widziała go w wyobraźni jako światło na horyzoncie, jako morską latarnię. Jeżeli patrzeć będzie nieustannie w kierunku tego światła, myślała, jeśli zawsze będzie ku niemu iść, to pewnego dnia, chociaż może być on bardzo odległy, osiągnie swój cel.

Każdego roku wspominali Steviego w dniu jego urodzin, opowiadali o nim historie, a Robbie i Elizabeth potrafili wyrecytować je z pamięci. Co jakiś czas Robbie powracał w rozmowie do owego szwatecznego dnia, kiedy zjawili się przyjaciele Steviego, choć w rodzinie rzadko o tym dniu mówiono.

Jeszcze jedno przestało istnieć tamtej Wigilii. Step już nie nazywał Robbiego „Robot” ani „Chrabaszc”; Betsy przechrzcila się na Elizabeth; Jeremy był Jeremym. Gdy Step przestał używać zdrobnień, wkrótce odeszły w niepamięć, czasem tylko Robbie przedrzeźniał Elizabeth, mówiąc: „Wiesz, kiedyś wolałismy na ciebie Betsy Wetsy”. Kiedy dzieci dorosły, fakt, że ich rodzice zwracali się do siebie niegdyś Galganiarz i Rybia Dama, zatarł się w ich pamięci. Nie uwierzyliby, gdyby ktoś im powiedział. Nikt nie powiedział.

Step i DeAnne zdecydowali, że porzucą przydomki. Po prostu stanowiły integralną część większej całości i wydawało się niewłaściwe używanie tylko niektórych z nich, a innych nie. Lecz pewnego dnia znów ich będą używać, byli o tym przekonani. Pewnego dnia powrócą do swych starych przydomków, gdy Klucznik spotka ich po drugiej stronie.

KONIEC